

PARYŻ

KSIĘGA PIERWSZA

I

Tego ranka, a było to pod koniec stycznia, ksiądz Piotr Froment, który miał odprawić mszę w Sacré-Coeur na Montmartre, już o ósmej godzinie *znalazł* się na wzgórzu przed bazyliką. Zanim wszedł, przez chwilę popatrzył na Paryż, którego bezmierne morze rozaczało się u jego stóp.

Po dwóch miesiącach wielkiego mrozu, śniegu i lodu Paryż tonął w ponurej i drżącej z zimna odwilży. Z rozległego nieba

o barwie ołowiu opadała żaloba gęstej mgły. Cała wschodnia strona miasta, dzielnice nędzy i pracy, zdawała się zatopiona w rudawych dymach, w których zgadywało się oddech warsztatów i fabryk; natomiast w części zachodniej, w dzielnicach bogactwa i rozkoszy, plaga mgły jaśniała, była ona już tylko cienką, nieruchomą zasłoną wilgotnej pary. Zaledwie można było rozróżnić kolistą linię horyzontu, bezkresne pole domów widniało podobne chaosowi kamieni, upstrzone błotnistymi kałużami, które wypełniały wgłębienia w bladym oparze i gdzie czarnością sadzy odcinały się *zarysy* budynków i wyżej położonych ulic. Paryż tajemniczy, zasnuty mgłą, jak gdyby zagrzebany w popiele jakiejś katastrofy, na wpół zanikający już w cierpieniu i hańbie tego, co krył *w* sobie jego bezmiar!

Piotr patrzył, chudy i posępny, w lichej sutannie, gdy podszedł ku niemu ksiądz Rose, który oczekiwał go, schroniwszy się za jednym z filarów portyku.

- Ach, jesteś wreszcie, drogie dziecko! Chcę cię o coś prosić.

Wydawał się zakłopotany, niespokojny... Nieufnym spojrzeniem upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu. Następnie, jak gdyby ich samotność nie zadowalała go, pociągnął Piotra jesz-

cze dalej, w dmący lodowaty wicher, którego sam zdawał się wcale nie odczuwać.

- Otóż chodzi o pewnego biedaka, o którym się dowiedziałem... dawniej pracował jako malarz pokojowy, starzec siedemdziesięcioletni, oczywiście nie może już pracować i pomału umiera z głodu w norze przy ulicy des Saules... A więc, drogie dziecko, pomyślałem o tobie, mam nadzieję, że zgodzisz się zanieść mu trzy franki ode mnie, ażeby przez parę dni miał przynajmniej na chleb.

- Ale dlaczego ksiądz osobiście nie chce wręczyć mu tej jałmużny?

Ksiądz Rose znów zatrwożył się, zakłopotał, oczy jego wyrażały lęk i zmieszanie.

- Ach nie, nie, ja nie mogę... po tych wszystkich przykrościach, jakie mnie spotkały. Wiesz, że jestem pod nadzorem i że znowu udzielą mi nagany, jeżeli przychwycą mnie na tym, że tak daję pieniądze, nie wiedząc dobrze komu. Prawda, że aby zdobyć te trzy franki, musiałem coś sprzedać... Błagam cię, drogie dziecko, oddaj mi tę przysługę!

Ze ściśniętym sercem Piotr przyglądał się zacnemu, siwemu jak gołąb księdzu, jego dużym, pełnym dobroci ustom, jasnym dzieciennym oczom w uśmiechniętej okrągłej

twarży. I przypomniała mu się, zalewając go falą goryczy, historia tego kochanka biedoty, niełaska, jaką ściągnął na siebie wzniosłą naiwnością świętego, miłosiernego człowieka. Jego ciasne parterowe mieszkanie przy ulicy de Charonne, z którego uczynił przytułek, gromadząc wszelką nędzę z całej ulicy, stało się wreszcie siedliskiem skandalu. Nadużywano tam jego prostoduszności i niewinności i działały się u niego rzeczy ohydne, których wcale nie podejrzewał. Przychodziły tam dziewczki, kiedy nie mogły złowić mężczyzny, którzy zabraliby je do siebie. Naznaczano sobie haniebne schadzki, roila się cała potworna zgraja. Wreszcie pewnej pięknej nocy wkroczyła policja, aby zaarrestować trzynastoletnią dziewczynkę oskarżoną o dzieciobójstwo. Bardzo tym poruszone władze diecezjalne zmusiły księdza Rose, aby zamknął swój przytułek, i przenieśli go z kościoła Świętej Małgorzaty do kościoła Świętego Piotra na Montmartre, gdzie powrócił on na zajmowane dawniej stanowisko wikarego. Me była to nie

łaska, lecz zwyczajne usunięcie z ludzkich oczu. Połajano go, trzymano pod nadzorem, jak sam mówił, on zaś był bardzo zawstydzony, a także bardzo nieszczęśliwy, bo mógł już teraz udzielać wsparcia tylko po kryjomu, jak lekkomyślny utracjusz, który rumieni się, z powodu swoich przewinień. Piotr wziął trzy franki.

- Przrzekam, kochany księżu, że spełnię polecenie, ach, z całego serca!

- Pójdiesz tam, gdy odprawisz mszę, prawda? On nazywa się Laveuve, mieszka przy ulicy des Saules, dom w podwórzu, zanim skręci się w ulicę Marcadet. Na pewno go odszukasz!... A gdybyś był taki miły i zechciał zdać mi sprawę z tych odwiedzin dzisiaj po południu, około godziny piątej, w Madeleine, gdzie pójde posłuchać konferencji monsignora Marthy... On okazał mi tyle dobroci... Może i ty przyszedłbyś go posłuchać? Piotr odpowiedział wymijającym gestem. Monsignor Martha, biskup Persepolis, posiadający potężne wpływy w arcybiskupstwie, odkąd zdołał, jako genialny doprawdy agitator, dziesięciokrotnie pomnożyć subskrypcję na bazylikę Sacré-Coeur, istotnie udzielił pomocy księdzu Rose; on to wyjednał, że zostawiono go w Paryżu, przenosząc do Świętego Piotra z Montmartre.

- Nie wiem, czy będę mógł być na konferencji - rzekł Piotr. - W każdym razie przyjdę tam zobaczyć się z księdzem.

Wiatr świszcział, mroczne zimno przenikało ich obu na tym odludnym wzgórzu, w oparach, które zamieniały wielkie miasto w ocean mgły. Ale rozległy się kroki i ksiądz Rose, znowu pełen nieufności, zobaczył przechodzącego obok nich człowieka bardzo wysokiego i silnej budowy, z gołą głową, o gęstych, krótko przyszczyżonych siwych włosach. - Czy to nie twój brat? - zapytał stary kapłan.

Piotr nie poruszył się. Odrzekł spokojnym głosem:

- Tak, to mój brat Wilhelm. Odnalazłem go, gdy zacząłem przychodzić tutaj do Sacré-Coeur. Ma on niedaleko stąd dom, w którym mieszka już chyba przeszło dwadzieścia lat. Gdy go spotkam, wymieniamy uścisk dłoni. Ale ani razu nie byłem u niego... Między nami naprawdę umarło wszystko, nie mamy już z sobą nic wspólnego, dzielą nas całe światy.

Na twarz księdza Rose powrócił serdeczny uśmiech, zrobił ręką ruch, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie należy nigdy wątpić w miłość. Wilhelm Froment, uczony o wybitnej inteligencji, chemik, który, jako zbuntowany, żył na uboczu, należał teraz do jego

parafian i ksiądz Rose zapewne marzył o odzyskaniu go dla Boga, gdy przechodził obok domu, który Wilhelm zajmował z trzema dorosłymi synami i gdzie aż wrzało od pracy.

- Ale, drogie dziecko - mówił dalej ksiądz Rose - trzymam cię tutaj, w tych mroźnych ciemnościach, a nie jesteś zbyt ciepło ubrany... Idź, odpraw swoją mszę. A więc wieczorem, w Madeleine.

A następnie, upewniwszy się jeszcze raz, że nikt ich nie podsłuchuje, dodał błagalnie, ze swą miną wiecznie winnego dziecka:

- I nikomu ani słowa o tym moim drobnym poleceniu. Znów powiedziano by, że nie umiem zachowywać się właściwie.

Piotr patrzył, jak stary kapłan oddalał się w kierunku ulicy Cortot, gdzie mieszkał w wilgotnym parterowym mieszkaniu, rozweselonym skrawkiem ogrodu. Katastrofalny popiół, w którym tonął Paryż, zdawał się gęstnieć w nawałnicy mroźnego północno-zachodniego wiatru. Piotr wszedł wreszcie do bazyliki, z bólem w sercu, wypełnionym po brzegi goryczą, jaką poruszyła w nim przed chwilą ta historia, to bankructwo miłosierdzia, straszliwa ironia losu świętego człowieka ukaranego za to, że dawał, kryjącego się, aby móc dawać jeszcze. Nic nie uśmierzyło piekającej, otwartej w nim na nowo rany, ani ciepły spokój, w który się zagłębiał, ani *milcząca* pompatyczność szerokiej i długiej nawy o nagich ścianach ze świeżego kamienia, bez obrazów, bez żadnych ozdób, nawy w połowie zatarasowanej rusztowaniem, które zasłaniało nie ukończoną jeszcze kopułę katedry. W tej ранней godzinie, w szarym świetle, jakie przepuszczały wysokie a wąskie okna, odprawiono już błagalne msze przy licznych ołtarzach, wotywnie świece płonęły w głębi prezbiterium. Piotr pospieszył do zakrystii, aby przyoblec święte szaty i odprawić mszę w kaplicy Świętego Wincentego a Paulo. Ale już wspomnienia wyzwoliły się, Piotr dał się owładnąć smutkowi, a równocześnie dopełniał machinalnie obrządku, wykonywał zawodowe gesty.

Odkąd przed trzema laty powrócił z Rzymu, żył w największej udręce, jakiej zaznać może człowiek. Najpierw, aby odzyskać utraconą wiarę, uczynił był pierwszą próbę, pojechał do Lourdes szukać naiwnej wiary dziecka, które klęka i modli się, prymitywnej wiary młodych narodów, uginających się pod naporem swojej ignorancji; ale jeszcze głębiej zbuntował się na widok gloryfikacji absurdu, pogńębienia zdrowego rozsądku, przekonany, że zbawienie, spokój współczesnych ludzi i narodów nie może opierać się na tym dziecinnyim wyrzeczeniu się rozumu. Następnie, ogarnięty na nowo potrzebą kochania, ale wciąż wierny umysłem temu wymagającemu rozumowi, zaryzykował resztki swego spokoju w drugiej próbie: pojechał do Rzymu, aby się przekonać, czy katolicyzm mógłby się odrodzić, powrócić do ducha wczesnego chrystianizmu, stać się religią demokracji, wiarą, jakiej oczekiwał świat nowoczesny, wstrząśnięty do głębi, zagrożony śmiertelnym niebezpieczeństwem, aby uspokoić się i żyć; lecz znalazł tam jedynie szczątki, tylko spróchniały pień drzewa, niezdolny do nowej wiosny; usłyszał tam jedynie ostateczne trzeszczenie starej budowli społecznej, chylącej się do zupełnej ruiny. Wtedy, wydany na łup ogromnego zwątpienia, całkowitej negacji, wrócił do Paryża, gdzie w imieniu swoich biedaków wzywał go ksiądz Rose, wrócił, aby zapomnieć

o sobie, aby złożyć się w ofierze, aby uwierzyć w ubogich, bo pozostali już tylko oni ze swymi strasznymi cierpieniami; i odtąd od trzech lat stykał się z upadkiem, z bankructwem samej nawet dobroci, ze śmiechu wartym miłosierdziem, bezskutecznym, i wyszydzonym.

Te trzy lata przeżył Piotr w stale rosnącym utrapieniu, w którym wreszcie utonąła cała jego istota. Jego wiara umarła na zawsze, umarła w nim nawet nadzieja, że mógłby zużytkować wiarę tłumów dla powszechnego dobra. Przeczył wszystkiemu, oczekiwał już tylko katastrofy ostatecznej, nieuniknionej, buntu, masakry, pożogi, które unicestwiłyby ten grzeszny i skazany świat. Ksiądz bez wiary czuwający nad wiarą innych, spełniający w czystości i uczciwie swoją powinność, wyniośle smutny, gdyż nie potrafił zaprzeć się swojej inteligencji, jak wyrzekł się miłości cielesnej i marzenia, iż zostanie zbawcą narodów, nie poddawał się jednak, wielki samotną i nieokiełznaną wielkością. I ten zrozwaczony buntownik, który sięgnął dna nicości, zachował postawę tak wzniosłą i poważną, przenikniętą wonią tak czystej dobroci, że zyskał sobie w swojej parafii w Neuilly opinię młodego świętego, bożego wybrańca, którego modlitwa wyjednywała cuda. Był samą regułą, wykonywał już tylko gesty kapłańskie, nie czuł w sobie nieśmiertelnej duszy, był jak pusty grobowiec, w którym nie pozostał już nawet popiół nadziei; zbolące kobiety, parafianki, we łzach uwielbiały go, całowały jego sutannę; i oto dzisiaj udręczona matka, której niemowlę w kołysce znalazło się o krok od śmierci, ubłagała go, aby przyszedł tu pomodlić się do Jezusa o cudowne uzdrowienie, pewna, że Jezus go wysłucha w przybytku na Montmartre, gdzie płonął cud jego gorejącego miłością serca.

Tymczasem Piotr, już w świętych szatach, pospieszył do kaplicy Świętego Wincentego a Paulo. Wszedł na stopień ołtarza, zaczął odprawiać mszę; a gdy odwrócił się z rozpostartymi do błogosławieństwa rękoma, ukazał zapadłą twarz, łagodne usta ściągnięte goryczą, pełne czułości oczy, pociemniałe od cierpienia. Nie był to już ów młody ksiądz, z twarzą rozpaloną tkliwym podnieceniem udający się do Lourdes czy też z natchnionym, obliczem apostoła wyjeżdżający do Rzymu. Jego podwójne dziedzictwo toczyło w nim wieczystą wojnę; ojciec, po którym miał czoło podobne niezdobytej wieży, i matka, która dała mu swe pełne miłości usta, kontynuowali walkę, całą ludzką batalię uczucia i rozumu, na tej twarzy dziś zniszczonej, gdzie w chwilach zapomnienia malował się chaos wewnętrznego smutku. Usta wyrażały jeszcze nie nasycone pragnienie miłości, oddania się i życia, którego, jak sądził, nigdy nie miał zaspokoić; a tymczasem mocno sklezione czoło, warownia, w której narodziły się jego cierpienia, za nic nie chciało się poddać mimo ataków przesądu. Ale sztywniał w sobie, ukrywał trwogę przed pustką, w której się szarpał, zachowywał dumę, władczo wykonywał gesty, wypowiadał słowa. I strapiona matka, która znajdowała się wśród paru klęczących kobiet, matka, która oczekiwała od niego ostatecznego orędownictwa i wierzyła, że on rozmawia z Jezusem o uzdrowieniu jej dziecka, widziała poprzez łzy, jak jaśniał pięknnością anioła, zwiastuna boskich, łask.

Po Ofiarowaniu, gdy Piotr odkrył kielich, uczuł dla siebie pogardę. Wstrząs jednak był zbyt głęboki, mimo wszystko myślał o tych sprawach... Jakież dzieciństwo jego dwa eksperymenty - w Lourdes i w Rzymie, jakaż naiwność biednej, zagubionej istoty, pożeranej pragnieniem miłości i

wiary! Jak mógł wyobrażać sobie, że współczesna wiedza *w* nim pogodzi się z wiarą roku tysięcznego, a zwłaszcza jak mógł być tak naiwny, aby uwierzyć, że on, skromny ksiądz, udzieli lekcji papieżowi, że skłoni go, by stał się świętym i zmienił oblicze świata! Wstyd ogarnął go na myśl, jak bardzo musieli się z niego śmiać! Następnie oblał się rumieńcem na wspomnienie swojej idei schizmy. Widział się znowu w Rzymie, gdy marzył o napisaniu książki, w której odciąłby się gwałtownie od katolicyzmu, aby głosić nową religię demokracji, oczyszczoną Ewangelię, ludzką i żywą. Cóż za śmieszne szaleństwo! Schizma! Poznał w Paryżu księdza o wielkim sercu i wybitnym umyśle, który pokusił się o stworzenie tej słynnej schizmy, zapowiadanej, oczekiwanej! Ach, biedny człowiek, smutny i śmiechu warty trud pośród ogólnej niewiary, lodowatej obojętności jednych, szyderstwa i obelg innych! Gdyby za dni naszych znowu pojawił się Luter, skończyłby na poddaszu w dzielnicy Batignolles, zapomniany, umierający z głodu. Schizma nie może się przyjąć wśród ludu, który nie wierzy, który nie dba o Kościół, bo gdzie indziej pomieścił swoje nadzieje. Cały katolicyzm, a nawet chrystianizm, zniknie wkrótce z powierzchni ziemi, gdyż Ewangelia, poza paroma maksymami moralnymi, nie stanowi już kodeksu społecznego. I to przekonanie pogłębiało rozterkę Piotra w te dni, gdy sutanna bardziej ciążyła mu na ramionach, gdy wreszcie zaczynał gardzić sobą samym *za to*, że tak oto celebrował boską tajemnicę mszy, która stała się dla niego gestem martwej już religii.

Piotr, napełniwszy do połowy kielich winem z ampulek, umył ręce i znów dojrzał ową matkę i jej twarz wyrażającą płomienne błaganie. I wtedy pomyślał, że to dla niej, w litościwej intencji człowieka związanego przysięgą, pozostał nadal księdzem, kapłanem bez wiary, żywiącym wiarę innych chlebem ułudy. Ale zachowując tę heroiczną postawę, pełniąc ten wzniosły obowiązek, na który sam się skazał, odczuwał coraz większą trwogę. Czy zwyczajna uczciwość nie nakazywała mu zrzucić sutanny, wrócić do ludzi? Jego fałszywe położenie rodziło w nim chwilami odrazę do tego bezpłodnego bohaterstwa i znowu zadawał sobie pytanie, czy nie jest tchórzliwie i niebezpiecznie pozwalać, aby tłumy nadal żyły w przesądzie. Zapewne, kłamstwo o Bogu sprawiedliwym i opiekuńczym, o czekającym nas raju, gdzie powetowane zostaną wszystkie ziemskie cierpienia, długo wydawało się nieodzowne wobec nędzy biednych ludzi; ale jakaż to pułapka, jaki tyrański wyzysk narodów, i o ile bardziej po męsku byłoby dokonać na ludach brutalnej operacji, a jednocześnie tchnąć w nie odwagę, aby żyły istnieniem realnym, chociażby nawet wśród łez! Jeżeli już odwracały się od chrystianizmu, to czyż nie dlatego, że odczuwały pragnienie ideału bardziej ludzkiego, religii zdrowia i radości zamiast religii śmierci? W dniu, w którym runęłaby idea miłosierdzia, wraz z nią runąłby i chrystianizm, gdyż zbudowany był na boskim miłosierdziu, które przeciwdziało fatalnej niesprawiedliwości, zapewniając po śmierci nagrodę tym, którzy cierpieli na ziemi. I ta idea waliła się w gruzy, biedacy już w nią nie wierzyli, obruszali się na ów kłamliwy raj, którego obietnica na tak długą próbę wystawiała ich cierpliwość, domagali się, aby już nie odsyłano ich aż w jutro grobu po należną im część szczęścia. Krzyk o sprawiedliwość wyrwał się ze wszystkich ust, o sprawiedliwość na tej ziemi, o sprawiedliwość dla tych, którzy cierpią głód, którym jałmużna na próżno usiłuje pomóc od dziewiętnastu stuleci Ewangelii i którzy wciąż nie mają co do ust włożyć.

Gdy wsparty łokciami o ołtarz Piotr wychylił kielich, nad którym wprzód przełamał hostię, uczuł, że ogarnia go coraz większe przygnębienie. A więc zaczynała się dla niego trzecia próba, ostateczna walka sprawiedliwości przeciwko miłosierdziu, w której miały się zmierzyć jego serce i rozum, w tym ogromnym Paryżu, przysypanym popiołami, pełnym rzeczy nieznanymi a strasznymi? Potrzeba boskości jeszcze walczyła w nim przeciwko władczej inteligencji. Czy kiedykolwiek uda się zaspokoić właściwe tłumom pożądanie tajemnicy? Czy poza elitą wiedza zdoła ukoić tęsknotę, uspić ból, nasycić marzenia? I co stanie się z nim samym wobec bankructwa miłosierdzia, które od trzech lat było mu jedynym oparciem, zajmując mu wszystkie czas, dając złudzenie, że się poświęca, że jest użyteczny bliźnim?

Nagle ziemia usuwała mu się spod nóg, słyszał już tylko krzyk ludu, tego wielkiego niemowy, jak żąda sprawiedliwości, buntuje się i grozi odebraniem swojej części, której pozbawiono go siłą i podstępem. Nic już nie mogło opóźnić tej. nieuniknionej katastrofy, tej bratobójczej wojny klas, która unicestwi stary świat, skazany na zniknięcie pod ogromem swoich zbrodni. W każdej chwili oczekiwał katastrofy: Paryż skąpany we krwi, Paryż w płomieniach, pogrążony w straszliwym smutku! Przejęty wstrętem do gwałtu, czuł lodowate dreszcze, nie wiedział, skąd zaczerpnąć nowej wiary, która miała odwrócić nieszczęście, gdyż jasno zdawał sobie sprawę, że tutaj zagadnienie społeczne stanowiło jedność z religijnym, że ono tylko liczyło się w przerażającym i codziennym trudzie Paryża, on zaś zbyt był skłócony sam w sobie, zbyt odcięty przez swoje kapłaństwo, zbyt srogo rozdzierany zwątpieniem i bezsilnością, aby mógł rozstrzygnąć, gdzie jest prawda, zdrowie i życie. Ach, być zdrowym, żyć, nasycić wreszcie umysł i serce, w pokoju, w pracy realnej, zwyczajnie uczciwej, jaką człowiek ma do spełnienia na ziemi!

Msza była skończona i Piotr wracał do zakrystii, gdy owa matka we łzach, koło której właśnie przechodził, chwyciła drżącymi rękoma skraj jego ornatu i namiętnie go ucałowała, jak całuje się relikwie świętego w oczekiwaniu ratunku. Dziękowała mu za cud, którego na pewno dokonał, przekonana, że zastanie swoje dziecko uzdrowione. Głęboko wzruszyła go ta miłość, ta żarliwa wiara, chociaż równocześnie nagły smutek przeniknął go jeszcze okropniej na myśl, że nie jest tym wszechwładnym kapłanem, za którego uważała go ta kobieta, zdolnym uzyskać odroczenie śmierci. Ale dzięki niemu odchodziła pocieszona, silniejsza na duchu, i Piotr zwrócił płomienne błaganie ku nieznannej a świadomej Sile, aby, jeśli istnieje, przybyła z pomocą tej biednej istocie. Potem, gdy zdjął święte szaty w zakrystii i znalazł się znów przed bazyliką, chłostany zimowym wichrem, przeszył go- znowu i zmroził śmiertelny dreszcz, gdy poprzez mgłę patrzył, czy huragan gniewu i sprawiedliwości nie zmiotł jeszcze Paryża, czy nie nastąpiła oczekiwana katastrofa, która pewnego ranka miała unicestwić miasto, pozostawiając pod ołowianym niebem tylko bagno z jego cuchnącymi szczątkami. Piotr postanowił od razu wypełnić polecenie księdza Rose. Poszedł ulicą de Norvins, na szczyt Montmartre i dotarł do ulicy des Saules, którą zeszedł stromo w dół, wśród omszałych murów drugiego brzegu Paryża. Trzy franki, które trzymał w ręce, w głębokiej kieszeni sutanny, napełniały go jednocześnie rozrzewnieniem i głuchym gniewem na bezużyteczne miłosierdzie. Ale w miarę jak schodził stromo w dół, nie kończącymi się piętrami schodów, zakątki nędzy, jakie miał przed oczyma, wzruszały

go do głębi, litość ścisnęła mu serce. Była tutaj cała nowa dzielnica w budowie, wzdłuż szerokich ulic wytyczonych w czasie wielkich prac przy Sacré-Coeur. Wysokie miejskie domy już się piętrzyły wśród ogołoconych ogrodów, pustych placów, otoczonych jeszcze płotami. Przy ich strojnych fasadach i świeżej bieli pozostałe jeszcze stare zrujnowane budynki wydawały się tym bardziej ponure, trędowate: podejrzane knajpy o brudnoczerwonych ścianach, dzielnice cierpień złożone z budynków czarnych i zasypanych sadzą, gdzie tłoczyła się ludzka trzoda. Tego dnia pod nawisłym niebem zrujnowany przez wozy bruk tonął w błocie, odwilż znaczyła mury plamami lodowatej wilgoci i straszliwy smutek unosił się z tego ogromu brudu i nieszczęścia.

Piotr, który doszedł aż do ulicy Marcadet, zawrócił. Znalazłszy się znów na ulicy des Saules, pewien, że nie błądzi, wszedł w podwórze jak gdyby koszar lub szpitala, otoczone trzema nieregularnymi budynkami. Podwórze to było kloaką, gdzie śmieci nagromadziły się widocznie w czasie dwóch ostatnich, okrutnie mroźnych miesięcy; i teraz to wszystko topniało, obrzydliwa woń buchała z jeziora brudnego błota. Budynki były na wpół zrujnowane, czarne sienie ziały jak piwnice, papierowe- bielma pstrzyły się na brudnych szybach, wstrętne szmaty zwisały jak sztandary śmierci. W głębi budki, która służyła za lożę dozorczyńni, Piotr zobaczył tylko kalekiego mężczyznę, owiniętego w trudne do nazwania strzępy starej derki.

- Czy tutaj mieszka stary robotnik nazwiskiem Laveuve? Która to klatka schodowa i które piętro?

Człowiek nie odpowiedział, wytrzeszczył tylko niespokojne oczy przestraszonego idioty. Widocznie stróżka była gdzieś w pobliżu. Ksiądz czekał chwilę, potem zauważywszy małą dziewcz-

czynkę w głębi dziedzińca zaryzykował i przebrnął śmietnisko na palcach.

- Moje dziecko, czy znasz tutaj, w tym domu, starego robotnika nazwiskiem Laveuve? Dziewczynka, której chude ciało okrywały tylko łachmany różowej płóciennej sukienki, drżała z zimna, a ręce miała silnie odmrożone. Podniosła szczupłą twarz, ładną, bo zarumienioną od zimna.

- Laveuve, nie, nie wiem, nie wiem...

I nieświadomie, żebraczym gestem wyciągnęła jedną ze swoich biednych rąk, skostniałych i oszpeconych. Po chwili, gdy Piotr dał jej drobną srebrną monetę, puściła się biegiem, jak wesoła kózka, poprzez błoto, śpiewając piskliwym głosem:

- Nie wiem, nie wiem, nie wiem...

Postanowił iść za nią. Znikła w jednej z ziejących sionek, a on poszedł jej śladem po ciemnych i smrodliwych schodach, o stopniach na wpół połamanych i tak śliskich od leżących tam łupin z jarzyn, że musiał chwycić się zatłuszczonego powroza, dzięki któremu można się było wywindować na górę. Ale wszystkie drzwi były zamknięte, do wielu pukał na próżno, a dopiero zza ostatnich dobiegł go jedynie stłumiony pomruk, jak gdyby odgłos zamkniętego tam jakiegoś zrozpaczonego zwierzęcia. Powróciwszy na dziedzińiec zawahał się, po czym zapuścił się na inne schody. Tym razem ogłuszyły go przeraźliwe krzyki, krzyki mordowanego dziecka. Szedł za tym hałasem i wreszcie znalazł się przed szeroko otwartymi drzwiami izby, gdzie małe dziecko, przywiązane do krzeselka, co zapewne miało je uchronić przed upadkiem, krzyczało nieprzerwanie,

bez zaczerpnięcia oddechu. Piotr znowu zszedł na dół, wzburzony, mróz go przenikał wobec takiej nędzy i opuszczenia. Ale nadeszła jakaś kobieta, niosąc w fartuchu trzy ziemniaki; gdy zwrócił się do niej z zapytaniem, obrzuciła nieufnymi oczyma jego sutannę.

- Laveuve, Laveuve, nie umiem nic powiedzieć. Gdyby stróżka była w domu, może by coś wiedziała... Ale, widzi ksiądz, jest tutaj pięć klatek schodowych, wszyscy nie mogą się znać, a w dodatku ludzie zmieniają się tak często... Ale proszę zajrzeć jeszcze tam, w głębi.

Schody w głębi były jeszcze obrzydliwsze od innych, stopnie wypaczone, ściany lepkie, jak gdyby zroszone potem strachu. Na każdym podejściu ze zlewów buchał zatruty oddech, a z każdego mieszkania dobiegały skargi, klótnie, straszliwe przesylenie nędzą. Trzasnęły drzwi, ukazał się jakiś mężczyzna wlokący za włosy kobietę; troje małych dzieci płakało. O piętro wyżej, gdy zajrzał do pokoju, zobaczył dziewczynę ze zwiędłą już piersią, *wątlą* i kaszlącą, która gwałtownie kołysała niemowlę i próbowała je uciszyć, zrozpaczona, bo nie miała już pokarmu. W mieszkaniu obok uderzył go bolesny widok: trzy istoty, na wpół odziane w łachmany, bez płci i wieku, pośrodku absolutnej pustki chciwie zajadały z tej samej glinianej miski stawę, która nie skusiłaby nawet psów. Zaledwie uniosły głowy, zamruczały coś i nic na jego pytania nie odpowiedziały. Piotr znów miał zejść na dół, gdy u samej góry, u wejścia na korytarz, spróbował po raz ostatni zapukać do drzwi. Otworzyła kobieta o rozczochranych, siwiejących już włosach, chociaż na pewno nie miała jeszcze czterdziestu lat; i jej wyblakłe usta, podsiniałe oczy, pożółkła twarz wyrażały bezgraniczne znużenie, wyglądała jak wytarta, wiecznie przerażona nieustanną tyranią nędzy. Zmieszała się na widok sutanny i wyjąkała niespokojnie:

- Proszę, proszę, niech ksiądz pozwoli.

Ale jakiś mężczyzna, którego Piotr zrazu nie dostrzegł, robotnik lat również około czterdziestu, wysoki, chudy, łysawy, o wypełzłych rudych włosach, o przerzedzonych wąsach i brodzie, zrobił gwałtowny ruch wyrażający niemą pogrózkę, że wyrzuci księdza za drzwi. Zaraz jednak uspokoił się, usiadł przy kulawym stole i ostentacyjnie odwrócił się plecami. A ponieważ w pokoju była jeszcze jasnowłosa dziewczynka jedenasto lub dwunastoletnia, o pociągłej łagodnej twarzy, o tym inteligentnym i trochę starym wyrazie, jaki nadaje dzieciom wielka nędza, mężczyzna zawołał ją, postawił sobie między kolanami, zapewne aby ustrzec od zetknięcia z klechą.

Piotr, z sercem ściśniętym wobec takiego przyjęcia, wnioskuje z nagiego, nie opalonego pokoju i z posępnego smutku wszystkich trojga o niezmiernej nędzy tej rodziny, odważył się jednak powtórzyć pytanie.

- Czy nie zna pani w tym domu starego robotnika nazwiskiem Laveuve?

Kobieta, drżąc teraz ze strachu, że pozwoliła mu wejść, ponieważ, jak się zorientowała, mąż był z tego niezadowolony, trwożnie usiłowała ratować sytuację.

- Laveuve, Laveuve, nie... Słyszysz, Salvat? A może ty znasz takiego?

Salvat poprzestał na wzruszeniu ramionami. Ale małą świerzbiał język.

- Czekaj no, mammo... To może ten Filozof?

- Były malarz pokojowy - dodał Piotr - chory starzec, niezdolny już do pracy. Panią Teodorową nagle jak gdyby coś oświeciło.

- No tak, to on, na pewno on... Nazywamy go Filozof, to takie przezwisko... nadali mu w naszej dzielnicy. Ale to nie przeszkadza, że może się nazywać Laveuve.

Wzniósłszy jedną pięść w górę ku niebu, Salvat zdawał się protestować przeciwko ohydzie świata i Bogu, co pozwalają zdychać z głodu starym robotnikom, niby ochwaconym szkapom. Ale nie powiedział nic, zapadł we wrogi i ciężkie milczenie, w tę jakąś straszną zadumę, w jakiej był pogrążony, gdy wszedł ksiądz. Był mechanikiem i wpatrywał się uporczywie w leżący na stole worek z narzędziami, mały skórzany worek, w którym coś sterczało, może jakiś przedmiot, który miał odnieść. Na pewno dumał, o długim bezrobociu, o swoich daremnych wędrówkach w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy w ciągu tych dwóch miesięcy okrutnej zimy. A może myślał o bliskich a krwawych represjach zorganizowanych przez głodomorów, snuł marzenia podpalacza, od których płonęły jego duże, niebieskie, dziwne, niepewne a palące oczy. Nagle spostrzegł, że córka wzięła do rąk worek i usiłuje go otworzyć, aby tam zajrzeć. Zadrżał i wreszcie przemówił swymi dobrymi, a gorzkimi ustami, ulegając nagłemu wzruszeniu, które przyprawiało go o błądność:

- Celino, zostaw to! Zabroniłem ci ruszać narzędzia.

Wziął worek i bardzo ostrożnie położył go za sobą przy ścianie.

- A więc, proszę pani - zapytał Piotr - ów Laveuve mieszka na tym piętrze?

Pani Teodorowa trwożnym spojrzeniem zapytała o zdanie Salvata. Nie była za tym, aby źle traktować księży, kiedy zadawali sobie ten trud i tu przychodzili, bo nieraz już widziała, że ludzie zyskiwali dzięki nim parę groszy. A gdy zorientowała się, że Salvat, znów pogrążony w zadumie, zostawia jej wolną rękę, ofiarowała się natychmiast z pomocą.

- Jeżeli ksiądz życzy sobie, mogę zaprowadzić. To jest w głębi tego korytarza. Ale trzeba wiedzieć, jak iść, bo tam są znowu schody.

Celina, widząc w tym jakieś urozmaicenie, wysliznęła się spomiędzy ojcowskich kolan, aby również towarzyszyć księdzu. Salvat został sam w pokoju ubóstwa i cierpienia, niesprawiedliwości i gniewu, bez ognia, bez chleba, zatopiony w swym żarliwym marzeniu, ze wzrokiem znowu utkwionym w worek, jak gdyby tam, wraz z narzędziami, mieściło się zbawienie świata.

Istotnie trzeba było wejść po paru stopniach; idąc za panią Teodorową i Celiną, Piotr znalazł się na jakimś ciasnym strychu, pod samym dachem, w norze liczącej parę metrów kwadratowych, gdzie nie można się było wyprostować. Światło padało tylko przez małe ukośne okienko; ale ponieważ śnieg pokrył szybę, trzeba było zostawić drzwi szeroko otwarte, aby wpuścić trochę światła. Przez okno przedostawała się tylko odwilż, śnieg, który topniał spływając kropla po kropli, zalewał podłogę. Po długich tygodniach wielkiego zimna czarna wilgoć zatapiała wszystko w swoim dreszczu. I tam, bez jednego krzesła, bez kawałka deski, w kącie na gołej podłodze, na stosie brudnych łachów leżał Laveuve, jak zwierzę zdychające na śmietniku.

- Niech ksiądz popatrzy - rzekła Celina swoim melodyjnym głosem - to on, Filozof.

Pani Teodorowa nachyliła się, aby posłuchać, czy Filozof jeszcze żyje.

- Tak, oddycha, zdaje się, że śpi. Gdyby tylko co dzień miał co do ust włożyć, byłby zdrow. Ale, widzi ksiądz, on nie ma już nikogo, a gdy człowiek zbliża się do siedemdziesiątki,

najlepiej, żeby się poszedł rzucić do rzeki. W jego zawodzie malarza czasem już od pięćdziesiątki człowiek nie da rady pracować na drabinie. On znalazł najpierw robotę przy malowaniu mieszkań. Potem udało mu się dostać do pilnowania składów drzewa na budowę. Ale to się skończyło, wszędzie go odprawiali i dwa miesiące temu zaszył się w tym kącie, aby tu umrzeć. Właściciel nie miał dotąd odwagi wyrzucić go na ulicę, chociaż miałby na to wielką ochotę. My, rozumie się, przynosimy mu czasem trochę wina, kawałek chleba. Ale kiedy człowiek sam nic nie ma, proszę księdza, to jak może dawać drugiemu?

Przerażony Piotr patrzył na te okropne resztki, na to, co pięćdziesiąt lat pracy i nędzy, i niesprawiedliwości społecznej uczyniły z człowieka. Rozróżniał teraz białą głowę, zużytą, pogiętą i zniekształconą. Była to cała tragedia pracy bez nadziei, wypisana na ludzkiej twarzy. Niechlujna broda zacierająca rysy, wygląd starej szkapki, której nikt już nie podcina *grzywki*, szczęki wykrzywione po wypadnięciu zębów. Oczy szkliste, nos nawisły nad ustami. A zwłaszcza to podobieństwo do zwierzęcia wykoślawionego przez pracę najemną, chromego, powalonego, zdatnego już tylko do rzeźni.

- Ach, biedny człowiek - szepnął ksiądz ze drżeniem. - I pozwala mu się umierać z głodu, samotnie, bez wszelkiej pomocy? I nie ma przytułku, szpitala; gdzie by go przyjęto?

- Co robić! - mówiła dalej pani Teodorowa swoim bolesciwym i zrezygnowanym głosem. - Szpitale są dla chorych, a on nie jest chory, on się po prostu kończy, siły go opuszczają. A przy tym z nim nie zawsze łatwo dać sobie radę; jeszcze niedawno przyszli tutaj, aby zabrać go do przytułku; ale on nie chce, aby go zamykali, odpowiada ordynarnie, gdy go *wypytyją*, nie mówiąc o tym, że ma. złą opinię, bo pije i źle mówi o burżujach... No, dzięki Bogu, niedługo będzie już miał spokój!

Piotr pochylał się widząc, że oczy starego Laveuve otwierają się szeroko, i przemówił do niego serdecznie; wyjaśnił, że przyszedł od pewnego przyjaciela i przyniósł mu trochę pieniędzy, aby kupić sobie to, co mu najbardziej potrzebne... Z początku, na widok sutanny, stary wymruczał jakieś grube słowa. Lecz nawet w ostatecznym wyczerpaniu nie opuścił go cięty humor paryskiego robotnika.

- W takim razie napiłbym się czegoś - powiedział wyraźnie - a do tego kawałek chleba, jeżeli to. możliwe, bo już od dwóch dni zapomniałem, jaki to ma smak.

Celina zaofiarowała swoje usługi i pani Teodorowa wysłała ją, aby za pieniądze od księdza Rose kupiła chleb i litr wina. Później, gdy czekali, opowiedziała Piotrowi, jak to Laveuve miał zostać przyjęty do Schroniska dla Inwalidów Pracy, utrzymywanego przez towarzystwo dobroczynne, gdzie, przewodniczącą dam opiekunek była baronowa Duvilland; ale przewidziana regulaminem ankietą zakończyła się widocznie takim raportem, że sprawa na tym utknęła.

- Baronowa Duvillard? Ależ znam ją, pójdę do niej jeszcze dzisiaj! - zawołał Piotr, którego serce krwawiło. - To niemożliwe, aby pozostawiono człowieka dłużej w takim stanie!

Ponieważ Celina wróciła z chlebem i litrową butelką wina, we troje podnieśli Laveuve'a, usadowili go na stosie łańchmanów, napoili i nakarmili, potem ustawili obok niego resztę wina i chleba, dużego czterofuntowego bochna, polecając mu, aby jadł powoli, jeżeli nie chce się udławić.

- Ksiądz będzie łaskaw zostawić mi swój adres na wypadek, gdybym miała o czymś zawiadomić - rzekła pani Teodorowa stojąc już przed swoimi drzwiami.

Piotr nie miał biletu wizytowego, więc wszyscy troje weszli znów do pokoju. Ale Salvat nie był już sam. Stał i cicho, pośpiesznie, z bardzo bliska, niemal z ustami przy ustach rozmawiał z młodym człowiekiem lat około dwudziestu. Ten, wąty, czarnowłosy, ostrzyżony na jeża, z sypiącym się już zarostem, miał jasne oczy, prosty nos, wąskie wargi w bladej, usianej piegami twarzy, tchnącej żywą inteligencją. Drżał w znoszonym surducie; czoło jego wyrażało bezwzględność i upór.

- Ksiądz chce mi zostawić swój adres w sprawie Filozofa - wyjaśniła ostrożnie pani Teodorowa, niemile zaskoczona widokiem przybyłego.

Obaj mężczyźni spojrzeli na księdza, potem z groźną miną popatrzyli na siebie. Nagle umilkli przeniknięci lodowatym zimnem, jakie wiało od sufitu.

Salvat znowu z wielkimi ostrożnościami podszedł do swego worka z narzędziami, opartego o ścianę.

- Jak to, więc wychodzisz, chcesz znowu szukać pracy?

Nie odpowiedział nic, machnął tylko gniewnie ręką, jak gdyby chciał stwierdzić, że nie chce już teraz pracy, skoro ona tak długo nie chciała jego.

- W każdym razie staraj się coś przynieść, wiesz przecież, że w domu nie mamy nic!... Kiedy wrócisz?

Nowym ruchem ręki zdawał się mówić, że wróci, gdy będzie mógł, a może nigdy. I ze łzami, co mimo bohaterskich wysiłków wezbrały w jego niepewnych niebieskich oczach, w których palił się płomień, chwycił w ramiona małą Celinę, ucałował ją gwałtownie, szaleńczo, po czym wyszedł z workiem pod pachą, a za nim jego młody towarzysz.

- Celino - powiedziała pani Teodorowa - daj ołówek księdzu, a ksiądz będzie łaskaw tutaj, wygodniej będzie pisać.

Po chwili, gdy Piotr usiadł przy stole, na krześle, które poprzednio zajmował Salvat:

- On nie jest zły - mówiła dalej, chcąc wytłumaczyć, dlaczego mąż nie okazał się zbyt uprzejmy - ale ma za dużo

kłopotów w życiu, to mu trochę zamąciło w głowie. Tak jak z tym młodym, którego ksiądz tu widział, tym panem Wiktoorem Mathis... on też nie ma szczęścia; to młodzieniec bardzo dobrze wychowany, bardzo wykształcony, a jego matka, wdowa, zaledwie ma z czego żyć. Więc łatwo zrozumieć, prawda? że im się z tego w głowie mąci i że mówią o tym, aby cały świat wysadzić w powietrze. Co do mnie, ja tak nie myślę, ale ja im wybaczam, och, z całego serca!

Wzburzony, zaciekawiony tymi wszystkimi nieznanymi i przerażającymi sprawami, które działy się dokoła, Piotr nie śpieszył się z zapisaniem adresu, lecz słuchał, wyciągał ją na zwierzenia.

- Gdyby ksiądz wiedział, jaki biedny jest ten Salvat! To podrzutek bez ojca i matki, który poniewierał się, czepiał się z początku wszystkich zawodów, aby wyżyć. Potem został mechanikiem, i to bardzo dobrym fachowcem, mówię księdzu, bardzo zręcznym, pracowitym. Ale już miał te swoje myśli, wdawał się w sprzeczki, chciał buntować kolegów, tak że nigdzie nie mógł zagrzać miejsca. Wreszcie, kiedy miał już trzydzieści lat, zrobił to głupstwo, że wyjechał do Ameryki z jednym wynalazcą, który go tam wyzyskiwał, tak że po sześciu latach wrócił chory i bez grosza... A muszę księdzu jeszcze powiedzieć, że ożenił się z: moją młodszą siostrą, Leonią, która umarła przed jego wyjazdem do Ameryki, zostawiając mu małą Celinę, mającą dopiero rok. Ja byłam wtedy zamężna za Teodorem Labitte, murarzem; i nie chwając się, na próżno psułam sobie oczy przy szyciu, bo bił mnie tak, że leżałam jak martwa na podłodze. Wreszcie zostawił mnie tutaj, uciekł sobie z dwudziestoletnią smarkulą, co mnie bardziej ucieszyło, niż zmartwiło... I oczywiście, gdy Salvat wrócił z Ameryki i zastał mnie tu samą, ze swoją Celiną, którą oddał mi na wyjezdny pod opiekę i która mówiła do mnie „mamo”, tak jakoś zesłaliśmy się. Nie pobraliśmy się, proszę księdza, ale to na jedno wychodzi.

Czuła, się jednak zażenowana i mówiła dalej, aby go przekonać, że i ona pochodzi z przyzwoitej rodziny:

- Ja szczęścia nie zaznałam, ale mam jeszcze jedną siostrę, Hortensję, która wyszła za urzędnika, pana Chrétiennot, i mieszka w ładnym mieszkaniu przy bulwarze Rochechouart. Było nas trzy z drugiego małżeństwa: Hortensja, najmłodsza - Leonia, która umarła, i ja, najstarsza, na imię mi Paulina... Mam jeszcze przyrodniego brata, Eugeniusza Toussaint, starszego ode mnie o dziesięć lat, który też jest mechanikiem i od czasu wojny pracuje w tej samej firmie, w fabryce Grandidiera, niedaleko stąd, przy ulicy Marcadet. Na nieszczęście niedawno miał atak... A ja zmarnowałam sobie oczy, wypaliłam je, bo szłam po dziesięć godzin dziennie. Teraz nie mogę już zrobić nawet małej naprawy, bo zaraz łyżę mnie oslepią. Szukałam posług w domach, ale teraz nic nie znajduję, bo zły los zawziął się na nas. No i dlatego nie mamy nic, czarna nędza, często dwa albo i trzy dni bez jedzenia, podły los, człowiek żywi się tym, co mu w rękę wpadnie; i w dodatku te dwa ostatnie miesiące wielkich mrozów, które dały się nam we znaki, bo nieraz myśleliśmy, że rano już się nie obudzimy... Cóż, proszę księdza, ja nigdy szczęścia nie miałam: naprzód bił mnie mąż, a teraz koniec ze mną, los zagnał mnie w ślepy zaułek, sama nie wiem, po co żyję.

Głos jej począł drzeć, zaczerwienione oczy zwilgotniały od łez i Piotr widział ją tak popłakującą całe życie, zaczął kobiecinę bez silnej woli, jak gdyby już skreśloną z życia, w stadle bez miłości, na łasce losu.

- Och, ja się nie uskarżam na Salvata - dodała jeszcze. - To porządny człowiek, przemyśliwa tylko, jak zrobić wszystkich szczęśliwymi, nie pije, pracuje, jak tylko może... Ale rzecz pewna, że gdyby mniej zajmował się polityką, więcej by pracował. Nie można rozprawiać z kolegami, chodzić na zebrania i jednocześnie tkwić w warsztacie. W tym nie jest bez winy, to jasne... To nie przeszkadza; że ma powody, aby się skarżyć,

bo trudno sobie wyobrazić, aby na kogoś, nieszczęście tak się zawzięło; wszystko zważyło się na niego, wszystko go przytłoczyło. Nawet święty by od tego zwariował i łatwo zrozumieć, że człowiek biedny i pechowy musi się wreszcie wściec... Od dwóch miesięcy dopiero spotkał dobrego człowieka, uczonego, który mieszka tam na górze, tego pana Wilhelma Froment, który dał mu trochę roboty, tak że czasem jest z czego ugotować zupę.

Mocno zaskoczony, gdy padło nazwisko brata, Piotr chciał jeszcze dalej ją wypytywać; potem dziwne jakieś uczucie, skrępowanie pełne dyskrecji i obawy, kazało mu zamilczeć. Spojrzał na Celinę, która poważna i wåtła, stojąc przy nim, słuchała w milczeniu. A pani Teodorowa widząc, że Piotr uśmiecha się do dziewczynki, dodała jeszcze:

- O proszę, to przede wszystkim myśl o tej małej wyprowadza go z równowagi. On przepada za nią, pozabijałby wszystkich, gdy widzi, że ona idzie spać bez kolacji. A ona jest taka grzeczna, tak dobrze uczyła się w szkole miejskiej. Teraz nie ma nawet koszuli, aby pójść do szkoły.

Piotr, który wypisał wreszcie swój adres, wsunął dziewczynce monetę pięciofrankową, a nie chcąc dopuścić do podziękowań, rzekł pospiesznie:

- Będzie pani wiedziała, gdzie mnie szukać w razie potrzeby, gdyby chodziło o Laveuve'a. Chcę zająć się jego sprawą

zaraz po południu i mam nadzieję, że jeszcze dziś wieczorem ktoś tu do niego przyjdzie.

Pani Teodorowa nie słuchała, rozplywała się w dziękczynieniach, a tymczasem Celina, przejęta widokiem pięciofrankówki, którą miała w ręce, szeptała:

- Och, a biedny tatuś poszedł starać się o jakieś parę groszy! Gdybym tak pobiegła za nim i powiedziała mu, że na dzisiaj mamy dosyć?

I ksiądz, już na korytarzu, usłyszał, jak kobieta jej odpowiedziała:

- Jeżeli się nigdzie nie zatrzymywał, jest już daleko. Ale chyba niedługo wróci.

Gdy Piotr wymykał się z okropnego, pełnego cierpień domu, z szumem w głowie, z sercem spustoszone przez smutek, ze zdziwieniem zobaczył Salvata i Wiktora Mathisa, jak stali nieruchomo w kącie brudnego podwórza, zięjącego okropną wonią kloaki. Zeszli, aby dalej ciągnąć przerwana w pokoju rozmowę, znów mówili cicho i w wielkim pośpiechu, z ustami przy ustach, z gwałtownością, od której płonęły im oczy.

Ale usłyszeli odgłos kroków, poznali księdza; i nagle, zimni i spokojni, bez słowa wymienili mocny uścisk ręki. Wiktor poszedł w górę ku Montmartre, Salvat zawahał się z miną człowieka, który chce przeniknąć tajniki losu. Później, zdając się na okrutny traf, wyprostował swą chudą postać zmęczonego i wygłodzonego robotnika, skierował się w ulicę Marcadet, poszedł ku Paryżowi, niosąc pod pachą worek z narzędziami.

Przez chwilę Piotr miał ochotę biec za nim, zawołać, że jego córeczka przyzywa go tam na górze. Ale znów ogarnęło go przykre skrępowanie wywołane poczuciem dyskrecji, obawa, głucha pewność, że nic nie zdoła powstrzymać przeznaczenia. I on sam nie miał już w sobie tego spokoju, tego lodowatego zrozpaczonego smutku, jaki dręczył go rankiem. Znalazłszy się znowu w mroźnej mgle ulicy, czuł w sobie gorączkę i płomień miłosierdzia, jakie rozpałił w nim wciąż powracający mu na pamięć widok okropnej nędzy. Nie, nie, to było zbyt wielkie cierpienie, chciał jeszcze walczyć, ratować

Laveuve'a, dać jeszcze trochę radości, tylu biednym ludziom. Nowa próba stawała przed nim wraz z tym Paryżem, który wylał się przysłonięty popiołem, tajemniczy i tak niepokojący w obliczu groźby nieuniknionego odwetu. I marzył o wielkim słońcu zdrowia i płodności, które uczyniłoby z tego miasta olbrzymie pole obfitego żniwa, gdzie wyrastałby lepszy świat jutra.

II

Tego przedpołudnia, jak zresztą prawie codziennie, u Duvil-lardów było na śniadaniu paru bliskich, przyjaciół, którzy raczej zapraszali się sami, niż bywali zapraszani. I w ten lodowaty dzień odwilży i mgły królewski pałac przy ulicy Godotde-Mauroy, nie opodal bulwaru Madeleine, przystrojony był najrzadszymi kwiatami stanowiącymi namiętność baronowej, która zamieniała wysokie, wspaniałe pokoje, zatłoczone istnymi cudami, w ciepłe i wonne oranżerie, gdzie smutne, blade paryskie światki stawało się pieszczotą o bezmiernej słodyczy.

Wielkie salony reprezentacyjne mieściły się na parterze, od strony obszernego dziedzińca, poprzedzone niewielkim zimowym ogrodem, który służył za oszklony przedpokój i gdzie nieustannie czuwali dwaj lokaje w liberii zielonej ze złotym. Słynna galeria obrazów, oceniana na grube miliony, zajmowała całą stronę północną. A paradne schody, również słynące ze swego przepychu, prowadziły do apartamentu, w którym zwykle przebywała rodzina, a który składał się z wielkiego salonu czerwonego, małego salonu niebiesko-srebrnego, gabinetu do pracy o ścianach wykładanych starą skórą i jadalni z bladozielonymi obiciami, umeblowanej w stylu angielskim, nie licząc pokoi sypialnych i łazienek. Pałac, zbudowany za panowania Ludwika XIV, zachował całą swoją pańskość, chociaż zdobył go i ujarzmił smak sybaryty pochodzącego z triumfującej burżuazji, rządzącej dzięki nowej wszechmocy - pieniądza.

Nie było jeszcze dwunastej, baron Duvillard wbrew swemu zwyczajowi *znalazł* się pierwszy, zbyt wcześnie, w małym niebiesko-srebrnym salonie. Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni, wysoki i krzepki, o wydatnym nosie, pełnych policzkach, mięsistych szerokich ustach i wilczych zębach, które pozostały piękne.

Wcześnie zagrożony łysieniem, farbował rzadkie włosy i odkąd broda mu posiwiła, nie nosił zarostu. Szare oczy mówiły o zuchwalstwie, śmiech jego brzmiał zwycięsko. Cała twarz wyrażała, iż baron mocno dierży swą zdobycz, że panuje jak król pozbawiony skrupułów, używający i nadużywający władzy, którą skradła i dierżyła teraz jego kasta.

Zrobił parą kroków i stanął przy oknie przed cudownym koszem orchidei. Na kominku, na stole pachniały kępy fiołków; usiadł, wyciągnął się w jednym z foteli z niebieskiego atłasu, lamowanych srebrem, wśród sennej, przesyconej tym zapachem atmosfery, w wielkiej ciepłej ciszy, która zdawała się opadać z obić pokoju. Wydobył z kieszeni dziennik i raz jeszcze wziął się do odczytywania jednego z artykułów; cały pałac, całe otoczenie mówiły o jego olbrzymim majątku, o jego władzy, która stała się królewską, o całej historii stulecia, która uczyniła go panem. Jego dziadek, Hieronim Duvillard, syn skromnego adwokata z Poitou, przybył do Paryża jako kancelista notarialny W roku 1788, mając lat osiemnaście; bezwzględny, inteligentny, wygłodniały, zdobył trzy pierwsze miliony naprzód na spekulacji dobrami narodowymi, potem jako dostawca armii cesarskich. Jego ojciec, Grzegorz Duvillard, syn Hieronima, urodzony w roku

1805, prawdziwy wielki człowiek w rodzinie, który pierwszy rozpoczął królowanie przy ulicy Godot-de-Mauroy, gdy król Ludwik Filip przyznał mu tytuł barona, został jednym z bohaterów nowoczesnej finansjery dzięki skandalicznym zyskom, jakie w okresie Monarchii Lipcowej i Drugiego Cesarstwa ciągnął ze wszystkich słynnych kradzieży i spekulacji, z kopalni, z kolei żelaznych, Kanału Sueskiego. On sam, Henryk, urodzony w roku 1836, zabrał się na serio do interesów dopiero w trzydziestym piątym roku życia, tuż po wybuchu wojny, po śmierci barona Grzegorza, ale z taką żarłoczną pasją, że na przestrzeni ćwierćwiecza podwoił jeszcze fortunę. Był on niszczycielem, pożeraczem, demoralizował, pogrążał, pochłaniał wszystko, czego się tknął; był również kusicielem, nabywcą sumień, które były na sprzedaż, ponieważ zrozumiał nowe czasy, zrozumiał demokrację, z kolei też zgłodniałą i niecierpliwą. Nie dorównując ojcu i dziadkowi, naznaczony piętnem lubieżnika, nie tyle zdobywczego, ile chciwego łupu, był jednak człowiekiem groźnym, sytym triumfotorem, działał bez ryzyka, zagarniał miliony za każdym pociągnięciem grabek krupiera, pertraktował jak równy z rządami, mogąc schować, jeśli nie Francję, to przynajmniej ministerstwo do kieszeni. Na przestrzeni historii jednego stulecia, w obrębie trzech pokoleń władza wcieliła się w niego, już zagrożona, zachwiana przez burzę jutra. I chwilami zdawało się, że postać barona rośnie; olbrzymieje, staje się samą burżuazją, która w podziale łupów w roku 89 zagarnęła wszystko, utuczyła się, nie bacząc na nic, kosztem stanu czwartego i teraz nic oddać nie chce.

Artykuł, który baron powtórnie odczytywał w dzienniku za jednego su, *zwiódł* jego uwagę. „Głos Ludu” był dziennikiem hałaśliwym, który pod pozorem obrony obrażonej sprawiedliwości i moralności codziennie rano ogłaszał jakiś nowy skandal, w nadziei, że w ten sposób zdoła podnieść swój nakład. A tego ranka tłustym drukiem widniał tam tytuł: „Afera Afrykańskich Kolei Żelaznych, łapówka w wysokości pięciu milionów, dwaj ministrowie przekupieni, trzydziestu deputowanych i senatorów skompromitowanych.” Dalej, w samym już artykule, odznaczającym się obrzydliwą napastliwością, redaktor naczelny, słynny Sanier, oznajmiał, że ma w swojej tece i że opublikuje listę trzydziestu dwóch parlamentarzystów, których głosy kupił baron Duvillard, gdy Izba wypowiadała się w sprawie Afrykańskich Kolei Żelaznych. Łączyła się z tym cała sensacyjna historia, przygody niejakiego Huntera, którego baron zatrudnił jako pośrednika i któremu udało się uciec. Baron, bardzo opanowany, kilkakrotnie odczytywał zdania, ważył każde słowo; i chociaż był sam, wzruszył ramionami i powiedział na głos, z niezachwianą pewnością człowieka, który jest kryty i zbyt potężny, aby ktoś ośmielił się go niepokoić.

- Dureń, wie o tym jeszcze mniej, niż pisze!

Ale właśnie wszedł pierwszy z zaproszonych na śniadanie, mężczyzna zaledwie trzydziestoczoletni, wytwornie ubrany, przystojny brunet z roześmianymi oczyma, cienkim nosem, z ufryzowaną brodą i włosami; w ruchach jego było jakieś roztargnienie, jakaś niefrasobliwość, coś z ptaka. Tego ranka wydawał się wyjątkowo nerwowy, niespokojny, jego uśmiech wyrażał zakłopotanie.

- Ach, to pan, Dutheil - rzekł baron wstając. - Czytał pan? I pokazał mu „Głos Ludu”, który już złożył, aby wsunąć go do kieszeni.

- Ależ oczywiście, czytałem. To nonsens... W jaki sposób Sanier mógł zdobyć listę nazwisk? A więc znalazł się jakiś zdrajca?

Baron patrzył na niego spokojnie, rozbawiony jego tajonym lękiem. Syn notariusza z Angoulême, raczej biednego i ogromnie uczciwego, wysłany przez to miasto do Paryża jako deputowany w bardzo jeszcze młodym wieku, a to dzięki dobrej opinii, jaką cieszył się jego ojciec, hulał tu, wróciwszy do leniwego i wesołego życia, jakie prowadził był kiedyś, za czasów studenckich; ale jego miła garsoniera przy ulicy de Surène, jego sukcesy ładnego chłopca wśród tłumu kobiet, w jakim się obracał, grubo go kosztowały; i wesoło, bez najłżejszego skrupułu moralnego, szedł na wszelkie kompromisy, godził się na wszystkie upadki, jako człowiek lekkomyślny i wyższy ponad przeciętność, jako czarujący, nieświadomy chłopak, który nie przywiązuje żadnej wagi do tego rodzaju błahostek.

- Ba! - rzekł w końcu baron. - Ale czy Sanier istotnie ma tę listę? Wątpię w to, bo żadnej listy nie było. Hunter nie zrobił takiego głupstwa, aby sporządzać listę... A zresztą i co z tego? Sprawa jest prosta i nie stało się nic innego jak to, co dzieje się zawsze w podobnych wypadkach.

Zatrwożony po raz pierwszy w życiu, Dutheil słuchał go, bo chciał, aby go uspokojono.

- Nieprawdaż? - zawołał. - To właśnie myślałem; nie ma tu sobie po prostu czym zawracać głowy.

Próbował śmiać się po swojemu, ale nie wiedział, za co dostał teraz swoje dziesięć tysięcy franków z tej awantury, czy w formie niejasnej pożyczki, czy pod pretekstem jakiejś fikcyjnej reklamy, Hunter bowiem okazywał się nadzwyczaj zręczny, gdy chodziło o oszczędzanie wstydliwych sumień, chociażby najmniej dziewczyczych.

- Nie ma sobie czym zawracać głowy - powtórzył Duvillard, którego mina Dutheila serdecznie bawiła - a zresztą, mój kochany, wiadoma rzecz, że kot spada zawsze na cztery łapy... Widziałeś się z Sylwianą?

- Idę właśnie od niej, zastałem ją wściekłą na pana... Dziś rano dowiedziała się, że jej sprawa w Komedii przepadła.

Nagle fala gniewu okryła purpurową twarz barona. On, tak spokojny, tak drwiący wobec groźby skandalu z powodu Afrykańskich Kolei Żelaznych, tracił grunt pod nogami, czuł uderzenia krwi do głowy, gdy chodziło o tę dziewczynę, ostatnią, przemożną namiętność jego lat sześćdziesięciu.

- Jak to przepadła? Ale przecież jeszcze przedwczoraj w Ministerstwie Sztuk Pięknych dano mi formalne prawie przyrzeczenie.

Był to uparty kaprys owej Sylwiany d'Aulnay, która, jak dotąd, odnosiła w teatrze sukcesy tylko dzięki urodzie, a teraz napierała się, by się dostać do Komedii Francuskiej i zadebiutować tam w roli Pauliny w *Polieukcie*, w roli, którą zawzięcie studiowała już od miesięcy. Uważano to za idiotyzm, cały Paryż śmiał się, ponieważ o dziewczynie tej mówiono, że hołduje ohydnej perwersji, wszelkim występkom, wszystkim gustom. Ale ona dumnie afiszowała się, żądała tej roli, pewna wygranej.

- Minister się sprzeciwił - wyjaśnił Dutheil. Baron dusił się ze złości.

- Minister! Minister! Och, już ja go wysadzę z siodła, tego ministra!

Musiał zamilknąć, gdyż do małego salonu weszła baronowa Duvillard. W czterdziestym szóstym roku życia była jeszcze bardzo piękna. Wysoka, jasna

blondynka, niezbyt jeszcze tęga, o wspaniałych wciąż rękach i ramionach, o jedwabistej skórze bez najdrobniejszej choćby skazy, jedynie twarz miała już trochę zniszczoną, lekko zwiędłą, z natrętnymi czerwonymi plamami; i to było jej udręką, całodziennym utrapieniem. Żydowskie pochodzenie zdradzała twarz nieco zbyt pociągła, o niezwykłym uroku, pełne lubieżnej słodyczy niebieskie oczy. Gnuśna jak wschodnia niewolnica, nienawidząca ruszać się, chodzić, a nawet mówić, wydawała się stworzona do haremu, wciąż zajęta staraniami o własną osobę. Tego dnia ubrana była cała na białe, w jedwabnej toalecie odznaczającej się rozkoszną i olśniewającą prostotą. Dutheil z zachwyconą miną gratulował jej wyglądu i pocałował ją w rękę.

- Ach, wprowadza pani trochę wiosny w moją duszę, Paryż jest dziś taki czarny, taki zabłocony!

Ale już nadszedł następny gość, wysoki i urodziwy mężczyzna lat trzydziestu pięciu lub sześciu, i baron, którego ponosiła jego namiętność, skorzystał ze sposobności, aby się wymknąć. Zabrał Dutheila do swego gabinetu, położonego tuż obok, mówiąc:

- Proszę ze mną, mój drogi. Chcę panu jeszcze rzec słówko w sprawie, o której mówiliśmy... Pan de Quinsac przez tę chwilę dotrzyma towarzystwa mojej żonie.

Gdy baronowa została sama z nowo przybyłym, który również z wielkim szacunkiem ucałował jej dłoń, długo patrzyła na niego nic nie mówiąc, a jej piękne, tkliwe oczy napełniły się łzami. W wielkiej, trochę krępującej ciszy, jaka zapadła, ona wreszcie przemówiła bardzo cicho:

- Mój Gerardzie, jakże jestem szczęśliwa, że przez chwilę znalazłam się z tobą sama! Oto już więcej jak miesiąc nie obdarzyłeś mnie takim szczęściem.

Sposób, w jaki Henryk Duvillard ożenił się z najmłodszą córką Justusa Steinbergera, wielkiego żydowskiego bankiera, to była cała długa historia, która przeszła do legendy. Jak Rotszyldow, tak i Steinbergerów było na początku kilku braci, a mianowicie czterech: Justus w Paryżu, trzej inni w Berlinie, w Wiedniu i w Londynie, co zapewniało ich tajemnej spółce ogromną potęgę, władzę międzynarodową i wszechmocną na finansowych rynkach Europy. Justus był najmniej bogaty z nich czterech, i miał w osobie barona Grzegorza groźnego przeciwnika, z którym musiał walczyć o każdą większą zdobycz. I oto w następstwie jednego z tych strasznych starć między nimi, po brutalnym podziale łupu, przyszła mu chytra myśl, aby wydać najmłodszą córkę za syna barona, Henryka. Do owego czasu Henryk uważany był jedynie za miłego chłopca, dobrego jeźdźca, klubowca; Justus zapewne liczył, że po śmierci groźnego barona, już wówczas skazanego, położy rękę na konkurencyjnym banku, gdy jako przeciwnik pozostanie mu tylko łatwy do pokonania zięć. Właśnie wtedy Henryk zapłonął gwałtowną namiętnością do pięknej złotowłosej Ewy, wówczas po prostu olśniewającej. Zapragnął jej, ojciec zaś, który dobrze znał syna, zgodził się, szczerze ubawiony w, głębi duszy fatalnym interesem, jaki robił

Justus. Interes istotnie okazał się katastrofą dla Steinbergera, gdy w Henryku, który objął spadek po ojcu, człowiek drapieżny wyłonił się spod człowieka uciech i gdy zapewnił on sobie własny potężny udział w eksploatowaniu rozpętanych apetytów demokracji mieszczańskiej, wreszcie dzierżącej władzę. Nie tylko Ewa nie zrujnowała Henryka, który z kolei stał się wszechmocnym bankierem, baronem Duvillard, potężniejszym od innych, władcą rynków, ale właśnie baron, ujarzmił Ewę, pożarł ją w

niespełna cztery lata. Spłodził z nią jedno po drugim dwoje dzieci, syna i córkę, a potem nagle, w okresie jej drugiej ciąży, odsunął się, jak gdyby nabrał do niej odrazy; po okresie namiętności, jaką włożył był w zdobycie jej, odrzucił ją niby owoc, którym się już przesycał. Z początku, dowiedziawszy się, że powrócił do kawalerskiego trybu życia i że ma inne kobiety, była tym zaskoczona i zrozpaczona. Potem, bez żadnych oskarżeń, bez gniewu, nawet bez większych starań, aby go odzyskać, ona z kolei wzięła sobie kochanka. Nie umiała żyć bez miłości, na pewno urodziła się tylko po to, aby być piękną, podobać się, spędzać dni w ramionach pełnych uwielbienia i czułości. Kochanka, którego wybrała mając lat dwadzieścia pięć, trzymała się przez lat przeszło piętnaście, była mu bezwzględnie wierna, jak byłaby wierna mężowi. I gdy ukochany jej umarł, było to dla niej wielkim smutkiem, prawdziwym wdowieństwem. A w pół roku później, gdy poznała hrabiego Gerarda de Quinsac, znowu nie mogła się oprzeć swojej potrzebie miłości i oddała mu się.

- Mój drogi Gerardzie - mówiła z wyrazem zakochanej macierzyńskości, widząc zakłopotanie młodego człowieka - czy

byłeś cierpiący, czy też ukrywasz przede mną jakieś zmartwienie?

Była o dziesięć lat starsza od niego i tym razem desperacko przywiązała się do swej ostatniej miłości, uwielbiała tego pięknego chłopca całą swoją istotą buntującą się przeciwko starości, gotowa walczyć, byle go chociażby wbrew wszystkiemu zachować.

- Nie, nic przed tobą nie ukrywam, zapewniam cię - odrzekł hrabia. - Ostatnimi dniami musiałem często dotrzymywać towarzystwa mojej matce.

Patrzyła wciąż na niego z pełną niepokoju namiętnością, podziwiając jego wielkopańską i szlchetną postawą, twarz o regularnych rysach, czarne wąsy i włosy, zawsze starannie utrzymane. Pochodził z jednej z najstarszych rodzin francuskich, mieszkał z matką, wdową, zrujnowaną przez męża o awanturniczym usposobieniu; pani de Quinsac zachowała jednak swoją pozycję towarzyską i mieszkanie przy ulicy Saint-Dominique, gdzie żyła z renty wynoszącej najwyżej piętnaście tysięcy. Gerard nigdy nic nie robił, poprzestał na roku obowiązuje służby w wojsku, później zrezygnował z kariery wojskowej, tak jak i dyplomatycznej, jedynej, która nie uchybiała jego godności. Dni mijały mu na tym tak pełnym zajęć próżnowaniu młodych ludzi, którzy pędzą życie w Paryżu. I nawet jego matka, odznaczająca się wyniosłą surowością, zdawała się nie mieć mu tego za złe, jak gdyby uważała, że pod rządami republiki człowiek mający w żyłach krew. tak szlchetną powinien na znak protestu trzymać się na uboczu. Ale niewątpliwie miała głębsze powody, aby okazywać mu pobłażliwość, powody bardziej zatrważające. Gdy miał siedem, lat, zachorował na zapalenie opon mózgowych; o mało go nie straciła. W osiemnastym roku życia skarżył się na serce i lekarze kazali oszczędzać go na wszelkie sposoby. Wiedziała, jakim kłamstwem, osłoniętym szlchetną fasadą rasy, była ta wyniosła postać, dumny wyraz twarzy. Był tylko popiołem, stale zagrożony chorobą i katastrofą. Na dnie jego pozornej męskości kryła się bezwolność młodej dziewczyny, istota słaba i dobra, zdolna do wszelkich upadków. Właśnie towarzysząc swej wielce pobożnej matce podczas odwiedzin w Schronisku dla Inwalidów Pracy spotkał się po raz pierwszy z Ewą. Opanowała go oddając mu się, bywał u niej nadal, ponieważ uważał, że jest jeszcze ponętna, i nie wiedział, jak ją [porzucić; a jego matka przymykała

oczy na ten grzeszny związek, zadzierzgnięty w świecie, którym ona pogardzała, tak jak je przymykała na tyle innych głupstw, które mu przebaczała jak choremu dziecku. Potem Ewa zdobyła ją sobie postępkami, który niedawno wprawił w zdumienie sfery towarzyskie. Nagle dowiedziano się, że wielebny Martha nawrócił ją na katolicyzm. To, czego nie chciała uczynić dla legalnego małżonka, uczyniła teraz, aby zatrzymać przy sobie na zawsze kochanka. I cały Paryż do dziś był pod wrażeniem wspaniałości, jaką rozwinięto

w kościele Madeleine podczas chrzcin tej czterdziestopięcioletniej żydówki, której piękność i łzy wzruszyły wszystkie serca.

Gerardowi pochlebiała ta wielka, wzruszająca miłość. Ale przychodziło znużenie, próbował zerwać, unikając spotkań, i dobrze rozumiał, o co pytała go błagalnymi oczyma.

- Zapewniam cię - powtórzył słabnąc już - matka nie zostawiała mi ani dnia wolnego. Oczywiście, byłbym tak szczęśliwy...

Bez słowa błagała go dalej i łzy ukazały się na Skraju jej powiek. Od długiego miesiąca nie przyjął jej w małym pokoju, gdzie się spotykali, przy ulicy Matignon, w podwórzu. I dobry, i słaby jak ona, zrozpaczony tą pozostawioną im minutą samotności, ustąpił, niezdolny dłużej się przed nią bronić.

- A więc dziś po południu, jeśli sobie życzysz. O czwartej, jak zwykle.

Zniżył głos, ale lekki hałas sprawił, że odwrócił głowę z drżeniem człowieka schwytanego na gorącym uczynku. Weszła Kamila, córka baronowej. Nic nie usłyszała, ale po uśmiechu pary kochanków, po samym drżeniu powietrza, od razu wszystko odgadła: znowu spotkanie tam, na tej ulicy, której się domyślała, i to jeszcze dzisiaj. Nastąpiła chwila skrępowania, wymiana niespokojnych i gniewnych spojrzeń.

Kamila, licząca lat dwadzieścia trzy, była drobną, bardzo ciemną brunetką, na wpół ułomną, gdyż lewe ramię było wyższe od prawego. Nie miała w sobie nic z ojca ani z matki: jeden z nieprzewidzianych wypadków dziedziczności rodzinnej, który zmusza nas do zastanowienia, skąd się to bierze. Jedyne jej dumą były piękne czarne oczy i czarne wspaniałe włosy, które przy jej drobnym wzroście, jak mówiła, mogły osłonić ją całą. Ale nos był długi, twarz wykrzywiona w lewo, o rysach ostrych i spiczastej brodzie. Delikatne, inteligentne i złośliwe usta mówiły o nagromadzonych urazach, o przewrotnej złości, jakie tkwiły w tej brzydkiej dziewczynie, wścieklej, że jest brzydka. Na pewno istotą, której nienawidziła najbardziej na całym świecie, była jej matka, ta zakochana kobieta, która tak mało była matką, która nigdy jej nie kochała, nigdy się nią nie zajmowała, już od kołyski zdając ją na opiekę służby. Tak więc prawdziwa nienawiść wyrosła pomiędzy tymi dwiema kobietami, milcząca i zimna u jednej, czynna i namiętna u drugiej. Córka nienawidziła matki, bo widziała jej urodę i oskarżała ją, że nie uczyniła jej na swoje podobieństwo, piękną tą samą pięknnością, którą przytłaczała córkę. Stała jej udreką była myśl, że nie jest pożądana, i poczucie, że wszelkie pożądanie kierują się wciąż jeszcze ku jej matce. Ponieważ złośliwość jej była zabawna, ludzie słuchali jej, śmiali się; ale spojrzenia wszystkich mężczyzn, nawet najmłodszych, zwłaszcza najmłodszych, zwracały się potem ku tej triumfującej matce, która nie chciała się zestarzeć. I wtedy Kamila postanowiła ze wściekłym uporem, że zabierze jej ostatniego kochanka, że każe się poślubić właśnie Gerardowi, którego utrata

zabije matkę niechybnie. Dzięki pięciu milionom posagu nie brakło jej konkurentów; ale niezbyt tym pochlebiona, mawiała zazwyczaj ze swoim złośliwym uśmiechem: „Do licha, dla pięciu milionów poszliby wybrać sobie nawet którąś z Salpêtričre!” Potem sama zakochała się w Gerardzie, który z wrodzonej dobroci był miły dla tej na wpół kaleki. Przykro mu było widzieć ją opuszczoną, ulegał powoli czulej wdzięczności, jaką mu okazywała, szczęśliwy, on, piękny mężczyzna, że jest bogiem, że ma niewolnicę; i do zerwania z matką, która zaczynała mu ciążyć, skłaniała go niewątpliwie myśl, że to pozwoli mu ożenić się z tą dziewczyną, co w sumie byłoby bardzo miłym zakończeniem, chociaż jeszcze się do niej sam przed sobą nie przyznawał, zawstydzony, krępowany swoim świetnym nazwiskiem, a także wszelkimi komplikacjami i łzami, jakie przewidywał.

Milczenie trwało, Kamila swoim ostrym wejrzeniem, morderczym jak nóż, powiedziała matce, że wie wszystko; potem drugim spojrzeniem, bolesnym, poskarżyła się Gerardowi, ów zaś, chcąc przywrócić równowagę między dwiema kobietami, zdobył się jedynie na komplement.

- Dzień dobry, Kamilo... Ach, ta brązowa suknia! To zadziwiające, jak pani do twarzy w nieco ciemniejszych kolorach!

Kamila rzuciła okiem na białą toaletę matki, potem na swoją ciemną suknię, która sięgała pod szyję i osłaniała ręce.

- Tak - o;drzekła ze śmiechem - jestem możliwa tylko wówczas, gdy ubieram się nie jak młoda dziewczyna.

Ewa, zmieszana, zmartwiona tą wzrastającą rywalizacją, w którą jeszcze nie chciała wierzyć, zmieniła temat rozmowy.

- Czy Hiacynta nie ma w domu?

- Owszem, jest, zeszedliśmy razem.

Hiacynt, który właśnie się ukazał, uściśnął rękę Gerarda ze znudzoną miną. Miał dwadzieścia lat, po matce odziedziczył jasne blond włosy, twarz pociągłą, o wyrazie wschodniej omdłałości, po ojcu zaś szare oczy, grube usta mówiące o niczym nie hamowanych apetytach. Bardzo marny jako uczeń, postanowił nic nie robić, z jednakową pogardą traktując wszelkie zawody; i psuty przez ojca, zajmował się poezją i muzyką, żył w środowisku ekstrawaganckiego świata artystów, dziewczek, szaleńców i bandytów, kpiąc sobie na temat występków i zbrodni; popisywał się odrazą do kobiet, głosił najzgubniejsze idee filozoficzne i społeczne, przerzucając się wciąż z jednej ostateczności w drugą; kolejno: kolektywista, indywidualista, anarchista, pesymista, symbolista, a nawet sodomista, nie przestawał wszakże być katolikiem, ponieważ należało to do najlepszego tonu. W istocie rzeczy był po prostu próżny i trochę głupi. Na przestrzeni czterech pokoleń mocna i wygłodzona krew Duvillardów, wydawszy trzy piękne okazy drapieźników, osłabła nagle, jak gdyby wyczerpana przez nasycenie, w. tej poronionej androgynie, niezdolnej nawet do wielkich błędów, do wielkiej rozpusty.

Kamila, zbyt inteligentna, aby nie wyczuć nicości brata, pozwalała sobie na żarty z niego; i teraz widząc go opiętym w długie surduty z fałdami - stanowiło to nawrót do romantycznej mody, której on przesadnie hołdował - rzekła:

- Mama cię woła, Hiacyncie... Chodźże więc i pokaż jej twoją spódnicę. Doskonale byś wyglądał w panińskich sukniach.

Ale on znikł nic jej nie odpowiadając. Czuł głuchą obawę przed siostrą, jakkolwiek łączyła ich zażyłość wynikała z przewrotnych zwierzeń; opowiadali sobie wszystko, na próżno pragnąc się nawzajem zadziwić. I rzucił pogardliwe spojrzenie na cudowny kosz orchidei, jego zdaniem staromodny, dziś już mieszczański. On przewyciężył już lilie, był w stadium jaskrów, kwiatów krwi. Dwaj ostatni spośród oczekiwanych gości zjawili się niemal jednocześnie. Pierwszym był sędzia śledczy Amadiou, bliski przyjaciel domu, drobny człowiek lat czterdziestu pięciu, który ostatnio zdobył sobie rozgłos dzięki pewnej sprawie anarchistów. Miał płaską i regularną twarz urzędnika, z długimi blond faworytami, i aby nadać sobie więcej powagi, nosił monokl, spoza którego błyskało jego oko. Poza tym bardzo światowy, należał do nowej szkoły, był wybitnym psychologiem, autorem książki stanowiącej replikę na herezje fizjologii kryminalnej, człowiekiem o upartej ambicji, lubiącym reklamę, i czyhał tylko ustawicznie na efektowne sprawy zapewniające rozgłos. Jako ostatni przyszedł generał de Bozonnet, wuj Gerarda, wysoki i suchy starzec z orlim nosem; reumatyzm zmusił go niedawno do przejścia na emeryturę. Mianowany pułkownikiem po wojnie W nagrodę za piękną postawę pod Saint-Privat, dochował wierności, jaką przysiągł był Napoleonowi III, mimo głęboko zakorzenionych przekonań monarchicznych. Przebaczone mu w jego świecie ten rodzaj wojskowego bonapartyzmu, a to dzięki gorczy, z jaką oskarżał republikę, że zabiła armię. Zaczny ten człowiek, uwielbiający swą siostrę, panią de Quinsac, zdawał się przede wszystkim ze względu na nią, na jej tajone życzenie, przyjmować zaproszenia baronowej, jak gdyby chciał w ten sposób uczynić bardziej naturalną i bardziej zrozumiałą stałą obecność Gerarda w domu pani Duvillard.

Tymczasem baron i Dutheil wrócili z gabinetu, śmiejąc się bardzo głośno, przesadnie, zapewne aby przekonać wszystkich o swej absolutnej beztrójce. Całe towarzystwo przeniosło się do sali jadalnej, gdzie palił się wielki ogień; wesołe płomienie błyskały jak promyki wiosny pośród wykwintnych angielskich mebli z jasnego mahoni, zastawionych srebrem i kryształami. Pokój, w jasnozielonym odcieniu mchu, tchnął dyskretnym urokiem w bladym świetle, a stół pośrodku, przy bogactwie zastawy i białości obrusów zdobionych wenecką koronką, wydawał się w cudowny sposób zakwitać całym mnóstwem ogromnych herbacianych róż, kwiatów niezwykłych o tej porze roku, o prześlicznym zapachu.

Baronowa posadziła generała po swojej prawej stronie, pana Amadiou po lewej. Baron miał z prawej strony Dutheila, po lewej Gerarda. Następnie, na obu końcach, usiedli młodzi Duvillard, Kamila między Gerardem i generałem, Hiacynt między

Dutheilem i Amadiou. I gdy tylko podano jajecznicę z truflami, rozpoczęła się rozmowa swobodna i wesoła, zwykła rozmowa podczas paryskich śniadań, w której przewijają się zdarzenia wielkie i małe z dnia wczorajszego i ostatniego ranka, zarówno prawdy, jak kłamstwa, ze wszystkich środowisk: skandal

finansowy, awantura polityczna, świeżo wydana powieść, nowa sztuka w teatrze, historyjki, które nadają się tylko do opowiedzenia na ucho, a które opowiada się głośno. I mimo lekkości dowcipu, którym się hojnie szafuje, mimo śmiechów, które często dźwięczą fałszywie, każdy kryje swój niepokój, swoją wewnętrzną klęskę, często rozpacz niemal śmiertelną.

Zuchwale, ze swoją zwykłą spokojną bezczelnością, baron pierwszy zaczął mówić o artykule w „Głosie Ludu”.

- Czy też państwo czytaliście dzisiaj rano artykuł Saniera? To jeden z jego lepszych artykułów, ten ma werwę, ale cóż to za niebezpieczny wariat!

Wszyscy odzyskali swobodę, gdyż niewątpliwie artykuł ów zaciążyłby nad śniadaniem, gdyby nikt o nim nie wspomniął ani słowem.

- Znowu zaczyna się Panama! - zawołał Dutheil. - O nie, mamy już tego dość!

- Sprawa Afrykańskich Kolei Żelaznych - odezwał się znowu baron - jasna jest jak słońce. Wszyscy, którym wygraża Sanier, mogą spać spokojnie... No, rozumiecie państwo, to jest cios wymierzony w gabinet Barroux. Na pewno będzie w tej sprawie interpelacja w Izbie; zobaczycie, ile to narobi wrzawy!

- Ta prasa żerująca na oszczerstwie i skandalach - rzekł stanowczym tonem Amadiou - jest czynnikiem rozkładu, który dobieje Francję. Należałoby wydać przeciwko temu odpowiednie prawa.

Generał z gniewem machnął ręką.

- Prawa? A to po co, skoro nie ma się odwagi ich stosować? Zapanowała cisza. Kamerdyner wszedł dyskretnym krokiem

i podał barwę z rusztu. Służba krzątała się tak cicho, że w łagodnym i pachnącym ciepło pokoju nie słyhać było nawet brzęku talerzy. Nie wiadomo jak, temat rozmowy nagle się zmienił, jakiś głos zapytał:

- Czy to prawda, że premierę odwołano?

- Tak - odpowiedział Gerard - dowiedziałem się dziś rano, że *Polieukt* będzie wystawiony najwcześniej w kwietniu.

Kamila, aż dotąd milcząca, zajęta młodym człowiekiem, pragnąca go zdobyć, popatrzyła na rodziców swoimi błyszczącymi oczyma. Chodziło o wznowienie sztuki, w której uparła się debiutować Sylwiana. Ale oboje baronostwo zachowali doskonały spokój, gdyż od dawna już jedno o drugim wszystko wiedziało. Ewa była tak uradowana z uzyskanego na popołudnie spotkania! Myślała wyłącznie o tym szczęściu, wyobraźnią była już tam, w gniazdku miłości, a tymczasem machinalnie uśmiechała się do współbiesiadników. Baron zaś zbyt był pochłonięty, nowym pociągnięciem, jakie zamierzał burzliwie przeprowadzić w Ministerstwie Sztuk Pięknych, aby przemocą wydrzeć to *engagement*. Poprzestał na słowach:

- I wy chcecie, aby oni wystawiali sztuki w Komedii? Przecież tam w ogóle już nie mają kobiet.

- Och! - powiedziała naiwnie baronowa. - Wczoraj, w tej sztuce w „Vaudeville” Delfina Vignot miała prześliczną suknię i nikt nie umie się tak uczesać jak ona! Z kolei Dutheil opowiedział, lekko ją tuszując z uwagi na Kamilę, przygodę Delfiny i pewnego bardzo znanego senatora. Potem przyszła kolej na inny skandal, śmierć przyjaciółki domu, zbyt bezwzględnie zoperowanej przez

pewnego chirurga, sprawę, która o mały włos nie dostała się w ręce prokuratora Amadiu; generał, bez żadnego zresztą związku, pospieszył dać wyraz swojemu rozgoryczeniu; wystąpił ze zwykłym atakiem na bezsensowną organizację współczesnej armii. Stare wino bordeaux lśniło jak czerwona krew w delikatnym kryształ kieliszków, nieco cierpki zapach sarniej pieczeni z truflami właśnie się wmieszał do omdlewającej woni róż, gdy ukazały się szparagi, nowalia tak o tej porze roku rzadka, co jednakże nikogo nie zdziwiło.

- Teraz - rzekł baron z lekceważącym gestem - szparagi są przez całą zimę.

- A zatem - pytał w tej samej chwili Gerard - to dziś po południu jest przedstawienie u księżnej de Harth?

Wmieszała się żywo Kamila: - Tak, dzisiaj po południu. Pójdzie pan?

- Nie, nie sędzą, nie będę mógł - odpowiedział z zakłopotaniem młody człowiek.

- Ach, ta mała księżna! - zawołał Dutheil. - Ona jest doprawdy postrzelona.

Wicie państwo przecież, że podaje się za wdowę. Tymczasem naprawdę jej mąż, autentyczny książę, spokrewniony z pewną królewską rodziną, piękny jak bóg, podróżuje sobie po świecie w towarzystwie jakiejś śpiewaczki. Ona, z tą swoją twarzą występnego ulicznika, wolała przyjechać do Paryża, aby królować w pałacu przy Avenue Kléber, który jest najbardziej osobliwą arką, gdzie roi się od ekstrawaganckich kosmopolitów.

- Zamilknij, zły języku - łagodnie przerwała baronowa. - My tutaj bardzo lubimy Rozamundę, bo to czarująca kobieta.

- Ależ oczywiście - wmieszała się znowu Kamila. - Zaprosiła nas, więc chyba pójdziemy do niej, prawda, mamó?

Baronowa, nie chcąc odpowiedzieć, udawała, że nie słyszy, a tymczasem Dutheil, który wyglądał na doskonale poinformowanego, dalej bawił się kosztem księżny i urządzanego przez nią przedstawienia, na którym miała ona zaprezentować tancerki hiszpańskie o ruchach tak wyuzdanych, że cały Paryż, uprzedzony o tym, wybierał się do niej. I dodał:

- Wicie, państwo, że porzuciła malarstwo i zajmuje się chemią? W salonie jej pełno teraz anarchistów... Zdaje mi się, że na pana zagięła parol, mój drogi Hiacyncie.

Do tej chwili Hiacynt nie otworzył ust, jak gdyby to wszystko nic go nie obchodziło.

- Och, ona mnie zamęcza - raczył odpowiedzieć. - Pójdę na jej przedstawienie tylko dlatego, że spodziewam się spotkać tam mego przyjaciela, młodego lorda Elson, który pisał do mnie z Londynu i wyznaczył mi tam spotkanie. Wyznaję, że jest to jedyny salon, gdzie mam z kim pogadać.

- A więc - ironicznie zapytał Amadiu - przystał pan do anarchistów?

Niezmieszany, z miną człowieka niezmiernie wytwornego, Hiacynt wygłosił swoje credo:

- Ależ, proszę pana, wydaje mi się, że w tych czasach ogólnej podłości i bezceństwa człowiek o pewnym poziomie może być jedynie anarchistą.

Śmiech obiegł stół wokoło. Psuto go bardzo, uważano za nadzwyczaj zabawnego. Zwłaszcza jego ojciec doskonale bawił się myślą, że właśnie on ma syna anarchistę; generał zaś w swoich godzinach urazy nieraz też mawiał, że

należałoby zniszczyć społeczeństwo na tyle głupie, że daje się wodzić za nos czterem łobuzom. Jedyne sędzia śledczy, który właśnie specjalizował się w sprawach anarchistów, zaprotestował i stanął w obronie zagrożonej cywilizacji, cytował przerażające szczegóły o tym, co nazywał armią zniszczenia i zagłady. Ale inni biesiadnicy dalej się uśmiechali jedząc pasztet z kaczych wątróbek, istotnie wyśmienity, podany przez szefa służby. Jest tyle nędzy, trzeba wszystko zrozumieć, sprawy jakoś się ułożą. Nawet baron oznajmił z pojednawczą miną: - Na pewno coś można zrobić. Co? Tego nikt właściwie nie wie. Rozumne żądania, oczywiście, przyjmuję z góry. Na przykład, aby polepszyć dolę robotnika, organizować zakłady dobroczynne... Weźcie państwo jako przykład nasze Schronisko dla Inwalidów Pracy, z którego słusznie jesteśmy tak dumni. Ale nie trzeba od nas żądać niemożliwości.

Przy deserze nagle zapadło krótkie milczenie, jak gdyby mimo ożywionej pogawędki i oszołomienia po obfitym śniadaniu troska i strapienie każdej z tych osób znowu ścisnęły im serca, raz jeszcze wypełzały na przelękłe twarze. I widać było, jak odżywa podświadomy niepokój zagrożonego denuncjacją Dutheila, pełen lęku gniew barona, rozważającego, czy uda mu się zadowolić Sylwianę. Owa dziewczyna była słabością tego człowieka, tak mocnego, tak potężnego, tajemną chorobą, która mogła go kiedyś wreszcie stoczyć i powalić. A przede wszystkim widoczny był straszny dramat rozgrywający się na twarzach baronowej, Kamili i Gerarda, nienawistna rywalizacja matki i córki wydzierających sobie ukochanego mężczyznę. Poślacane ostrza delikatnie obnażały owoce ze skórki; były też kiście złotawych winogron o cudownej świeżości, słodycze, ciastka, roznoszono mnóstwo łakoci, którym, nie mogli się oprzeć ci nasyceni ludzie. Gdy już podawano płukanki, jeden z lokajów nachylił się do ucha baronowej, a ta odpowiedziała mu półgłosem:

- Dobrze, proszę wprowadzić do salonu. Przyjdę tam za chwilę. - I głośniejszym głosem zwróciła się do zebranych: - Przyszedł ksiądz Froment i bardzo prosi, abym go przyjęła. Nie będzie nas krępował, bo chyba wszyscy państwo go znacie. Ach, to prawdziwy święty, a przy tym mam dla niego dużo sympatii.

Zabawili jeszcze parę minut przy stole i wyszli wreszcie z sali jadalnej, przesyconej zapachem potraw, win, owoców i róż, mocno nagrzaną od grubych, zamienionych w żar polan, gdzie migotało nieco rozrzucone srebro i kryształy w bladej i delikatnej poświacie, która oświetlała porzuconą w nieładzie zastawę. Pośrodku małego, niebiesko-srebrnego salonu stał Piotr. Żałował teraz, że tak usilnie nalegał, aby go przyjęto, bo ujrzał na stole tacę, na której podano czarną kawę i likiery. Zmieszał się jeszcze bardziej, gdy biesiadnicy dość hałaśliwie weszli, z błyszczącymi oczyma i zarumienionymi policzkami. Ale płomień miłosierdzia zapłonął w nim na nowo z taką siłą, że przewyciężył to zakłopotanie. I pozostało mu już tylko niejasne przykre uczucie, że przynosił tu z sobą cały ten przerażający poranek nędzy, jaki dziś przeżył, tyle czerni i zimna, tyle brudu i głodu, w to bogactwo tak jasne, ciepłe, pachnące, w którym królowała bezużyteczność i nadmiar, w środowisko tych oto ludzi, którzy wydawali się tak radzi, że zjedli dobre śniadanie.

Natychmiast baronowa podeszła z Gerardem, gdyż właśnie za jego pośrednictwem Piotr, który znał jego matkę, przedstawiony został państwu Duvillard w okresie słynnego nawrócenia. I gdy usprawiedliwiał się, że przyszedł w takiej chwili, rzekła:

- Ależ tutaj jest ksiądz zawsze mile widziany... Pozwoli ksiądz, że zajmę się moimi gośćmi i za chwilę będę do dyspozycji.

Wróciła do tacy, aby z pomocą córki podać kawę i likiery. Gerard pozostał i zaczął z Piotrem rozmawiać o Schronisku dla Inwalidów Pracy, gdzie obaj niedawno się spotkali na uroczystości położenia kamienia węgielnego pod nowy pawilon, jaki miano wznieść dzięki wspaniałemu darowi stu tysięcy franków, które ofiarował Zakładowi baron Duvillard. Instytucja liczyła dopiero cztery pawilony, a projekt pierwotny przewidywał ich dwanaście na obszernym terenie podarowanym przez zarząd miasta, na półwyspie Gennevilliers; tak więc lista subskrypcyj-

na nadal była otwarta i robiono wiele wrzawy dokoła tego dzieła dobroczynności, stanowiącego grzmiącą i nieodpartą odpowiedź dla przewrotnych ludzi, którzy oskarżali sytą burżuazję, że nic nie robi dla robotników. Prawda, że wspaniała kaplica, zbudowana pośrodku wspomnianego terenu, pochłonęła dwie trzecie zebranych funduszy. Panie-patronki, rekrutujące się ze wszystkich sfer, jak pani baronowa Duvillard, pani hrabina de Quinsae, księżna Rozamunda de Harth i wiele innych, miały obowiązek zapewnić instytucji istnienie za pomocą kwesty i dobroczynnych went. Ale sukces zawdzięczano przede wszystkim temu, że powzięto szczęśliwą myśl, aby uwolnić te panie od ciężkich trosk organizacyjnych, wybierając na generalnego administratora deputowanego Fonsçgue, który był naczelnym redaktorem „Globu” i miał wspaniałą głowę do interesów. „Glob” prowadził stałą propagandę, odpowiadał na ataki rewolucjonistów niewyczerpanym miłosierdziem klas rządzących; i w ten sposób podczas ostatnich wyborów pobożne dzieło posłużyło za zwycięską broń.

Kamila krążyła po salonie, trzymając w ręku małą filiżankę gorącej kawy.

- Czy ksiądz zechce napić się kawy?

- Nie, dziękuję pani.

- A więc może kieliszek chartreuse? - Nie, bardzo dziękuję.

Gdy wszyscy już zostali obsłużeni, wróciła baronowa pytając Uprzejmie:

- A więc czym mogę księdzu służyć?

Piotr zaczął niemal cicho, z gardłem ściśniętym, a wzruszenie przyspieszało bicie jego serca:

- Przychodzę, pani baronowo, aby przemówić do pani wielkiej dobroci.

Widziałem dziś rano, w okropnym domu przy ulicy des Saules, za Montmartre, coś, co wzburzyło mnie do głębi... Nie ma pani wyobrażenia, jak wygląda taki dom nędzy i cierpienia, te rodziny bez ognia, bez chleba, mężczyźni skazani na bezrobocie, matki nie mające pokarmu dla swoich niemowląt, dzieci zaledwie przyrodziane, kaszlące, dygoczące z zimna... A pośród tych okropności ujrzałem rzecz najgorszą, najohydniejszą: był tam stary robotnik, bezsilny już, umierający

z głodu na kupie łachmanów, w norze, w której pies nie zechciałby leżeć! Usiłował przedstawić to jak najogólniej, przerażony słowami, które wypowiadał, faktami o których mówił, w tym środowisku wielkiego zbytku i rozkoszy, wobec tych szczęśliwców obsypanych radościami tego świata; zdawał sobie bowiem sprawę, że obecność jego była tutaj rażąco niestosowna. Cóż - za dziwaczny pomysł, aby przyjść tu w porze, gdy kończono śniadanie, gdy aromat gorącej kawy pieścił rozkoszne trawienie!... A jednak mówił dalej, pod koniec podniósł nawet głos, ulegając buntowi, który ogarniał go z wolna; doszedł do kresu swego strasznego opowiadania, wymienił nazwisko Laveuve'a, dokładnie opisał krzywdzące zaniedbanie, w imię ludzkiej litości domagał się rady i pomocy. I wszyscy obecni zbliżyli się, aby go słuchać; zobaczył przed sobą barona i generała, i Dutheila, i Amadiu, którzy, milczący, nieruchomi, małymi łykami popijali kawę.

- I wreszcie, pani baronowo - kończył Piotr - pomyślałem, że nie można ani godziny dłużej pozostawić tego starca w tym przerażającym stanie i że dziś wieczór zechce pani w swojej wielkiej dobroci sprawić, aby przyjęto go do Schroniska dla Inwalidów Pracy, gdzie, jak mi się zdaje, będzie on bardzo na miejscu.

Łzy zrosiły piękne oczy Ewy. Była przerażona tą smutną historią, która wmieszała się w radość, jaką obiecywała sobie po dzisiejszym popołudniu. Bardzo bezwolna, pozbawiona inicjatywy, zbyt zajęta własną osobą, przyjęła godność przewodniczącej Stowarzyszenia tylko pod warunkiem, że Fonscque uwolni ją od wszelkich kłopotów administracyjnych.

- Och, proszę księdza - szepnęła - rani mi ksiądz serce! Ale ja nic nie mogę, zupełnie nic, zapewniam księdza... Zresztą, co do tego Laveuve, wydaje mi się, żeśmy już rozpatrywali; jego sprawę. Jak księdzu wiadomo, u nas przyjęcie kogoś obwarowane jest bardzo surowymi warunkami. Wyznaczamy referenta, który ma zebrać dla nas informacje... Czy to nie pana, panie Dutheil, obarczono właśnie sprawą owego Laveuve?

Deputowany wychylił do dna kieliszek likieru.

- Ależ tak, mnie... Proszę księdza, ten zuch odegrał przed księdzem komedię. Nie jest wcale chory i jeżeli ksiądz zostawił mu pieniądze, wyjdzie z domu, aby je za plecami księdza przepić. Bo on jest stale pijany, a przy tym to człowiek naprawdę obrzydliwy, od rana do wieczora wykrzykuje przeciwko burżujom, że gdyby miał jeszcze siłę, sam by wysadził tę budę w powietrze... W dodatku on wcale nie chce dostać się do Schroniska, do tego więzienia, gdzie człowieka pilnują zakonnice i zmuszają do wysłuchania mszy, do tego plugawego klasztoru, którego bramy zamykają się o godzinę dziewiątej wieczór! Bo jest wielu takich, co wyżej cenią swoją wolność, nawet wraz z zimnem, głodem i śmiercią! Mech więc tacy jak Laveuve zdychają na ulicy, jeżeli nie chcą być z nami, siedzieć w ciepłe, najedzeni, w naszych schroniskach! Generał i Amadiu przytakiwali głowami. Ale Duvillard okazał się bardziej wielkoduszny.

- Nie, nie, człowiek jest człowiekiem, trzeba mu pomóc nawet wbrew niemu samemu.

Ewa, do głębi zrozpaczona, że mogą jej zabrać jej popołudnie, zaczęła się bronić, znalazła argumenty.

- Zapewniam księdza, że ja mam ręce naprawdę związane. Proszę nie wątpić ani o moim sercu, ani o mojej gorliwości. Ale jakim sposobem prędzej niż dopiero za parę dni zdołam zebrać komitet tych pań, bez którego staram się nie powziąć żadnego postanowienia, zwłaszcza gdy chodzi o sprawę raz już zbadaną i osądzoną.

Nagle znalazła rozwiązanie.

- Natomiast radzę księdzu natychmiast udać się do pana Fonsc̄gue, naszego administratora. W nagłym przypadku on może działać samodzielnie, wie bowiem, że nasze panie darzą go bezgranicznym zaufaniem i że zaaprobuja wszystko, co on postanowi.

- Zastanie ksiądz Fonsc̄gue'a w Izbie - dodał Dutheil z uśmiechem. - Tylko że posiedzenie będzie gorące, wątpię, aby ksiądz mógł z nim swobodnie porozmawiać.

Piotr, któremu serce ścisnęło się coraz mocniej, nie nalegał; natychmiast postanowił, że zobaczy się z Fonsc̄giem i wbrew wszystkiemu przed wieczorem jeszcze wyjedna przyjęcie do Schroniska dla nieszczęśliwca, którego okropny obraz go prze-

śladował. I pozostał jeszcze parę minut, zatrzymywany przez Gerarda, który uprzejmie wskazywał mu sposoby przekonania deputowanego, uprzytomnienia mu, że gdyby rozpięły się o tej historii dzienniki rewolucyjne, wywarłoby to fatalne wrażenie. Zresztą, goście zaczęli się rozchodzić. Generał, zanim wyszedł, zapytał siostrzeńca, czy zobaczą się po południu u jego matki, pani de Quinsac, gdyż był to jej dzień; na to pytanie młody człowiek odpowiedział jedynie wymijającym gestem, gdyż zauważył, że patrzą na niego Ewa i Kamila.

Następnie przyszła kolej na Amadiu; wymknął się mówiąc, że pewna poważna sprawa wzywa go do Pałacu Sprawiedliwości. Wkrótce w jego ślady poszedł Dutheil, który wybierał się do Izby.

- Między czwartą a piątą u Sylwiany, prawda? - rzekł mu baron odprowadzając go. - Niech pan przyjdzie opowiedzieć mi, co zaszło w Izbie po tym obrzydliwym artykule Saniera. Powiniennem przecież o tym wiedzieć... Ja pójdę do Ministerstwa Sztuk Pięknych, aby załatwić sprawę w Komedii; a potem muszę jeszcze być w paru miejscach, zobaczyć się z przedsiębiorcami, uregulować pewną grubszą sprawę reklamową.

- Rzec postanowiona, między czwartą a piątą u Sylwiany, jak zwykle - rzekł deputowany i wyszedł, *znów* ogarnięty niemiłym uczuciem, zaniepokojony obrotem, jaki przybierała ta szkaradna sprawa Afrykańskich Kolei Żelaznych. Wszyscy zapomnieli już o starym Laveuve, nędzarzu, który konał, i wszyscy biegli do swoich trosk, do namiętności, pochwyceni na nowo w tryby maszyny, w obroty młyńskiego koła, w ten paryski kołowrót, którego gorączka pchała ich, kazała im potrać się w zażartym tłoku, aby dojść przed innymi, traktując ciała współzawodników.

- A więc, mamo - zapytała Kamila, która nieustannie bystro patrzyła ona matkę i Gerarda - czy zabierzesz nas na przedstawienie do księżny?

- Tak, zaraz... Tylko że nie będę tam mogła z wami zostać, bo dostałam dziś rano depezę od Salmona w sprawie mojej sukni i muszę pójść do miary o godzinie czwartej, koniecznie.

Dziewczyna była pewna, że to kłamstwo, poznała to po lekkim drzeniu głosu matki. -A ja myślałam, że miarę wyznaczoną masz dopiero na jutro... W takim razie przyjedziemy po ciebie do Salmona powozem, gdy skończy się przedstawienie.

- O, co to, to nie, moja miła; nigdy nie wiadomo, kiedy miara się skończy; a zresztą, jeśli zostanie mi jaka wolna chwila, wstąpię do modystki.

Głucha wściekłość wezbrała morderczym płomieniem w czarnych oczach Kamili. {oczywista, że umówili się na spo-

tkanie. Ale nie mogła, nie śmiała posuwać się dalej w swojej namiętnej potrzebie wyszukiwania przeszkód. Na próżno usiłowała wzrokiem ubłagać Gerarda, który odwrócił głowę, gotów do wyjścia. A Piotr, któremu niejedno było wiadome od czasu, gdy bywał w tym domu, widząc ich tak i drżących, wyczuwał tu nie wyznany, milczący dramat.

Wyciągnięty w fotelu, kończąc właśnie rozgryzać kapsułkę

z eterem, jedynym likierem, na jaki sobie pozwalał, zabrał głos Hiacynt:

- Co do mnie, jak wam wiadomo, idę na wystawę. Cały Paryż tam, się tłoczy. Jest tam zwłaszcza jeden obraz, zgwałcenie duszy, który trzeba koniecznie obejrzeć.

- Ależ dobrze, wcale nie mówię, że nie chcę was tam zaprowadzić - rzekła znowu baronowa. - Zanim pojedziemy do księżnej, możemy wstąpić na wystawę.

- Właśnie, właśnie - szybko powiedziała Kamila, która zazwyczaj okrutnie drwiła z malarzy symbolistów, ale teraz widocznie liczyła, że to spowoduje spóźnienie matki, wciąż jeszcze bowiem nie traciła nadziei, że udaremni jej schadzkę; po czym dodała z wymuszonym uśmiechem: - A czy pan nie wybrałby się z nami na wystawę, panie Gerardzie?

- Doprawdy nie mogę - odpowiedział hrabia - muszę się przejść. Odprowadzę księdza Froment do Izby.

I pożegnał matkę i córkę, obie całując w rękę. Chcąc przeczekać do czwartej, postanowił właśnie, że wstąpi do Sylwiany, gdzie także wolno mu było wpadać na chwilę, od kiedy pewnego razu został tam na noc. Na wielkim paradnym dziedzińcu odezwał się do księdza:

- To dobrze robi tak trochę odetchnąć zimnym powietrzem. W tym domu za mocno palą w piecach, a od tych wszystkich kwiatów dostaje się bólu głowy. Piotr odchodził z domu barona odurzony, z drżącymi rękami, ze zmysłami ocieężałymi od tego całego luksusu, który pozostawiał tam jak sen o gorącym, wonnym raj, gdzie żyją tylko wybrani... Ale wzmogło to jeszcze jego odrodzone pragnienie miłosierdzia, myślał tylko, w jaki sposób uzyskać od Fonsc̄gue'a przyjęcie Laveuve'a do Schroniska, i nie słuchał hrabiego, który z wielką czułością opowiadał mu o swojej matce. A gdy zamknęła się brama pałacu, oni zaś przeszli parę kroków ulicą, nagle do świadomości jego dotarł pewien obraz. Czyż nie dostrzegł naprzeciwko, na skraju ulicy, robotnika wpatrzonego w tę monumentalną bramę, za którą kryło się tak bajeczne bogactwo, robotnika,

który stał, czekał, szukał czegoś wzrokiem i w którym, jak mu się zdawało, poznał Salvata z workiem narzędzi pod pachą, . głodomora, który rankiem wyruszył, aby szukać pracy? Szybko odwrócił się, zaniepokojony tą ogromną nędzą w obliczu takiego posiadania i takich rozkoszy. Ale robotnik, któremu przerwano kontemplację, zapewne również przeląkł się, że zostanie poznany, i oddalił się powłócząc nogami. Widząc go teraz od tyłu, Piotr zawahał się, a wreszcie doszedł do wniosku, że się omylił.

III

Kiedy ksiądz Froment miał już wejść do Palais-Bourbon, uświadomił sobie, że nie ma karty wstępu; i już zamierzał po prostu wywołać Fonsc̄gue'a, chociaż ów wcale go nie znał, gdy w westybulu zobaczył M̄c̄ge'a, deputowanego kolektywistów, z którym kiedyś łączyły go pewne więzy, w okresie wojującego miłosierdzia, uprawianego wśród nędzarzy dzielnicy Charonne.

- Co widzę? Ksiądz tutaj? Nie przychodzi ksiądz chyba po to, aby nas nawracać?

- Nie, przyszedłem, aby zobaczyć się z panem Fonsc̄gue w pilnej sprawie pewnego biedaka, który nie może czekać ani chwili.

- Fonsc̄gue? Nie wiem, czy już przyszedł... Proszę poczekać.

I zatrzymał młodego człowieka, który, drobny i ciemnowłosy, przechodził z miną wężającej myszy:

- Proszę pana, panie Massot, oto ksiądz Froment, który chciałby natychmiast pomówić z pańskim szefem.

- Ale mego szefa jeszcze nie ma! Właśnie przed chwilą zostawiłem go w redakcji, ma tam roboty jeszcze na dobry kwadrans. Jeżeli ksiądz zechce poczekać, na pewno się tu z nim zobaczy.

Wobec tego M̄c̄ge zaprowadził Piotra do sali kularowej, wielkiej i chłodnej, z Laokoonem i Minerwą z brązu, i nagimi ścianami; wysokie, sięgające ziemi okna, wychodzące na ogród, oświetlały ją bladym i smutnym zimowym światłem. Ale w tej chwili było w niej tłoczno i cały ten gorączkowy ruch, liczne stojące tam grupy, ciągła bieganina spieszących się i przeciskających przez tłum ludzi zdawały się ją ogrzewać. Byli to przede wszystkim, deputowani, dziennikarze oraz zwykli gapie. Rozlegał się coraz większy gwar, stłumione lub hałaśliwe rozmowy, okrzyki, śmiechy, przy wtórze namiętnej gestykulacji. Zdawało się, że powrót M̄c̄ge'a wzmógł jeszcze hałas panujący wśród tego tłumu. M̄c̄ge był wysoki, chudy jak apostoł, niezbyt dbały o *swą* powierzchowność, postarzały już i zużyty jak na swoje czterdzieści pięć lat, tylko oczy płonęły mu młodością i błyskały spoza binokli, które stale nosił na cienkim, ptasim nosie. Kaszlał bez przerwy, mówił urywanie i namiętnie, żył tylko dzięki upartej woli życia, zrealizowania marzeń o przyszłym społeczeństwie, które było jego manią. Syn ubogiego lekarza w jednym z miast na północy kraju, znalazłszy się młodo na paryskim bruku, żył w środowisku drobnego dziennikarstwa, z nie znanych nikomu prac. Zdobył sobie najpierw rozgłos jako mówca na zebraniach publicznych; potem, po wojnie, dzięki wielkiej żarliwej wierze, dzięki niezwykłej energii i temperamentowi zapaśnika został przywódcą partii kolektywistycznej, a wreszcie wszedł do Izby i doskonale zorientowany, walczył tam o swoje idee nieugięcie, z zaciętym uporem, jako

doktryner, który rozporządził światem zgodnie ze swoją wiarą, realizując już z góry, punkt za punktem, dogmat kolektywizmu. Od kiedy brał pensję deputowanego, socjaliści

spoza Izby widzieli w nim już tylko krasomówcę, w głębi duszy dyktatora, który po to tylko starał się gruntownie przerobić ludzi, aby zjednać ich dla swojej wiary i aby rządzić.

- Czy ksiądz wie, co się dzieje? - zapytał Piotra. - Co? Jeszcze jedna ładna awantura!... Cóż ksiądz myśli!... Tkwimy po uszy w błocie.

Niegdyś powziął był szczerą sympatię dla tego księdza, widząc, jak był łagodny wobec cierpiących, jak gorąco pragnął odrodzenia społecznego. I ksiądz również zainteresował się w końcu tym despotycznym marzycielem, który gotów był uszczęśliwiać ludzi wbrew ich woli. Wiedział, że Mōge jest biedny, że ukrywa się ze swoim życiem domowym, że ma żonę i czworo ubóstwianych dzieci.

- Może sobie ksiądz wyobrazić, że ja nie mam nic wspólnego z Sanierem - mówił dalej. - Ale ponieważ, ostatecznie, przemawiał on dziś rano grożąc, że opublikuje listę nazwisk tych wszystkich, którzy maczali w tym palce, my nie możemy przecież dłużej zachowywać się tak, jak gdybyśmy poczuli się do większej winy. Od długiego już czasu domyślano się podłych szalbierstw, do których dała sposobność ta podejrzana sprawa Afrykańskich Kolei Żelaznych. I co najgorsze, że dwaj członkowie obecnego gabinetu są zaatakowani, trzy lata temu bowiem, gdy Izby zajęły się emisją Duvillarda, Barroux był ministrem spraw wewnętrznych, a Monferrand robót publicznych. Teraz, gdy znów powrócili, jeden do spraw wewnętrznych, drugi do finansów, łącząc to ze stanowiskiem premiera, czyż możemy nie wymóc na nich, aby poinformowali nas o swojej działalności w owym czasie, zresztą w ich własnym interesie? Właśnie zapowiedź interpelacji Mōge'a, jako następstwo groźnego artykułu w „Głosie Ludu”, wywołała takie wzburzenie w kularach. Piotr był trochę speszony całą tą sprawą, która wypłynęła w chwili, gdy zajęty był wyłącznie ratowaniem nędzarza od głodu i śmierci. Toteż słuchał, niezbyt dobrze rozumiejąc, namiętnych wyjaśnień deputowanego socjalistów, a tymczasem rumor wzrastał i niektórzy śmiechem wyrażali zdziwienie na widok Mōge'a rozmawiającego z księdzem.

- Co za głupcy! - szepnął pełen wzdry. - Czy wyobrażają sobie, że codziennie rano zjadam jedną sutannę na śniadanie?... Przepraszam, drogi księże Froment. Proszę usiąść na tej ławce i poczekać na Fonsc̄gue'a.

On sam rzucił się w zbity tłum, a Piotr zrozumiał, że istotnie najlepiej będzie spokojnie usiąść. Otoczenie wciągało go, interesowało, zapomniał o starym Laveuve, ulegając namiętnej atmosferze przesilenia parlamentarnego, którego był przypadkowym świadkiem. Zaledwie przebrzmiała ohydna sprawa Panamy, której dramat śledził z trwogą jak człowiek co wieczór nasłuchujący dzwonów alarmowych, oznajmiających ostatnią godzinę starego konającego społeczeństwa, a rozpoczynała się oto mała panama, nowe trzeszczenie zmurszałego budynku, awantura pospolita w parlamentach wszystkich czasów w związku ze wszystkimi wielkimi aferami pieniężnymi, która jednak nabierała

śmiertelnej powagi w warunkach społecznych, w jakich rozgrywała się tutaj. Ta sprawa Afrykańskich Kolei Żelaznych, owo zmacone bajorko, które wydzielało niebezpieczną woń i nagle wywołało w Izbie takie wzburzenie, tyle obaw i gniewów, było w sumie tylko okazją do walki politycznej, terenem, gdzie miały rozjątrzać się żarłoczne apetyty różnych ugrupowań; i w gruncie rzeczy chodziło wyłącznie o wywrócenie jednego gabinetu, aby zastąpić go innym. Tylko że poza tym rykowiskiem, za tą nieustanną gonitwą ambicji miotał się jeszcze żaloszny łup: cały naród ze swoją nędzą i cierpieniem!

Piotr w pewnej chwili zauważył, że obok niego usiadł na ławeczce Massot, „mały Massot”, jak go nazywano. Z żywym spojrzeniem, z nadstawionymi uszami, słuchając i notując w pamięci wszystko, wślizgując się wszędzie ze swoją wścibską miną, nie przyszedł tam jako sprawozdawca parlamentarny, ale po prostu zwęszył, że posiedzenie będzie burzliwe, i przybiegł zobaczyć, czy nie udałoby mu się uszczknąć jakiegoś artykułu. Najwidoczniej zaciekał go duchowny, zagubiony w tym tłumie.

- Proszę mieć trochę cierpliwości, księżo - powiedział z uprzejmą wesołością młodego jegomościa, który kpił sobie ze wszystkiego. - Mój szef na pewno tu przyjdzie, wie, że tutaj będzie dzisiaj gorąco... Ksiądz nie jest chyba jednym z jego wyborców z Corrče, prawda?

- Nie, nie, mieszkam w Paryżu, przychodzę w sprawie pewnego biedaka, którego chciałbym umieścić natychmiast w Schronisku dla Inwalidów Pracy.

- Ach, to doskonale! Ja również jestem dzieckiem Paryża. I zaśmiał się ze swoich słów. Istotnie był dzieckiem Paryża:

syn aptekarza z dzielnicy Saint-Denis, eks-kiepski uczeń z liceum Karola Wielkiego, nie skończył nawet studiów. Wszystko mu się nie wiodło, los rzucił go w środowisko dziennikarskie, gdy liczył zaledwie lat osiemnaście i nawet niezbyt jeszcze mocny był w ortografii, i już od dwunastu lat, jak mówił, poniewierał się między ludźmi, wyciągając na zwierzenia jednych, obgadując innych. Przyjrzał się wszystkiemu, zniechęcił do wszystkiego, nie wierzył już w wielkich ludzi, twierdził, że prawda nie istnieje, żył beztrwosko z powszechnej złości i głupoty. Nie miał oczywiście żadnych ambicji literackich, głosił nawet wyrozumowaną pogardę dla literatury. Poza tym wcale niegłupi, pisywał byle co w byle którym dzienniku, nie mając żadnych przekonań i żadnej wiary, chełpiąc się spokojnie swoim prawem mówienia wszystkiego publiczności, pod warunkiem, że będzie ją bawił lub rozpalał jej namiętności.

- A więc zna ksiądz Męge'a? Prawda, co z niego za typ? To wielkie dziecko, chimeryczny marzyciel w skórze najgroźniejszego z sekciarzy. Och, miałem z nim dużo do czynienia, poznałem go na wylot... Czy księdzu wiadomo, że on stale żyje w przekonaniu, że nie upłynie pół roku, a pochwyti władzę i zrealizuje z dnia na dzień to swoje sławetne społeczeństwo kolektywistyczne, które ma nastąpić po społeczeństwie kapitalistycznym, jak dzień następuje po nocy. I proszę, teraz jest pewien, że tą dzisiejszą interpelacją obali gabinet Barroux i przyspieszy swoją kolej. To jego system: posługiwać się przeciwnikami. Ileż to razy słyszałem, jak przeprowadzał swoje kalkulacje: posłużyć się tym, wyzyskać tamtego i owego, aby wreszcie objąć panowanie! Zawsze ma to nastąpić do

sześciu miesięcy, do roku najpóźniej... Całe nieszczęście w tym, że nieustannie winduje innych, jego kolej zaś nigdy nie przychodzi.

Mały Massot powoli się rozweselał. Potem zniżył trochę głos:

- A Saniera ksiądz zna? Nie?... Widzi ksiądz tego rudego mężczyznę o byczym karku, podobnego do rzeźnika... O tam, ten, który rozmawia w grupie wyszarzanych surdutów.

Piotr zobaczył go wreszcie. Miał wielkie, czerwone, odstające uszy, grube usta, wydatny nos, duże, matowe, wypukłe oczy.

- O tym również mogę powiedzieć, że znam go na wylot. Byłem z nim w „Głosie Ludu”, zanim poszedłem do „Globu”, do Fonsçgue'a... Nikt właściwie dobrze nie wie, skąd on się wziął. Długo błąkał się po nizinach prasy jako dziennikarz bez powodzenia, pełen wściekłych ambicji i apetytów. Przypomina sobie ksiądz może jego pierwsze huczne wystąpienie, tę dosyć nieczystą sprawę nowego Ludwika XVII, którą próbował lansować i która uczyniła z niego zapalonego rojalistę, jakim do dziś pozostał. Później postanowił zająć się sprawą ludu, głosił mściwy socjalizm katolicki, wytaczając proces wolnej myśli i republice, demaskując błędy epoki, aby je uzdrowić w imię sprawiedliwości i moralności. Zaczął od portretów finansistów, które były stekiem podłych plotek, bez troski o prawdę, bez dowodów; powinny go były zaprowadzić przed sąd karny, a tymczasem, zebrane w książkę, odniosły szalony sukces, jak zapewne księdzu wiadomo. Więc robił to dalej i kontynuuje swą działalność w „Głosie Ludu”, który spopularyzował w okresie Panamy dzięki donosom i skandalom, a który dziś jest ściekiem, skąd buchają współczesne brudy; gdy fala opada, sam zmyśla, z wewnętrznej potrzeby, wielkie afery, od których pęcznieje jego pucha i jego kasa.

Mały Massot nie oburzał się; zaczął się znów śmiać, żywiąc w głębi duszy, w swoim nieświadomym okrucieństwie, respekt dla Saniera.

- Och, to bandyta, ale mimo wszystko człowiek silny. Ksiądz nie wyobraża sobie jego próżności. Ostatnio zyskał nawet poklask wśród tłumu, gdyż pozuje na króla Hal paryskich. Możliwe, że sam nabrał się na tę swoją piękną postawę miłośnika sprawiedliwości i że uwierzył w końcu, że zbawia lud i wspiera cnotę... Zdumiewa mnie zwłaszcza jego płodność w zakresie denuncjacji i skandali. Nie mijają ranek, ażeby nie odkrył jakiejś nowej ohydy, aby nie wydał na łup nienawiści tłumów jakichś nowych winowajców. Nie, nigdy nie wyczerpuje się ta fala błota, on stale dodaje do niej nowe, nieprzewidziane żniwo potwarzy;

ilekroć zdjęta wstrętem publiczność zdradza oznaki znużenia, on daje jej podwójną porcję potwornych kłamstw... I widzi ksiądz, w tym jest geniusz, gdyż on wie doskonale, że nakład rośnie, kiedy, jak dzisiaj, rzuci groźbę, że powie wszystko, że ogłosi nazwiska przekupionych i zdrajców... Sprzedaż zapewniona na wiele dni.

Piotr słuchał tej wesołej relacji przepojonej drwiną i lepiej teraz pojmował rzeczy, których właściwy sens aż dotąd mu się wymykał. Wreszcie sam, zaczął wypytywać Massota, zdziwiony, że tyłu deputowanych pozostało w kularach, mimo że posiedzenie już się odbywało. Ach, posiedzenie! Choćby dyskutowano

tam nad najważniejszymi sprawami, nad najbardziej doniosłą ustawą, wszyscy posłowie opuszczali salę na wieść o nieoczekiwanej interpelacji, która mogła pociągnąć za sobą upadek gabinetu! I namiętnością, która nimi powodowała, był hamowany gniew, wzrastający niepokój klientów obecnego gabinetu, wywołany obawą, że stracą posady, że będą musieli ustąpić innym; a również i nagła nadzieja, niecierpliwy i żarłoczny głód tych wszystkich, którzy czekali, klientów różnych możliwych ministerstw dnia jutrzejszego.

Massot pokazał Barroux, premiera, który objął był finanse, chociaż nie była to jego dziedzina, bowiem jego głośno wychwalana uczciwość miała uspokoić opinię publiczną, wzburzoną po kryzysie panamskim. Rozmawiał na uboczu z ministrem oświaty, senatorem Taboureaux, starym profesorem uniwersytetu, o minie zakłopotanej i smutnej, człowiekiem bardzo uczciwym, ale zupełnie nie zorientowanym, w stosunkach paryskich, wyszukano go bowiem na którymś z fakultetów prowincjonalnych. Barroux był natomiast bardzo reprezentacyjny, wysoki; o pięknej wygolonej twarzy, której szlachetność psuł zbyt mały nos. W sześćdziesiątym roku życia miał kręte śnieżnobiałe włosy; one zwłaszcza nadawały mu teatralną trochę dostojność, którą wyzyskiwał na trybunie. Potomek starej paryskiej rodziny, zamożny adwokat, a później republikański dziennikarz za Cesarstwa, wszedł do rządu wraz z Gambetta; uczciwy i romantyk, amator wielkich słów i trochę niemądry, ale bardzo zacny, bardzo prawy, wciąż przejęty płomienną wiarą w hasła wielkiej rewolucji. Tkwiący w nim jakobin wychodził z mody, Barroux stawał się protoplastą, jedną z ostatnich podpór republiki mieszczańskiej, z której zaczynali podkpiwać nowi przybysze, młodzi politycy o ostrych zębach. A pompatyczność pozorów, uroczysta elokwencja kryły chwiejnego, czułościwego, poczciwego człowieka, który płakał odczytując wiersze Lamartine'a.

Ksiądz: zobaczył następnie Monferranda, ministra spraw wewnętrznych, który w przejściu ujął Barroux pod rękę, aby mu szepnąć słówko do ucha. Liczący lat pięćdziesiąt, mały i tęgi, minę miał uśmiechniętą i ojcowską; ale jego okrągła twarz, trochę pospolita, okolona czarną jeszcze brodą, zdradzała żywą inteligencję. Czuło się polityka, ręce zdadne do ciężkich trudów, które nigdy nie wypuszczały zdobyczy. Dawny mer Tulle, przybył z Corrèze, gdzie miał wielką posiadłość. Była to z pewnością energia dążąca naprzód, a jej ciągłe wznoszenie się obserwatorzy śledzili z niepokojem. Mówił z prostotą, spokojnie, z nadzwyczajną siłą przekonywania. Pozornie bez ambicji, ostentacyjnie zaznaczał zupełną bezinteresowność, pod którą kłębiły się najszaleńsze apetyty. Jak pisał Sanier, był to złodziej, który uśmiercił dwie swoje ciotki, aby otrzymać po nich spadek. W każdym razie morderca wcale niepospolity.

Była tam jeszcze jedna z postaci- dramatu, który miał się rozegrać: deputowany Vignon; wejście jego poruszyło wszystkie grupy. Dwaj ministrowie spojrzeli na niego, on zaś, natychmiast otoczony, uśmiechał się do nich z daleka. Nie miał jeszcze trzydziestu sześciu lat, był szczupły, średniego wzrostu, bardzo jasny blondyn, z piękną, jasną, wypielegnowaną brodą. Paryżanin z pochodzenia, zrobił szybką karierę w administracji, przez pewien czas był prefektem w

Bordeaux, a teraz reprezentował w Izbie młodość i przyszłość, rozumiał bowiem, że w polityce trzeba nowych ludzi, aby przeprowadzić najpilniejsze z koniecznych reform; bardzo ambitny, bardzo inteligentny, wykształcony, miał program i był w zupełności zdolny podjąć się, przynajmniej w części, jego realizacji. Nie przejawiał zresztą żadnego pośpiechu, pełen rozważliwej i przebiegłości, pewny, że dzień jego nadejdzie, silny dlatego, że niczym się jeszcze nie skompromitował, że miał przed sobą wolne pole działania. W istocie był tylko doskonałym urzędnikiem, obdarzonym wymową jasną i dobitną, a program jego różnił się od programu Barroux jedynie odmłodzeniem formuł, jakkolwiek rząd Vignona na miejscu rządu Barroux byłby wielkim wydarzeniem. I właśnie o Vignonie pisał Sanier, że dąży on do stanowiska prezydenta republiki, gotów brodzić we krwi, byleby wejść do pałacu Elizejskiego.

- Mój Boże - mówił Massot - bardzo możliwe, że tym razem Sanier nie kłamie i że znalazł listę nazwisk w notatniku Huntera, który wpadł mu w rękę... Ja osobiście od dawna wiem, że w aferze Afrykańskich Kolei Żelaznych, gdy chodziło o zapewnienie sprawie głosów, Hunter był agentem Duvillarda. Ale żeby to zrozumieć, powinniśmy przede wszystkim ustalić, w jaki sposób postępował, mianowicie z wielkim sprytem, z pewnego rodzaju miłą delikatnością, które dalekie były od brutalnego przekupstwa, od brudnych targów, jakie tam podejrzewamy. Trzeba być Sanierem, aby wyobrazić sobie parlament jako zwykłe targowisko, gdzie wszystkie sumienia są na sprzedaż, gdzie bezwstydnie opowiadają się za tym, kto więcej płaci. Ależ sprawy odbyły się zupełnie inaczej i są do wytłumaczenia, czasem nawet do usprawiedliwienia... A więc artykuł uderza przede wszystkim w Barroux i w Monferranda, którzy, chociaż nie wymienieni po nazwisku, są tu wskazani w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości. Książd wie zapewne, że w okresie głosowania Barroux był ministrem spraw wewnętrznych a Monferrand robot publicznych, a co za tym idzie zarzuca się im przekupstwo na stanowisku ministrów, czyli najohydniejszą ze zbrodni społecznych. Nie wiem, w jaką grę polityczną dał się wciągnąć Barroux, ale mógłbym przysiąc, że nic nie schował do własnej kieszeni, gdyż jest najuczciwszym z ludzi. Z Monferrandem to inna sprawa, to człowiek, który umie wykroić część dla siebie; jednakże byłbym bardzo zdziwiony, gdyby dał się wciągnąć w jakieś tarapaty. Jest on niezdolny do popełnienia błędu, zwłaszcza błędu głupiego, jakim byłoby wziąć pieniądze i pozwolić, aby gdzieś poniewierał się kwit będący na to dowodem. Przerwał i wskazał ruchem głowy Dutheila, który z miną niespokojną, ale mimo wszystko uśmiechniętą, stał w grupie, jaka właśnie utworzyła się około dwóch ministrów.

- Proszę spojrzeć na tego młodego przystojnego bruneta z tą zabójczą brodą.

- Znam go - powiedział Piotr.

- Ach, książd zna Dutheila! No, więc ten na pewno coś wziął. Ale to ptaszek! Przyjechał do nas z Angoulême, aby prowadzić tutaj rozkoszną egzystencję, i nie ma więcej sumienia i skrupułów jak milutki zięby z jego okolic, stale przeżywające okres godowy. O, dla niego pieniądze od Huntera były jak manna

z nieba, która mu się należała, i *on* nawet nie miał uczucia, że brudzi sobie ręce. Może ksiądz być pewien, że *on* się dziwi, jak można przypisywać temu najmniejsze chociażby znaczenie.

Znowu wskazał jakiegoś deputowanego *w* tej samej grupie, człowieka około pięćdziesiątki, zaniedbanego, o wyglądzie żalonym, wysokiego jak tyka, z grzbietem lekko zgarbionym pod ciężarem długiej końskiej głowy. *Żółtawe* włosy, rzadkie i ulizane, obwisłe wąsy, cała twarz nalana, zagubiona, wyrażała stałe przygnębienie.

- A to Chaigneux; zna go ksiądz? Nie?... Proszę na niego popatrzeć i zastanowić się, czy nie jest to również rzecz zupełnie naturalna, że i *on* wziął pieniądze... Ten przyjeżdżał z Arras. Miał tam kancelarię adwokacką. Gdy jego okręg wyborczy przysłał go tutaj, dał się oszołomić polityce i sprzedał wszystko, aby osiedlić się z żoną i trzema córkami w Paryżu i zrobić tutaj karierę. Może sobie ksiądz wyobrazić jego ciężką sytuację wśród tych czterech kobiet, strasznych kobiet, zawsze zajętych szmatkami, sprawunkami, składaniem i przyjmowaniem wizyt, nie licząc polowania na umykających epuzerów. Jest to uparte nieszczęście, codzienna klęska biednego, przeciętnego człowieka, który uwierzył, że jego pozycja deputowanego ułatwi mu interesy, i który *w* tym grzędzie... I jak tu wymagać, aby taki Chai-gneux nie brał, *on*, zawsze w pogoni za pięciusetfrankowym

. banknotem! Wierzę, iż nie był to człowiek nieuczciwy. Stał się nieuczciwy, oto wszystko.

Massot rozpędził się, kreślił dalej swoje portrety, serię, którą nawet kiedyś chciał napisać pod tytułem *Deputowani na sprzedaż*. Naiwni, którzy wpadli w ten kocioł, ludzie oślepieni ambicją, podłe dusze ulegające pokusie otwartych szuflad, aferzyści, którzy dostali zawrotu głowy i stracili równowagę operując wielkimi sumami... Ale chętnie przyznawał, że takich stosunkowo było niewielu i że parę podobnych parszywych owieczek można znaleźć we wszystkich parlamentach świata. Wspomniał raz jeszcze nazwisko Saniera: nikt lepiej od takiego Saniera nie potrafił robić z naszych Izb złodziejskich spelunek.

A Piotra przede wszystkim interesowało zamieszanie, jakie na jego oczach wywoływała groźba kryzysu rządowego. Dokoła Barroux i Monferranda stali sami tacy jak Dutheil i Chaigneux, bladzi ze strachu, gdyż czuli, że ziemia usuwa się im spod nóg, i zastanawiali się, czy nie przyjdzie im jeszcze dziś nocować w więzieniu Mazas. Wszyscy ich klienci byli także tutaj, wszyscy, którzy im zawdzięczali swoje wpływy, posady i którzy wraz z ich upadkiem mieli zapaść się, zniknąć. Toteż trzeba było widzieć trwogę w spojrzeniach, posiniałe z oczekiwania twarze pośród prowadzonych szeptem rozmów, krążących informacji i plotek. Natomiast w grupie na uboczu, dokoła Vignona, który był bardzo spokojny i uśmiechnięty, skupiła się inna klientela, ci, którzy mieli nadzieję szturmem zdobyć władzę i wreszcie osiągnąć wpływy i posady. Tam oczy błyskały pożądaniem, tam czytało się radość jeszcze w stanie nadziei, szczęśliwe zaskoczenie nagle wyłaniającymi się możliwościami. Na zbyt obcesowe pytania przyjaciół Vignon dawał wymijające odpowiedzi, twierdził

tylko, że nie będzie interweniował. Najwidoczniej zamierzał dopuścić, aby interpelował Mège i aby on obalił gabinet, gdyż jego się nie obawiał; potem, jak sądził, wystarczy mu podnieść porzucone teki.

- Och, ten Monferrand - mówił mały Massot - to zuch, który czuje, skąd wieje wiatr! Znałem go jako antyklerykała, pozeracza klechów, że tak powiem, z przeproszeniem księdza, i nie dlatego, aby księdzu zrobić przyjemność, ale mogę powiedzieć, że on pogodził się z Bogiem... Przynajmniej opowiadano mi, że monsignor Martha, wielki łowca dusz, po prostu się z nim nie rozstaje. To miło, że w tych dzisiejszych nowych czasach, gdy wiedza zbankrutowała, wszędzie, w sztuce, w literaturze, w samym społeczeństwie religia zakwita uroczym mistycyzmem.

Kpił sobie jak zawsze, ale powiedział to z miną tak ujmującą, że ksiądz nie mógł protestować. Zresztą w tej chwili zaczął się wielki ruch, rozległy się głosy, że Mège wchodzi na trybunę; wszyscy deputowani pośpiesznie wrócili do sali posiedzeń, w poczekalni pozostali tylko ciekawi i paru dziennikarzy.

- To dziwne - znowu odezwał się Massot - że Fonsc̄gue jeszcze nie przyszedł. A przecież to, co się dzieje, bardzo go interesuje. Ale on jest tak przebiegły, że jeżeli nie robi tego, co zrobiłby kto inny, zawsze ma jakiś powód... Czy ksiądz go zna?

Na przeczącą odpowiedź Piotra dodał znowu:

- Ten to mocna głowa i prawdziwa potęga! Ach, mówię z przekonania, bo wcale nie cierpię na przerost szacunku, gdyż moi zwierzchnicy to przecież także błazny, których zresztą znam najlepiej i których analizuję najchętniej...

Fonsc̄gue również jest wyraźnie wymieniony w artykule Saniera. Jest on zresztą stałym klientem Duvillarda. Nie ma żadnych wątpliwości, że i on wziął pieniądze, bo on bierze zewsząd. Tylko że jest zawsze kryty, bierze z powodów, do których można się przyznać: reklama, dozwolone prowizje. I jeżeli, jak mi się wydało przed chwilą, jest wstrząśnięty, jeżeli ociąga się z przyjściem tutaj, jak gdyby w chęci stworzenia sobie alibi moralnego, to byłaby to pierwsza nieroztropność, jaką popełnił w życiu.

Mówił dalej, opowiedział wszystko o Fonsc̄gue'u, również rodem z Corr̄ze; poróżnił się on śmiertelnie z Monferrandem w następstwie jakichś nieznanych historii; był eks-adwokatem z Tulle, przybył do Paryża, aby go podbić, i rzeczywiście dokonał tego dzięki wielkiemu dziennikowi porannemu „Glob”, którego był założycielem i dyrektorem. Obecnie zajmował przy Alei Lasku Bulońskiego luksusową willę i nie było przedsięwzięcia, z którego by on nie wykroił dla siebie królewskiej części. Miał talent do interesów, posługiwał się swoim dziennikiem jako nieobliczalną siłą, aby panować nad rynkiem. Ale co za umiejętność postępowania, ile wytrwałej i sprytnej cierpliwości, zanim doszedł do swojej solidnej opinii człowieka poważnego, rządzącego samowładnie najcnotliwszym i najbardziej szanownym z dzienników! Nie wierząc w gruncie rzeczy ani w Boga, ani w diabła, uczynił z tego dziennika podporę ładu, uczciwości i rodziny, stał się konserwatywnym republikaninem, od chwili kiedy dogadzało to jego interesom, ale pozostał religijny, w duchu spirytualizmu,

który uspokajająco działał na burżuazję. I akceptowany, uznawany jako potęga, sięgał ręką do wszystkich sakiewek.

- Niechże ksiądz zobaczy, co może prasa! Oto Sanier i Fonsçgue, proszę ich tak trochę porównać. W sumie są to kamraci, każdy ma swoją broń i nią się posługuje. Ale jaka różnica w środkach i wynikach! Dziennik pierwszego jest naprawdę ryszotkiem, który jego samego porywa i niesie do kanału.

Tymczasem gazeta drugiego to na pewno najlepsze dziennikarstwo, jakie można uprawiać, bardzo solidne, bardzo literackie, ucztą dla ludzi subtelnych, chluba dla człowieka, który nim kieruje... Ale, mój Boże, jakże identyczni są pod tą komedią!

Massot wybuchnął śmiechem, zadowolony z tej ostatniej złośliwości. Potem nagle rzekł:

- O, wreszcie jest Fonsçgue! - I bardzo rad, jeszcze się śmiejąc, przedstawił księdza: - To jest, drogi szefie, ksiądz Froment, który czeka na pana już przeszło dwadzieścia minut. Ja pójde popatrzeć trochę na to, co się tam w środku dzieje. Jak panu wiadomo, Mçge interpeluje.

Nowo przybyły lekko drgnął.

- Doszło do interpelacji... Dobrze, dobrze, zaraz tam przyjdę.

Piotr przypatrywał mu się. Był to niski człowiek około pięćdziesiątki, chudy i ruchliwy; wyglądał młodo i brodę miał jeszcze całkiem *czarną*. Błyszczące oczy, usta przysłonięte wąsami miały opinię groźnych. A przy tym mina sympatycznego kompana, sprytnego, o czym wyraźnie świadczył jego nieduży, spiczasty nos, jak u myśliwskiego psa, który wciąż coś węszy.

- Czym mogę księdzu służyć?

Wtedy Piotr krótko przedstawił sprawę, opowiedział o porannej bytności u Laveuve'a, podał wszystkie rozdzierające szczegóły i poprosił o jak najszybsze przyjęcie nieszczęśliwca, do Schroniska.

- Laveuve? Ale czy jego sprawy już nie badano? To przecież Dutheil przedstawił nam raport na jego temat i fakty wydały się nam tego rodzaju, że nie mogliśmy głosować za przyjęciem.

Ksiądz nie rezygnował.

- Zapewniam pana, że gdyby pan był tam ze mną dziś rano, serce by panu pękło z żalu. Byłoby rzeczą oburzającą, gdybyśmy jeszcze choćby o godzinę dłużej pozostawili starca przerażającym opuszczeniu. Dziś musi on już nocować w Schronisku.

- Ależ dzisiaj - zawołał Fonsçgue - to niemożliwe, absolutnie niemożliwe! Trzeba dopełnić tylu niezbędnych formalności! A zresztą, ja nie mogę sam podjąć takiej decyzji, nie mam po temu władzy. Jestem tylko administratorem, ja tylko wypełniam zarządzenia komitetu pań-patronek.

- Ależ, proszę pana, właśnie pani baronowa Duvillard przysłała mnie do pana, zapewniając, że tylko pan jeden posiada konieczną władzę, aby zadecydować o natychmiastowym przyjęciu, skoro chodzi o przypadek tak wyjątkowy.

- Ach, *to* baronowa przysłała księdza! O, poznaję ją tutaj; jest niezdolna do podjęcia decyzji, zanadto dba o swój spokój, aby wziąć coś na własną odpowiedzialność! Dlaczego ona chce, abym to ja właśnie miał kłopoty? Nie, nie,

drogi księżu, nie postąpię wbrew wszelkim przepisom, nie wydam polecenia, które poróżnić mnie może ze wszystkimi tymi paniami. Ksiądz ich nie zna, one stają się groźne, gdy wszystkie zbiorą się na posiedzenie.

Rozweselał się, bronił z miną żartobliwą, w głębi duszy stanowczo zdecydowany, że nie zrobi nic. Nagle ukazał się znowu Dutheil, pobiegł z gołą głową przez korytarze, aby przywołać nieobecnych a zainteresowanych w ważnej dyskusji, która się rozpoczynała.

- Jak to, Fonsçgue, pan jeszcze tutaj? Idźże pan, idź prędko na swoją ławę. Sprawa jest poważna.

I znikł. Deputowany nie spieszył się jednak, jak gdyby podejrzana awantura pasjonująca salę posiedzeń w niczym go nie dotyczyła. Uśmiechał się wciąż, jakkolwiek lekkie nerwowe podniecenie sprawiało, że szybko mrugał powiekami.

- Proszę mi łaskawie wybaczyć, ale widzi ksiądz, że moi przyjaciele potrzebują mnie... Powtarzam, że nie mogę absolutnie nic uczynić dla tego człowieka, za którym ksiądz się wstawia.

Ale Piotr nie chciał jeszcze uważać tej odpowiedzi za ostateczną.

- Nie, nie, szanowny panie, proszę pójść do swoich spraw, a ja tutaj na pana zaczekam... Proszę nic nie postanawiać bez

dojrzałego namysłu. Przynaglają pana, czują, że nie słucha mnie pan z należytą swobodą umysłu. Niedługo, gdy pan tutaj wróci . i gdy będzie mi pan mógł poświęcić całą uwagę, jestem pewien, że nie odmówi pan mojej prośbie.

I chociaż Fonsçgue odchodząc zapewniał, że nie może zmienić zdania, Piotr się uparł, zasiadł znowu na ławeczce, gotów przesiedzieć tam choćby do wieczora. Poczekalnia opustoszała prawie zupełnie i teraz wydawała się jeszcze bardziej ponura ze swoim Laokoonem i Minerwą, nagimi ścianami, banalna jak dworzec, gdzie tumult stulecia przewijał się, nie rozgrzewając wysokiego plafonu. Nigdy bledsze, bardziej obojętne światło nie przedostawało się przez wielkie, sięgające podłogi okna, za którymi widać było imajął uśpiony ogród z nędznymi zimowymi gazonami. I żaden odgłos burzy nie dochodził z odbywającego się w sąsiedztwie posiedzenia; z ciężkiego posągu spływało tylko śmiertelne milczenie, budząc głuchy dreszcz rozpaczy docierający zapewne z ogromnej dali, z całego kraju.

Te właśnie sprawy nie schodziły teraz księdzu z myśli. Cała dawna rana, rozjątrzona, ziała szeroko trucizną i jadem. Powolna zgnilizna parlamentarna rozrosła się, atakowała organizm społeczny. Zapewne, ponad niskimi intrygami, nad pogonią ambicji osobistych, odbywała się szczytna, wzniosła walka zasad, przepływała historia odsuwając gruzy przeszłości, usiłując tchnąć w przyszłość więcej prawdy, więcej sprawiedliwości i szczęścia. Ale w praktyce, *gdy* widziało się tylko ohydny kuchnię codzienną, jakież rozpetanie samolubnych apetytów! Jedyne pragnienie: chwycić za gardło sąsiada, aby samemu odnieść triumf.

Tam, wśród tych kilku grup, trwała tylko nieustanna walka o władzę i satysfakcję, jaką ona daje; lewica, prawica, katolicy, republikanie, socjaliści, dziesiątki odcieni politycznych były to tylko etykiety klasyfikujące, tę samą palącą żądzą panowania, rządzenia. Wszystkie problemy sprowadzały się do jednej jedynej sprawy: dowiedzieć się, kto - ten, ów czy tamten - chwyci w swe ręce Francję, aby z niej ciągnąć korzyści, aby jej kosztem udzielać łask klienteli

swoich kreatur. A najgorsze, że wielkie batalie, dni i tygodnie stracone na to, aby ów nastąpił po tamtym, a ten po jeszcze innym, prowadziły jedynie do najgłępszego w świecie dreptania w miejscu, bo wszyscy byli sobie warci i zachodziły między nimi tylko nieznaczne różnice, tak że nowy władca partaczył tę samą robotę, którą spartaczył już jego poprzednik, z reguły zapominając o programach i obietnicach, gdy tylko dorwał się do władzy. Myśl Piotra nieodparcie wracała do Laveuve'a, o którym na chwilę był zapomniawszy, i teraz opanowała go dreszczem gniewu i śmierci. Ach, cóż to mogło obchodzić starego nieszczęśnika zdychającego z głodu na kupie łachmanów, że Mège miał obalić rząd Barroux i że jakiś tam rząd Vignona dojdzie do władzy! Przy tym biegu rzeczy trzeba by stu lat, dwustu lat, aby było dość chleba w norach, gdzie rzeźą kaleki pracy, stare, ochwacone szkapki pociągowe. A za Laveuve'em kryła się cała, nędza, cały lud wydziedziczonych i biednych, którzy konali, wzywali sprawiedliwości, gdy tymczasem Izba na walnym posiedzeniu pasjonowała się, chcąc jak najprędzej wiedzieć, kto oładnie narodem i kto go będzie pożerał. Błoto wzbierało aż po brzegi, ohydna rana, krwawiąca i żarłoczna, ukazywała się bezwstydnie niczym rak toczący jakiś organ i sięgający serca. I cóż za niesmak, jakie obrzydzenie ogarniało wobec tego widowiska. I rodziło się pragnienie, aby nóż zemsty przywrócił zdrowie i radość! Piotr nie umiałby powiedzieć, ile czasu tonał w rozmyślaniach, gdy znowu wielki hałas wypełnił salę. Ludzie wracali, gestykulowali, tworzyli grupy. I nagle usłyszał, jak mały Massot zawołał obok niego:

- Nie został obalony, ale wcale nie miewa się lepiej. Nie dałbym trzech groszy za jego istnienie.

Miał na myśli rząd. Następnie opowiedział koledze, który właśnie nadszedł, jaki przebieg miało posiedzenie. Mège mówił bardzo dobrze, z furją ogromnego oburzenia na zgniłą i gnijącą burżuazję; ale, jak zawsze, zapędził się poza wyznaczony cel, przeraził Izbę samą już swoją gwałtownością. Toteż gdy na trybunę wstąpił Barroux, aby domagać się odłożenia interpelacji na jeden miesiąc, wystarczyło, że wyraził swoje oburzenie, zresztą zupełnie szczerze, pełen wyniosłego gniewu przeciwko niegodnym kompaniom, jakie prowadzi pewien dziennik. Czy hańba Panamy miałyby odżyć na nowo? Czy reprezentacja narodu pozwoli się zastraszyć nowymi groźbami donosicieli? To przecież samą republikę wrogowie jej usiłowali zatopić pod falą ohydy!

Nie, nie, przyszła chwila, aby skupić siły, pracować w pokoju, nie pozwolić, aby ludzie spragnieni skandali macili spokój powszechny. Izba, pod wrażeniem tych słów, w obawie, że z czasem wyborcy znużą się tą ciągłą, przelewającą się przez brzegi ohydą, odłożyła interpelację na miesiąc - z tym jedynie, że chociaż Vignon uchylił się od interweniowania, cała jego grupa głosowała przeciwko rządowi, tak iż uzyskana większość wynosiła zaledwie dwa głosy, co stanowiło większość minimalną.

- Ale w takim razie - zapytał ktoś Massota - oni zapewne podadzą się do dymisji?

- Tak, takie krążą wieści. Jednakże Barroux jest uparty... W każdym razie, jeżeli spróbują stawiać opór, przed upływem tygodnia będą leżeli, tym bardziej że Sanier, który jest wściekły, opowiada, że jutro ogłosi listę nazwisk. Istotnie ujrano przechodzących w pośpiechu Barroux i Monferranda, z zaaferowanymi i pełnymi troski twarzami, a za nimi szli zaniepokojeni ich klienci. Mówiono, że cały gabinet ma się zebrać, ażeby naradzić się i powziąć jakąś decyzję. Następnie ukazał się znowu Vignon wśród rzeszy przyjaciół. Promieniał radością, którą starał się ukryć, uspokajał swoją grupę, nie chcąc przedwcześnie ogłaszać zwycięstwa; ale oczy tych ludzi błyszczały jak u sfory psów, gdy nadchodzi godzina, kiedy mają rzucić im jądło. I nawet Mège triumfował. Mało brakowało, zaledwie dwóch głosów, a obaliby gabinet. I oto jeszcze jeden z nich ma za sobą! I przetrzyma również gabinet Vignona, i dojdzie wreszcie do rządów!

- Do diabła! - mruknął mały Massot. - Chaigneux i Dutheil mają miny obitych psów. I proszę zauważyć: tylko, mój szef wyszedł cało. No, no, zuch z tego Fonsçgue'a! Do widzenia, uciekam!

Uściskał rękę koledze, nie chciał zostać dłużej, mimo że posiedzenie ciągnęło się dalej; pod obrady weszła nowa sprawa, bardzo ważna, lecz dyskusja toczyła się przed pustymi ławami.

Chaigneux ze swą żalną miną podszedł do ogromnej Minerwy i podparł się łokciami; nigdy nie przygniatała go większa troska o pieniądze, nękało go poczucie stałego niepowodzenia. Dutheil natomiast perorował mimo wszystko w jednej z grup, udawał drwiącą bez troskę, ale nerwowy skurcz marszczył mu nos, wykrzywił usta i cała jego twarz przystojnego mężczyzny mokra była od potu. Tak więc, tylko Fonsçgue był spokojny i opanowany, zawsze jednaki, drobny i ruchliwy, z oczyma błyszczącymi inteligencją, zasnutymi tylko lekką mgiełką niezadowolenia.

Piotr wstał, aby ponowić swoją prośbę. Ale Fonsçgue uprzedził go i powiedział żywo:

- Nie, nie, drogi księżu, powtarzam, że nie wezmę na siebie odpowiedzialności za takie pogwałcenie naszego regulaminu. Sporządzono raport, sprawa została przesądzona. Jakże ja mógłbym postąpić wbrew temu?

- Panie - rzekł z bólem ksiądz - chodzi o starca, który jest głodny, zziębnięty i który umrze, jeżeli nie otrzyma pomocy!

Zrozpaczonym gestem naczelny redaktor „Globu” zdawał się wzywać otaczające go ściany na świadków swojej bezsilności. Zapewne bał się jakiegoś kłopotu dla swego dziennika, gdzie nadużywał Schroniska dla Inwalidów Pracy jako bronii w walce wyborczej. A może serce jego tak stwardniało pod wpływem tajemnego strachu, o jaki przyprawiło go niedawne posiedzenie?

- Nic nie poradzę, nic nie poradzę... Ale, oczywiście, pragnę jak najgoręcej, aby ksiądz zmusił mnie do tego za pośrednictwem pań z komitetu. Ksiądz zjednał już sobie panią baronową Duvilland, teraz proszę jeszcze przekonać inne, Zdecydowany walczyć do końca, Piotr dojrzał w tym ostatnią możliwość.

- Znam panią hrabinę de Quinsac, mogę udać się do niej natychmiast.

- Otóż to! Doskonale, *do* hrabiny de Quinsac! Proszę wziąć dorożkę i odwiedzić również księżną de Harth. Ona bardzo się udziela, staje się ogromnie wpływową... Proszę uzyskać *zgodę* tych pań i wrócić *do* baronowej o godzinie siódmej, poprosić ją o list, dzięki któremu byłbym kryty, i wtedy proszę poszukać mnie w dzienniku. O dziewiątej ten człowiek będzie już w Schronisku. Okazywał teraz radosną dobroduszość, zdawał się nie wątpić już o powodzeniu sprawy, skoro jemu niczym to nie groziło.. Ksiądz uczuł przyływ nowej, wielkiej nadziei.

- Ach, panie, dziękuję serdecznie, spełnia pan dzieło zbawienia.

- Ależ proszę być pewnym, że sam najbardziej tego pragnę! Gdybyśmy mogli jednym słowem uzdrawiać nędzę, zwalczać głód i. pragnienie... Proszę działać szybko, nie ma ksiądz ani minuty do stracenia.

Uścisnęli sobie ręce i Piotr pospiesznie skierował się do wyjścia. Nie przyszło mu to z łatwością, grupy powiększyły się, gniewy i obawy z sali obrad napływały tu znowu w chaotycznym tumultie, podobnie jak kamień rzucony w kałużę porusza muł z dna i sprawia, że ukryte w niej zgniłe szczątki wypływają na powierzchnię. Piotr musiał rozpychać się łokciami, siłą torować sobie przejście w tej ciżbie, poprzez drżące tchórzostwo jednych, bezczelne zuchwalstwo drugich, między tymi, przeważnie zhańbionymi ludźmi, wśród nieuniknionego zakażenia tego środowiska. Ale unosił w sobie nową nadzieję, wydawało mu się, że gdyby ocalał dzisiaj to jedno życie, uczynił jednego człowieka szczęśliwym, byłby to początek odkupienia, częściowe zadośćuczynienie za głupotę i błędy tego świata polityki, egoistycznego i żarłocznego.

W westybulu zatrzymało Piotra na chwilę jeszcze jedno zdarzenie. Panowało tam podniecenie wywołane sprzeczką pomiędzy jakimś człowiekiem a jednym z odźwiernych, który nie pozwolił mu wejść, stwierdziwszy, że karta wstępu, jaką okazał, była przestarzała i że wyskrobano na niej datę. Człowiek ów, zrazu gwałtowny, nie nalegał dalej, jak gdyby opanowany nagłym onieśmieleniem. I Piotr, zdziwiony, rozpoznał w tym nędznie ubranym człowieku Salvata, mechanika, którego widział rano, jak wyszedł na poszukiwanie pracy. Tym razem był to na pewno on, wysoki, chudy, zniszczony, z oczyma pełnymi ognia i zadumy, płonącymi w bladej twarzy głodomora. Nie miał już swego worka z narzędziami; jego podarta bluza była pozapinana i wydęta z lewego boku przez jakiś kształt, zapewne kawał chleba, który tam ukrył. I odepchnięty przez odźwiernego, poszedł dalej,- skierował się na most de la Concorde, idąc pomału, machinalnie, z miną człowieka, który nie wie, gdzie go oczy poniosą.

IV

W starym spłowiałym salonie w stylu Ludwika XVI, wyłożonym szarą boazerią, pani hrabina de Quinsac siedziała przy kominku na zwykłym swoim, miejscu. Była nadzwyczaj podobna do syna, twarz miała pociągłą i szlachetną, podbródek trochę surowy, piękne jeszcze oczy pod śniegiem delikatnych włosów, uczesanych wedle przestarzałej mody jej młodości. I w swoim wyniosłym chłodzie umiała być miła, nieposzlakowanie uprzejma.

Po długiej chwili milczenia, z nieznacznym gestem ręki, rzekła zwracając się do margrabiego de Morigny, usadowionego po drugiej stronie kominka, gdzie od wielu lat zasiadał w tym samym fotelu:

- Ach, drogi przyjacielu, ma pan oczywiście słuszość, Pan Bóg zapomniał o nas w tej ohydnej epoce.

- Tak, przeszliśmy obok szczęścia - rzekł powoli margrabia - i to pani wina, choć na pewno i moja także.

Nakazała mu milczenie nowym gestem, ze smutnym uśmiechem. I znów zapadła cisza, żaden hałas nie docierał z ulicy do tego mrocznego mieszkania na parterze, w głębi dziedzińca starego pałacu położonego przy ulicy Saint-Dominique, tuż za rogiem ulicy Bourgogne.

Margrabia był starcem siedemdziesięciopięcioletnim, o dziewięć lat starszym od hrabiny. Drobny i chudy, miał jednakże wygląd wielkopański ze swoją wygoloną twarzą, pooraną głębokimi, regularnymi zmarszczkami. Należał do jednej z najstarszych rodzin francuskich i pozostał jednym z ostatnich legitymistów, bez nadziei na przyszłość; był bardzo uczciwy, bardzo dumny i kiedy wszystko rozsypało się w pył, dochowywał wierności umarłej monarchii. Majątek jego, wciąż jeszcze oceniany na miliony, był jakby unieruchomiony, ponieważ margrabia nie chciał go uczynić źródłem zysków i nie oddawał go na usługi przedsięwzięć epoki. Wiedzano również, że nie afiszując się z tym kochał hrabinę, nawet jeszcze za życia pana de Quinsac, i że prosił o jej rękę, gdy po śmierci męża wdowa, licząca wówczas ponad czterdziestkę, schroniła się w tej wilgotnej oficynie, z piętnastoma tysiącami renty ocalonej z wielkim trudem. Ale ona uwielbiała syna, Gerarda, który w tym, czasie miał dziesięć lat i był bardzo wątpliwy. Dla niego poświęciła wszystko, przez jakiś wstyd matki, z przesadnej obawy, że go utraci, jeżeli wprowadzi do swego życia jakieś inne uczucie i inny obowiązek. I margrabia, który się z tym pogodził, dalej uwielbiał ją z całej duszy, starając się o jej względy jak pierwszego wieczora, gdy ją poznał, usłużny i dyskretny po dwudziestu pięciu latach absolutnej wierności. Nigdy nic między nimi nie było, nawet pocałunku.

Widząc ją tak smutną, przeląkł się, że ją uraził, więc dodał:

- Chciałem, aby była pani szczęśliwa, ale nie umiałem tego dokazać, i winę na pewno tylko ja ponoszę... Czyżby Gerard dawał pani powody do niepokoju?

Zaprzeczyła ruchem ręki. A potem powiedziała głośno:

- Dopóki sprawy będą stały tak jak obecnie, nie możemy się na nic skarżyć, drogi przyjacielu, ponieważ zaakceptowaliśmy je. Mówiła o grzesznym związku swego syna z baronową Duville. Zawsze była słaba w stosunku do tego dziecka, które wychowała z takim trudem, bo tylko ona wiedziała o wyczerpaniu, o żalonym upadku rodziny, jaki się w nim taił pod pięknym pozorem dumnego wyglądu. Tolerowała jego lenistwo, bezczynność, zniechęcenie człowieka goniącego za uciechami, które odsunęły go od armii i od dyplomacji. Ile razy naprawiała jego głupie postęпки, płaciła drobne długi, nic o tym nie mówiąc, odrzucając pomoc pieniężną margrabiego, który nie śmiał już nawet więcej

ofiarowywać swoich milionów, tak bardzo upierała się, że będzie heroicznie żyła z resztek własnego majątku.

I w ten sposób zaczęła w końcu przymykać oczy na skandaliczne miłości syna, domyślając się, jak się te rzeczy odbywały - przez bierność, przez nieświadomość: mężczyzna, który nie umie się wycofać, kobieta, która przez fakt oddania trzyma go przy sobie i zachowuje. Margrabia przebaczył jednak dopiero wtedy, gdy Ewa przyjęła chrzest.

- Pan wie, drogi przyjacielu, jaki Gerard jest dobry - mówiła dalej hrabina. - To stanowi jego siłę i jego słabość zarazem. Jakże chce pan, abym go łajała, skoro płacze razem ze mną?... On się znuży tą kobietą.

Pan de Morigny przecząco potrząsnął głową.

- Ona jest jeszcze bardzo piękna... A poza tym jest ta córka. Byłoby groźniejsze, gdyby ożenił się z nią.

- Ach, córka! Kaleka!

- Tak, i domyśla się pani, co by mówiono: „Quinsac poślubia kalekę dla jej milionów.”

Tego lękali się oboje. Wiedzieli o wszystkim, co działo się u Duvillardów, o czulej przyjaźni pomiędzy upośledzoną Kamilą a pięknym Gerardem, o wzruszającej idylli, pod którą krył się najokrutniejszy dramat. I protestowali przeciwko temu z największym oburzeniem.

- Ach, co to, to nie, nigdy! - oświadczyła hrabina. - Mój syn w tej rodzinie, nie, na to nigdy nie pozwolę!

W tej chwili wszedł generał de Bozonnet. Uwielbiał siostrę, przychodził, aby dotrzymać jej towarzystwa w dnie, kiedy przyjmowała, ponieważ dawne grono znajomych powoli się przerzedziło i tylko wierni przyjaciele mieli jeszcze ochotę odwiedzać ten szary i ponury salon, gdzie, jak się im zdawało, całe mile dzieliła ich od Współczesnego Paryża. Od razu, aby ją rozweselić, opowiedział, że wraca ze śniadania u państwa Duvillard, wyliczył biesiadników, dodał, że był tam również Gerard. Wiedział, że sprawia przyjemność siostrze bywając w tym domu, z którego przynosił jej nowiny i który oczyszczał trochę zaszczycając go swoją obecnością. Zresztą nie nudził się tam, od dawna pogodzony z nowymi czasami, bardzo zgodliwy we wszystkim, co nie dotyczyło sztuki wojskowej.

- Ta biedna mała Kamila uwielbia Gerarda - rzekł. - Przy stole po prostu chłonęła go wzrokiem.

Margrabia de Morigny z powagą wmieszał się do rozmowy.

- W tym tkwi niebezpieczeństwo, ten związek byłby czymś zupełnie monstrualnym, z każdego punktu widzenia.

Generał okazał zdziwienie.

- A to dlaczego? Me jest piękna, ale gdyby żeniono się tylko z pięknymi pannami! A poza tym istnieją jej miliony; nasz kochany chłopiec umiałby zrobić z nich dobry użytek... Co prawda, jest jeszcze ten stosunek z matką. Mój Boże, te rzeczy stały się dzisiaj tak pospolite!

Oburzony margrabia zrobił gest władczej pogardy. Po co

dyskutować, skoro wszystko chyli się do upadku? Co odpowiedzieć takiemu

Bozonnet, ostatniemu potomkowi świetnej rodziny, skoro doszedł już do tego, że

usprawiedliwia haniebne obyczaje republiki, zaparłszy się wprzód swego króla i służąc cesarstwu, skoro przywiązał się z namiętą wiernością do losów, do pamięci Cezara? Ale hrabina również się oburzyła.

- Och, mój bracie, co też ty mówisz! Nigdy nie zgodziłabym się na podobny skandal. Poprzysięgam to właśnie przed chwilą.

- Droga siostrze, nie przysięgaj! - zawołał generał. - Ja chciałbym, aby nasz Gerard był szczęśliwy, to wszystko. I trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie jest on zdolny do wielkich rzeczy. Że nie został żołnierzem, temu się nie dziwię, bo ten zawód dziś zeszedł na marne. Ale że nie wstąpił do dyplomacji, że nie zajął się czymkolwiek, to już mniej dla mnie zrozumiałe. Oczywiście, że piękną jest rzeczą krytykować naszą epokę, oświadczać, że człowiek z naszej sfery nie może pracować dziś uczciwie. Ale prawdę rzekłszy, mówią tak jedynie próżniacy. Gerard zaś ma tylko jedną wymówkę, swoje małe zdolności, swój brak woli i siły.

Łzy napłynęły do oczu matki. Ona stale drżała, ona dobrze знаła kłamstwo pozorów: jeden zimny powiew mógłby zabrać jej syna, mimo że wydawał się tak duży i mocny. I czyż nie był on symbolem całej szlachty, na pozór jeszcze tak wyniosłej i dumnej, a w istocie strawionej już na popiół?

- Ostatecznie - mówił dalej generał - ma trzydzieści sześć lat, a wciąż jest tobie ciężarem, i trzeba, aby wreszcie z tym skończył.

Ale siostra nakazała mu zamilknąć i zwróciła się do margrabiego:

- Drogi przyjacielu, prawda, że trzeba zdać się z tym na Boga? Niemożliwe, aby nie przyszedł z pomocą mnie, która nigdy Go nie obraziłam.

- Nigdy - odrzekł margrabia, wkładając w ten zwyczajny wyraz całą swoją troskę, całą czułość, całe uwielbienie dla tej kobiety, którą kochał od tylu lat, a mimo to oboje ustrzegli się od grzechu.

Wszedł jeszcze jeden z wiernych przyjaciół, więc zmienili temat rozmowy. Pan de Larombardière, wiceprezes sądu, był wysokim starcem lat sześćdziesięciu pięciu; chudy, łysy, gładko wygolony, nosił tylko rzadkie, siwe faworyty; szare oczy, zaciśnięte usta, mocno oddalone od nosa, kwadratowy, uparty podbródek nadawały podłużnej twarzy wyraz wielkiej surowości. Nieszczęściem jego życia było, że dotknięty dziecięcym nieco seplenieniem, nie mógł zająć należnego sobie stanowiska w prokuraturii państwa, ambicją zaś jego było zostać wielkim mówcą. Ta ukryta troska czyniła go ponurym. Wcieliła się w niego stara Francja rojalistyczna i nadašana, służąca republice niechętnie, stare sądownictwo, surowe, negujące wszelką ewolucję, wszelkie nowe pojmowanie spraw i ludzi. Potomek drobnej szlachty urzędniczej, legitymista związany z orleanistami, uważał się w tym salonie za człowieka bardzo mądrego i logicznie myślącego i dumny był, że spotyka się tu z margrabią.

Zaczęto mówić o ostatnich wydarzeniach. Rozmowy na tematy polityczne wyczerpywały się zresztą szybko, streszczały w gorzkim potępieniu ludzi i faktów, ponieważ wszyscy troje wydawali zgodne wyroki na ohydę ustroju republikańskiego. Wszyscy byli już tylko ruiną, pozostałościami starych partii, skazanych na całkowitą niemal bezsilność. Margrabia szybował w swej

absolutne nieugiętości, wierny umarłej monarchii, jeden z ostatnich przedstawicieli arystokracji bogatej jeszcze, wyniosłej i upartej, która umierała na posterunku. Sądownik, który uznawał przynajmniej pretendenta, liczył na cud i wykazywał jego konieczność, jeżeli Francja nie ma popaść w najgorsze nieszczęście, ulec bliskiej i nieuchronnej ztratcie. Generał zaś w dwu cesarstwach żałował tylko wielkich wojen, pomijał nikłe nadzieje na powrót Bonapartych i oświadczał, że republika zabiła wojnę i zabiła ojczyznę, bo zamiast ograniczyć się wyłącznie do armii cesarskich, ogłosiła obowiązek służby wojskowej, powołując pod broń cały naród.

Gdy wszedł służący, aby zapytać, czy pani hrabina zechce przyjąć księdza Froment, pani de Quinsac wydała się trochę zaskoczona.

- Czego on może sobie ode mnie *życzyć!* Proszę go wprowadzić.

Była ogromnie pobożna i poznała Piotra w stowarzyszeniach dobroczynności; wzruszała ją jego gorliwość, była zbudowana opinią młodego świętego, jaką urabiały mu parafianki z Neuilly.

On, wciąż w gorączce, uczuł się onieśmielony, gdy stanął na progu salonu.

Zrazu nic nie widział, zdawało mu się, że wchodzi w jakąś żalobę, w mrok, gdzie kształty jak gdyby się roztopiały, głosy przechodziły w szept. Następnie, gdy poznał osoby, które się tam znajdowały, poczuł się tym bardziej obco, widząc, że są tak dalekie i tak smutne, tak na uboczu od świata, z którego przybywał i gdzie miał powrócić. A gdy hrabina wskazała mu miejsce koło siebie, w pobliżu, kominka, po cichu opowiedział jej żalosalną historię Laveuve'a, prosząc, aby pomogła mu umieścić starca w Schronisku dla Inwalidów Pracy. - Ach tak, znalazłam się w tym Stowarzyszeniu na życzenie mojego syna... Ale, drogi księżu, nigdy nie byłam na żadnym posiedzeniu komitetu. Jakże więc mogę interweniować, skoro na pewno nie mam tam żadnych wpływów?

Znowu zbliżone ku sobie twarze Gerarda i Ewy stanęły jej przed oczyma, ponieważ pierwsze spotkanie pary kochanków odbyło się właśnie w Schronisku. I już zaczęła słabnąć pod wpływem stale zbolęłego macierzyńskiego serca, chociaż żałowała, że zgodziła się narażać nazwisko w jednej z tych dobroczynnych organizacji, wkoło której czyniono tyle hałasu, a w której potępiała nadużycia dyktowane osobistymi interesami.

- Pani hrabino - nalegał Piotr - chodzi tutaj o biednego starca, który umiera z głodu. Proszę mieć litość, błagam panią!

Jakkolwiek ksiądz mówił po cichu, generał podszedł do nich.

- A więc ksiądz wciąż jeszcze krząta się w sprawie swojego starego rewolucjonisty! Czy nie powiodło się księdzu u administratora?... Do licha! Trudno litować się nad tymi zuchami, którzy gdyby doszli do władzy, przegnaliby nas, jak to oni mówią.

Pan de Larombardière przytaknął mu skinieniem głowy. Od pewnego czasu prześladowała go myśl o niebezpieczeństwie ze strony anarchistów.

Wówczas Piotr, zrozpaczony i drżący, od nowa zaczął swoje wywody. Mówił o straszliwej nędzy, o domach, gdzie nie było co jeść, o kobietach i dzieciach drżących z zimna, o ojcach błakających się po błotnistym zimowym Paryżu w poszukiwaniu kawałka chleba. On prosił tylko o jedno słowo na karcie

wizytowej, o życzliwe słowo hrabiny, z którym natychmiast udałby się do baronowej Duvillard, aby ją skłonić do obejścia regulaminu. Słowa jego, drżące od tłumionych łez, padały jedne po drugich w ponurym salonie, jak gdyby przybywały z bardzo daleka, i ginęły bez echa w tym umarłym świecie.

Pani de Quinsac zwróciła się do margrabiego de Morigny, lecz on zdawał się zupełnie nie interesować tą sprawą. Patrzył uparcie w ogień, z wyniosłą miną cudzoziemca, obojętnego wobec rzeczy i ludzi, wśród których kazała mu żyć omyłka czasu. Jednakże podniósł głowę, gdy poczuł na sobie wzrok uwielbianej kobiety; i oczy ich się spotkały wyrażając nieskończoną błogość, smutną błogość płynącą z heroicznej miłości.

- Mój Boże! - powiedziała. - Znane mi są zasługi księdza i nie chcę uchylać się od udziału w jednym z jego pobożnych dzieł.

Wyszła na chwilę z salonu i powróciła z kartą w ręce, gdzie napisała, że całym sercem popiera księdza Froment w jego staraniach. Piotr podziękował, przy czym ręce drżały mu z wdzięczności, i odszedł uradowany, niosąc z sobą jakby nową nadzieję zbawienia, opuszczając ten salon, gdzie za nim fala ciemności i milczenia zdawała się na nowo zagarniać tę starą kobietę, jej ostatnich wiernych przyjaciół zgromadzonych przy kominku, cały ginący świat.

Znalazłszy się na ulicy, Piotr żywo wsiadł znowu do dorożki, podawszy wprzód adres księżny de Harth, przy Avenue Klé-ber. Gdyby jeszcze uzyskał i jej aprobatę, nie wątpił, że udałoby mu się załatwić sprawę. Ale most de la Concorde był tak zatłoczony, że koń musiał dreptać krok za krokiem. I tam, na chodniku, raz jeszcze zobaczył Dutheila, który, poprawny i uroczy, z cygarem w ustach, śmiał się do tłumu w swej milej beztrosce ptaka, szczęśliwy, że ogląda suchy bruk i niebieskie niebo po wyjściu z budzącego lęk posiedzenia Izby.

Widząc go tak

wesołym, tak zwyczajnym, Piotr pod wpływem nagłego natchnienia pomyślał, iż mógłby zdobyć, zjednać sobie tego chłopca, którego raport wywarł tak katastrofalne skutki. Właśnie w tej chwili dorożka musiała się zatrzymać, deputowany poznał Piotra i uśmiechnął się do niego.

- Dokąd pan idzie, panie Dutheil?

- Niedaleko, na Pola Elizejskie.

- Jadę tamtędy, a ponieważ chciałbym z panem chwilę porozmawiać, może byłby pan łaskaw usiąść tutaj, koło mnie. Zawiozę pana, dokąd pan sobie życzy.

- Ależ z największą chęcią, drogi księżo. Czy ksiądz pozwoli, że skończę cygaro?

- Oczywiście, bardzo proszę.

Dorożka wyplątała się z tłoku, minęła plac i wjechała na Pola Elizejskie. Piotr pomyślał, że ma zaledwie parę minut czasu, zwrócił się więc niezwłocznie do Dutheila, gotów walczyć, byle go przekonać. Pamiętał o wystąpieniu młodego człowieka przeciwko staremu Laveuve u barona Duvillarda. Toteż zdziwił się słysząc, że Dutheil przerywa mu, aby rzec uprzejmie, z miną pojaśniałą od promieni słońca, które znowu zaczęło świecić:

- Ach tak, ten księdza stary pijak! A więc nie załatwił ksiądz sprawy z Fonsčgiem? O cóż zatem chodzi? Ażeby go tam przyjęto dzisiaj?... Co do mnie, księżo, nie mam nic przeciwko temu.

- Ale jest ten pański raport!

- Mój raport, ech, mój raport; sprawy zmieniają się zależnie od punktu widzenia... A jeżeli księdzu tak bardzo chodzi o tego Laveuve, ja nie odmawiam swojej pomocy.

Piotr patrzył na niego zaskoczony, w głębi duszy bardzo szczęśliwy. Nie musiał już nic więcej dodawać.

- Ksiądz źle się zabrał do rzeczy - mówił dalej Dutheil nachylając się ku niemu z poufną miną. - Baron jest u siebie w domu panem, dla przyczyn, których ksiądz się domyśla, które księdzu na pewno są wiadome; baronowa robi wszystko, czego on sobie *życzy*, bez żadnej dyskusji; i dziś rano zamiast puszczać się w tę bezowocną wędrówkę, trzeba było jedynie zyskać jego poparcie, tym bardziej że wydawał się doskonale usposobiony. Ona byłaby natychmiast ustąpiła. Roześmiał się.

- A wie ksiądz, co ja zrobię? Oto pozyskam barona dla tej sprawy. Tak, właśnie idę do domu, gdzie on jest teraz, gdzie można być pewnym, że zastanie się go codziennie o tej porze... - Zaśmiał się głośnie.

- Zresztą może i ten dom jest księdzu również znany. Gdy baron tam bawi, można być pewnym, że nie odmówi żadnej prośbie... Przyrzekam księdzu: każę mu przysiąc, iż jeszcze dziś wieczorem zażąda od żony przyjęcia tego człowieka do Schroniska. Tylko że nastąpi to dosyć późno. - Potem, pod wpływem jakiejś nowej myśli, dodał: -. Ale dlaczego nie miałby ksiądz pójść razem ze mną? Dostanie ksiądz słówko na piśmie od barona i natychmiast, nie tracąc ani chwili, uda się ksiądz na poszukiwania baronowej... No, oczywiście, dom ten jest dla księdza trochę żenujący, rozumiem to. I może chciałby ksiądz mówić z samym tylko baronem? Więc zaczeka ksiądz na niego w małym salonie na dole, przyprowadzę go tam.

Ten projekt ostatecznie go rozweselił, a tymczasem Piotr, oszołomiony, wahał się jeszcze na myśl, że w ten sposób zostanie wprowadzony do Sylwiany d'Aulnay. Nie było to miejsce dla niego. Ale w tej chwili poszedłby nawet do samego diabła, a zresztą był już u Sylwiany parokrotnie z księdzem Rose, w nadziei, że pozwoli mu to przyjść z pomocą nędzy.

Dutheil, mylnie sobie tłumaczył jego milczenie; zniżył jeszcze głos, aby powiedzieć coś najbardziej poufnego:

- Wie ksiądz, że on tam za wszystko zapłacił? O, może ksiądz pójść bez obawy.

- Ależ oczywiście, pójdę z panem - rzekł ksiądz, który z kolei nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Pałacyk Sylwiany d'Aulnay, nadzwyczaj luksusowy, a był to luksus subtelny i mający w sobie coś z frywolnej świątyni, położony był przy alei d'Antin w pobliżu alei Pól Elizejskich. Kapłanka tego sanktuarium, gdzie lamówki starych dalmatyk lśniły w sinawym świetle witraży, skończyła właśnie lat dwadzieścia pięć, była drobną i szczupłą uroczą brunetką; i cały Paryż znał jej śliczną twarz dziewczycy o słodkim, pociągłym owalu, subtelnym nosku, małych ustach, niewinnych policzkach i naiwnym podbródku, okoloną pasmami czarnych włosów, grubych i ciężkich, ukrywających niskie czoło. Przyczyną jej sławy była właśnie ta mina zdziwiona i wdzięczna, ta niezmierna

czystość niebieskich oczu, cała wstydliva niewinność, w jaką umiała się stroić, gdy zechciała, a która stanowiła kontrast z tym, czym była w istocie ta ohydna dziewczka ze swą potworną perwersyjnością, której nie ukrywała, lecz nawet popisywała się nią, dziewczka, jakie wyrastają na glebie wielkich miast. Niezwykle rzeczy opowiadano o jej upodobaniach i pomysłach. Jedni mówili, że jest córką dozorca, inni, że córką lekarza. W każdym razie musiała zdobyć sobie jakieś wychowanie i wykształcenie, bo kiedy to było potrzebne, nie brakło jej ani dowcipu, ani umiejętności wysławiania się, ani manier. Kręciła się po teatrach od dziesięciu lat, wychwalana za swoją urodę, i zaczęła nawet w końcu uzyskiwać ładne sukcesy w rolach młodych dziewcząt, bardzo niewinnych, oraz młodych kobiet, kochających i prześladowanych. Ale z chwilą gdy wyłoniła się sprawa jej wstąpienia do Komedii Francuskiej, gdzie miałaby *zagrać* rolę Pauliny w *Polieukcie*, jedni oburzali się, inni bawili, tak bardzo pomysł ten wydawał się dziwaczny, uchybiający majestatowi klasycznej tragedii. Ona, spokojna i uparta, chciała tego, chciała stanowczo, pewna, że jej się uda, z bezczelnością dziewczki, której mężczyźni nie mogli nigdy niczego odmówić.

- Tego dnia o godzinie trzeciej Gerard, który nie wiedział, jak zabić czas, zanim pójdzie oczekiwać na Ewę przy ulicy Matignon, wpadł na myśl, aby wstąpić i posiedzieć w sąsiedztwie, u Sylwiany. Była ona jego dawnym kaprysem, bywał w pałacyku jako jeden z bliskich przyjaciół, czasem jeszcze nawet szukał tam zapomnienia, gdy właśnie ta piękna dziewczyna nudziła się. Ale teraz zastał ją wściekłą i pozostał u niej jak zwyczajny znajomy; wyciągnął się w jednym z głębokich foteli w salonie barwy starego złota i przysłuchiwał się jej skargom. Stała przed nim w białej toalecie, zupełnie białej, jak Ewa podczas śniadania; mówiła namiętnie i wreszcie przekonała go, pozyskała wielką urodę i młodością, gdyż porównywał ją pod-

świadomie z tamtą, już znużony spotkaniem, które go oczekiwało, i opanowany takim lenistwem moralnym i fizycznym, że wolałby zostać tutaj, w głębi tego fotela.

- Słyszysz, Gerardzie! - zawołała w końcu, tak się zapominając, że mówiła mu „ty”. - Nic z tego! Nic z tego, dopóki nie przyniesie mi mojej nominacji! Wszedł *baron* Duvillard. Nagle zimna jak lód, przyjęła go jak obrażona młoda królowa, która oczekuje wyjaśnień. Tymczasem baron, przewidując burzę i w dodatku przynosząc nowiny katastrofalne, uśmiechał się zażenowany. Ona była skazą tego człowieka tak silnego jeszcze i potężnego, mimo iż ród jego chylił się do upadku. Była też zapowiedzią wymiaru sprawiedliwości i kary, odbierała pełnymi garściami nagromadzone złoto, mściła się przez swoje okrucieństwo za tych, którzy cierpieli zimno i głód. I żaloszny był ten groźny, obsypywany pochlebstwami człowiek, przed którym drżały państwa, a który tutaj bladł z niepokoju, giął się pokornie, zdziecinniały w starczym i sepleniącym pożądaniu.

- Ach, droga przyjaciółko, gdybyś wiedziała, jak tutaj biegłem! Cała masa nudnych interesów, spotkanie z przedsiębiorcami, ważna sprawa reklamy do załatwienia! Już mi się zdawało, że nigdy nie uda mi się tu przyjść i ucałować pani rączek.

Pocałował ją w rękę, ale ona opuściła ramię zimne i nieczułe i tylko patrzyła na niego, czekała, co jej powie, przyprawiając go tym o takie zmieszanie, że pocił się, jąkał, nie znajdując słów.

- Oczywiście, zajmowałem się również pani sprawą, poszedłem do Ministerstwa Sztuk Pięknych, gdzie dano mi formalną obietnicę... Ach, oni tam są zawsze niezwykle pani życzliwi, w tym ministerstwie!... Tylko, proszę sobie wyobrazić, ten dureń minister, ten Taboureau, stary belfer z prowincji, nie mając zielonego pojęcia o stosunkach paryskich, kategorycznie sprzeciwił się nominacji pani, oświadczając, że za jego rządów nigdy nie zadebiutuje pani w Komedii.

Sztywna i wyprostowana wyrzekła jedno tylko słowo:

- Więc?

- A więc, droga przyjaciółko, cóż mam, pani zdaniem, uczynić?... Me można przecież obalać rządu, aby mogła pani zagrać Paulinę.

- A dlaczego by nie?

Zaśmiał się nienaturalnie, ale twarz mu poczerwieniała, całe jego duże ciało trzęsło się ze strachu.

- Widzi pani, moja mała Sylwiano, nie trzeba się tak upierać. Jest pani tak rozsądna, kiedy pani chce... Więc niech pani wyrzeknie się tego debiutu. Sama pani także wiele tutaj ryzykuje, bo jakież to spotkałyby panią przykrości, gdyby się pani nie powiodło... Zapłakałaby się pani na śmierć... A poza tym. może pani żądać ode mnie tylu innych *rzeczy*, które dam pani z prawdziwą rozkoszą. No, nie zwlekajmy, proszę wyrazić jakieś życzenie, a wypełnię je natychmiast.

Żartując usiłował znów wziąć ją za rękę, ale cofnęła się, bardzo godna. I zwróciła się do niego przez „ty”, jak poprzednio do Gerarda:

- Słyszysz, mój drogi, nic, nic z tego, dopóki nie zagram Pauliny!

Zrozumiał, oznaczało to zamknięcie sypialni, wzbronienie nawet drobnych pieszczot, lekkich pocałunków w kark; i znał ją na tyle, aby wierzyć, że bezwzględnie odepchnie go od siebie. Ze ściśniętego gardła wydostało mu się tylko coś w rodzaju pomruku, gdy dalej usiłował obrócić sprawę w żart.

- Ależ ona dziś niedobra! - zaczął znowu, obracając się do Gerarda. - Co też. pan jej zrobił, że ją zastaje w podobnym nastroju?

Ale młody człowiek, który milczał, w obawie, że i jemu coś się dostanie, dalej siedział leniwie wyciągnięty i nic nie odpowiedział.

Wtedy gniew Sylwiany wybuchł.

- To mi zrobił, że uzalił się nade mną, bo jestem na łasce człowieka takiego jak pan, takiego egoisty, nieczułego na obelgi, jakimi ludzie mnie obrzucają! Czy pan pierwszy nie powinien był zatrząść się z oburzenia? Czy pan nie powinien był zażądać przyjęcia mnie do Komedii jako zadośćuczynienia moralnego dla siebie? Bo ostatecznie jest to klęska dla pana, i jeżeli uznano mnie za niegodną, pan został napiętnowany wraz ze mną...

A zatem dziewczka, prawda? Proszę od razu powiedzieć, że jestem dziewczką, którą wypędzają z szanujących się domów!

Mówiła dalej, posunęła się do słów ordynarnych, do wyrazów ohydnych, które zawsze w końcu, gdy wpadła w gniew, zjawiały się na jej wargach, tak niewinnych. Daremnie baron, dobrze wiedząc, że zazwyczaj jego odezwania

wywoływały jeszcze plugawszy potok słów, błagał hrabiego wzrokiem o interwencję. Gerard, który nade wszystko cenił święty spokój i nieraz ich godził, siedział nieruchomo, zbyt senny, aby się wmieszać. I nagle ona zaczęła znowu mówić baronowi „ty”, zadając mocny, ostateczny cios, co oznaczało odebranie wszelkich faworów.

- Wobec tego, mój drogi, załatw to, postaraj mi się o debiut albo koniec ze wszystkim, słyszysz, nie zobaczysz nawet końca mojego palca!

- Dobrze, dobrze - mruknął Duvillard, szyderczo i z rozpaczą - załatwimy to. Ale w tej chwili wszedł służący z oznajmieniem, że na dole jest pan Dutheil i prosi pana barona do palarni. Baron zdziwił się, gdyż Dutheil zazwyczaj przychodził tu jak do siebie. Potem pomyślał, że na pewno deputowany przynosi mu z Izby ważne wiadomości, które chce mu oznajmić natychmiast, bez świadków. Poszedł więc za służącym, pozostawiając Gerarda z Sylwianą. W palarni, pokoju, który łączył się bezpośrednio z hallem szklaną przegrodą, w której podniesiono szybę, Piotr stojąc czekał wraz ze swym towarzyszem, rozglądając się ciekawie dokoła. Uderzył go niemal religijny nastrój tego przedśionka, ciężkie draperie, mistyczne błyski witraży, meble antyki skąpane w cieniu jak w kaplicy, wśród snujących się zapachów mirry i kadzidła. Dutheil, w wybornym humorze, uderzał końcem laski w niską sofę, która była łóżem zarówno miłości, jak wypoczynku.

- A co? Ładnie się umeblowała! O, ta dziewczyna umie dbać o swoje interesy! Wszedł baron, jeszcze wzburzony, z niespokojną miną. I nie dostrzegłszy nawet księdza, chciał usłyszeć nowiny.

- Co oni tam zrobili? Więc wiadomości są niedobre?

- Młge interpelował, domagając się trybu nagłego, aby obalić Barroux. Może się pan łatwo domyślić, co mówił.

- Tak, tak, przeciwko burżuazji, przeciwko ranie, przeciwko panu. Zawsze to samo... I co więcej?

- A więc nagłość wniosku nie została uchwalona; ale Bar-roux, pomimo bardzo pięknej obrony, uzyskał większość zaledwie dwoma głosami.

- Dwoma głosami, do licha! Zatem on leży, a w następnym tygodniu będziemy mieli gabinet Vignona.

- Tak mówili wszyscy w kularach.

Baron, ze zmarszczonymi brwiami, jak gdyby osądził, co wypadek ten mógł przynieść światu dobrego lub złego, gestem wyraził niezadowolenie.

- Gabinet Vignona... Do diabła, nie oznaczałoby to nic lepszego! Ci młodzi demokraci starają się pozować na cnotę, a w dodatku gabinet Vignona nie wprowadzi Sylwiany do Komedii Francuskiej!

W pierwszej chwili to tylko dostrzegł w katastrofie, ad której drżało wszystko w świecie politycznym. Deputowany również nie mógł się opanować, aby nie zdradzić się z własną obawą.

- No tak, a co stanie się w tej całej historii z nami?

To pytanie przywołało Duvillarda do rzeczywistości. Nowym gestem, tym razem dumnym, wyraził swoją niezachwianą, bezczelną ufność.

- Co z nami? Ależ zostaniemy tym, czym jesteśmy, zdaje mi się, że nam w ogóle nigdy nic nie groziło. Och, jestem zupełnie spokojny! Sanier może sobie ogłaszać swoją sławetną listę, jeżeli mu to sprawia przyjemność. Nie kupiliśmy dotąd Saniera i jego listy dlatego tylko, że Barroux jest człowiekiem bezwzględnie uczciwym i że ja nie lubię wyrzucać na byle co moich pieniędzy... Powtarzam panu, że nie boimy się niczego.

Następnie, ponieważ baron poznał wreszcie, że ma przed sobą księdza Froment, który trzymał się w cieniu, Dutheil wyjaśnił mu, jakiej to przysługi oczekuje od niego Piotr. I baron w podnieceniu, w jakim się znajdował, z sercem jeszcze udreńczonym srogością Sylwiany, widocznie powziął głuchą nadzieję, że dobry uczynek przyniesie mu szczęście; zgodził się natychmiast interweniować w sprawie przyjęcia Laveuve'a do Schroniska. Wyjął z notatnika bilet wizytowy i ołówek i podszedł do okna.

- Ależ zrobię wszystko, czszczęśliwy biorąc w połowie udział w tej dobrej sprawie. Proszę posłuchać, co piszę: „Moja droga! Uczyń, o co prosi ksiądz Froment dla tego nieszczęśliwego człowieka, bowiem nasz przyjaciel Fonsçgue oczekuje tylko na słówko od Ciebie, aby działać.”

W tej chwili Piotr przez otwarte szklane drzwi zobaczył Gerarda, którego Sylwiana odprowadzała aż do przedsionka, już spokojna, zapewne ciekawa, po co przyszedł Dutheil. I zdziwił się na widok młodej kobiety, tak wydawała mu się naturalna i łagodna, niepokalanie dziewicza i czysta. Pomyślał, że nawet w ogrodzie niewinności nie mogła rozkwitnąć lilia śliczniejsza i bardziej subtelna.

- A zatem - mówił dalej Duvillard - jeżeli ksiądz chce natychmiast doręczyć ten bilet mojej żonie, trzeba by pójść do księżny de Harth, gdzie odbywa się przedstawienie.

- Pójdę tam, panie baronie.

- Doskonale... Zastanie tam ksiądz na pewno moją żonę, miała tam odprowadzić nasze dzieci.

Tu przerwał, bo właśnie zobaczył Gerarda i przywołał go.

- Gerardzie, niech pan powie, prawda, moja żona mówiła, że pójdzie na to przedstawienie; czy jest pan pewien, że ksiądz tam ją zastanie?

Młody człowiek, który miał już pójść na ulicę Matignon, aby tam czekać na Ewę, odpowiedział bardzo naturalnie:

- Jeżeli ksiądz się pospieszy, jestem pewien, że ją zastanie, bo istotnie miała tam być przed miarą u Salmona.

Ucałował rękę Sylwiany i wyszedł, z tą swoją miną pięknego mężczyzny, gnuśnego i nieszkodliwego, który nuży się nawet rozkoszą.

Trochę zakłopotany, Piotr poprosił Duvillarda, aby go przedstawił pani domu.

Skłonił się w milczeniu, ona zaś również bez słowa oddała mu ukłon ze skromną powściągliwością, ze stosownym do okoliczności umiarem, na jaki nie zdobyłaby się żadna naiwna, nawet z samej Komedii Francuskiej. I podczas gdy baron odprowadzał księdza aż do drzwi, ona z Dutheilem wróciła do salonu. Zaledwie znaleźli się za portierą, objął ją wpół i chciał pocałować w usta. Ale ona bronila się jeszcze, bo wiedziała, jak bardzo jest niepoważny, a poza tym powinien był wpiersz sobie na to zasłużyć.

ego ksiądz sobie życzy, będę

Gdy Piotr, pewien teraz powodzenia, przyjechał pod pałac księżny de Harth, przy Avenue Kléber, wciąż w swej dorożce, znowu znalazł się w wielkim kłopotcie. Na ulicy tłoczyły się powozy, które przywiozły tutaj gości na koncert, i brama pałacu, ozdobiona czymś w rodzaju namiotu z lambrekinami z czerwonego aksamitu, wydała mu się niedostępna, taka cisnęła się tam ciżba przybywających. Jak się tam dostanie? A przede wszystkim, jak, w tej sutannie, zdoła zobaczyć się z księżną i prosić, aby umożliwiła mu chwilę rozmowy z baronową Du-villard? Ogarnięty gorączką, nie pomyślał wprzód o tych trudnościach. Postanowił podejść do bramy pieszo i zastanawiał się, jakim sposobem niepostrzeżenie wśliznąć się pomiędzy tłum, gdy usłyszał jakiś wesoły głos; obejrzał się.

- Och, ksiądz! Czy to możliwe? A więc tu znowu się spotykamy?

Był to mały Massot. Chodził wszędzie, oglądał dziesięć spektakli dziennie, bywał na posiedzeniach w parlamencie, pogrzebach, ślubach, na uroczystościach żałobnych, stale szukając tematu do kroniki. - Jak to, ksiądz zjawia się u naszej miłej księżny, aby popatrzeć na taniec Mauretaneek?

Pokpiwał sobie, bo Mauretanki były trupą złożoną z sześciu tancerek hiszpańskich, które ścigały wówczas cały Paryż do „Folies-Bergčres” swą namiętną zmysłowością, z jaką kołysały biodrami. Plotka głosiła, iż dziewczęta te miały w repertuarze dla salonów tańce jeszcze swobodniejsze, tchnące takim rozpasaniem, że na pewno nie pozwolono by na nie w teatrze. I wykwintne towarzystwo cisnęło się u śmiałych pań domu, ekscentryczek i cudzoziemek, takich jak księżna, które nie cofały się przed żadną atrakcją.

Gdy Piotr wyjaśnił małemu Massot, że trzodzi się wciąż w tej samej sprawie, ten, bardzo uprzejmie, natychmiast ofiarował się mu za przewodnika. Znał rozkład domu, przeprowadził go drugim wejściem, potem korytarzem aż do zakątka w westybulu, tuż u wejścia do dużego salonu. Wysokie zielone rośliny zdobiły westybul, było się tu prawie niewidocznym.

- Proszę się stąd nie ruszać, drogi księżę. Jeżeli mi się uda, wydobędę księdzu tę księżnę choćby spod ziemi. I dowie się ksiądz, czy baronowa Duvillard już przyjechała.

Piotr ze zdziwieniem spostrzegł, że cały pałac jest szczelnie zamknięty, okna pozasłaniane, najmniejsze szczeliny utkane, aby nie przedostała się jasność dnia, natomiast wszystkie pokoje jarzą się od lamp elektrycznych o nadzwyczajnej mocy. Było już bardzo gorąco, mocny zapach kwiatów i kobiecych perfum obciążał powietrze i Piotrowi, oślepijonemu, duszącemu się, wydało się, że wszedł w rozpustną głąb jednej z tych spelunek ciała, których wizję urzeczywistnia bawiący się Paryż. Teraz, stanąwszy na palcach, zobaczył przez otwarte drzwi salonu plecy kobiet już siedzących, rzędy karków blondynek i brunetek. Widocznie Mauretanki tańczyły pierwszy numer. Nie widział ich, ale mógł śledzić rozwiązyły żar ich tańca w drzeniu tych wszystkich karków, które kołysały się jak na mocnym wietrze. Potem rozległy się śmiechy, burza braw, pełen zachwyty gwar.

- Niepodobna *znaleźć* księżny, musi ksiądz trochę poczekać - z tymi słowami wrócił Massot. - Spotkałem Janzena i on przyrzekł mi tu ją przyprowadzić... Ksiądz nie zna Janzena?

I zaczął plotkować, z fachu i dla przyjemności. Księżna była jedną z jego dobrych przyjaciółek. On właśnie napisał sprawozdanie z jej pierwszego przyjęcia, jakie urządziła przed rokiem, gdy zamieszkała w tym pałacu po przyjeździe do Paryża. Znał

o niej najprawdziwszą prawdę, o ile można ją było w ogóle znać. Możliwe, że była bogata, gdyż wydawała ogromne sumy; zapewne była zamężna, i to za autentycznym księciem; była więc mężatką, chociaż opowiadała o swoich wdowieństwie, mówiono bowiem, że jej mąż, piękny jak archanioł, wojażował z jakąś śpiewaczką. Jedno natomiast nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jako rzecz pewna i oczywista, że była postrzelona i narwana. Bardzo poza tym inteligentna, miała ciągłe a niespodziane fantazje. Niezdolna do dłuższego wysiłku, wędrowała od jednej osobliwości do drugiej, nigdzie się dłużej nie zatrzymując. I tak, zająwszy się niesłuchanie malarstwem, zapaliła się potem do chemii. A teraz dała się porwać poezji.

- Jak to, ksiądz nie zna Janzena? Przecież to Janzen pchnął ją ku chemii, a przede wszystkim ku studiom nad materiałami wybuchowymi, bo dla niej, jak się ksiądz domyśla, chemia

o tyle tylko jest interesująca, o ile służy anarchii... Ona, jak sędzę, jest z pochodzenia Austriaczką, chociaż należy wątpić w daną rzecz z chwilą, gdy ona ją stwierdza. Co do Janzena, on głosi, że jest Rosjaninem, ale to chyba Niemiec... O, to człowiek bardzo powściągliwy, ogromnie zagadkowy, bez miejsca zamieszkania, może bez nazwiska, groźny jegomość o nieznannej przeszłości, o nieznanym życiu. Osobiście rozporządzam dowodami, które pozwalają mi przypuszczać, że brał udział w strasznym zamachu w Barcelonie. W każdym razie już przeszło rok spotykam go w Paryżu i zapewne policja ma go już na oku.

I stanowczo twierdzę, że tylko dlatego został kochankiem naszej zwariowanej księżny, aby zmylić policję. Udaje, że żyje tu sobie wesoło, wprowadził do księżny przedziwnych jakichś ludzi, anarchistów wszelakich narodowości i odcieni; ot, proszę, choćby taki Raphanel, ten niski, pulchny i wesoły jegomość, albo tamten, Francuz, któremu towarzysze słusznie odmówiliby swego zaufania, czy znowu Bergaz, Hiszpan, jak mi się zdaje, mętny spekulant giełdowy, którego grube, lubieżne usta robią tak niepokojące wrażenie, i wielu innych awanturników i bandytów, co się tutaj zbiegli z czterech stron świata... Ach, te kolonie cudzoziemców u nas: parę pięknych nazwisk bez zmały, parę prawdziwych wielkich fortun, a poza tym, cóż za zgraja!

Tak właśnie przedstawiał się salon Rozamundy: wspaniale brzmiące tytuły, prawdziwi miliarderzy, a dalej, poniżej, najbardziej dziwaczna mieszanina kłamstw i międzynarodowych szumowin. I Piotr zastanawiał się nad tymi internacjonalizmem, nad tym kosmopolityzmem, myślał o chmarze cudzoziemców, która, wciąż gęstniejąca, spada na Paryż. Oczywiście przybywali tu, aby używać, jak do miasta przygód i radości, i demoralizowali je jeszcze

bardziej. Czy jednak konieczne było owo zepsucie wielkich miast, które rządziły światem, ten napływ wszelkich namiętności, pożądań, zaspokojień, ten nawóz nagromadzony, przyniesiony z całego świata, na miejsce, gdzie rozkwita pięknem i inteligencją kwiat cywilizacji?

Ale nadszedł Janzen, wysoki, szczupły młodzieniec lat około trzydziestu, bardzo jasny blondyn, o szarych oczach, bladych i zimnych, ze spiczastą brodą, o włosach krętych i długich, wydłużających jeszcze jego twarz blada, jak gdyby skapaną we

mgle. Mówił dość źle po francusku, głosem cichym, bez jednego gestu. I powiedział, że księżny niepodobna odnaleźć, choć szukał jej wszędzie. Możliwe, że ktoś się jej nie spodobał, więc poszła na górę zamknąć się w swoim pokoju i położyć do łóżka, porzucając gości, aby bawili się u niej swobodnie, jak im przyjdzie ochota.

- Ale otóż i ona! - rzekł nagle Massot.

Istotnie Rozamunda stała w westybulu, jak gdyby na kogoś czekała. Nieduża, drobna, raczej oryginalna niż ładna, z subtelną twarzą, oczyma koloru, morskiej wody, noskiem delikatnym i wrażliwym, o wargach trochę zbyt wydatnych i krwistych, ukazujących wspaniałe zęby, miała tego dnia suknię bladoniebieską naszywaną srebrnymi blaszkami, srebrne bransolety, srebrną opaskę w popielatoblond włosach, których runo spływało w puklach, w lokach, w niesfornych kosmykach, jak gdyby fruwały pod ciągłym tchnieniem wiatru.

- Ależ wszystko, czego ksiądz sobie tylko życzy - rzekła do Piotra, gdy się dowiedziała, o co mu chodzi. - Jeżeli nie wezmą księdzu tego starca do naszego Schroniska, w takim razie proszę przysłać go do mnie, ja go przyjmę i położę tutaj.

Wciąż była podniecona i nieustannie patrzyła na drzwi. A gdy ksiądz zapytał ją, czy pani baronowa Duvilland już przyjechała, księżna zawołała:

- Jeszcze nie! Widzi mnie ksiądz ogromnie tym zdziwioną. Ma przywieźć z sobą córkę i syna... Hiacynt wczoraj uroczyście przyrzekł mi, że przyjdzie.

Był to jej nowy kaprys. Pomimo namiętności do chemii znalazła jeszcze czas i miejsce na rodzące się zamięłowania do poezji dekadencjonalnej i symbolicznej, a to dlatego, że pewnego dnia, rozmawiając o okultyzmie z Hiacyntem, odkryła w nim nadzwyczajne piękno, astralne piękno wędrującej duszy Nerona.

Przynajmniej ona utrzymywała, że istnieją niewątpliwe oznaki tego faktu.

Nagle porzuciła Piotra.

- Ach, nareszcie! - szepnęła z ulgą, szczęśliwa.

I szybko podbiegła. Hiacynt wchodził wraz z siostrą Kamilą. Ale już w progu spotkał przyjaciela, dla którego tu przyszedł, młodego lorda Elson, efebą gnuśnego i bladego, o dziewczęcej

czuprynie, toteż zaledwie raczył dostrzec czule przywitanie Rozamundy; głosił bowiem, że kobieta jest zwierzęciem nieczystym i podłym, kalającym zarówno inteligencję, jak ciało. Zrozpaczona tą oziębłością, księżna, towarzysząc dwóm młodym ludziom, weszła znów w intensywną woń i oślepiający żar salonu.

Massot był tak uprzejmy, że zatrzymał Kamilę, aby przyprowadzić ją do Piotra, który od pierwszych słów stracił wszelką nadzieję..

- Jak to, proszę pani, szanowna matka pani nie przyjechała tutaj wraz z panią? Dziewczyna, ubrana swoim zwyczajem w ciemną suknię pawiego koloru, była zdenerwowana, miała złe oczy, głos świszczący. I gdy ze wściekłością prostowała drobną figurkę, jej kalectwo stawało się jeszcze bardziej widoczne, lewe ramię było wyższe od prawego.

- Nie, nie mogła... Miała miarę u krawca. Zamarudziliśmy na wystawie, więc zmusiła nas, abyśmy ją zawieźli pod drzwi Salmona i przyjechali tutaj. Właśnie ona, Kamila, zręcznie przeciągnęła ich bytność na wystawie, mając jeszcze nadzieję, że uda się jej przeszkodzić schadzce przy ulicy Matignon. Powodem jej wściekłości była zręczność, z jaką matka mimo wszystko pozbyła się jej za pomocą kłamstwa, że ma zamówioną miarę.

- Ale - rzekł naiwnie Piotr - gdybym natychmiast poszedł do owego Salmona, może udałoby mi się doręczyć jej ten bilet?

Dziewczyna ostro się zaśmiała, tak zabawny wydał się jej ten pomysł.

- Ach, nie wiadomo, czyby ją ksiądz tam zastał. Miała jeszcze inne pilne spotkanie i na pewno już się tam udała.

- A zatem, mój Boże, będę jej tutaj oczekiwał. Na pewno przyjedzie do państwa, prawda?

- Po nas, o, nie, mówię przecież księdzu, że ma coś do załatwienia, jakieś inne jeszcze, bardzo ważne spotkanie. Powóz ma nas zabrać samych, mego brata i mnie.

I jej bolesna ironia przepajała się coraz większą goryczą. Ten ksiądz, zadający naiwne pytania, które jak nóż drażyły w jej sercu, nic nie rozumiał.. A przecież musiał wiedzieć, bo wszyscy o tym wiedzieli!

- Ach, jakaż to dla mnie przykrość - mówił dalej, istotnie tak zmartwiony, że łzy napływały mu do oczu. - Wciąż chodzi

o tego biednego starca, którego sprawę usiłują załatwić już od rana. Mam tutaj parę słów od ojca pani, a pan Gerard powiedział mi...

Tutaj zamieszkał się, bo w swej boskiej niedbałości o sprawy świata, mając umysł opanowany jedną tylko namiętnością, żądzą miłosierdzia, teraz dopiero nagle przejrzał.

- Tak, niedawno znów .widziałem się z ojcem pani oraz z panem de Quinsac...

- Wiem, wiem - rzekła z bolesną i szyderczą miną jak dziewczyna, która wie wszystko. - A więc, jeżeli ksiądz znowu zwrócił się do mego ojca i ma od niego parę słów do mamy, powinien ksiądz poczekać, aż ona załatwi swoje sprawy... Czasami trwa to długo. Mógłby ksiądz przyjść do nas około godziny szóstej, ale wątpię, czy ją ksiądz zastanie, bo tamta sprawa może się przeciągnąć.

Jej mordercze oczy błyszczały, słowa jej miały w sobie dzikość straszliwej drwiny, były jak noże, którymi miała ochotę przebić wciąż jeszcze uroczą szyję matki. Na pewno nigdy jeszcze nie czuła do niej tak wielkiej nienawiści, zazdrosna o jej urodę, o jej radość, o szczęście, jakiego zażywała będąc kochaną. Ironia wyrażona jej dziewiczymi wargami wobec tego czystego kapłana była jak fala utajonego błota, w którym chciała utopić tamtą.

Ale powróciła do nich Rozamunda, gorączkowo ożywiona, jakby nieustannie unoszona podmuchem wichru. Zabrała z sobą Kamilę.

- Ależ, moja droga, chodź już wreszcie. One są nadzwyczajne, urocze, upajające! Janzen i mały Massot poszli za księżną. Wszyscy mężczyźni nadbiegali z sąsiednich pokoi, potracając się i tłocząc do salonu, na wieść, że Mauretanki tańczą znowu. Tym *razem*, miały wykonać galop, głośny już w całym Paryżu, frenetyczną gonitwę, podczas której skakały i rżały jak klacze gnane pożądaniem;

i Piotr zobaczył znów oscylujące i wykręcające się rzędy głów, karki jasnowłosych i ciemnowłosych kobiet, po których zdawał się przebiegać wichry. Przy zamkniętych oknach blask elektrycznych lamp niecił istny żar dymiący wonią ciała. I panował powszechny zachwyt, odzywały się brawa, śmiechy, wzbierające rozkoszą i wyuzdaniem.

Gdy Piotr znowu znalazł się na ulicy, przez chwilę stał osłupiały, mrugając powiekami, zdziwiony, że znów dokoła jest biały dzień. Dochodziło wpół do czwartej, miał przed sobą prawie dwie godziny oczekiwania, wcześniej nie mógł udać się do pałacu przy ulicy Godot-de-Mauroy. Co robić? Zapłacił woźnicy, bo wolał dojść do Pól Elizejskich pieszo, powoli, żeby jakoś zabić czas. Może to uspokoi gorączkę, od której płonęły mu ręce, a którą wywołała namiętność miłosierdzia, jaka od rana stopniowo opanowywała go na nowo, w miarę jak napotykał coraz nowe przeszkody. Teraz jednego tylko pragnął: ukończyć to dobre dzieło, które w tej chwili wydawało mu się już bliskie urzeczywistnienia. I starał się zwalniać kroku, iść jak na przechadzkę przez wspaniałą aleję, która jasne słońce właśnie osuszyło, a tłum rozweselał pod znowu niebieskim niebem, pod jasnym wiosennym błękitem.

Należało jakoś wypełnić te dwie godziny, a tymczasem tam, na łachmanach, w lodowatej norze konał nieszczęsny Laveuve. Uczucie nagłego buntu, fale przemożnej niecierpliwości ogarniały Piotra, wstrząsały nim nakazując mu biec, natychmiast odnaleźć baronową Duvillard, uzyskać od niej zbawczy nakaz. Domyślał się, że była gdzieś w pobliżu, w jednej z tych zacisznych ulic, i jakież wzburzenie i rozpaczliwy gniew budziła w nim świadomość, że chcąc ocalić życie ludzkie musi tak czekać, aż ona załatwi wreszcie tę sprawę, o której córka jej mówiła z tak morderczym wyrazem oczu! Zdawało mu się, że słyszy ogromny łoskot, że to wali się mieszczańska rodzina: ojciec u dziewczki, matka w ramionach kochanka, brat i siostra wiedzą o wszystkim, on skłania się do idiotycznych perwersji, ona, wściekła, marzy, aby wydrzeć matce kochanka i uczynić go swoim mężem. A tymczasem powozy mknęły triumfalną aleją, wystrojony tłum płynął bocznymi ulicami i cały ten świat był radosny i wspaniały, i nikt zdawał się nie myśleć o tym, że gdzieś tam istnieje kres,

ziewająca przepaść, do której wszyscy mieli się stoczyć i zginać.

Gdy Piotr znalazł się koło Cyrku Letniego, zdziwił się ujrawszy znowu na jednej z ławek Salvata. Robotnik widocznie przyszedł tutaj usiąść po wielu daremnych poszukiwaniach, udreńczony zmęczeniem i głodem. Ale pod jego bluzą wciąż widać było jakąś wypukłość, zapewne kawałek chleba, który niósł do domu.

Rozparty, z bezsilnie opadającymi ramionami, patrzył oczyma marzyciela na bawiące się małe dzieci, które tuż przed nim pracowicie usypywały łopatkami

pagórki z piasku, a potem jednym kopnięciem je burzyły. Zaczerwienione powieki Salvata zwilżyły się łzami, bezmiernie łagodny uśmiech ukazał się na żalonych, bezbarwnych wargach. Tym razem Piotr, ogarnięty niepokojem, chciał podejść do niego, wypytać go. Ale Salvat, nieufny, wstał i odszedł w stronę Cyrku, w którym kończył się jakiś koncert; i powłókł się pod bramę przybytku zabawy, gdzie dwa tysiące ciasno stłoczonych szczęśliwców słuchało muzyki.

V

Gdy Piotr dochodził do placu de la Concorde, nagle przypomniał sobie o spotkaniu, jakie wyznaczył mu ksiądz Rose na godzinę czwartą w Madeleine, o czym zapomniał w gorączce swoich starań. Był już spóźniony, przyspieszył więc kroku, szczęśliwy ze spotkania, które mogło zająć go i skrócić oczekiwanie. Gdy wszedł do kościoła, zdziwił się, że panowała tam już niemal noc. Płonęło tylko parę świec, nawę zalegały wielkie cienie; i w tyra połowicznym mroku nieustannie rozbrzmiewał bardzo donośny i wyraźny głos; w pierwszej chwili z licznego audytorium widać było jedynie blade i niewyraźne skupisko głów, znieruchomiałych w oczekiwaniu. To monsignor Martha kończył na kazalnicy trzecią konferencję o „Nowym duchu”. Dwie pierwsze zyskały sobie szeroki rozgłos. I był tu cały Paryż, panie z towarzystwa, politycy, pisarze, zwabieni talentem krasomówczym, wymową zręczną i gorącą, szerokimi gestami wielkiego aktora.

Piotr nie chciał mącić skupionej uwagi, drżącej ciszy, w której brzmiały tylko słowa kapłana. Wstrzymał się więc z odszukaniem księdza Rose, stanął pod filarem. Resztką dziennego światła, ukośny i zamierający- blask od okna oświetlał właśnie mówcę, wysokiego i tęgiego, w białej komży, zaledwie lekko siwiejącego, chociaż przekroczył już pięćdziesiątkę. Miał piękne rysy, oczy czarne i żywe, władczy nos, a zwłaszcza podbródek i usta o bardzo zdecydowanym rysunku. Ale uderzał w nim przede wszystkim i jednał mu serca stały wyraz życzliwości i ogromnego ciepła, który łagodził jego władczą twarz.

Piotr znał go w czasie, gdy był on proboszczem u Świętej Klotyldy. Zapewne z pochodzenia Włoch, ale urodzony w Paryżu, chlubnie ukończył Saint-Sulpice; był to człowiek bardzo inteligentny, bardzo ambitny, obdarzony energią, która zaczęła nawet niepokoić jego zwierzchników. Później, mianowany biskupem Persepolis, zniknął, spędził pięć lat w Rzymie, zajęty pracami, o których nic nie było wiadomo. I od chwili swojego powrotu zadziwiał Paryż umiejętną propagandą, zajmował się mnóstwem spraw i cieszył się wielkimi względami w arcybiskupstwie, gdzie zyskał ogromne wpływy.

Ale przede wszystkim zajmował się z cudownym skutkiem wzmożeniem subskrypcji na dokończenie budowy bazyliki Sacré--Coeur. Niczego nie zaniedbywał: ani podróży, ani wykładów, ni kwesty, ani starań u ministrów, a nawet u żydów i masonów. W ostatnich czasach rozszerzył jeszcze sferę swej działalności i usiłował pogodzić wiedzę z katolicyzmem, zjednoczyć całą Francję katolicką z republiką, głosząc wszędzie teorie polityczne Leona XIII ku ostatecznemu triumfowi Kościoła.

Pomimo względów okazywanych mu przez tego wpływowego i uprzejmego człowieka, Piotr wcale nie żywił dla niego sympatii. Za jedno tylko był mu wdzięczny, za nominację zacnego księdza Rose na wikarego u Świętego Piotra na Montmartre, zapewne w intencji, aby nie dopuścić do skandalu - ukarania starego kapłana za to, że był zbyt miłosierny. I gdy talk nań patrzył, gdy słuchał, jak przemawia ze słynnej katedry w kościele Madeleine, kontynuując swoją zdobywcą kampanię, przypomniał go sobie u Duvillardów, ostatniej wiosny, gdy doprowadził do skutku, ze zwykłym swoim mistrzostwem, nawrócenie Ewy na katolicyzm - jego najpiękniejszy triumf. Chrzest odbył się w tym właśnie kościele, była to ceremonia o niezwyklej wspaniałości, prawdziwa gala, wyprawiona dla publiczności biorącej udział we wszystkich wielkich wydarzeniach paryskich. Gerard klęczał, wzruszony do łez, baron zaś promieniał jako dobry mąż, szczęśliwy, że religia ustala wreszcie doskonałą harmonię jego małżeńskiego pożycia. W grupkach opowiadano sobie, że rodzina Ewy, stary Justus Steinberger, jej ojciec, w głębi duszy niezbyt przejął się całą tą historią, że szydząc powiadał, iż zna na tyle córkę, aby *życzyć* jej za żonę swemu najgorszemu wrogowi. W banku bywają walory, które chętnie widzi się eskontowane w konkurencyjnej firmie.

Widocznie, uparcie wierząc w zwycięstwo swojej rasy, pocieszał się po zawodzie, jaki przyniosło mu jego pierwsze obliczenie, mówił sobie, że taka kobieta jak Ewa jest w rodzinie chrześcijańskiej skutecznym środkiem rozkładu, którego działanie sprawi, iż wszystek pieniądz i cała potęga przejdą w ręce Żydów. Ale wizja zniknęła, głos monsignora Marthy rozlegał się ze wzrastającą siłą, sławiąc wśród przejętych słuchaczy dobrodziejstwa nowego ducha, który miał wreszcie przynieść Francji pokój, zwrócić jej należne miejsce w świecie i siłę. Czyż wszędzie dokoła nieomylnie znaki nie wieściły tego zmartwychwstania? Nowy duch było to przebudzenie ideału, protest duszy przeciwko przyziemnemu materializmowi, triumf spirytualizmu nad plugawą literaturą; a również wiedza zaakceptowana, lecz zaraz umieszczona na właściwym miejscu, pogodzona z wiarą, od chwili gdy nie zamierzała już wkraczać w jej świętą dziedzinę; była to również demokracja przyjęta po ojcowsku, uprawniona republika, z kolei uznana za ukochaną córkę Kościoła. Powiało tchnieniem sielanki, Kościół otwierał serce wszystkim swoim dzieciom, istniałaby już tylko zgoda i radość, gdyby lud, posłuszny nowemu duchowi, uległ nauczycielowi miłości - jak ulegał swoim królom - uznając jedyną władzę Boga, absolutnego władcy ciał i dusz. Teraz Piotr słuchał z uwagą i zastanawiał się, gdzie słyszał już identyczne niemal słowa. I nagle przypomniał sobie; wydała mu się, że słucha w Rzymie monsignora Nani podczas ostatniej rozmowy, jaką ze sobą odbyli. Odnajdował tam marzenia papieża-demokraty, odwracającego się od zagrożonych monarchii, usiłującego zdobyć sobie lud, Czy skoro Cezar został obalony, papież nie mógłby zrealizować- ambicji świeckiej, być cesarzem i kapłanem, Bogiem dla całego świata, skupiającym w swoim ręku najwyższą władzę? Było to marzenie, które on sam w swojej humanitarnej naiwności apostoła snuł niegdyś, pisząc swoją *Dobrą nowiną*, a z którego rzeczywisty Rzym tak brutalnie go uleczył. W gruncie rzeczy ta księga polityka, mająca za sobą wieki, wytrzymała,

zaciekle i niesłychanie zręczna w podboju, zdecydowana korzystać ze wszystkiego, była po prostu polityką obłudnego kłamstwa, i niczym więcej. I cóż za ewolucja: Kościół przychodzący do wiedzy, do demokracji, do republik, w przekonaniu, że je pochłonie, jeżeli tylko zostawi mu się na to dość czasu. Ach, tak! Nowy duch to odwieczny duch panowania, który wciąż się odradza, wciąż z tym samym głodem zwycięstwa i władania światem!

Piotrowi wydało się, że wśród słuchaczy rozpoznaje paru deputowanych, których widział dziś w Izbie. Czyż ten wysoki pan o jasnej brodzie, który słuchał z tak nabożną miną, nie był kreaturą Monferranda? Mówiono, że Monferrand, niegdyś zaciekle antyklerykał, obecnie kokietował duchowieństwo. Wielka potajemna ewolucja zaczynała się w zakryściach, krążyły hasła pochodzące z Rzymu, chodziło o to, aby się sprzymierzyć z nowym rządem i aby go wchłonąć podporządkowując sobie. Francja wciąż była najstarszą córką Kościoła, jedynym narodem dość zdrowym, dość silnym, aby kiedyś na nowo utwierdzić papieża w jego doczesnym panowaniu. Trzeba ją więc było mieć dla siebie, zasługiwała, aby ją poślubić, choćby republikańską. W tej zaciętej walce ambicji wśród dyplomatów, biskup posługiwał się ministrem, który znów sądził, że wspieranie się na biskupie leży w jego interesie. I który z nich pożre drugiego? I do jakiej roli schodziła religia, broń wyborcza, zapewniająca sumę głosów potrzebną do uzyskania większości, racja tajemna i decydująca, czy ktoś otrzyma lub zachowa tekę ministerialną! Tylko miłosierdzia boskiego w tym nie było - gorycz zalała serce Piotra na myśl o niedawnej śmierci kardynała Bergerot, ostatniego z wielkich, świętych, czystych duchów episkopatu francuskiego, gdzie teraz, jak mu się wydało, byli już tylko intryganci i głupcy. Tymczasem konferencja dobiegała końca. Monsignor Martha w płomiennym zakończeniu ukazywał bazylikę Sacré-Coeur, wyniosła, na świętym Wzgórzu Męczenników, wieńczącą Paryż zbawczym symbolem Krzyża, kreślił wizję tego Paryża, który, znowu chrześcijański, stanie się panem świata dzięki wszechmocy moralnej, jaką nada mu boskie tchnienie nowego życia. Audytorium, nie mogąc oklaskiwać, wydało aprobowany pomruk zachwytu, uszczęśliwione z tego cudownego kresu, który zapewniał spokój interesom i sumieniom. Następnie monsignor Martha z godnością opuścił kazalnicy, a głośny hałas odsuwanych krzeseł zmałował czarny spokój kościoła, słabo oświetlonego paroma świeczkami, błyskającymi jak pierwsze gwiazdy na wieczornym niebie. Tłum mglistych i szepczących cieni wyszedł całą falą. Zostały tylko jakieś kobiety, które modliły się klęcząc.

Piotr, nieruchomy, podniósł się na palce, chcąc wypatrzeć księdza Rose, gdy dotknęła go czyjaś ręka. Był to stary kapłan, który zobaczył go z daleka. - Stałem tam, koło kazalnicy, i doskonale cię widziałem, drogie dziecko. Ale wolałem poczekać i nie przeszkadzać innym... Cóż za piękne przemówienie, jak pięknie mówił wielebny Martha!

Istotnie wydawał się bardzo wzruszony. Ale wielki smutek osiadł na jego pełnych dobroci ustach, w jego jasnych oczach dziecka, choć zazwyczaj uśmiech rozjaśniał tę łagodną, okrągłą, bardzo białą twarz.

- Bałem się, że wyjdiesz nie zobaczywszy się ze mną, a mam ci coś powiedzieć... Wiesz, ten biedny stary człowiek, do którego wysłałem cię dzisiaj rano i prosiłem, abyś się nim zajął... Otóż wróciwszy do domu zastałem pewną damę, która przynosi mi czasem trochę pieniędzy dla moich biedaków. I wtedy pomyślałem, że trzy franki, które ci wręczyłem, stanowiły zbyt drobne wsparcie; a ponieważ myśl ta nie dawała mi spokoju, jak wyrzut sumienia, nie mogłem się jej oprzeć i po południu poszedłem na ulicę des Saules...

Zniżył głos przez uszanowanie, aby nie mącić głębokiego, grobowego milczenia w kościele. Tłumiony wstyd również sprawiał, że się jąkał, wstyd, że znowu popełnił grzech nieroztropnego ślepego miłosierdzia, co mu tak za złe mieli jego zwierzchnicy. Dokończył bardzo cicho, z drżeniem:

- I wyobraź sobie, synu, moje zmartwienie... Chciałem dać temu biednemu człowiekowi pięć franków i... znalazłem go martwym.

Piotr zadrżał, wstrząśnięty nagłym dreszczem. Nie mógł jeszcze zrozumieć.

- Jak to, martwym? Ten starzec umarł, Laveuve umarł?

- Tak, zastałem go martwym, ach, w jakże straszliwej nędzy! Jak stare zwierzę, które poszło zdychać na kupie szmat, na dnie jamy. Nikogo z sąsiadów przy nim, po prostu odwrócił się do ściany... I cóż za nagość, jakie zimno, jakie opuszczenie, jaki ból dla biednego człowieka... odejść w ten sposób, bez serdecznego słowa. Ach, serce mi się krajało na tę myśl i dotąd jeszcze krwawi! Piotr, przerażony, zdobył się tylko na gest buntu przeciwko głupiemu społecznemu okrucieństwu. Czy sprawił to ów chleb zostawiony przy nieszczęśliwym, na który może rzucił się zbyt łakomie po długich dniach głodu? A może raczej był to nieunikniony kres egzystencji, zmarnowanej, zrujnowanej pracą i niedostatkiem? A zresztą, czy ważna była przyczyna? Przyszła śmierć i wyzwoliła nieszczęśnika.

- Ja nie jego żałuję - szepnął wreszcie - lecz nas, nas wszystkich, którzy przy tym jesteśmy, którzy ponosimy odpowiedzialność za tę ohydę.

Ale już zacny ksiądz Rose zdobył się na rezygnację, pragnąc jedynie przebaczenia i nadziei.

- Nie, nie, mój synu, bunt jest złą rzeczą. Jeżeli nawet wszyscy ponosimy winę, możemy tylko błagać Boga, aby zapomniał nam. nasze grzechy... Wyznaczyłem ci tutaj spotkanie w nadziei na dobrą nowinę i oto ja przychodzę obwieścić ci tę okropną rzecz... Uczyńmy pokutę, módlmy się.

I ukląkł na płytach koło filaru, za modlącymi się tam kobietami, czarnymi i niewyraźnymi w mroku. Pochylił białą głowę i długo się korzył.

Ale Piotr nie mógł się modlić, taka szumiała w nim burza. Nie ugiął nawet kolan; stał drżący. Serce jego było jak zmiążdżone, w płomiennych oczach nie było już łez. Laveuve umarł tam, leżąc na śmietniku z gałganów, z zaciśniętymi pięściami, uparcie pragnąc utrzymać się przy swoim udręczonym życiu, w tym czasie gdy on, na nowo ogarnięty płomieniem miłosierdzia, z apostołską gorliwością przemierzał Paryż, chcąc mu zdobyć na noc czyste i zbawcze łóżko! Cóż za okrutna ironia! Gdy starzec konał, on był zapewne u Duvillardów, w ciepłym niebiesko-srebrnym salonie; i dla takiego nędznego zmarłego on, Piotr, biegał później do Izby, do pani de Quinsac, do

Sylwiany i do Rozamundy; i dla tego wyzwolonego z życia, uciekiniera od nędzy, on trudził ludzi, niepokoił egoizmy, mącił spokój jednych, zagrażał rozkoszom innych! Po cóż było biec od jaskini parlamentu do zimnego salonu, gdzie marzył, pył przeszłości, od mieszczańskiej rozpusty do kosmopolitycznej ekstrawagancji, skoro zawsze przychodziło się za późno, ratując ludzi, kiedy byli już martwi! Jakie to śmieszne, że raz jeszcze pozwolił, aby ogarnął go ten wielki płomień miłosierdzia, ostatni pożar, po którym teraz czuł już w sobie tylko popiół! Tym razem siebie uważał za martwego, był już tylko pustym grobowcem. I cała ta straszliwa pustka, ta nicość, którą odczuł dziś rano W Sacré-Coeur po odprawieniu mszy, drażyła w nim jeszcze większą otchłań, odtąd już bezdenną. Wraz ze złudnym, bezużytecznym miłosierdziem padała w gruzy Ewangelia, koniec Księgi był bliski. Po wiekach upartych prób odkupienie przez Chrystusa ponosiło klęskę, trzeba innego zbawienia dla świata wobec rozpaczliwego pragnienia sprawiedliwości, jakie nurtowało oszukane i nieszczęśliwe narody. Nie chciały już one kłamliwego rajy, którym od tak dawna usypiano krzywdę społeczną; domagały się, aby sprowadzono na ziemię zagadnienie szczęścia. Jak? Za pomocą jakiego nowego kultu? Za pomocą jakiego szczęśliwego sojuszu między poczuciem boskości a koniecznością oddania czci suwerennemu i płodnemu życiu? Tu brał początek niepokój, dręczący problem, w którym gubił się on, ksiądz, związany ślubami człowieka czystego i kapłana absurdu, wyłączony spośród ludzi.

Ale to stwierdzenie budziło tym większą grozę; przestał wierzyć w skuteczność jałmużny, nie wystarczało już być miłosiernym, odtąd trzeba było być sprawiedliwym. Przede wszystkim sprawiedliwym, a wtedy znikłaby przerażająca nędza i niepotrzebne już byłoby miłosierdzie. Na pewno nie czułych serc brakowało temu bolesnemu Paryżowi, dzieła dobroczynne wyrastały tam jak zielone liście za pierwszym podmuchem wiosny. Było ich dość dla każdego wieku, na wszelkie niebezpieczeństwa, na wszystkie nieszczęścia. Spieszono: z pomocą dzieciom, zanim się jeszcze narodziły, troszcząc się o matki; potem były żłobki, sierocińce przeznaczone dla różnych klas społecznych; dalej, otaczając opieką człowieka dorosłego, towarzyszone mu w jego życiu, krzątano się przy nim zwłaszcza, kiedy zaczynał się starzeć, mnożąc schroniska, przytułki. A prócz tego mnóstwo jeszcze rąk wyciągało się do opuszczonych, wydziedziczonych, nawet do zbrodniarzy, wszelkiego rodzaju ligi obrony słabych, stowarzyszenia mające na celu zapobieganie zbrodniom, domy dające schronienie skruszonym grzesznikom. Propaganda cnoty, patronat, opieka, pomoc, liga, trzeba by sporo miejsca, aby tylko wyliczyć tę bujną wegetację miłosierdzia, która kiełkuje spośród bruków Paryża, w pięknym porywie, gdzie dobroć duszy miesza się ze światową próżnością. Ale cóż to szkodzi! Miłosierdzie okupuje, oczyszcza wszystko. Jakże jednak straszliwym argumentem jest absolutna szydercza bezużyteczność tego miłosierdzia! Po tylu wiekach miłosierdzia chrześcijańskiego nie zagoiła się ani jedna rana, nędza jeszcze się wzmogła i zaogniła przechodząc we wściekłość. Zło, stale się pogłębiające, doprowadziło do tego, że nie można go już tolerować ani dnia dłużej, skoro niesprawiedliwość społeczna nie została przez miłosierdzie ani

wyleczona, ani zmniejszona. A zresztą czyż nie dość, że jeden starzec umarł z zimna i głodu, aby zawaliło się rusztowanie społeczeństwa zbudowanego na jałmużnie? Jedna jedyna ofiara, a skazywało to społeczeństwo na zagładę. Piotr czuł wzbierającą w nim taką falę goryczy, że nie mógł pozostać dłużej w kościele, gdzie powolny cień wciąż opadał, zagarniając sanktuaria, wielkie, blade postacie Chrystusa przybite do krzyża: Mrok miał już za chwilę wszystka pochłonać, Piotr słyszał już tylko zamierający pomruk modlitw, skargę kobiet, które się tu modliły na klęczkach, zatopione w łonie ciemności.

Jednakże zawahał się, czy ma wyjść nie powiedziawszy nic księdzu Rose, który w błaganiu pełnym naiwnej wiary odwoływał się do dobrej woli niewidzialnego, w imię szczęścia i pokoju ludzi. Bał się, że mu przeszkodzi, więc już miał się oddalić, gdy ksiądz Rose sam uniósł głowę.

- Ach, mój synu, jakże to trudno być dobrym w rozumny sposób! Monsignor Martha znów mnie strofował i gdyby nie Bóg, który mi przebaczy, drżałbym o swoje zbawienie.

Piotr chwilę przystanął pod portykiem kościoła Madeleine, na obszernym podcieniu, które panuje nad placem ponad kratami. Przed sobą miał ulicę Royale, która schodzi w dół aż do rozległych przestrzeni placu de la Concorde, gdzie wznosił się obelisk i dwa wodotryski; jeszcze dalej - blada kolumnada Izby Deputowanych zamykała widnokrąg. Była to imponująca, potężna perspektywa, pod jasnym niebem, zagarnianym przez powolny zmierzch, który poszerzał ulicę, odsuwał gmachy, nadawał im drżącą nierealność i zwiewność sennego marzenia. Żadne miasto na świecie nie miało dekoracji o tak chimerycznym przepychu i tak wzniosłej wspaniałości, w tej niepewnej godzinie, gdy zapadająca noc nadaje miastom wygląd sennego marzenia, bezkres ludzkiej nieskończoności. , Nieruchomy, niepewny w obliczu tych otwierających się przestrzeni, Piotr owładnięty przygnębieniem zastanawiał się, gdzie teraz pójdzie wobec nagłej ruiny wszystkiego, czego tak namiętnie pragnął od rana. Czy mimo wszystko uda się do pałacyku Duvillardów przy ulicy Godot-de-Mauroy? Sam nie wiedział. Potem wróciła drażniąca myśl, okrutna w swej ironii. I po co, skoro Laveuve umarł? Po co marnować czas, zbijać bruki, aby doczekać szóstej godziny? Myśl, że ma swój dom, że najprostsze byłoby tam wrócić, nie zaświtała mu nawet w głowie. Zdawało mu się, że pozostała mu jeszcze jakaś ważna rzecz do zrobienia, ale nie mógł sobie przypomnieć jaka. To coś było wszędzie, bardzo dalekie, tak niewyraźne, tak przykre, że na pewno nigdy nie zdoła sobie tego uświadomić. I z trudem odrywając stopy od ziemi, z głową pełną zamętu, schodził podcieniem, gdy nagle zapragnął przebiec przez targ kwiatowy, targ kończącej się zimy, gdzie pierwsze azalie rozkwiatały drżąc z zimna. Kobiety kupowały fiołki i róże nicejskie. Przyjrzał się kwiatom, jak gdyby zainteresował go ten przepych, czuły i delikatny. Potem uczuł nagłą zgrozę i odszedł kierując się w stronę bulwarów. - Znalazłszy się na bulwarach poszedł przed siebie, nie wiedząc, dokąd i po co. Zapadający cień wydał mu się nieoczekiwanym zjawiskiem. Podniósł oczy na niebo i zobaczył, zdziwiony, że ono blednie, bardzo łagodne, pokreślone w nieskończoność smu-

kłymi czarnymi tubami kominów; niby jakaś osobliwość, dostrzegając na wszystkich balkonach wielkie złote litery szyldów, w których umierał dzień. Nigdy dotąd nie zauważył pstrokacizny fasad, malowanych szyb, żaluzji, triumfalnych godeł, krzykliwych afiszów, wspaniałych sklepów, mających w sobie niedyskrecję salonów i sypialni, wystawionych na pełne światło. A na jezdni, wzdłuż chodników, pomiędzy kolumnami i kioskami, niebieskimi, czerwonymi i żółtymi, cóż za tłok, jaka niezwykła ludzika ciżba! Powozy toczyły się z szumem rzeki; ze wszystkich stron wzbierający przyływ i odpływ dorożek przecinały ociężałe poruszające się wielkie omnibusy, podobne do jasno oświetlonych statków o wysokich burtach; a tymczasem strumień pieszych płynął nieustannie, z dwóch stron, w nieskończoność, aż pod koła, w zdobywczym pośpiechu poruszonego mrowiska. Skąd brali się wszyscy ci ludzie? Dokąd dążyły wszystkie te pojazdy? Jakie to dziwne i straszne! I Piotr szedł wciąż przed siebie, jak automat, ponoszony czarnymi myślami. Nadchodziła noc, zapalano pierwsze latarnie gazowe, był to zmierzch paryski, pora, gdy nie zapadły jeszcze ciemności, gdy żarówki elektryczne płoną w zamierzającym świetle dnia. Ze wszystkich stron błyskały iskry lamp, sklepy oświetlały swoje wystawy. Wkrótce bulwary miały ponieść na sobie gwiazdy powozów, niczym ruchoma droga mleczna, pomiędzy dwoma chodnikami płonącymi od latarni, lamp, żyrandoli, w oślepiającym przepychu równym pełnemu słońcu. I w okrzykach woźniców, w tłoczeniu się pieszych pobrzmiwał ostatni pośpiech Paryża interesów i namiętności, bezlitosna walka o miłość i pieniądze. Ciężki dzień był skończony, Paryż rozkoszy zapalał światła, zaczynało się święto nocy. Kawiarnie, winiarnie, restauracje szumiały, wystawiały na pokaz za wysokimi, nie osłoniętymi szybami kontuary z jasnego metalu, małe białe stoliki, a pokusę pięknych owoców i koszyków z ostrygami u swoich drzwi. I ów Paryż, który budził się oto przy pierwszych latarniach gazowych, ogarnięty już był wesołością używania, nabierał szalonego apetytu na to wszystko, co można kupić.

Nagle Piotra o mało nie przewrócono na ziemię. Stadem wypadli kolporterzy gazet i rzucili się poprzez tłum, wykrzykując tytuły wieczornych dzienników. Ogłuszający hałas czynili przede wszystkim sprzedawcy ostatniego wydania „Głosu Ludu”, tłumiąc nawet huk pojazdów. Ochryple głosy wołały i powtarzały w równych odstępach czasu: „Czytajcie «Głos Ludu»! Nowy skandal Afrykańskich Kolei Żelaznych! Upadek rządu, trzydziestu dwu zaprzędanych w Izbie Deputowanych i w Senacie!” A na egzemplarzach gazety, którymi potrzęsali jak sztandarami, można było przeczytać te same tytuły wypisane ogromnymi literami. Tłum nie ustawał w pędzie, nie zwracając na to większej uwagi, przywykły do tego błota, przesycony niktzemnością. Niektórzy przystawali, kupowali dziennik, a tymczasem dziewczki, które wyszły, aby polować na obiad, zamiatając bruk spódnicami, czekały na przygodnego kochanka, kątem oka lustrując tarasy kawiarni. I szkalujący głos dzienników, krzyk, który plamił i policzkował, wydawał się podzwonnym dnia, oznajmiającym pogrzeb narodu, u progu rozpoczynającej się nocy rozkoszy.

Wówczas Piotr znowu przypomniał sobie o *swoim* poranku, o przerażającym domu przy ulicy des Saules, gdzie nagromadziło się tyle nędzy i tyle cierpienia. Znow ujrzał podwórze błotniste jak dół kloaczny, cuchnące schody, brudne mieszkania, lodowate i nagie, rodziny wydzierające sobie strawę, której nie zechciałyby bezpieczeństwa psy, matki o wyschłej piersi, z płaczącymi niemowlętami na rękach, starców, którzy padli w kącie jak bydłota i na kupie śmieci umierali z głodu. A potem stanął mu przed oczyma cały jego dzień, wspaniałość, spokój i wesołość salonów, jakie przebiegał, cały bezczelny zbytek Paryża finansów, Paryża politycznego i światowego. I teraz dotarł w końcu, o zmierzchu do Paryża Gomory, do Paryża Sodomy, zapalającego swoje światła na noc, na ohydę tej nocy-wspólniczki, której drobny popiół wolno przysypywał bezmiar dachów. I ohydna potworność tego widowiska wołała o pomstę pod bladym niebem, gdzie iskrzyły się pierwsze gwiazdy, czyste i drżące.

Piotra przejął silny dreszcz w obliczu tego nagromadzenia nieprawości i cierpień, wszystkiego, co działo się w dole, wśród nędzy i zbrodni, wszystkiego, co działo się w górze, wśród bogactwa i występku. Burżuazja, pochwycawszy władzę, nie chciała nic uronić ze zdobytej suwerenności, którą skradła cała, a tymczasem lud, zawsze oszukany, wielki niemowa, szemrał i zaciskał pięść domagając się należnej mu części. I to była ta ohydna niesprawiedliwość, która wypełniała gniewem rodzący się cień. Z której chmury w łonie ciemności miał uderzyć grom? Oczekiwał go już od. lat, tego mścielskiego gromu zwiastowanego przez głuchy hałas na wszystkich krańcach horyzontu. Dlatego napisał swą księgę niewinności i nadziei, dlatego w prostocie swej udał się do Rzymu, aby uśmierzyć ten przerażający wybuch. Ale wszelka nadzieja umarła w jego sercu, czuł, że grom jest nieunikniony, nic już teraz nie mogło odwlec katastrofy. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak bliska wobec szczęśliwego bezwstydu jednych i rozpaczliwej nędzy innych. I wzbierała, i miała niezawodnie wybuchnąć nad tym Paryżem ruin i prowokacji, który z nastaniem wieczoru rozniecał swoje palenisko.

W chwili gdy znalazł się na placu Opery, osłabły ze zmęczenia, przygnębiony, podniósł oczy. Gdzie właściwie jest? Serce wielkiego miasta zdawało się bić tutaj, w rozległej przestrzeni tego skrzyżowania ulic, jak gdyby krew dalekich dzielnic napłynęła tu triumfalnymi alejami ze wszystkich stron. Patrzył, jak gina na horyzoncie wyloty Avenue de l'Opéra, ulic Quatre--Septembre i de la Paix, jaśniejące jeszcze resztkami światła dziennego, ale już rozgwieżdżone rojeniem się iskier. Bulwar przecinał strumieniem swojego ruchu uliczny plac, na, którym zbiegały się i zderzały dopływy sąsiednich ulic w ciągłym ruchu, czyniącym z tego miejsca najniebezpieczniejszy wir na świecie. Na próżno stróże bezpieczeństwa próbowali nakłonić ludzi do uwagi, fala pieszych mimo wszystko przelewała się, koła zaczęły się o siebie, konie stawały dęba, wśród huku ludzkiego przyływu, tak burzliwego, tak nieprzerwanego jak głos nawałnicy na oceanie. Potem zobaczył odosobniony masyw Opery, który powoli tonął w cieniu, ogromny i tajemniczy jak symbol, a stojący na nim u szczytu Apollo, z lirą w ręce, na tle bladego nieba, zatrzymał na sobie jeszcze ostatni refleks światła. Wszystkie okna na fasadach zapalały się, wesołość rodziła się z

tych tysięcy lamp, które rozjaśniały się jedna po drugiej, potrzeba ogólnego odprężenia, swobodnego używania rozprzestrzeniała się wraz z rosnącym cieniem, a tymczasem w dalekich odstępach wielkie żarówki elektryczne wybłyskiwały jak księżycy jasnych paryskich nocy.

Po- co tu przyszedłem? - pytał Piotr sam siebie, podrażniony i zdziwiony. Laveuve umarł, pozostawało mu więc tylko wrócić do domu, zaszyć się w swoim kącie, zamknąć drzwi i okna, jak przystało istocie odtąd bezużytecznej, bez wiary, bez nadziei, oczekującej już tylko ostatecznego unicestwienia. Droga była daleka z placu Opery do jego domku w Neuilly. Mimo ogromnego zmęczenia nie chciał wziąć dorożki, zawrócił, skierował się w stronę Madeleine, znów pograżył się w ciżbie na chodnikach, w ogłuszającym huku ulicy, z cierpkim pragnieniem pogłębienia swojej rany, nasycenia się buntem i gniewem. Czyż na rogu tej ulicy, u końca bulwaru, nie ziała oczekiwana otchłań, gdzie miał się zwalić ten spróchniały świat, to stare społeczeństwo, którego trzeszczenie słyszał przy każdym kroku?

Gdy miał przeciąć ulicę Scribe, zatrzymał go jakiś zator. Przed luksusową kawiarnią dwóch drabów, mizernie Ubranych, bardzo brudnych, wykrzykiwało na przemian tytuł „Głosu Ludu”, obwieszczając o skandalach, o przekupionych w Izbie Deputowanych i w Senacie głosami tak ochrypłymi, że przechodnie zaczęli się gromadzić. I tutaj Piotr znowu ze zdziwieniem poznał Salvata w człowieku, który wahał się, krażył i posłuchawszy zbliżył się do wielkiej kawiarni, aby zajrzeć przez szyby. Tym razem spotkanie już zastanowiło go, wzbudziło w nim podejrzenie, więc również zatrzymał się, postanawiając, że będzie tamtego obserwował. Nie chciał wierzyć swoim oczom, gdy zobaczył, że Salvat wszedł, zasiadł przy jednym z małych stolików, w wesołym cieple lamp, on, o tak nędznym wyglądzie, z kawałem chleba, który tworzył wypukłość pod starą podartą marynarką. Przez chwilę czekał. Potem Piotr zobaczył, jak Salvat zwyczajnie oddała się niepewnym, powolnym krokiem, jak gdyby nie odpowiadała mu ta kawiarnia, prawie pusta. Czego więc szukał, dokąd zdażał od rana, uprawiając to samotne, dzikie polowanie, przemierzając Paryż bogactwa i radości, ze swoim głodem, który następował mu na pięty? Włókł się już z trudem, wydawał się u kresu woli i energii. Z miną zwyciężonego podszedł do kiosku, oparł się przez chwilę. I wyprostował się, i poszedł dalej, wciąż czegoś szukając.

W tej chwili stało się coś, co do reszty zburzyło spokój Piotra. Jakiś człowiek, wysoki i silny, wyszedł z ulicy Caumartin, zobaczył Salvata i zbliżył się do niego. Książd po chwili niepew-

ności poznał swego brata Wilhelma, który, właśnie bez skrępowania ścisnął rękę robotnika. Był to na pewno on, ze swoimi gęstymi, ostrzyżonymi na jeża włosami śnieżnej białości, chociaż miał zaledwie czterdzieści siedem lat. Zawsze jeszcze nosił wąsy, bardzo czarne, bez jednej srebrnej nitki, co nadawało wyraz energii jego dużej twarzy o czole wysokim, podobnym do wieży. Po ojcu odziedziczył to czoło o wyrazie niezwalczonej logiki i rozumu, jakie miał również i Piotr. Ale dolna część twarzy u starszego brata była mocniejsza, nos wydatniejszy, podbródek kwadratowy, usta duże, o zdecydowanym rysunku.

Błada blizna, stara rana, przecinała lewą skroń. I to oblicze, na pierwszy rzut oka bardzo poważne, surowe i zamknięte, rozjaśniało się męską dobrocią, gdy uśmiech odkrywał zęby, które pozostały bardzo białe.

Piotr przypomniał sobie, co opowiadała mu rano pani Teodorowa. Jego brat Wilhelm, wzruszony tak wielką nędzą, zatrudnił u siebie Salvata przez parę dni. I to tłumaczyło zainteresowanie, z jakim zdawał się go wypytywać, gdy tymczasem mechanik, z miną zmieszaną tym spotkaniem, dreptał w miejscu, jak gdyby spieszno mu było rozpocząć znowu bolesną wędrówkę. Przez chwilę Wilhelma jak gdyby zastanowiło wzburzenie Salvata, jego pełne zakłopotania odpowiedzi. Mimo to rozstał się z robotnikiem. Ale prawie natychmiast odwrócił się, popatrzył, jak tamten oddala się poprzez tłum krokiem zmordowanym i upartym. I myśli, jakie go nawiedzały, musiały być bardzo poważne i bardzo niepokojące, gdyż nagle zawrócił i zaczął iść za nim z daleka, jak gdyby chciał się upewnić, w jakim tamten poszedł kierunku.

Ogarnięty rosnącym niepokojem, Piotr przyglądał się tej scenie. Nerwowe oczekiwanie jakiegoś nieokreślonego wielkiego nieszczęścia, podejrzenie, jakie rodziły w nim niedawne kolejne, a niewytłumaczalne spotkania z Salvatem, zdziwienie na widok brata zamieszanego w tę sprawę, obudziły w nim chęć dowiedzenia się czegoś, asystowania, może przeszkodzenia czemuś. Me wahał się więcej i sam ostrożnie poszedł za tamtymi dwoma.

Doznał nowego niepokoju, gdy Salvata, a potem Wilhelma, skręcili nagle w ulicę Godot-de-Mauroy. Jaki los sprowadzał go znowu na tę ulicę, gdzie miał być wrócić w gorączkowym po-

śpiechu, od czego powstrzymała go tylko śmierć Laveuve'a. I jego podniecenie jeszcze wzrosło, gdy straciwszy na chwilę Salvata z oczu, zobaczył go stojącego na chodniku przed pałacem Duvillardów, na tym samym miejscu, gdzie, jak mu się zdawało, dojrzał go rankiem. Właśnie brama wjazdowa była szeroko otwarta, ponieważ pod kolumnadą naprawiano bruk, i po odejściu robotników wielki wjazd stał otworem, wypełniony zapadającą nocą. Wąska ulica położona obok błyskawicznego światłami bulwaru tonęła w niebieskim cieniu, usianym z rzadka gwiazdami latarni gazowych. Przeszły jakieś kobiety, co zmusiło Salvata do zejścia z chodnika. Wrócił na dawne miejsce, zapalił niedopałek cygara, znaleziony pod stołem którejś kawiarni, i zaczął znów czatować, nieruchomy, wyczekujący, w pobliżu pałacu.

Opanowany niejasnymi domysłami, Piotr nagle uczuł lęk; zastanawiał się, czy nie powinien podejść do tego człowieka. Wstrzymywała go obecność brata, którego widział, jak krył się pod sąsiednią bramą i czuwał, również gotów wmieszać się w tok zdarzeń. Poprzestał więc na obserwowaniu Salvata, który wciąż w pogotowiu, z oczyma utkwionymi w kolumnadę, odwracał wzrok po to tylko, aby kierować go w stronę bulwaru, jak gdyby oczekiwał czegoś lub kogoś, kto miałby nadejść z tamtej strony. Istotnie ukazało się w końcu lando, Buvillardów, ze stangretem i lokajem w zielono-złotej liberii, lando bardzo elegancko zaprzężone w dwa rosłe, wspaniałe cuganty.

Wbrew zwyczajowi, w landzie, które o tej godzinie zwykle przywoziło matkę lub ojca, tego wieczora siedziało tylko dwoje młodych Duvillardów, Kamila, i

Hiacynt. Wracali z przedstawienia u księżnej de Harth i rozmawiali swobodnie, ze spokojnym bezwstydem, którym próbowali sobie wzajemnie imponować.

- Kobiety budzą we mnie niesmak. A ten ich zapach, okropność! I te obrzydliwe bachory, które zawsze grożą w stosunkach z nimi!

- No, mój kochany, nie są gorsze od twojego George'a Elson, tej niewydarzonej dziewczyny. A zresztą takiś dumny, a tymczasem źle zrobiłeś nie doszedłszy do porozumienia z księżną, bo ona umiera z ochoty...

- Ech, ta wasza księżna również potężnie mnie nudzi!

Hiacynt był właśnie w fazie negacji płci, przybrawszy omdlewającą pozę całkowitego wyrzeczenia. Ale Kamila, drżąca, poirytowana, mówiła jak w złej gorączce. Po chwili milczenia dodała:

- Ty wiesz, że mama jest tam, z nim? - Nie musiała dodawać nic więcej, brat rozumiał ją, gdyż często mówili o tej sprawie z całą swobodą. - Ta jej miara u Salmona, co? Głupia historia! Wymknęła się drugimi drzwiami, jest z nim.

- A co cię to obchodzi, że jest sobie z zacnym przyjacielem Gerardem? - spokojnie zapytał Hiacynt. Potem, czując, że drgnęła na ławeczce, dodał: - Więc wciąż go kochasz i chcesz go?

- O tak, chcę i będę go miała!

W okrzyk ten włożyła całą zazdrosną wściekłość brzydkiej dziewczyny, cały ból płynący z okrutnego opuszczenia i świadomości, że jej matka, tak jeszcze piękna, w tej chwili jej kradnie swoją rozkosz.

- Będiesz go miała, będziesz - odezwał się znowu Hiacynt, rad, że może trochę podręczyć siostrę, której się bał. - Będiesz go miała, jeżeli on zechce się sprzedać... Nie kocha cię...

- Kocha mnie - odparła z furją Kamila. - Jest dla mnie miły, to mi wystarcza.

Przeraził się jej czarnego spojrzenia, jej drobnych rąk kaleki, zaciskających się jak szpony. Po chwili milczenia zapytał:

- A co na to ojciec?

- Ach, ojciec, byle między czwartą a szóstą mógł być u tamtej!

Hiacynt zaśmiał się. Nazywali to między sobą podwieczorkiem papy. I Kamila śmiała się z tego wesoło, wyjąwszy te dni, kiedy i matka bywała na podwieczorku poza domem.

Zamknięty powóz wjechał w ulicę i zbliżał się do pałacu, a wokoło rozlegał się dźwięczny kłus dwóch rosłych cugantów. W tej chwili jakaś drobna blondynka lat szesnastu do osiemnastu, dziewczynka na posyłki od modystki, z dużym pudłem na ręce, przeszła szybko, aby przebiec przed powozem. Przyniosła kapelusz dla baronowej, szła wesoło przez cały bulwar, miała najbardziej uroczą twarzyczkę, jaką można sobie wyobrazić, z oczami koloru barwinku, z różowym noskiem i roześmianymi ustami. I właśnie w tej chwili, po raz ostatni spojrzawszy na powóz, Salvat jednym skokiem znalazł się pod kolumnadą. Niemal natychmiast ukazał się znowu, rzucił do rynsztoka płonący kawałek cygara i nie przyspieszywszy kroku odszedł, zniknął w niepewnych ciemnościach ulicy.

Co się właściwie stało? Później Piotr przypomniał sobie, że wóz Żelaznych Kolei Zachodnich stanął w poprzek, zatrzymując na chwilę lando, a tymczasem

dziewczynka na posyłki wchodziła w bramę. Z niewymownym ściśnieniem serca zobaczył, jak jego brat Wilhelm rzuca się z kolei naprzód, wchodzi w obręb pałacu, jakby pod wpływem jakiegoś objawienia, nagłej pewności. On, nie rozumiejąc tego jasno, czuł, że zaraz stanie się jakaś straszna rzecz. Ale mimo że chciał biec, krzyczeć, stał jak przykuty na chodniku, z gardłem ściśniętym, rzekłbyś, żelazną ręką. Nagle rozległ się pomruk gromu, straszliwa eksplozja, jak gdyby ziemia się otwierała, jak gdyby ugodzony piorunem pałac walił się w gruzy. Wszystkie szyby w sąsiednich domach rozprysły i posypały się z głośnym trzaskiem niby grad. Piekielny płomień oświetlił na chwilę ulicę, buchnął taki kurz i dym, że paru oslepionych przechodniów krzyknęło . z trwogi, pod wrażeniem tego żaru, w którym, jak im się wydawało, muszą zginać.

I w tej chwili Piotra oświeciła ta błyskawica. Zobaczył bombę, która wypychała worek z narzędziami, pusty i bezużyteczny z powodu bezrobocia. Zobaczył pod marynarką w lachmanach tę wypukłość, którą wziął za kawał chleba znaleziony na ulicy i niesiony do domu, dla kobiety i dziecka. Bomba przewędrowała przez cały wesoły Paryż, zagrażając mu, i oto zapłonęła tutaj, gruchnęła jak piorun na tym progu rządzącej burżuazji, władczyni złota; Piotr pomyślał w tej chwili tylko o swoim bracie Wilhelmie, pobiegł w stronę bramy, gdzie otwarła się jakby paszcza wulkanu. I w pierwszej chwili nie mógł nic odróżnić, ostry dym zatapiał wszystko, następnie zobaczył pęknięte mury, górne piętro rozwalone, powyrywany bruk, zasypany gruzem. Na zewnątrz, lando, które właśnie miało wjechać, nie poniosło żadnej szkody, oba konie były całe, nawet żaden odłamek nie zadrasnął powozu. Ale dziewczynka od modniarki, ładna i jasnowłosa, leżała na wznak, z rozdartym brzuchem, z uśmiechem, zdziwionym wobec tej nagłej jak piorun katastrofy na delikatnej nietkniętej twarzyczce o jasnych oczach; obok upadło kartonowe pudełko, które otworzyło się przy tym, tak że kapelusz, leciutki różowy kapelusz, wciąż jeszcze uroczy w swojej świeżości, potoczył się po ziemi.

Wilhelm ocalał jakimś cudem; wstał już, tylko jego lewa ręka spływała krwią, odłamki raniły go w napięstek. Wąsy miał osmalone i padając przy wybuchu na ziemię doznał wstrząsu i potłukł się tak mocno, że drżał cały, jak gdyby przejęty wielkim chłodem. Jednakże poznał brata, nie dziwiąc się nawet, że go tutaj widzi, jak się dzieje w chwilach kłęski, kiedy to, co nieprzewidziane, wydaje się opatrnościowe. Brat, którego od tak dawna stracił z oczu, znalazł się tu w jakiś naturalny sposób, bo był potrzebny. I zawołał do niego natychmiast, wstrząsany szalonym dreszczem:

- Zabierz mnie, zabierz!... Do ciebie, do Neuilly, och zabierz mnie! - Potem, za całe objaśnienie, powiedział o Salvacie: - Domyślałem się, że ukradł mi jeden ładunek, na szczęście tylko jeden, bo inaczej cała dzielnica wyleciałaby w powietrze... Ach, ten nieszczęśnik! Nie udało mi się przybiec na czas i przydeptać lontu.

Z doskonałą przytomnością, jaką daje czasem niebezpieczeństwo, Piotr, nic nie mówiąc, nie tracąc sekundy, przypomniał sobie, że pałac ma wyjście od tyłu, od ulicy Vignon. Od razu zrozumiał, co zagraża jego bratu, jeżeli zostanie wmieszany w tę sprawę. Pospiesznie zaprowadził go w mrok ulicy Vignon,

zawiązał mu swoją chusteczkę wokół przegubu dłoni, którą następnie kazał mu ukryć pod marynarką, na piersi.

- Zabierz mnie - powtarzał Wilhelm, udęczony i drżący - do ciebie, do Neuilly... Nie do mnie.

- Tak, tak, bądź spokojny! Poczekaj tu chwilę, ja zatrzymam jakąś dorożkę.

Zaprowadził go teraz na bulwar, tak spieszo mu było znaleźć dorożkę. Ale grzmot eksplozji wzburzył całą dzielnicę, konie stawały dęba, ludzie pędzili na oślep, ogarnięci szaleństwem. Nadbiegli policjanci, tłum się cisnął, zagradzał już do-

stęp do ulicy Godot-de-Mauroy, ciemnej jak otchłań, bowiem wszystkie światła pogasły, a na bulwarze jakiś roznosiciel „Głosu Ludu” darł się z całej siły oznajmiając o nowym skandalu w sprawie Afrykańskich Kolei Żelaznych, o trzydziestu dwóch zaprzędanych w Izbie i w Senacie, o bliskim upadku rządu. Wreszcie Piotr zatrzymał dorożkę i jednocześnie usłyszał, jak ktoś z biegnących powiedział do drugiego: - Co tam rząd! Ta bomba może wróci mu siły! Dwaj bracia wsiedli do dorożki i pojechali. Ponad pomrującym Paryżem zapadła czarna noc, noc, bez przebaczenia, a gwiazdy zmierzchały pod mgłą zbrodni i gniewu, wstającą znad dachów. W przerażającym szumie skrzydeł rozbrzmiewał ogromny krzyk sprawiedliwości, jaki usłyszały niegdyś z mroków widnokregu Sodoma i Gomora.

KSIEGA DRUGA

I

Na tej ustronnej ulicy w Neuilly, gdzie od zmroku nie widać już było przechodniów, mały dom, o tej porze tonący w czarnej nocy, spał głębokim snem, przy zamkniętych okiennicach, spoza których żadne światło nie przedostawało się na zewnątrz. I za domem wyczuwało się też wielki spokój małego ogródka, który pusty i martwy, zeszywniał od zimowego chłodu. Piotr siedząc w dorożce, która wiozła go wraz z jego rannym bratem, parę razy przeląkł się, widząc, że ów omdlewa. Wilhelm, oparty plecami, osłabiony, nie mówił nic; panowało między nimi straszne milczenie, pełne zapytań i odpowiedzi, których wymiana w tej chwili wydawała im się zbyt cicha i zbyt bolesna. A przy tym ksiądz niepokoił się raną, zastanawiał się, jakiego zawezwać chirurga, chcąc dopuścić do tajemnicy jedynie człowieka pewnego i oddanego, widział bowiem, że ranny krył się, gorąco pragnąc, aby nikt go nie zobaczył.

Aż do Łuku Triumfalnego nie przemówili do siebie ani słowa. Tam dopiero Wilhelm otrząsnął się jakby z przygnębiających myśli i rzekł:

— I wiesz, Piotrze, nie trzeba lekarza. Obydwaj będziemy to leczyć.

Piotr chciał protestować, a potem ograniczył się do gestu, który oznaczał, że postąpi inaczej, jeżeli zajdzie potrzeba. Po co sprzeczać się w takiej chwili? Ale niepokój jego wzrósł, toteż gdy dorożka stanęła przed domem, z prawdziwą ulgą zobaczył, że brat wysiadając trzyma się nieźle. Szybko zapłacił woźnicy, szczęśliwy również, że nikt nawet spośród sąsiadów nie pokazał się na ulicy. Własnym kluczem otworzył drzwi i podtrzymał rannego, aby pomóc mu wejść po trzech stopniach ganku. W przedpokoju paliła się słabo mała lampka. Natychmiast, na odgłos otwieranych drzwi, z kuchni wyszła Zofia, służąca. Niska, chuda, czarna, liczyła lat sześćdziesiąt i od trzydziestu lat już była w tym domu, służąc naprzód matce, potem synowi. Znała Wilhelma, którego widziała, gdy był jeszcze młodzieńcem... Niewątpliwie go poznała, chociaż od dziesięciu lat nie przekroczył tego progu. Ale nie okazała żadnego zdziwienia, uważając jakby ten niezwykle powrót za rzecz zupełnie naturalną, na mocy prawa dyskrekcji i milczenia, jakie sobie ustanowiła. Żyła jak pustelnica, odzywała się jedynie, gdy naprawdę wymagały tego jej obowiązki.

Teraz powiedziała tylko:

— Proszę księdza, w gabinecie jest pan Bertheroy, który czeka od kwadransa.

Wmieszał się Wilhelm, z ożywioną miną:

— A więc Bertheroy wciąż jeszcze tutaj bywa?... Ach, jego chciałbym zobaczyć, to jeden z najwybitniejszych, jeden z najteńszych umysłów naszej epoki. Pozostał do dziś moim mistrzem.

Niegdyś przyjaciel ich ojca, znakomitego chemika, Michała Froment, Bertheroy był w tej chwili, z kolei, jedną z najświetniejszych gwiazd Francji; chemia zawdzięczała mu nadzwyczajne postępy, które uczyniły z niej naukę-matkę, odnawiającą oblicze świata. Członek Instytutu, obsypany godnościami i honorami, zachował dla Piotra wielką sympatię i odwiedzał go czasem w porze przedobiedniej, dla rozrywki, jak mówił.

— Wprowadziłaś go do gabinetu? Dobrze, pójdziemy tam — rzekł do służącej, której mówił po imieniu. — Zanieś lampę do mojego pokoju i przygotuj łóżko, aby mój brat mógł się zaraz położyć.

Podczas gdy Zofia bez zdziwienia, w milczeniu wypełniała polecenie, dwaj bracia przeszli do dawnego laboratorium ich ojca, w którym ksiądz urządził obszerny gabinet do pracy. Uczony, gdy zobaczył wchodzących braci, z których młodszy podtrzymywał starszego, przyjął ich okrzykiem radosnego zdziwienia.

— Jak to? Razem! Ależ, moi drodzy chłopcy, nie mogliście mi sprawić większej radości. Mnie, który tak często opłakiwałem wasze okrutne nieporozumienie!

Był to człowiek siedemdziesięcioletni, wysoki, chudy, o kanciastych rysach. Pożółkła skóra ściśle jak pergamin przylegała do wystających kości policzkowych i szczęk. Nie miał w sobie zresztą nic uroczystego, wyglądał na starego zielarza. Czoło tylko było piękne, duże, gładkie, a pod siwymi, nastroszonymi włosami błyszczały pełne jeszcze ognia oczy.

Gdy zobaczył owiniętą rękę starszego z braci, zawołał:

— Jak to, Wilhelmie, jesteś ranny?

Piotr milczał, pozostawiając bratu swobodę opowiedzenia o zdarzeniu tak, jak sobie tego życzył. On zaś osądził, że powinien po prostu wyznać prawdę, pomijając okoliczności.

— Tak, podczas eksplozji, i zdaje mi się, że mam zgruchotany przegub.

Bertheroy przyglądał mu się, zauważył opalone wąsy; osłupiały wzrok, w którym odzwierciedlało się przerażenie katastrofą. Spoważniał, przybrawszy dyskretny wyraz twarzy, nie chcąc pytaniami wymuszać zwierzeń.

— Ach, tak, eksplozja... Czy pozwolisz mi zobaczyć ranę? Jak wam wiadomo, zanim dałem się uwieść chemii, odbyłem studia medyczne i jestem trochę chirurgiem.

Piotr nie mógł powstrzymać krzyku serca:

— Tak, tak, mistrzu, proszę obejrzeć ranę!... Byłem bardzo niespokojny, i to niespodziewane szczęście, że pan jest tutaj.

Uczony popatrzył na niego, uczył powagę okoliczności, które przed nim ukrywano. I ponieważ Wilhelm, blady z osłabienia, wyraził z uśmiechem swą zgodę, zażądał, aby go przede Wszystkim położyć. Służąca wróciła oznajmiając, że łóżko przygotowane; wszyscy przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie chorego rozebrano i położono do łóżka.

— Poświeć mi, Piotrze, weź lampę, a Zofia niech mi przyniesie miednicę pełną wody oraz płótno.

Potem, gdy już delikatnie obmył ranę, rzekł:

— Do licha, do licha!... Kość nie jest złamana, ale to i tak paskudna sprawa. Boję się uszkodzenia kości... To odłamki przebiły ciało, prawda?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, umilkł. Ze wzrastającym zdziwieniem począł uważnie badać rękę, osmaloną przez płomień, powąchał nawet mankiet koszuli, aby lepiej osądzić, co zaszło. Oczywiście rozpoznał skutki jednego z tych nowych środków wybuchowych, nad którymi sam naukowo pracował i które, można powiedzieć, stworzył. Ale widocznie ten właśnie zbił go z tropu, gdyż odkrywał tutaj ślady i cechy, których nie umiał określić.

— A zatem — zapytał w końcu, ulegając ciekawości uczonego — to w wybuchu, który nastąpił w laboratorium, tak pięknie się urządziłeś?... Jakież to diabelski proszek właśnie fabrykowałeś?

Mimo bólu, od chwili gdy zobaczył, jak Bertheroy bada jego ranę, Wilhelm okazywał pewien opór i wzrastające podniecenie, jak gdyby prawdziwa tajemnica, którą chciał zachować, kryła się tam, w tym prochu, którego pierwsza próba tak okrutnie go dosięgła. Uciał krótko i powiedział z wyrazem hamowanej namiętności, patrząc mu prosto i szczerze w oczy:

— Proszę, mistrzu, nie pytać mnie o nic. Nie mogę panu odpowiedzieć...

Wiem, że jest pan dość szlachetny, aby mnie leczyć i dalej kochać, nie wymagając ode mnie zwierzeń.

— Ależ oczywiście, mój kochany — zawołał Bertheroy — zachowaj swoją tajemnicę. Twoje odkrycie należy do ciebie, o ileś ty go dokonał, a ja wiem, że potrafisz z niego uczynić jak najgodniejszy użytek. Zresztą wiesz chyba, że bardzo kocham prawdę i postanowiłem sobie nigdy nie sądzić jakichkolwiek cudzych postępów, zanim nie poznam wszystkich motywów.

I jednym gestem dostatecznie zaznaczył swą wielką tolerancję, swój wyższy umysł, wolny od ignorancji i przesądów, dzięki czemu mimo orderów strojących jego pierś, mimo uniwersyteckich i akademickich tytułów urzędowego uczonego był jednym. z najśmielszych, najbardziej niezależnych umysłów, pasjonujących się tylko prawdą, jak sam mówił.

Nie miał potrzebnych instrumentów, porzestał więc na starannym obandażowaniu rany, upewniwszy się wprzód, że żaden odprysk pocisku nie pozostał w ciele. Wreszcie wyszedł przyrzekając, że przyjdzie jutro z rana. Gdy ksiądz go odprowadzał do furtki, uczony uspokoił go; jeżeli kość nie została naruszona zbyt głęboko, wszystko pójdzie dobrze.

Piotr, wróciwszy do brata, zastał go jeszcze siedzącego na łóżku, zbierającego ostatki energii, pragnął bowiem napisać do swoich bliskich, aby ich uspokoić. Piotr musiał znowu wziąć lampę i poświecić mu, podawszy wpierw papier i ołówek. Na szczęście Wilhelm swobodnie władał prawą ręką. W paru zdaniach zawiadamiał panią Leroy, swoją teściową, która mieszkała u niego po śmierci jego żony i wychowała mu trzech dorosłych już teraz synów, że na razie nie wróci. Piotr wiedział, że w domu jego była jeszcze młoda dziewczyna lat dwudziestu pięciu lub sześciu, córka starego przyjaciela Wilhelma, którą przyjął do siebie po śmierci jej ojca i z którą miał się wkrótce ożenić, pomimo wielkiej, dzielącej ich różnicy wieku. Ale były to dla księdza sprawy niejasne i krępujące, cała dziedzina chaosu godnego potępienia, i Piotr udawał, że nic o tym wszystkim nie wie.

— Więc chciałbyś, aby zaraz odniesiono ten list na Montmartre?

— Tak, jak najprędzej. Jest dopiero siódma godzina, list będzie tam około ósmej... I zanieś go ktoś pewny, prawda?

— Najlepiej będzie, gdy Zofia pojedzie dorożką. Nie ma żadnych obaw, że ona coś wygada... Poczekaj, już ja to załatwię.

Wezwana, Zofia od razu zrozumiała, o co chodzi, przyrzekła, iż powie, gdyby ją wypytywano, że pan Wilhelm będzie nocował u brata dla jakichś jej nie znanych powodów. I nie czyniąc żadnych uwag wyszła mówiąc jedynie:

— Proszę księdza, obiad gotowy, trzeba tylko wziąć z kuchni rosół i potrawkę.

Ale gdy tym razem Piotr wrócił, aby usiąść przy łóżku, Wilhelm, opadł na plecy, z głową wspartą na dwóch poduszkach, bardzo zmęczony i bardzo blady, w gorączce. Lampa łagodnie płonęła na rogu jakiegoś mebla, spokój nastał tak głęboki, że słychać było tykanie zegara w przyległej jadalni. Przez chwilę wielkie milczenie panowało wokół dwóch braci, wreszcie połączonych i samych po tylu latach rozłąki. Potem ranny przesunął na skraj prześcieradła zdrową rękę, którą ksiądz ujął i czule uścisnął w swojej dłoni. Uścisk ten przedłużył się i dwie braterskie dłonie trwały złączone.

— Mój biedny, mały Piotrze — szepnął bardzo cicho Wilhelm — daruj, że tak ci tutaj spadłem. Wtargnąłem do domu, zająłem ci łóżko, nie pozwalam ci zjeść obiadu...

— Nie mów, nie męcz się jeszcze bardziej — przerwał mu Piotr. — Gdzież miałeś przyjść, jeżeli nie tu, gdy znalazłeś się w potrzebie?

Rozpalona ręka rannego ścisnęła jeszcze goręcej jego dłoń, a oczy zwilżyły się łzami.

— Dziękuję, Piotrusiu. Poznaję cię, jesteś łagodny i czuły jak kiedyś... Ach, nie wiesz nawet, jakie mi to jest miłe w tej chwili!

Z kolei zaćmił się wzrok księdza. Dwaj bracia wśród wielkiego spokoju, wielkiej błogości, jaka ogarnęła ich po tak gwałtownych wzruszeniach, odczuwali niezmierny urok tego, iż odnaleźli się w domu swego dzieciństwa. Tutaj pomarli ich rodzice, ojciec śmiercią tragiczną, porażony wybuchem w laboratorium, matka zaś, bardzo pobożna, odeszła jak prawdziwa święta. Tutaj, w tym samym łóżku, Wilhelm pielęgnował Piotra, gdy po śmierci matki sam o mało nie umarł; i tutaj Piotr pielęgnował teraz Wilhelma. Wszystko przejmowało ich wzburzeniem i rozczuleniem: nieprzewidziane okoliczności spotkania, straszna katastrofa, której wstrząs odczuwali jeszcze dotychczas, tajemniczość tych zdarzeń, dotąd jeszcze nie wyjaśnionych. I w owym tragicznym zbliżeniu, po tak długim okresie życia w rozłące, wspólne wspomnienia budziły się, stary dom opowiadał im o dzieciństwie, zmarłych rodzicach, odległych dniach, kiedy tyle tu kochali i tyle cierpieli. Tuż za oknem leżał ogród, w tej chwili zlodowaciały, niegdyś pełen słońca, tętniący od zabaw. Na lewo znajdowało się laboratorium, wielki pokój, gdzie ojciec uczył ich czytać. Po prawej stronie, w jadalni, widzieli znów matkę, jak kraje im chleb, taka łagodna, z wielkimi pełnymi rozpaczy oczyma istoty wierzącej. Świadomość, że byli tutaj w tej chwili sami, blade, senne światło lampy i głęboka, niema samotność ogrodu, domu, cała przeszłość napelniały ich niezwykłą błogością, w której była też niezmierna gorycz.

Chcieli rozmawiać, otworzyć przed sobą serca. Ale co mieli sobie powiedzieć? Czyż mimo wciąż ciasno splecionych rąk, nie dzieliła ich najbardziej nieprzebyta z otchłani? Przynajmniej

tak uważali: Wilhelm w przekonaniu, że Piotr jest świętym, księdzem o wierze niezachwianej, nie nękanym żadnymi wątpliwościami, sądził, że różni ich wszystko i w dziedzinie myśli, i w dziedzinie życia praktycznego. Rozłączyło ich cięcie topora, zamieszkiwali dwa odrębne światy. A Piotr znów uważał Wilhelma za człowieka zdeklasowanego, o wątpliwym sposobie bycia; nie poślubił nawet kobiety, z którą miał trzech synów, a teraz miał się żenić z tą za młodą dla niego dziewczyną, która wzięła się nie wiadomo skąd. Ponadto wyznawał nieumiarkowane idee jako uczonego i rewolucjonista, głosił negację wszystkiego, godził się z najgorszymi gwałtami — może sprowokowanymi —

w których głębi czaił się potwór anarchii. Na jakim więc podłożu mogło dojść między nimi do porozumienia, skoro każdy z braci zachowywał swoje uprzedzenie w stosunku do drugiego, widział go na przeciwnym krańcu otchłani, przez którą niepodobna było przerzucić pomostu? I tylko ich biedne serca łkały, przejęte wielką braterską miłością.

Piotr wiedział, iż Wilhelm raz już o mało nie został skompromitowany w pewnej sprawie anarchistów. Nie pytał go o nic. Ale nie mógł się oprzeć myśli, że brat nie ukrywałby się w ten sposób, gdyby nie lęk, że zaaresztują go jako współwinnego! Czy istotnie był on w zмовie z Salvatem? I Piotr drżał, gdyż aby wytworzyć sobie swój pogląd, mógł się oprzeć tylko na słowach, które wymknęły się bratu po zamachu, na okrzyku oskarżającym Salvata, że skradł mu jeden ładunek, oraz na fakcie bohaterkiego rzucenia się do bramy pałacu Duvillardów, aby zgasić lont. Lecz ile tu jeszcze niejasności! Bo skoro ukradziono mu ładunek z tym straszliwym materiałem wybuchowym, to widocznie fabrykował takie ładunki i przechowywał je u siebie.

Niewątpliwie, ze zranionym przegubem, nawet jeżeli nie był współwinnym, mógł tylko zniknąć, słusznie sądząc, że przychwycony na miejscu eksplozji, z okrwawioną ręką, już skompromitowany, nie zdołałby nikogo przekonać o swojej niewinności. Ale pomimo wszystko mroki pozostały nieprzeniknione, zbrodnia wydawała się możliwa; to było straszne.

Wilhelm musiał odgadnąć w drzeniu wilgotnej ręki, którą brat pozostawił w jego dłoni, coś z tego unicestwienia, w jakie zapadała ta droga mu istota, już rażona podejrzeniem, które katastrofa jeszcze pogłębiła. Grób był pusty, nawet popiół z niego wymieciono.

— Mój biedny Piotrusiu — mówił powoli — przebac, że nic ci nie mówią. Nie mogę ci nic powiedzieć... A zresztą po co? Na pewno byśmy się nie zrozumieli... Nic sobie nie mówmy, syćmy się tylko radością, że jesteśmy razem i że mimo wszystko zawsze się kochamy.

Piotr podniósł wzrok i oczy ich na długo w sobie utonęły.

— Ach — wyjąkał — jakie to wszystko straszne!

Ale Wilhelm dobrze czuł nieme pytanie. Oczy jego odpowiedziały nie odwracając się, zapaliwszy się bardzo czystym, bardzo wzniosłym płomieniem.

— Nie mogę ci nic powiedzieć — powtórzył. — Ale mimo wszystko, Piotrusiu, kochajmy się.

I wtedy Piotr uczuł, że brat jest wyższy ponad wszelki przyziemny niepokój, ponad lęk przestępcy, który drży o siebie, że — przeciwnie — jest wzniosły w namiętnej pasji prowadzącej do wielkich zamierzeń, w szlachetnej trosce ochronienia wyższej idei, tajemnicy, którą pragnął ocalić. Ale była to tylko, niestety, krótkotrwała niejasna wizja nadziei odkupienia i zwycięstwa, gdyż wszystko już pochłaniał mrok, wszystko znów stawało się wątpliwe i podejrzone dla dwóch nie znających się umysłów.

Nagle wspomnienie, ohydny widok odżył w pamięci młodszego brata i przeraził go. Piotr wyjąkał:

— Czy widziałeś, mój bracie, czy widziałeś pod bramą tę jasnowłosą dziewczynkę, rzuconą na wznak, z rozprutym brzuchem, czy widziałeś jej miły, zdziwiony uśmiech?

Z kolei Wilhelm *zadrżał*. I rzekł cicho i boleśnie:

— Tak, tak, widziałem ją. Ach, biedne małe stworzenie! Jak okrutne są konieczności, jak okrutnie myli się sprawiedliwość!

Wtedy, wstrząsany strasznym dreszczem z powodu tego, co się działo, czując wstręt do gwałtu, Piotr załamał się, bezwładnie opuścił twarz ku pościeli, na skraj łóżka. I zapłakał rozpaczliwie, nagły atak łez. unieścieł go, uczynił słabym jak dziecko. Jak gdyby runęło nań wszystko, co wycierpiał od rana, ogromny ból wobec niesprawiedliwości powszechnego cierpienia, ból tryskający falą łez, których, rzekłbyś, nic już powstrzymać nie zdoła. Wilhelm, tak samo wstrząśnięty, położył rękę na głowie młodszego brata, aby go uspokoić, gestem, jakim niegdyś gładził jego dziecięce włosy, i milczał, nie znajdując pociechy, godząc się z tym, że zawsze może nastąpić wybuch wulkanu, że kataklizm może zawsze przyspieszyć powolną ewolucję natury. Ale cóż za los dla nieszczęsnych stworzeń, dla istnień, których miliardy porywa z sobą lawa! I w tej ogromnej ciszy oczy jego również zwilgotniały.

— Piotrze — powiedział wreszcie z cicha — chciałbym, żebyś zjadł obiad... Idź, idź, zjedz coś! Zasłoń światło lampy, zostaw mnie samego, poleżę z zamkniętymi oczyma. To mi dobrze zrobi.

Piotr musiał go usłuchać. Ale nie zamknął drzwi od jadalni; osłabły z głodu, nie spostrzegłszy tego nawet, zjadł na stojąco, czujnie nasłuchując, czy brat nie jęczy lub nie woła. Cisza jakby jeszcze się spotęgowała, mały dom zatracił się w przesyconej melancholią błogiej atmosferze przeszłości. Około godziny wpół do dziewiątej, gdy Zofia wróciła dopełniwszy zlecenia na Montmartre, Wilhelm zaraz usłyszał ją, mimo że stąpała jak najciszej. Ożywił się, chciał się czegoś dowiedzieć. I Piotr przybiegł do niego z wiadomościami.

— Nie denerwuj się. Zofię przyjęła starsza dama, która przeczytała list, a potem powiedziała jej po prostu, że wszystko jest w porządku. Nie pytała o nic, twarz miała spokojną, nie objawiła żadnej ciekawości.

Wilhelm czując, że brata zdziwiła taka niezachwiana pogoda ducha, sam również bardzo spokojny, rzekł tylko:

— Ach, wystarczy, że Babka została uprzedzona. Ona zrozumie, że jeśli nie wróciłem, to dlatego że nie mogłem.

Ale w żaden sposób nie mógł usnąć. Na próżno zasłonięto lampę; wciąż otwierał oczy, rozglądał się wokoło, zdawał się poprzez ściany zwracać ucho w stronę Paryża. Ksiądz musiał zawołać służącą i zapytać ją, czy jadąc na Montmartre nie zauważyła czegoś niezwykłego. Zofia wydawała się zdziwiona; nic nie spostrzegła. Zresztą dorożkarz jechał bulwarami zewnętrznymi, które były prawie puste. Lekka mgła zaczęła właśnie opadać i ulice tonęły w lodowatej wilgoci.

O godzinie dziewiątej Piotr zrozumiał, że brat nie zaśnie, jeśli on pozostawi go bez wiadomości. Ranny, którego zaczynała nę-

kac gorączka, dręczył się opanowany pragnieniem, aby się dowiedzieć, czy Salvat został aresztowany i czy coś zeznał. Nie przyznawał się do tego, jakby nie odczuwał żadnych niepokojów osobistych; i tak zapewne było; ale jego wielka tajemnica dusiła go, drżał na myśl, że tak szczytny zamiar, tyle pracy i tyle nadziei znalazło się na łasce tego opętańca nędzy, który pragnął przywrócić sprawiedliwość rzucając bomby. Na próżno ksiądz próbował mu wytłumaczyć, że w tej chwili nic jeszcze nie *może być* wiadome; widział jego

wielką niecierpliwość, rosnącą z każdą minutą, toteż zdecydował, że przynajmniej spróbuje go zadowolić.

Ale gdzie się udać, do kogo się zwrócić? W rozmowie Wilhelm, zastanawiając się, kogo Salvat mógł prosić o schronienie, wymienił nazwisko Janzena i Piotr przez chwilę chciał posłać do niego po wiadomości. Potem doszedł do wniosku, że Janzen, jeżeli dowiedział się o zamachu, nie oczekiwałby policji u siebie w domu.

— Pójdę kupić ci wieczorne gazety — powtarzał Piotr. — Ale na pewno nic w nich nie ma. W Neuilly znam prawie wszystkich. Tylko że nie widzę nikogo... chyba żeby Bache...

Wilhelm przerwał mu:

— Znasz Bache'a, radcę miejskiego?

— Tak, razem zajmujemy się dobroczynnością w naszej dzielnicy.

— O, Bache to jeden z moich starych przyjaciół i nie znam człowieka pewniejszego! Idź do niego i przyprowadź mi go tutaj, proszę cię.

W kwadrans później Piotr przyprowadził Bache'a, który mieszkał przy sąsiedniej ulicy. I nie przyprowadził go samego, gdyż ku swemu zdziwieniu zastał u niego Janzena. Jak domyślał się Wilhelm, młody człowiek podczas obiadu u księżny de Harth dowiedział się o zamachu i ani myślał wracać na noc do swego małego mieszkanca przy ulicy des Martyrs, gdzie policja mogła urządzić nań zasadzkę. Znano jego stosunki, on sam wiedział, że jest pod obserwacją, że jako cudzoziemcowi anarchiście stale grozi mu aresztowanie lub wydalenie z kraju. Toteż uznał za rozsądne prosić na kilka dni o gościnę Bache'a, człowieka niezwykle prawego, niezwykle uczynnego, w którego ręce oddawał

się bez obawy. Za nic w świecie nie pozostałby u Rozamundy, tej uroczej wariatki, która od miesiąca afiszowała się z nim w szalonej pogoni za nowymi wrażeniami i której zupełnie bezużyteczną i niebezpieczną ekstrawagancką pozę już zdołał poznać.

Wilhelm, uradowany na widok wchodzących Bache'a i Janzena, chciał usiąść na łóżku. Ale Piotr zażądał, aby leżał spokojnie, z głową na poduszce, a zwłaszcza mówił jak najmniej. Janzen stał w milczeniu, Bache natomiast wziął krzesło, usiadł przy łóżku, zasypując chorego zapewnieniami o swej życzliwości. Był to tęgi mężczyzna lat sześćdziesięciu, z twarzą pełną i dużą, z długą siwą brodą i długimi siwymi wąsami. Jego małe poczciwe oczy tonęły w marzeniu, duże usta Układały się w dobrotliwy uśmiech powszechnej nadziei. Ojciec jego, zapalony saintsimonista, wychował go w kulcie nowej wiary. On sam natomiast, zachowując cały szacunek dla tej wiary, przejął się później ideami Fouriera, z osobistej potrzeby ładu i religijności, tak że odnajdowało się w nim jak gdyby dziedzictwo i skrót obu tych doktryn. Około trzydziestego roku życia zajmował się również spirytyzmem. Posiadając niewielki, ale pewny majątek, miał w życiu jedną tylko przygodę, mianowicie należał do Komuny w roku 1871, sam dobrze nie wiedząc jak i dlaczego. Skazany zaocznie na śmierć, jakkolwiek zaliczał się do umiarkowanych, przebywał w Belgii aż do ogłoszenia amnestii. Pamiętne tych spraw Neuilly wybrało go da Rady Miejskiej, mniej wszakże w chęci gloryfikowania ofiary burżuazyjnej reakcji, jak pragnąc nagrodzić bardzo zacnego człowieka, lubianego w całej dzielnicy.

Spragniony wiadomości, Wilhelm musiał zwierzyć się obu przybyszom, opowiedzieć im historię bomby, postępek Salvata, okoliczności, w jakich on sam został raniony, gdy chciał zagasić lont. Janzen słuchał go z chłodnym wyrazem na chudej twarzy bardzo jasnowłosego Chrystusa z kędzierzawymi włosami i brodą, a wreszcie rzekł cichym głosem, wymawiając wyrazy powoli, z trudem, z cudzoziemskim akcentem:

— Ach, to Salvat!... Ja myślałem, że to mógł być ten mały Mathis... Salvat, to mnie dziwi, on nie był zdecydowany.

A kiedy Wilhelm z lękiem zapytał go, czy sądzi, że Salvat wygada się, Janzen najpierw zawołał:

— O nie, nie! — A potem poprawił się z odrobiną pogardy w jasnych, chimerycznych i twardych oczach: — A zresztą nie wiem.... Salvat jest sentymentalny.

Bache, wstrząśnięty wieścią o zamachu i zaniepokojony, natychmiast zastanowił się, jak w razie denuncjacji należałoby ratować z opresji Wilhelma, którego bardzo lubił. Ten zaś, wobec pogardliwego chłodu Janzena, widocznie cierpiał, że w ich przekonaniu o sobie tak drży, że jedno tylko żywi pragnienie: aby wyjść cało z tej awantury. Ale co im powiedzieć, jak wytłumaczyć szczytną troską, która przyprawiała go o gorączkę, jeżeli nie miał im zwierzyć tajemnicy, którą zachował nawet przed bratem?

W tej chwili zjawiała się Zofia, aby oznajmić swemu panu, że przyszedł pan Teofil Morin z jeszcze jakimś panem. Bardzo zdziwiony tą późną wizytą, Piotr udał się do sąsiedniego pokoju, aby przyjąć gości. Poznał Morina po powrocie z Włoch i pomagał mu w tłumaczeniu i adaptacji dla szkół włoskich znakomitego krótkiego wykładu o obecnym stanie nauk, dostosowanego do programów uniwersyteckich. Rodem z Franche-Comté, a więc ziomek Proudhona, z którego ubogą rodziną utrzymywał był stosunki w Besançon, sam również, syn robotnika zegarmistrzowskiego, Morin, wyrósłszy w ideach proudhonowskich, był czułym przyjacielem biedaków i hodował w sobie instynktowny gniew przeciwko bogactwu i własności. Później, gdy przybył do Paryża jako skromny nauczyciel ożywiony namiętnością do nauki, całą swoją inteligencję oddał na usługi Augustowi Comte; toteż czuło się w nim pod namiętnym pozytywistą dawnego proudhonistę, jego osobisty bunt biedaka, nienawiść do nędzy. Trzymał się zresztą pozytywizmu naukowego, odrzekając się Comte'a, jego dziwacznej religijności ostatnich lat; Morin nienawidził bowiem wszelkiego mistycyzmu. W swoim życiu, zacnym, monotonnym i smutnym, przeżył jeden tylko romans, napad nagłej gorączki, która poniosła go i kazała mu walczyć na Sycylii, u boku Garibaldiego podczas legendarnej epopei Tysiąca. I potem znów stał się skromnym nauczycielem w Paryżu, marnie zarabiającym na smutne życie.

Gdy Piotr wrócił do pokoju, rzekł wzruszonym głosem do brata:

— Morin przyprowadził Barthèsa, który uważa, że jest zagrożony, i prosi mnie o gościnę. Wilhelm, wbrew obietnicy, zapalił się.

— Mikołaj Barthès, bohater, dusza antyczna, znam go, podziwiam i kocham... Trzeba, abyś mu *otworzył* swój dom na oścież.

Bache i Janzen spojrzeli na siebie z uśmiechem. Ten ostatni ze swoją chłodno ironiczną miną rzekł powoli:

— Dlaczego pan Barthès się ukrywa? Wielu uważa go za umarłego i jest to duch, który już w nikim nie budzi lęku.

Barthès liczył lat siedemdziesiąt cztery, z czego prawie pięćdziesiąt spędził w więzieniu. Był wiecznym więźniem, bohaterem wolności, którego wszystkie rządy stale przenosiły z cytadeli do twierdzy. Od lat młodszych pogrążony we śnie o braterstwie, walczył o idealną republikę prawdy i sprawiedliwości i zawsze lądował w więzieniu, zawsze pod kluczem kończył swoje humanitarne rojenia. Karbonariusz, wczorajszy republikanin, ewangeliczny sekciarz, spiskował bez wytchnienia, zawsze i wszędzie, stale w walce z wszelką władzą. A gdy nastąpiła republika, ta republika, za którą zapłacił tyloma laty więzienia, i ona z kolei go uwięziła, dodając lata mroku do lat już pozbawionych słońca. I tak pozostał męczennikiem wolności, ale pragnął jej mimo wszystko, choć nie istniała wcale.

— Ależ pan się myli — odparł Wilhelm, urażony szyderczym tonem Janzena — oni chcą raz jeszcze pozbyć się Barthès'a, którego niezłomna uczciwość razi naszych polityków; więc bardzo słusznie robi, mając się na ostrożności. Wszedł Mikołaj Barthès, starzec wysoki, wyschnięty i szczupły, z orlim nosem, z oczyma wciąż jeszcze płomiennymi pod głębokimi łukami brwi, najeżonymi długimi siwymi włosami. Bezzębne usta, jeszcze subtelne w rysunku, ginęły w śnieżnej brodzie, a korona białych włosów jak aureola spadała w puklach na ramiona. Za nim skromnie wszedł Teofil Morin; miał szpakowate faworyty, siwe włosy ostrzyżone na jeża, okulary, żółtą cerę i zmęczoną minę starego profesora, który strawił życie po szkołach. Żaden z nich nie okazał zdziwienia, nie oczekiwał wyjaśnień na widok leżącego w łóżku Wilhelma z obandażowaną ręką; nie nastąpiła też żadna prezentacja, a ci, co się znali, po prostu wymienili uśmiechy.

Barthès nachylił się i ucałował Wilhelma w oba policzki.

— Ach — powiedział Wilhelm niemal wesoło — na widok pana wstępuje we mnie odwaga!

Ale dwaj nowo przybyli przynieśli trochę wiadomości. Na bulwarach panowało najwyższe wzburzenie, bowiem wieść o zamachu rozeszła się od kawiarni do kawiarni i wyrywano sobie późne wydanie jednego z dzienników, w którym opisano tę sprawę, zresztą bardzo nieudolnie, z sensacyjnymi szczegółami.

Piotr widząc, że Wilhelm zbladł, zmusił go, aby się znowu położył. A gdy zagroził, że poprosi tych panów do przyległego pokoju, ranny rzekł cicho: — Nie, nie, przyrzekam ci, że nie będę się ruszał i ust już nie otworzę. Zostańcie tutaj, rozmawiajcie półgłosem. Zapewniam cię... to mi dobrze zrobi, że nie będę sam i posłucham, o czym będziecie mówić.

Wtedy pod sennym światłem lampy rozpoczęła się cicha rozmowa. Stary Barthès mówił o bombie, którą uważał za broń ohydną i głupią, ze zgrozą bohatera legendarnych walk o wolność, opóźnionego w stosunku do nowych czasów, z których absolutnie nic nie rozumiał. Czyż uzyskana wreszcie wolność nie wystarczyłaby dla wszystkich? Czy istniało inne zagadnienie niż sprawa ugruntowania prawdziwej republiki? Później, w związku z Mège'em i jego przemówieniem wygłoszonym po południu w Izbie, z goryczą oskarżał kolektywizm, nazywając go jedną z demokratycznych form despotyzmu. Teofil Morin opowiadał się również przeciwko kolektywistycznemu organizowaniu sił społecznych, ale ze znacznie większą nienawiścią odnosił się do ohydnej przemocy anarchistów; gdyż postęp pojmował tylko jako ewolucję i okazywał się dosyć obojętny w kwestii środków politycznych, które

miały doprowadzić do naukowego społeczeństwa jutra. Bache, jeśli chodziło o anarchistów, zdawał się też niezbyt ich kochać, ale wzruszał się idyllicznym marzeniem, humanitarną nadzieją kiełkującą na dnie ich niszycielskiej pasji; on również oburzał się na Mège'a, którego oskarżał, że od chwili gdy wszedł *do Izby*, był już tylko retorem, teoretykiem marzącym o dyktaturze. A Janzen, wciąż stojąc, z ironiczną zmarszczką koło ust, z lodowatą twarzą, słuchał tych trzech rzucając tylko urywane słowa, tnące jak ostrze brzytwy, aby

wypowiedzieć swą wiarę w anarchię, w bezskuteczność odcieni, w konieczność absolutu, w to, że trzeba wszystko zburzyć, aby wszystko odbudować.

Piotr, który pozostał przy łóżku, również słuchał z namiętną uwagą. W obliczu ruiny wszystkich wierzeń, jaka się w nim dokonała, w obliczu nicości, do której doszedł, ci ludzie, przybyli tutaj z czterech stron idei stulecia, poruszali straszliwy problem, z powodu którego on cierpiał, problem nowej wiary, której oczekiwała demokracja następnego stulecia. I od czasu bezpośrednich poprzedników tej epoki, od Woltera, od Diderota, od Russa, jakież nieustanne fale myśli płynęły jedna po drugiej, zderzały się z sobą bez końca, jedne rodziły drugie, a wszystkie załamywały się w burzy, gdzie tak trudno było wydawać o nich sądy. Skąd wiał wiatr, gdzie zdążał okręt zbawienia, w którym porcie należało lądować? Już był sobie powiedział, że bilans wieku trzeba było dopiero przeprowadzić, że powinien, przyjąwszy spuściznę Russa i innych prekursorów, studiować idee Saint-Simona, Fouriera, samego nawet Cabeta, Augusta Comte'a i Proudhona, a także Karola Marksa, aby przynajmniej zdać sobie sprawę z przebytej drogi, z rozstajów, na których się znalazł. I czyż nie miał po temu dobrej sposobności, skoro traf zgromadził w jego domu tych ludzi, reprezentujących żywe i sprzeczne doktryny, które zamierzały zbadać.

Ale odwróciwszy się, Piotr zobaczył Wilhelma bardzo bladego, z zamkniętymi oczyma. Czy on, tak ufny w wiedzę, odczuł może wątpliwości w obliczu sprzecznych teorii, może ogarnęła go rozpacz, gdy widział, że walka o prawdę potęguje jeszcze nieprawdę.

— Boli cię? — zapytał ksiądz, zaniepokojony.

— Tak, trochę... Spróbuję usnąć.

Wszyscy wyszli, w milczeniu ściskając sobie ręce. Został tylko Mikołaj Barthès; położył się w pokoju na pięttrze, który przygotowała dla niego Zofia. Piotr, nie chcąc opuszczać brata, drzemał na kanapie. I mały dom zapadł znowu w wielki spokój, w milczenie samotności i zimy, które przenikał melancholijny dreszcz wspomnień dzieciństwa.

Rano, o godzinie siódmej, Piotr poszedł po dzienniki. Wilhelm źle spał, wystąpiła duża gorączka. Ale pomimo to brat musiał mu przeczytać nie kończące się artykuły na temat zamachu. Był to niezwykle splot prawdy i fałszu, dokładnych informacji, tonących w najbardziej nieoczekiwanych wymysłach. Zwłaszcza „Głos Ludu”, dziennik Saniera, wyróżniał się olbrzymimi tytułami i podtytułami, i tym, że dał całą stronę chaotycznych informacji. Tym razem odsunął na później ogłoszenie słynnej listy trzydziestu dwóch deputowanych i senatorów skompromitowanych w aferze Afrykańskich Kolei Żelaznych i obficie szafował szczegółami, opisywał wygląd pałacu Duvillardów po wybuchu, dziurawe

bruki, pęknięty sufit górnego piętra, bramę wjazdową wyrwaną z zawiasów; dalej następowała historia dwojga młodych Duvillardów, ocalonych cudem, w nie tkniętym powozie, podczas gdy rodzice, jak mówiono, zatrzymali się na znakomitym odczycie wielebnego Marthy. Całą kolumnę poświęcono jedynej ofierze, biednej jasnowłosej i ładnej dziewczynce na posyłki z magazynu mód, powalonej z otwartą jamą brzuszna, ofiary, której identyczności nie ustalono dokładnie, chociaż cała chmara reporterów rzuciła się na Avenue de l'Opéra, do właścicielki magazynu, a potem na koniec przedmieścia Saint-Denis, gdzie, jak mówiono, mieszkała babka zmarłej. A w poważnym artykule „Globu”, oczywiście inspirowanym przez Fonsègue'a, zwracano się z apelem do patriotyzmu Izby, aby nie dopuściła do kryzysu rządowego wobec bolesnych zdarzeń, jakie kraj przeżywa. Tak więc gabinet miał jeszcze pożyć parę tygodni we względnym spokoju.

Ale uwagę Wilhelma pochłonał jeden tylko szczegół. Sprawca zamachu był jeszcze nieznany. Salvat na pewno nie został ani aresztowany, ani nie ciążyły na nim podejrzenia. Przeciwnie, wydawało się, że policja kroczy fałszywym śladem: jakiś dostatnio ubrany pan, w rękawiczkach, miał, jak przysięgał jeden z sąsiadów, wejść do pałacu w chwili wybuchu. Wilhelm zdawał się trochę uspokajać, gdy brat przeczytał mu inny dziennik, podający informacje o narzędziu, którym się tu prawdopodobnie posłużono, mianowicie o pudełku po konserwie, stosunkowo bardzo małym, z którego znaleziono tylko szczątki. Wilhelma znowu ogarnął lęk, gdy usłyszał, jak dziwiono się, że tak marne narzędzie mogło spowodować tak wielkie spustoszenie, i snuto domysły na temat jakiegoś nowego środka wybuchowego o nieobliczalnej mocy.

O godzinie ósmej znów przyszedł Bertheroy, żwawy mimo swojej siedemdziesiątki, niczym młody student medycyny, który biegnie do przyjaciela, aby mu oddać przysługę dokonując małej operacji. Ale rozgniewał się widząc, że ranny jest zaczerwieniony, nerwowy, spalony gorączką.

— Ależ, mój kochany chłopcze, widzę, że nie byłeś rozsądny. Widocznie za dużo rozmawiałeś, ruszałeś się i niepokoiłeś!

A gdy go zbadał i starannie wysondował ranę, dodał nakładając opatrunek: — Wiesz, że kość jest naruszona, i nie odpowiadam za nic, jeśli nie będziesz zachowywać się rozsądniej. W razie jakichś powikłań amputacja stałaby się konieczna.

Piotr zadrżał, natomiast Wilhelm wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że może poddać się nawet amputacji, skoro wszystko dokoła niego wali się w gruzy. Bertheroy, który usiadł i na chwilę się zamyślał, patrzył na nich obu swoimi przenikliwymi oczyma. Wiedział o zamachu, widocznie wysnuł już swoje wnioski.

— Mój drogi chłopcze — zaczął znowu, z właściwą sobie szorstkością — pewien, jestem, że nie ty popełniłeś tę ohydną niedorzeczność przy ulicy Godot-de-Mauroy. Ale wyobrażam sobie, że byłeś gdzieś w pobliżu... Nie, nie, nic mi nie odpowiadaj, nie broń się. Nie wiem i nie chcę nic wiedzieć, nie chcę nawet znać formuły tego diabelskiego! prochu, którego ślady widać na mankiecie twojej koszuli i który poczynił tak straszne spustoszenia.

A ponieważ dwaj bracia milczeli, zaskoczeni i zmrożeni lękiem mimo jego zapewnień, dodał z, szerokim gestem:

— Ach, moi drodzy, wierzcie mi, że postępek ten wydaje mi się jeszcze bardziej bezcelowy jak zbrodniczy! Żywię jedynie pogardę dla czczej propagandy politycznej, zarówno rewolucyjnej, jak konserwatywnej. Czyż nie wystarcza wiedza? Po co gwałtem przynaglać czas, skoro jeden krok na drodze nauki bardziej zbliża ludzkość ku państwu sprawiedliwości i prawdy niż sto lat polityki i buntu społecznego? Przecież tylko wiedza zmiata dogmaty, znosi bogów, daje światło i szczęście... To ja, członek Instytutu, mający rentę i odznaczenia, jestem jedynym prawdziwym rewolucjonistą! Zasiniał się i Wilhelm odczuł dobroduszną ironię tego śmiechu. O ile podziwiał w nim wielkiego uczonego, o tyle aż dotąd cierpiał, widząc, że jest tak po mieszczańsku usadowiony w życiu, że pozwala, aby sypały się ma niego stanowiska i zaszczyty, że jest republikaninem w republice, ale gotów służyć wiedzy pod każdym panem. I oto spod tego oportunisty, tego uczonego zaklasyfikowanego w urzędowej hierarchii, tego pracownika, który ze wszystkich stron przyjmował bogactwo i sławę, wyłaniał się spokojny a groźny ewolucjonista, dobrze obliczający, że jego trud pomimo wszystko zburzy i odnowi świat.

Wstał i skierował się do wyjścia.

— No, wróć tu jeszcze, bądźcie rozsądni, kochajcie się wzajem.

Gdy *znaleźli* się sami, Piotr pozostał przy łóżku Wilhelma, a ręce ich znowu się poszukały i splotły w uścisku, w którym płonęła cała ich trwoga. Ileż niewiadomego, ileż zagrażającej rozpacz dokoła i w nich samych! Szary zimowy dzień wchodził do pokoju, widać było czarne drzewa w ogrodzie, a mały dom drżał od milczenia... Słysać było tylko głuchy odgłos kroków nad ich głowami, kroków Mikołaja Barthès, fanatycznego kochanka wolności, który po spędzonej tam nocy podjął był od świtu swoją wędrówkę lwa po klatce, stałą przechadzkę wiecznego więźnia. I w tej chwili spojrzenia obu braci padły na dziennik, który, szeroko rozłożony, leżał jeszcze na łóżku, z plamą szkicu, który miał przedstawiać dziewczynkę na posyłki, martwą, z rozdartym brzuchem, obok pudła i damskiego kapelusza. Było to tak przerażające, tak okrutne w swej brzydocie, że dwie duże łzy znowu potoczyły się z oczu Piotra, a zmacone i pełne rozpacz wejrzenie Wilhelma, utkwione w dal, wypatrywało przeszłości.

II

W górze, na Montmartre, mały dom, który Wilhelm od tylu lat zajmował wraz z rodziną, dom cichy i pracowity, czekał spokojnie w bladym dniu zimowym. Po śniadaniu Wilhelm, bardzo przybity, widząc, że dla bezpieczeństwa co najmniej trzy tygodnie chyba będzie musiał spędzić poza domem, wpadł na pomysł, aby wysłać tam Piotra, żeby opowiedział wszystko i wyjaśnił.

— Słuchaj, bracie, musisz mi oddać tę przysługę. Idź powiedzieć im prawdę, że leżę tutaj niezbyt ciężko ranny i że proszę ich, aby nie przychodzili mnie - odwiedzać, gdyż boję się, że ktoś przyjdzie za nimi i odkryje miejsce mojego schronienia. Po moim wczorajszym liście mogliby się w końcu zaniepokoić, jeżeli nie przyślę im wiadomości.

Potem, pod wpływem troski, jedyne go lęku, który od wczoraj maćił jego czyste spojrzenie, dodał:

— Wiesz, sięgnij do prawej kieszeni mojej kamizelki... Wyjmij mały kluczyk, ten właśnie, oddaj go pani Leroi, mojej teściowej, i powiedz, że gdyby spotkało mnie coś złego, niech zrobi to, co powinna zrobić. To wystarczy, ona już zrozumie. Piotr wahał się chwilę. Ale widząc, jak bardzo ten niewielki wysiłek wyczerpał Wilhelma, zmusił go do milczenia.

— Nie mów nic więcej, leż spokojnie. Pójdę uspokoić twoich, ponieważ pragniesz, abym ja podjął się tego zlecenia.

Krok ten kosztował go tak wiele, że w pierwszej chwili przyszło mu na myśl, czy nie można by tym obarczyć Zofii. Budziły się wszystkie dawne jego przesady, wydawało mu się, że ma pójść do jaskini ludożercy. Ile razy słyszał, jak matka mówiła „ta kreatura” o kobiecie, z którą żył jej starszy syn, bez sakramentu! Nigdy nie chciała uściskać trzech synów zrodzonych z tego wolnego związku, oburzona tym zwłaszcza, że babka, owa pani Leroi, została w nieprawej rodzinie, aby wychowywać dzieci. I tak wielka była w nim moc wspomnienia, że dziś jeszcze, idąc do bazyliki Sacré-Coeur, patrzył w przejściu nieufnie na mały lichy dom, gdzie mieszkały grzech i bezwstyd. Prawda, że od przeszło dziesięciu lat matka tych trzech dorosłych synów już nie żyła. Ale czyż nie znalazła się tam znowu inna, siejąca zgorszenie kreatura, młoda sierota, którą jego brat przygarnął i którą miał pojąć za żonę, mimo że dzieliło ich dwadzieścia lat różnicy? Dla Piotra wszystko to było sprzeczne z moralnością, anormalne, raniące i wyobrażał sobie zbuntowany dom, gdzie życie nieporządne, zdeklasowane doprowadziło do chaosu moralnego i materialnego, którym on się brzydził. Wilhelm przywołał go znowu.

— Powiedz też pani Leroi, że gdybym umarł, zawiadomiłbyś ją o tym, aby mogła natychmiast zrobić to, co powinna.

— Tak, tak, uspokój się, leż cicho, powiem na pewno wszystko!... Zofią nie opuści tego pokoju, bo może. będziesz czegoś potrzebował.

I wydawszy służącej ostatnie polecenia Piotr wyszedł, wszedł do tramwaju, z myślą, że wysiądzie przy bulwarze Rochechouart i pieszo pójdzie na górę. Po drodze, w kołyszącym biegu ciężkiego wozu przypomniał sobie te sprawy, o których w swoim czasie wiedział niewiele, niedokładnie, a których szczegóły poznał dopiero później. W roku 1850 Leroi, młody nauczyciel przybyły z Paryża, dostał się do liceum w Montauban; pełen płomiennych idei, namiętny republikanin, ożenił się z Agatą Dagnan, najmłodszą z pięciu córek ubogiej rodziny protestanckiej, rodem z Sewennów. Młoda pani Leroi była w odmiennym stanie, gdy jej mąż, nazajutrz po zamachu stanu, zagrożony aresztowaniem za gwałtowne artykuły opublikowane w jednym z dzienników tego miasta, musiał uciekać i schronił się w Genewie; tam w roku 1852 urodziło się im wątłe dziecko, córka Małgorzata. Przez siedem lat, aż do amnestii w roku 1859, rodzina ta borykała się z biedą, ponieważ ojcu rzadko udawało się zdobyć źle płatne lekcje, a matkę zatrzymywały w domu ciągle starania, jakich wymagała córka. Później, po powrocie do Francji, do Paryża, zła dola jak gdyby się na nich jeszcze bardziej zawzięła; dawny nauczyciel długo pukał do wszystkich drzwi; odprawiany z niczym ze względu na swoje przekonania, zmuszony był udzielać lekcji prywatnych. Miał wreszcie dostać się na uniwersytet, gdy powalił go cios ostateczny, atak paraliżu, bezwład obu nóg, tak że na zawsze został przykuty do fotela. Wtedy przyszła skrajna

nędza: wszelkiego rodzaju marne zarobki, artykuły do słowników, przepisywanie manuskryptów, adresowanie opasek na gazety, z czego z trudem żyli w małym mieszkaniu przy ulicy Monsieur-le-Prince. Tymczasem Małgorzata rosła. Leroi, zbuntowany wobec doznanej niesprawiedliwości i cierpień, nie wierzący, przepowiadał republikę, mścicielkę szaleństw Cesarstwa, królestwo wiedzy, która zmiotłaby kłamliwego i okrutnego Boga dogmatów. Agata, której protestancka wiara zgasła ostatecznie w Genewie w obliczu ciasnych i głupich praktyk, zachowała w sobie zacyzn dawnych buntów. Ona stała się jednocześnie głową i ręką domu, chodziła po robotę, odnosiła ją, wykonywała w znacznej części, czuwała nad gospodarstwem, wychowywała i kształciła córkę. Małgorzata nie chodziła do żadnej szkoły, umiała to tylko, czego nauczyli ją ojciec i matka, przy czym nigdy nie było mowy o wykształceniu religijnym. Pod wpływem męża pani Leroi, uwolniona od wszelkich wierzeń, na skutek protestanckiego atawizmu wolności sumienia, stworzyła sobie rodzaj spokojnego ateizmu, pojęcia obowiązku, sprawiedliwości ludzkiej niezawodnej, którą wprowadzała w czyn śmiało, ponad wszystkimi konwencjami społecznymi. Długotrwała niesprawiedliwość, którą cierpiał jej mąż, niezasłużone nieszczęście, jakie spadło na nią godząc w jej męża i córkę, dały jej z biegiem czasu niezwykłą siłę oporu, moc poświęcenia, które uczyniły z niej istotę miłującą sprawiedliwość, kierowniczkę i pocieszycielkę o nieporównanej energii i szlachetności.

Tam właśnie, w domu przy ulicy Monsieur-le-Prince, po wojnie, Wilhelm poznał rodzinę Leroi. Zajmował, na tym samym piętrze, naprzeciw ich małego mieszkanka, duży pokój, gdzie pracował zapamiętałe. Z początku zaledwie wymieniali pozdrowienia, sąsiedzi byli bardzo dumni, bardzo poważni, pędzili swoje ubogie życie okazując płochliwą powściągliwość. Następnie nawiązały się uprzejme stosunki, młodzieniec postarał się dla dawnego profesora o zamówienie na parę artykułów do nowej encyklopedii. Nagle przyszła katastrofa. Leroi pewnego wieczora umarł w fotelu, gdy córka przewoziła go od stołu do łóżka. Dwie kobiety, przerażone, nie miały go nawet za co pochować. Cała tajemnica skrajnej nędzy tej rodziny spływała z ich łzami, musiały pozwolić działać Wilhelmowi, który od tej chwili stał się dla dwóch kobiet powiernikiem, przyjacielem, człowiekiem niezastąpionym. I rzecz, która przyjsć musiała, dokonała się wtedy w sposób najprostszy w świecie i naj-

tkliwszy, za zgodą samej matki, która — pogardzając jako istota sprawiedliwa społeczeństwem, gdzie najlepsi umierali z głodu — nie chciała uznać konieczności więzów społecznych. Nie było mowy o małżeństwie. I przyszedł dzień, kiedy u boku Wilhelma, który miał wtedy dwadzieścia trzy lata, stanęła jako żona dwudziestoletnia wówczas Małgorzata; piękni, zdrowi i silni, uwielbiali się wzajemnie i pracowali, pełni nadziei na przyszłość. Od tego dnia rozpoczęło się nowe życie. Wilhelm, który zerwał wszelkie stosunki z matką, otrzymywał od śmierci ojca drobną rentę wynoszącą dwieście franków miesięcznie. Wystarczało to jedynie na chleb, ale Wilhelm już podwajał tę sumę pracą w dziedzinie chemii, analizami, badaniami i stosowaniem ich w przemyśle. Młode stadło zamieszkało na wzgórzu Montmartre, na samym szczycie, w małym domku, którego czynsz wynosił osiemset franków, a którego wielką zaletą był mały ogród, gdzie z czasem

można było zbudować drewniane pomieszczenie na pracownię. Pani Leroi ze spokojem zamieszkała z córką i zięciem, pomagając im, oszczędzając wydatków na drugą służącą, oczekując, jak mówiła, wnuków, aby zająć się ich wychowaniem. I przyszły dzieci, w dwuletnich odstępach, trzech synowie, trzech mali, mocni mężczyźni; najpierw Tomasz, potem Franciszek, a wreszcie Antoni. I pani Leroi, jak przedtem poświęciła się bez reszty mężowi, a potem zięciowi, tak oddała się trojgu dzieciom zrodzonym ze szczęśliwego związku, stała się Babką, jak ją nazywano, Babką dla całego domu, zarówno dla starych, jak młodych. Ona była rozumem, mądrością, odwagą; ona nieustannie czuwała, wszystkim rządziła, ją we wszystkim pytano o radę, jej we wszystkim słuchano, ona panowała jak wszechwładna królowa matka. Piętnaście lat prowadzili takie życie, życie wypełnione twardą pracą w atmosferze spokojnej miłości, w małym skromnym domu, gdzie bardzo skrupulatna oszczędność regulowała wydatki, zaspokajała potrzeby. Potem Wilhelm stracił matkę, wziął po niej spadek, mógł wreszcie urzeczywistnić długo żywione życzenie, kupić dom, wybudować obszerną pracownię w zakątku ogrodu, i to nawet pracownię murowaną, nad którą kazał wznieść jeszcze piętro. I zaledwie urządzili się na nowo i życie miało im popłynąć dostatniej i weselej, gdy powróciło nieszczęście, porwał brutalnie Małgorzatę, która po tygodniu choroby umarła na tyfus. Miała zaledwie trzydzieści pięć lat; jej najstarszy syn, Tomasz, liczył lat czternaście; i, Wilhelm w trzydziestym ósmym roku życia został wówczas z trzema synami, ogłuszony doznaną stratą. Myśl wprowadzenia jakiejś obcej kobiety do tego zamkniętego kręgu, gdzie serca były czule ze sobą złączone, wydała mu się tak podła, tak nieznośna, że postanowił nie żenić się powtórnie. Praca go pochłaniała, nakazał milczenie swemu ciału i sercu. Na szczęście Babka wciąż jeszcze była dzielna i energiczna, dom zachował swoją królową, dzieci odnalazły w niej przewodniczkę, wychowawczynię wyrosłą w szkole ubóstwa i heroizmu.

Minęły dwa lata. Potem rodzina się powiększyła; nagły zbieg wypadków wprowadził tam młodą dziewczynę, Marię Couturier, córkę jednego z przyjaciół Wilhelma. Ów Couturier był wynalazcą, genialnym szaleńcem, który strwonił był dość znaczny majątek na wszelkiego rodzaju nadzwyczajne pomysły. Jego żona, ogromnie pobożna, umarła ze zmartwienia; on zaś, mimo iż uwielbiał córkę, którą obsypywał pieszczotami i podarkami w rzadkich chwilach, kiedy ją widywał, umieścił dziewczynkę naprzód w liceum, a potem pozostawił ją u jakiejś ubogiej krewnej. Umierając przypomniał sobie o niej i błagał Wilhelma, aby wziął ją do siebie i wydał za męża. Uboga krewna, trudniąca się bielizniarstwem, właśnie zbankrutowała. Maria w dziewiętnastym roku życia znalazła się na bruku bez grosza, mając tylko dość solidne wykształcenie, zdrowie i odwagę, Wilhelm nie zgodził się, aby dawała lekcje, aby biegała po domach. I wziął ją po prostu, aby pomagała Babce, która nie była już tak żwawa i sama poparła jego zamiar, szczęśliwa z przybycia tej młodej wesołej istoty, wierząc, że jej obecność wniesie trochę radości w ich dom, bardzo smutny od śmierci Małgorzaty. Maria miała być starszą siostrą, na tyle starszą, że obecność jej nie mogła źle wpływać na chłopców, którzy chodzili jeszcze do szkoły. Miała pracować w tym domu, gdzie wszyscy pracowali, pomagać tej wspólnocie, dopóki nie spotka i nie pokocha jakiegoś dzielnego chłopca, który weźmie ją za żonę.

Upłynęło znowu pięć lat, a Maria nie chciała opuścić szczęśliwego domu. Mimo solidnego wykształcenia, które padło na umysł zrównoważony, żadny wiedzy, pozostała bardzo czysta, bardzo zdrowa, a nawet bardzo naiwna, dziewicza dzięki wrodzonej prawości; bardzo kobieca, stroiła się w byle co, cieszyła byle czym, zawsze wesoła i zadowolona; bardzo praktyczna i trzeźwa, nieustannie czymś zajęta, *żądała* od życia tylko tego, co ono mogło jej dać, a nie troszczyła się o rzeczy nadzmysłowe. Wspominała czule matkę, tak pobożną, która zaprowadziła ją do pierwszej komunii, cała we łzach, przekonana, że otwiera córce bramy nieba. Ale gdy Maria osierociała, z własnej woli zarzuciła wszelkie praktyki religijne, zbuntowana w swoim zdrowym rozsądku, nie potrzebując tych rygorów moralnych, aby postępować rozsądnie, uważając je za [niebezpieczny absurd, szkodliwy dla prawdziwego zdrowia. Jak Babka, wyznawała spokojny ateizm, niemal bezwiedny, nie jako rezonerka, lecz po prostu jako zdrowa i dzielna dziewczyna, która długo znosiła ubóstwo, nie cierpiąc nad tym zbyt, i wierzyła tylko w konieczność wysiłku, podtrzymywana wiarą, że szczęście zawiera się w radości życia, jeżeli przeżywamy je normalnie i dzielnie. I ta cenna równowaga wewnętrzna, nie zawadzająca nigdy, była jej przewodniczką i opiekunką. Toteż słuchała tylko własnego instynktu i mówiła z uroczym uśmiechem, że zawsze jest on jej najlepszym doradcą. Dwa razy odrzuciła propozycję małżeństwa; i przy drugiej, ponieważ Wilhelm nalegał, zdziwiła się i zapytała, czy chce się jej pozbyć z domu. Jej było tam doskonale, czuła się pożyteczna. Dlaczego miałyby opuścić ten dom, dlaczego miałyby ryzykować, że gdzie indziej będzie mniej szczęśliwa, skoro nikogo nie kocha?

Później, stopniowo zrodziła się myśl o ewentualnym małżeństwie Marii i Wilhelma i ukazała się jako coś- użytecznego i rozsądnego. Istotnie, cóż mogło być rozsądniejsze i lepsze dla nich wszystkich? Nie ożenił się powtórnie tylko ze względu na synów, jedynie z obawy, aby nie wprowadzać obcej kobiety, która mogłaby zamącić radość, subtelny spokój tego domu. I oto teraz była tam kobieta, już macierzyńska w stosunku do chłopców, kobieta, której promienna młodość wzburzyła wreszcie serce Wilhelma. Był jeszcze pełen sił, zawsze twierdził, że człowiek nie powinien żyć sam, jakkolwiek dotychczas, pochłonięty bez reszty pracą, nie bardzo cierpiał z powodu swego wdowieństwa. Ale istniała różnica wieku, więc byłby się bohatercko trzymał na uboczu, szukał dla dziewczyny młodszego męża, gdyby jego trzej synowie, a nawet sama Babka nie zawiązali spisku na rzecz jego szczęścia, chcąc doprowadzić do związku, który miał zacieśnić wszystkie więzy, wprowadzić do domu jak gdyby nową wiosnę. Maria, bardzo wzruszona, bardzo wdzięczna za sposób, w jaki Wilhelm traktował ją od pięciu lat, zgodziła się od razu, poddając się wybuchowi szczerego uczucia, które uważała za miłość. Czyż mogła zresztą postąpić rozumniej, ustalić swoje życie w warunkach pewniejszego szczęścia? I mniej więcej od miesiąca ślub, omówiony i postanowiony, wyznaczony był na wiosnę, pod koniec kwietnia.

Gdy Piotr wysiadł z tramwaju i wszedł na niekończące się schody, prowadzące na ulicę Świętego Eleuteriusza, znowu ogarnęło go zakłopotanie na myśl, że wejdzie do tego podejrzanego domu ludożercy, gdzie na pewno wszystko będzie go drażnić i ranić. Poza tym, jaki niepokój i nieład zastanie tam, wywołany listem, który doręczyła im wczoraj Zofia, wiadomością, że

ojciec ,na razie nie wróci? Jednakże, gdy wchodził na najwyższe kondygnacje i trwożnie uniósł głowę, mały dom ukazał mu się daleko, u samej góry, niezmiernie pogodny i cichy w jasnym zimowym słońcu, które zaświeciło, jak gdyby chciało go otoczyć serdeczną pieśczęcią.

Furtka w starym ogrodowym murze wychodziła na ulicę Świętego Eleuteriusza, niemal ma wprost szerokiej drogi prowadzącej do bazyliki Sacré-Coeur, lecz aby dostać się do domu Wilhelma, należało skrócić, dojść aż do placu du Tertre, na który wychodziły frontowe okna domu i jego brama. Dzieci bawiły się na placu, kwadratowym placu jak w małym prowincjonalnym miasteczku; był on wysadzany wątłymi drzewami, okalały go marne sklepiki: owocarka, sklep korzenny, piekarz... A w rogu, na lewo, odmalowany ubiegłej wiosny dom ukazywał jasną fasadę o pięciu oknach, zawsze martwych od strony placu, gdyż życie skupiało się po drugiej stronie, od ogrodu, który dominował nad ogromnym widnokretem Paryża.

Piotr zdobył się na odwagę, nacisnął dzwonek, miedziany guzik błyszczący jak ze złota. Rozległ się dźwięk wesoły i daleki. Ale nikt nie wyszedł; i już Piotr miał zadzwonić powtórnie, gdy drzwi otworzyły się szeroko, ukazując sień, korytarz, przy końcu którego, poprzez cały dom, widać było w jasnym świetle ocean Paryża, bezkresne morze dachów. A przed Piotrem, odcinając się wyraźnie w tej ramie nieskończoności, stała dziewczyna lat dwudziestu sześciu, ubrana w skromną, czarną wełnianą suknię, na wpół ukrytą pod wielkim niebieskim fartuchem, z rękawami zakasanyymi po łokcie, z jeszcze wilgotnymi, pośpiesznie wytartymi rękoma. Nastąpiła chwila zdziwienia i zakłopotania. Dziewczyna, która nadbiegła z roześmianą twarzą, spoważniała na widok sutanny; stała milcząca z wyrazem tajonej wrogości. Ksiądz uznał, że powinien się przedstawić. — Jestem ksiądz Piotr Froment. Natychmiast odzyskała swój życzliwy uśmiech.

— Ach, przepraszam księdza... Powinna była poznać... bo przecież raz widziałam, jak ksiądz kłaniał się na ulicy Wilhelmu.

Mówiła: „Wilhelm.” A więc była to Maria. I Piotr, zdziwiony, spojrzawszy na nią i stwierdził, że jest zupełnie inna, niż sobie wyobrażał. Nie była wysoka, *raczej* średniego wzrostu, ale silna, wspaniale zbudowana, o szerokich biodrach i ramionach, z drobnymi i jędrnymi piersiami Amazonki. Wyczuwało się w niej zdrowie, mocne mięśnie, mówiły o tym jej ruchy naturalne i swobodne, pełne uroczego wdzięku kobiety, która jest świadoma swej siły. Była to brunetka o bardzo jasnej cerze, z ciężkim hełmem wspaniałych czarnych włosów, które spletała niedbale, bez wymyślnej kokieterii. Pod ciemnymi pasmami czyste, inteligentne czoło, subtelny nos, wesołe oczy tchnęły intensywnym życiem, trochę zaś ciężki dół twarzy, pełne wargi i mocny podbródek mówiły o spokojnej dobroci. Stała pewnie po ziemi, zdolna do tkliwych uczuć i poświęceń. Była stworzona na towarzyszkę mężczyzny.

Ale Piotr, zetknawszy się z nią po raz pierwszy, widział tylko jej nadmierne zdrowie, spokój zbyt pewny siebie, ciężkie, gęste włosy, wspaniałe ramiona w ich tak niewinnej nagości. Nie podobała mu się, budziła w nim niepokój, jak istota odmienna, która pozostaje obca.

— Przysłała mnie właśnie mój brat Wilhelm.

Zaszła w niej nowa zmiana, stała się znów poważna, szybko wprowadziła go do sieni. Zamknęła drzwi i rzekła:

— Ksiądz przynosi nam wiadomości od niego... Przepraszam, że tak ksiądz przyjmuję. Nasze służące właśnie skończyły pranie i sprawdzałam, czy dobrze to zrobiły... A więc raz jeszcze przepraszam i proszę wejść tutaj na chwilę. Może lepiej będzie, gdy ja dowiem się pierwsza.

Zaprowadziła go na lewo, koło kuchni, do pokoju, który służył za pralnię. Stała tam balia pełna mydlin, a na drewnianych drążkach ociekała z wody bielizna.

— Więc co z Wilhelmem?

Z wielką prostotą Piotr powiedział jej prawdę: że jego brat zraniony został w rękę, że przypadek uczynił jego, Piotra, świadkiem zdarzenia, że potem brat schronił się u niego w Neuilly, a teraz pragnie, aby pozwolono mu tam wyleczyć się w spokoju i nie odwiedzano go. Opowiadając to wszystko, przez cały czas śledził wrażenia na twarzy Marii, naprzód przerażenie i współczucie, potem wysilek, aby uspokoić się i rozumnie rzecz osądzić.

Wreszcie powiedziała:

— Wczoraj wieczór list jego przestraszył mnie, byłam pewna, że stało się jakieś nieszczęście. Ale trzeba być dzielną i nie zdradzać się z lękiem przed innymi... Ranny w przegub, to nie jest ciężka rana, prawda?

— Nie. Ale to rana wymagająca bardzo starannego leczenia. Patrzyła mu prosto w twarz, wielkimi, szczerymi oczyma, które zatapiały się w jego oczach, aby przemknąć aż do dna jego istoty, a jednocześnie widać było, że powstrzymuje masę pytań, jakie cisnęły się jej na usta.

— I to już wszystko? Został raniony w wypadku... i nie prosił, aby ksiądz, powiedział nam o tym coś więcej?

— Nie, po prostu chodzi mu o to, abyście się państwo nie niepokoiли.

Wobec tego nie nalegała; posłuszna, szanując wolę Wilhelma, zadowolona się tym, co kazał jej powiedzieć, aby uspokoić rodzinę, nie próbowała dowiedzieć się więcej. I tak jak wróciła do

swojej pracy mimo tajemnej trwogi, w której żyła od chwili otrzymania wczorajszego listu, tak teraz odzyskała na pozór pogodę, cichy uśmiech, dzielne, jasne spojrzenie; twarz jej znów wyrażała siłę i spokój.

— Wilhelm — mówił dalej Piotr — dał mi tylko jedno polecenie: abym oddał pani Leroi mały klucz.

— Dobrze — odparła z prostotą Maria. — Babka jest w pracowni, a zresztą trzeba, aby i chłopcy zobaczyli się z księdzem... Proszę za mną.

Uspokojona teraz, patrzyła na Piotra, nie umiając ukryć ciekawości, raczej życzliwej, w której tała się na dnie jakaś niejasna litość. Jej białe i świeże ramiona, uroczo pachnące młodością, pozostały dotąd obnażone. Bez pośpiechu, z całkowitą prostotą opuściła teraz rękawy. Potem zdjęła obszerny niebieski fartuch, ukazała pulchną kibić, wytworną i silną w skromnej czarnej sukni. Patrzył na jej gesty, ale Maria naprawdę nie podobała mu się; tak naturalna, zdrowa i dzielna budziła w nim jakiś sprzeciw, którego nie umiał sobie wytłumaczyć.

— Proszę za mną. Musimy przejść przez ogród.

W domu, po drugiej stronie korytarza, naprzeciw kuchni i pralni, były dwa pokoje, biblioteka z oknami od strony placu du Tertre i jadalnia, której dwa

okna wychodziły na ogród. W czterech pokojach na piętrze mieszkał ojciec i synowie. Ogród, już pierwotnie mały, pomniejszył się teraz do rozmiarów wysypanego piaskiem podwórka, ponieważ zbudowano w nim wielką pracownię, która zajmowała cały jeden narożnik. Mimo to ze starych drzew pozostały dwie ogromne śliwy o sędziwych, chropowatych pniach, a także duża, bardzo bujna kępa bzów, które okrywały się na wiosnę kwiatami. I Maria koło tych bzów zrobiła sporą grządkę, gdzie zabawiała się hodowaniem paru krzaków różanych, goździków i rezedy.

Wskazała ręką czarne śliwy, bzy i krzaki róż, zaledwie zieleniejące na czubkach — cały ten zakątek natury uśpionej jeszcze przez zimę.

— Proszę powiedzieć Wilhelmowi, aby szybko wyzdrowiał i wrócił tutaj, gdy zakwitną pierwsze pączki.

A ponieważ Piotr w tej chwili popatrzył na nią, policzki jej nagle poczerwieniały. Czasem tak nagle i wbrew woli oblewała się rumieńcem przy najobojętniejszych słowach, i to doprowadzało ją do rozpaczy. Uważała za rzecz śmieszna, aby się wzruszać jak mała dziewczynka, chociaż serce w niej było tak mężne. Ale jej czysta kobieca krew zachowała tę niezwykłą delikatność, wstydlivość tak naturalną, że wymykała się spod jej kontroli. Widocznie przed chwilą zarumieniła się po prostu dlatego, że mówiąc o upragnionym nadejściu wiosny niepotrzebnie wobec tego księdza uczyniła aluzję do swego małżeństwa.

— Proszę wejść, księżu! Chłopcy właśnie są tutaj wszyscy trzej.

I wprowadziła księdza do pracowni.

Była to bardzo obszerna sala, wysoka na pięć metrów, z podłogą wykładaną ceglami, o ścianach nagich, malowanych na kolor ciemnoszary. Struga światła, rześista kąpiel ciepłego słońca zalewała wszystkie kąty, przenikała przez wielkie okna wychodzące na stronę południową, naprzeciwko ogromu Paryża, i opatrzone drewnianą kratą, opuszczaną w lecie, aby złagodzić upał w skwarne dni. Cała rodzina przebywała w tej sali od rana do wieczora, w serdecznej i bliskiej wspólności pracy. Wszystkim było tam wygodnie, każdy miał swoje ulubione miejsce, gdzie mógł się odizolować ze swoją robotą. Przede wszystkim pracował tam ojciec, który zajmował połowę sali na laboratorium chemiczne; było tam duże palenisko, stoły do doświadczeń, półki z aparatami, witryny, szafy pełne probówek i słoików. Dalej, z boku, Tomasz, najstarszy syn, miał małą kuźnię, kowadło, imadło, komplet narzędzi dla mechanika, którym zapragnął zostać, gdy ukończył szkołę średnią, aby nie opuszczać ojca i pomagać mu jako zaufany współpracownik przy praktycznym stosowaniu wyników badań. W drugim rogu dwaj młodsi, Franciszek i Antoni, w zgodzie gospodarowali po dwóch stronach dużego stołu, pośród teczek, szafek z przegródkami i obrotowych bibliotek; Franciszek, ozdobiony wawrzynami uniwersyteckimi, wstąpił był pierwszy do École Normale i przygotowywał się właśnie do egzaminu; Antoni, który w trzeciej klasie zniechęcił się do studiów klasycznych, czując namiętne zamilowanie do rysunku, cały oddawał się teraz drzeworytnictwu. A pod oknem,

w pełnym świetle, w obliczu ogromnego widnokregu, Babka i Maria miały również swój stół do pracy, do szycia i haftu, ką, zarzucony różnymi szmatkami i drobiazgami wśród trochę surowego nieładu piętrzących się wszędzie retort, narzędzi i grubych ksiąg.

Maria zawołała swoim spokojnym głosem, któremu usiłowała nadać brzmienie pogodne i wesołe:

— Dzieci, dzieci! Oto ksiądz przyniósł wiadomości od ojca!

Dzieci! Ileż młodej macierzyńskości wkładała w to słowo, zwracając się do dorosłych zuchów, których przez długi czas traktowała jak młodszych braci! Tomasz, dwudziestotrzyletni olbrzym, już z zarostem, uderzająco podobny do ojca, miał wysokie czoło, rzetelną twarz; trochę powolny fizycznie i umysłowo, milczący, niemal dziki, skrycie uwielbiający ojca, był szczęśliwy ze swego fizycznego zajęcia, które zamieniało go w zwykłego robotnika pod rozkazami mistrza. Młodszy o dwa lata Franciszek miał wygląd delikatniejszy, ale wzrost prawie taki sam, to samo wysokie czoło, takie same stanowcze usta, postawę pełną zdrowia i siły; wyrafinowanego intelektualistę, studenta École Normale, zdradzał jedynie żywszy i subtelniejszy płomień w oczach. Najmłodszy, Antoni, równie krzepki, chociaż miał dopiero osiemnaście lat, równie dorodny i wkrótce mający wzrostem dorównać braciom, wyróżniał się jasnymi włosami i niebieskimi oczyma, które odziedziczył po matce, marzącymi oczyma o niezmiernie łagodnym wyrazie. Kiedy jeszcze wszyscy trzej byli w liceum Condorcet, trudno ich było odróżnić, poznawano ich tylko po wzroście, gdy ustawili się rzędem, wedle wieku. I teraz jeszcze mylono się, gdy nie stali we trójkę obok siebie; wtedy bowiem dopiero można było zauważyć różnice pogłębiające się z wiekiem. Gdy wszedł Piotr, wszyscy trzej pogrążeni byli w pracy, tak pochłonięci, że nie usłyszeli, jak drzwi się otworzyły. I znowu zaskoczyła go dyscyplina, ta siła ducha, którą zauważył już był u Marii: zabrali się do codziennych zajęć mimo dręczącego ich niepokoju. Tomasz, przy swoim imadle, w bluzie, polerował starannie mały miedziany przedmiot swymi twardymi a zręcznymi rękoma. Schylony nad pulpitem, Franciszek pisał dużym i pewnym pismem, a po drugiej stronie stołu Antoni, z cienkim rylcem w palcach, kończył rycinę dla ilustrowanego dziennika. Ale na dźwięczny głos Marii wszyscy podnieśli głowy.

— Ojciec przysłała wam wiadomości o sobie, dzieci!

A wtedy wszyscy trzej, w jednakim zrywie, porzucili pracę i podeszli bliżej. Stojąc, wedle wieku, tak ogromnie do siebie podobni, wyglądali jak synowie-olbrzymy jakiejś potężnej rodziny. I czuło się, że gdy chodziło o ojca, byli sobie bliscy i zgodni, że mieli tylko jedno serce bijące w ich szerokich piersiach.

Ale w tej chwili otworzyły się jakieś drzwi w głębi pracowni i ukazała się Babka, która zeszła z piętra, gdzie mieszkała wraz z Marią. Poszła tam po motek wełny, a teraz patrzyła na tego księdza, nie rozumiejąc, skąd się wziął. — Babko — musiała wyjaśnić dziewczyna — to jest ksiądz Froment, brat Wilhelma, który przyszedł tu od niego.

Piotr również przypatrywał się jej, zdziwiony, że trzyma się tak prosto, że w siedemdziesiątym roku życia tyle ma w sobie skupienia i energii. W pociągłej twarzy, której dawna piękność przetrwała w postaci pełnego powagi uroku, brązowe oczy zachowały młodzieńczy ogień, a blade usta, gdzie widać było jeszcze wszystkie i zdrowe zęby, nie utraciły wyrazistego rysunku. Parę tylko siwych włosów srebrzyło się w czarnych pasmach ułożonych wedle dawnej mody. Policzki jedynie wyschły, poprzecinane głębokimi symetrycznymi zmarszczkami, które nadawały fizjonomii wielką szlachetność, ten władczy

wyraz twarzy królowej matki, którego nie traciła oddając się najprostszym nawet zajęciom, szczupła i wysoka, w swojej odwiecznej sukni z czarnej wełny.

— To Wilhelm księdza przysyła — rzekła. — On jest ranny, prawda?

Piotr, zdziwiony, że to odgadła, opowiedział wszystko po raz drugi.

— Tak, jest ranny w przegub, ale nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wyczuł w trzech synach Wilhelma jak gdyby jakieś drżenie, jakiś pęd całej istoty, aby biec z pomocą, bronić ojca. Dla nich więc starał się *znaleźć* słowa otuchy.

— Jest u mnie, w Neuilly... Przy odpowiednich staraniach na pewno *nie* wywiążą się żadne komplikacje. Przysyła mnie, aby powiedzieć państwu, że możecie być całkiem spokojni.

Babka nie okazywała najmniejszego lęku. Była bardzo opanowana, jak gdyby nie dowiedziała się niczego nowego. Wydawało się nawet, że doznała ulgi, że przestała lękać się czegoś, o czym nic nikomu nie mówiła.

— Jeżeli jest u księdza, jest mu tam doskonale i nic mu nie zagraża... Jego list z wczorajszego wieczora, nie wyjaśniający przyczyny, która zatrzymała go poza domem, zdziwił nas i wreszcie istotnie zaczęlibyśmy się niepokoić... Teraz wszystko jest w porządku.

I tak samo jak Maria, tak i Babka, i trzej synowie nie zażądali dalszych wyjaśnień. Na jednym ze stołów Piotr zauważył przed chwilą dzienniki poranne, które rzucono tam, szeroko rozłożone, przepelnione wiadomościami o zamachu. Na pewno czytali i przelekli się, czy ojciec nie został wmieszany w tę straszną historię. Co wiedzieli właściwie? Na pewno nie znali Salvata, nie mogli odtworzyć sobie nieprzewidzianego łańcucha okoliczności, którego wynikiem było to spotkanie, a potem zranienie Wilhelma. Babka zapewne była bardziej wtajemniczona. Ale oni, trzej synowie, tak jak Maria, nie wiedzieli nic, nie pozwalali sobie nic wiedzieć. A zatem ile szacunku i miłości wyrażała ich niezachwiana wiara w ojca, spokój od chwili, gdy kazał im powiedzieć, że nie powinni się o niego martwić!

— Wilhelm prosił mnie — mówił dalej Piotr — abym oddał pani ten kluczyk i przypomniał, że winna pani zrobić to, czym panią obarczył, gdyby jemu przytrafiło się coś złego.

Zaledwie drżenie drżenie przebiegło ją, gdy brała kluczyk, i odpowiedziała po prostu, jak gdyby chodziło o najzwyczajsze w świecie życzenie chorego:

— Dobrze, proszę mu powiedzieć, że jego wola zostanie spełniona... Ale ksiądz będzie łaskaw usiąść.

Istotnie Piotr wciąż jeszcze stał. Teraz, mimo nie opuszczającego go skrępowania, usiadł nie chcąc się z tym zdradzić. W owym domu, gdzie właściwie znalazł się wśród rodziny. Maria, która nie umiała siedzieć beczynnym, zabrała się do haftu, do jednego z tych delikatnych dzieł igły, które z zapalem sporządzała dla wielkiego magazynu z wyprawami ślubnymi i wyprawkami dla dzieci, chcąc przynajmniej, jak mówiła ze śmiechem, zarobić na kieszonkowe. Z przyzwyczajenia, któremu ulegała, nawet gdy mieli goście, Babka również wzięła się do wiecznego cerowania pończoch, które przerwała przed chwilą, aby przynieść sobie wełnę. Franciszek i Antoni wrócili obaj do swego stołu i znowu przy nim usiedli; i jeden tylko Tomasz stał, oparty o imadło. Pozwolili sobie jak gdyby na krótką rekreację, chociaż

praca nie była jeszcze skończona. W dużej słonecznej sali zapanował pełen uroku nastrój pracowitej zażyłości.

— Ale — powiedział Tomasz — jutro wszyscy pójdziemy ojca odwiedzić. Maria szybko, nie pozwalając Piotrowi odpowiedzieć, podniosła głowę.

— Nie, nie, on nie *życzy* sobie, aby ktokolwiek z nas go odwiedzał; bo jeżeli jesteśmy pod obserwacją i ktoś pójdzie za nami, schronienie jego zostanie odkryte... Prawda, proszę księdza?

— Tak, byłoby bardzo rozsądnie, gdybyście się państwo wyrzekli radości uściskania go aż do chwili, gdy on sam będzie mógł tu wrócić. To sprawa dwóch albo trzech tygodni.

Babka natychmiast zaaprobowała to.

— Oczywiście, tak będzie najlepiej.

I trzech synowie nie nalegali więcej, godząc się na tajemny niepokój, w jakim mieli teraz żyć; mężnie wyrzekali się odwiedzin, które sprawiłyby im tyle radości, bo taki był rozkaz ojca i od tego może zależało jego ocalenie.

— Wobec tego — rzekł jeszcze Tomasz — proszę, aby ksiądz powiedział; mu, że na czas jego nieobecności, ponieważ praca tutaj ulegnie przerwie, mam zamiar wrócić do fabryki, gdzie wygodniej mi będzie prowadzić badania, którymi wspólnie się zajmujemy.

— A ode mnie proszę mu powiedzieć — odezwał się z kolei Franciszek — żeby się nie martwił o mój egzamin. Wszystko idzie dobrze. Zdaje mi się, że mogę być pewny powodzenia.

Piotr przyrzekł, że niczego nie zapomni. Ale Maria z uśmiechem patrzyła na Antoniego, który, zapatrzonej przed siebie, milczał.

— A ty, mały, nic mu nie masz do przekazania?

Młodzieniec, jak gdyby wyrwany ze snu, również się uśmiechnął.

— Tak, tak: że go kochasz i żeby szybko wrócił, abyś go uczyniła szczęśliwym.

Wszyscy, nawet Maria, rozweselili się, nie czując najmniejszego zażenowania, spokojnie pogodni, ufni w przyszłość. Pomiedzy młodzieńcami a nią panowało tylko radosne przywiązanie. A Babka uśmiechała się poważnie wyblakłymi wargami, bo i ona aprobowała szczęście, jakie los zdawał się im przyrzekać.

Piotr postanowił zostać jeszcze chwilę. Zaczęli rozmowę i jego zdziwienie rosło. Wyobrażał sobie, że w tym domu ludzie prowadzą życie podejrzone, zdeklasowane, w nieładzie i destrukcyjnym buncie przeciwko wszelkiej moralności, a tymczasem spotykały go tu niespodzianki jedna po drugiej. Widział pełną miłości pogodę ducha, dyscyplinę tak wielką, że graniczyła z klasztorną niemal surowością, miarkowaną przez młodość i dobry humor. W wielkiej sali ogrzanej ciepłem słońca zdawało się unosić tchnienie pracy i spokoju. Uderzało go zwłaszcza solidne wykształcenie, dzielność umysłów i serc, zastanawiali ci synowie, którzy nie ujawniając nic ze swoich osobistych uczuć, nie pozwalając sobie osądzać ojca, zadowalali się tym, co on kazał im powiedzieć, i po stoicku czekali na wydarzenia, powracając do swoich codziennych zajęć. Trudno było o coś prostszego, godniejszego, wznioslejszego. I był jeszcze uśmiechnięty heroizm Babki i Marii, które obie mieszkały nad pracownią, gdzie sporządzano najstraszniejsze środki wybuchowe, w stałym niebezpieczeństwie zawsze możliwej eksplozji.

Ale ta odwaga, ten rygor, ta godność zaskoczyły wprawdzie Piotra, lecz nie wzruszyły go. Nie miał powodu uskarżać się, przyjęcie było poprawne, jeżeli nie serdeczne, chociaż był tutaj obcym, był księdzem. A pomimo wszystko czuł w sobie wrogość, wzburzała go myśl, że znalazł się w środowisku, gdzie nikt nie umiałby współczuć jego cierpieniom ani nawet domyślić się ich istnienia. Jakże więc ci ludzie mogli być tak spokojni, tak szczęśliwi mimo swej bezbożności, wierząc jedynie w naukę, w obliczu tego przerażającego Paryża, który rozciągał przed nimi morze bez granic, huczącą ohydę niesprawiedliwości i nędzy? Odwrócił głowę, spojrzął na miasto przez wielkie szyby,

gdzie ukazywało się ono w dali, zawsze obecne, zawsze pulsujące potężnym życiem. O tej godzinie, pod ukośnym słońcem zimowego popołudnia, Paryż usiany był świetlistym pyłem, jak gdyby jakiś niewidzialny siewca, ukryty w aureoli otaczającej tę gwiazdę, rozrzucił był pełną garścią ziarno, które teraz spływało zewsząd złotą falą. Zalewała ona ogromne wykarczowane pole, bezkresny chaos dachów i budynków był już tylko uprawną ziemią, w której jakiś olbrzymi pług wyorał bruzdy. I Piotr, owładnięty przygnębieniem, wiedziony jednak niezwykłą potrzebą nadziei, zastanawiał się, czy nie był to dobry posiew, czy Paryż, zasypany światłem przez boskie słońce, nie miał zapewnić wielkiego przyszłego żniwa, żniwa prawdy i sprawiedliwości, o których on już zwątpił.

W końcu Piotr wstał i odszedł, obiecując przybiec, gdyby zdarzyło się coś niedobrego. Maria odprowadziła go aż do furtki wychodzącej na ulicę. I tam nagle znowu na twarz jej wystąpił ów dziecienny rumieniec, którym się tak martwiła; zaczerwieniła się, gdy i ona z kolei zapragnęła przesłać rannemu jakieś serdeczne słowo. Ale dzielnie je wyrzekła, z oczyma wesołymi i niewinnymi, które patrzyły prosto w oczy księdza.

— Do widzenia księdu... Proszę powiedzieć Wilhelmowi, że kocham go i oczekuję.

III

Minęły trzy dni. W małym domu w Neuilly. trawiony gorączką Wilhelm, przykuty do łóżka, pożerany niecierpliwością, odczuwał rosnący z każdym rankiem lęk, gdy przynoszono mu gazety. Piotr oczywiście próbował je ukrywać, ale widział, że wtedy brat jeszcze bardziej się dręczy, więc sam czytywał mu wszystko, co pisano o zamachu, a było tego mnóstwo; temat ten zapełniał nieustannie wszystkie kolumny.

Nigdy jeszcze nie widziano w prasie takiego rozpasania. Nawet „Glob”, tak zazwyczaj ostrożny i poważny, uległ namiętności informowania za wszelką cenę. A cóż dopiero dzienniki pozbawione wszelkich skrupułów, a przede wszystkim „Głos Ludu”, który wyzyskiwał ogólne podniecenie, straszył i bałamu-

cił masy, chcąc podwyższyć nakład i sprzedawać więcej numerów.

Codziennie zmyślano jakieś nowe kłamstwo, jakąś okropną historię zdolną przerazić czytelników. Pisano, że baron Duvillard codziennie otrzymuje grubiańskie listy z pogrózkami, iż zginie jego żona, córka i syn, on sam zostanie zamordowany, a pałac wysadzony w powietrze, wobec czego dniem i nocą pałacu strzeże cała masa policji w cywilnych ubraniach. Albo znów

ogłaszano zdumiewające odkrycie, że do kanału w pobliżu Madeleine dostali się anarchiści i podminowali tę dzielnicę, gromadząc tam całe beczki prochu, tworząc istny wulkan, który pochłoniąć miał pół Paryża. Albo, na odmianną, pisano, że policja wpadła na trop ogromnego spisku, który objął całą Europę, od Rosji aż po Hiszpanię, i miał się rozpocząć sygnałem z Francji; nastąpi wtedy trzydniowa masakra, bulwary zamiecione zostaną salwami z karabinów maszynowych, wody Sekwany poczerwienieją od krwi; i dzięki tej pięknej i inteligentnej działalności prasy zapanowała groza, przerażeni cudzoziemcy masowo opuszczali hotele, Paryż był już tylko domem wariatów, gdzie znajdowały wiarę najgłupsze okropności.

Ale nie to martwiło Wilhelma. Wciąż niepokoił się tylko o Salvata, dręczyły go wieści o nowych poszlakach, na jakie rzucały się dzienniki. Salvat nie został jeszcze aresztowany, a nawet jak dotąd nic nie wskazywało, aby policja była na jego tropie. Potem nagle Piotr przeczytał notatkę, która przyprawiła rannego o błąd.

— Słuchaj, zdaje się, że wśród gruzów kolumnady pałacu Duvi llardów znaleziono jakieś narzędzie, dłuto, na którego trzonku wypisane było nazwisko: Grandidiera, znanego fabrykanta. I ten Grandidier ma być dzisiaj wezwany do sędziego śledczego.

Wilhelm zrobił gest rozpaczy.

— A więc tym razem udało im się, są na właściwym tropie. Na pewno Salvat upuścił to narzędzie. Zanim przepracował tych parę dniówek u mnie, był u Grandidiera... I przez Grandidiera dowiedzą się wszystkiego... wystarczy im trzymać się tego śladu.

Piotr przypomniał sobie teraz fabrykę Grandidiera, o której słyszał na Montmartre i gdzie Tomasz, najstarszy syn Wilhelma, mechanik, po odbyciu praktyki, nieraz jeszcze pracował. Ale wciąż nie miał odwagi wypytywać brata, w którym wyczuwał obawy tak poważne, tak wzniosłe, tak wolne od wszelkiego małodusznego lęku o własną osobę.

— Właśnie — podjął Wilhelm — powiedziałaś mi, że Tomasz zamierza przez czas mojej nieobecności pracować w fabryce nad tym nowym motorem, który ma już prawie na ukończeniu. A jeżeli dojdzie do śledztwa, czy wyobrażasz sobie, że go przesłuchują, że on nie chce odpowiadać, że broni swojej tajemnicy! Ach, trzeba go przestrzec, natychmiast przestrzec!

Piotr serdecznie ofiarował się, że to zrobi, nie czekając, żeby brat wyraźniej sformułował swoje życzenie.

— Jeżeli chcesz, pójde zobaczyć się z Tomaszem w fabryce dziś po południu. Jednocześnie spotkam się tam pewnie z panem Grandidier i dowiem się, o czym była mowa u, sędziego śledczego i jak sprawa stoi.

Wilhelm podziękował mu wilgotnym spojrzeniem i czułym uściskiem ręki.

— Tak, tak, bracie, uczyn tak, to będzie dobrze i zacnie.

— Tym bardziej — mówił dalej ksiądz — że chciałbym. pójść dzisiaj na Montmartre... Nie mówiłem ci o tym, ale gnębi mnie jedna rzecz. Jeżeli ten Salvat ukrywa się, żona i dziecko musiały zostać same. Widziałem je rano w dzień zamachu w takim ubóstwie, w takiej nędzy, że nie mogę pomyśleć o tych biednych opuszczonych istotach, może umierających z głodu, aby mi się serce nie krajało... Gdy nie ma w domu mężczyzny, dziecko i kobieta muszą zginąć.

Wilhelm, który wciąż jeszcze trzymał rękę Piotra, uściskał ją mocniej i rzekł drżącym głosem:

— Tak, tak, to będzie dobre i szlachetne... Zrób tak, bracie, zrób tak!

Dom przy ulicy des Saules, ten straszny dom nędzy i cierpienia, pozostał w pamięci Piotra niby ohydny kloaka, w której ginał Paryż ubogich. Gdy po południu tego dnia znów tam poszedł, dom tonął w tym samym lepkim błocie, podwórze zalegały te same nieczystości, czarne schody, wilgotne, cuchnęły tym samym opuszczeniem i rozpaczą. W zimie, gdy piękne dzielnice śródmieścia wysychają, oczyszczają się, dzielnice nędzarzy pozostają ponure i błotniste wskutek stałego dreptania żalostnej trzody.

Wiedząc już, którymi schodami idzie się do mieszkania Salvata, Piotr poszedł na górę wśród płaczu i krzyku dzieci, które potem nagle umilkły, a dom pograżył się w grobowym milczeniu. Myśl o starym Laveuve, który zginął tutaj jak pies na śmietniku, nawiedziła Piotra znowu i zmroziła. Przebiegł go dreszcz, kiedy na jego pukanie do drzwi na samej górze odpowiedziała tylko wielka cisza. Ani żywego ducha.

Wtedy Piotr zapukał znowu, a gdy znów nic dokoła nawet nie drgnęło, pomyślał, że tam naprawdę nikogo nie ma. Może Salvat wrócił po żonę i dziecko, może poszły one gdzieś za nim, do jakiejś nory lub za granicę? Zdziwiło go to jednak, bowiem biedacy nigdy nie ruszają się z miejsca, umierają tam, gdzie cierpią. I delikatnie zapukał po raz trzeci.

W ciszy rozległ się wreszcie lekki szmer, dał się słyszeć odgłos drobnych kroków. Potem drżący głos dziecka odważył się zapytać:

— Kto tam?

— Ksiądz.

Znów zapadło milczenie, nie słychać było żadnego ruchu. Narada? Wahanie?

— Ksiądz, który był tu przed paroma dniami.

Widocznie rozproszyło to wszelkie wątpliwości; drzwi uchyliły się i Celina, mała dziewczynka, wpuściła księdza.

— Bardzo księdza przepraszam, ale mama wyszła i nakazała mi, aby nikomu nie otwierać.

Przez chwilę Piotrowi zdawało się, że Salvat musi być tutaj. Szybkim rzutem oka objął jedyną izbę, w której gnieździła się rodzina. Pani Teodorowa widocznie bała się odwiedzin policji. Czy widziała się z Salvatem, czy wiedziała, gdzie się ukrywa? Czy był tutaj, aby je obie ucałować i uspokoić?

— A twojego tatusia, kochanie, też nie ma w domu?

— Nie, proszę księdza, miał jakieś sprawy, wyjechał.

— Jak to, wyjechał?

— Tak, nie wrócił na noc, my nie wiemy, gdzie on jest.

— A może pracuje?

— Nie, bo przysłałby pieniądze.

— A więc chyba jest w podróży. — Nie wiem.

— Ale zapewne pisze do mamy?

— Nie wiem.

Piotr przestał ją wypytywać, zawstydzony trochę, że tak usilnie chciał skłonić do mówienia tę jedenastoletnią dziewczynkę zostawioną samą w domu.

Możliwe, że ona nic nie wie, że Sal--vat przez ostrożność nie dał nic znać o sobie. I robiła wrażenie bardzo prawdziwej, z jasną twarzą, łagodna i inteligentna, już naznaczona tą powagą, jaką skrajna nędza nadaje dzieciom.

— To bardzo przykre, że mamy nie ma w domu, chciałem z nią pomówić.

— Ale gdyby ksiądz zechciał poczekać... wybrała się do wujka Toussaint, na ulicę Marcadet, i musi niedługo wrócić, bo poszła już więcej niż godzinę temu.

I uprzątnęła jedno z krzeseł, na którym leżała garść drobnych drewek znalezionych gdzieś na pustym placu.

Izba, bez ognia, najwyraźniej też i bez chleba, tchnęła lodowatą nagością.

Czuło się tu nieobecność mężczyzny, zniknięcie tego, który jest wolą i siłą, na którego zwykło się liczyć, nawet pomimo całych tygodni bezrobocia.

Mężczyzna wychodzi, błąka się po mieście i często udaje mu się przynieść to, co niezbędne do życia: kawałek chleba, którym się dzielą i który ratuje ich przed śmiercią. Ale gdy on odejdzie, przychodzi ostateczne opuszczenie, kobieta i dziecko wpadają w rozpacz, pozbawione podpory i pomocy.

Piotr usiadł i patrząc na to biedne małe stworzenie o przezroczystrych niebieskich oczach, o dużych ustach, które wreszcie mimo wszystko uśmiechnęły się, nie mógł się powstrzymać od dalszych pytań.

— Nie chodzisz więc do szkoły, moje dziecko? Zarumieniła się lekko.

— Nie mam bucików, więc nie mogę chodzić.

Istotnie zauważył, że ma na nogach stare buciki, całe w dziurach, przez które widać było jej małe czerwone paluszki.

— Zresztą — mówiła dalej — mama mówi, że jak się nie ma co jeść, nie chodzi się do szkoły... Ona, mama, chciała pracować, ale nie mogła, przez te swoje oczy, które zaraz zaczynają ją

palić i zachodzą łzami... A więc nie wiemy, co robić, od wczoraj nic już w domu nie mamy i będzie koniec ze wszystkim, jeżeli wujek Toussaint nie pożyczy nam dwadzieścia su.

Uśmiechała się wciąż bezwiednie, podczas gdy dwie grube łzy napływały jej do oczu. I był to tak przejmujący widok, ta dziewczynka zamknięta w pustym pokoju, nie otwierająca drzwi, jak gdyby odcięta od świata szczęśliwych, że ksiądz, wzburzony, czuł, jak budzi się w nim wściekły bunt przeciwko nędzy, pragnienie sprawiedliwości społecznej, które już teraz wyłącznie go opanowało, gdy rozpadły się w gruzy wszystkie jego wierzenia.

Po dziesięciu minutach zniecierpliwiał się, bo pomyślał, że powinien potem pójść do fabryki Grandidiera.

— To bardzo dziwne, że mama jeszcze nie wraca — powtarzała Celina. — Ona tam rozmawia.

Potem przyszło jej coś na myśl.

— Jeżeli ksiądz sobie życzy, zaprowadzę księdza do wujka Toussaint. To bardzo blisko, tuż za rogiem ulicy.

— Ale przecież ty nie masz trzewików, moje dziecko.

— O, nic nie szkodzi, ja tak chodzę. Wstał i rzekł po prostu:

— Więc dobrze; tak będzie najlepiej, zaprowadź mnie tam, a ja zaraz ci kupię trzewiki.

Celina mocno się zarumieniła. Wybiegła za nim, zamknawszy wpierw starannie drzwi na dwa spusty, jak dobra mała gosposia, chociaż nie było się o co obawiać.

Pani Teodorowa, mim zapukała do drzwi Toussainta, swego brata, z prośbą, aby pożyczył jej franka, postanowiła najpierw spróbować szczęścia u swojej młodszej siostry, Hortensji, zameżnej za urzędnikiem, małym Chrétiennot, a

zajmującej czteropokojowe mieszkanie przy bulwarze Rochechouart. Ale było to ciężkie przedsięwzięcie; zdecydowała się na ten krok z drżeniem, popychana myślą, że czeka na nią Celina, która od wczoraj nic nie jadła. Toussaint, mechanik, najstarszy brat, miał lat pięćdziesiąt i pochodził z pierwszego małżeństwa ich ojca, który jako wdowiec ożenił się powtórnie z bardzo młodą szwaczką i miał z nią trzy córki: Paulinę, Leonie i Hortensję. Wyjaśniało to fakt, że najstarsza z nich, Paulina, była o dziesięć lat młodsza od Toussainta, a Hortensja, najmłodsza, o osiemnaście. Gdy umarł ich ojciec, Toussaint miał przez pewien czas na karku macochę i swoje trzy siostry. Najgorsze, że chociaż taki miody, sam miał już żonę i dziecko. Na szczęście macocha, energiczna i inteligentna, potrafiła dać sobie radę. Powróciła jako robotnica do pracowni krawieckiej, gdzie terminowała już Paulina. Umieściła tam następnie Leonie, tak że pozostała tylko najmłodsza, rozpieszczona, najładniejsza i najdelikatniejsza, której matka pozwoliła dłużej uczyć się w szkole, dumna z jej sukcesów; a później, gdy Paulina wyszła za murarza Labitte, Leonia za mechanika Salvata, Hortensja, która pracowała jako kasjerka u cukiernika przy ulicy des Martyrs, zawarła tam znajomość z urzędnikiem Chrétiennot; Chrétiennot, oczarowany, ożenił się z nią, nie mogąc uczynić jej swoją kochanką; Leonia umarła młodo, w parę tygodni po swojej matce, obie na tyfus brzuszny. Paulina, porzucona przez męża, żyła ze swoim szwagrem Salva-tem, którego córka nazywała ją mamą, i wraz z nim przymierała głodem. I tylko jedna Hortensja wkładała w niedzielę suknię z lekkiego jedwabiu, mieszkała w nowym domu, była panią — ale za cenę piekielnego życia i obrzydliwych wyrzeczeń.

Pani Teodorowa знаła kłopoty, jakie miewała jej siostra pod koniec każdego miesiąca, toteż z niepokojem zdecydowała się na próbę zaciągnięcia pożyczki. A poza tym Chrétiennot z czasem zgorzkniał wskutek swojej przeciętności, oskarżając żonę, od kiedy zaczęła brzydnąć, że jest przyczyną ich zwichniętej egzystencji, i nie utrzymywał stosunków z jej rodziną, której się wstydził. Toussaint był przynajmniej porządnym rzemieślnikiem. Ale ta Paulina, ta pani Teodorowa, żyjąca na oczach dziecka ze swoim szwagrem, ten Salvat, który wędrował od warsztatu do warsztatu, cały ten bunt, nędza, brud w końcu zniecierpliwily drobnego urzędnika, poprawnego i próżnego, zdemoralizowanego przez trudności życiowe. I zabronił Hortensji przyjmować u siebie siostrę.

Jednakże idąc po schodach domu przy bulwarze Rochechouart, wysłanych dywanem, pani Teodorowa doznała pewnej dumy powiadając sobie, że osoba z jej rodziny mieszka tak luksusowo. Było to mieszkanie na trzecim piętrze, za siedemset franków, od podwórza. Posługaczka, która powracała około czwartej,

aby ugotować obiad, była już na miejscu. Ona to wpuściła przybyłą, którą znała, ale nie ukrywając niespokojnego zdziwienia, że tamta odważyła się przyjść tak nędznie ubrana. Na progu małego salonu pani Teodorowa zatrzymała się przestraszona, gdyż ujrzała siostrę, Hortensję, przybitą i zapłakaną w jednym z niebieskich rypsovych foteli, z których była tak dumna.

— Co ci jest? Co ci się stało?

Mimo że zaledwie trzydziestodwuletnia, nie była to już dawna piękna Hortensja. Zachowała wygląd jasnowłosej lalki, wysoka, szczupła, z ładnymi oczyma i pięknymi włosami. Ale niegdyś tak wypielegnowana, zaczynała się teraz zaniedbywać w peniuarach o wątpliwej świeżości; i powieki jej czerwieniały, a delikatna skóra więdła. Dwa kolejne porody, dwie córeczki, z których jedna miała teraz dziewięć, a druga siedem lat, mocno ją nadszarpnęły. Bardzo zarozumiała, zresztą bardzo samolubna, ona również bolała nad swoim małżeństwem, gdyż uwierzyła niegdyś, że jest pięknnością godną pałaców i karet jakiegoś księcia z bajki.

Rozpacz jej była tak wielka, że nie zdziwiła się nawet na widok wchodzącej siostry.

— Ach, to ty! O, gdybyś wiedziała, jaki mam nowy pasztet wśród tylu innych zmartwień!

Pani Teodorowa pomyślała przecie wszystkim o dziewczynkach, Lucynce i Marceli.

— Twoje córki zachorowały?

— Nie, nie, sąsiadka wzięła je na spacer po bulwarze... Moja droga, wyobraź sobie, że ja znowu jestem w odmiennym stanie! Z początku myślałam, że to tylko opóźnienie, ale to przecież drugi miesiąc! I przed chwilą, gdy po śniadaniu powiedziałam o tym Chrétiennotowi, wpadł w straszną złość, wykrzykiwał do mnie najrozmaitsze ordynarne słowa, że to moja wina... Jak gdyby to zależało tylko ode mnie!... Ach, to przecież przede wszystkim mnie dotyka, dość już mam tych zmartwień!

Rozpłakała się znowu. Opowiadała dalej, jękała się, opisywała ich zdumienie, gdyż od dawna prawie się do siebie nie zbliżali, zdecydowani na wszystko, byle nie mieć trzeciego dziecka. Szczęście jeszcze, że wiedział, iż nie potrafiłaby go zdradzić, tak była leniwa i łagodna, dbała przede wszystkim o swój spokój.

— Mój Boże — powiedziała w końcu pani Teodorowa — jeżeli urodzi się to dziecko, wychowacie je tak jak tamte dwie.

Złość od razu osuszyła łzy Hortensji. Wstała i krzyknęła:

— Dobraś ty sobie! Zaraz widać, że nie siedzisz w naszej kieszeni. A za cóż mamy to dziecko wychować, kiedy i tak ledwo wiążemy koniec z końcem?

I zapominając o mieszczańskiej próżności, która zazwyczaj kazała jej milczeć lub nawet kłamać, zdradziła siostrze biedę, straszną ranę pieniądza, która zżerała ich jak rok długi. Sara czynsz wynosił już siedemset franków. Z trzech tysięcy, jakie mąż zarabiał w biurze, zostawało więc zaledwie dwieście franków miesięcznie. I jak tym gospodarować, aby wyżyć we czworo, ubrać się, utrzymać na przyzwoitym poziomie? To trzeba było kupić frak niezbędny dla pana, to nową suknię, którą pani musiała mieć pod grozą zdeklasowania się, buciki, które dziewczynki zdierały w przeciągu miesiąca, wszelkiego rodzaju wydatki, absolutnie niemożliwe do uniknięcia. Wyrzekli się jednego dania z obiadu, żalowali sobie wina, ale zdarzały się wieczory, kiedy mimo wszystko trzeba było wziąć dorożkę. Nie mówiąc o szkodach, jakie wyrządzały dzieci, o zaniedbaniu, do jakiego doprowadziła gospodarstwo zgębiona kobieta, o rozpaczach męża, rozumiejącego, że nigdy się z tego nie wydobędzie, nawet gdyby kiedyś wreszcie wynagrodzenie jego wzrosło do nieosiągalnej sumy czterech tysięcy. W gruncie rzeczy była to nieznośna przeciętność drobnego urzędnika, równie katastrofalna jak czarna nędza

robotnika, fałszywa fasada, kłamliwy luksus, wszystek bezład i ból, jaki ukrywa się za wyrozumowaną dumą z tego, że nie pracuje się przy warsztacie czy na budowie.

— Ale w końcu! — powtórzyła pani Teodorowa — nie udusicie przecież tego malca!

Hortensja znów osunęła się na fotel.

— Nie, oczywiście, że nie, ale to koniec wszystkiego. Dwoje to już było za dużo, a tu masz: trzecie! Co my zrobimy, mój Boże, co my zrobimy? Opadła na fotel w nie zapiętym szlafroku, a łzy znowu popłynęły z jej zaczerwienionych oczu.

Bardzo zmartwiona, że tak niefortunnie trafiła, pani Teodorowa odważyła się jednak wreszcie wystąpić z prośbą o pożyczanie dwudziestu su, co do reszty przygnębiło zrozpaczoną Hortensję.

— Słowo ci daję, nie mam ani centyma w domu. Właśnie pożyczyłam dla dzieci pół franka od posługaczki. Przedwczoraj dali mi w lombardzie dziewięć franków za mały pierścionek. I tak jest zawsze przy końcu miesiąca...

Chrétiennot, który bierze dziś pieniądze, wróci wcześniej, aby dać na obiad. Obiecuję ci, że jeżeli będę mogła, przyślę ci coś jutro.

Ale w tej chwili wbiegła w popłochu posługaczka, która wiedziała, że pan nie lubi krewnych pani.

— Oj, proszę pani, proszę pani, słyszę, że pan idzie, jest już na schodach!

— Szybko, szybko, idź stąd! — zawołała Hortensja. — Znowu zrobi mi scenę... Jeżeli będę mogła, jutro, obiecuję ci.

Pani Teodorowa musiała się ukryć w kuchni, aby nie zobaczył jej wchodzący Chrétiennot. Dojrzała go; zawsze starannie ubrany, w obcisłym surducie, z drobną twarzą, długą wypielegnowaną brodą, z pyszałkowatą miną, charakterystyczną dla chudych i gniewliwych mężczyzn niskiego wzrostu. Czternaście lat pracy biurowej już go wysuszyły, a reszty dokonała kawiarnia, namiętne przesiadywania w pobliskim lokalu. Pani Teodorowa uciekła.

Wolno, pociągając nogami, pani Teodorowa poszła na ulicę Marcadet, gdzie mieszkali Toussaintowie. Po bracie również niewiele się spodziewała, wiedziała bowiem, jakie niepowodzenia i kłopoty gnębią tę rodzinę. W pięćdziesiątym roku życia, zeszłej jesieni, Toussaint miał atak, początki paraliżu, który przykuł go do miejsca na pięć miesięcy. Do tego czasu dzielnie dawał sobie radę, był dobrym robotnikiem, nie pił, wychował troje dzieci, jedna córka, zamężna za stolarzem, wyjechała z nim do Hawru, jeden syn zginął jako żołnierz w Tonkinie, a drugi, Karol, odsłużył wojsko i dalej pracował jako mechanik. Ale pięciomiesięczna choroba sprawiła, że wyczerpali sumkę złożoną w Kasie Oszczędności, i Toussaint, który powoli wracał do sił, musiał teraz zaczynać życie od nowa, bez grosza, jak wtedy, gdy miał lat dwadzieścia.

Pani Teodorowa zastała bratową, panią Toussaint, samą w jedynej, bardzo czysto utrzymanej izbie, gdzie skupiało się życie rodziny; obok była jeszcze tylko ciemna izdebka, gdzie sypiał Karol. Pani Toussaint była to duża kobieta, która stale tyła — mimo wszystko, mimo kłopotów i lichego wyżywienia. Miała twarz okrągłą i rozlaną, ożywioną bystrymi małymi oczyma; była to zacna kobieta, trochę kumoszka, lubiła

dobrze zjeść, toteż jedyną jej wadą było, że chętnie gotowała smaczne rzeczy. Zanim jeszcze pani Teodorowa otworzyła usta, domyśliła się celu odwiedzin. — Moja droga, źle trafiłaś, jesteśmy bez grosza. Toussaint dopiero przedwczoraj wrócił do fabryki i będzie musiał dziś wieczór prosić o zaliczkę. Patrzyła na nią, urażona jej opuszczeniem, nieufna, niechętna.

— A czy Salvat wciąż nie ma pracy?

Widocznie pani Teodorowa przewidywała to pytanie, bo skłamała spokojnie.

— Nie ma go w Paryżu, jeden znajomy wziął go ze sobą do roboty, gdzieś do Belgii, i teraz czekam, żeby nam coś przysłał.

Ale pani Toussaint wciąż była nieufna.

— No, tym lepiej, że nie ma go w Paryżu, bo w związku z tą całą awanturą z bombami pomyśleliśmy sobie o nim i mówiliśmy, że taki pomyleniec jak on mógłby się w coś podobnego zaplątać.

Paulina ani mrugnęła. Jeżeli nawet czegoś się domyślała, zachowała to dla siebie.

— No dobrze, a ty, moja kochana, nie możesz znaleźć żadnego zajęcia?

— Ach, ja, cóż ja mogę robić z moimi biednymi oczyma? Szyć mi już nie wolno.

— Tak, to prawda, robotnica prędko traci wprawę. Ja także, gdy Toussaint był przykuty do domu, chciałam wrócić do bielizniarstwa, mojego dawnego fachu. Ale cóż, psułam wszystko, nie mogłam się niczego nauczyć... Ale zawsze jeszcze można najać się do posługi. Dlaczego nie bierzesz jakiej posługi?

— Szukam, ale nie mogę nic *znaleźć*.

Pomału jednak w pani Toussaint odzywało się jej dobre serce, miękła na widok tak wielkiej nędzy. Usadowiła panią Teodorową i powiedziała, że jeżeli Toussaint powróci z zaliczką, dadzą jej trochę pieniędzy. Potem zaczęła opowiadać różne rzeczy, ulegając grzechowi gadulstwa, rada, że znalazła słuchaczkę. Ale tematem nieuniknionym, do którego wracała, który ją roznamiętniał, który rozpoczynała wciąż na nowo, była historia jej syna Karola i służącej od kupca winnego z naprzeciwką, z którą ten głupi się zadał, i o dziecku, które ona z nim miała. Karol, zanim poszedł do wojska, nadzwyczaj solidny robotnik, najczulszy syn, przynosił do domu cały zarobek. Owszem, pozostał chłopcem pracowitym i dobrym, ale służba wojskowa, która go okrzesała, zniechęciła go trochę do pracy. Nie znaczy to, aby tęsknił za wojskiem, gdyż o koszarach wspominał jak o więzieniu, chociaż był równie odważny jak inni. Tyle, że narzędzia pracy jakby mu zacieżyły, gdy przyszło mu znowu wziąć je do ręki. — A więc, moja kochana, cóż z tego, że Karol jest dla nas zawsze dobry, nam już się to na wiele nie zda. Widziałam, że niepilno mu się żenić, bo to jest nowy ciężar. Przy tym był bardzo ostrożny z dziewczętami. I trzeba mu było tak zgłupieć na chwilę, trzeba mu było tej Eugenii, która mu usługiwała, kiedy wstępował. naprzeciwko na kieliszek... Ma się rozumieć, że nie chciał się z nią żenić, chociaż nosił jej pomarańcze, gdy poszła rodzić do szpitala. Wstrętny wycirus, związała już z innym chłopem... Ale dziecko zostało. Karol zabrał je do siebie, umieścił u rnamki, płaci co miesiąc. To prawdziwa ruina, wydatkom nie ma końca. I tak wszystkie nieszczęścia naraz zwały się nam na głowę!

Pani Toussaint opowiadała tak już z pół godziny, gdy nagle przerwała widząc, że pani Teodorowa aż pobladła z oczekiwania.

— Niecierpliwisz się, co? Ale Toussaint nieprędka wróci. A może chcesz, żebyśmy razem poszły do fabryki? Dowiem się, czy on coś przyniesie. Postanowiły pójść tam, ale zatrzymały się jeszcze prawie kwadrans na dole, przy schodach, aby pogadać z sąsiadką, która niedawno straciła dziecko. Wyszły wreszcie z domu, gdy zatrzymało je jakieś wołanie:

— Mamo! Mamo!

Była to mała Celina, uradowana, obutą w nowe trzewiki i zajadająca bułeczkę.

— Mamo, to ksiądz, który kiedyś był u nas, chce z tobą pomówić... Popatrz, to on kupił mi to wszystko!

Pani Teodorowa na widok trzewików i bułeczki natychmiast wszystko zrozumiała. I gdy zbliżył się do niej Piotr, który szedł za dziewczynką, zaczęła drzeć, jąkać podziękowania. Pani Toussaint szybko podeszła i sama się przedstawiła, o nic jednak nie prosząc, bardzo rada z gratki, która trafiła się szwagierce, biedniejszej niż ona. Gdy ujrzała, że ksiądz wsuwa tamtej do ręki dziesięć franków, wyjaśniła, że ona sama byłaby jej chętnie coś pożyczyła, ale trudno... i znów rozpoczęła opowiadanie o chorobie Toussainta i o pechu Karola.

— Prawda, mamo — przerwała Celina — że to tutaj, na tej ulicy, jest fabryka, gdzie pracował tatuś? Ksiądz ma tam coś załatwić.

— Fabryka Grandidiera? — wtrąciła się znowu pani Toussaint. — Właśnie tam idziemy, możemy księdza zaprowadzić.

Było to nie więcej jak sto kroków. Gdy dwie kobiety i dziewczynka zaczęły iść obok niego, Piotr zwolnił, bowiem postanowił sobie wydobyć od pani Teodorowej jakieś wiadomości o Salvacie. Ale ona od razu stała się ostrożna. Nie widziała go, jest zapewne z kolegą w Belgii, szuka pracy. I ksiądz doszedł do wniosku, że Salvat, przerażony po zamachu, widząc, że wszystko przepadło, i przeszłość wypełniona pracą i nadzieją, i teraźniejszość przy żonie i dziecku — nie odważył się wrócić na ulicę des Saules.

— Proszę księdza, tutaj jest ta fabryka — rzekła pani Toussaint. — Moja szwagierka nie ma już po co dłużej czekać, bo ksiądz był tak łaskaw i udzielił jej pomocy... Dziękuję w imieniu jej i naszym.

Pani Teodorowa i Celina także mu dziękowały, stojąc obie na chodniku z panią Toussaint w wiecznym tłustym błocie tej ludnej dzielnicy, potracane przez przechodniów; ociągały się jeszcze, popatrzyły, jak Piotr wszedł do fabryki, i pogawędziły chwilę stwierdzając, że mimo wszystko trafiają się bardzo mili księża.

Fabryka Grandidiera zajmowała obszerny teren. Od ulicy był tylko jeden murowany budynek o małych oknach, a z boku duża brama, przez którą widać było głębokie podwórze. Dalej ciągnęły się szeregiem budynki, warsztaty, szopy, piętrzyły się dachy, nad którymi górowały dwa wysokie kominy generatorów. Już od wejścia słychać było szum i drgania maszyn, głuchy warkot pracy, gorączkowy, wibrujący, hałaśliwy ruch, od którego nawet ziemia drżała. Czarna woda spływała, strumienie białej pary na dachu wydobywały się z cienkiej rury oddechem ostrym i regularnym, niby tchnienie ogromnego ła przy pracy..

Obecnie fabryka wyrabiała przede wszystkim rowery. Gdy Grandidier, ukończywszy szkołę przemysłową w Châlons, objął przedsiębiorstwo, chyliło się ono do upadku; źle prowadzone, grzęzło w fabrykacji małych motorów, posługiwało się przestarzałymi narzędziami. Odgadując przyszłość, Grandidier wszedł w spółkę ze swoim starszym bratem, jednym z dyrektorów wielkich sklepów „Bon Marché”, obowiązując się dostarczać doskonałych rowerów po sto pięćdziesiąt franków. I całe ogromne przedsięwzięcie ruszyło z miejsca, sklepy „Bon Marché” propagowały popularny rower „Lizetę” i sport rowerowy dla wszystkich, jak mówiły ogłoszenia. Ale Grandidier jeszcze walczył, nie odniósł jeszcze zwycięstwa, gdyż na nowe wyposażenie fabryki musiał zaciągnąć wielkie długi. Każdy miesiąc oznaczał nowy wysiłek, nowe udoskonalenie, nowe uproszczenie, przynoszące oszczędność. Zawsze czynny, zamierzał teraz powrócić do małych motorów, wietrząc bliski triumf wozów automobilowych.

Piotr spytał, czy zastał pana Tomasza Froment, i stary robotnik zaprowadził go do małego drewnianego warsztatu, gdzie ujrzał młodego człowieka w roboczym ubraniu, w bluzie mechanika, z rękoma czarnymi od opiłków. Obrabiał jakąś sztukę i nikt nie domyśliłby się w tym dwudziestotrzyletnim olbrzymie, tak skupionym i wytrwałym w ciężkiej pracy, świetnego ucznia liceum Condorcet, gdzie trzej bracia, zdobywając odznaczenia, wstawili nazwisko Froment w rocznikach szkoły. Ale on, jako zaufany współpracownik swego ojca, chciał być tylko ramieniem, które wykuwa, wyrobnikiem, który wprowadza myśli w czyn. Skromny, cierpliwy, małomówny, nie miał nawet kochanki i mawiał, że później, jeśli spotka w życiu dzielną kobietę, ożeni się.

Na widok Piotra zadrżał z niepokoju, rzucił wszystko i przybiegł do niego.

— Czy ojcu nie gorzej?

— Nie, nie... Przeczytał w dziennikach o tym dłucie znalezionym przy ulicy Godot-de-Mauroy i zaniepokoił się, że policja mogłaby zrobić tutaj rewizję.

Uspokojony, Tomasz uśmiechnął się.

— Proszę mu powiedzieć, że może spać spokojnie. Przede wszystkim, niestety, nasz mały motor wciąż jeszcze nie jest taki, jakbym chciał. Po drugie, nie jest jeszcze zmontowany, trzymam jego części w domu, nikt tutaj nie wie właściwie, nad czym pracuję. Policja może sobie zrobić rewizję, nie znajdzie nic, naszej tajemnicy nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Piotr przyrzekł, że dokładnie powtórzy te słowa Wilhelmowi, aby rozproszyć wszelkie jego obawy. Następnie, gdy spróbował wy badać Tomasza, dowiedzieć się, jak sprawy stoją, co w fabryce ludzie myślą o dłucie znalezionym przez policję i czy zaczynają podejrzewać Salvata, młodzieniec, jakby znowu oniemiały, odpowiadał monosylabami. A więc policja nie przychodziła? Nie. Ale robotnicy wspominali już nazwisko Salvata? Owszem, naturalnie, z powodu jego przekonań anarchistycznych, o których wszyscy wiedzieli. A co mówił Grandidier, właściciel fabryki, po powrocie od sędziego śledczego? Tomasz nie wiedział, nie widział się z nim.

— Proszę, oto on... Biedny człowiek, jego żona dziś rano znowu miała atak! O tej żalostnej historii Piotr słyszał już od Wilhelma. Grandidier, ożeniwszy się z miłością z panną wielkiej urody, teraz od pięciu lat pielęgnował ją, obłąkaną po stracie synka i przejściu gorączki popołogowej. Nie mógł się

zdecydować na umieszczenie jej w domu zdrowia, żył samotnie z chorą w małym pawilonie, którego okna, wychodzące na podwórze fabryczne, były stale zamknięte. Nigdy jej nie widywano, on nigdy z nikim o niej nie rozmawiał. Mówiono, że jest jak dziecko, zupełnie nieszkodliwe, bardzo łagodna i bardzo smutna, wciąż jeszcze piękna,, o jasnych, wspaniałych włosach. Ale czasem miewała straszne ataki i mąż musiał z nią walczyć, trzymać ją godzinami w ramionach, ażeby nie roztrzaskała sobie głowy o ścianę. Słysząc było okropne krzyki, a potem wszystko znowu pogrążało się w śmiertelnym milczeniu.

Właśnie Grandidier, przystojny, czterdziestoletni mężczyzna o energicznej twarzy, z bujnymi czarnymi wąsami, ostrzyżony.

na jeża, z jasnymi oczyma, wszedł do małego warsztatu, gdzie pracował Tomasz. Bardzo lubił Tomasza, ułatwił mu praktykę u siebie i traktował go jak syna. Tomasz przychodził, kiedy chciał, Grandidier oddał mu do dyspozycji narzędzia. I widząc, że młodzieniec zajmuje się zagadnieniem małych motorów, które były także i jego namiętnością, okazywał jak najdalej idącą dyskrecję i czekał nie zadając żadnych pytań. Tomasz przedstawił księdza.

— Mój stryj, ksiądz Piotr Froment; przyszedł mnie odwiedzić.

Nastąpiła wymiana uprzejmości. Grandidier, z twarzą zamgloną smutkiem, który sprawiał, że uważano go za surowego i bezwzględnego, zapragnął okazać się uprzejmym i wesołym.

— Czekaj no, Tomaszu, nie opowiedziałem ci jeszcze o mojej wizycie u sędziego śledczego. Jestem dobrze notowany, inaczej mielibyśmy tutaj wszystkich szpiclów z Prefektury... Chciał, żebym wyjaśnił mu, skąd wzięło się na ulicy Godot-de-Mauroy dłuto z moimi inicjałami. Zorientowałem się natychmiast, że, jego zdaniem, sprawca zamachu pracował kiedyś tutaj... Mnie od razu przyszedł na myśl Salvat. Ale nie jestem donosicielem. Sędzia ma moją książkę zatrudnienia, więc odnośnie Salvata powiedziałem tylko, że był u mnie przez trzy miesiące w fabryce zeszłej jesieni, a potem znikł. Niech go szukają! Ach, ten sędzia! Jest to niski blondyn, bardzo wymuskany, wygląda na światowca i węszy w tej sprawie niczym pies gończy.

— Czy to nie pan Amadieu? — *zapytał* Piotr.

— Tak, to właśnie on; jest najwidoczniej zachwycony przysługą, jaką mu wyrządzili ci bandyci anarchiści swoim, zamachem.

Ksiądz słuchał zalekniony. Tego właśnie obawiał się jego brat: trafiono wreszcie na właściwy ślad, na pierwszą nić przewodnią. Spojrzał na Tomasza, aby sprawdzić, czy on także zaniepokoił się. Ale młodzieniec, czy to dlatego, że nie wiedział o -węzłach łączących jego ojca z Salvatem, czy też że tak był opanowany, uśmiechnął się tylko z portretu sędziego.

Następnie, gdy Grandidier zbliżył się, aby obejrzeć sztukę, którą wykańczał Tomasz, i obaj zaczęli obszernie ją omawiać, Piotr podszedł do otwartych drzwi, skąd widać było w całej

długości wielki warsztat, gdzie warczały tokarki, a przebijaki wiertarek opadały rytmicznymi, suchymi uderzeniami. Skórzane pasy biegły nieprzerwanym lotem w wilgotnym zaduchu pary, wrzała gorączkowa praca. Tłum robotników zlanych potem, czarnych od unoszącego się w powietrzu pyłu, nie opuszczał jeszcze roboty; ale był to już koniec dniówki, ostatni

wysiłek. Jacyś trzej robotnicy przyszli pod kran umyć ręce, tuż obok Piotra, słyszał więc ich rozmowę.

Zainteresował się zwłaszcza, gdy usłyszał, jak jeden, wysoki i rudy, nazwał drugiego Toussaintem, a trzeciego — Karolem. Byli to ojciec i syn. Toussaint, tęgi, szeroki w barach, z węzlistymi ramionami, dopiero wtedy wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat, gdy spojrzano się na jego okrągłą, ogorzałą, pooraną twarz, zniszczoną i zżartą przez pracę, i zjeżoną siwiejącą brodę, którą golił tylko w niedzielę; i jedynie jego prawa ręka, już dotknięta paraliżem, wykonywała z opóźnieniem zwolnione gesty. Żywy portret ojca, Karol, z twarzą pełną, przekreśloną gęstymi czarnymi wąsami, był w pełnym rozkwicie dwudziestu sześciu lat, pod białą skórą rysowały mu się wspaniałe mięśnie. Oni również rozmawiali o bombie w pałacu Duvillardów, o znalezionym tam dłucie i o Salvacie, którego teraz wszyscy już podejrzewali. — Tylko jeden bandyta mógł zrobić coś podobnego — powiedział Toussaint. — Ta ich anarchia doprowadza mnie do pasji, nie mam z tym nic wspólnego. Ale niech burzuje coś tu poradzą, skoro ich wysadzają w powietrze. To ich rzecz, sami tego chcieli.

I na dnie tej obojętności leżała długa przeszłość wypełniona nędzą i niesprawiedliwością, był stary człowiek zmęczony walką, który nie spodziewał się już niczego, gotów pozwolić, aby runął ten świat, gdzie głód zagrażał na starość robotnikowi ochwacconemu jak koń.

— Wiecie — odezwał się Karol — ja słyszałem tych anarchistów i naprawdę oni mówią rzeczy bardzo słuszne, bardzo mądre... Ostatecznie ty, ojcze, pracujesz już przeszło trzydzieści lat i czy historia, która ci się wydarzyła, nie jest okropna, ta groźba, że na wypadek lada choroby możesz zdychać jak stara szkapa, którą zarzynają. Do diabła! Zaczynam teraz myśleć o sobie i widzę, że niewesoło będzie skończyć w ten sposób... Niech mnie piorun trzaśnie, ale ma się ochotę przystąpić do tego ich wielkiego przewrotu, jeżeli ma on dać szczęście wszystkim..

Nie mówił w uniesieniu, doszedł do tego wniosku tylko z niecierpliwości, aby żyć lepiej, zdemoralizowany już przez koszary, przyniósłszy z obowiązkowej służby wojskowej myśl o równości, o walce o prawo do życia, chęć zdobycia należnej mu części dóbr życiowych. Był to nieunikniony krok zrobiony od jednego pokolenia do drugiego: ojciec, oszukany w swych nadziejach na braterską republikę, stał się sceptyczny i wzgardliwy, a syn zdażał ku nowej wierze, z wolna godząc się, po bezspornym bankructwie wolności, na użycie przemocy.

Ale gdy wysoki rudzielec, widać zacny człowiek, oburzył się wołając, że jeżeli Salvat dokonał zamachu, należałoby go schwytać i posłać na gilotynę natychmiast, nawet bez sądu, Toussaint ostatecznie zgodził się z nim.

— Tak, tak, chociaż ożenił się z jedną z moich sióstr, nie chcę go znać... Ale to by mnie zdziwiło, bo przecież wiecie, że on nie jest zły człowiek, muchy by nie zabił.

— Co w tym dziwnego? — zauważył Karol. — Kiedy doprowadzą człowieka do ostateczności, może się wściec.

Wszyscy trzej obmyli się pod bieżącą wodą i Toussaint, który właśnie zobaczył szefa, zamarudził, poczekał, aby poprosić go o zaliczkę. Grandidier, uściskawszy serdecznie rękę Piotra, sam podszedł do starego robotnika, którego považał. Wysłuchał go, zgodził się napisać parę słów na kartce do

kasjera. Na ogół bardzo przeciwny systemowi zaliczek — toteż robotnicy wcale go nie lubili, nazywali go twardym — Był z gruntu dobrym człowiekiem, tylko uważał, że musi bronić swej pozycji zwierzchnika i pod grozą ruiny nie może pójść na żadne ustępstwa. Wówczas gdy konkurencja była tak bezwzględna, a system kapitalistyczny zmuszał do strasznej, nieustającej walki, czyż mógł on uwzględnić choćby uzasadnione żądania podwyżek?

I gdy Piotr, raz jeszcze uzgodniwszy z Tomaszem odpowiedź, jaką miał zanieść bratu, zamierzał już odejść, doznał nagłego uczucia litości, gdy zobaczył na dziedzińcu Grandidiera, który dokonawszy obchodu wracał do odosobnionego pawilonu, gdzie oczekiwał go straszliwie smutny dramat jego serca. Jakaż to tajemna i nieuleczalna rozpacz ten człowiek w walce o życie, broniący swego majątku! Założył fabrykę w atmosferze zażartej walki pomiędzy kapitałem a pracą najemną, a przy ognisku domowym, jako wieczorny odpoczynek, znajduje jedynie zatrwożoną, obłąkaną żonę, uwielbianą żonę, która znowu stała się dzieckiem, umarła dla miłości! Nawet w dni, gdy odnosił zwycięstwo, w domu czekała nań tylko ta nieodwołalna klęska. Czy więc nie on był nieszczęśliwszym, bardziej godnym pożałowania od nędzarzy, którzy umierali z głodu, od smutnych, pokonanych przez pracę robotników, którzy go nienawidzili i zazdrościli mu?

Gdy Piotr znowu znalazł się na ulicy, zdziwił się zobaczywszy tam jeszcze obie kobiety, panią Toussaint i panią Teodorową z małą Celiną. Stojąc w błocie, jak szczątki rozbitego okrętu smagane wieczystym przypiływem fali przechodniów, nie ruszyły się z miejsca, rozmawiały nieustannie, gadatliwe i zbolale, zapominając o swojej nędzy w powodzi plotek. Gdy z kolei wyszedł Toussaint wraz z Karolem, uradowany z otrzymanej pożyczki, i jeszcze je tam zastał, opowiedział pani Teodorowej historię dłuta, domysły swoje i wszystkich kolegów, że to Salvat pewnie dokonał zamachu. Ale ona, bardzo blada, zawołała, nie dając poznać, co o tym wie i co w głębi duszy myśli: — Powtarzam ci, że go nie widziałam od tego czasu! Na pewno jest w Belgii. Do licha z tą bombą! Sam przecież powiadasz, że on jest za dobry i że nawet muchy by nie zabił.

Wracając do Neuilly, w tramwaju Piotr zamyślił się głęboko. Czuł w sobie jeszcze podniecenie robotników tej dzielnicy, zgiełk fabryki, całą tę gorączkową aktywność ula. I po raz pierwszy, pod wpływem wzburzenia, jakie go opanowało, objawiła mu się konieczność pracy, fatalizm, który przybierał również postać zdrowia i siły. To był wreszcie pewny grunt, zbawczy wysiłek pokrzepiający. Może to pierwszy błysk nowej wiary? Ale co za ironia! Niepewna, beznadziejna praca graniczy z wieczną niesprawiedliwością, nędza nieustannie więc czyha na robotnika, dławi go za każdym razem, gdy zbraknie mu roboty, rzuca go na bruk jak zdechłego psa, kiedy nadchodzi starość!

W Neuilly, przy łóżku Wilhelma, Piotr zastał Bertheroya, który właśnie skończył opatrunek. I stary uczonec nie był jeszcze zupełnie pewny, czy rana nie pociągnie za sobą jakichś komplikacji.

— A przy tym, jak ty się zachowujesz! Zastaję cię zawsze podnieconego, w zgubnej gorączce. Musisz się uspokoić, drogi chłopcze, nie wolno ci niczym się przejmować, do licha!

W parę minut później, na odchodnym, rzekł ze swoim pocziwym uśmiechem:

— Wiecie, że przyszedli zrobić ze mną wywiad w sprawie tej bomby przy ulicy Godot-de-Mauroy. Ci dziennikarze wyobrażają sobie, że ja wiem wszystko! Odpowiedziałem jednemu, że byłoby bardzo uprzejmie, gdyby on mnie samego poinformował, jakiego prochu tam użyto... Ale w związku z tym urządzam jutro w moim laboratorium wykład o środkach wybuchowych. Będzie parę osób. Przyjdź więc, Piotrze, zdasz potem sprawę Wilhelmowi, to go zainteresuje.

Piotr, ulegając spojrzeniu brata, zgodził się. Potem, gdy już zostali sami i gdy opowiedział mu, jak spędził popołudnie, gdy wspomniał, że podejrzenia zwracają się przeciwko Salvatowi, że sędzia śledczy jest na właściwym tropie, Wilhelma znów opanowała silna gorączka; z głową na poduszce, z zamkniętymi oczyma, powtarzał jak gdyby nieprzytomnie:

— No, to już koniec... gdy zaaresztują Salvata, gdy go wezmą na śledztwo... Ach, tyle pracy, tyle nadziei pójdzie na marne!

IV

O godzinie wpół do drugiej Piotr udał się na ulicę d'Ulm, gdzie Bertheroy zajmował dość obszerny dom, który otrzymał od państwa, aby mógł tam założyć laboratorium studiów i poszukiwań. I cały parter tak był urządzony, że stanowił jedną wielką salę, dokąd sławny chemik lubił czasem zapraszać szczupłe grono uczniów i wielbicieli; dla nich wykladał, przeprowadzał doświadczenia, demonstrował odkrycia i przedstawiał nowe teorie.

Tym razem ustawiono parę krzeseł przed długim i masywnym stołem, zatłoczonym słojami i aparatami. Głębiej mieścił się piec, a dokoła sali stały gabloty pełne wszelkiego rodzaju probówek. Goście zajęli już krzesła; byli to przede wszystkim koledzy uczonego, paru młodych ludzi, a nawet panie i dziennika-

rze. Panował nastrój rodzinny, witano mistrza i rozmawiano z nim serdecznie.

Gdy Bertheroy zobaczył Piotra, zaraz podszedł do niego, uścisnął mu rękę, zaprowadził do stołu i usadowił obok Franciszka Froment, który zjawił się jako jeden z pierwszych. Młodzieniec kończył właśnie trzeci rok w pobliskiej École Normale i miał dwa kroki, gdy chciał odwiedzić swego mistrza, którego szanował głęboko i uważał za najwybitniejszy umysł epoki. Piotr bardzo ucieszył się ze spotkania, *bo* ten wysoki chłopak o żywych oczach, o wąskiej twarzy intelektualisty, już podczas jego odwiedzin na Montmartre wydał mu się niezwykle sympatyczny. Bratanek zresztą przywitał stryja serdecznie, z młodzieńczą wylewnością, szczęśliwy również, że ma wiadomości o ojcu.

Bertheroy zaczął. Mówił swobodnie, z wielką prostotą, odpowiednio dobierając słów. Streścił najpierw przebieg poszukiwań, prac już znacznych, jakie dotychczas przeprowadził nad materiałami wybuchowymi. Z uśmiechem opowiadał, że często manipulował prochem, którym można było wysadzić w powietrze całą dzielnicę. Ale uspokoił słuchaczy, był ostrożny. Następnie zajął się sprawą bomby przy ulicy Godot-de-Mauroy, którą pasjonował się cały Paryż od kilku dni. Resztki jej zostały starannie zbadane przez ekspertów, a jeden odłamek przyniesiono również i jemu, aby

wypowiedział swoje zdanie. Ta bomba wydawała się dość niezręcznie-sfabrykowana, obciążona drobnymi kawałkami żelaza, a zapłon z knotem był naiwny, jak gdyby zrobiony ręką dziecka. Osobliwością jej była straszliwa moc ładunku, który, chociaż bardzo niewielkich rozmiarów, w skutkach okazał się piorunujący. Zastanawiające było, jaką nie dającą się obliczyć siłę zniszczenia można by uzyskać powiększając ładunek dziesięciokrotnie i stukrotnie. Ale kłopot zaczynał się i dyskusje zaciemniały problem, gdy chciano określić naturę użytego prochu. Na trzech rzeczoznawców jeden rozpoznał po prostu dynamit, dwaj inni zaś, nie doszedłszy wszakże do porozumienia, sądzą, że mają do czynienia z mieszaninami. Co do niego, z całą skromnością tłumaczył się, że odłamki, jakich mu dostarczono, noszą ślady istotnie zbyt lekkie, aby można było poddać je skutecznym badaniom. Nie potrafi, nie chce wyciągać wniosków. Ale jego zdaniem miało się tu do

czynienia z jakimś nieznanym rodzajem prochu, z nowym środkiem wybuchowym, którego moc przewyższała wszystko, co można było dotąd sobie wyobrazić. Myślał o jakimś samotnym uczonym albo jednym z tych naiwnych wynalazców o szczęśliwej ręce, dokonujących odkryć, nieświadomych, jaką formułę chemiczną posiada otrzymany produkt, i do tego właśnie zmierzał, że istnieją liczne, nieznanne jeszcze środki wybuchowe, odkrycia, których dokona przyszłość, a które on przeczuwał. Przeprowadzając swoje doświadczenia podejrzewał istnienie wielu takich substancji, ale nie miał możliwości ani czasu, aby kontynuować studia w tym kierunku. Wskazywał nawet teren poszukiwań, drogę, którą należałoby obrać. Wedle niego tam bez wątpienia była przyszłość. I w pełnym rozmachu, bardzo pięknym zakończeniu powiedział, że dotąd hańbiono środki wybuchowe, używając ich do bezrozumnych dzieł zemsty i klęski, podczas gdy w nich tkwiła na pewno wyzwalająca moc, jakiej szukała wiedza, dźwignia, która podniosłaby i zmieniła świat, gdyby te siły oswojono, ograniczono do roli posłusznych sług człowieka.

Piotr w czasie całego wykładu, trwającego zaledwie półtorej godziny, czuł, jak siedzący obok Franciszek zapala się, drży, podczas gdy mistrz roztaczał tak rozległe horyzonty. Sam Piotr także był gorąco zainteresowany, gdyż niepodobna mu było nie pochwycić pewnych aluzji, nie dostrzec pewnych podobieństw pomiędzy tym, co słyszał, a tym, co odgadł z obaw Wilhelma o tajemnicę, którą ten ostatni tak bardzo lękał się ujrzeć zdaną na łaskę sędziego śledczego. Toteż gdy przed wyjściem zbliżyli się obaj z Franciszkiem, aby uścisnąć rękę Bertheroya, Piotr powiedział znacząco:

— Wilhelm będzie bardzo żałował, że nie mógł wysłuchać wykładu tak wspaniałych idei.

Stary uczyony ograniczył się do uśmiechu.

— A więc proszę mu streścić to, co mówiłem. On to zrozumie, wie o tych sprawach więcej ode mnie.

Na ulicy Franciszek, który w obecności znakomitego chemika zachowywał postawę pełnego czci ucznia, przeszedłszy parę kroków w milczeniu, odezwał się wreszcie:

— Co za szkoda, że człowiek o tak niezwykłej inteligencji, wyzwolony z wszelkich przesądów, gotowy przyjąć każdą praw-

dę, zgodził się, aby go sklasyfikowano, opatrzone etykietą i tytułami, zamknięto w akademiach! O ileż bardziej byśmy go kochali, gdyby był mniej urzędnikiem i gdyby ręce jego mniej były skrępowane wstęgami orderów! — Cóż chcesz, — powiedział pojednawczo Piotr — trzeba żyć. Zresztą ja sądzę, że w gruncie rzeczy on jest wyzwolony ze wszystkiego.

A ponieważ właśnie w tej chwili przechodzili przed École Normale, ksiądz zatrzymał się myśląc, że jego młody towarzysz wejdzie do wewnątrz. Ale Franciszek podniósł oczy i przez chwilę patrzył na stary budynek.

— Nie, nie, dzisiaj czwartek, jestem wolny;.. O, mamy aż za dużo wolnego czasu! I jestem z tego zadowolony, bo pozwala mi to często zachodzić do domu na Montmartre i zasiadać do pracy przy moim uczniowskim stoliku. Tylko tam czuję, że mój mózg jest mocny i jasny.

Przyjęty równocześnie do École Polytechnique i do École Normale, wybrał tę drugą i wstąpił jako pierwszy na wydział nauk ścisłych. Jego ojciec pragnął, aby zdobył sobie zawód, żeby został profesorem, co zapewniłoby mu niezależność i pozwoliło po ukończeniu Szkoły, w razie sprzyjających okoliczności, prowadzić badania naukowe na własną rękę. Bardzo wcześnie dojrzały, kończył właśnie trzeci rok studiów i przygotowywał się do ostatniego egzaminu, co zajmowało mu każdą chwilę. Jedynym wypoczynkiem były piesze przechadzki na Montmartre i długie spacerunki po Ogrodzie Luksemburskim.

Machinalnie Franciszek skierował się ku temu parkowi, a Piotr, rozmawiając, szedł razem z nim. Lutowe popołudnie miało w sobie wiosenną łagodność, blade słońce przeświecało przez czarne jeszcze drzewa, był jeden z tych pierwszych pięknych dni, które budzą do życia drobne zielone pędy bzów. Rozmawiali dalej o Szkole.

— Muszę ci się przyznać — rzekł Piotr — że wcale nie lubię panującego w niej ducha. Istotnie, pracuje się tutaj doskonale, a najlepszym sposobem wykształcenia nauczycieli jest oczywiście nauczyć ich tego fachu napychając ich głowy nabytą wiedzą. Najgorsze, że nie wszyscy kształceni i przygotowywani do nauczania zostają, w zawodzie nauczycielskim. Wielu rozpra-

sza się po świecie, chwyta się dziennikarstwa, bierze się do kierowania sztuką, literaturą i społeczeństwem. I ci właśnie są najczęściej nie do zniesienia... Najpierw przysięgają na Woltera, a potem wracają do spirytualizmu, mistycyzmu, który obecnie jest ostatnią modą w Salonach. Dołącza się do tego dyletantyzm i kosmopolityzm. Odkąd zdecydowana wiara w naukę stała się czymś brutalnym, nieeleganckim, wydaje im się, że oczyszczają się od pedanterii, manifestując przyjemne zwątpienie, zamierzoną ignorancję, nabytą niewinność. Obawiają się bardzo, że będzie od nich zalatywać Szkoła, i są ogromnie paxyscy, stają na głowie, i mówią gwara, robią wszystkie wdzięczne grymasy tresowanych niedźwiadków, trawieni chęcią podobania się. Stąd sarkastyczne strzały, którymi godzą w wiedzę oni, którzy pretendują do wszechstronnej wiedzy, i w imię wytworności wracają do wiary prostaczków, naiwnego i uroczonego idealizmu małego Jezusa w żłobku.

Franciszek zaśmiał się.

— Na, portret jest trochę przejęskrawiony, ale to jest tak, właśnie tak...

— Znałem ich wielu — mówił dalej Piotr ożywiając się i zapalając — i u wszystkich znajdowałem ten strach, że zostaną wystrychnięci na dudków, strach dochodzący do potępienia wszelkiego wysiłku, całej pracy stulecia: zniechęcenie do wolności, nieufność wobec wiedzy, negacja przyszłości. Pan Homais jest dla nich straszakiem, szczytem śmieszności i właśnie obawa, że staną się do niego podobni, pcha ich ku temu; aby wytwornie w nic nie wierzyć albo wierzyć tylko w to, co jest nie do wiary. Bez wątpienia pan Homais jest śmieszny, ale on przynajmniej trzyma się solidnego gruntu. I dlaczego właściwie nie miałby uragać godności ludzkiej wypowiadając prawdy, chociażby samemu panu de Lapalisse, skoro tylu innych jej uraga, czyniąc sobie nawet z tego chlubę, i korzy się przed absurdem? Twierdzenie, że dwa a dwa jest cztery, jest banalne, ale zgodne z prawdą. Mówienie tych rzeczy jest mniej głupie i mniej szalone niż na przykład wiara w cuda dziejące się w Lourdes.

Franciszek ze zdziwieniem patrzył na księdza. Ten spostrzegł to i pohamował się. Ale mimo wszystko wielki ból i gniew były od niego, gdy mówił o młodzieży intelektualnej, takiej, jaką mu się wydawała w chwili rozpaczliwego kryzysu. O ile znalazł był litość dla robotników umierających z głodu, tam, w dzielnicy nędzy, tutaj pełen był bolesnej pogardy dla młodych umysłów, które zawodziła odwaga w obliczu wiedzy, szukali więc pociechy w kłamliwym spirytualizmie, w obietnicy szczęśliwej wieczności, w śmierci upragnionej, wynoszonej pod niebiosą. Czyż nie było to istne mordowanie życia ta tchórzliwa myśl, aby nie przeżyć go dla niego samego, w imię prostej powinności istnienia i wniesienia cząstki swojego wysiłku? Zawsze „ja” czyniło się ośrodkiem, zawsze jednostka chciała być szczęśliwa dla siebie i w sobie... Ach, ta młodzież, którą pragnął widzieć mężną, podejmującą trud stałego dążenia do coraz większej prawdy, studiującą przeszłość tylko po to, aby się od niej uwolnić i dążyć ku przyszłości, jakże dręczył się, sądząc, że ona znów utonęła w mętnej metafizyce, ze zmęczenia i lenistwa, a może również na skutek wyczerpania kończącym się stuleciem, na którym ciążył zbyt wielki ludzki trud. Franciszek znowu się uśmiechnął.

— Ależ — powiedział — ksiądz się myli, nie wszyscy w Szkole jesteście tacy... Zdaje mi się, że ksiądz zna tylko naszych studentów z wydziału humanistycznego- i że zmieniłby ksiądz zdanie, gdyby znał studentów École Normale z wydziału nauk ścisłych... Prawda, że nasi koledzy humaniści buntują się przeciwko pozytywizmowi, że prześladowuje ich myśl o sławetnym bankructwie wiedzy. Jest to w pewnej mierze dziełem ich mistrzów, neospirytualistów i dogmatycznych retoryków, w których ręce się dostali. A także jest to wynik mody, atmosfery epoki, która głosi, jak ksiądz bardzo słusznie powiedział, jakoby prawda naukowa była przykra do zniesienia, bez wdzięku, nieznośnie brutalna dla inteligencji wykwiintnej i subtelnej. Chłopiec o jakiej takiej wrażliwości i chcący się podobać musi ulec temu nowemu duchowi.

— Ach, nowy duch! — przerwał mu Piotr okrzykiem, którego nie mógł pohamować. — Nie jest on tak nieszkodliwy jak jakaś przelotna moda, to groźna taktyka, prawdziwy powrót do ciemności walczących ze światłem, do niewolnictwa walczącego z wyzwoleniem umysłów, z prawdą i sprawiedliwością!

Umilkł, ponieważ młodzieniec spojrział na niego po raz drugi, coraz bardziej zdziwiony. A Piotr ujrzał twarz monsignora Marthy, zdawało mu się, że słyszy jego głos z kazalnicy w Madeleine, jak stara się na nowo zdobyć Paryż dla polityki Rzymu, dla rzekomego neokatolicyzmu, który przyjmował od demokracji i wiedzy to, co mógł sobie przyswoić, aby to zniszczyć. Była to ostateczna walka; stąd pochodziła cała trucizna zadana młodzieży, znane mu były wysiłki podejmowane w instytucjach religijnych, aby wspomóc to odrodzenie mistycyzmu, którym przyświecała szaleńcza nadzieja, że przyspieszy ono upadek wiedzy. Mówiono, że monsignor Martha był wszechmocny na uniwersytecie katolickim i powtarzał swoim zaufanym, iż wystarczą trzy pokolenia studentów dobrze myślących i uległych, aby Kościół stał się znowu we Francji najwyższą władzą.

— Co do Szkoły, zapewniam księdza, że ksiądz się myli — powtórzył Franciszek. — Jest tam na pewno paru wierzących w ten ciasny sposób. Ale nawet na wydziale humanistycznym są to w gruncie rzeczy sceptycy, o miłej i dyskretniej przeciętności, belfry *par excellence*, jakkolwiek trochę się tego wstydzą, zdemoralizowani ironiczną postawą godną wyemancypowanych pedantów, spustoszeni przez ducha krytyki, niezdolni do twórczości oryginalnej. Oczywiście, że byłbym bardzo zdziwiony, gdybym zobaczył, że z ich szeregów wychodzi oczekiwany geniusz. A należałoby *życzyć* sobie, aby zjawił się jakiś geniusz barbarzyński, nieoczytany, bezkrytyczny, nie uznający równowagi i odcieni, i uderzeniem siekiery otworzył stulecie jutra oświetlone pięknym blaskiem prawdy i rzeczywistości... Co do moich kolegów z wydziału nauk ścisłych, zapewniam księdza, że neokatolicyzm, mistycyzm, okultyzm i te wszystkie modne fantasmagorie wcale nie mącą ich spokoju. Nie chcą czynić z wiedzy religii, zachowują mocną skłonność do wątpienia, ale w przeważnej części są to umysły bardzo jasne, bardzo trzeźwe i bardzo śmiałe, namiętne spragnione pewności, ogromnie gorliwe w badaniu, a wysiłek ich kroczy konsekwentnie poprzez ogromne pole ludzkiej wiedzy. Nie zachwiali się, zostają nieugiętymi pozytywistami, ewolucjonistami, deterministami, którzy za zasadę przyjęli obserwację i eksperyment, aby ostatecznie opanować świat.

On sam zapalał się, nie hamował już swojej wiary w tych cichych i nasłonecznionych alejach parku.

- Ach, młodzież! Czy ją ktoś zna?! Śmieszy nas, gdy widzimy te wszelkie odmiany apostołów, jak się o nią sprzecza, ciągną do siebie, głoszą, że jest biała lub czarna czy też szara, zależnie od tego, jaka barwa najbardziej sprzyja triumfowi ich idei. Prawdziwa młodzież jest na uniwersytetach, w laboratoriach, w bibliotekach. Ta właśnie młodzież, która pracuje, stworzy jutro, a nie rzekoma młodzież elitarnych kapliczek, manifestów, ekstrawagancji. Oczywiście, ta druga czyni wiele hałasu, słyszy się tylko o niej. Ale gdyby ksiądz znał nieustanny, namiętny wysiłek tych innych, tych, którzy milczą, pogrążeni w pracy! I spośród tych znam wielu; idą oni z epoką, nie odrzucają żadnej z jej nadziei, kroczą ku epoce następnej, zdecydowani kontynuować pracę swoich poprzedników, aby było coraz więcej światła, coraz więcej sprawiedliwości. Proszę z nimi pomówić o bankructwie nauki: wzruszą ramionami, bo dobrze wiedzą, że nigdy nauka nie płonęła w tyłu sercach i nie dokonała tylu cudownych podbojów. Niech więc zamkną uniwersytety, laboratoria, biblioteki, niech do głębi zmieniają podłoże

społeczne, a dopiero wtedy można by się obawiać, że zakiełkuje tam na nowo ciemnota, tak miła słabym sercom i ciasnym umysłom!

Ale przerwano mu ten piękny wybuch entuzjazmu. Wysoki jasnowłosy młodzieniec zatrzymał się, aby uścisnąć rękę Franciszka. I Piotr ze zdziwieniem poznał w nim syna barona Duvillarda, Hiacynta, który zresztą skłonił mu się bardzo uprzejmie. Młodzi ludzie mówili do siebie *per ty*.

— Jak to? Zaszedłeś do naszej starej dzielnicy, na naszą prowincję?

— Mój drogi, idę aż do Obserwatorium, do Jonasa... Nie znasz Jonasa? Ależ, mój kochany, to genialny rzeźbiarz, któremu udało się niemal pokonać materię. Wyrzeźbił *Kobietą*, figurę wielkości palca, która jest już tylko duszą wolną od niegodnej przyziemności form, a jednak całkowitą, całą Kobietą w jej zasadniczym symbolu. I to jest wielkie, przytłaczające, to piękno, religia! Franciszek patrzył z uśmiechem na Hiacynta obciśniętego w surdut, na jego nienaturalną minę, na ostrzyżone włosy i brodę, nadające nur wystudowany wygląd istoty dwupłciowej.

— A ty? Zdaje mi się, że nad czymś pracujesz, że masz wkrótce ogłosić niewielki poemat?

— Ach, mój kochany! Tworzenie budzi we mnie taką odrazą! Jeden wiersz kosztuje mnie całe tygodnie... Tak, napisałem niewielki poemat: *Koniec Kobiety*. I wierz mi, że nie jestem, jak się to mówi, ekskluzywny, bo na przykład uwielbiam Jonasa, który wierzy jeszcze w nieodzowność Kobiety. Jego tłumaczy rzeźba, sztuka tak prostacka, tak materialna. Ale w poezji, mój Boże, jakże nadużywano Kobiety. Czyż nie przyszedł już właściwy czas, aby ją stamtąd wygnać, aby oczyścić trochę przybytek ze śmieci, jakimi go zbrukały jej występki samicy? Jakież brudne jest płodzenie, macierzyństwo i cała reszta! Gdybyśmy wszyscy byli dość czyści, dość wytworni i odczuwali tyle niesmaku, aby żadnej z nich nie tknąć, i gdyby wszystkie wymarły bezpłodnie, wówczas skończyłoby się to raz na zawsze, nieprawdaż? Błysnąwszy tym efektownym zdaniem, wypowiedzianym z omdlewającą miną, odszedł lekko kołysząc się w biodrach, szczęśliwy z osiągniętego wrażenia.

— A więc znacie się? — zapytał Piotr.

— To mój kolega z liceum Condorceta, przeszliśmy razem wszystkie klasy. Och, *to* bardzo zabawny typ, leń, który nawet w zakresie krawatów błyszczał miliomami papy Duvillarda, a jednocześnie udawał, że nimi gardzi, pozował na rewolucjonistę, twierdził, że od własnego cygara zapali ładunek, który wysadzi w powietrze cały świat. Schopenhauer, Nietzsche, Tołstoj i Ibsen, wszyscy razem! I widzi ksiądz,, jakie są rezultaty: chory i nicpoń!

— Straszny symptom — szepnął Piotr — gdy synowie szczęśliwców, ludzi uprzywilejowanych, z nudów, zarażeni destruktywnym szaleństwem, biorą się do pracy burzycieli!

Franciszek znów zaczął iść, kierując się ku basenowi, gdzie dzieci kierowały całą eskadrą okrętów.

— Hiacynt jest tylko dziwakiem... I jakże, proszę księdza, ten ich mistycyzm, przebudzenie się spirytualizmu, poparte przez doktrynerów, którzy ogłaszają sławetne, bankructwo wiedzy, brać na serio, gdy po tak krótkiej ewolucji dało to tak obłędne wyniki w sztuce i w literaturze? Parę lat tych wpływów wystarczyło, i oto kwitnie satanizm, okultyzm, wszelkie aberracje, nie mówiąc o Sodomie i Gomorze, pogodzonych, jak mówią, z nowym Rzymem.

Czyż drzewa nie sędzimy po jego owocach? A czyż nie jest oczywiste, że zamiast odrodzenia, zamiast głębokiego ruchu społecznego, nawracającego do przeszłości, patrzymy po prostu na przejściową reakcję, którą wyjaśnić można licznymi przyczynami? Stary świat nie chce umierać, broni się w ostatnich konwulsjach, zdaje się zmartwychwstawać na godzinę, zanim porwie go wezbrana rzeka wiedzy ludzkiej, której fala wciąż narasta. I to jest przyszłość, świat nowy, jaki przyniesie z sobą prawdziwa młodość, ta, która pracuje, ta, której się nie zna i nie słyszy... Ale proszę tylko nadstawić ucha, a może ją ksiądz dosłyszysz, bo jesteśmy tu u niej, w jej dzielnicy, i wielkie milczenie, które nas otacza, rodzi się właśnie z trudu mnóstwa młodych mózgów pochylonych nad biurkami, nad czytana książką, nad zapisywaną kartą, nad prawdą zdobywaną z każdym, dniem.

Szerokim gestem, ponad Ogrodem Luksemburskim, Franciszek wskazywał instytucje, licea, szkoły wyższe, fakultety prawa i medycyny, Instytut z jego pięcioma Akademiemi, niezliczone biblioteki i muzea, całą tę krainę pracy intelektualnej, która zajmuje sporą część ogromnego Paryża. I Piotr, wzruszony, zachwiany w swojej negacji, miał wrażenie, że istotnie słyszy, jak z klas, z amfiteatrów, laboratoriów, z sal wykładowych i skromnych pracowni wznosi się wielki głuchy szmer wszystkich tych wprawionych w ruch inteligencji. Nie było to urywane, gorączkowe drganie, huczący zgiełk pracujących fabryk, gdzie męczy się i buntuje trud fizyczny. Ale tutaj oddech był równie zmęczony, wysiłek równie morderczy, znużenie równie płodne. Było więc prawdą, że młodzież intelektualna przebywa w swej milczącej kuźni, że nie wyrzeka się żadnej nadziei, nie opuszcza żadnej zdobyczy, wykuwając prawdę i sprawiedliwość jutra w atmosferze zupełnej swobody ducha, niezwykłymi młotami obserwacji i doświadczenia? Franciszek właśnie podniósł wzrok, . aby spojrzeć na zegar Pałacu Sprawiedliwości.

— Idę na Montmartre, może więc część drogi odbędziemy razem?

Piotr zgodził się, zwłaszcza gdy młodzieniec dodał, że wstąpi do Muzeum Luwru po swego brata Antoniego. W jasnym popołudniowym świetle sale muzeum malarstwa, niemal puste, po gwarze i tłoku ulic miały w sobie ciepły i szlachetny spokój. Byli tam tylko kopiści pracujący w głębokim milczeniu przerywanym jedynie krokami paru cudzoziemców. Znaleźli Antoniego w kącie sali Prymitywów; zatopiony w pracy, rysował akt wedle Mantegni, z drobiazgową starannością, w jakimś nabożnym skupieniu. W prymitywach pasjonował go nie mistycyzm, nie idealny polot, jakich dopatrywała się w nich moda, lecz przeciwnie — i bardzo słusznie — szczerść naiwnych realistów, ich szacunek i skromność wobec natury, drobiazgowość lojalność, z jaką starali się tłumaczyć ją możliwie najwierniej. Spędzał tutaj całe dni na zacieklej pracy, kopiował ich i studiował, zgłębiał ich surowość, uczciwość rysunku, całą tę wzniosłość, jaką zawdzięczają swojej czystości rzetelnych artystów.

Piotra uderzył czysty płomień, jaki ta chwila, uczciwej pracy zapaliła w bladoniebieskich oczach Antoniego. Ta twarz jasnowłosego olbrzyma, zazwyczaj tchnąca łagodnością i marzeniem, była teraz jak gdyby rozgrzana, zgorączkowana; i wielkie czoło podobne do wieży, dziedzictwo po ojcu, nabierało wyrazistości, stawało się jak cytadela uzbrojona na podbój prawdy i piękna. W osiemnastym roku życia cała jego historia streszczała się w tym,

że zniechęcił się w trzeciej klasie do studiów klasycznych, a jego namiętność do rysunku skłoniła ojca do pozwolenia mu na opuszczenie liceum, gdzie praca jego nie zdawała się na wiele; potem mijały dni na szukaniu samego siebie, na wyzwalaniu w sobie głębokiej oryginalności, której władcza świadomość przemówiła tak głośno. Spróbował rytowania na miedzi, akwaforty. Ale potem bardzo szybko przeszedł do drzeworytnictwa i w nim utknął, mimo że podupadło ono na skutek zastosowania różnych metod przemysłowych. A czyż nie była to cała dziedzina sztuki, którą należało odbudować, rozszerzyć? Marzył, aby ryć w drzewie swoje własne rysunki, być jednocześnie mózgiem, który rodzi, i ręką, która wykonuje, co pozwoliłoby otrzymać dzieła nowe, które cechowałyaby wielką siłą wizji i wyrazu. Posłuszny ojcu, który żądał od synów, aby zdobyli sobie jakiś fach, zarabiał na życie jak wszyscy rytownicy, wykonując ryciny dla wydawnictw ilustrowanych. Ale obok tych bieżących prac stworzył już parę plansz tchnących nadzwyczajną dynamiką i życiem; były to obrazy rzeczy realnych, sceny z życia codziennego, ale pogłębione, rozszerzone dzięki uchwyceniu tego, co zasadnicze, z mistrzostwem naprawdę zadziwiającym u tak młodego chłopca.

— Czy chcesz to rytować? — zapytał Franciszek, gdy Antoni chował kopię Mantegni do teczki.

— O, nie, to tylko kąpiel niewinności, skuteczna lekcja skromności i szczerości... Dzisiaj życie jest zupełnie inne.

Idąc ulicą Piotr tak się zagadał z dwoma młodzieńcami, że towarzyszył im aż na Montmartre, czuł bowiem dla nich coraz większą sympatię; Antoni, który szedł tuż obok, zwierzył mu się ze swoimi marzeniami o sztuce, widocznie również -pociągnięty utajonym pokrewieństwem czulego i poświęcającego się serca.

— Barwa istotnie ma potężną siłę oddziaływania, nieodparty urok i można powiedzieć, że bez niej wrażenie jest niepełne. Jednakże, rzecz szczególna, dla mnie nie jest ona konieczna. Zdaje mi się, że mogę za pomocą czerni i bieli odtworzyć życie równie intensywnie, równie zdecydowanie; i wyobrażam sobie nawet, że uczynię to w sposób bardziej surowy, bardziej treściwy, nie troszcząc się o przelotną uludę, zwodniczą pieśzczołę odcieni... Ale cóż za trud! Proszę spojrzeć na ten ogromny -Paryż, przez który idziemy! Chciałbym z niego utrwalić obecną chwilę w paru scenach, w paru typach, które mogłyby pozostać jako nieśmiertelne świadectwo. I to bardzo dokładnie, bardzo naiwnie, gdyż rys nieśmiertelności zawiera się tylko w prostej naiwności artysty ogromnie pokornego i mocno wierzącego wobec zawsze pięknej natury. Mam już parę rycin, pokażę je księdzu... Ach, gdybym miał odwagę zabrać się do drzewa wprost za pomocą rylca, gdybym nie musiał wprawdzie sporządzać rysunku, co hamuje zapał! Zaznaczam zresztą ołówkiem tylko szkic, rylce może następnie dokonywać własnych odkryć, w nieoczekiwanych porywach energii i subtelności. Dzięki temu właśnie rysownik i rytownik we *mnie* stapiają się z sobą do tego stopnia, że sam mogę wykonywać swoje drzeworyty, których rysunki, rytowane przez kogoś innego, byłyby bez życia. Gdy jest się *twórcą* istnień, życie rodzi się równie dobrze z palców, jak z mózgu. Gdy wszyscy trzej znaleźli się u stóp Montmartre i Piotr powiedział, że wsiądzie do tramwaju, aby wrócić do Neuilly, Antoni, wciąż w swoim

uniesieniu artysty, zapytał go, czy zna rzeźbiarza Jahana, który tam na górze pracuje dla Sacré-Coeur. Usłyszawszy odpowiedź przeczącą rzekł:

— A więc proszę wejść na chwilę, to chłopak z wielką przyszłością. Zobaczy ksiądz makietę anioła, którego mu odrzucono.

Franciszek również zaczął chwalić tego anioła, tak że wreszcie Piotr dał się namówić. Na górze, pomiędzy barakami potrzebnymi przy budowie bazyliki, Jahan założył sobie oszkloną pracownię w szopie, dość obszerna, aby w niej wykonać na zamówienie wielkich rozmiarów anioła. Trzej przybysze zastali go ubranego w bluzę, jak czuwał nad pracą dwóch pomocników obciosujących właśnie kamienny blok, z którego miał się narodzić anioł. Był to dobrze zbudowany mężczyzna lat trzydziestu sześciu, silny brunet, z brodą, o dużych świeżych listach i pięknych błyszczących oczach. Pochodził z Paryża, ukończył szkołę, ale miał wybuchowy temperament, który ściągał ma. niego ciągle kłopoty.

— Ach, tak, ksiądz przychodzi obejrzeć mego anioła, tego, co to nie spodobał się arcybiskupowi... Proszę, oto jest!

Figura długości jednego metra, na której glina już wyschła, miała jakąś wspaniałą polotność, a dwa ogromne rozpostarte skrzydła nabrzmiewały szaloną tęsknotą do nieskończoności. Nagie ciało, które osłaniała tylko draperia, było ciałem efeba, z obliczem promieniejącym radością, smukłe a silne, jak gdyby zachwycone rozległym niebem.

— Osadzili, że mój anioł jest nazbyt ludzki. I słowo daję, że mieli słuszność... Bardzo; trudno wyobrazić sobie anioła. Nie wiadomo, jaką ma płeć, czy to chłopiec, czy dziewczyna? Poza tym, kiedy brak nam wiary, musimy wziąć pierwszy lepszy wzór i kopiować psując go... Ja, robiąc tego anioła, starałem się wyobrazić sobie pięknego chłopca, któremu, wyrosły skrzydła i którego upojenie lotem poniosło w radość słońca... To ich zaszokowało, oni chcieli czegoś bardziej religijnego i wtedy zrobiłem tamto świństwo. Bo przecież trzeba z czegoś żyć.

Ręką wskazał inną makietę, tę, do której właśnie zabierali się jego pomocnicy — poprawnego anioła, z symetrycznymi gęsimi skrzydłami, z ciałem ni to dziewczyny, ni chłopca, z banalną twarzą wyrażającą głupią ekstazę, jakiej wymaga tradycja.

— Trudno — mówił dalej. — cała ta sztuka religijna wpadła w najobrzydliwszą banalność. Ludzie nie wierzą już, budują kościoły jak koszary, ozdabiają je takimi wizerunkami Boga i Najświętszej Panny, że płakać się chce. A to dlatego, że geniusz jest wykwittem podłoża społecznego, wielki artysta zapłonąć może jedynie od wiary swojej epoki... Na przykład ja jestem wnukiem chłopca z Beauce, wyrosłem w domu mego ojca, który przybył do Paryża i osiadł tu jako kamieniarz, na końcu ulicy de la Roquette. Zacząłem jako robotnik, całe moje dzieciństwo upłynęło wśród ludu, na ulicznym bruku, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, aby wstąpić do kościoła... Czym więc stanie się sztuka w epoce, która nie wierzy już w Boga ani nawet w piękno? Trzeba koniecznie dojść do nowej wiary, a jest to wiara w życie, w pracę, w płodność, we wszystko, co trzodzi się i płodzi... — Przerwał sobie nagle, aby zawołać: — Ale widzi ksiądz, z tej mojej rzeźby *Płodność*, nad którą znów pracuję, jestem dosyć zadowolony... Proszę pójść i zobaczyć!

Postanowił koniecznie zaprowadzić ich do swojej prywatnej pracowni, która mieściła się niedaleko, poniżej domku. Wilhelma. Wchodziło się tam od ulicy

du Calvaire, będącej tylko nie kończącymi się schodami, stromymi jak drabina. Drzwi prowadziły do małej sionki i po paru schodach wchodziło się do obszernej izby zalanej światłem padającym przez wielkie okna, w której pełno było makiet, gipsów, szkiców, figur, mnóstwa rzeczy dobrych i mocnych. Ustawiona na kozłach figura, nad którą właśnie pracował, *Płodność*, owinięta była wilgotnymi płachtami. Gdy ją od nich uwolnił, ukazała swoje tęgie uda, brzuch, z którego miał się narodzić nowy świat, piersi małżonki i matki, wezbrane odżywczym i zbawczym mlekiem. — No i co? — zawołał z radosnym uśmiechem. — Wydaje mi się, że jej syn będzie zuchem, a nie takim chudzielcem jak dzisiejsi bladzi esteci, i że z kolei nie będzie się bał płodzić dzieci!

Ale kiedy Antoni i Franciszek patrzyli na rzeźbę z podziwem, Piotr zainteresował się przede wszystkim młodą dziewczyną, która otworzyła im drzwi pracowni, po czym ze znużonym wyrazem twarzy wróciła, aby znów usiąść przy niewielkim stole, gdzie czytała jakąś książkę. Była to Liza, siostra Jahana. Młodsza od niego o dwadzieścia lat, miała dopiero szesnaście lat i od śmierci rodziców mieszkała przy starszym bracie. Wiotka, słabego zdrowia, miała twarz nadzwyczaj łagodną, okoloną uroczymi popielatymi włosami, zwiewnymi jak drobny pył bladego złota. Niemal kaleka, dotknięta lekkim bezwładem nóg, chodziła z trudem; inteligencja jej również wydawała się opóźniona, pozostała surowa, dziecinnie naiwna. Brat jej z początku ogromnie się tym martwił. Potem przywykł do jej prostoduszności i apatii. Bardzo zajęty, zawsze w ruchu, z głową pełną pomysłów, mocno ją zaniedbywał, pozwalał jej istnieć obok siebie, więc żyła po swojemu, jakby była wciąż jeszcze małą dziewczynką, prostą i pieszczotliwą.

Piotr zauważył, z jak braterską serdecznością powitała Liza Antoniego. I wkrótce zobaczył, jak Antoni, pogratulowawszy Jahanowi *Płodności*, podszedł, usiadł koło dziewczyny, okazując jej wiele zainteresowania, wypytywał, oglądał książkę, którą czytała. Od pół roku najczystszy, najczulszy węzeł zawiązał się pomiędzy nimi. On widywał ją z ogrodu przy ojcowskim domu, z góry, z placu du Tertre, zaglądał do tej pracowni, gdzie ona pędziła życie niewinnej dziewczyny. I naprzód, gdy widział ją zawsze samą, niemal opuszczoną, obudziła w nim ciekawość; później, gdy ją poznał, zachwycony jej naiwnością i wdziękiem, gorąco postanowił, że obudzi ją do inteligencji, do życia, że będzie ją kochał i będzie dla niej zapładniającym duchem i sercem. I stał się dla niej tym, czyni *brat* nie umiał być dla tej wątłej rośliny Wymagającej subtelnych starań, słońca i miłości. Udało mu się już nauczyć ją czytać, trud, któremu nie sprostały liczne nauczycielki.

Słuchała go, rozumiała. Jej piękne jasne oczy w nieregularnej twarzy ożywiały się powoli szczęśliwym płomieniem. Był to cud miłości, stwarzanie kobiety pod tchnieniem młodego kochanka, składającego w darze całą swoją istotę. Oczywiście, że zawsze była bardzo wątła, tak słabego zdrowia, że stale drżeli, aby nie odeszła kiedyś wydając lekkie westchnienie; nie wychodziła jeszcze, gdyż nogi jej wciąż były chore. Ale w każdym razie nie była już mała, dzikuska, cierpiącym kwiatkiem ostatniej wiosny. Jahan, który podziwiał rodzący się cud, zbliżył się do obojga młodych.

— No i do? Uczennica przynosi panu zaszczyt. Wie pan, że czyta bardzo biegle i rozumie te wszystkie piękne książki, które pan jej przynosi... Prawda, Lizo, że teraz wieczorem ty czytasz mi na głos?

Podniosła niewinne ,oczy, spojrzała na Antoniego z uśmiechem bezgranicznej wdzięczności.

— Nauczę się, zrobię wszystko, czego on zechce mnie nauczyć. Wszyscy cicho się zaśmiali, a gdy trzej goście zabierali się już do odejścia, Franciszek stanął przed jakąś makieta, która pękła przy wysychaniu.

— Projekt poroniony — powiedział rzeźbiarz. — Chciałem zrobić *Miłosierdzie*, zamówienie dla Przytułku. Ale na próżno się starałem; wszystko, co mi przychodziło do głowy, było tak banalne, że pozwoliłem, żeby glina się zmarnowała... Ale jeszcze zobaczę, muszę się znowu do tego zabrać.

Gdy wyszli, Piotr postanowił dojść aż do bazyliki Sacré-Coeur, w nadziei, że spotka tara księdza Rose. Piotr i obaj bracia obeszli dokoła ulicę Gabrielle, aby znów znaleźć się na piętrowych zboczach ulicy Chappe, którą poszli w górę. Na górze, przed kościołem, gdzie piętrzył się las rusztowań pod jasnym niebem, spotkali Tomasza, który wracał ulicą Lamarcka z fabryki, gdzie chodził z zamówieniem do pewnego gisera.

— Ach, jakże się cieszę! — zawołał rozpromieniony, on tak zwykle powściągliwy i milczący. — Zdaje mi się, że teraz skonstruuje ten nasz motorek... Proszę powiedzieć ojcu, że sprawa dobrze idzie i żeby prędko wyzdrowiał!

Na te słowa Tomasza obaj jego bracia, Franciszek i Antoni, w nagłym odruchu, powodowani jednym impulsem, stanęli tuż obok niego. I trwali tak wszyscy trzej, tworząc dzielną grupę o jednym już tylko sercu, bijącym tą samą radością na myśl, że ojciec ucieszy się, a przesłana przez nich dobra nowina pomoże mu stanąć na nogi. Piotr, który już poznał i zaczynał kochać tych młodych ludzi, doceniając ich niezwykle wartości, cony był tymi trzema olbrzymami, którzy byli tak wrażliwi, tak uderzająco do siebie podobni, tak od razu sobie bliscy, złączeni w bohaterską falangę, gdy zapłonęła w nich synowska miłość.

— Proszę mu powiedzieć, że czekamy na niego i że na pierwszy znak staniemy przy nim.

Wszyscy trzej mocno uścisnęli rękę księdza. I gdy Piotr patrzył, jak się oddalali w kierunku małego domu, którego ogród był stąd widoczny ponad murem na ulicy Świętego Eleuteriusza, wydało mu się, że dostrzegą smukłą sylwetkę, białą twarz rozweseloną słońcem pod hełmem czarnych włosów — to zapewne Maria doglądała rozkwitających pędów bzów. Ale rozproszone światło było tak złociste w tej przedwieczornej godzinie, że wizja roztapiała się ginąc jakby w jasności. Oślepiiony blaskiem, odwrócił głowę i widział już tylko na drugim krańcu nieba masyw Sacré-Coeur. Kredowy, przytłaczający, gdy patrzyło się nań z bliska, zamykał tę część widnokregu swoim nowo narodzonym ogromem.

Piotr długo stał nieruchomy w miejscu; nurtowały go najsprzeczniesze uczucia i myśli, był tak podniecony, że nie mógł jasno zdać sobie sprawy, co się w nim dzieje. Potem obrócił się w stronę miasta. Olbrzymi Paryż roztaczał się u jego stóp, Paryż przejrzysty i lekki, w różowej jasności tego wieczoru przedwczesnej wiosny. Bezkresne morze dachów rysowało się ze szczególną wyrazistością, tak że można było policzyć kominy i miliony drobnych, czarnych konturów okien. W spokojnym powietrzu budynki wydawały się okrętami na kotwicy, zatrzymaną w marszu morską eskadrami, której wysokie

omasztowanie błyszczało w pożegnalnym słońcu. I nigdy jeszcze Piotr nie widział odcinających się tak wyraźnie wielkich odrębnych połaci tego ludzkiego oceanu. Z miasta pracy rąk, tam, na zachodzie i na północy, docierał głośny oddech dymy fabryk; miasto nauki, pracy intelektualnej, ciche, tchnęło wielką pogodą ducha. — na południu, na drugim brzegu rzeki; wszędzie zaś panowała namiętna pasja handlu, wzbijając się z dzielnic centralnych, dokąd walały tłumy przy stałym odgłosie toczących się kół. I miasto szczęśliwców, potentatów, walczących o posiadanie władzy i bogactwa, rozpościerało się ku zachodowi masą stłoczonych pałaców w czerwieniejącej z wolna pożodze zachodzącego słońca. I wtedy Piotr, z dna negacji i nicości, w którą wtrąciła go utrata wiary, poczuł nadpływający uroczy chłód, niejasne jeszcze zbliżanie się nowej wiary. Nie umiał określić nawet tej nadziei. Ale już wśród szorstkich robotników fabrycznych praca rąk objawiła mu się jako siła niezbędna i zbawcza, mimo nędzy i ohydnej niesprawiedliwości, do jakiej doprowadziła człowieka. A teraz młodzież intelektualna, o której zwątpił, to pokolenie jutra, które uważał za zepsute, uwikłane w dawnych błędach i zgniliznie, stało przed nim pełne męskich obietnic, zdecydowane prowadzić dalej dzieło starszej generacji, zdobywać przy pomocy samej tylko wiedzy całą prawdę i całą sprawiedliwość.

V

Miesiąc z górą upłynął już, odkąd Wilhelm schronił się był u brata, w małym domu w Neuilly. Prawie wyleczony z rany na ręce, od dawna już wstawał, godzinami przesiadywał w ogrodzie. Ale mimo że niecierpliwiał się, aby powrócić na Montmartre, zobaczyć swoich bliskich i kontynuować pracę, odkładał powrót, tak bardzo niepokoiły go wiadomości, jakie co rano podawały dzienniki. Sytuacja nie ulegała zmianie, utrwaliła się; podejrzewano teraz Salvata, widziano go któregoś wieczora w Halach, potem policja straciła go z oczu, ale aresztowanie groziło mu nieustannie. I co będzie, czy Salvat przyzna się, czy rozpoczną się dalsze rewizje po domach? Przez cały tydzień prasa za jonowała się jedynie dłutem znalezionym w bramie pałacu Duvillardów. Wszyscy reporterzy paryscy odwiedzili fabrykę Grandidiera, wypytywali robotników i właściciela, podawali rysunki. Niektórzy przeprowadzali nawet śledztwo na własną rękę, chcąc osobiście pochwytać winowajcę. Żartowano z bezsilności policji i ludzie zapalili się do tego polowania na człowieka, dzienniki pełne były najbardziej dziwacznych kłamstw, a strach wzrósł w dwójnasób, gdyż zapowiadano nowe bomby. Paryż miał na pewno któregoś pięknego poranka wylecieć w powietrze. „Głos Ludu” co dnia podawał nową sensację, pisywał o listach z pogrózkami, o podburzających afiszach, o tajemniczych, szeroko rozgałęzionych spiskach. I nigdy jeszcze podobna zaraza, tak głupia i tak poidła, nie zionęła szaleństwem na miasto. Po obudzeniu się Wilhelm gorączkowo więc czekał na dzienniki, drżąc za każdym razem na myśl, że dowie się o aresztowaniu Salvata. Tocząca się tam gwałtowna kampania, niedorzeczności i okrucieństwa, jakie wypisywano, pełne napięcia wyczekiwanie wyprowadzały go z równowagi. Na chybił trafił aresztowano podejrzanych, cały tłum osądzanych o anarchizm uczciwych robotników i bandytów, fanatyków i nicponiów, najdziwaczniejszą

mieszaninę ludzką, którą sędzia śledczy Amadiou usiłował przemienić w ogromne stowarzyszenie złoczyńców. I Wilhelm pewnego ranka przeczytał nawet swoje nazwisko wymienione w związku ze śledztwem wytoczonym pewnemu wielce utalentowanemu dziennikarzowi rewolucjonście, z którym był w przyjaźni. Serce mu zadrgało buntem, ale czyż rozważa nie nakazywała jeszcze cierpliwie poczekać w tym cichym schronieniu w Neuilly, skoro lada godzina policja mogła wpaść do małego domu na Montmartre i aresztować go, gdyby go tam zastała?

W tej ciągłej głuchej obawie dwaj bracia, zupełnie odcięci od świata, wiedli życie bardzo samotne i bardzo spokojne. Nawet Piotr starał się całymi dniami nie wychodzić z domu. Był początek marca, raptowna wiosna darzyła mały ogród urokiem młodości, rozkosznym ciepłem. Ale Wilhelm, od kiedy nie leżał w łóżku, przesiadywał najczęściej w dawnym laboratorium ojca przemienionym w ogromny gabinet do pracy. Były tam jeszcze wszystkie papiery, wszystkie książki znakomitego chemika i syn jego właśnie odkrył zaczęte przez niego prace, pasjonującą lekturę, przy której tkwił od rana do wieczora. Nie zdawał sobie sprawy, że dzięki temu mógł cierpliwie znosić swoje dobrowolne zamknięcie. Po drugiej stronie wielkiego stołu Piotr również najczęściej coś czytał; lecz ileż razy oczy jego podnosiły się znad książki i zatracaly w ponurych rozmyślaniach, w nicości, w którą wciąż zapadał! Całymi godzinami dwaj bracia tak z sobą przesiadywali nie odzywając się słowem, zatroskani, w głębokim milczeniu. Jednakże wiedzieli, że są sobie bliscy, przejmowało ich to wzruszaniem, szczęśliwą i ufą pewnością. Czasem spojrzenia ich spotykały się, wymieniali uśmiech, nie odczuwając potrzeby wyrażenia w inny sposób, jak bardzo na nowo się pokochali. Odradzało się w nich dawne gorące przywiązanie, i czuli, jak w spokojnej atmosferze, którą oddychali, odżywa cały dom minionego dzieciństwa i ich rodzice. Wielkie oszklone drzwi otwierały się na ogród, w stronę Paryża, a oni odrywali się od swoich książek, od długich rozważań, czasem nagle pełnych niepokoju, po to tylko, aby nadstawić ucha na dalekie pomruki, na głośniejszy okrzyk wielkiego miasta.

Bywało również, że przerywali zajęcie, zdziwieni odgłosem regularnych kroków ponad swoimi głowami. To Mikołaj Barthès chodził w pokoju na górze, odkąd przyprowadził go Teofil Morin w wieczór zamachu, z prośbą, aby użyczyli mu schronienia. Me wychodził wcale, zapuszczał się zaledwie do ogrodu, w obawie, jak mówił, aby ktoś nie zobaczył go i nie rozpoznał z dalekiego domu, którego okna zasłonięte były kępą drzew. Myśl o policji prześladowająca starego spiskowca mogła wywołać uśmiech. Kroki na górze, kroki lwa w klatce, uparta przechadzka wiecznego więźnia, który dwie trzecie życia tułał się po wszystkich lochach Francji w walce o wolność dla ludzi, potęgowała jeszcze wzruszający smutek małego milczącego domu, była rytmem wszystkiego, co dobre i wielkie, wszystkiego, czego człowiek się spodziewa, a czego na pewno nigdy nie osiągnie.

Czasem jakieś odwiedziny wyrwały obu braci z ich samotności. Od kiedy rana Wilhelma zablizniła się, Bertheroy nie przychodził już tak często.

Najwytrwalszy okazał się Teofil Morin, którego dyskretny dzwonek co drugi dzień rozlegał się wieczorem o tej samej godzinie. Żył on dla Barthèsa kult, jakim otaczamy męczenników, chociaż nie podzielał jego. idei. Wstępował na

górze, aby spędzić z godzinę ze starym człowiekiem, i na pewno obaj mówili mało, gdyż żaden odgłos nie dochodził z pokoju. Gdy Morin zasiadał na chwilę w laboratorium z obydwoma braćmi, Piotra uderzał jego ogromnie zmęczony wygląd, włosy i broda szare jak popiół, twarz zgaszona, zużyta pracą nauczycielską. I jego wygasłe oczy zapalały się tylko wówczas, gdy Piotr opowiadał mu o Włoszech. Kiedyś gdy wymienił nazwisko Orlanda Prady, wielkiego patrioty, jego towarzysza zwycięstw w legendarnej wyprawie Tysiąca, zdumiał się na widok nagłego pożaru entuzjazmu, który rozpromienił martwe oblicze Morina. Były to jedynie błyskawice, po chwili stawał się znów jedynie starym profesorem; i wtedy odnajdowało się już w nim tylko współziomka i przyjaciela Proudihona, z kolei przekształconego w fanatycznego ucznia Augusta Comte'a. Z Proudihona zachował bunt biednego przeciw bogaczowi i pragnienie sprawiedliwego podziału dóbr. Ale nowe czasy przerażały go, nie umiał z racji wyznawanej doktryny i swego temperamentu wyciągnąć ostatecznych konsekwencji z rewolucyjnych metod. Następnie Comte wszczepił mu niezłomne zasady w zakresie rozumowania; przywiązywał wielkie znaczenie do logiki, do jasnej i zdecydowanej metody pozytywizmu, hierarchizując wszelką wiedzę, odrzucając bezużyteczne metody metafizyczne, w przekonaniu, że jedynie dzięki nauce rozwiązać można zagadnienie ludzkie, społeczne i religijne. Jednakże przy jego skromności i rezygnacji wiara ta, wciąż silna, nie była wolna od tajemnej goryczy, gdyż nic nie zdawało się rozsądnie dążyć do swego celu i nawet sam Comte doszedł wreszcie do najbardziej mętnego mistycyzmu, wielcy uczeni czuli strach przed prawdą, a wreszcie barbarzyńcy grozili światu nową nocą, co sprawiało, że Morin był niemal reakcjonistą w polityce, z góry pogodzony ze zjawieniem się dyktatora, który wprowadziłby nieco ładu, aby dopełniło się wychowanie ludzkości.

Poza tym od czasu do czasu odwiedzali ich Bache i Janzen, którzy przychodzili *zawsze razem* i tylko wieczorem. Czasem przesiadywali do późna w obszernym gabinecie do pracy i rozmawiali z Wilhelmem do drugiej nad ranem. Zwłaszcza Bache, gruby, i ojcowski, z rzewnymi małymi oczyma, które niemal tonęły w śniegu włosów i długiej brody, mówił powoli, z namaszczeniem, bez końca, wykładając swoje idee. Kurtuazyjnie oddawał cześć Saint-Simonowi, inicjatorowi, który pierwszy sformułował prawo konieczności pracy, każdemu wedle jego zasług. Ale gdy przechodził do Fouriera, głos jego stawał się czuły, było to całe wyznanie wiary. Fourier to prawdziwy Mesjasz oczekiwany przez czasy, nowożytny, Zbawiciel, którego geniusz rzucił dobre ziarno przyszłego świata regulując społeczeństwo jutra, tak jak się ono na pewno ukształtuje. Prawo harmonii zostało ogłoszone, namiętności, wreszcie wyzwolone i rozumnie użytkowane, miały być kółkami jego maszyny, praca, którą uczyniono powabną, stawała się po prostu funkcją życia. Nic go nie zniechęcało; niech tylko jedna gmina zacznie się przetwarzać w falanster, a wkrótce pójdzie w jej ślady cały departament, następnie inne departamenty, potem cała Francja. Akceptował nawet dzieło Cabeta, którego *Ikaria* wcale nie była taka głupia. Przypomniawszy wniosek, jaki wysunął w roku 1871, gdy zasiadał w Komunie, aby idee Fouriera zastosować do Republiki Francuskiej.; i zdawał się wierzyć, że wojska z Wersalu, topiąc we krwi idee gminowładztwa, opóźniły o pół wieku

triumf komunizmu. Teraz, kiedy znów mówiono o wirujących stolikach, udawał, że się śmieje, ale w głębi duszy pozostał niepoprawnym spirytystą. Od kiedy był radnym miejskim, krążył od jednej sekty socjalistycznej do drugiej, zależnie od tego, czy mniej, czy więcej bliskie były jego dawnym przekonaniom. I cały wyrażał się w potrzebie wiary, w udręczeniu boskością, które skłoniwszy go naprzód, aby wygnał Boga z kościołów, kazało mu odnajdować go w nogach wirującego mebla.

Janzen natomiast był o tyle małomówny, o ile przyjaciel jego gadatliwy. Wypowiadał tylko krótkie zdania, ale smagały one jak bicze, cięły jak pałasze. Jego idee, jego teorie pozostawały skutkiem tego trochę niejasne, tym bardziej że trudność, z jaką wyrażał się po francusku, nadawała wszystkiemu, co mówił, pewną mglistość. Pochodził z bardzo daleka, Rosjanin, Polak, Austriak czy też może Niemiec, nikt dobrze nie wiedział, w każdym razie nie miał ojczyzny i ponad granicami obnosił swój sen o krwawym braterstwie. Kiedy bardzo chłodno, bez jednego gestu, z twarzą bladego, jasnowłosego Chrystusa rzucał jedno ze swoich groźnych zdań, które czyniło dokoła pustkę jak machnięcie kosą na łące, ze słów jego wynikał jeden tylko nieuchronny wniosek: że tak samo należy wytracić ludzkość i na nowo zasiać na ziemi lud młody i doskonalszy. Na każde zdanie Bache'a o pracy, która stanie się przyjemnością na mocy przepisów policyjnych, o falansterach zorganizowanych jak koszary, o religii odbudowanej w postaci deizmu panteistycznego lub spirytualistycznego wzruszał łagodnie ramionami. Po co te wszystkie dzieciństwa, te obłudne naprawy, gdy dom wali się i jedynym uczciwym wyjściem jest zburzyć go, aby już z nowych materiałów odbudować cały solidny dom jutra? O propagandzie za pomocą faktów, za pomocą bomb — milczał, wykonywał tylko zwykły gest nieograniczonej nadziei. Ale niewątpliwie ją pochwalał. Legenda, czyniąca go jednym ze sprawców zamachu w Barcelonie, rzucała blask straszliwej sławy na jego nieznaną przeszłość. Gdy kiedyś Bache, mówiąc o jego przyjacielu Bergazie, niepewnym pośredniku giełdowym, już skompromitowanym w pewnej aferze o kradzież, określili go po prostu jako bandytę, Janzen uśmiechnął się tylko, powiadając ze spokojną miną, że kradzież jest jedynie przymusową restytucją. I w tym człowieku wykształconym, subtelnym, którego tajemnicze życie mogło kryć w sobie zbrodnie, ale nie pospolitą nieuczciwość, czuło się nieubłaganego teoretyka, upartego, gotowego świat podpalić, byle zatriumfowała idea.

W niektóre wieczory, gdy Teofil Morin spotykał się z Bache'em i Janzenem i gdy wszyscy trzej wraz z Wilhelmem rozmawiali do późna w noc, Piotr słuchał chciwie, siedząc bez ruchu w ciemnym kącie, ale nigdy nie brał udziału w dyskusjach. Z początku zapalił się jak człowiek, który udręczony negacjami, opętany żądzą prawdy, pragnie sporządzić bilans idei swojej epoki, przestudiować je wszystkie bez wyjątku, aby na ich podstawie określić przebytą drogę i uzyskane korzyści. Ale po pierwszych krokach, słysząc, jak wszyscy czterej dyskutują bez możliwości pogodzenia się, zraził się, zagubił na nowo. Po klęskach swoich poszukiwań w Lourdes i w Rzymie, i dzięki temu trzeciemu doświadczeniu, jakie przeprowadzał w Paryżu, jasno, już rozumiał, że tutaj rzecz idzie o mózg całej epoki, o nowe prawdy, o wyczekiwaną ewangelię, której ogłoszenie miało zmienić oblicze ziemi. I

pałając nadmierną gorliwością, przechodził od jednej wiary *do* drugiej, odrzucając i tę, aby przejść się trzecią. Naprzód poczuł się pozytywistą wraz z Teofilem Morin, ewolucjonistą i deterministą ze swoim bratem Wilhelmem, potem humanitarny komunizm Bache'a wzruszył go swoim braterskim marzeniem o bliskim już wieku złotym, Nawet i Janzen, tak pewny swego, tak okrutnie dumny w swych teoretycznych rojeniach o anarchistycznym indywidualizmie, wzburzył na chwilę jego myśli. A potem stracił grunt pod

sto-
parni, widział już tylko sprzeczności, brak spójni wśród krocącego naprzód rodzaju ludzkiego. Była to już tylko ciągle rosnąca sterta żużłu, w której on tonął. I róż, że Fourier wyszedł od Saint-Simona, skoro częściowo mu zaprzeczał; o ile doktryna Saint-Simona kosztowała w jakimś mistycznym sensualizmie, doktryna Fouriera zdawała się dochodzić do absurdalnego kodeksu rygorystycznych przepisów. Proudhon burzył wszystko, niczego nie budując. Comte, który stworzył metodę i postawił wiedzę na właściwym miejscu, ogłaszając ją jedyną władczynią, nie domyślał się nawet kryzysu społecznego, którego fala groziła zatopieniem wszystkiego, i kończył jako opętany miłością, pokonany przez kobietę. I ci dwaj również byli niezgodni, walczyli przeciwko dwom poprzednim, doprowadzając do takiego konfliktu i takiego zaślepienia ogólnego, że prawdy, do jakich wspólnie doszli, stały się ciemne, uległy zniekształceniu, zmieniły się nie do poznania. I stąd zrodził się chaos obecnej chwili, Bache z Saint-Simonem i Fourierem, Teofil Morin z Proudhonem i Comte'em nie rozumieli wcale Mège'a, deputowanego-kolektywisty, nienawidzili go, piorunowali na niego i na kolektywizm państwowy, jak zresztą piorunowali na wszystkie współczesne im sekty socjalistyczne, nie zdając sobie sprawy, że one naradziły się przeciw z ich mistrzów. Wszystko to przemawiało jakby na korzyść groźnego i chłodnego Janzena, gdy oznajmiał, że domu nie da się naprawić, że obróci się on w zgniliznę i szaleństwo i że trzeba go zburzyć.

Pewnej nocy, po odejściu trzech gości, Piotr zostawszy z Wilhelmem spostrzegł, że jest on zasępiony i przechadza się wolnym krokiem. Niewątpliwie on także odczuwał już ruinę wszystkiego. I mówił dalej, *nie* zdając sobie sprawy, że słucha go tylko jego brat. Wypowiedział swój wstręt do kolektywistycznego państwa Mège'a, do państwa-dyktatora, odtwarzającego jeszcze silniej starożytne niewolnictwo. Wszystkie sekty socjalistyczne, które się wzajemnie pożerały, grzeszyły arbitralną organizacją pracy, podporządkowały jednostkę dobru wspólnoty. I dlatego, chcąc pogodzić dwa wielkie prądy, prawa społeczeństwa i prawa jednostki, doszedł wreszcie do tego, że całą ufność położył w komunizmie anarchistycznym, w anarchii, która — jak sobie roił — uwolni jednostkę, pozwoli jej rozwijać się, kwitnąć bez żadnego przymusu, dla dobra własnego i dla dobra wszystkich. Czyż nie *to* była jedyna teoria naukowa, że jednostki stwarzają światy, że atomy tworzą życie poprzez siłę przyciągania, przez żarliwą i wolną miłość? Zniknęłyby gnębicielskie mniejszości, byłaby już tylko swobodna gra zdolności i energii poszczególnych ludzi, która doprowadzałaby do harmonii w równowadze zawsze zmienne, stosownie do potrzeb, stosownie do aktywnych sił kroczącej naprzód ludzkości. I wyobrażał sobie lud wolny od opieki państwa, bez władcy, niemal bez prawa, lud szczęśliwy, którego każdy obywatel, uzyskawszy dzięki wolności pełny rozwój swojej istoty,

porozumiewałyby się dobrowolnie z sąsiadami co do tysiącznych potrzeb życiowych; i w ten sposób rodziłoby się społeczeństwo, dobrowolnie przyjęte zrzeszenie, setki rozmaitych zrzeszeń regulujących życie społeczne, wciąż zresztą zmiennych, przeciwstawnych, a nawet wrogich; postęp bowiem rodziłby się jedynie z konfliktów i bojów, świat powstawałby jedynie w walce sprzecznych sił. I to byłoby wszystko, nie istnieliby już ciemnicy, nie istnieliby bogaci i biedni, cały obszar, ziemi, wraz z narzędziami pracy i skarbami naturalnymi, oddano by ludowi, prawowitemu właścicielowi, który potrafiłby korzystać z nich sprawiedliwie, logicznie, skoro już żadne anomalie nie hamowałyby jego ekspansji. Wtedy dopiero zaczęłoby działać prawo miłości, ujrzano by, jak solidarność ludzka, która jest wśród ludzi żywą formą powszechnego przyciągania, nabiera całej swojej mocy, zbliża ich, jednoczy w jedną bliską sobie rodzinę. Oto piękne marzenie, bardzo szlachetne i bardzo czyste marzenie o wolności zupełnej, o wolnym człowieku w wolnym społeczeństwie, marzenie, do którego musiał dojść wyższy umysł uczonego, przebiegłszy wprzód w myśli inne sekty socjalistyczne, wszystkie splamione tyranią. Marzenie anarchistyczne jest na pewno najwznioślejsze, najdumniejsze, i tak słodko jest oddać się nadziei na tę harmonię życia, które samo przez się, zdane na własne siły naturalne, stworzyłaby szczęście. Gdy Wilhelm zamilkł, zdawał się jak przebudzony ze snu i spojrzał na Piotra z pewnym zmieszaniem, w obawie, że powiedział za dużo, że go uraził. Piotr, wzruszony, przez chwilę przekonany, uczuł, że nagle formułuje się w nim straszny za-

rzut natury praktycznej, odbierający wszelką nadzieję. Dlaczego owa harmonia nie oddziaływała w pierwszych dniach istnienia świata, przy narodzinach społeczeństw? Dlaczego zatriumfowała tyrania, wydając ludy ma łup ciemnościom? I gdyby kiedyś zrealizowano nierozwiązalny problem zniszczenia wszystkiego, rozpoczęcia wszystkiego na nowo, któż mógłby zapewnić, że ludzkość, posłuszna tym samym prawom, nie poszłaby raz jeszcze tymi samymi drogami? W sumie była ona tym, co zrobiło z niej życie, i nic nie wskazywało, że życie nie uczyniłoby jej raz jeszcze taką, jaka była: Zacząć od początku, tak, ale dla innego celu! I czy ten inny cel naprawdę tkwił w człowieku, czy. to nie samego właśnie człowieka trzeba było zmienić? Oczywiście, ruszać z miejsca, w którym się już było, jakież to powolne, jak długiego wymagałoby czekania! Ale jakie niebezpieczeństwo, jakie nawet opóźnienie, gdybyśmy zawrócili nie wiedząc, na jakiej drodze odzyskać stracony czas, pośród chaosu szczątków!

— Chodźmy spać! — rzekł Wilhelm z uśmiechem. — Głupio, robię męcząc cię tymi wszystkimi sprawami, które ciebie nie dotyczą!

Piotr bliski był namiętnego uniesienia, otwarcia swej istoty, ukazania strasznych jej walk. Ale jeszcze powstrzymała go jakaś wstydlivość, jego brat wiedział o nim tylko nieprawdę o wierzącym księdzu stojącym przy swojej wierze. Nic nie odpowiedział i poszedł da siebie.

Na drugi dzień wieczorem, około dziesiątej, Wilhelm i Piotr czytali w obszernym gabinecie do pracy, gdy stara służąca oznajmiła Janzena z przyjacielem. Był to Salvat. Odbyło się to bardzo po prostu.

— On chciał się z panem zobaczyć — wyjaśnił Janzen Wilhelmowi. — Spotkałem go, błagał, abym go tu przyprowadził, gdy dowiedział się o pańskiej ranie i pańskim niepokoju... To zresztą wcale nie jest rozsądnie.

Wilhelm wstał, zaskoczony i podniecony postępkami Salvata; a tymczasem Piotr, Wzburzony pojawieniem się tego człowieka, patrzył na niego nie ruszając się z krzesła.

— Panie Froment — rzekł wreszcie trwożliwie i niepewnie Salvat, który nie usiadł — zrobiło mi się bardzo przykro, gdy mi powiedziano, ile sprawiłem panu kłopotu, bo nigdy nie zapomnę, że pan był dla mnie dobry, kiedy wszyscy wyrzucali mnie za drzwi... Kołysał się na jednej nodze, przekładał swój stary okrągły kapelusz z jednej ręki do drugiej.

— A więc postanowiłem przyjść i sam to panu powiedzieć; tego, że Wziąłem jeden ładunek pańskiego prochu, kiedyś wieczorem, kiedy pan się odwrócił, tego tylko w całej tej historii naprawdę żałuję, bo to może pana skompromitować... I chcę panu także przysiąc, że z: mojej strony może się pan niczego nie obawiać, że dam sobie dwadzieścia razy uciąć głowę, a nie wymienię pańskiego nazwiska... To wszystko, co miałem na sercu Zapadł znó | W w swoje milczenie pełne zakłopotania, a jego poczciwe oczy wiernego psa, oczy marzące i tkliwe, wpatrzone wciąż były w Wilhelma z wyrazem czci i uwielbienia. A Piotr widział go poprzez, ohydną wizję, którą wywołał w nim widok Salvata, wizję żalosnej dziewczynki od modniarki, jasnowłosej i ładnej, leżącej na wznak, z otwartym brzuchem, w bramie pałacu Duvillardów. Ten szaleniec, zabójca, czy to możliwe, że oto jest. tutaj i że oczy jego są wilgotne od teź?

Wilhelm, wzruszony, podszedł, aby uścisnąć rękę tego człowieka.

— Wiem dobrze, Salvat, że nie jest pan złym człowiekiem. Ale jakże głupią i ohydłą rzecz zrobiłeś, mój chłopcze!

Bez gniewu, łagodnie, Salvat uśmiechnął się.

— Ach, panie Froment, gdyby można to odrobić, nie wahałbym się. Wie pan, ja ciągle o tym myślę. Ale pominąwszy pana osobę, mówię raz jeszcze, wszystko jest w porządku, jestem zadowolony.

N,ie chciał usiąść, na stojąco rozmawiał jeszcze chwilę z Wilhelmem, a tymczasem Janzen, który nie mieszał się do niczego, ponieważ potępiał te zbędne i niebezpieczne odwiedziny, usiadł i przeglądał jakąś ilustrowaną książkę. Wilhelm wyciągnął od Salvata, co tenże robił w dzień zamachu, o tym, że jak zbity pies błąkał się oglupiały *go Paryżu, że obnosił przy sobie bombę*, naprzód w worku z narzędziami, potem pod marynarką; a także o pałacu Duvillardów, którego brama wjazdowa była zamknięta, i o Izbie, dokąd wstęp zagrodzili mu woźni, i o Cyrku, gdzie zbyt późno pomyślał, aby uczynić hekatombę z mieszczuchów, a wreszcie znów o pałacu Duvillardów, gdzie powrócił i utknął, jak gdyby przyciągany siłą samego przeznaczenia. Jego worek z narzędziami spoczywał na dnie Sekwany, wrzucił, go tam przejęty nagłą nienawiścią do pracy, która nie umiała go wyżywić, . jego i jego bliskich, a zatrzymał tylko bombę, aby mieć swobodniejsze ręce. Następnie opowiedział o swojej ucieczce, o strasznej eksplozji, która, gdy uciekał, wstrząsnęła całą dzielnicą, o swojej radości i zdziwieniu, gdy znalazł się z dala, na spokojnych ulicach, gdzie o niczym jeszcze nie wie-dziano. I od miesiąca żył zdany na przypadek, sam nie wiedząc gdzie i jak, często sypiając pod gołym niebem, nie co dzień ~ jedząc. Któregoś wieczora mały Wiktor Mathis dał mu pięć franków. Inni koledzy pomagali mu, ofiarowywali nocleg na jedną noc i za najmniejszym

niebezpieczeństwem kazali uciekać. Cały milczący spisek aż dotąd ustrzegł go przed policją. Uciec za granicę? Istotnie, przez chwilę miał ten zamiar; ale na pewno wszędzie już rozesłano listy gończe, czyhano na niego przy granicy, czyż więc nie przyspieszyłaby to aresztowania? Paryż był oceanem, gdzie ryzyko było dla niego najmniejsze. Zresztą, na swój sposób fatalista, nie miał już w sobie woli ani energii do ucieczki, nie znajdował sił, aby opuścić bruk paryski, czekał, aby go tam zaaresztowali, jak zupełny już wyrzutek społeczeństwa, bezbronny, zagubiony w tłumie, pogrążony we śnie na jawie. — A córka pana, mała Celina — zapytał Wilhelm — czy odważył się pan wrócić i zobaczyć ją?

Salvat wykonał niepewny gest.

— Nie, skądże! Ona jest z matką Teodorową. Kobiety zawsze dadzą sobie jakoś radę. A poza tym, cóż, ja jestem skończony, dla nikogo już nie mogę nic zrobić. Jak gdybym już był nieboszczykiem.

Jednakże łzy napłynęły mu do oczu.

— Ach, biedna mała! Zanim wyszedłem, ucałowałem ją z całego serca. Gdyby nie to, że widziałem, jak ona, i moja kobieta umierają z głodu, może nigdy by mi ta rzecz nie przyszła do głowy!

A potem rzekł po prostu, że gotów jest na śmierć. Podłożył wreszcie tę swoją bombę u bankiera Duvillard, bo znał go dobrze, *bo* wiedział, że to najbogatszy z mieszczuchów, których ojcowie podczas rewolucji oszukali lud, zagarniając dla siebie całą władzę i wszystkich pieniędzy, i uparcie chcieli je zatrzymać, nie chcąc oddać nawet okrucha. Rewolucję rozumiał po swojemu, jak człowiek nieoświecony, który kształcił się na dziennikach i podczas zgromadzeń publicznych. I zapewniał o swojej uczciwości uderzając się pięścią w pierś, nie dopuszczał zwłaszcza, aby powątpiewano o jego odwadze tylko dlatego, że uciekł.

— Nigdy nikogo nie okradłem i nie idę oddać się w ręce łapaczy tylko dlatego, że niech się trochę pomęczą, zanim mnie znajdą i zaaresztują. Moja sprawa jest jasna, wiem o tym, odkąd znaleźli to dłuto i od kiedy mnie rozpoznali. To nie przeszkadza, że byłoby głupio ułatwiać im robotę. Ale dojdzie do tego, jeśli nie jutro, to pojutrze, bo zaczynam mieć dość tego, że minie tropią jak zwierzę, i nie wiem, już, jak żyję.

Zaciekawiony Janzen przestał kartkować ilustrowaną książkę, aby spojrzeć na niego. Pogarda uśmiechała się w jego zimnych oczach. Powiedział nieudolną francuszczyzną:

— Człowiek bije się, broni, zabija innych i stara się, aby jego nie zabili. To jest wojna.

Słowa te padły wśród głębokiej ciszy. Zdawało się, że Salvat ich nie usłyszał; i wyjął swoje wyznanie wiary w zdaniu, w którym wyczuwało się jego zakłopotanie wobec wielkich słów: składa ofiarę z życia, aby wreszcie skończyła się nędza; dał przykład wielkiego czynu, w przekonaniu, że inni bohaterowie zrodzą się z niego, aby dalej prowadzić walkę. I tę bardzo szczerą wiarę, wizjonerstwo odkupiciela, przepelniała także duma męczennika, radość, że jest jednym z promiennych i uwielbianych świętych rodzącego się kościoła rewolucji.

Jak przyszedł, tak i odszedł. Gdy oddalił się z Janzenem, zdawało się, że uprowadziła go noc, porywając znowu w nieznane. Wówczas dopiero Piotr wstał, otworzył na całą szerokość oszklone drzwi gabinetu, bo dusił się, nagle

zabrakło mu powietrza. Marcowa noc była bardzo łagodna, bezksiężycowa, unosiło się w niej tylko zamierające wołanie Paryża, niewidzialnego tam, na widnokręgu.

Wilhelm, jak zwykle, zaczął się wolno przechadzać. A potem przemówił, znów zapominając, że zwraca się do tego księdza, który był jego bratem.

— Ach, biedny człowiek, jak ja rozumiem jego czyn, akt przemocy i nadziei! Jest w tym jego przeszłość wypełniona bezcelową pracą i stale wzrastającą nędzą, one go tłumaczą. A także działała tu zaraźliwość idei, zgromadzenia publiczne, gdzie ludzie upijają się słowami, schadzki z kolegami, na których wiara utwierdza się, duch wzlatuje... Jak ani się zdaje, dobrze znam tego człowieka. Jest zręcznym robotnikiem, trzeźwym, uczciwym.

Niesprawiedliwość zawsze doprowadzała go do rozpacz. Powoli pragnienie szczęścia dla wszystkich odebrało mu poczucie rzeczywistości, do której wreszcie nabrał wstrętu. I jakże nie miał żyć w marzeniach o odkupieniu, w marzeniach, które wyradzają się w pożar i morderstwo... Gdy patrzyłem tu na niego, wydawało mi się, że mam przed sobą jednego z pierwszych chrześcijańskich niewolników starożytnego Rzymu. Cała niesprawiedliwość starego społeczeństwa pogańskiego, konającego pod zgnilizną rozpusty i pieniądza, ciążyła na jego ramionach, miażdżyła go. Wracął z katakumb, gdzie w ciemnościach szeptał z nieszczęsnymi braćmi słowa wybawienia i odkupienia. I żądza męczeństwa paliła go, pluł w twarz Cezarom, obrażał bóstwa, aby wreszcie era Chrystusowa obaliła niewolnictwo. I gotów był umrzeć w paszczy dzikich bestii.

Piotr *nie* od razu odpowiedział. Już poprzednio uderzyła go myśl, że tajemna propaganda, wojująca wiara anarchistów, bardzo przypomina wiarę pierwotnych sekt chrześcijańskich. Ci za przykładem tamtych rzucali się ku nowej nadziei, że wreszcie pokornym oddana zostanie sprawiedliwość.

Pogaństwo zginęło z powodu wyczerpania ciała, gdyż potrzebowano czegoś innego, jakiejś wiary czystej i wyższej. *To* marzenie o raju chrześcijańskim, otwierającym przed ludźmi inne życie i jego zadośćuczynienia, było młodą nadzieją, która zjawiała się w momencie wyznaczonym przez historię. Dzisiaj, gdy osiemnaście stuleci wyczerpało tę nadzieję, gdy zdobyto długie doświadczenie, wieczysty, oszukiwany niewolnik, robotnik, na nowo śni o uzyskaniu szczęścia na tej ziemi, ponieważ nauka z każdym dniem jaśniej mu dowodzi, że szczęście po tamtej stronie jest kłamstwem. Niech to będzie sobie także ułuda, ale niech zostanie odnowiona, odmłodzona i ożywiona — w myśl zdobytej prawdy! Jest w tym jedynie wieczna walka biednego i bogatego, wieczne zagadnienie, aby było więcej sprawiedliwości i mniej cierpienia. I zmowa biedaków jest zawsze ta sama, to samo zrzeszanie się, ta sama mistyczna egzaltacja, to samo szaleństwo, żeby dać przykład i szafować krwią.

— Ale — rzekł w końcu Piotr — ty nie możesz być z tymi bandytami, tymi mordercami, których gwałtowność budzi we mnie odrazę. Wczoraj pozwoliłem ci mówić, roiłeś o ludzie tak wielkim, tak szczęśliwym, o idealnej anarchii, gdzie każda istota byłaby wolna, co wynikałoby z wolności wszystkich istot. Jednakże, jakie obrzydzenie, jaki bunt rozumu i serca budzi się, gdy od teorii przechodzimy do propagandy, do wprowadzania w czyn! Jeżeli ty jesteś mózgiem, który myśli, jakaż to ohydna ręka działa, zabija dzieci, wyważa drzwi i opróżnia szuflady! Czy ty przyjmujesz tę

odpowiedzialność, czy człowiek, jakim ty jesteś, z twoim wykształceniem, twoją kulturą, z całym atawizmem społecznym, jaki masz za sobą, nie buntuje się na myśl o kradzieży, o zabijaniu?

Wilhelm zatrzymał się nagle, drżący, przed bratem.

— Kraść, zabijać, nie, nie! Nie chcę! Ale trzeba wszystko powiedzieć, jasno ustalić przebieg złej godziny, jaką przeżywamy. Jest to powiew szaleństwa i prawdą jest, że uczyniono wszystko, aby je wywołać. Po pierwszych czynach anarchistów; jeszcze niewinnych, represje były tak srogie, policja tak bezwzględnie zmaltretowała paru nieboraków, którzy wpadli jej w ręce, że wielki gniew narastał powoli, aż doszło do straszliwych odwetów. Pomyśl o bitych ojcach, wtrącanych do więzienia, o matkach i dzieciach mrących z głodu na bruku, o fanatycznych mścicielach, jakich pozostawia za sobą każdy anarchista umierający na szafocie. Terror mieszczański stworzył dzikość anarchistów. A teraz patrz na takiego Salvata, czy wiesz, z czego zrodziła się jego zbrodnia? Z naszego odwiecznego bezwstydu i nieprawości, z wszystkiego, co ludy wycierpiały, ze wszystkich obecnych postaci raka, który nas toczy, z pasji używania, z pogardy dla słabego, z potwornego widowiska, jakie przedstawia nasze rozkładające się społeczeństwo.

Znów zaczął powoli się przechadzać i mówił, jak gdyby myślał na głos.

— Ach, żeby dojść tam, gdzie ja jestem, ileż trzeba było refleksji, ileż walk! Byłem tylko pozytywistą, uczonym bez reszty oddanym obserwacji i eksperymentowi, nie uznającym nic prócz stwierdzonego faktu. Naukowo, społecznie uznawałem naturalną i powolną ewolucję rodzącą ludzkość, jak zrodzona została i sarna istota ludzka. I wtedy w historii kuli ziemskiej, w historii społeczeństw musiałem znaleźć miejsce dla wulkanu, dla gwałtownego kataklizmu, który zapoczątkowywał każdą fazę geologiczną, każdy okres historyczny. W ten sposób dochodzi się do stwierdzenia, że nigdy żaden krok naprzód, żaden postęp nie dokonał się bez udziału straszliwych katastrof. Wszelki pochód naprzód pociągał za sobą w ofierze miliardy istnień. Nasza ograniczona sprawiedliwość buntuje się, uważamy naturę za okrutną matkę, ale mimo że nie usprawiedliwiamy wulkanu, to jednak gdy wybuchnie, musimy, jako uprzedzeni o tym uczeni, znosić jego skutki... A poza tym, ach, poza tym jestem zapewne takim marzycielem jak inni, mam i ja swoje idee!

I szerokim gestem zdradził się, że obok sumiennego uczonego, bardzo wiernego metodzie, bardzo skromnego wobec zjawisk, krył się w nim marzyciel społeczny. Stale dążąc do tego, żeby wszystko sprowadzać do wiedzy, dręczył się, że nie może naukowo stwierdzić w przyrodzie równości ani nawet sprawiedliwości, której tak namiętnie pragnął w dziedzinie społecznej. Do rozpaczki doprowadzało go to, że nie umiał pogodzić logiki człowieka nauki i miłości ludzającego się apostoła. W tym rozdwojeniu wyniosły rozum prowadził swoje dzieło, a tymczasem dziecinne serce marzyło o powszechnym szczęściu, o braterstwie pomiędzy ludami, kiedy wszyscy byłiby szczęśliwi, nie istniałaby niesprawiedliwość ani wojny, a jedynie miłość rządziłaby światem. . .

Ale Piotr, który wciąż stał przy otwartym wielkim oknie, z oczyma utkwionymi w noc, w stronę Paryża, skąd podnosiły się ostatnie pomruki wieczoru tchnącego pasją użycia, uległ wezbranej fali zwątpienia i rozpaczki.

Tęgo było już za wiele: ten brat, który wtargnął do niego ze swoimi poglądami uczonego i apostoła, ci ludzie, którzy przychodzili dyskutować ze wszystkich krańców współczesnej myśli, a wreszcie Salvat, który przyniósł ze sobą rozpacz, gdyż popełnił szaleństwo! I on, który aż dotąd wysłuchiwał ich wszystkich niemy, bez ruchu, który ukrywał się przed bratem, uciekał w swoje dumne kłamstwo dobrego kapłana, poczuł nagie, że serce wzbiera mu taką goryczą, iż dalej już kłamać nie może. I w tej klęsce gniewu i cierpienia zdradził swoją tajemnicę.

— Ach, bracie, ty masz swoje marzenie, ale ja mam ranę w sercu, która przeżarła minie i pozostawiła pustym... Jakże ty możesz nie widzieć tego, że twoja anarchia, twój sen o sprawiedliwym szczęściu, nad którym Salvat pracuje rzucając bomby, jest ostatecznym szaleństwem, które zmiecie wszystko z powierzchni ziemi? Wiek nasz kończy się w gruzach, oto już więcej jak miesiąc was słucham; Fourier zniszczył Saint-Simona, Proudhon i Comte zburzyli Fouriera, wszyscy potęgują sprzeczności i konflikty pozostawiając tylko chaos, wśród którego nie ma się odwagi dokonać wyboru. Sekty socjalistyczne mnożą się, najrozsądniejsza prowadzi do dyktatury, inne są tylko niebezpiecznymi marzeniami. I u kresu tej burzy idei jest już tylko twoja anarchia, zamachy, które podejmują się zadać ostateczny cios staremu światu obracając go w nicość... Ach, ja to przewidywałem, oczekiwałem tej ostatniej klęski, tego bratobójczego szaleństwa, nieuniknionej walki klas, która pochłonie naszą cywilizację! Wszystko na to wskazywało, nędza w dołach, egoizm u góry, trzeszczenie starego domu ludzkiego, bliskiego zawalenia się pod nadmiarem zbrodni i bólu. Pojechałem do Lourdes, aby zobaczyć, czy Bóg ubogich duchem uczyni wyczekiwany cud, powróci wiarę pierwszych wieków zbuntowanemu ludowi, który tyle wycierpiał. I udałem się do Rzymu w naiwnej nadziei, że znaję tam nową religię, która jedyna mogłaby dać światu pokój, sprowadzając go znowu do braterstwa wieku złotego. Ale jakże wielka była moja głupota! Tu i tam dotknąłem jedynie dna nicości. Tam gdzie tak płomiennie marzyłem o zbawieniu innych, udało mi się tylko zgubić samego siebie, byłem jak statek, który idzie prosto na dno, i nigdy nie odnajdzie się po nim nawet szczątków. Jeszcze jedna więź łączyła mnie z ludźmi, miłosierdzie, opatrywanie ran, które, leczone, miały po pewnym czasie być uzdrowione; i ta ostatnia kotwica została odcięta, miłosierdzie okazało się bezużyteczne i warte śmiechu w obliczu wyniosłej i władczej sprawiedliwości, która narzuca się, której obecnie nic już nie może opóźnić. To koniec, we władzy mojej ohydnej wewnętrznej rozpaczki jestem już tylko popiołem, pustym grobowcem. Nie wierzę już w nic, w nic, w nic!

Piotr wyprostował się rozwierając ramiona, jak gdyby miał z nich upuścić ogrom nicości, w jaką zmieniło się jego serce i umysł. I Wilhelm, wzburzony wobec tak dzikiego buntownika, tego zropanzonego nihilisty, który nagle mu się objawiał, podszedł do niego cały drżący.

— Co ty mówisz, bracie? Ty, którego ja uważałem za tak niezachwianego, tak spokojnego w swej wierze! Ty, godny podziwu kapłan, święty, którego uwielbia cała parafia! Ja nie chciałem nawet wszczynać dyskusji na temat twojej wiary, a właśnie ty przecyzysz wszystkiemu, ty w nic nie wierzysz? Piotr powoli wyciągnął znowu ramiona w pustce.

— Nie ma nic; starałem się poznać wszystko, a znajduję tylko ohydny ból nicości, która mnie miazdzy.

— Ach, Piotrze, mój mały braciszku, jakże ty musisz cierpieć! Czy więc religia bardziej wyjaławia niż wiedza, że spustoszyła cię do tego stopnia, gdy ja, stary szaleniec, pozostałem jeszcze pełen złudzeń?

Pochwycił jego obie ręce i uściśnął ogarnięty trwożną litością wobec tego wizerunku wielkości i przerażenia, wobec tego niewierzącego księdza czuwającego nad wiarą innych, wypełniającego nieskalanie i uczciwie swój zawód, przejętego smutkiem płynącym z jego kłamstwa, I jakże to kłamstwo musiało ciążyć mu na sumieniu, jeżeli zwierzał się w ten sposób, tak ostatecznie załamany! Za nic nie uczyniłby tego przed miesiącem, wyziębły w swoim dumnym osamotnieniu. Wiele rzeczy musiało go wpierw poruszyć, aby przemówił: pogodzenie się z bratem, rozmowy, jakich słuchał co wieczór, ów straszny dramat, w który został zamieszany, i jego własne refleksje o pracy walczącej przeciwko nędzy, i głucha nadzieja, jaką budziła na nowo w jego sercu intelektualna młodzież jutra. Czy nawet w samym wybuchu jego negacji nie przejawiał się już dreszcz nowej wiary?

Wilhelm musiał to zrozumieć; czuł, że Piotr wibruje nienasyconą czułością, przełamując wreszcie zacięte milczenie, w którym trwał tak długo. I usadowił brata koło okna, a sam usiadł u jego boku, nie uwalniając jego rąk.

— Ale ja nie chcę, abyś ty cierpiał, braciszku! Nie opuszczę cię więcej, chcę cię strzec. Bo ja znam cię znacznie lepiej, niż ty sam siebie znasz. Cierpiełeś zawsze tylko dlatego, że serce walczyło w tobie z rozumem, i przestaniesz cierpieć w dniu, gdy zapanuje między nimi pokój, kiedy pokochasz to, co zrozumiesz. — I dodał ciszej, z niezmierną czułością: — Widzisz, nasza biedna matka i nasz biedny ojciec... tak, to oni prowadzą dalej w tobie swoją bolesną walkę. Byłeś za młody, nie mogłeś o tym wiedzieć. Ale ja znałem ich tak biednych, ojca tak unieszczęśliwionego przez matkę, która traktowała go jak potępieńca, a ją tak cierpiącą przez niego, bo jego niewiara była dla niej. udręką! Gdy umarł ugodzony tutaj piorunem eksplozji, ona dopatrzyła się w tym kary boskiej, stał się dla niej grzesznym cieniem krążącym po domu. A przecież był to człowiek tak uczciwy, o dobrym i wielkim sercu, pracownik opanowany *żądzą* prawdy, spragniony tylko miłości i szczęścia dla wszystkich!... Od kiedy spędzamy tutaj razem wieczory, czuję go doskonale, jak powraca, jak cień jego nas otula; obudził się koło nas, w nas; i ona również, święta i cierpiąca istota, odradza się, jest zawsze tutaj, otacza nas swoją miłością, płacze, upiera się, aby nie rozumieć... To oni może zatrzymali mnie tak długo i jeszcze w tej chwili są przy nas, aby tak połączyć twoje ręce z moimi.

Piotrowi istotnie wydało się, że czuje, jak po nim i po Wilhelmie przepływają tchnienia czujnej miłości, o których mówił brat. I tak radowali się błogo całą przeszłością, całą swoją na nowo zakwitłą młodością, od chwili gdy katastrofa tu ich zamknęła. Mały dom na nowo przeżywał dawne dni, smutny i wibrujący nadzieją, tchnął ogromną, pełną słodczy łagodnością.

— Słyszysz, braciszku? Trzeba, abyś ty ich pogodził, bo oni mogą pogodzić się tylko w tobie.. Ty masz jego czoło podobne wieży o niezdobytej mocy i masz jej usta, jej oczy o nadziemskiej tkliwości. Spróbuj więc zaprowadzić

między nimi zgodę, zaspokajając z czasem, w harmonii z rozumem, ten głód wie-

czystej miłości, poświęcania się i życia, od którego umierasz, boś nie mógł go nasycić. Twoja straszliwa niedola ma tę tylko przyczynę. Powróć do życia, kochaj, poświęcaj się, bądź mężczyzną!

Piotr wydał bolesny krzyk.

— Nie, nie! Śmierć zwątpienia przeszła przeze mnie, wysuszając wszystko, zmiatając wszystko i w tym zimnym popiele nic już odżyć nie może. Jest to zupełna bezsilność!

— Ale przecież — odparł Wilhelm, w którym krwawiło jego braterskie uczucie — ty nie możesz trwać w tej absolutnej negacji, nikt się w niej nie zanurza tak głęboko, i każdy, choćby duch najbardziej rozczarowany, ma swój zakątek ułudy i nadziei. Przeczyć miłosierdziu, przeczyć poświęceniu, cudowi, jakiego można oczekiwać od miłości, ach, wyznaję, że ja nie idę aż tak daleko! I teraz, kiedy wyznałeś mi swoją ranę, czemuż nie miałbym ci powiedzieć o moim marzeniu, o szaleństwie nadziei, która każe mi żyć! Czyż więc uczeni będą ostatnimi wielkimi dziećmi marzycielami, a wiara będzie już wkrótce kiełkować jedynie w laboratoriach chemików?

Ogarnęło go potężne wzruszenie, w jego głowie i sercu toczyła się walka. Później, ulegając wielkiej, ogarniającej go litości, zwyciężony przez płomienną czułość dla tak nieszczęśliwego brata, zaczął mówić. Ale przysunął się jeszcze bliżej, objął Piotra wpół, przytulił do siebie; i w tym uścisku on z kolei zaczął się spowiadać przyciszonym głosem, jak gdyby ktoś mógł podsłuchać jego tajemnicę.

— Dlaczego miałbym to przed tobą ukrywać? Nie powiedziałem nic nawet moim synom, ale ty, ty jesteś mężczyzną, jesteś moim bratem, a ponieważ przestałeś już być księdzem, powierzam to bratu. Ja dzięki temu będę cię bardziej kochał, a tobie może wiadomość ta sprawi jakąś ulgę.

I opowiedział mu o swoim wynalazku, o nowym materiale wybuchowym, o prochu tak niezwykłej mocy, że skutków jego niepodobna było obliczyć. Dla prochu tego znalazł zastosowanie w pewnej maszynie wojennej, w bombach wyrzucanych przez specjalne działo, którego użycie mogło zapewnić posługującej się nim armii piorunujące zwycięstwo. Armia nieprzyjacielska została by rozgromiona w parę godzin, oblegane miasta rozpadałyby się w pył przy najmniejszym bombardowaniu. Długo poszukiwał, wątpił, powtarzał obliczenia i eksperymenty, ale teraz wszystko już było gotowe, dokładna formuła prochu, rysunki działa i bomb, cenny zbiór dokumentów złożony w bezpiecznym miejscu. I po miesiącach trwoźnych namysłów postanowił darować swój wynalazek Francji, aby jej zapewnić niewątpliwe zwycięstwo w jej bliskiej wojnie z Niemcami. Ale patriotyzm jego nie był ciasny, przeciwnie, miał międzynarodową koncepcję, bardzo *rozszerzoną*, przyszłej cywilizacji w duchu absolutnej wolności. Jednakże wierzył w inicjatorską rolę Francji, wierzył zwłaszcza w Paryż, mózg dzisiejszego i jutrzejszego świata, skąd winna była wyjść wszelka wiedza i wszelka sprawiedliwość. Już wleciała stąd idea wolności i równości w wielkim tchnieniu Rewolucji, i z geniuszu tego miasta, z jego męstwa miało wzbić się do lotu także ostateczne wyzwolenie. Trzeba było Paryża zwycięskiego, aby świat został zbawiony.

Piotr zrozumiał go dzięki wykładowi o środkach wybuchowych, którego wysłuchał był u Bertheroya. I niezmiernie wielkość tego projektu, tego marzenia wstrząsnęła nim, ukazując mu niezwykle los, jaki przypadłby zwycięskiemu Paryżowi w piorunowym wybuchu bomb. Ale wyruszyła go również szlachetność, jakiej nabierały w jego oczach obawy brata żywione od miesiąca. Wilhelm drżał z trwogi dlatego tylko, że w następstwie zamachu Salvata wynalazek mógł stać się znany całemu światu. Najmniejsza niedyskrecja zagrażała całemu dziełu, a mały ukradziony ładunek, któremu dziwili się uczeni, czy aby nie zdradzi swej tajemnicy? Wilhelm chciał czekać odpowiedniej godziny, czuł konieczność działania w ukryciu, aż przyjdzie odpowiedni moment. I do tej chwili tajemnica będzie spoczywała w głębi dobrze wybranego schowka, powierzona straży Babki, która otrzymała polecenia i wiedziała, co ma czynić, gdyby on sam zginął w jakimś nagłym wypadku. Wierzył w nią jak we własną odwagę, pewien, że nikt się nie wedrze, dopóki stoi tam ona, strażniczka niema i władcza.

— Teraz — zakończył Wilhelm — znasz moją nadzieję i moją trwogę, będziesz mógł mi pomagać, a także zastąpić mnie, gdyby nie udało mi się doprowadzić dzieła do końca... Dojść do

końca, dojść do końca! Odkąd zamknięty tutaj rozmyślam, pożerany niepokojem i niecierpliwością, bywają godziny, kiedy nie widzę już jasno drogi! Ten Salvat, ten nieszczęśnik, którego zbrodnia jest dziełem nas wszystkich i którego ścigają teraz jak dzikie zwierzę! Ta szalejąca burzauzja, nigdy niesyta, która da się zmiażdżyć raczej przez stary walący się dom, niż dopuści do najmniejszej chociażby naprawy! Ta pożądliva prasa, ohydna, bezwzględna dla biednych, uwłaczająca osamotnionym, zbijająca pieniądź na klęskach publicznych, gotowa rozsiewać zarazę szaleństwa, byle udziesięciokrotnie nakład! Gdzie jest prawda, sprawiedliwość, gdzie ręka zdrowa i kierowana logiką, aby można było uzbroić ją w piorun? Paryż zwycięska, Paryż — władca ludów, czy będzie mścicielem, czy będzie tym oczekiwanym zbawcą? Ach, jak strasznie jest czuć się władcą losów świata i wybierać, i decydować!

Wstał przejęty wielkim dreszczem, pełen gniewu i strachu, że tyle nędzy ludzkiej przeszkodzi mu urzeczywistnić jego marzenie. I w ciężkim milczeniu, które teraz zapanowało, mały dom drżał i głucho dźwięczał odgłosem regularnych i nieustannych kroków. .

— Tak, zbawić ludzi, kochać ich, pragnąć, aby wszyscy byli równi i wolni — szepnął Piotr z goryczą. — Ot, posłuchaj tam w górze, nad naszymi głowami, kroków Barthèsa, który odpowiada ci z wiecznego więzienia, gdzie wtrąciło go umiłowanie wolności!

Ale Wilhelm już odzyskał panowanie nad sobą, w porywie wiary powrócił do brata i znów otoczył go dwojgiem ramion przynoszących miłość i ocalenie, jak brat starszy, oddany bez reszty.

— Nie, nie! Ja się myślę, bluźnię; chcę, abyś był ze mną, pełen nadziei i pewności. Trzeba, żebyś pracował, żebyś kochał, żebyś się odrodził do życia. Tylko życie zwrócić ci może spokój i zdrowie!

Łzy znowu napłynęły do oczu Piotra; przeniknęło go, pokrzepiło to płomienne przywiązanie.

— Ach, jakże chętnie bym ci uwierzył, spróbował wyzdrowieć! Prawda, że dokonało się we mnie jakieś niejasne prze-

budzenie. Ale odżyć? Nie! Nie mógłbym już, kapłan we mnie umarł, jestem pustym grobowcem!

Targnął nim taki szloch, że przerażony Wilhelm też nie oparł się łzom. Dwaj bracia, trzymając się wzajemnie w objęciach, mocno przytuleni, płakali długo, z sercami wezbranymi bezmierną tkliwością, w domu swojej młodości, gdzie ojciec i matka powracali i krążyli, czekając, aż ich ukochane cienie zostaną pogodzone, oddane spokojowi ziemi. I przez wielkie, szeroko otwarte okno wchodziła czarna błogość ogrodu, a tam, na widnokręgu, usnął już Paryż w strasznej, nieznannej ciemności, pod ogromnym, spokojnym niebem usianym gwiazdami.

KSIEGA TRZECIA

I

W tą środę poprzedzającą czwartek półpościa odbyła się w pałacu Duvillardów wielka wenta dobroczynna na rzecz Schroniska dla Inwalidów Pracy. Gościnne apartamenty na parterze, trzy wielkie salony w stylu Ludwika XVI, których okna wychodziły na kwadratowy dziedziniec wewnętrzny, nagi i uroczysty, miały być wydane na pastwę ciżby kupujących, ponieważ, jak mówiono, pięć tysięcy kart wstępu rozprowadzono w różnych środowiskach Paryża. I ten zbombardowany pałac w ten sposób zapraszający tłum, z bramą wjazdową na oścież otwartą, dziedzińcem dostępnym dla pieszych i dla powozów, był ważnym wydarzeniem, manifestacją. Co prawda, po cichu mówiono, że cała chmara policjantów strzeże ulicy Godot-deMauroy i ulic sąsiednich.

Tę triumfalną myśl powziął Duvilland, a baronowa pod naciskiem jego wyraźnego życzenia musiała pogodzić się z tym całym zamętem na rzecz Schroniska, któremu przewodniczyła z dystynkcją tak pełną nonszalancji. W przeddzień „Glob” z inicjatywy swego dyrektora, Fonsègue'a, administratora Schroniska, zamieścił piękny artykuł zawiadamiający o wencie, podkreślając, jak bardzo owa charytatywna impreza podjęta przez baronową, która poświęcała swój czas, pieniądze, a nawet pałac, była wzruszająca, szlachetna i wspaniałomyślna w zestawieniu ze zbrodnią, która o mało nie obróciła w proch tego pałacu. Czyż nie była to dana z wyżyn wielkoduszna odpowiedź na haniebne namiętności dołów? I jaka kategoryczna odpowiedź dla tych ludzi, którzy oskarżali wielką burżuazję, że nie robi nic dla robotników, rannych i kalek, ofiar pracy najemnej.

Drzwi salonów miały się otworzyć o godzinie drugiej, a zamknąć dopiero o siódmej, wenta miała trwać bitych pięć godzin. A Jeszcze w południe, chociaż na parterze nic nie było gotowe, chociaż robotnicy i kobiety kończyły dekorować kontuury, klasyfikować towar, wśród końcowego zamieszania, w małych apartamentach na pierwszym piętrze odbywało się śniadanie w ścisłym kółku, na które zaproszono paru przyjaciół. Popłoch w domu doszedł do szczytu, ponieważ tegoż ranka Sanier w „Głosie Ludu” wznowił kampanię donosicielską w związku ze sprawą Afrykańskich Kolei Żelaznych. Zapytywał w pełnych jadu słowach, czy długo jeszcze zabawiać się będzie zacną publiczność bajkami o bombie i o anarchiście, którego policja nie może zaaresztować. I tym razem wymienił wprost ministra Barroux jako tego, który wziął sumę dwustu tysięcy franków, i obowiązywał się ogłosić w najbliższym czasie trzydzieści dwa nazwiska przekupionych senatorów i deputowanych. Spodziewano się, że teraz Mège zapewne powtórzy swoją interpelację, która stałaby się niebezpieczna w atmosferze ogólnego napięcia, jaką terror anarchistyczny wywołał w Paryżu. Z drugiej strony — mówiono — Vignon i jego stronnictwo uczynią wszystko, aby skorzystać z okoliczności i obalić rząd. Zapowiadało się wielkie przesilenie, groźne, nieuniknione. Na szczęście Izba nie obradowała w środę i odłożyła posiedzenie na piątek, chcąc uczcić półpoście. Zyskiwano dwa dni czasu na przygotowanie obrony, Ewa tego ranka była łagodniejsza i leniwsza niż zwykle, trochę blada, ze smutną troską w głębi pięknych oczu. Mówiła, że

trzeba złożyć to na karb ogromnego zmęczenia wywołanego przygotowaniami do wenty. Ale prawda wyglądała inaczej: od pięciu dni Gerard unikał jej z zakłopotaną miną, wykręciwszy się uprzednio od nowego spotkania. Pewna, że go dziś wreszcie zobaczy, ośmieliła się znowu włożyć białe jedwabie, młodzieńczą toaletę, która jeszcze ją odmładzała, ale mimo że wciąż była piękna ze swoją jasną cerą, wspaniałą figurą, szlachetną i uroczą twarzą, czterdzieści sześć lat dawały o sobie twardo znać: skóra zaczynała czerwienić, więdły wargi, powieki, subtelne skronie. Kamila, chociaż z natury rzeczy miała być jedną ze sprzedawczyń cieszących się najliczniejszą klientelą, i tym razem uparła się, że ubierze się jak zwykle w ciemnobrazową suknię, tak niestosowną dla młodej dziewczyny, toaletę starej kobiety, jak ją sama. nazywała wybuchając ostrym śmiechem. Ale jej długa twarz złośliwej kozy promieniała tajoną radością i Kamila stawiała się niemal łacina, kazała zapominać o swoim krzywym ramieniu, tak wargi jej były subtelne, a duże oczy tryskały dowcipem.

W małym niebiesko-srebrnym salonie, gdzie czekała wraz z córką na gości, Ewa doznała pierwszego rozczarowania na widok wchodzącego samotnie generała de Bozonnet, którego miał przyprowadzić siostrzeniec, Gerand. Generał wyjaśnił, że pani de Quinsac wstała dziś nieco cierpiąca i że Gerard jako dobry syn postanowił zostać przy niej. Zresztą zaraz po śniadaniu przyjdzie na wentę. Gdy matka słuchała tych słów starając się ukryć doznana przykrość i lęk, że na dole nie uda się jej zmusić Gerarda do wyjaśnień, Kamila popatrzyła na nią zachłannymi oczyma. Ewa zapewne w tej chwili głuchym instynktem przeczuła *groźące* jej nieszczęście, bo i ona z kolei spojrzała na córkę, niespokojna, pobladła.

Następnie wtargnęła jak wichher księżna Rozamunda de Harth. Ona również była sprzedawczynią przy kontuarze baronowej, która lubiła ją za jej niesforność, za nieobliczalną wesołość, jaką z sobą wносиła. W ekstrawaganckiej toalecie z płomienno-czerwonego atłasu, z głową w lokach, chuda jak chłopak, śmiała się, opowiadała o wypadku, w którym jej powóz o mało nie pękł na dwie części. A ponieważ baron Duvillard i jego syn, jak zwykle spóźnieni, nadeszli ze swoich pokojów, zawładnęła mło dym człowiekiem, zburczała go, gdyż w przeddzień na próżno czekała na niego do dziesiątej, mimo iż przyrzekł zaprowadzić ją do knajpy na Montmartre, gdzie, jak mówiono, działały się okropności. Hiacynt ze znużoną miną odpowiedział, że zatrzymali go przyjaciele na seansie spirytystycznym, podczas którego zjawił się duch świętej Teresy i wyrecytował sonet miłosny.

Ale właśnie wszedł Fonsègue z żoną, kobietą wysoką, chudą, małomówną, nijaką, z którą pokazywał się niechętnie; najczęściej bywał wszędzie sam, po kawalersku. Tym razem musiał ją przyprowadzić, gdyż była jedną z dam-opiekunek Schroniska, on sam zaś występował na tym śniadaniu jako administrator zainteresowany sprawą wenty. Wszedł ze swoją zwykłą wesołą miną, jego niewielka postać mężczyzny, który mimo pięćdziesiątki pozostał brunetem, tryskała życiem; ubrany był w surdut, jak przystało człowiekowi interesu, którego posłannictwem jest dbać o oświecanie drugich i o dobrą sławę konserwatywnej republiki, mającej za swój organ „Glob”. Kto jednakże dobrze go znał, widział, że powieki trzepotały mu niespokojnie i że jego pierwsze spojrzenie pobiegło z trwożnym pytaniem ku baronowi, zapewne aby dowiedzieć się, jak Duvillard zniósł nowe uderzenie poranne.

Gdy zobaczył, że baron jest bardzo spokojny, majestatyczny i kwitnący jak zwykle, że żartuje z Rozamundą, sam również poczuł się dobrze, jak gracz, który nigdy jeszcze nie przegrał i zawsze umiał zwyciężyć fortunę, nawet w godzinach zdrady. I zaraz dał dowód, iż nie gnębi go żadna troska, rozpoczynając z panią Duvillard rozmowę o Schronisku.

— Czy pani baronowa ostatecznie widziała się z księdzem Froment w sprawie owego starca, Laveuve'a, którego ksiądz tak gorąco nam polecał?... Jak pani wiadomo, wszystkich formalności dopełniono i można go do nas przyprowadzić, gdyż od trzech dni mamy jedno łóżko wolne.

— Owszem, wiem, ale nie mam wyobrażenia, co dzieje się z księdzem Froment, bo już od miesiąca przeszło nie dał znaku życia. I wczoraj zdecydowałam się napisać do niego z prośbą, aby dzisiaj przyszedł na moją wentę... W ten sposób będę mogła osobiście oznajmić mu dobrą nowinę.

— Właśnie aby nie pozbawiać pani tej radości, nie zawiadomiłem go urzędowo... Czarujący ksiądz, prawda?

— Och, czarujący! Kochamy go bardzo!

Wmieszal się Duvillard, aby powiedzieć, że nie trzeba czekać na Dutheila, otrzymał bowiem od młodego deputowanego depeşe, iż zatrzymała go jakaś nagła sprawa. Niepokój na nowo ogarnął Fonsègue'a, którego oczy znów spojrzwały pytająco na barona. Ale ten, z uśmiechem, chcąc go uspokoić, rzekł mu półgłosem:

— Nic poważnego, wypełnia moje zlecenie, chodzi o odpowiedź, którą dopiero za chwilę mi przyniesie. — Odprowadziwszy go na bok, dodał: — Ale, a propos, niech pan nie zapomni zamieścić noty, którą poleciłem pańskiej uwadze.

— Jakiej noty? Ach, tak, w *związku* z wieczorem, na którym Sylwiana recytowała wiersze... Chciałem o tym pomówić z panem. Trochę mi to niewygodne z uwagi na superlatywy, jakie zawiera. Duvillard, przed chwilą tak pełen pogody, z wyniosłą, zdobywczą i pogardliwą miną, zbladł teraz, był przygnębiony.

— Ale ja koniecznie chcę, aby to przeszło, drogi przyjacielu! Sprawiłby mi pan straszliwy kłopot, gdyż przyrzekłem Sylwianie, że to się ukaże. I cała słabość starego nałogowca, gotowego zapłacić każdą cenę za rozkosz, której go pozbawiono, ukazała się w przerażeniu jego oczu i w drżeniu warg.

— Dobrze, dobrze! — odrzekł Fonsègue, który uradował się wewnętrznie, szczęśliwy z tego współnictwa — jeżeli to sprawa tak poważna, notatka ukaże się, ręczę za to słowem honoru!

Wszyscy współbiesiadnicy byli już na miejscu, skoro miano nie czekać ani na Gerarda, ani na Dutheila. Przeszli więc w końcu do jadalni, a tymczasem ostatnie uderzenia młotka dochodziły z dolnych salonów, gdzie miała odbyć się wenta. Ewa usiadła pomiędzy generałem de Bozonnet i Fonsègiem, Duvillard pomiędzy panią Fonsègue i Rozamundą, a dwoje dzieci Duvillardów, Kamila i Hiacynt, po obu krańcach stołu. Śniadanie było trochę pospieszne, trochę bezładne, ponieważ służące trzykrotnie przychodziły meldować nowe trudności, prosić o polecenia. Nieustannie trzaskały drzwi, ściany zdawały się drżeć od niezwykłego ruchu, w jaki ostatnie przygotowania wprawiały cały pałac. I ponieważ wszystkich ogarnęła gorączka, rozmawiano chaotycznie, to o wczorajszym: balu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, to znów o jutrzejszym ludowym święcie półpościa;

powracając jednak wciąż do obsesji wenty, mówiono o cenach, jakie zapłacono za różne przedmioty, i o cenach, za jakie miano je sprzedać, wymieniano przypuszczalną cyfrę ogólnego dochodu, a wszystko to okraszały sensacyjne historyjki, żarty i śmiechy. Gdy generał wspomniał sędziego śledczego Amadiou, Ewa oświadczyła, że nie miała już odwagi zapraszać *go* na śniadanie wiedząc, jak bardzo jest zajęty w Pałacu Sprawiedliwości, wyraziła jednak nadzieję, że przyjdzie na wentę złożyć jej swój datek. Fonsègue przekomarzał się z Rozamundą żartując na temat jej sukni z płomienistego atlasu, w której, jak mówił, gorzała już teraz w piekielnym ogniu, z czego ona

w gruncie rzeczy była nadzwyczaj rada, ponieważ satanizm był jej ostatnią pasją. Duvillard był poprawnie rycerski wobec milczącej pani Fonsègue, zaś Hiacynt, chcąc zadziwić nawet księżnę, wyjaśniał w skąpych słowach magiczne czynności, mocą których z dziewiczego mężczyzny czyniono anioła, pozbawiwszy *go* wprzód całkowicie męskości. Kamila, bardzo szczęśliwa, bardzo podniecona, rzucała od czasu do czasu palące spojrzenie na matkę, która stawała się coraz bardziej niespokojna i smutna, w miarę jak uświadamiała sobie, że tamta jest coraz bardziej nerwowa, napastliwa, zdecydowana na wojnę otwartą i bez pardonu.

Gdy kończyli deser, matka usłyszała, jak córka rzekła bardzo głośno, tonem ostrego wyzwania:

— Ach, nie chcę słyszeć o tych starych umalowanych damach, które zdają się jeszcze bawić lalkami, ubrane jak do pierwszej komunii. Są naprawdę potworne. Brzydzą się nimi!

Ewa nerwowo wstała, tłumacząc się:

— Przepraszam państwa za taki pośpiech. Doprawdy trudno to nazwać śniadaniem. Ale boję się, że nie pozwolą nam wypić kawy... W każdym razie trochę sobie odetchniemy.

Kawę podam w niebiesko-srebrnym saloniku, gdzie kwitł wspaniały kosz żółtych róż, kwiaty były bowiem namiętnością baronowej i zamieniały pałac w nieustającą wiosnę. Duvillard zabrał natychmiast Fonsègue'a do swego gabinetu, aby przy cygarze, z dymiącymi filiżankami w ręku, poprowadzić swobodną rozmowę, a ponieważ drzwi pozostały szeroko otwarte, słychać było ich niskie, niewyraźne głosy. Generał de Bozonnet, zachwycony, że znalazł w pani Fonsègue osobę poważną i zrezygnowaną, słuchając *go* w milczeniu, opowiadał jej bardzo długą historię żony pewnego oficera, która towarzyszyła mężowi w całej kampanii roku 1870. Hiacynt nie pił kawy, którą z pogardą nazywał napojem dla konsjerżów. Uwolniwszy się na chwilę od Rozamundy, która właśnie piła kieliszek z małego kieliszka, raz po raz zanurzając w nim język, rzekł po cichu do siostry:

— Wiesz, to głupie, coś przed chwilą rzuciła pod adresem mamy. Ja kpię sobie z tego. Ale to już jest zbyt widoczne i, uprzedzam cię, w bardzo złym tonie.

Kamila wlepiała w niego swoje czarne oczy.

— A ja cię proszę, abyś nie wtrącał się do moich spraw.

Przestraszył się, przeczuł burzę i postanowił zaprowadzić Rozamundę do przyległego wielkiego czerwonego salonu, aby pokazać jej nowy obraz nabyty wczoraj przez barona. Generał, na jego zaproszenie, poszedł tam wraz z panią Fonsègue.

Wtedy matka i córka znalazły się przez chwilę same. Ewa, wyczerpana, wsparła się o konsolę, bezsilna wobec najmniejszej choćby troski, pełna miękkiej dobroci, zawsze skłonna do łez w swoim naiwnym i zupełnym egoizmie. Dlaczego właściwie córka tak jej nienawidzi, dlaczego zawzięła się, aby zamącić jej szczęście ostatniej miłości, której nie chciało się jeszcze wyrzec jej serce? Patrzyła na nią boleśnie zraniona, raczej zrozpaczona niż gniewna, i nagle przyszła jej do głowy niefortunna myśl: w chwili gdy dziewczyna wraz z innymi miała przejść do salonu, zatrzymała ją i zrobiła uwagę na temat jej toalety.

— Bardzo źle robisz, moje biedne dziecko, że uparcie ubierasz się jak stara kobieta. Wcale ci to nie wychodzi na korzyść.

I w jej tkliwych oczach kobiety wielbionej i otaczanej hołdami jasno malowało się politowanie dla tej brzydkiej i kalekiej istoty, w której nigdy nie uznała naprawdę swojej córki. Jedno ramię wyższe od drugiego, długie ręce garbuski, profil czarnej kozy, czy możliwe, aby coś tak pozbawionego wdzięku zrodziło się z jej królewskiej piękności, tej piękności, którą ona sama kochała przez całe życie, pielęgnowała nabożnie, która była jej jedyną religią?! Cała przykrość i cały wstyd, że urodziła takie dziecko, drżały w jej głosie.

Kamila zatrzymała się gwałtownie, jak gdyby smagnięta szpicrutą przez sam środek twarzy. Wróciła do matki i z tych zwyczajnych słów wypowiedzianych półgłosem wynikła obrzydliwa kłótnia.

— Uważasz, że ubieram się źle... Trzeba było zajmować się mną, dbać, aby moje suknie były w twoim guście, zdradzić mi twoją tajemnicę, jak być piękną.

Ewa już żałowała swojego wystąpienia, panicznie bowiem bała się wszelkich przykrości, sprzeczek, ostrych słów. Chciała uciec, zwłaszcza w tej chwili ogólnego pośpiechu, gdy oczekiwano ich na dole, przy wencie.

— No, już dobrze, nie mów nic, nie zaczynaj awantury teraz, kiedy wszyscy ci ludzie może już tam na nas czekają. Kochałam cię...

Przerwał jej krótki, straszny, powstrzymywany śmieszek Kamili.

— Kochałaś mnie!... Ach, moja biedna mamó, jakie ty mówisz zabawne rzeczy! Czyś ty kiedykolwiek kogo kochała? Chcesz, żeby ciebie kochano, tak, to inna sprawa. Ale twoje dziecko, dziecko, czy ty w ogóle wiesz, jak je kochać?... Zawsze mnie zaniedbywała, usuwała, opuszczała, uważając, że jestem za brzydka, niegodna ciebie, a zresztą mało ci było już dni i nocy, aby kochać samą siebie... Więc nie kłam przede mną, moja biedna mamó, bo i teraz stoisz i patrzysz na mnie jak na potwora, który budzi w tobie odrazę i krępuje cię.

Teraz wszystko już przepadło, scena miała rozegrać się aż do końca, w gorączkowym szepcie, twarz przy twarzy, przez zaciśnięte zęby.

— Rozkazuję ci zamilknąć, Kamilo! Nie mogę ścierpieć takich słów!

— Nie mogę milczeć, skoro ty starasz się mnie zranić. Jeżeli ja źle postępuję ubierając się jak stara kobieta, robię to może dlatego, że ktoś inny ośmiesza się ubierając się jak dziewczynka, jak panna młoda.

— Jak panna młoda? Nie rozumiem!

— Och, rozumiesz doskonale!... Zresztą chcę, abyś wiedziała, że nie wszyscy znajdują mnie tak brzydka, jak ty, zdaje się, usiłujesz im wmówić.

— Jeżeli jesteś brzydka, to dlatego że źle się ubierasz; nic innego nie powiedziałam.

. — Ubieram się, jak tai się podoba, i widocznie bardzo dobrze, skoro ktoś kocha mnie taką, jaką jestem.

— Doprawdy, kocha cię? A więc niech nam to oznajmi i niech się z tobą ożeni!

— Ależ oczywiście! Ależ oczywiście! W ten sposób pozbędziesz się wielkiego kłopotu, prawda, i ujrzysz mnie jako mężatkę!

Mówiły coraz głośniej, wbrew wysiłkom. Kamila zamilkła, zaczerpnęła oddechu i dodała głosem cichym a syczącym:

— Gerard ma przyjść w tych dniach i poprosić o moją rękę. Ewa pobladła, zdawała się nie rozumieć.

— Gerard... Dlaczego mi o tym mówisz?

— Ależ dlatego, że to Gerard mnie kocha i ożeni się ze mną... Doprowadzasz mnie do ostateczności, powtarzasz mi nieustannie, że jestem brzydka, traktujesz mnie jak monstrum, którego nikt nie zechce. Więc muszę się bronić i zawiadomić cię, jak rzeczy stoją, aby cię przekonać, iż nie wszyscy mają taki gust jak ty.

Zapanowało milczenie, kłótnia wydawała się skończona wobec strasznego faktu, który, nagle ujawniony, wyrósł pomiędzy nimi. Ale nie było tam już matki i córki, to dwie rywalki cierpiały i walczyły.

Ewa głęboko westchnęła, z trwogą rozejrzała się, czy ktoś nie wchodzi, nie widzi, nie słyszy, po czym rzekła stanowczo:

— Nie możesz wyjść za Gerarda!

— A czemuż to nie mogę wyjść za Gerarda?

— Bo ja sobie tego nie życzę, bo to niemożliwe!

— To jeszcze nie powód. Podaj mi powód!

— Powód jest taki, że to małżeństwo jest niemożliwe, i koniec.

— Nie, powód ja ci podam sama, bo zmuszasz mnie do tego... Powodem jest to, że Gerard jest twoim kochankiem. Ale cóż to szkodzi, skoro ja wiem o tym i skoro i tak go chcę?

Jej rozplomienione oczy dodały: „I właśnie dlatego przede wszystkim go chcę.” Długo cierpiane tortury kaleki, wściekłość, że zawsze, od kołyski, widziała matkę piękną, adorowaną, wielbioną, teraz ponosiły ją, znajdowały odwet w przewrotnym triumfie. A więc ostatecznie zabiera jej tego kochanka, którego tak jej zazdrościła!

— Nieszczęsna — wyjąkała Ewa bliska omdlenia, ugodzona w samo serce. — Nie wiesz, co mówisz i jaki mi sprawiasz ból!

Ale musiała znowu zamilknąć, opanować się i uśmiechnąć, ponieważ Rozamunda wbiegła z sąsiedniego salonu wołając do Ewy, że ją wzywają na dół. Właśnie miano otworzyć bramy pałacu, musiała więc zasiaść parzy swoim kontuarze. Dobrze, zejdzie natychmiast. I opierała się o stojącą za nią konsolę, aby nie upaść.

— Wiesz — przyszedł oświadczyć siostrze Hiacynt — to idiotycznie, że się tak kłóćcie. Mądrzej byście zrobiły schodząc na dół.

Kamila ostro go odprawiła:

— Idź sobie stąd i zabierz innych.. Lepiej, żebyśmy nie miały ich na karku! Hiacynt spojrział na matkę jak syn, który wie wszystko i uważa całą historię za śmieszna. Potem, zirytowany, że widzi ją tak bezradną wobec tej zarazy,

jak nazywał siostrę, wzruszył ramionami, zostawiając je obie na pastwę ich głupoty, postanowiwszy, że zabierze pozostałych. Słysząc było śmiecia odchodzącej Rozamundy, a generał zeszedł na dół z panią Fonsègue, której właśnie opowiadał następną historię. Ale gdy matce i córce wydało się, że znowu zostały same, uszu ich doszły jakieś głosy, zupełnie bliskie głosy Duvillarda i Fonsègue'a. Ojciec był tu jeszcze, mógł je usłyszeć. Ewa zrozumiała, że musi ustąpić z placu. Ale nie mogła się na to zdobyć, teraz było to niemożliwe — po słowach, które smagnęły ją jak policzek, w tym rozpaczliwym lejkę, że straci kochanka.

— Gerard nie może się z tobą ożenić, on cię nie kocha!

— Kocha mnie!

— Wyobrażasz sobie, że cię kocha, bo był dla ciebie dobry powodując się uprzejmością, bo widział cię tak opuszczoną... On cię nie kocha.

— Kocha mnie... Kocha mnie, bo, po pierwsze, nie jestem głupia, jak tyle innych, a przede wszystkim kocha mnie, bo jestem młoda.

Była to nowa rana zadana z drwiącym okrucieństwem, w którym dźwięczała zwycięska radość na widok, że wreszcie dojrzała i zaczyna wędnać ta piękność, która sprawiła jej tyle cierpienia.

— Młodość, ach, widzisz, moja biedna mamę, ty już nie wiesz, co to młodość!... Nie jestem wprawdzie piękna, ale jestem za to młoda, pachnę ładnie, mam jasne spojrzenie, świeże wargi. A także moje włosy są tak gęste i tak długie, że gdybym chciała, mogłabym się cała w nich schować... Zrozum, że nie jest się nigdy brzydką, skoro jest się młoda. A tymczasem, gdy nie jest się już młoda, moja biedna mamę, widzisz, wszystko jest skończone. Na próżno było się piękną, na próżno upierać się, aby być nią jeszcze; zostają tylko ruiny, wstyd i niesmak.

Powiedziała to wszystko głosem tak dzikim, tak ostrym, że każde zdanie jak nóż przeszywało serce jej matki. Łzy napłynęły do oczu nieszczęśliwej, zranionej do żywego. Ach, to prawda! Była bezbronna wobec młodości, umierała tylko dlatego, że się starzała, że czuła, jak miłość odchodzi od niej, teraz, gdy podobna już była zbyt dojrzałemu owocowi, który spadł z gałęzi.

— Matka Gerarda nigdy nie zgodzi się, aby się z tobą ożenił.

— On ją przekona, to już jego sprawa... Mam dwa miliony, przy pomocy dwóch milionów można wiele rzeczy załatwić.

— Chcesz go więc spotwarzyć, powiedzieć, że on żeni się z tobą dla twoich pieniędzy?

— Nie, nie! Gerard jest chłopcem bardzo uczciwym i bardzo miłym. Kocha mnie, żeni się ze mną dla mnie samej... Ale jak wiadomo, nie jest bogaty, nie ma zapewnionej pozycji w trzydziestym szóstym roku życia, i żona, która wraz ze szczęściem przynosi bogactwo, nie jest do pogardzenia... Bo słyszysz, mamę, ja właśnie przyniosę mu szczęście, prawdziwe, miłość wzajemną, spokojną o przyszłość!

Raz jeszcze stanęły twarzą w twarz. Obrzydliwa scena, tłumiona przez rozlegające się dokoła hałasy, przerywana, podejmowana na nowo, przeciągała się niby cały przyciszony dramat, gwałtowny jak morderstwo, ale odgrywany po cichu, szeptem. Żadna nie ustępowała, nawet pod groźbą, że ktoś je tak przychwyci, mimo otwartych wszystkich drzwi, mimo że mógł wejść ktoś ze służby, mimo głosu barona dźwięczącego wesoło tuż obok nich.

— Kocha cię, kocha cię... To ty mówisz! Ale on nigdy ci tego nie powiedział!

— Mówił mi to mnóstwo razy, powtarza mi to zawsze, gdy jesteśmy sami.
— Tak jak mówi się to małej dziewczynce, z którą się żartuje... Nigdy ci nie powiedział, że gotów jest się z tobą ożenić!

— Powtórzył mi to znowu, gdy był tutaj ostatnim razem. I to rzecz ułożona, czekam, aby przekonał swoją matkę i oświadczył się.

— Ach, ty kłamiesz, kłamiesz, nieszczęsna! Chcesz mi zadać ból, kłamiesz, kłamiesz!

Cierpienie jej wybuchło wreszcie w, tym krzyku protestu. Nie pamiętała już, że jest matką, że mówi do córki. Pozostała jedynie zakochana kobieta, obrażona, doprowadzona do rozpacz przez rywalkę. W szloch wyznała:

— On mnie kocha! Ostatnim razem przysięgł mi, słyszysz? przysięgł na swój honor, że ciebie nie kocha, że się z tobą nie ożeni!

Kamila wybuchnęła swoim ostrym śmiechem i przybrała minę szyderczego politowania.

— O moja biedna mamó, martwisz mnie! Jakaś ty dziecinna! Tak, doprawdy, to ty jesteś dzieckiem... Jak to, ty, która powinnaś mieć tyle doświadczenia, dajesz się jeszcze nabierać na męskie obietnice! A on nie jest zły i dlatego właśnie przyrzeka ci wszystko, co chcesz; w głębi duszy jest trochę tchórzem, a przede wszystkim chce ci sprawić przyjemność.

— Kłamiesz! Kłamiesz!

— Poczekaj! Zastanów się... Nie przychodzi już, nie zjawił się dziś na śniadanie właśnie dlatego, że cię już ma powyżej uszu. Puścił cię kantem, moja biedna mamó, i musisz mieć odwagę jasno to sobie uświadomić. Jest wciąż jeszcze miły, ponieważ jest dobrze wychowany i nie wie, jak zerwać. Po prostu lituje się nad tobą. — Kłamiesz! Kłamiesz!

— Ależ zapytaj go, jako dobra matka, którą być powinnaś. Doprowadź do szczerzej rozmowy z nim, zapytaj go po przyjacielsku, co zamierza uczynić. I bądź sama z kolei miła, zrozum, że jeżeli go kochasz, powinnaś mi go oddać natychmiast, dla jego dobra. Zwróć mu wolność, a przekonasz się, że on mnie kocha.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Ach, podłe dziecko, chcesz tylko zadręczyć mnie i zabić!

I we wścieklej rozpacz Ewa przypomniała sobie, że jest. matką, że powinna ukarać tę niegodną córkę. Nie mając bicia, wydarła z kosza żółte róże, które mocnym swoim zapachem odurzały je obie, chwyciła garść tych kwiatów o długich kol-

czastych łodygach i smagnęła nimi Kamilę po twarzy. Kropla krwi wystąpiła na lewej skroni koło powieki.

Uderzona dziewczyna, purpurowa, oszalała, rzuciła się naprzód z wyciągniętą ręką, gotowa również uderzyć.

— Matko, uważaj! Przysięgam ci, że cię odbiję jak zwyczajną dziewczkę... I zrozum wreszcie, że ja chcę mieć Gerarda, że wyjdę za Gerarda, że odbiorę ci go wywołując skandal, jeżeli nie oddasz mi go dobrowolnie.

Po swoim wybuchu Ewa upadła na fotel złamana, przerażona. I wrócił jej cały wstręt do klótni, pragnienie, aby żyć szczęśliwie, aby egoistycznie używać życia, być pieśczoneą, uwielbianą, słuchać pochlebstw. Natomiast Kamila, groźna, zachłanna, ukazała wreszcie bez osłonek swą duszę bezwzględna i czarna, bezlitosna, upojona własnym okrucieństwem.

Zapanowało ostateczne milczenie, które zakłócił znowu wesóły głos Duvillearda dobiegający z sąsiedniego gabinetu.

Matka zaczęła po cichu płakać, a tymczasem jej syn, Hiacynt, przebiegłszy po schodach wpadł do saloniku. Przyjrzał się obu kobietom i machnął ręką z pobłażliwą pogardą.

— No i co, jesteście zadowolone? A mówiłem wam! Czy nie lepiej było zejść na dół od razu? Na dole wszyscy się o was dopytują. To idiotyczne.

Przyszedłem po was.

Może Ewa i Kamila nie zeszyłyby z nim jeszcze na dół, drżały bowiem z żądy ranienia się i doznawania jeszcze większego bólu. Ale Duvillard i Fonsègue wyszli z gabinetu, gdzie wypalili cygara, i oświadczyli, że i oni schodzą już na dół. Ewa musiała wstać, uśmiechnąć się z suchymi oczyma, a tymczasem Kamila, wzięwszy lustro, poprawiała włosy i różkiem chusteczki osuszała małą kropelkę krwi, która perliła się na jej skroni.

Na dole, w trzech obszernych salonach udekorowanych dywanami i zielenią, było już bardzo tłoczno. Kontuary przysłonięte czerwoną tkaniną, co dawało towarom ramę o nieporównanym blasku i wesołości. Żaden bazar nie mógł walczyć z tymi tysiącami nagromadzonych tutaj przedmiotów, gdyż można tu było znaleźć wszystko, od szkiców wielkich mistrzów i autografów słynnych pisarzy do skarpetek i grzebieni. Ta mieszanina już sama przez się stanowiła powab, a cóż mówić o bufecie, gdzie

piękne białe ręce podawały szampana, o dwóch loteriach, o organach oraz angielskim powoziku zaprzężonym w kucyka; można je było wygrać na losy, które sprzedawał rój czarujących panien, rozsianych w tłumie. Ale jak trafnie obliczył Duvillard, największym urokiem wenty miał być ,lekki a rozkoszny dreszcz, jakiego doznawały piękne panie przejeżdżające pod bramą, gdzie wybuchła bomba. Poważne reperacje zostały już ukończone, ściany i sufit naprawione, a częściowo odrestaurowane. Nie zdążyli tylko jeszcze przyjść malarze i straszne uszkodzenia wyglądały jak świeże blizny na szarych partiach kamienia i niedawno położonego gipsu. Twarze niespokojne, ale zachwycone, wychylały się z powozów, których nieprzerwany szereg wprawiał w drżenie dźwięczne bruki dziedzińca.

I wewnątrz, w trzech salonach, przed kontuarami wenty, rozmowy nie cichły. „Ach, moja miła, czy pani widziała? To przerażające, przerażające, te wszystkie ślady... cały dom o mało nie wyleciał w powietrze; i pomyśleć, że to mogłoby się powtórzyć teraz, gdy tutaj jesteśmy. Doprawdy, trzeba odwagi, aby tu przyjść, ale to Schronisko jest dziełem tak chwalebny, a chodzi o budowę nowego pawilonu. A przy tym te potwory zobaczą, że mimo wszystko my się nie boimy...”

Gdy baronowa Ewa zeszła wreszcie, aby wraz z córką zająć miejsce przy swoim kontuarze, zastała tam już sprzedawczynię w pełnym ruchu pod kierownictwem księżny Rozamundy, która w podobnych okolicznościach stawała się nadzwyczajnie przebiegła i drapieżna. Ograbiała klientów bezwstydnie.

— Ach, to pani! — zawołała, — Proszę się mieć na baczności przed tym tłumem targujących się kobiet, które przyszły, aby robić dobre interesy. Już ja je znam, czyhają na okazje, przewracają wszystko do góry nogami, wyczekują, abyśmy straciły głowę i przestały się orientować, a wtedy płacą mniej niż w prawdziwych sklepach... Już ja im będę słono liczyć, zobaczycie!

Ewa, która była nieudolną sprzedawczynią i zadowalała się tronowaniem przy swoim kontuarze, musiała weselić się jak . inni. Udawała, że po cichu wydaje Kamili jakieś polecenia, -których tamta słuchała z uśmiechem, z miną wyrażającą posłuszeństwo. Ale smutną i nieszczęśliwą kobietę załamały ostatnie

przeżycia i trwożna myśl, że będzie tkwić tutaj do godziny siódmej, że bez żadnego wytchnienia będzie cierpieć w obecności wszystkich tych ludzi. I z ulgą spostrzegła księdza Piotra Froment, który czekał na nią, *siedząc koło* kontuaru na czerwonej aksamitnej ławeczce. Czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, usiadła obok niego.

— Ach, otrzymał ksiądz mój list i przyszedł tutaj!... Mam dla księdza dobrą nowinę i zapragnęłam księdzu pozostawić radość oznajmienia jej swemu protegowanemu, owemu Laveu-ve, którego ksiądz tak gorąco mi polecał... Wszystkich formalności już dopełniono, może go ksiądz jutro przyprowadzić do Schroniska.

Piotr patrzył ma nią osłupiały.

— Laveuve... Ależ on umarł! Z kolei ona się zdziwiła.

— Jak to, umarł?... A ksiądz nie zawiadomił mnie o tym? Gdybym opowiedziała, ile z tym było przykrości, ile rzeczy trzeba było odrabiać i *znów* robić, ile dyskusji i papierów!... Gzy ksiądz jest pewien, że on umarł?

— Tak, umarł... Umarł przed miesiącem.

— Umarł przed miesiącem! Nic nie wiedzieliśmy o tym, ksiądz nie dał nam znaku życia... Ach, mój Boże, jak to źle, że on umarł, trzeba będzie znów wszystko odrabiać!

— Umarł, pani baronowo, powinienem był panią o tym zawiadomić, to prawda. Ale cóż począć? Umarł.

I to powracające słowo „umarł”, los tego nieboszczyka, którym zajmowała się od miesiąca, zmroziły ją i przygnębiły niby groźna zapowiedź zimnej śmierci, jak gdyby już się w nią pograżała otulona w całun ostatniej miłości.

Tymczasem Piotr mimo woli uśmiechał się gorzko wobec takiej okrutnej ironii losu. Ach, kulawe to miłosierdzie, skoro przychodzi dopiero wtedy, kiedy ludzie już pomarli!

Ksiądz pozostał jeszcze na kanapce, baronowa zaś musiała wstać, ponieważ właśnie wszedł w wielkim pośpiechu sędzia śledczy Amadiou, który chciał czym prędzej pokazać się, kupić jakąś drobnostkę i natychmiast wrócić do sądu. Ale mały Massot, reporter „Globu”, który krążył wokół kontuarów, dojrzał go i rzucił się ku niemu w poszukiwaniu wiadomości. Omotał go, zadreślał pytaniami, chcąc się dowiedzieć, jak przedstawia się sprawa Salvata, owego mechanika, którego oskarżano, że podłożył bombę w bramie pałacu. Czy nie jest to tylko wymysł policji, jak twierdziły niektóre dzienniki? Czy to istotnie właściwy ślad? Czy policja wreszcie go zaaresztuje? I Amadiou bronił się, słusznie odpowiadał, że sprawa jeszcze nie należy do niego, że będzie mu podlegać dopiero wówczas, gdy policja zaaresztuje owego Salvata i gdy śledztwo zostanie powierzone jemu, panu Amadiou. Jednakże jego sprytna i pewna siebie mina, poprawność światowego urzędnika o stalowym wejrzeniu dawały wiele do myślenia, jak gdyby znał już wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły i przyrzekał na najbliższą przyszłość wielkie zdarzenia. Panie — całe mnóstwo ładnych kobiet — płonące ciekawością, utworzyły krag i tłoczyły się, aby usłyszeć historię o bandycie, od której lekki

dreszcz przebiegał im po skórze. Amadieu wymknął się zapłaciwszy dwadzieścia franków księżnej Rozamundzie za papierośnicę, która warta była półtora franka.

Massot, poznawszy Piotra, zbliżył się, aby uścisnąć mu rękę.

— Prawda, proszę księdza, że ten Salvat musi już być daleko, jeżeli ma dobre nogi i biegnie wciąż przed siebie. Policja zawsze mnie śmieszy.

Ale Rozamunda przyprowadziła do niego Hiacynta.

— Panie Massot, pan bywa wszędzie, więc biorę pana za świadka... Chodzi © „Gabinet Okropności” na Montmartre, tę knajpę, gdzie Legras śpiewa te swoje *Kwiaty z bruku*...

— Urocze miejsce; księżno. Me zaprowadziłbym tam żandarma.

. — Panie Massot, proszę nie żartować! Prawda, że uczciwa kobieta może tam pójść w męskim towarzystwie? — I nie zostawiając mu czasu na odpowiedź, zwróciła się do Hiacynta: — Proszę! Widzi pan, że pan Massot nie przeczy. Zaprowadzi mnie pan tam dzisiaj wieczór, to rzecz postanowiona!

I uciekła; wróciła do kontuaru, aby sprzedać jakiejś starej damie paczkę szpilek za dziesięć franków, zaś młody człowiek powiedział tylko swoim rozczarowanym głosem:

— Ona jest idiotyczna z tym swoim „Gabinetem Okropności”. Massot filozoficznie wzruszył ramionami. Wiadomo, że kobieta musi się bawić! Potem, gdy Hiacynt odszedł, obnosząc swą perwersyjną pogardę wśród pięknych panien sprzedających losy ma loterię, odważył się szepnąć:

— Temu smarkaczowi jednakże bardzo by się przydało, gdyby jakaś kobieta zrobiła z niego mężczyznę. — Urwał i znowu zwrócił się do Piotra: — Proszę! Dutheil!... A ten szelma Sanier oświadczył dziś rano, że wieczorem Dutheil będzie nocował w więzieniu Mazas!

Istotnie Dutheil, w wielkim pośpiechu, wesoło uśmiechnięty, przedzierał się przez tłum, aby dotrzeć do Duvillarda i Fonsègue'a, rozmawiających wciąż przy kontuarze baronowej. I od razu skinął ręką na znak zwycięstwa, oznajmiając w ten sposób, że powiodła mu się delikatna misja, której się podjął. Chodziło ni mniej, ni więcej tylko o zuchwały manewr, który miał przyspieszyć przyjęcie Sylwiany do Komedii Francuskiej. Wpadła na pomysł, aby baron zaprosił na obiad do „Café Anglais” ją oraz pewnego wpływowego krytyka, który, jak twierdziła, poznawszy ją, na pewno zmusi dyrekcję do otwarcia przed nią szeroko bram teatru. A niełatwo było uzyskać przyjęcie zaproszenia, ponieważ krytyk uchodził za człowieka szorstkiego i bardzo surowego. Toteż Dutheil, z początku odprawiony z kwitkiem, rozwijał od trzech dni cały swój talent dyplomatyczny i wciągał do gry najdalsze wpływy. Promieniał, bo odniósł zwycięstwo.

— Mój drogi baronie, a więc dziś wieczorem o wpół do ósmej. Ach, *do licha*, miałem z tym więcej kłopotu niż z zerwaniem głosowania na temat emisji pańskich akcji!

I śmiał się z miłym bezwstydem rozpustnika, który tak mało dbał o swoje sumienie deputowanego, szczerze ubawiony tą aluzją do nowych enuncjacji „Głosu Ludu”.

— Niech pan nie żartuje — rzekł po cichu Fonsègue, który chciał się zabawić i napędzić mu trochę strachu. — Sprawy układają się fatalnie.

Dutheil zbladł, stanął mu przed oczyma komisarz policji i więzienie Mazas. Chwytało go to okresami jak ataki kolki. Ale w swoim naiwnym bezwstydzie uspokoił się i zaraz zaczął się znowu śmiać. Do diabła! Życie to dobra rzecz! — Ba — odrzekł wesoło, mrugając okiem do Duvillarda — to sprawa szefa! Duvillard, zadowolony, uścisnął mu obie ręce i podziękował, mówiąc, że miły z niego chłopiec. A zwracając się do Fonsègue'a dodał:

— Pan oczywiście też przyjdzie wieczorem. Och, to konieczne, życzę sobie imponującego otoczenia dla Sylwiany. Dutheil będzie reprezentował Izbę, pan — dziennikarstwo, ja — finanse...

Przerywał nagle, spostrzegłszy wchodzącego Gerarda, który bez pośpiechu, z poważną miną, torował sobie dyskretnie drogę wśród damskich spódnic. Przywołał go gestem.

— Gerardzie, drogi przyjacielu, musi mi pan oddać pewną przysługę. Po czym opowiedział mu, o co chodzi, o tak upragnionej zgodzie wpływowego krytyka, o obiedzie, który ma zdecydować o przyszłości Sylwiany, o obowiązku zgrupowania się dokoła niej, ciężącym na wszystkich jej przyjaciółach.

— Nie mogę — odparł zakłopotany młody człowiek — mam być na obiedzie u matki, która dziś rano była trochę cierpiąca.

— Pańska matka jest zbyt rozumna, aby nie pojęła, że bywają sprawy o wyjątkowym znaczeniu. Proszę pójść i zwolnić się, opowiedzieć jej jakąś historię, zaznaczyć, że chodzi o szczęście przyjaciela.

A gdy Gerard zaczął słabnąć, baron dodał:

— A zresztą, mój drogi, potrzebuję, pana; trzeba mi człowieka z najlepszego towarzystwa, które, jak panu wiadomo, jest w oczach teatru wielką potęgą. Jeżeli nasza Sylwiana będzie je miała za sobą, triumf jej jest pewny.

Gerard przyrzekł, postać przy nich chwilę, porozmawiał z wujem, generałem de Bozonnet, bardzo rozweselonym na widok tego tłumy kobiet, wśród których krążył jak stary, opuszczony statek. Podziękował pani Fonsègue za wyrozumiałość, z jaką wysłuchiwała jego opowiadań, kupił jej za sto franków autograf monsignora Marthy, zniknął w tłumie młodych dziewcząt, które przerzucały go sobie jedna drugiej, i wrócił z rękoma pełnymi biletów na loterię.

— Ach, mój chłopcze, nie radzę ci się zapuszczać pomiędzy te młode osoby! Zostawisz tam ostatni grosz... Ale patrz, oto wzywa cię panna Kamila. Kamila istotnie, od chwili gdy dostrzegła Gerarda, czekała, na niego, uśmiechała się z daleka. A gdy ich spojrzenia spotkały się, musiał podejść do niej, chociaż w tej samej chwili poczuł na sobie zrozczone oczy Ewy, które także *wzywały* go, błagały. Natychmiast Kamila czując, że matka ją śledzi, podwoiła swoją uprzejmość sprzedawczyni, skorzystała z drobnych swobód, do jakich upoważniała ją gorliwość osoby miłosiernej, wsunęła do kieszeni młodego człowieka różne drobiazgi, inne włożyła mu w obie ręce, które ścisnęła w swoich dłoniach, promieniejąc młodością, z głośnym, dźwięcznym śmiechem, który był torturą dla tej drugiej, dla rywalki.

Cierpiąc ponad miarę, Ewa zapragnęła wtrącić się, rozdzielić tych dwoje. Ale właśnie Piotr zatrzymał ją w przejściu, bo zaświtała mu pewna myśl, którą pragnął jej przedstawić, zanim opuści wentę.

— Pani baronowo, ponieważ ów Laveuve nie żyje, a pani zadała sobie tyle trudu, aby zdobyć to łóżko, które jest wolne, proszę więc nie postanawiać nic

w tej sprawie, zanim ja nie zobaczę się z naszym czcigodnym przyjacielem, księdzem Rose. Spotkam się z nim dzisiaj wieczorem i on, który wie zawsze o tylu nędzarzach, będzie szczęśliwy mogąc ulżyć doli jednego z tych biedaków i przyprowadzić go do pani.

— Ależ oczywiście — wyjąkała baronowa — będę bardzo szczęśliwa... Jeżeli ksiądz sobie życzy, poczekam trochę... Oczywiście, oczywiście...

Nieszczęsna, cierpiąca, drżała całym ciałem, nie wiedziała już, co mówi. Nie mogła opanować swojej namiętności, porzuciła księdza, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, gdy tylko Gerard, ulegając bolesnemu błaganiu jej spojrzenia, zdołał się wreszcie wymknąć z rąk córki, aby w końcu zbliżyć się do matki.

— Jak rzadko się pan pokazuje, mój drogi — rzekła głośno, z uśmiechem. — Wcale pana nie widzujemy.

— Ależ — odrzekł uprzejmie — byłem niezdrów... Tak, proszę mi wierzyć, trochę niezdrów.

On, niezdrów! Patrzyła na niego drżąc z macierzyńskiego niepokoju. Jego regularna twarz urodziwego *mężczyzny* o dumnym i wyniosłym wyrazie istotnie wydała się jej blada, mniej skrywająca pod szlachetnością pozorów niepowetowane zniszczenie wewnętrzne. Widocznie on cierpiał naprawdę, w swojej wrodzonej dobroci bolał nad swoim życiem bezużytecznym i zmarnowanym, nad tym, że jego biedna matka wydawała na niego tyle pieniędzy, nad niedostatkiem, który w końcu popchnął go do małżeństwa z tą bogatą dziewczyną, z tą kaleką, której współczuł. I czuła, że on jest tak słaby, tak udręczony, podobny szczątkom rozbitego okrętu, że serce jej wezbrało w płomiennym błaganiu, zaledwie wyszeptanymi w tym tłumie, który mógł je dosłyszeć:

— Jeżeli pan cierpi, ach, niechże i ja cierpię!... Gerardzie, musimy się zobaczyć, ja tego żądam!

Zakłopotany, i on szepnął: — Nie, błagam, poczekajmy!

— Gerardzie, to konieczne. Kamila powiedziała mi o twoich zamiarach. Nie możesz odmówić mi spotkania. Chcę się zobaczyć z tobą!

On z drżeniem spróbował raz jeszcze uniknąć okrutnych wyjaśnień,

— Ale tam, w zwykłym miejscu, to niemożliwe. Znają ten adres.

— Więc dobrze! Jutro o czwartej w tej małej restauracji w Lasku, gdzieśmy się już spotykali.

Musiał przyrzec, rozstali się. Kamila właśnie zwróciła głowę i przyglądała się im. Fala kobiet oblegała kontuar i baronowa, przypominająca boginię w rozkwicie, niedbale wzięła się do sprzedaży, Gerard zaś powrócił do Duvillarda, Fonsègue'a i Dutheila, ogromnie podnieconych oczekiwaniem na wieczorny obiad.

Piotr słyszał część rozmowy. Znał wewnętrzne sprawy tego domu, tortury, nędzę fizyczną i moralną, które ukrywał blask takiego bogactwa i potęgi. Coraz to większa, stale rozjątrzona i krwawa rana, nurtujące zło zżerało ojca, matkę, syna i córkę, uwolnionych z więzów społecznych. I opuszczając te salony Piotr o mało nie został uduszony w tłumie kupujących pań, które afiszowały się, czyniąc sobie z wenty coś w rodzaju triumfu. Tam, w ciemnościach, Salvat biegł, biegł, zatracał się, a La-veuve, umarły, był jak policzek okrutnej ironii wymierzony złudnemu i hałaśliwemu miłosierdziu.

II

Ach, jaki uroczy spokój panował u zacnego księdza Rose, w parterowym mieszkanku z małym ogródkiem, które zajmował przy ulicy Cortot. Tej wielkiej ciszy i sennego spokoju miasta na dalekiej prowincji nie zakłócał stukot pojazdów ani nawet oddech Paryża, który huczał po drugiej stronie wzgórza Montmartre.

Wybiła godzina siódma, z wolna zapadł zmrok i Piotr czekał w ubogiej jadalni, aby gospodyni przyniosła na stół zupę. Ksiądz Rose, zaniepokojony, że prawie nie widuje Piotra od przeszło miesiąca, od chwili gdy młody ksiądz zamknął się w Neuilly wraz z bratem, napisał doń wczoraj i zaprosił na obiad, żeby spokojnie pogadać o sprawach, które do tyczyły ich obu; Piotr bowiem nadal przekazywał mu pieniądze na wspólne jałmużny, a poza tym od czasu, gdy opiekowali się przytułkiem, przy ulicy Charonne, prowadzili rachunki różnych akcji dobroczynnych, które trzeba było razem sprawdzać. Po obiedzie zamierzali o tym porozmawiać, zastanowić się, czy nie dałoby się zrobić czegoś lepiej i więcej. I zacny ksiądz promieniał w ten piękny, spokojny i łagodny wieczór, który miał spędzić w ten sposób, zajmując się ukochanymi biedakami, co było jego jedyną rozrywką, jedyną radością, do której powracał namiętnie jak do grzesznej słabości, mimo wszystkich trosk, jakie jego nierozważne miłosierdzie nań już ściągnęło.

Piotr, szczęśliwy, że może mu dostarczyć tej przyjemności, również się uspokajał, znajdował ulgę, parogodzinny wypoczynek przy tym skromnym obiedzie, w atmosferze otaczającej go dobroci, tak odległej od strasznych codziennych trosk. Przypomniawszy sobie o wolnym miejscu w Schronisku dla Inwalidów Pracy, obietnicę baronowej Duvillard, że zaczeka do czasu, gdy on zapyta księdza Rose, czy nie zna jakiej wielkiej nędzy, godnej, aby się nią zająć; i zaczął o tym opowiadać, zanim jeszcze zasiedli do stołu.

— Wielka nędza, godna, aby się nią zająć? Ależ, drogi synu, wszystkie one są takie! Jeżeli chodzi o uszczęśliwienie kogoś, zwłaszcza spośród starych, pozbawionych pracy robotników, wybór jest ogromny, tylko lęk ogarnia, kogo wybrać, gdy tylu innych pozostanie w swoim piekle!

Jednakże zaczął się zastanawiać, zapalił się, dokonywał wyboru w bolesnej walce, pełen skrupułów.

— Mam coś dla ciebie. To na pewno najbardziej chory, najniezwyklejszy i najpotworniejszy z nędzarzy, siedemdziesięciodwuletni starzec, stolarz, żyjący z dobroczynności publicznej od ośmiu czy dziesięciu lat, od kiedy nie udało mu się już znaleźć pracy. Nie mam jego nazwiska, wszyscy mówią o nim: „Stary”. Całymi tygodniami nie pokazuje się, gdy w sobotę rozdzielam jałmużnę. Będziemy musieli wszcząć za nim poszukiwania, jeżeli sprawa przyjęcia do Schroniska jest tak pilna. Zdaje mi się, że nocuje czasami w domu noclegowym przy ulicy d'Orsel, o ile brak miejsca nie zmusza go, aby położył się pod jakimś płotem... Czy chciałbyś, abyśmy jeszcze dziś wieczór poszli na ulicę d'Orsel?

Oczy mu błyszczały, było to dla niego istne używanie, zakazany owoc — te odwiedziny u skrajnej nędzy, u ostatecznej rozpacz, która stoczyła się do rynsztoka, odwiedziny, na jakie nie śmiał już sobie pozwalać mimo

niezmiernej litości apostoła, tak bardzo bowiem wyrzucano mu to, wytykano jak zbrodnię.

— A więc postanowione, moje dziecko? Jeszcze tylko ten jeden raz! Jest to zresztą jedyny sposób, jeżeli chcemy znaleźć Starego. W ten sposób będziesz mógł pozostać ze mną aż do jedenastej wieczór... A przy tym chciałbym ci to pokazać; zobaczysz przerażające cierpienia! Może uda się nam przynieść ulgę jakiejś nieszczęsnej istocie.

Piotr uśmiechał się widząc ten młodzieńczy zapał u starego człowieka z posiwiałymi włosami.

— Postanowione; drogi księże. Będę bardzo szczęśliwy mogąc spędzić z księdzem cały wieczór, i dobrze mi to zrobi, gdy raz jeszcze będę księdzu towarzyszyć, jak w jednej z naszych dawnych obław, z których wracaliśmy z sercem tak ciężkim od bólu i radości.

Gospodyni wniosła zupą. Ale w chwili gdy dwaj księża zasiadali do stołu, rozległ się dyskretny głos dzwonka i ksiądz Rose dowiedziawszy się, że przyszła sąsiadka, pani Mathis, po odpowiedź, kazał ją wprowadzić.

— Biedna kobieta — wyjaśnił — trzeba jej było pożyczki w wysokości dziesięciu franków, aby wykupić materac, a ja ich nie miałem; ale wystarałem się... Mieszka w tym samym, domu, to nędza bardzo dyskretna, rentę ma tak skąpą, że nie może z niej żyć.

— Ale — zapytał Piotr, który przypomniał sobie o młodym człowieku, spotkanym u Salvata — czy nie ma ona dorosłego, dwudziestoletniego syna? — Tak... tak... O ile wiem, pochodzi z zamożnej rodziny, z prowincji. Wyszła za męża, jak mi mówiono, za nauczyciela muzyki, który dawał jej lekcje w Nantes i który ją porwał; później osiedli w Paryżu, gdzie on umarł — to cały smutny romans. Młoda wdowa wyprzedawała meble, zbierała resztki — było tego zaledwie dwa tysiące franków renty — tak że zdołała umieścić syna w kolegium i sama żyć przyzwoicie. I powalił ją dopiero nowy cios, ruina skromnego majątku umieszczonego w niepewnych papierach; odtąd renta jej wynosi w najlepszym razie osiemset franków. Płaci dwieście franków czynszu, tak że musi jej wystarczyć pięćdziesiąt franków miesięcznie. Od półtora roku syn ją opuścił, aby nie być ciężarem; chce sam zarabiać na utrzymanie, ale, wydaje mi się, bez skutku.

Weszła pani Mathis, niska brunetka o twarzy smutnej i łagodnej, jakby wyblakłej, ubrana stale w tę samą czarną suknię; mówiła mało, żyła samotnie, miała w sobie niespokojną trwożliwość biednej istoty nieustannie ściganej przez burzę. Gdy ksiądz Rose wręczył jej dziesięć franków, dyskretnie umieszczone w kopercie, podziękowała z rumieńcem na twarzy i przyrzekła zwrócić pieniądze, gdy otrzyma miesięczną wypłatę, gdyż nie była żebraczką, nie chciała uszczuplać udziału tych, którzy cierpią głód.

— A pani syn, Wiktor — zapytał ksiądz — znalazł jakieś zajęcie?

Zawahała się, bo nie wiedziała, co robi syn, całymi tygodniami nie widywała go teraz, więc rzekła tylko:

— Jest bardzo dobry, kocha mnie... To wielkie nieszczęście, że przyszła ta ruina, zanim zdążył wstąpić do École Normale. Nie mógł zdać egzaminu... W liceum był uczniem tak pilnym, tak inteligentnym!

— Straciła pani męża, gdy syn miał dziesięć lat, prawda? Znowu się zarumieniła, pomyślała bowiem, że obaj słuchający jej księża znają tę historię.

— Tak, mój biedny mąż nigdy nie miał szczęścia. Zawody zrobiły go zgorzkniałym, miał wzniosłe poglądy, a zginął w więzieniu, w następstwie bójki na zebraniu publicznym, gdzie niestety zranił policjanta... Niegdyś, w okresie *Komuny*, brał udział w walkach. Ale był to człowiek ogromnie łagodny i kochał mnie gorąco.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wzruszony ksiądz Rose pożegnał ją.

— No, miejmy nadzieję, że syn przyniesie pani pociechę i odwzięczy się za wszystko, co pani dla niego zrobiła.

I pani Mathis wyszła, znikła dyskretnie, z gestem bezmiernego smutku. Nie wiedziała nic o swoim synu, ale drżała przed zaciekłością nieznanego losu.

— Nie sędzę — rzekł Piotr do księdza Rose, gdy zostali sami — aby ta biedna kobieta mogła zbyt liczyć na syna. Raz tylko widziałem tego chłopca, w swoich jasnych oczach ma on oschłość i coś ostrego jak nóż.

— Tak sądzisz?! — zawołał stary ksiądz z naiwnością poczciwego człowieka.

— Wydał mi się bardzo gładki, może zbyt spragniony używania; ale oni są wszyscy niecierpliwi, ci obecni młodzi ludzie... Ale proszę, siadajmy do stołu, bo zupa wystygnie.

W tej samej mniej więcej porze, na drugim końcu Paryża, przy ulicy Saint-Dominique, powolna noc zapadała również w salonie hrabiny de Quinsac, na parterze, w głębi cichego i ponurego starego pałacu. Dotrzymywał jej towarzystwa tylko margrabia de Morigny, wierny przyjaciel; siedzieli po obu stronach kominka, gdzie dogasał żar ostatniego polana. Służąca nie wniosła jeszcze lampy, a hrabina zapomniała zadzwonić, bo wciskające się ciemności koili jej niepokój, kryły nie wyznane smutki, które mogła zdradzić jej udręczona twarz. Teraz dopiero miała odwagę przemówić, w tym czarnym salonie, przed martwym, paleniskiem, gdy żaden daleki hałas pojazdów nie mącił milczenia wielkiej przeszłości, która tam spała.

— Tak, drogi przyjacielu, nie jestem rada ze stanu zdrowia Gerarda. Zobaczy go pan, bo przyrzekł mi wrócić wcześniej i zjeść ze mną obiad. Wiem, że wygląda dobrze, jest solny i wysoki. Ale żeby go dobrze poznać, trzeba było czuwać jak ja nad nim, wychowywać go z takim trudem! W gruncie rzeczy jest on zależny od wielu drobnych dolegliwości, które przy lada okazji przybierają na sile. I życie, jakie prowadzi, wcale nie sprzyja zdrowiu. Umilkła, westchnęła, wahając się, czy ma wypowiedzieć się do końca.

— Prowadzi życie takie, na jakie go. stać — rzekł powoli margrabia de Morigny, którego delikatny profil i majestatyczne rysy surowego a wrażliwego starca roztopiały się w cieniu. — Ponieważ nie mógł . znieść życia wojskowego i nawet trudy dyplomacji wydają się pani zbyt ciężkie dla niego, cóż właściwie ma robić?... Może tylko żyć na uboczu, czekając na zupełną ruinę, pod rządami tej ohydnej republiki, na ruinę, która ostatecznie wtrąci Francję do grobu.

— Bez wątpienia, drogi przyjacielu. Ale właśnie to bezczynne życie przeraża mnie. On zatraci w nim wreszcie wszystko, co było w nim dobre i zdrowe... Nie mówię tego. jedynie z powodu związków, które musieliśmy u niego tolerować. Ostatni, który zrazu z taką trudnością zaakceptowałam, a który budził taki sprzeciw w moich poglądach i wierzeniach, potem wydał mi się raczej dodatni w swoich skutkach... Jednakże Gerard zaczyna trzydziesty szósty rok życia, czy więc może dalej żyć w ten sposób, bez celu, bez obowiązku? Może czuje się źle dlatego, że nic nie robi, że jest niczym i że nie

ma z niego żadnego pożytku? — Głos jej znowu się załamał. — A przy tym, drogi przyjacielu, jeżeli już zmuszasz mnie, abym ci wszystko, powiedziała, wyznam panu, że i ja nie mam się zbyt dobrze. Mdlałam często.. Zasięgałam rady lekarza. Mogę odejść z dnia na dzień.

Morigny z drżeniem pochylił się, chwycił ją za ręce w tej coraz bardziej gęstniejącej nocy.

— Droga przyjaciółko, miałbym stracić panią, moją ostatnią wiarę? Ja, którym patrzył na zmierzch starego świata, mojego świata, i który żyje tą jedynie nadzieją, że przynajmniej pani zostanie, aby zamknąć mi oczy! Błagała go, aby nie powiększał jej cierpień.

— Nie, nie! Proszę nie ujmować moich rąk, nie całować ich, proszę pozostać w tym półmroku, gdzie zaledwie pana widzę... To będzie naszą boską siłą, aż do grobu, żeśmy się kochali tak długo, bez hańby i żalu... A jeżeli pan mnie dotknie, jeżeli uczuję pana zbyt blisko, nie będę mogła dokończyć, bo jeszcze nie powiedziałam wszystkiego.

Po chwili, gdy wrócił do swego milczenia i nieruchomości, rzekła:

— Gdybym jutro umarła, Gerard nie znalazłby tutaj nawet tej małej fortunki, którą w jego przekonaniu wciąż jeszcze posiadam. Ten kochany chłopiec nieraz drogo mnie kosztował, chociaż zdawał się nigdy tego nie domyślać. Na pewno powinnam była zdobyć się na więcej surowości i rozsądku. Ale cóż robić, ruina już przyszła, zawsze byłam zbyt słabą matką. Czy pojmuje pan teraz trwogę, w której żyję, z myślą, że jeżeli umrę, Gerard nie będzie miał nawet z czego żyć, niezdolny czynić cudów, które ja działałam każdego dnia na nowo, aby utrzymać złudny poziom naszego domu?... Znam go, jest tak bezbronny, tak chorowity pomimo pięknych pozorów, nie może nic robić, nie umie nawet sobą rządzić. Co się z nim stanie? Czy nie wpadnie w skrajną nędzę?

Teraz łzy jej popłynęły obficie, serce jej się krajało i krwawiło, przeczuwała, co nazajutrz po jej śmierci grozi temu dużemu dziecku, w którym zginie jej ród i cały ich świat. A margrabia, nieruchomy, przerażony, zdając sobie sprawę, że nie ma prawa ofiarować się jej ze swoim majątkiem, pojał nagle, domyślił się, do jakiego nowego upokorzenia może doprowadzić ta klęska.

— Ach, moja biedna, droga przyjaciółko — powiedział wreszcie głosem drżącym od buntu i cierpienia — myśli pani o tym małżeństwie, tak, o tym ohydny małżeństwie z córką tej kobiety. Nigdy! Sama pani to przysięgła. Wolą pani zatrutę wszystkiego! A teraz pani się zgadza, czuję to!

Płakała wciąż, w czarnym i cichym salonie, przed wygasłym kominkiem. Czyż małżeństwo Gerarda z Kamilą nie oznaczało dla niej szczęśliwego końca, pewności, że zostawi syna bogatym, kochanym, wreszcie mającym pozycję w życiu? Ale podniósł się w niej jeszcze ostatni bunt.

— Nie, nie, nie zgadzam się, przysięgam, że jeszcze się nie zgadzam! Walczę ze wszystkich sił, ach, walczę nieustannie, a jaka to męka, tego nawet się pan nie domyśla!

Po chwili szczerze przyznała się, że przewiduje swoją klęskę.

— Jeżeli którego dnia poddam się, drogi przyjacielu, niech mi pan wierzy, iż czuję tak samo jak pan, czuję ohydę tego małżeństwa. Oznacza ono kres naszego rodu i naszego honoru.

Ten krzyk wzburzył go, i nic już nie mógł tutaj dodać. Nieprzejednany katolik i dumny rojalista, on również oczekiwał tylko ogólnej katastrofy. Ale jakże to bolesne powiedzieć sobie, że ta szlachetna kobieta, kochana tak bardzo i tak bezgrzesznie, ma być w tej klęsce najbardziej cierpiącą ofiarą. Ukryty w cieniu ośmielił się uklęknąć przed nią, ująć jej rękę i pocałować. Gdy służąca przyniosła wreszcie lampę, ukazał się i Gerard. Stary salon w stylu Ludwika XVI, z bladymi boazeriami, odzyskiwał w łagodnym świetle staroświecki wdzięk; i młody człowiek udawał wielką wesołość, aby uspokoić matkę i aby jej nie porzucać zbyt smutnej, ponieważ nie mógł pozostać z nią na obiedzie. Kiedy oznajmił, że jego przyjaciele oczekują go, ona pierwsza zwolniła syna z obietnicy, szczęśliwa, że widzi Gerarda tak wesołym.

— Idź, idź, moje dziecko, i nie męcz się za bardzo... Ja zatrzymam pana de Morigny. Generał i Larombardière mają przyjść o dziewiątej. Bądź spokojny, będę miała gości, nie będę się nudzić.

I w ten sposób Gerard, który posiedział chwilę i pogadał z margrabią, mógł się wymknąć i pójść do „Café Anglais”.

Gdy tam przybył, kobiety w futrach wchodziły już po schodach, gabinety wypełniały się miłym i strojnym towarzystwem, lampy elektryczne błyszcząły, cały korowód rozkoszy, olśnie-

wającej, wykwintnej prostytutce zaczynał wstrząsać murami i rozgrzewać je. I w gabinecie zarezerwowanym przez barona ujrzał niezwykle luksus, wspaniałe kwiaty, kryształy, srebra,

jak na królewskiej uczcie. Stół na sześć osób nakryty był z przepychem, na którego widok uśmiechnął się, a menu i karta win zapowiadały cuda, wszystko, co najrzadsze i najkosztowniejsze.

— A co? Szykownie to wygląda! — zawołała Sylwiana, która już tam była z Duvillardem, Fonsègiem i Dutheilem. — Chciałam, żeby zadziwił się ten wasz: wpływowy krytyk... Jeżeli zafundowało się dziennikarzowi taki obiad, można chyba oczekiwać, że okaże się on miły, prawda?

Ona, pragnąc odnieść zwycięstwo, nie mogła wymyślić nic lepszego, jak wystroić się w oszołamiącą toaletę, w suknię z żółtego atłasu, przykrytą alonsońskimi koronkami. Wydekoltowała się i włożyła wszystkie swoje diamenty, diadem we włosy, rywierę na szyję, kokardy, bransolety i pierścionie na ręce. Ze swoją niewinną, uduchowioną twarzą, otoczoną delikatnymi pasmami włosów, wyglądała jak dziewczica z mszału, obwieszona wotami całego chrześcijaństwa, lub dziewczica królowa.

— Jesteś tak urocza — rzekł Gerard, który czasem żartował sobie z niej — że nawet i w tym ci do twarzy.

— Dobrze — odpowiedziała bez gniewu — uważasz, że jestem mieszczką, że zwyczajny obiad i skromna toaleta byłyby dowodem lepszego smaku. Ach, mój drogi, nie masz pojęcia, jak usidla się mężczyzn!

Duvillard przytaknął jej, gdyż był zachwycony, że może pokazać ją w pełnym blasku, wystrojoną jak bóstwo.. Fonsègue mówił o diamentach, dowodząc, że wartość ich jest bardzo niepewna, odkąd nauka, posługując się piecem elektrycznym, bliska już jest dnia, gdy fabrykacja tych drogich kamieni stanie się rzeczą zwyczajną. Dutheil tymczasem z zachwyconą miną kręcił się dokoła młodej kobiety z miłymi gestami pokojówki, aby należycie ułożyć fałdy koronki lub poprawić niesforny loczek.

— Cóż to? Ten wasz krytyk jest bardzo źle wychowany, każe na siebie czekać!

Istotnie krytyk spóźnił się o kwadrans i natychmiast, usprawiedliwiając się, wyraził żal, że będzie musiał odejść o wpół do dziesiątej, bo absolutnie musi się pokazać w małym teatrzyku przy ulicy Pigalle. Był to wysoki jegomość około pięćdziesiątki, szeroki w barach, o pełnej, brodatej twarzy. Z École Normale wyniósł cały jej dogmatyzm i ciasny pedantyzm, których nic nie zdołało z niego zmyć, ani herkulesowe wysiłki, aby zostać sceptykiem i lekkoduchem, ani dwadzieścia lat paryskiego życia we wszystkich jego kręgach. Belfrem był i belfrem pozostał nawet w swoich pracowicie wysmażanych wybrykach wyobraźni i zuchwalstwa. Gdy tylko wszedł, zaczął udawać, że jest oczarowany Sylwianą. Znał ją oczywiście z widzenia, nawet skrytykował ją mocno w paru wzdrgniętych linijkach na temat jej kilku ról: Ale ta ładna dziewczyna, wystrojona jak królowa, zaprezentowana mu tutaj pod protektoratem tych czterech wpływowych mężczyzn, podniecała go; i przyszło mu do głowy, że byłoby to bardzo w paryskim stylu i świadczyłoby o pięknej paryskiej fantazji, wolnej od pedanterii, gdyby tak poparł ją dopatrzysz się w niej talentu.

Zasiedli do stołu; była to prawdziwa uczta: obsługa pełna subtelnej skwapliwości, jeden *maitre d'hotel* na każdego z biesiadników, czuwający nad daniami i winami. Na śnieżnym obrusie kwiaty rozsiewały swój zapach, iskrzyły się srebro i kryształy i już krążyło mnóstwo niezwykłych i doskonałych dań: ryba sprowadzona z Rosji, zabroniona w tej porze roku dziczyzna, najświeższe trufle wielkości jaj, soczyste nowalie, jak w pełni lata. Wydano tu, nie licząc, mnóstwo pieniędzy dla przyjemności płacenia szaleńczo za to, że nikt inny nie jada tak wspaniale, aby pysznić się, że nikt nie mógłby trwonić więcej. I wpływowy krytyk, zdziwiony, jakkolwiek silił się okazywać swobodę człowieka otrząskanego z wszelkimi fetami, stawał się służalczy, przyrzekał swoje poparcie, angażował się bardziej, niż zamierzał. Bardzo zresztą wesoły, sypał dowcipami, przesadzał nawet w okazywaniu dobrego humoru, puszczając się na śmiałe żarty. Ale po pieczystym, po wybornym burgundzie, gdy ukazał się szampan, w podnieceniu, bo nie miał już siły opierać się, zdradził swoją prawdziwą naturę. Naprowadzono rozmowę na *Polieukta*, na rolę Pauliny, którą, pragnęła zagrać Sylwiana na swój debiut w Komedia Francuskiej. Ten niezwykły kaprys, który oburzyłby go jeszcze przed tygodniem, wydawał mu się teraz tylko śmiałą próbą, z której Sylwiana wyjdzie zwycięsko, jeżeli będzie słuchała jego rad. I rozpędził się, wygłosił wykład o tej roli, twierdził, że żadna jeszcze aktorka nie zrozumiała jej należycie, że z początku Paulina jest jedynie cnotliwą mieszczką i że piękno jej nawrócenia przy końcu sztuki pochodzi stąd, że zaszedł cud, działanie łaski, co czyniło z niej boską postać. Sylwiana była innego zdania; widziała w Paulinie już od pierwszych wierszy idealną bohaterkę jakiejś symbolicznej legendy.. Gadał bez końca, ona musiała udać, że ją przekonał, więc krytyk był oczarowany, że ma tak piękną, tak pojętną uczennicę. Potem, ponieważ biła już dziesiąta, wyrwał się nagle z pachnącego i rozgrzanego gabinetu, aby pójść do swoich obowiązków.

— Ach, moje dziatki — zawołała Sylwiana — ależ wynudził mnie ten wasz krytyk! Jaki on głupi z tą swoją Pauliną-małą mieszczką! Już ja bym mu

dała szkołę, gdyby nie był mi potrzebny!... Nie, nie, to przecież idiotyczne, nalejcie mi szampana, muszę się pokrzepić.

Od tej chwili feta nabrała wielkiej intymności, która zapanowała pomiędzy czterema mężczyznami a tą udiamentowaną dziewczką, wydekoltowaną, na wpół naga; z korytarzy zaś, z sąsiednich gabinetów dobiegał wielki gwar śmiechów i szmer pocałunków, wzrastał ruch w całym budynku. Za oknem bulwar przetaczał swój strumień pojazdów i przechodniów, swoją gorączkę rozkoszy i targowiska miłości.

— Niech pan nie otwiera, mój złoty — mówiła dalej Sylwia -

na do Fonsègue'a, który podszedł do okna — przeziębi mnie pan. A panu tak gorąco? Mnie jest w sam raz... A pan, mój miły Duvillard, każ znowu podać szampana. Zadziwiająco, jakie mam pragnienie po tym waszym krytyku!

Dusili się pod oślepiającym upałem lamp, w gęstym zapachu kwiatów i win. I

Sylwiana poczuła nieodparte pragnienie hulanki, chęć upicia się, wulgarnej zabawy, jak niegdyś, w początkach swojej kariery. Parę kielichów szampana oszołomiło ją, ogarnęła ją wesołość zuchwała, głośna, ogłuszająca. Nigdy jej jeszcze takiej nie widzieli, była istotnie tak zabawna, że sami zaczęli się bawić. Fonsègue musiał iść do swego dziennika, więc ucałowała go jak ojca, bo, jak mówiła, on ją zawsze szanował. Pozostawszy sama z trzema

mężczyznami, zaczęła do nich przemawiać tak

swobodnie, że słowa jej chłostały ich i podniecały. Im bardziej się upijała, tym większy stawał się jej bezwstyd. Dobrze wiedziała, że najbardziej pikantna była w niej ta dziewczęca twarz, ów wyraz idealnej niewinności, spod której wyzierała najbardziej przewrotna, najbardziej monstrualna z kurtyzan. Gdy była pijana, miewała również, przy swoich niewinnych niebieskich oczach, przy swojej czystości lilii, diabelskie pomysły doprowadzające mężczyzn do zguby.

Duvillard pozwalał się jej upijać, a nawet w tym pomagał, w tajemnicy bowiem zamierzał odprowadzić ją do domu i zostać, jeżeli alkohol wyda ją bezbronną w jego ręce. Ale Sylwiana uśmiechała się tylko, domyślając się jego planów.

— Widzę, do czego zmierzasz, mój stary. Wyobrażasz sobie, że będę miłsza dzisiejszego wieczoru, bo jestem wesoła. Otóż jesteś w błędzie, ja mam mocną głowę!... Nie będziesz mnie miał, nie, nic z tego, dopóki nie załatwisz mi debiutu w Komedii!

Duvillard, którego trzymała z daleka od siebie od sześciu tygodni, próbował się śmiać, spodziewając się, że uda mu się zwabić ją do łóżka, jeżeli będzie czekał cierpliwie. Z dwóch pozostałych mężczyzn Gerard, na którego spoglądała z największą czułością, wspominając kaprysy, jakim już nieraz w stosunku do niego ulegała, jak zwykle bezwolny, również dawał się ponieść marzeniu o szczęśliwej nocy. Dutheil zaś, zawsze dybiący na okazję, dzięki której mógłby ją zdobyć, zapalał się wyobrażając sobie, że wreszcie mogłaby przyjść i jego kolej, jeżeli tylko okaże się dość sprytny.

Sylwiana jednak, czując się pożądana, widząc ich wszystkich koło siebie, przy sobie, z wywieszonymi językami, jak mówiła, wymyślała niesłychane historie, wygłaszała przemowy pełne zadziwiająco plugawej fantazji. Oni uważali, że jest niezrównana - w swej olśniewającej, toalecie dziewiczej królowej. Gdy miała już dość szampana, nagle, w półprzytomna, wpadła na nowy pomysł.

— Słuchajcie, dziatki, nie siedźmy tutaj dłużej, bo nudno. Trzebo coś robić... Wiecie co? Zaprowadźcie mnie do „Gabinetu Okropności” na zakończenie wieczoru. Chcę posłuchać *Koszuli*, piosenki, którą śpiewa Legras i która ściąga tam cały Paryż.

Tym razem Duvillard się zbuntował.

— O, co to, to nie! Ta piosenka to naprawdę świństwo; nigdy nie zaprowadzę cię do tak podejrzanego lokalu.

Zdawała się nie słyszeć, już wstała chwiejąc się na nogach, śmiała się i poprawiała włosy przed lustrem.

— A poza tym, mieszkałam na Montmartre i lubię tam wracać. Chciałabym także wiedzieć, czy Legras jest tym Legras, którego znałam, och, dawno temu!... Jazda, idziemy!

— Ależ, moja droga, nie możemy zaprowadzić cię do tej nory w takiej toalecie. Czy sobie wyobrażasz siebie wchodzącą tam, wydekoltowaną, okrytą diamentami... Wyśmiano by nas. Gerardzie, proszę, niech jej pan przemówi do rozsądku!

Gerard, który również uznał ten wybryk za niestosowny, chciał dorzucić coś od siebie. Zamknęła mu usta ręką już w rękawiczce i powtórzyła z wesołym uporem pijaństwa:

— Cicho! Sza! Jeśli nas zwymyślają, to będzie jeszcze śmieszniej... Chodźmy, chodźmy prędko!

Wtedy Dutheil przysłuchujący się z uśmiechem, z miną rozpustnika, którego nic nie dziwi ani nie razi, rycersko poparł Sylwianę:

— Do „Gabinetu Okropności”, drogi baronie, chodzą przecież ludzie z towarzystwa, bywałem tam z najwytworniejszymi damami, i to właśnie, aby wysłuchać tej piosenki o *Koszuli*, która nie jest plugawsza niż wiele innych rzeczy.

— No, słyszysz, grubasie, co mówi Dutheil! — wykrzyknęła triumfalnie Sylwiana. — A przecież on jest deputowanym i nie narażałby swojej czcigodnej osoby!

A gdy Duvillard wciąż się wzbraniał, przerażony, że miałby się z nią afiszować w tak skandalicznym miejscu, nie rozgniewała się, lecz — przeciwnie — jeszcze poweselała.

— Jak sobie chcesz, mój stary, proszę bardzo! Nie jesteś mi potrzebny.

Zmykaj z Gerardem i starajcie się wzajemnie pocieszać... Co do mnie, idę tam z Dutheilem! Prawda, Dutheil, że chętnie się pan mną zaopiekuje?

Takie postawienie sprawy zaskoczyło barona. Przestraszył się, musiał ustąpić przed kaprysem tej strasznej dziewczyny, której sarny zapach odbierał mu rozum. I znalazł sobie tylko jedną pociechę: nie pozwolił odejść Gerardowi, który powodowany resztką

poczucia godności upierał się, że *nie* weźmie w tym udziału. Ujął go za obie ręce i trzymał tak powtarzając z dziwnym naciskiem, że domaga się od niego tej przyjacielskiej przysługi.; Aż wreszcie kochanek jego- żony, narzeczony córki — musiał ulec woli męża i ojca.

Sylwiana patrzyła na nich rozbawiona do szaleństwa, płacząc ze śmiechu.

Nagle zapomniała się: wyznała niejako swoją słabość do Gerarda zwracając się do niego per ty i pozwoliła sobie na aluzję do jego stosunku z Baronową.

— Chodź już, ty głuptasku, dotrzyмай mu towarzystwa, należy mu się to od ciebie.

Duvillard udał, że nie słyszy, Dutheil uspokajał go mówiąc, że w jednym z narożników sali „Gabinetu Okropności” jest coś w rodzaju łoża, gdzie można się trochę ukryć. Powóz Sylwiany stał, szczęściem, na dole, duże, obszerne lando, którego woźnica, silny, dorodny zuch, czekał cierpliwie na koźle. I pojechali.

„Gabinet Okropności” mieścił się w starej kawiarni na bulwarze Rochechouart, która zbankrutowała. Sala wąsika, nieregularna, pełna zakamarków, duszna była pod niskim sufitem, zadymiona. Trudno było o coś prymitywniejszego jak jej dekoracja: . po prostu na ścianach nalepiono afisze i jaskrawe ryciny jak najbardziej uproszczone i nieprzyzwoite. W głębi, przed pianinem, była mała estrada, a za nią zasłonięte kotarą drzwi. Poza tym były tam tylko ławki bez poduszek i dywanów, wzdłuż których biegły szynkowe stoły, gdzie kieliszki konsumentów pozostawiały lepkie krążki. Żadnego zbytku, żadnego arcyzmu, a nawet czystości. Lampy gazowe bez kloszów paliły się bezpośrednio na powietrzu, płonęły, rozgrzewając do szalonego upału gęsta, senna mgłę utworzoną z oddechów i fajkowego dymu. Pod tym woalem widać było twarze ociekające potem, purpurowe, ostra zaś woń tych wszystkich stłoczonych ciał wzmagająca oszołomienie i zachęcała do krzyków, którymi audytorium podniecało się po każdej, nowej piosence. Wystarczyło ustawić *tą* estradę, pokazać na niej owego Legrasa w otoczeniu paru dziewczek, kazać mu śpiewać jego repertuar rozpasanych obrzydliwości, a w trzy wieczory zawrotny sukces był zapewniony, cały Paryż, zachwycony, szalejący, tłoczył się w tej podejrzananej kawiarni, której przez dziesięć lat drobna rentierzy tej dzielnicy nie zdołali ożywić, gdy odbywały się tam tylko ich codzienne partie domina.

Było to rykowisko plugastwa, nieodparte przyciąganie hańby i ohydy. Paryż lubieżny, burżuazja-posiadaczka pieniądza i władzy, z czasem przesycała się już swoimi zdobyczami, ale nie chciała nic wypuścić z ręki; tutaj zbiegała się po to tylko, aby rzucano jej w twarz sprośności i obelgi. Zahipnotyzowana pogardą, pragnęła, w przeczuciu swego niedalekiego upadku, aby jej pluto w twarz. I jakim przerażającym symptomem byli ci jutrzejsi skazańcy, mężczyźni uważani za poważnych i uczciwych, kobiety kruche i boskie, pachnące wdziękiem i zbytkiem, którzy rzucali się sami w błoto, przyspieszali dobrowolnie swój rozkład, garnęli się do hańby gnieźdzącej się tam, w wymiotach tej nory.

Przy jednym z pierwszych stołów, koło estrady, mała księżna de Harth siedziała promienna, z szalonymi oczyma, drżącymi nozdrzami, zachwycona, że nasyci wreszcie swoją niepohamowaną ciekawość, jaką budziły w niej niziny paryskie, zaś młody Hiacynt, który wreszcie zdecydował się ją tu przyprowadzić, bardzo poprawny w długim opiętym surducie, z miną pobłażliwą, usilnie starał się ukryć znudzenie. Oboje odnaleźli przed chwilą właśnie, przy sąsiednim stoliku, znajomego; był to Hiszpan, ów dość podejrzanany pośrednik giełdowy nazwiskiem Bergaz, który wprowadzony przez Janzena często bywał na przyjęciach u księżny. Poza tym nic o nim nie wiedzieli, nawet czy rzeczywiście na giełdzie zarabiał te sumy, które wydawał czasem pełnymi garściami, ubrany z przesadną elegancją, dość rasowy ze swoją wysoką, szczupłą sylwetką, z czerwonymi ustami lubieżnika i jasnymi oczami drapieżnej bestii. Pomawiano go o zdrotne obyczaje; dzisiejszego wieczoru towarzyszyło mu dwóch młodych ludzi: Rossi, mały i smagły Włoch

o bujnej czuprynie, który przybył do Paryża, aby pozować malarzom, i zapewnił sobie wygodną egzystencję uprawiając podejrzaną zawody, drugi zaś, Sanfaute, paryżanin, blade indywiduum z La Chapelle, bez zarostu, występny i szyderski; uczesany jak dziewczyna, jasne włosy miał przedzielone na dwa pasma, a loki okalały mu chude policzki.

— Och, panie — prosiła Bergaza gorączkowo Rozamunda —

pan, zdaje się, zna cały ten podejrzaną światek, proszę mi więc pokazać jakichś oryginalnych ludzi; niech mi pan powie na przykład, czy nie ma tu złodziei lub morderców? Śmiał się ze swoją drapieżną miną, drwiąc z niej.

— Ależ, księżno, pand zna ich wszystkich... Ta kobietka tak delikatna, różowa i śliczna, tam, to Amerykanka, żona konsula, którego pani zapewne przyjmuje u siebie. Druga, po prawej, wysoka brunetka, majestatyczna niby królowa, to hrabina, której powóz mija pani codziennie w Lasku. A ta szczupła, siedząca trochę dalej, z oczyma płonącymi jak u wilczycy, jest przyjaciółką pewnego wysokiego urzędnika, dobrze znanego z surowych zasad moralnych.

Rozczarowana, przerwała mu:

— Wiem, wiem... Ale inni, ci z dołów, których przychodzi się tu oglądać? I zadawała pytania, wypatrując twarzy strasznych i tajemniczych. Wreszcie, w którymś kącie, dwaj mężczyźni przyciągnęli jej uwagę: jeden bardzo młody, o twarzy bladej i ściągniętej, drugi nieokreślonego wieku, w starym, wysoko zapiętym paltocie ukrywającym nawet koszulę, w czapce tak głęboko wsuniętej na oczy, że z twarzy widać było tylko kawałek brody. Siedzieli we dwóch przy kuflach piwa, które sączyli powoli, w milczeniu.

— Moja droga — rzekł Hiacynt śmiejąc się szczerze — źleś trafiła, jeżeli *życzysz* sobie zobaczyć przebranych bandytów. Ten biedny, mizerny chłopak, który zapewne nie co dzień jada, był moim kolegą w liceum Condorcet.

Bergaz krzyknął ze zdziwienia:

— Znał pan Mathisa w Condorcet! Tak, to prawda, on skończył szkołę... Ach, zna pan Mathisa! To chłopak bardzo wybitny, ale dławi go nędza... Ale tego drugiego, który z nim siedzi, tego pan chyba nie zna?

Hiacynt przypatrzył się człowiekowi w nasuniętej czapce i już miał przecząco potrząsnąć głową, gdy nagle Bergaz trącił go łokciem, aby mu nakazać milczenie. I w formie wyjaśnienia dodał bardzo cicho:

— Ani słowa... Zbliży się Raphanel! Od pewnego czasu nie ufam mu. Z chwilą gdy on się zjawia, w powietrzu czuć policję.

Raphanel był to anarchista, jeszcze jedna z niepewnych i podejrzanych figur, jakie Janzen wprowadził do domu księżnej, aby zaspokoić jej chwilową namiętność rewolucyjną. Raphanel, człowieczek tęgi i wesoły, o twarzy lalkowatej, z dziecinnym noskiem ginącym wśród grubych policzków, uchodził za fanatyka i na zgromadzeniach publicznych z wielkim hałasem domagał się pożarów i mordów. Ale, rzecz dziwna, parę razy już skompromitowany, zawsze umiał się wykręcić, gdy tymczasem towarzysze jego zostawali pod kluczem, co zaczynało już być podejrzaną.

Natychmiast wesoło uściskał dłoń księżny, przysiadł się do niej nie proszony i zaczął wymyślać na tę podłą burżuazję, która szarga się w podejrzanych lokalach. Zachwycona Rozamunda zachęcała go, ale wokoło rozległy się głosy protestu. Bergaz swoim jasnym okiem przypatrywał mu się badawczo, z cichym podejrzliwym śmiechem, jak człowiek groźny, który działa

pozostawiając mówienie innym. Chwilami wymieniał z Sanfaute'em i Rossim, swoimi dwoma milczącymi adiutantami, nieznaczące porozumiewawcze spojrzenia; byli oni najwidoczniej oddani mu duszą i ciałem, towarzyszyli mu we wszelkiej rozpuszcie, we wszystkich zyskownych zamachach, gdzie jemu podobało się ich wciągnąć. Tylko oni czerpali zyski z anarchii, doprowadzali ją do końca, działając z okrutną logiką konsekwencji. A Hiacynt, który marzył o występku jako esteta, ale nie miał odwagi, nieprzytomnie zazdrościł fryzury Sanfaute'owi, jakikolwiek udawał, że patrzy na nią jako na rzecz zwykłą, którą był . już znudzony.

Tymczasem, wśród oczekiwania na Legrasa i jego *Kwiaty z bruku*, na estradzie kolejno ukazały się dwie śpiewaczki, jedna tęga, druga chuda; pierwsza zawodziła głupie a rozpustne romanse, druga wyśpiewywała bezczelne kuplety, brutalne jak policzki. Zakończyła wśród burzy oklasków, gdy nagle sala, rozweselona, spragniona śmiechu, wybuchnęła na nowo. To Sylwiana wchodziła do małej łoży w głębi. Gdy ukazała się stojąc w pełnym świetle, na wpół naga, podobna do gwiazdy, w sukni z żółtego atlasu, cała błyszcząca od diamentów, rozległ się straszliwy hałas, śmiechy, krzyki, gwizdy, protesty, pomieszane z ogłuszającymi oklaskami. I skandal stał się jeszcze większy, padały

grube słowa, gdy poza nią ujrzano trzech mężczyzn, Duvillarda, Gerarda i Dutheila, w białych plastronach i krawatach, godnych i poprawnych.

— Mówiliśmy ci, że tak będzie — mruknął Duvillaird, bardzo zirytowany tą awanturą, a Gerard usiłował ukryć się w cierniu.

Ale ona, uśmiechnięta, zachwycona, twarzą zwrócona do publiczności, przyjmowała tę burzę z niewinną miną szalonej dziewczyny, jak oddycha się ożywym powietrzem na pełnym morzu, wśród wichru. Ona stąd pochodziła, była to jej rodzinna atmosfera.

— No i co z tego? — odpowiedziała baronowi, który chciał ją skłonić, aby -usiadła. — Są weseli, to bardzo przyjemnie... Ach, świetnie się bawię!

— Ależ oczywiście, to bardzo przyjemne! — oświadczył Dutheil, który również poczuł się doskonale. — Ona ma słuszość, trzeba się z tego śmiać!

Pośród nieustających hałasów mała księżna de Harth, porwana entuzjazmem, wstała, aby lepiej widzieć. Potrząsnęła ramieniem Hiacynta.

— Zobacz, przecież to twój ojciec jest z tą Sylwianą! Popatrz na nich, popatrz na nich... Ależ on ma tupet, żeby się z nią tutaj pokazywać!

Hiacynt uwolnił się od niej, nie chciał wcale patrzeć. Nie interesowało go to, jego ojciec jest durniem — tylko smarkacz może się tak zadurzyć w dziewczce. I jego pogarda dla kobiety stała się obraźliwa.

— Drażnisz mnie, mój drogi — rzekła Rozamunda siadając znów, niemal na jego kolanach, postanowiła bowiem zmusić go, aby ją odprowadził i został u niej na noc pod pretekstem, że wypije u niej filiżankę herbaty. — To ty jesteś smarkaczem, który udaje, że gardzi kobietami... Twój ojciec słusznie robi kochając tę dziewczynę. Jest bardzo ładna; ja uważam, że jest urocza.

Wtedy Hiacynt zaczął drwić i zrobił aluzję do powszechnie znanej perwersji Sylwiany.

— Czy chcesz, abym poszedł jej kr powiedzieć?... Ojciec was pozna z sobą i będziecie tworzyć dobrą parę!

Gdy Rozamunda zrozumiała, wybuchnęła tylko śmiechem.

— Nie, nie, jestem ciekawa, ale do tego jeszcze nie doszłam.

— Dojdiesz pewnego pięknego dnia, trzeba poznać wszystko.

— Mój Boże, nic nie wiadomo!

Nagle hałas ucichł, każdy usiadł na swoim miejscu i już tylko było rozgorączkowane tętno sali. Właśnie Legras ukazał się na estradzie. Był to tęgi, blady typ w aksamitnej marynarce, z okrągłą twarzą, starannie wygoloną, ze wzrokiem twardym, ze szczęką samca, który budzi w kobietach uwielbienie, terroryzując je. Nie brakowało mu talentu, śpiewał dobrze, miał głos dźwięczny, przejmujący, o niezwykle patetycznej mocy. A repertuar, *Kwiaty z bruku*, ostatecznie wyjaśniał jego powodzenie, bo w jego pieśniach brud i cierpienie nizin, cała ohydna rana piekła społecznego wyła i wypluwała swój ból w plugawych słowach z krwi i ognia.

Zagrano na pianinie przygrywkę i Legras zaśpiewał *Koszulę*, rzecz przerażająca, która ściągała cały Paryż. Smagnięciami bata rozrywano tam w strzępy ostatnią koszulę biednej dziewczyny, której, ciało przeznaczone było do prostytucji. Cała rozpusta ulicy przemawiała w swej ohydzie z ostrością trucizny. I zbrodnia burżuazji wołała o pomstę nad tym ciałem kobiety wleczonym do błota, rzuconym do wspólnego dołu, udręczonym, zgwałconym i nagim. Ale pałace przekleństwo zawierało się nie tyle jeszcze w słowach, ile w sposobie, w jaki Legras ciskał je w twarz bogaczom, pięknym damom, szczęśliwcom tłoczącym się tutaj, aby go słuchać. Pod niskim sufitem, wśród fajkowego dymu, w oślepiającym jarzeniu się gazu, ciskał te wiersze raptownie jak plwocinę, w burzy wścieklej pogardy. A gdy skończył, wybuchło szaleństwo, piękne burżujki nie ocierały się nawet z obelżywej śliny, biły frenetyczne oklaski, sala tupiała nogami, chrypiała, tarzając się szaleńczo w swojej hańbie.

— Brawo, brawo! — powtarzała swoim przenikliwym głosem mała księżna. — Zdumiewające, zdumiewające! Cudowne!

Ale najgłośniej klaskała Sylwiana, której pijaństwo zdawało się wzmacniać, odkąd podniecał ją ten do białości rozpalony piec; wołała na całe gardło:

— To on, to mój Legras! Muszę go uściskać, sprawił mi taką przyjemność!

Duvillard, doprowadzony do zupełnej rozpacz, chciał ją siłą wyprowadzić. Sylwiana chwyciła się krawędzi łoża i krzyczała jeszcze głośnie, nie okazując zresztą gniewu, wciąż bardzo wesoła. I trzeba było parlamentować. *Zgodziła się wyjść i pozwolić, aby odwiózł ją do domu. Ale przedtem uparła się, że ucałuje Legrasa, swego starego przyjaciela.*

— Idźcie wszyscy trzej zaczekać na mnie w powozie. Zaraz tam przyjdę.

Ponieważ sala wreszcie się uspokajała, Rozamunda spostrzegła, że ci z łoża wychodzą, a że ciekawość jej została zaspokojona, sama też pomyślała, że każe się odwieźć Hiacyntowi. Hiacynt słuchał niedbale, nie bijąc braw, bo rozmawiał o Norwegii z Bergazem, który twierdził, że podróżował po krajach Północy. Ach, te fiordy, ach, te lodowe jeziora! ach, to czyste jak lilie, niepokalane zimno wiecznej zimy! Tylko tam, jak mówił Hiacynt, rozumiał on kobietę i miłość, pocałunek śniegu.

— Czy chciałby pan wyjechać ze mną jutro? — zawołała księżna ze swoim bezczelnym tupetem. — Odbylibyśmy tam naszą podróż poślubną... Porzucę dom, klucz wsunę pod drzwi.

I dodała, że oczywiście żartuje. Ale Bergaz wiedział, że zdolna jest do takiego wybryku. Gdy usłyszał, że chce pozostawić swój pałacyk zamknięty, zapewne bez dozorca, wymienił szybkie spojrzenia z Sanfaute'em i Rossim, którzy

wciąż milczeli i uśmiechali się tylko. Jakaż to okazja, jaka sposobność odzyskania wspólnego dobra skradzionego przez podłą burżuazję! Raphanel, który wprzód oklaskiwał Legrasa, zaczął teraz myszkować po sali szarymi, przenikliwymi oczkami. I dwaj mężczyźni, Mathis i ów drugi, nędznie ubrany, któremu widać było tylko część podbródka, zatrzymali na sobie jego uwagę. Nie śmieli się, nie oklaskiwali, siedzieli tam jak ludzie bardzo zmęczeni, którzy wypoczywają, przekonani, że najlepszym sposobem, aby zniknąć, jest wmieszać się w tłum.

Nagle Raphanel zwrócił się do Bergaza:

— Przecież to mały -Mathis! Z kim on tam siedzi?

Bergaz odpowiedział wymijającym gestem; nie wiedział. Ale nie spuszczał już oczu z Raphanela; widział, jak tamten demonstracyjnie nie zwraca już na nic uwagi, a potem opróżnia swój kufel i żegna się, mówiąc w formie żartu, iż pewna dama oczekuje go tuż obok, w poczekalni omnibusów. Gdy tylko Raphanel

zniknął, Bergaz wstał, przeskoczył przez ławki, rozepchnął ludzi, utorował sobie przejście aż do Mathisa i nachylił się do jego ucha. I Mathis natychmiast wstał od stolika, zabrał swego towarzysza, wypchnął go na zewnątrz przez zapasowe drzwi. Stało się to tak prędko, że nikt nie zauważył ich ucieczki.

— Co się dzieje? — spytała Bergaza księżna, gdy ten wrócił i spokojnie usiadł znowu pomiędzy Rossim i Sanfaute'em.

— Ależ nic, chciałem tylko uścisnąć rękę Mathisowi, który już wyszedł. Rozamunda oświadczyła, że też ma ochotę pójść do domu. Ale została jeszcze przez chwilę, znowu zaczęła mówić o Norwegii, widząc, że jedynie myśl o wiecznych lodach, o wielkim oczyszczającym zimnie pasjonuje Hiacynta.. W swoim poemacie pod tytułem *Koniec kobiety*, w tych trzydziestu wierszach, których postanowił nigdy nie dokończyć, wyroił sobie jako ostatnią dekorację las złodowaciałych świerków. I wstała, znów wesóło żartując, że zabierze go teraz do siebie na filiżankę herbaty, aby mogli omówić wyjazd, gdy Bergaz, który słuchał tego wszystkiego obserwując spod oka drzwi wejściowe, mimowolnie wydał okrzyk:

— Mondésir! Byłem tego pewien!

W drzwiach ukazał się człowiek niski, mocny i barczysty, którego okrągłą twarz z wypukłym czołem i płaskim nosem miała w sobie jakąś wojskową surowość. Wyglądał na przebranego po cywilnemu podoficera. Przepatrzył salę, wydawał się zakłopotany i zawiedziony.

Bergaz, chcąc zatrzeć swój okrzyk, mówił dalej swobodnie:

— Mówiłem, że tu pachnie policją... I patrzcie, jest policjant, Mondésir, zuch nie lada, który miał kiedyś kłopoty w pułku... Widzicie, jak węszy niczym pies, którego zawiódł jego nos... Idź, idź, mój chłopcze, jeżeli wskazano ci jakąś zwierzynę, możesz jej sobie szukać, ptaszek uleciał.

Gdy wyszli i Rozamunda zdołała nakłonić Hiacynta, aby jej towarzyszył, oboje ze śmiechem szybko wsiedli do zamkniętego powozu, który na nich czekał, gdyż zauważyli lando Sylwiany z dostojnym, nieruchomym woźnicą na koźle i trzech mężczyzn, Duvillarda, Gerarda i Dutheila, wciąż, jeszcze czekających na skraju chodnika. Stali tam już blisko dwadzieścia minut, w pół-

mroku bulwaru zewnętrznego, gdzie roiła się najpodlejsza prostytutka, plugawe występki biednej dzielnicy. Poszturchiwali ich pijacy, ocierały się o nich cienie dziewczek, które snuły się szepcząc, bite i przeklinane przez sutenerów. Haniebne pary szukały cienia drzew, siadały na ławkach, kryły się w obrzydliwie zaśmieconych kątach. Cała dzielnica była taka, pobliskie podejrzanym domy, sromotne pokoje umeblowane, nędzne izby rozpusty, bez szyb w oknach, bez prześcieradeł na materacach. Ogarniał ich i narodził wstręt wobec tego ludzkiego upodlenia, które aż do rana grzęźnie w tym czarnym błocie Paryża, ale ani baron, ani dwaj inni nie chcieli opuścić stanowiska. Uparta nadzieja kazała im wytrwać, każdy postanawiał, że zostanie na placu ostatni, że on właśnie odwiezie Sylwianę i że będzie ją miał dla siebie, zbyt pijaną, aby się broniła.

Wreszcie Duvillard. zniecierpliwił się rzekł do woźnicy:

— Juliuszu, proszę cię, pójdz zobaczyć, dlaczego pani nie schodzi.

— A konie, proszę jaśnie pana barona?

— Bądź spokojny, jesteśmy tutaj. Drobnym deszczyk zaczął mżyć. I oczekiwanie zaczęło się znowu, przeciągało się. Na chwilę zajęło ich nieprzewidziane spotkanie. Wydało im się, że jakiś cień, chuda postać w czerni otarła się o nich. Zdziwili się, gdy okazało się, że jest to ksiądz.

— Jak to, ksiądz Froment? — zawołał Gerard. — O tej godzinie? W tej dzielnicy?

Piotr, nie pozwalając sobie na zdziwienie, że ich tu spotyka, i nie pytając, co tu robią, wyjaśnił, że zasiedział się u księdza Rose, z którym odwiedził dom noclegowy. Ach, ta straszliwa nędza, która znajdowała schronienie w zapowietrzonych sypialniach, gdzie sam zwierzęcy zapach mógł przyprawić o mdłości, ci wszyscy ludzie, co zapadali tam w nicość ze zmęczenia i rozpacz, w tępych śnie padłych na ziemię zwierząt, aby wytrzeźwieć z ohydy życia! Niewiarogodne stłoczenie, ubóstwo wraz z cierpieniem, dzieci, mężczyźni i starcy, brudne łachmany żebraków obok wytartych surdutów wstydlivej nędzy, szczątki codziennej paryskiej katastrofy okrętu, nieróbstwo i występki, i nieszczęście, i niesprawiedliwość, które fala ponosiła i odrzucała wraz z brudną pianą! Niektórzy spali jak pomordowani, z martwą twarzą. Inni, leżąc na plecach z otwartymi ustami, chrapali, nie przestając skarżyć się na życie. Jeszcze inni nie mogli znaleźć wytchnienia, miotali się, walczyli nawet we śnie z wyolbrzymionymi koszmarami, ze zmęčeniami, zimnem, głodem, które przybierały monstrualne kształty. I nad tymi istotami leżącymi jak ranni żołnierze po bitwie, nad tym ambulansem życia, zatrutego fetorem zgnilizny i śmierci, unosiło się zamroczenie buntu, mściwa myśl o szczęśliwych sypialniach, o radościach bogaczy, którzy kochają lub odpoczywają o tej godzinie, w cienkich płótnach i koronkach. Na próżno Piotr i ksiądz Rose wśród stłoczonych nędzarzy szukali wysokiej postaci Starego, eks-stolarza, aby go wyłowić z tej kloaka i nazajutrz posłać do Schroniska dla Inwalidów Pracy. Był tam wieczorem, ale nie znalazł już miejsca, bowiem — rzecz straszna — to piekło było jeszcze przybytkiem dla wybranych. Musiał więc gdzieś tu być, opierał się o jakiś słup, leżał za jakimś płotem. Zmartwiony, nie mogąc przebrnąć podejrzanym ciemności, zacny ksiądz Rose wrócił na ulicę Cortot, a Piotr szukał dorożki, aby wrócić do Neuilly.

Drobny deszczyk wciąż padał, stawał się już lodowaty, gdy ukazał się wreszcie woźnica Juliusz i przerwał księdzu, który opowiadał baronowi i dwu pozostałym o grozie, jaką przejęły go odwiedziny w przytułku.

— No co, Juliuszu, gdzie pani? — zapytał Duvillard woźnicy, zaniepokojony, że widzi go samego.

Juliusz, niewzruszony, pełen szacunku, z ironią przejawiającą się jedynie w lekkim wykrzywieniu ust, odrzekł obojętnym tonem:

— Pani kazała powiedzieć, że zostaje i ofiarowuje powóz do dyspozycji jaśnie panów, jeżeli życzą sobie, abym ich odwiózł do domów.

Tym razem było tego za wiele, baron rozgniewał się. Wlec się do tej nory, czekać na nią w nadziei, że skorzysta z jej nietrzeźwości, a teraz przekonać się, że ta nietrzeźwość rzuca ją w ramiona jakiegoś tam Legras, nie, nie, miał tego dość; już ona drogo zapłaci mu za taką podłość! I zatrzymał przejeżdżającego fiakra, popchnął tam Gerarda i rzekł mu:

— Proszę odwieźć mnie do domu.

— Ale skoro ona zostawia nam powóz!... — wołał Dutheil, już pocieszony, śmiejąc się w duchu z tej przygody. — Wsiadajcie, jest miejsce dla trzech... Nie? Woli pan fiakra? Proszę bardzo!

Wsiadł z fantazją i odjechał rozparty na poduszkach, unoszony klusem dwóch wielkich cugantów, a tymczasem w starym, mocno trzęsącym fiakrze baron wyładowywał swoją złość, Gerard zaś, skąpany w mroku, nie przerywał mu ani słowem. Ona, którą obsypał dobrodziejstwami, która kosztowała go już blisko dwa miliony, wyrządzała mu taką obelgę, jemu, jemu, który był panem, rządził fortunami i ludźmi! Ostatecznie sama będzie sobie winna, poczuł się wolny, odetchnął głośno, jak człowiek wypuszczony z więzienia.

Piotr przez chwilę patrzył na oddalające się dwa pojazdy. Potem podszedł pod drzewa, aby schronić się przed deszczem i poczekać, aż nadjedzie inna dorożka. Biedny, walczący człowiek zaczynał wreszcie lodowacieć, wypełniony cały potworną paryską nocą, całą szlochającą tu rozpustą i smutkiem, luksusową prostytutką staczającą się do prostytucji nizin. A blade zjawy dziewczek wciąż snuły się, szukając chleba, aż jeden cień musnął go i szepnął mu do ucha:

— Niech ksiądz uprzedzi swego brata, policja depta po piętach Salvatowi, który lada godzina może zostać aresztowany.

Już cień się rozwiewał i drżącemu Piotrowi wydało się, że w świetle gazowego palnika poznaje drobną, suchą, bladą i ściągniętą twarz Wiktora Mathis. Jednocześnie stanęło mu przed oczyma widziane tam na górze, w cichej jadalni księdza Rose, łagodne oblicze pani Mathis, tak smutnej, tak zrezygnowanej, goniącej już ostatkami sił i drżącej od nadziei, jaką pokładała w synu.

III

Tego świątecznego czwartku półpościa, gdy wszystkie biura wielkiego gmachu stały pustką, Monferrand, minister spraw wewnętrznych, od godziny ósmej był już, sam, w swoim gabinecie. Tylko szwajcar strzegł jego drzwi, a dwaj woźni siedzieli w pierwszym przedpokoju.

Monferrand, zaledwie się obudził, doznał przykrew emocji. „Głos Ludu”, który poprzedniego dnia znów przypominał aferę Afrykańskich Kolei Żelaznych,

oskarżając Barroux, obecnego ministra finansów, że wziął dwieście tysięcy franków, dzisiaj kontynuował kampanię, pogłębiał skandal publikując od dawna zapowiadaną listę: trzydzieści dwa nazwiska deputowanych i senatorów, którzy sprzedali swoje głosy Hunterowi, człowiekowi Duvillarda, mitycznemu demoralizatorowi, który teraz zniknął, rozwiął się, był nieuchwytny. I oto Monferrand ujrzał się na czele listy, oceniony na sumę osiemdziesięciu tysięcy franków; obok nazwiska Fonsègue'a figurowała suma pięćdziesięciu tysięcy, po czym kwoty malały, wynosiły od dziesięciu tysięcy dla Dutheila do trzech tysięcy dla Chaigneux, głosu najmizerniejszego, a więc i najtańszego, w środku zaś mieścili się inni, przekupieni za pięć do dwudziestu tysięcy.

W podnieceniu Monferranda nie było ani zaskoczenia, ani gniewu. Po prostu dotąd nie wierzył, że Sanier posunie się w swojej warcholskiej pasji aż do ogłoszenia tej listy, tej kartki rzekomo wydartej z jakiegoś notatnika Huntera, pokrytej niezrozumiałymi hieroglificznymi znakami, które należałoby wpierw przedyskutować, wyjaśnić, aby wydobyć z nich istotną prawdę. Poza tym Monferrand był zupełnie spokojny, ponieważ sam nigdy nic nie pisał, nic nie podpisywał, wiedział bowiem, że ze wszystkich tarapatów można się wykręcić, bezczelnie nigdy się do niczego nie przyznając. Ale cóż za mętlik nastąpi teraz w bagnie parlamentarnym! Wiedział, że nieuniknioną jego konsekwencją, będzie obalenie rządu, który zostanie zmieciony przez ten nowy huragan donosicielstwa i plotek. Na szczęście, Izba w ten czwartek nie obraduje. Ale jutro Mège powtórzy swoją interpelację, zaś Vignon i jego przyjaciele skorzystają ze sposobności, aby przypuścić wściekły atak na upragnione teki ministerialne. I widział się już obalonym, wypędzonym z tego gabinetu, gdzie od ośmiu miesięcy czuł się doskonale, bez głupiej pyszałkowatości, szczęśliwy jedynie, że jest na swoim miejscu, jako mąż stanu, uważający się za dość wielkiego, aby ujarzmić i prowadzić tłumy. Odrzucił gazety pogardliwym gestem, wstał i przeciągnął się z pomrukiem drażnionego lwa. I chodził teraz wzdłuż i wszerz po obszernym pokoju urządzonym z oficjalnym zbytkiem mahoniowymi meblami, obitym zielonym adamaszkiem. Chodząc tak z rękami założonymi do tyłu, nie miał już bynajmniej ojcowskiej miny, swojej uśmiechniętej, nieco wulgarnej dobroduszości. Wyzierał z niego, przebijał grubą maskę brutalny zapaśnik o krótkim korpusie i szerokich barach. Zmysłowe usta, gruby nos, twardy wzrok mówiły, że jest pozbawiony wszelkich skrupułów, że ma stalową wolę i urodzony jest do ciężkich trudów. Co teraz zrobi? Czy pozwoli się wciągnąć w tę klęskę wraz z uczciwym i piorunującym Barroux? Może jego osobista sprawa nie jest jeszcze przegrana? Ale jak pozbyć się innych, aby samemu dobić do brzegu? Jak wylądować, gdy inni pójdą na dno? Ciężki problem, trudny manewr, którego, przejęty wściekłym pragnieniem utrzymania się przy władzy, szukał w najwyższym niepokoju.

Nie mógł nic wymyślić, przeklinał nagle przypląwy cnoty, jakie miewała ta głupia republika, a które — jego zdaniem — uniemożliwiały wszelkie rządzenie. Podobny idiotyzm ma hamować człowieka o jego inteligencja i sile! Spróbujcie więc rządzić ludźmi, skoro zabierze się wam pieniądze, to wszechmocne berło! I śmiał się gorzko sam do siebie, tak bardzo koncepcja sielankowego kraju, gdzie wielkie przedsięwzięcia dokonywałyby się drogą

uczciwą, wydawała mu się niedorzeczna. Nie wiedząc, co począć, pomyślał nagle, że mądrze byłoby porozmawiać z baronem Duvillard; znał go od dawna i pożałował teraz, iż nie zobaczył się z nim wcześniej i nie skłonił go, aby wszczął układy i kupił milczenie Saniera. W pierwszej chwili chciał napisać do barona krótki bilet i posłać go przez jednego z dyżurnych woźnych. Potem, wierny swojej nieufności do dokumentów pisanych, postanowił raczej posłużyć się telefonem, który dla własnego użytku kazał założyć na małym stoliku koło biurka.

— Czy mówię z panem baronem Duvillard?... Doskonale! Tak, to ja, minister Monferrand, i chcę prosić, aby zechciał pan jak najprędzej zobaczyć się ze mną... Wybornie, wybornie! Oczekuję pana!

Znów zaczął chodzić i rozważać. Ten Duvillard również ma głowę na karku i na pewno podsunie mu jakiś pomysł. I zagłębiał się w skomplikowane kombinacje, gdy wszedł woźny mówiąc, że pan Gascogne, szef Bezpieczeństwa, chce koniecznie mówić z panem ministrem. Pierwszą myślą Monferranda było, że przyszedł z Prefektury Policji, aby zapytać go, jakie środki jego zdaniem należy przedsięwziąć w dniu dzisiejszym wobec tego, że dwa pochody, płuczkarzy i studentów, miały w południe przedelfilować wśród cisnących się tłumów.

— Prosić pana Gascogne!

Wszedł człowiek wysoki, szczupły, bardzo silny brunet, wyglądający na wystrojonego odświętnie robotnika. Obojętny na pozór, doskonale obznajmiony z podszewką paryskiego życia, odznaczał się umysłem bystrym i metodycznym. Ale nawyki zawodowe bruździły mu trochę; wykazywałby się większą inteligencją, gdyby mniej wierzył, że ją posiada, i gdyby nie wyobrażał sobie, że wie wszystko.

Na wstępie wytłumaczył pana prefekta, który byłby się stawiał osobiście, gdyby nie zatrzymała go niewielka niedyspozycja. Może zresztą i lepiej złożyło się, że on sam powiadomi pana ministra o ważnej sprawie, którą znał gruntownie. I wyłożył tę ważną sprawę.

— Wydaje mi się, panie ministrze, że mamy wreszcie sprawcę zamachu przy ulicy Godot-de-Mauroy.

Monferrand, który dotąd słuchał z miną niecierpliwą, od razu się ożywił.

Bezowocne poszukiwania policja, ataki i żarty dzienników stanowiły jedno z jego codziennych utrapień. Powiedział ze swoją brutalną dobroduszością:

— O, to świetnie, przede wszystkim dla pana, panie Gascogne, gdyż byłby pan wreszcie stracił swoje stanowisko... Zaaresztowaliście tego człowieka?

— Jeszcze nie, panie ministrze. Ale już nie może się nam wymknąć, to sprawa kilku godzin.

I opowiedział całą historię, jak to agent Mondésir, poinformowany przez pewnego tajnego agenta, że anarchista Salvat znajduje się w szynku na Montmartre, poszedł tam, ale zbyt późno, bo ptaszek właśnie odfrunął; jak to później, gdy stał o sto kroków od knajpy i obserwował ją z daleka, przypadkiem natknął się znowu na Salvata; a gdy Salvat umknął, miał nadzieję, że pochwyci go w kryjówece wraz ze współnikami, i ścigał go aż do bramy Maillot, gdzie ów nagle, zapewne czując, że go tropią, rzucił się do ucieczki i wpadł do Lasku Bulońskiego. Tkwił tam od drugiej w nocy, na drobnym deszczu, który nie przestawał

padać. Zaczekano do rana, aby zorganizować nagonkę i zapolować na niego jak na dzikie zwierzę, które z samego już zmęczenia pozwole się schwytać. — Wiem, panie ministrze, jak interesuje się pan tym aresztowaniem, więc przyszło mi na myśl, aby tu przybiec po rozkazy. Agent Mondésir jest na miejscu i dowodzi obławą. Żałuje, iż nie udało mu się zatrzymać tego człowieka na bulwarze Rochechouart; ale jego pomysł, aby go tropić, był świetny, i zarzucić mu można to jedynie, że nie zabezpieczył się od strony Lasku Bulońskiego.

Salvat aresztowany, ów Salvat, o którym dzienniki trąbiły od trzech tygodni, oto był sukces, oto cios, który wywoła olbrzymią wrzawę! Monferrand słuchał i w głębi jego wielkich, nieruchomych oczu, poza grubą maską spoczywającego zwierzęcia, widać było pracę wewnętrzną, nagły wysiłek woli, aby obrócić na swoją korzyść zdarzenie, które nastęrczał mu przypadek.

Niejasno już uświadamiał sobie więź pomiędzy tym aresztowaniem a interpelacją Mège'a, tą inną aferą, mianowicie aferą Afrykańskich Kolei Żelaznych, która miała nazajutrz spowodować upadek rządu. I zarysowywała mu się pewna kombinacja; czy to nie jego szczęśliwa gwiazda zsyłała mu to, czego szukał, sposób wydobycia się z mętnej wody bliskiego przesilenia?

— Ale niech mi pan powie, panie Gascogne, czy jest pan pewien, że ten Salvat jest sprawcą zamachu?

— O, absolutnie pewien, panie ministrze. Przyzna się do wszystkiego w dorożce, zanim dowiożą go do Prefektury.

Zamyślony Monferrand zaczął znów chodzić po pokoju i w miarę jak mówił, myśli napływały mu do głowy z pełną rozwagi powolnością.

— Co rozkażę, mój Boże, co rozkażę? Więc przede wszystkim, abyście działali z wielką ostrożnością... Tak, nie wywołujcie najmniejszej paniki wśród spacerowiczów w Lasku. Starajcie się, aby aresztowanie przeszło niepostrzeżenie... I jeżeli wydobędziecie od niego zeznania, zatrzymajcie je dla siebie, nie przekazujcie ich prasie. O, polecam szczególnie, aby nie mieszać dzienników do tej sprawy... A wreszcie, proszę mnie stale informować, ale dla wszystkich poza tym niech to będzie tajemnicą, absolutną tajemnicą!

Gascogne skłonił się, ale minister zatrzymał go jeszcze, aby mu [powiedzieć, że jego przyjaciel, pan Lehmann, prokurator republiki, otrzymuje codziennie od anarchistów listy z pogrózkami, że wraz z rodziną wysadzą go w powietrze; wobec tego, mimo swojej odwagi, domaga się, aby jego domu strzegli policjanci ubrani po cywilnemu. Bezpieczeństwo już zorganizowało taki nadzór nad domem, w którym mieszka sędzia śledczy Amadiou. I o ile pan Amadiou jest ważną osobistością, pełnym uroku paryżaninem, wybitnym psychologiem i kryminologiem, a nawet w odpowiednich chwilach pisarzem, to znów prokurator republiki Lehmann, dorównujący mu zasługami wszelkiego rodzaju, jest jednym z tych sędziów-polityków, jednym z tych zdolnych i rozważnych Żydów, którzy kroczą bardzo uczciwie swoją drogą, opowiadając się zawsze po stronie władzy.

— Panie ministrze — rzekł z kolei Gascogne — mamy również tę sprawę Barthès'a... Na razie czekamy, ale może trzeba go będzie zaaresztować w tym małym domu w Neuilly?

Jeden z tych przypadków, które sprzyjają niekiedy policjantom i każą wierzyć w ich talent, wskazał mu tajemne schronienie Mikołaja Barthès, mały dom księdza Piotra Froment. Ale chociaż — odkąd zapanował terror anarchistów i

przerażenie ogarnęło cały Paryż — Barthèsa można było uwięzić w każdej chwili, po prostu jako osobnika podejrzanego, który mógł utrzymywać stosunki z rewolucjonistami, Gascogne nie ośmielił się go aresztować w domu księdza, którego cała dzielnica czciła jak świętego, dopóki nie miał na to formalnego rozkazu. Minister, zapytany o radę, utwierdził go energicznie w jego rezerwie wobec kleru, podejmując się osobiście załatwić tę sprawę.

— Nie, panie Gascogne, proszę tego nie robić! Zna pan moje uczucia, miejmy księży po naszej stronie, a nie przeciwko nam. Kazałem napisać do księdza Froment, aby przyszedł dziś rano, kiedy nie oczekuję nikogo. Porozmawiam z nim, to już nie pańska sprawa.

I pożegnał go, gdy woźny ukazał się znowu oznajmiając, że przyszedł pan premier.

— Barroux!... O, do licha! Panie Gascogne, proszę wyjść tędy, wolę, żeby nikt tutaj pana nie widział, gdyż życzę sobie, aby pan milczał w sprawie aresztowania Salvata... A więc ustaliliśmy

to, prawda? Ja jeden mam wiedzieć o wszystkim i proszę telefonować do mnie tutaj, bezpośrednio, jeżeli wydarzy się coś ważnego.

Zaledwie szef Bezpieczeństwa znikł w drzwiach prowadzących do sąsiedniego salonu, woźny znów otworzył drzwi z przedpokoju:

— Pan premier! Z wyciągniętymi rękami, ze skwapliwością, w której szacunek

i serdeczność były ściśle wyważone, Monferrand podszedł ku przybyłemu ze swoją szczerą i dobroduszną miną.

— Ach, drogi panie premierze, dlaczego pan się trudził? Byłbym stawiał się u pana, jeżeli pilno panu było mnie ujrzeć!

Ale Barroux niecierpliwym gestem odrzucił wszelkie ceremonie.

— Nie, nie, odbywałem na Polach Elizejskich moją codzienną pieszą przechadzkę i troski tak mnie osaczyły, że wolałem przyjść natychmiast... Pojmuje pan, że nie możemy pozostawać pod obuchem tego, co się dzieje. I w oczekiwaniu na Radę, która zbierze się jutro rano, a gdzie trzeba będzie ustalić plan obrony, uświadomiłem sobie, że my dwaj powinniśmy z sobą porozmawiać.

Usiadł w jednym fotelu, Monferrand zaś przysunął sobie drugi, aby zasiąść naprzeciw, od światła. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie twarzą w twarz. I o ile Barroux, starszy o dziesięć lat, siwy i uroczysty, ze swoją piękną wygoloną twarzą, śnieżnymi faworytami, zachowywał majestatyczną powagę władzy, postawę romantycznego członka Konwentu, która miała uszlachetnić zwyczajną lojalność mieszczanina, trochę niemądrego i poczciwego, o tyle Monferrand, ciężki a szczwany, o twarzy pospolitej, pod przesadną szczerością i prostotą ukrywał nieznane otchłanie, ciemną duszę lubieżnika i despoty pozbawionego litości i skrupułów.

Do głębi poruszony, Barroux sapał przez chwałę, krew uderzała mu do głowy, serce biło z oburzenia i gniewu na wspomnienie steku podłych obelg, jakimi „Głos Ludu” obrzucił go dziś rano.

— Otóż, drogi kolego, trzeba z tym skończyć, trzeba sprawić, aby ustała ta skandaliczna kampania... Zresztą domyśla się pan, co czeka nas jutro w Izbie. Teraz, gdy ogłoszono słynną listę, będziemy mieli na karku wszystkich malkontentów. Vignon ciska się...

— O, ma pan wiadomości o Vignonie? — zapytał Monferrand, który stał się bardzo czujny.

— Tak, przechodząc widziałem właśnie sznur powozów u jego bramy. Wszystkie te kreatury roją się od wczoraj i mnóstwo osób mówiło mi, że ta banda już się dzieli tekami. Gdyż nie wątpi pan chyba, że cnotliwy i nieposkromiony Mège będzie raz jeszcze wyciągać gorące kasztany z ognia. Trudno, my już jesteśmy martwi i chcą nas pochować w błocie, zanim zaczną wydzierać sobie spuściznę po nas. Teatralnym gestem wyciągnął rękę i mówił tonem oratorskim, jak gdyby stał na trybunie. Wzruszenie jego było jednak prawdziwe, łzy napływały mu do oczu.

— Ja, ja, który całe życie poświęciłem republice, który ją ustanowiłem, ocaliłem, teraz zostałem obrzucony błotem i zmuszony jestem bronić się przed ohydnyimi oskarżeniami! Ja mam być przeniewiercą, ja sprzedajnym ministrem, który otrzymał dwieście tysięcy franków od tego Huntera i po prostu schował je do kieszeni!... Owszem, była między nami rnowa o dwustu tysiącach franków! Ale trzeba powiedzieć, jak i w jakich warunkach. Zapewne tak samo było z panem, z tymi osiemdziesięcioma tysiącami franków, które jakoby wręczył panu...

Monferrand przerwał mu dobitnym tonem:

— Nie wręczył mi ani centyma!

Tamten, bardzo zaskoczony, spojrział na Monferranda, ale zobaczył tylko jego dużą brutalną głowę zatopioną w cieniu.

— Ach!... Sądziłem, że prowadził pan z nim interesy i że znał go pan prywatnie.

— Nie. Znałem Huntera, jak znali go wszyscy, nie wiedziałem nawet, że był agentem barona Duvillard w sprawach Afrykańskich Kolei Żelaznych, i nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

Było to tak nieprawdopodobne, tak niezgodne ze wszystkim, co mu było wiadome, że Barroux wobec tak oczywistego kłamstwa stracił na chwilę kontenans. Potem opanował się szybko i pozostawiając innych ich losowi, wrócił do własnej sprawy.

— O, mnie złożył on co najmniej dziesięć wizyt i do znudzenia gadał mi o tych swoich Afrykańskich Kolejach Żelaznych. Było to w okresie, gdy Izba miała uchwalić emisję akcji... I, drogi panie, widzę nas jeszcze, w tym pokoju, bo przypomina pan sobie, że miałem wówczas tekę spraw wewnętrznych, pan zaś wszedł akurat do robót publicznych... Ja siedziałem przy tym biurku, a Hunter właśnie tutaj, w tym fotelu, gdzie ja teraz. Tego dnia chciał zasięgnąć mojej rady co do zużytkowania znacznych sum, które bank Duvillarda miał wydać na reklamę; i widząc grube cyfry przeznaczone dla dzienników monarchistycznych, przypominam sobie, że wyraziłem niezadowolenie, słusznie uważając, że te pieniądze zostaną użyte na szkodę republiki; i wtedy, ulegając jego usilnym prośbom, sporządziłem również listę rozdzielając te słynne dwieście tysięcy franków pomiędzy dzienniki republikańskie, dzienniki zaprzyjaźnione, które wzięły te pieniądze za moim pośrednictwem, to prawda... I tak wygląda cała historia. — Wstał, uderzył się ręką w pierś, a głos, jego zabrzmiał jeszcze donośniej: — I teraz dość mam

już kalumnii i kłamstw... Wszystko to po prostu opowiem jutro w Izbie. To będzie moja. jedyna obrona. Uczciwy człowiek nie boi się prawdy. Teraz z kolei wstał Monferrand, z okrzykiem, w którym zdradzał całą swoją naturę:

—Ależ to nonsens, nie należy się nigdy przyznawać, niech pan tego nie robi!

Lecz Barroux, dumny i wspaniały, upierał się.

— Zrobię to. Zobaczymy, czy Izba nie przebaczy jednogłośnie staremu słudze wolności.

— A właśnie że nie, zakrzyczą pana i pociągnie pan za sobą nas wszystkich.

— Trudno! Padniemy godnie i uczciwie.

Monferrand W pasji machnął ręką. Potem nagle uspokoił się. Wśród trwożliwego zamętu, z którym borykał się od rana, doznał raptownego olśnienia. I wszystko zaczynało się klarować, plan jeszcze niewyraźny, który zrodził się w nim na wieść o bliskim aresztowaniu Salvata, dojrzał, rozrastał się w zuchwałą intrygę. Dlaczego miałby przeszkadzać upadkowi tego starego dzieciaka Barroux? Ważne było tylko to, aby nie paść razem z nim albo przynajmniej szybko się podnieść. Zamilkł, żuł tylko jakieś głuche słowa, w których zdawał się wygasać jego sprzeciw. Wreszcie powiedział ze swoją szorstką dobroduszością:.

— Mój Boże, mimo wszystko może pan ma słuszość. Trzeba zdobyć się na odwagę. A zresztą, drogi panie premierze, jest pan naszym zwierzchnikiem, pójdziemy za panem.

Obaj mężczyźni znowu zasiedli naprzeciw siebie i rozmowa toczyła się dalej, aż wreszcie doszli do serdecznego porozumienia w związku z postawą, jaką przyjmie gabinet wobec niechybnej jutrzejszej interpelacji.

Tej nocy baron Duvillard nie zmrużył oka. Odstawiony przez Gerarda pod dom, położył się szybko do łóżka, jak człowiek, który chce gwałtem przywołać sen, aby znaleźć zapomnienie i odzyskać siły. Ale sen nie przyszedł, baron daremnie oczekiwał go przez długie godziny, pożerany bezsennością, z ciałem płonącym od zniewagi, jaką wyrządziła mu Sylwiana. Tak jak to *już* wypowiedział odjeżdżając, było czymś niesłychanym, że ta dziewczka, wzbogacona, dzięki niemu opływająca we wszystko, rzucała mu w twarz takie błoto, jemu, władcy, który chełpił się, że ma w kieszeni Paryż i republikę, który kupował sumienia, - jak kupiec skupuje wełnę lub skóry, żeby zagrać na giełdzie. I głucha świadomość, że Sylwiana jest jego mścicielską hańbą, że jest jego zgnilizną, jego, który gorszy innych, wzburzyła go ostatecznie. Na próżno usiłował uwolnić się od tej prześladawczej myśli, przywołać na pamięć interesy, jutrzejsze spotkania, miliony, które zgarniał po całym świecie, wszechmoc pieniądza, która oddawała mu w ręce losy narodów. Zawsze i mimo wszystko powracała Sylwiana, obryzgiwała go swoimi występkami. Spróbował rozpaczliwie chwycić się wielkiej operacji finansowej, którą przygotowywał od miesięcy, słynnej Kolei Transsaharyjskiej, kolosalnego przedsięwzięcia, które miało obracać miliardami i zmienić oblicze ziemi. Ale znów pojawiała się Sylwiana, policzkowała go dwukrotnie małą dłonią umaczaną w rynsztoku. Nad ranem jednak wreszcie zdrzemnął się powtarzając raz jeszcze w furii przysięgę, że nie zobaczy się z nią już nigdy, odepchnie ją nogą, gdyby nawet przyszła czołgać się u jego kolan. O godzinie siódmej, gdy się obudził, zmordowany, w

rozleniwiającej, wilgoci prześcieradeł, pierwszą jego myślą była ona; o mało nie uległ słabości. Gotów był biec, upewnić się, czy wróciła, zaskoczyć ją we śnie, pogodzić się z nią i przy okazji posiadać ją na nowo. Ale wyskoczył z łóżka, wziął zimny tusz, odzyskał zwykłą brawurę. Ona była nędznicą, tym razem uważał

się za wyleczonego na zawsze. I rzeczywiście w końcu zapomniał o niej, gdy otworzył poranne dzienniki. Ogłoszenie listy w „Głosie Ludu” zaskoczyło go, bo dotychczas nie wierzył, aby Sanier istotnie ją posiadał. Jednym spojrzeniem ocenił dokument, parę prawd, jakie zawierał, pomieszanych z całą masą niedorzeczności i kłamstw. On tym razem jeszcze nie czuł się trafiony. W gruncie rzeczy bał się tylko jednego: aresztowania swego pośrednika Huntera, którego proces mógł wciągnąć w sprawę i jego. Ze spokojną i uśmiechniętą miną nie przestawał sobie powtarzać, że zrobił tylko to, co robią wszystkie banki, gdy wypuszczają jakieś akcje: płacą wtedy prasie za reklamę, posługują się pośrednikami, wynagradzają dyskretne usługi oddane sprawie. Był to interes, i to w zupełności go tłumaczyło. Zresztą był tęgim graczem, z oburzeniem i pogardą wyrażał się o bankierze, który podczas niedawnego skandalu, przerażony, przyparty do muru, doprowadzony do ruiny przez szantażystów, uważał, że rozstrzygnie sprawę popełniając samobójstwo; żalony dramat, kałuża błota i krwi, z której wyrósł nowy ogromny skandal niby bujna i niezniszczalna vegetacja. Nie, nie, on utrzyma się na nogach, będzie walczył do kresu sił, do ostatniego grosza!

Okolo dziesiątej dzwonek wezwał go do prywatnego telefonu umieszczonego na biurku. I szaleństwo ogarnęło go na nowo, przeszła go myśl, że to mogłaby być Sylwiana. Często zabawiała się takim przeszkadzaniem mu w najpoważniejszych zajęciach. Zapewne właśnie wróciła, zrozumiała, że posunęła się za daleko, i chciała uzyskać przebaczenie. Później, gdy usłyszał, że to Monferrand zaprasza go do ministerstwa, uczuł lekki dreszcz człowieka raz jeszcze uratowanego z ziejącej tuż przed nim przepaści. Żwawo kazał sobie podać kapelusz, laskę, zapragnął przejść się, zastanowić się na wolnym powietrzu. I znowu zagłębił się w komplikacjach skandalicznej afery, która miała poruszyć parlament i cały Paryż. Zabić się? O nie! To było głupie i tchórzliwe. Mogło dokoła powiać grozą, on czuł w sobie mocnego ducha, wolę panującą nad wydarzeniami, gotów był bronić się jak władca, który nie zamierza nic ustąpić ze swoich uprawnień.

Tę grozę przeciągającą niby burza uczuł Duvillard, gdy wszedł do przedsionka ministerstwa. „Głos Ludu” swoją straszliwą listą zmroził serca winowajców i wszyscy bledli, wszyscy przybiegali w popłochu, czując, że grunt usuwa się im spod nóg. Pierwszym, którego zobaczył, był Dutheil. Zgorączkowany, przygryzał jedwabistego wąsa, twarz miał ściągniętą nerwowym tikiem, usiłując mimo wszystko uśmiechać się. Duvillard zgromił go; błędem było przychodzić tutaj po nowiny z tak przerażoną miną. I Dutheil, odzyskując animusz dzięki samym już tym szorstkim słowom, zaczął się bronić, przysięgał, że nawet nie czytał artykułu Saniera, że po prostu wstąpił, aby polecić ministrowi pewną znajomą damę. Baron podjął się załatwić tę sprawę i kazał mu pójść do domu, życząc dobrej zabawy w ten świąteczny czwartek. Ale politowanie wzbudził w nim przede wszystkim Chaigneux z trudem trzymający się na nogach, jakby zgięty pod

ciężarem swej długiej końskiej głowy, i tak brudny, tak przygnębiony, że można go było wziąć za starego żebraka. Gdy poznał barona, podbiegł i przywitał go z uniozoną skwapliwością.

— Ach, panie baronie, jacy ludzie są źli! To moja śmierć, mordują mnie. I co się stanie z moją żoną, z moimi trzema córkami, dla których jestem jedynym oparciem!

Włożył w ten lament całą swoją historię pechowca, który padł ofiarą polityki, gdyż popełnił to szaleństwo, że opuścił Arras i kancelarię adwokacką, aby odnosić triumfy w Paryżu wraz ze swoimi czterema kobietami, jak mówił, z żoną i trzema córkami, których był już odtąd tylko pokornym sługą, przerażonym swoimi stałymi kłeskami miernoty. Ach, wielki Boże! Bardzo chciał być uczciwym deputowanym, lecz stale w potrzebie, zawsze w poszukiwaniu stufrankowego banknotu, był deputowanym z musu sprzedajnym, tak żaloszny i stale łajany przez swoje cztery kobiety, że byłby dla nich zgarniał pieniądze, gdziekolwiek by się dało.

— Proszę sobie wyobrazić, panie baronie, że znalazłem wreszcie męża dla mojej najstarszej córki. Jest to pierwsza dobra okazja, jaka rai się trafia, zostałyby ich już w domu tylko trzy... Ale pojmuje pan, jak katastrofalne wrażenie wywrze na rodzinie młodego człowieka ten dzisiejszy artykuł. I przybiegłem do pana ministra błagać go, aby dał miejsce sekretarza memu przyszłemu zięciowi... Ta posada, którą mu przyrzekłem, może jeszcze wszystko uratować.

Był tak nędzny, mówił głosem tak płacziwym, że Duvillard postanowił zrobić jeden ze swoich dobrych uczynków, na jakie umiał się zdobywać w odpowiednich okolicznościach, a w których lokował swoją protekcję i swoje pieniądze na dobry procent. Zawsze dobrze jest mieć do dyspozycji tafcie pechowe kreatury, bo można sobie z nich zrobić, kawałek chleba, parobków i wspólników. Również i tego odprawił do domu biorąc na siebie jego sprawę, jak to uczynił z Dutheilem. I dodał, że będzie go oczekiwał jutro, bo chce z nim pomówić, pomóc mu w wydaniu za żonę jednej z córek.

Chaigneux wietrząc pożyczkę rozplęwał się w podziękowaniach.

— Ach, panie baronie, moje życie będzie za krótkie, abym mógł się uiścić z takiego długu wdzięczności!

Gdy Duvillard odwrócił się, z wielkim zdziwieniem zobaczył w kącie przedpokoju księdza Froment, który też tutaj czekał. Ten jednakże nie należał do podejrzanych, chociaż i on udając, że czyta gazetę, zdawał się ukrywać głęboki lęk. Baron zbliżył się, uściśnął rękę księdza, przemówił do niego serdecznie. I Piotr opowiedział mu, że otrzymał list, w którym proszono go, aby stawił się u ministra; nie wiedział, w jakiej sprawie, mówił o swoim wielkim zdziwieniu, śmiał się nie chcąc zdradzać zaniepokojenia. Czekał od kwadransa. Oby tylko nie zapomniano o nim tutaj, w tym przedpokoju.

Szybko wszedł woźny.

— Pan minister oczekuje pana barona. W tej chwili jest u niego pan premier, ale gdy tylko pan premier wyjdzie, mam rozkaz wprowadzić pana barona. Prawie natychmiast wyszedł Barroux i gdy Duvillard miał wejść, Barroux poznał go i zatrzymał. Z goryczą zaczął mówić o aferze, oburzony, że znalazł się pod obuchem oszczerstwa. Czyż Duvillard nie zaświadczy, jeśli zajdzie potrzeba, że on, Barroux, nigdy osobiście nie tknął ani centyma? Zapomniał, że zwraca się do bankiera i że sam jest ministrem finansów, i wyraził cały

swój wstręt do pieniądza. Ach, interesy, co za mętna woda, zatruta i brudząca! Ale powtarzał, iż spoliczkuje oszczerców i że tutaj wystarczy powiedzieć prawdę.

Duvillard słuchał i przyglądał się mu. I myśl o Sylwianie nagle znów go nawiedziła, zaczęła go dręczyć, on zaś nie zrobił najmniejszego wysiłku, aby ją odegnąć. Myślał, że gdyby Bar-roux był naprawdę chciał i działał zgodnie z jego życzeniem, Sylwiana byłaby teraz w Komедii Francuskiej i na pewno godna pożałowania wczorajsza historia nie wydarzyłaby się. Zaczynał już uważać się za winnego, bo gdyby zadowolili kaprys Sylwiany, ona nie rzuciłaby go tak podle.

— Wie pan, panie premierze, mam do pana urazę — rzekł przerywając tamtemu.

Barroux, zdziwiony, z kolei popatrzył na niego.

— Jak to? Pan ma do mnie urazę? O cóż to?

— O to, że nie pomógł mi pan, pamięta pan, w sprawie tej mojej przyjaciółki, która pragnie zadebiutować w *Polieukcie*.

Barroux uśmiechnął się wyrozumiale, uprzejmie.

— Ach tak, Sylwianie d'Aulnay! Ale, drogi panie, Taboureau stanowczo się sprzeciwił. On jest ministrem sztuki, to była wyłącznie jego sprawa. Byłem bezsilny, to człowiek nadzwyczaj uczciwy, który spadł nam tutaj z jednego z prowincjonalnych uniwersytetów i jest pełen skrupułów... Ja jestem stary paryżanin, rozumiem wszystko, byłbym zachwycony mogąc panu wyświadczyć tę uprzejmość.

Wobec tej nowej przeszkody, jaką napotykała jego żądza, Duvillard znowu uległ swojej namiętności i zapragnął natychmiast otrzymać to, czego mu odmawiano.

— Taboureau, Taboureau, oto ładny balast, którym obciążyliście się, panowie! Uczciwy! Czyż wszyscy nie są uczciwi? Ale przecież, drogi ministrze, jest jeszcze czas, niech pan nakaże nominację Sylwiany, a to przyniesie panu jutro szczęście.

Tym razem Barroux nie krępując się wybuchnął śmiechem.

— Nie, nie, nie mogę opuścić Taboureau w takiej chwili!... Ludzie z nadto by się tym bawili. Rząd obalony lub uratowany zależnie od sprawy Sylwiany! Wyciągnął rękę, aby się pożegnać. Baron uściskał ją, przytrzymał jeszcze chwilę i trochę pobladły rzekł bardzo poważnie:

— Niesłusznie pan się śmieje, drogi ministrze! Gabinety upadały lub utrzymywały się dla jeszcze błahszych przyczyn. Jeżeli padniecie jutro, życzę, aby pan nigdy tego nie pożałował!

I popatrzył za oddalającym się, głęboko dotknięty jego żartobliwą miną, rozdrażniony myślą, że coś jest dla niego naprawdę niemożliwe. Oczywiście, nie chodziło mu o pogodzenie się z Sylwiana, ale przysięgał sobie, że wywróci wszystko, jeśli zajdzie potrzeba, i pośle jej podpisany kontrakt, ze zwyczajnej zemsty, jak policzek, tak, policzek! Miał to być moment rozstrzygający.

W tej chwili Duvillard, który odprowadzał wzrokiem Barroux, zdziwił się na widok wchodzącego Fonsègue'a, tak manewrującego, aby premier go nie zauważył. Udało mu się to; wszedł do przedpokoju, wzrok miał mętny, cała jego niewielka postać, tak zazwyczaj żywa i sprytna, wyrażała popłoch.

Wicher trwogi nie nacichał i przywiał tutaj także i jego.

— Nie zauważył pan swego przyjaciela Barroux? — spytał baron, zaintrygowany.

— Barroux? Nie!

I to spokojnie wypowiedziane kłamstwo wystarczyło za całą spowiedź. Mówili sobie z Barroux po imieniu, Fonsègue popierał go w swoim dzienniku od dziesięciu lat, wyznawali te same idee, tę samą religię polityczną. Ale w obliczu klęski musiał dzięki swojemu wspaniałemu wężowi zmiarkować, że teraz musi zdradzić przyjaciela, jeżeli nie chce sam również zginąć pod gruzami. Nie po to przez długie lata z taką przezornością i zręcznością utwierdzał byt najbardziej godnego i szanownego dziennika, aby teraz miała go zgubić niezręczność jakiegoś tam uczciwego człowieka.

— Zdawało mi się, że pan gniewa się z Monferrandem — mówił dalej Duvillard. — Cóż pan więc tutaj robi?

— Och, drogi baronie, dyrektor wielkiego dziennika nie gniewa się na nikogo. Jest w służbie swego kraju.

Mimo że nękały go osobiste troski, Duvillard nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Ma pan słuszość. A poza tym Monferrand jest człowiekiem naprawdę silnym, którego można podtrzymywać bez obawy.

Na te słowa Fonsègue zastanowił się, czy nie widać po nim, że jest w strachu. On, tęgi gracz, nigdy nie tracący kontroli nad swoją grą, przeraził się czytając artykuł w „Głosie Ludu”. Po raz pierwszy w życiu czuł się wydany na łup denuncjacji, ponieważ popełnił niewybaczalną lekkomyślność, pisząc bilet liczą-

cy zaledwie trzy linijki. Pięćdziesiąt tysięcy franków, które Barroux polecił przekazać mu dla jego dziennika z owych dwustu tysięcy franków przeznaczonych dla prasy, nie budziły w nim żadnej obawy. Ale drżał, aby nie wykryto innej afery, sumy, jaką sam otrzymał w podarunku. Odzyskał trochę zimnej krwi dopiero pod byстрыm wejrzeniem barona. Głupią rzeczą byłoby nie umieć kłamać i przyznawać się samym już swoim wyglądem. Podszedł do nich woźny.

— Przypominam panu baronowi, że pan minister oczekuje go. Zostawszy sam z księdzem Froment, Fonsègue, gdy go tylko zobaczył, poszedł usiąść koło niego, z kolei dziwiąc się, że go tutaj zastaje. Piotr powtórzył, że otrzymał coś w rodzaju listu-wezwania, ale nie może domyślić się, co minister ma mu do powiedzenia. I jego niecierpliwość, aby dowiedzieć się, o co chodzi, zdradzała się w lekkim drżeniu rąk. Ale trzeba było czekać, skoro rozstrzygały się tak ważne sprawy.

Monferrand na widok wchodzącego Duvillarda natychmiast podszedł ku niemu z wyciągniętymi rękoma. On, ze swoją stale pogodną miną, nawet w wirze przerażenia zachowywał dobroduszny i uśmiechnięty wyraz twarzy.

— No, cóż za historia, mój drogi baronie!

— To idiotyczne — oświadczył zwięźle baron wzruszając ramionami.

I usiadł w fotelu, który przed chwilą opuścił Barroux, minister zaś powrócił na swoje miejsce naprzeciwko niego. Obaj byli jak stworzeni, aby się zrozumieć, obaj z tymi samymi desperackimi gestami, wśród tych samych gwałtownych oskarżeń oświadczała, iż zarówno rządzenie, jak interesy są odtąd niemożliwe, skoro żąda się od ludzi cnoty, której oni wcale nie mają. Czyż we wszystkich epokach, pod wszystkimi rządami, kiedy Izba miała

wypowiedzieć się na temat jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia finansowego, naturalna, legalna taktyka nie nakazywała zrobić wszystko, aby rzecz przeprowadzić? Należy przecież zapewnić sobie wpływy, zaskarbić sympatię, a wreszcie zdobyć głosy! Otóż wszystko trzeba kupować, zarówno ludzi, jak całą resztę, jednych opłacać dobrym słowem, innych protekcją lub pieniędzmi, podarkami mniej lub więcej zamaskowanymi. I przypuścimy, że w tych targach ktoś posunął się trochę za daleko, że pewnym pośrednikom zbywało na ostrożności, czy rozsądną rzeczą było robić tyle hałasu, czyż silna władza nie powinna by przede wszystkim zatuszować skandal, a to z pobudek patriotycznych, nawet w interesie samego porządku?

— Ależ oczywiście! Ma pan po stokroć słuszność! — wołał Monferrand. — Ach, gdybym ja miał władzę, zobaczyłby pan piękny pogrzeb pierwszej klasy! Potem, ponieważ Duvillard uparcie na niego patrzył, uderzony ostatnimi jego słowami, mówił dalej, z uśmiechem:

— Na nieszczęście, nie mam władzy i tylko, aby trochę pogadać z panem o sytuacji, pozwoliłem sobie trudzić pana barona... Barroux, który właśnie stąd wyszedł, był, jak mi się wydało, bardzo przygnębiony.

— Tak, spotkałem go przed chwilą, ma on czasem tak osobliwe pomysły... — I baron sam sobie przerwał, aby rzec: — Wie pan, Fonsègue czeka tutaj, w przedpokoju. Ponieważ na pewno chce zawrzeć pokój, proszę posłać po niego; Nie będzie tu zbyt cenny, to człowiek dobrej rady i sam już jego dziennik może zapewnić zwycięstwo.

— Jak to? Fonsègue jest tutaj?! — zawołał Monferrand. — Ależ niczego nie pragnę bardziej jak uściskać mu dłoń. Te stare historie nie obchodzą już nikogo! Wielki Boże, gdyby pan wiedział, jak ja nie umiem zachowywać uraz! Gdy woźny wprowadził Fonsègue'a, zgoda nastąpiła w sposób zupełnie naturalny. Znali się jeszcze z kolegium, z rodzinnego Corrèze, a nie mówili z sobą od lat dziesięciu na skutek jakiejś obrzydliwej historii, której szczegółów nikt dokładnie nie znał. Ale bywają chwile, kiedy trzeba grzebać trupy, aby oczyścić pole przed nową bitwą.

— To miło, że przyszedłeś pierwszy! A więc przeszłość pogrzebana, nie masz już do mnie urazy?

— Ależ nie! Po co się zwalczać, kiedy w naszym interesie jest porozumieć się? Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, przystąpiono do wielkiej sprawy, narada się zaczęła. A gdy Monferrand oznajmił, że Barroux chce się przyznać, tłumaczyć się ze swego postępowania, dwaj inni głośno zaprotestowali.

Oznaczałoby to niechybny upa-

dek; już oni potrafią mu w tym przeszkodzić, nie zrobi podobnego głupstwa! Następnie przedyskutowali wszystkie możliwe środki uratowania zagrożonego rządu, skoro to było. jedynym pragnieniem Monferranda. I on sam udawał, że namiętnie szuka sposobu, aby wybawić z kłopotu kolegów i siebie, chociaż w kącikach ust wciąż błąkał mu się lekki uśmieszek. Wreszcie zrezygnował jakby, porzucił swoje dociekania.

— Trudno, rząd leży!

Dwaj pozostali popatrzyli na siebie, bojąc się pozostawić nieznanemu jeszcze gabinetowi sprawę Afrykańskich . Kolei Żelaznych. Gabinet Vignona będzie na pewno ambicjonował się, aby pozostać uczciwy.

— A więc jak? Co zrobimy?

Ale w tej chwili rozległ się dzwonek telefonu i Monferrand powstał na to wezwanie.

— Panowie pozwolicie?

Przez chwilę słuchał, odpowiadał do aparatu, ale z krótkich jego odpowiedzi i pytań nie można było wywnioskować, co mu oznajmiono. Był to szef Bezpieczeństwa, który dotrzymując obietnicy telefonował mu, że właśnie odnaleziono ślad wiadomego człowieka w Lasku Bulońskim i że obława zostanie przeprowadzona z całą bezwzględnością.

— Doskonale i proszę pamiętać o moich zarządzeniach!

Następnie Monferrand, którego plan powoli rozbudowywany wreszcie się skryształizował, pewien teraz, że Salvat zostanie aresztowany, wrócił na, środek obszernego pokoju i rzekł ze zwykłą swoją bezceremonialnością:

— Cóż chcecie, kochani przyjaciele, byłoby dobrze, żebym ja był panem sytuacji. Ach, gdybym nim był!... Komisja śledcza... tak... Równa się to pogrzebowi pierwszej klasy dla tych wielkich, tak ohydnych afer. Ja nie przyznałbym się do niczego i postarałbym się o mianowanie komisji śledczej. Zobaczylibyście panowie, że ta straszna burza zaraz rozeszłaby się po kościach.

Duvillard i Fonsègue roześmieli się, a Fonsègue dzięki temu, że doskonale znał Monferranda, odgadł niemal, co się święci.

— Posłuchaj no, jeżeli nawet rząd leży, nie znaczy to, że ty leżysz wraz z nim... Gabinet można zreperować, jeśli jego poszczególne części są w dobrym stanie.

Monferrand, niespokojny, że go odgadnięto, zaczął się wypierać.

— Ach nie, nie, mój drogi, ja nie prowadzę takiej gry! Wszyscy jesteśmy solidarni, do diabła!

— Solidarni, owszem, ale nie z naiwnymi, którzy dobrowolnie idą na dno! Bo, ostatecznie, jeżeli my ciebie potrzebujemy, mamy prawo uratować cię wbrew twojej woli... Nieprawdaż, mój drogi baronie?

A ponieważ Monferrand, nie protestując więcej, usiadł z wyczekującą miną, Duvillard, znowu we władzy swojej namiętności, czując nowy przyływ gniewu na wspomnienie odmowy, z jaką się spotkał ze strony Barroux, zawołał wstając z kolei:

— Ależ oczywiście! Jeżeli gabinet jest skazany, niech więc upada!... Czego można się spodziewać po rządzie, w którym jest taki Taboureau? Stary tępy belfer, bez żadnego autorytetu; przybył do nas z Grenobli, i takiemu powierza się teatry, chociaż noga jego tam nie postąpiła! Oczywiście robił jedno głupstwo za drugim!

Monferrand, doskonale zorientowany w sprawie Sylwiany, zachował powagę i zabawiał się przez chwilę podniecając barona.

— Taboureau to profesor niezbyt błyskotliwy, trochę staroświecki, ale ze wszech miar odpowiedni dla resortu oświaty; jest tam na swoim miejscu.

— Dajże mi pan spokój, mój drogi! Jest pan zbyt inteligentny, aby bronić takiego Taboureau, jak to czyni Barroux... Owszem, bardzo mi zależy na debiucie Sylwiany. W gruncie rzeczy jest niezwykle miła i ma ogromny talent. A pan, czy pan by się temu sprzeciwiał?

— Ja? Ależ słowo daję, że nie! Ładna dziewczyna w teatrze to przecież przyjemność dla wszystkich, nie mam co do tego żadnych wątpliwości!...

Tylko trzeba by mieć w Ministerstwie Oświaty człowieka, który myślałby podobnie jak ja.

Znów lekko się uśmiechał. Nie była to wysoka cena: zapewnić sobie Duvillarda i całą wszechmoc jego milionów, godząc się na debiut tej dziewczyny. Zwrócił się do Fonsègue'a, jak gdyby zasięgając jego rady. Ten, z powagą, czując wielką doniosłość sprawy, *rozważał*, zastanawiał się.

— Jeśli chodzi o Ministerstwo Oświaty, najlepiej nadałby się tam któryś z senatorów... Ale nie widzę nikogo, absolutnie nikogo, kto odpowiadałby koniecznym warunkom. Powinien to być człowiek z otwartą głową, wolny od przesądów, prawdziwy paryżanin, który jednak jako zwierzchnik uniwersytetu nie dziwiłby zbyt nikogo... Jest co prawda Dauvergne... Monferrand, zaskoczony, zawołał:

— Kto taki, Dauvergne?... Ach tak, Dauvergne, senator z Dijon... Ależ on nie ma pojęcia o sprawach uniwersyteckich, nie ma najmniejszych kwalifikacji.

— Do licha! — mówił Fonsègue. — Muszę się zastanowić... Dauvergne dobrze się prezentuje, jest wysoki, blondyn, okazały. A poza tym, jak wiecie, jest niesłychanie bogaty, ma uroczą młodą żonę, co można tylko zapisać na jego dobro, i urządza prawdziwe uczyty w swoich apartamentach na bulwarze Saint Germain.

On sam w pierwszej chwili z wahaniem rzucił to nazwisko. Lecz stopniowo jego wybór wydawał mu się coraz trafniejszy.

— Czekajcie no, przypominam sobie, że Dauvergne w młodych latach wystawił w Dijon sztukę, jednoaktówkę wierszem. A Dijon to miasto lubiące literaturę, co stwarza wokoło Dauvergne'a jakąś aurę literacką. Nie mówiąc już o tym, że od dwudziestu lat noga jego w Dijon nie postąpiła i że jest zaprzysięgłym paryżaninem, popularnym we wszystkich środowiskach... Dauvergne zrobi wszystko, czego od niego zechcą. Powiadam wam, że to człowiek jak stworzony dla nas.

Duvillard oświadczył, że go zna i uważa za bardzo odpowiedniego kandydata. A zresztą, ten czy inny!

— Dauvergne! Dauvergne! — powtarzał Monferrand. — Mój Boże, ostatecznie, dlaczego by nie... Może okazać się bardzo dobrym ministrem. Niech będzie Dauvergne! — A potem nagle wybuchnął głośnym śmiechem. — I oto przerabiamy gabinet, aby ta miła osóbką mogła dostać się do Komedi Francuskiej. Gabinet Sylwiany... Dobrze, a inne teki?

Żartował wiedząc, że wesołość często ułatwia trudne decyzje. I rzeczywiście wśród żartów dalej uzgadniali szczegółowo, co należałoby zrobić, gdyby rząd istotnie padł nazajutrz. Chociaż nie powiedzieli tego wyraźnie, plan polegał na tym, aby pozwolić upaść Barroux, nawet się do tego przyczynić, a potem wyłowić

Monferranda z tej mętnej wody. Monferrand wiązał się z dwoma pozostałymi, bo ich potrzebował, niezbędna mu była potęga finansowa barona, a zwłaszcza kampania, jaką na jego rzecz mógł przeprowadzić dyrektor „Globu”; tamci zaś, pomijając już sprawę Sylwiany, potrzebowali Monferranda, polityka, człowieka silnej ręki, który przyrzekał pogrzebać skandal Afrykańskich Kolei Żelaznych, doprowadzając do mianowania komisji śledczej, którą on dowolnie by kierował. I wkrótce między tymi trzema ludźmi zapanowało całkowite porozumienie, bo nic tak nie zbliża jak wspólny interes, strach i przeświadczenie, że jest się sobie wzajemnie

potrzebnym. Toteż, kiedy Duvillard wspomniał o sprawie Dutheila, o młodej damie, którą ów polecał, minister oświadczył, iż rzecz jest załatwiona. To taki miły chłopak ten Dutheil i tak mu na tym zależy!. Ustalili również, że zięć Chai-gneux dostanie swą posiadłość. Ten biedny Chaigneux, oddany całą duszą, zawsze gotów wypełnić polecenie, a ze swoimi czterema kobietami ma tak ciężkie życie!

— A zatem rzecz postanowiona!

— Postanowiona!

— Postanowiona!

I Monferrand, Duvillard oraz Fonsègue mocno uścisnęli sobie dłonie.

Gdy następnie Monferrand odprowadzał aż do drzwi Duvillarda i Fonsègue'a, zobaczył w przedpokoju prałata w eleganckiej sutannie z fioletowymi wypustkami, który stojąc rozmawiał z jakimś księdzem.

Minister natychmiast podszedł ze strapioną miną.

— Ach, monsignor Martha, ekscelencja czekał... Proszę wejść, proszę wejść niezwłocznie.

Ale biskup, wytworny w każdym celu, ani słuchać o tym nie chciał.

— Nie, nie, ksiądz Froment był tutaj przede mną. Proszę go łaskawie przyjąć. Monferrand musiał ustąpić i kazał wprowadzić księdza, który jednak nie zabawił długo. Monferrand, zachowujący zawsze dyplomatyczną rezerwę, gdy znalazł się wobec osoby duchownej, od razu wygadał się ze sprawą Barthèsa. Piotr w ciągu dwóch godzin oczekiwania przeżywał najgorsze obawy, gdyż jedynym

naturalnym wyjaśnieniem listu, jaki otrzymał, było, że policja wpadła na trop Wilhelma. Co się teraz stanie? Więc gdy usłyszał, że minister mówi tylko o Barthèsie, że wyjaśnia mu, iż władze wołałyby, aby Barthès uciekł, niż aby zmuszone były raz jeszcze posłać go do więzienia, Piotr przez chwilę słuchał zmieszany, nie rozumiejąc, o co chodzi. Jak to, policja, która potrafiła odszukać legendarnego spiskowca w małym domku w Neuilly, zdawała się nic nie wiedzieć o tym, że przebywa tam Wilhelm? A więc aż tak niedoskonały jest geniusz wielkich ludzi policji?

— A zatem, panie ministrze, czego życzy pan sobie ode mnie? Niezbyt jasno to rozumiem.

— Mój Boże, zostawiam to wszystko rozsadze księdza. Jeżeli po czterdziestu ośmiu godzinach człowiek ten będzie jeszcze u księdza, będziemy zmuszeni go aresztować, co uczynimy z przykrością, gdyż wiadomo nam, że dom księdza jest siedzibą wszelkich cnót... Proszę mu poradzić, aby opuścił Francję. Nie będziemy go niepokoić.

I Monferrand spiesznie wyprowadził Piotra do przedpokoju. Potem uśmiechnięty, zgięty we dwoje, rzekł:

— Ekscelencjo, jestem do dyspozycji... Proszę wejść, proszę wejść.

Prałat, który wesoło gawędził z Duvillardem i Fonsègiem, uściskał ręce im, a następnie Piotrowi. Tego ranka był niezmiernie łaskawy, pragnął jednać sobie wszystkie serca. Jego czarne, żywe oczy uśmiechały się, piękna twarz o regularnych i wyrazistych rysach tchnęła przymilnością. Wszedł do gabinetu ministra z wdziękiem, bez pośpiechu, z zadowoloną miną zdobywcy.

W tej chwili w opustoszałym ministerstwie pozostali już tylko Monferrand i monsignor Martha, którzy zamknięci w gabinecie rozmawiali bardzo długo. Mówiono, że ambitny prałat chce zostać posłem. Ale odgrywał on rolę

bardziej użyteczną, bardziej władczą, rządząc w cieniu, był duszą polityki Watykanu we Francji. Czyż Francja nie była nadal najstarszą córką Kościoła, jedynym wielkim narodem, który pewnego dnia mógł zwrócić papieżowi jego wszechpotęgę? Monsignor Martha zaakceptował republikę, głosił przymierze, uważano go w Izbie za inspiratora nowej grupy katolickiej. I Monferrand, uderzony postępami nowego ducha, owej reakcji mistycyzmu, który pochlebiał sobie, że pogrzebie wiedzę, pełen był uprzejmości, jak przystało człowiekowi silnej ręki, który wykorzystuje dla swego zwycięstwa wszystkie napotkane siły.

IV

Po południu tego samego dnia Wilhelm odczuł taką tęsknotę do wodnego powietrza i przestrzeni, że Piotr zgodził się odbyć z nim długą przechadzkę do Lasku Bulońskiego sąsiadującego z ich domkiem. Wróciwszy z ministerstwa, opowiedział bratu przy obiedzie, iż rząd zamierza jeszcze i tym razem pozbyć się Mikołaja Barthès, i obaj bardzo się tym zatroskali, nie wiedzieli bowiem, jak oznajmić starcowi o wygnaniu; odłożyli więc sprawę aż do wieczora, aby obmyślić jakiś sposób złagodzenia mu tego ciosu. Porozmawiają o tym w drodze. Zresztą, po co kryć się dłużej, dlaczego nie zaryzykować tego pierwszego wyjścia, skoro nic właściwie zdawało się Wilhelmowi nie zagrażać? I dwaj bracia weszli do Lasku przez bramę Sablons, do której mieli niedaleko.

Był koniec marca, Lasek zaczynał się zielenić, ale tak delikatnie, że lekkie koniuszki liści tworzyły zaledwie na kębach drzew jasny meszek, niezwykle subtelną koronkę. Długa nocna, ulewa rankiem ustała, ale niebo wciąż jeszcze miało barwę jasnego popiołu, i ten odradzający się Lasek, skropiony deszczem, w nieruchomym łagodnym powietrzu tchnął rozkoszną świeżością, niewinnością dzieciństwa. Zabawy półpościa widocznie pociągnęły tłumy pospółstwa w centrum Paryża, gdzie miały przejeżdżać udekorowane wozy, gdyż w alejach widziało się tylko jeźdźców i pojazdy, piękne damy, które wysiadłszy z karet przechadzały się obok strojnych we wstęgi mamek, niosących na rękę niemowlęta w koronkowych kaftanikach, najwytworniejszą publiczność Lasku, cały elegancki świat zjawiający się w wybrane dni, kiedy nie zapędza się tam drobny lud. Jedynie parę mieszczek z sąsiednich dzielnic siedziało na ławkach

i. wśród zieleni, z haftem w rękę, doglądając bawiących się dzieci.

Piotr i Wilhelm dotarli do alei Longchamp i poszli nią aż do Drogi Madryckiej, nad jeziorami. Tam zagłębili się pomiędzy drzewa, trzymając się biegu strumyka Longchamp. Mieli zamiar dojść do jezior, okrążyć je i wrócić bramą Maillot. Ale gęstwina, którą brnęli, pogrążona była w tak cichej i czarującej samotności, tchnęła taką świeżością wczesnej wiosny, że zapragnęli usiąść i zakosztować błęgiego wypoczynku. Pień drzewa posłużył im za ławkę, mieli złudzenie, że są gdzieś bardzo, daleko, w sercu prawdziwego lasu. A Wilhelm wychodząc ze swojego długiego dobrowolnego więzienia właśnie marzył o takim prawdziwym lesie. Ach, ta wolna przestrzeń, rześki powiew wśród gałęzi, cały szeroki świat, który powinien być bezsporną własnością człowieka! Imię Barthès, wiecznego więźnia, powróciło mu na usta. Westchnął, znowu ogarnięty smutkiem. Utrapienie jednego człowieka,

pozbawionego nieustannie wolności, wystarczyło, aby to czyste, swobodne powietrze, którym tak miło było oddychać, przestało go cieszyć.

— Co mu powiesz? Bo przecież trzeba go uprzedzić. Wygnanie jednak mimo wszystko lepsze jest od więzienia.

Piotr odrzekł z rozpaczliwym gestem:

— Tak, tak, uprzedzę go! Ale co za udreka!

W tej chwili w owym dzikim i odludnym zakątku, gdzie czuli się niby na krańcu świata, wyłoniła się przed nimi niezwykła wizja. Z gęstwiny wyskoczył nagle i pędem przebiegł jakiś człowiek. Był to niewątpliwie człowiek, ale o twarzy niemożliwej do rozpoznania, cały wytarzany w błocie, w stanie tak strasznej rozpacz, że można go było wziąć za zwierzę, za tropionego odyńca ściganego przez psy. Przerażony, chwilę zawahał się nad strumieniem i pobiegł jego brzegiem. Następnie, kiedy kroki, kiedy gorące oddechy zbliżyły się, wszedł w wodę zanurzając się aż po uda, wyskoczył na przeciwległy brzeg i znikł w jodłowym zagajniku. Prawie natychmiast strażnicy Lasku pod wodzą paru policjantów rzucili się za nim, pobiegli wzdłuż strumienia i także znikli. Było to istne polowanie na człowieka, polowanie głuche i zaciekle, wśród bladych odradzających się liści, bez czerwonych kurtek i grzmiących fanfar wygrywanych na rogu.

— Jakiś przestępca! — szepnął Piotr. — Ach, nieszczęśliwy! Z kolei Wilhelm rzekł z gestem zniechęcenia:

— Wszędzie tylko żandarmi i więzienia! Nie znaleziono jeszcze innej szkoły społecznej!

A tam w dali ów człowiek pędził przed siebie. Kiedy poprzedniej nocy Salvat po szybkim biegu znalazł się w Lasku Bulońskim, wymykając się w ten sposób ścigającym go policjantom, przyszło mu na myśl, aby przemknąć się aż do bramy Dauphine, a następnie zejść w fosę fortyfikacji. Przypomniały mu się dni bezrobocia, które niegdyś spędzał w tych miejscach, w nieznanach kryjówkach, gdzie nigdy nie spotkał żywej duszy. Istotnie, trudno o tajniejsze schronienie, bardziej odgradzone zaroślami, lepiej ukryte w wysokich trawach. Niektóre zakątki fosy, przy narożnikach wysokiego muru, są gniazdami włóczęgów i zakochanych. Salvatowi, który zaszywał się w coraz większy gąszcz cierni i bluszczów, udało się znaleźć, pod nieustającą ciemną ulewą, jakąś jamę pełną suchych liści, gdzie zagrzebał się po szyję. Ociekał już wodą, ześlizgiwał się po zabłoconych stokach, posuwał się po omacku, często na czworakach. Owe suche liście stały się dla niego nieoczekiwanym dobrodziejstwem, jak gdyby płachtą, w której się osuszył, na której odpoczął po szalonym biegu wśród wrogich ciemności. Deszcz padał dalej, ale jemu mokła już tylko głowa, a wreszcie nawet zdrętwiał, zasnął na ulewie ciężkim snem. Kiedy znowu otworzył oczy, był dzień, zapewne godzina szósta. Woda deszczowa wreszcie wypełniła dół, tak że leżał jak w kąpielni lodowatej wilgoci. Mimo to został tam, bo czuł się bezpieczny przed polowaniem, jakie bez wątpienia na niego urządziła. Żaden pies gończy nie mógł go tam wywęszyć, gdy tak tkwił, z ciałem zagrzebanym pod liśćmi, z głową nawet na wpół ukrytą w zaroślach. Nie ruszył się więc, patrzył na coraz jaśniejszy dzień.

Okolo godziny ósmej zjawili się policjanci i strażnicy, przeszukali fosę fortyfikacyjną, ale nie zauważyli go. Jak się domyślał, o świcie zorganizowano obławę, tropiono go. Serce mu biło mocno, doznał wrazenia, że jest zwierzyną

osaczaną przez myśliwych. Jak się okazało, ukryty był pod koszarami żandarmerii, skąd poprzez wał docierały do niego dźwięczne hałasy. Nikt już nie przechodził, ani żywego ducha, ani powiewu w trawie. Z dala tylko dobiegały niewyraźne poranne głosy Lasku, dzwonki rowerów, galop koński, stuk pojazdu, całe szczęśliwe, upojone wolnym powietrzem próżniactwo światowego Paryża.

I godziny płynęły, przyszła dziewiąta, dziesiąta. Odkąd ustała ulewa, nie cierpiał już zbyt od zimna, chroniła go czapka i gruby płaszcz, które mu dał młody Mathis. Ale znów powracał głód, palący ból, który czuł jak dziurę w żołądku, straszliwe kurcze, miazdzące mu zębra ołowianą obręczą. Nie jadł od dwóch dni, był na czczo już wczoraj wieczór, gdy wypił kufel piwa. Zamierzał zostać tu do nocy, potem w ciemnościach przemknąć się ku Boulogne i wyjść z Lasku pewną ścieżką, którą zapamiętał w tej stronie. Me mieli go jeszcze! Spróbował znowu zasnąć, ale nie udało mu się, tak bardzo cierpiał. O jedenastej doznał jakby zaćmienia wzroku, wydawało mu się, że umiera. I opanowała go wielka złość, jednym skokiem wydobył się ze swej liściastej kryjówki, ogarnięty wściekłością głodu; nie mógł wysiedzieć tam dłużej, chciało mu się jeść, chociażby za cenę wolności i życia. Biło południe. Z chwilą gdy wyszedł z fosy, znalazł się na rozległej odkrytej przestrzeni trawników la Muette. Przebył je biegiem, jak szalenciec, instynktownie kierując się ku Boulogne, z myślą, że w tej jedynie stronie istnieje dla niego ratunek. Cud, że nikt nie zaniepokoił się na widok tak szybko biegnącego człowieka! Gdy udało mu się wpaść pod drzewa, zdał sobie sprawę ze swojej nieostrożności, z szaleństwa, o jakie przyprawilo go pragnienie ucieczki. Zadrżał, przycisnął się wśród janowców, przeczekał parę minut, aby się upewnić, że nie ma za plecami policjantów. Następnie z czujnym wzrokiem, z nadstawionym uchem, kierując się instynktem, cudownym wyczuciem niebezpieczeństwa, zaczął posuwać się powoli, ostrożnie. Spodziewał się, że uda mu się przejść pomiędzy wyżej położonym jeziorem a polem wyścigowym w Auteuil. Ale jest tam tylko szeroka aleja wysadzana niewielką ilością drzew, musiał więc rozwinąć nie lada zręczność, aby nigdzie nie biec przez teren odsłonięty, korzystać z najmniejszego pniaka, wyzyskiwać najrzadsze nawet krzaki i posuwać się tylko po uprzednim dokładnym zbadaniu okolicy. Ogarnięty znów strachem na widok strażnika w dali, przeleżał jeszcze kwadrans płasko na ziemi, za krzewami. Zbliżanie się zabłąkanej dorożki czy zwyczajnego, wałęsającego się przechodnia wystarczało, aby stawał w miejscu jak wryty. I odetchnął, gdy mógł wreszcie po drugiej stronie wzgórza Mortemar zaszyć się w gąszcz pomiędzy drogą do Boulogne i aleją Saint-Cloud. Zarośla są tam gęste, wystarczało po prostu trzymać się ich i pod tą osłoną dotrzeć do wyjścia, które, jak przeczuwał, znajdowało się już niedaleko. Był ocalony. Lecz nagle zobaczył w odległości trzydziestu metrów stojącego nieruchomo strażnika, który zagradzał mu drogę. Skręcił w lewo i natknął się na drugiego strażnika, również nieruchomego, który zdawał się na niego czekać. Strażnicy i znowu strażnicy, co pięćdziesiąt kroków cały kordon rozciągnięty jak oka sieci. I najgorsze było, że chyba musieli go zobaczyć, gdyż rozległo się ciche wołanie podobne do wysokiego krzyku sowy, powtarzane następnie od miejsca do miejsca, w nieskończoność. Wreszcie myśliwi wpadli na trop, wszelka ostrożność stała się niepotrzebna, człowiek mógł już szukać ocalenia

jedynie w ucieczce. Uczuł to tak jasno, że w jednej chwili przeszedł w galop, przesadzając przeszkody, biegnąc między drzewami, nie bojąc się już, że zobaczą go i usłyszą. W trzech skokach przebył aleję Saint-Cloud, aby rzucić się w wielki masyw zieleni ciągnący się pomiędzy tą aleją i aleją Królowej Małgorzaty. Tam krzaki stają się jeszcze bujniejsze, są to największe gąszcze Lasku Bulońskiego, całe morze zieleni w lecie, gdzie w okresie, gdy gałązki już okryte są liśćmi, może i udałoby mu się zgubić. Przez chwilę nawet znalazł się sam, stanął nasłuchując trwożnie. Nie widział już ani nie słyszał strażników; czyżby zgubili ślad? Milczenie i spokój o niezmiernej błogości spływały z młodych listków. Bo czym wzniósł się cichy okrzyk, gałęzie zatrzeszczały, on zaś dalej pobiegł szaleńczo, przed siebie, uciekał na oślep, byle uciekać. Gdy dopadł alei Królowej Małgorzaty, zastał ją zamkniętą, byli tam już policjanci, rozstawieni w równych odstępach. Musiał dalej biec w górę aleją, nie wyłaniając się z krzewów. Ale teraz oddalał się od Boulogne, cofał się. I w swej biednej, *zmaczonej* głowie chaotycznie formułował ostatnią nadzieję ocalenia: przebiec tak pod osłoną aż do cienistej Drogi Madryckiej i spróbować, czy

nie udałoby mu się dotrzeć nad brzeg wody, od jednej kępy drzew do drugiej. Była to jedyna zadrzewiona droga, która mogła doprowadzić go do Sekwany, trudno bowiem było myśleć o dostaniu się tam przez wielkie, nagie równiny hipodromu i placu ćwiczeń.

Pędził i pędził. Ale gdy dobiegł do alei Longchamp, nie mógł jej przeciąć, była bowiem również strzeżona. Wtedy rezygnując z planu wymknięcia się przez Drogę Madrycką i Sekwanę, musiał zrobić wielkie koło wzdłuż błoni Catelan. Prowadzeni przez strażników, zbliżali się policjanci, czuł, jak okrażają go coraz ciaśniejszym kołem. I wkrótce był to już tylko bieg wściekły, błędny, bez tchu, bieg, w którym przeskakiwał wzniesienia, staczał się po zboczach, pokonywał coraz to nowe przeszkody. Przedzierał się przez kolczaste zarośla, wyłamywał płoty. Trzy razy przewrócił się, z nogami uwieczonymi w drutach ogrodzenia, którego nie dostrzegł; wpadłszy w pokrzywy, podnosił się, nie czuł piekającej oparzelizny, biegł dalej, jak kłuty ostroga, jak chłostany do krwi. Wtedy właśnie Wilhelm i Piotr zobaczyli go, jak przebiegał, zmieniony nie do poznania, przerażający, i rzucił się w błotnistą wodę rzeczki, podobny do zwierzęcia, które wznosi ostatni szaniec pomiędzy sobą a psami. Przyszła mu *do* głowy nierealna myśl o wyspie na środku jeziora, niby o nietykalnym schronieniu, gdyby udało mu się tam dotrzeć. Zamarzył, że dostanie się tam wplaw, nie spostrzeżony przez nikogo, że zagrzebie się tam, nie obawiając się już żadnego pościgu. Pędził i pędził. Po chwili strażnicy znowu zamknęli mu drogę, musiał wciąż cofać się, krażyć po bezdrożu przy jeziorach, zawracany, zapędzany do fortyfikacji, skąd był wyszedł. Dochodziła godzina trzecia. Pędził tak już przeszło dwie i pół godziny.

Ukazała się grząska, piaszczysta aleja dla jeźdźców. Przebiegł ją wielkimi krokami, grzęznąc w gruncie rozmokłym po ostatnich ulewach. Następnie trafił na wąską, osłoniętą drogę, jedną z tych uroczych alei dla zakochanych, zacienioną jak kołyska, którą mógł biec dość długo, bezpieczny od spojrzeń, ogarnięty nową nadzieją. Ale wypadł znów na jedną z tych strasznych alei, szerokich i prostych, gdzie jechały rowery, powozy, zwykła wykwinтна publiczność ciepłych, zamglonych

popołudni. I zawrócił w gąszcze, natknął się znowu na strażników, stracił ostatecznie wszelką orientację, a nawet wszelką myśl, był już tylko ciałem wprawionym w ruch, miotającym się zależnie od pogoni, która zacieśniała się i otaczała go coraz to bliżej. Istniała już tylko coraz silniejsza potrzeba gnania, gnania bez ustanku. Gwiazdy rozdroży następowały jedne po drugich; przebiegł wielki trawnik, gdzie pełne światło niemal go oślepiło. Tam poczuł nagle na karku płomienne tchnienie nagonki, chciwe oddechy, które już go niemal pożerały. Rozległy się krzyki, jakaś ręka o mało go nie pochwyliła, stłoczone ciała tupwały, potraçały się w wichrze biegu. I Salvat ostatnim wysiłkiem skoczył, poczołgał się, wyprostował, znalazł się znowu sam, wśród młodej i spokojnej zieleni, i biegł, biegł.

Był to koniec. O mało nie upadł. Zmordowane nogi nie niosły go już, z uszu płynęła krew, piana wystąpiła na usta. Głośny, burzliwy oddech podnosił mu żebra, jak gdyby łomotanie serca miało je rozsadzić. Ociekał wodą i potem, ubłocony, nieprzytomny, pożerany głodem, zwyciężony bardziej przez głód niż przez zmęczenie. I we mgle, która pomału zatapiała jego oszalałe oczy, zobaczył nagle otwarte drzwi szopy za jakimś wiejskim domkiem ukrytym wśród drzew. Nie było w pobliżu nikogo, tylko duży biały kot rzucił się do ucieczki. Wbiegł tam, padł na słomę pomiędzy pustymi beczkami. Zaledwie się w niej zagrzebał, usłyszał, że pędzi, pędzi całe polowanie, policjanci, strażnicy, że zgubiwszy jego ślad mijają domek mknąc ku fortyfikacjom. Stukot ciężkich butów z wolna się oddalił, zapadła głęboka cisza. Położył obie ręce na sercu, aby stłumić jego uderzenia, pograżył się w unicestwieniu śmierci, a wielkie łzy spływały mu spod zamkniętych powiek.

Wypocząwszy kwadrans, Piotr i Wilhelm znowu ruszyli w drogę, doszli do jeziora i mieli przejść przez skrzyżowanie dróg przy Kaskadach, ażeby obchodząc z drugiej strony jezioro wrócić do Neuilly, gdy znowu zaczął padać deszcz i musieli ukryć się pod wielkimi, jeszcze nagimi gałęziami kasztanowca; a ponieważ rozpadało się na dobre, oni zaś zobaczyli w kępie drzew coś w rodzaju wiejskiego domku, małą kawiarnię-restaurację, pobiegli tam się schronić. W sąsiedniej alei dostrzegli stojącą dorożkę, samotną, której woźnica, nieruchomy, filozoficznie czekał w drobnej letniej ulewie. Piotr, biegnąc, ze zdziwieniem ujrzał przed sobą również przyspieszającego kroku Gerarda de Quinsac, który chronił się jak i oni, zaskoczony bez wątpienia przez deszcz podczas pieszej przechadzki. Po chwili Piotr osądził, że chyba się pomylił, gdyż na sali nie zobaczył młodego człowieka. Sala ta, rodzaj oszklonej werandy, zastawiona paroma marmurowymi stolikami, była pusta. Na górze, na piętrze, cztery czy pięć gabinetów miało wyjście na korytarz. I nikt się tam nie ruszał, dom zaledwie obudził się po zimie, czuło się w nim długotrwałą wilgoć zakładów, które z braku klienteli muszą być zamknięte od listopada do marca. Za domem znajdowała się stajnia, wozownia, omszałe budynki gospodarskie; całość zresztą tworzyła uroczy zakątek, któremu ogrodnicy i malarze mieli przywrócić miły wygląd, odpowiedni dla romantycznych eskapad i wesołego tłoku w pogodne dni.

— Zdaje mi się, że tutaj jeszcze nie jest otwarte — rzekł Wilhelm wkraczając w wielką ciszę domu.

Piotr usiadł przy jednym z małych stolików.

— W każdym razie pozwolą nam tutaj przeczekać ulewę.

Jednakże zjawił się kelner. Zeszedł z piętra, wydawał się bardzo zaaferowany i długo grzebał w bufecie, zanim nałożył na talerz parę suchych ciastek. Wreszcie podał obu braciom po kieliszku chartreuse'y.

Na górze, w jednym z gabinetów, baronowa Ewa Duvillard, która przybyła dorożką, pół godziny już czekała na Gerarda. Poprzedniego dnia, na wencie dobroczynnej, umówili się na tę schadzkę. Miały ich tu oczekiwać niezwykle słodkie wspomnienia, bowiem przed dwoma laty, w miodowym miesiącu swego związku, przychodzili tu na rozkoszne spotkania, w czasie kiedy ona nie śmiała jeszcze bywać u niego i kiedy odkryli to tajemne gniazdko, tak puste w niepewnych dniach chłodnej wiosny. I na pewno wybierając je na ostatnie spotkanie ich zamierającej namiętności, Ewa uczyniła to nie tylko z obawy, że ją śledzą, lecz również w poetycznej intencji odnalezienia tam pierwszych pocałunków, które zapewne miały być ostatnimi. Uroczę było to schronienie wśród wielkiego, arystokratycznego lasu, o dwa kroki od szerokich alei, gdzie przechadzał się cały Paryż.

W swym sercu tkliwej kochanki- rozczuliła się tym do łez, pełna rozpaczy w przeczuciu gorzkiego końca.

Ale pragnęłaby ujrzeć, jak za dawnych dni, młode słońce na młodych listkach. To niebo barwy popiołu i wciąż jeszcze trwająca ulewa przejmowały ją dreszczem smutku. I gdy weszła do gabinetu, nie poznała go, tak był szary, tak zimny, z wyblakłą sofą, stołem i czterema krzesłami. Pozostała tu jeszcze zima, mdła wilgoć, stęchła woń nie wietrzonego pokoju, który długo, długo stał pustką. Strzępy tapet odkleiły się i zwisały żałośnie. Martwe muchy leżały na podłodze i kelner, aby otworzyć okiennice, musiał borykać się z zasuwką. Jednakże, gdy zapalił niewielki piecyk gazowy, który zainstalowano tam na podobne okazje, a który szybko rozgrzał się i zaczął wydzielać ciepło, pokój stał się trochę weselszy i gościnniejszy.

Ewa usiadła na krześle nie podniósłszy nawet gęstej woalki, która zasłaniała jej twarz. Ubrana była cała na czarno — jak gdyby już nosiła żałobę po swojej ostatniej miłości — w czarnych rękawiczkach; widać było tylko jej blond włosy, jeszcze cudowne, hełm płowego złota nie mieszczący się pod małym czarnym kapeluszem. Wysoka i pełna, z wciąż jeszcze cienką talią i wspaniałym biustem, niczym nie zdradzała się ze swą bliską już pięćdziesiątką. Zamówiła dwie filiżanki herbaty; gdy kelner wrócił z herbatą i talerzem drobnych suchych ciastek, zapewne pozostałych z poprzedniego sezonu, zastał ją wciąż zawoalowaną, nieruchomą, na tym samym miejscu. Gdy wyszedł, dalej siedziała bez ruchu, zatopiona w pełnym przygnębienia zamyśleniu. Przyszła na spotkanie o pół godziny za wcześnie, bo chciała być pierwsza, pragnęła się uspokoić, aby nie ulec porywowi rozpaczy. Przede wszystkim postanawiała powstrzymać się od łez, przysięgała sobie, że zachowa się z godnością, że będzie przemawiać trzeźwo, że wyłoży swoją rzecz jak kobieta, która oczywiście ma pewne prawa, ale stara się apelować tylko do rozsądku. I zadowolona była ze swojej odwagi, wydawała się sobie bardzo spokojna, niemal pogodzona z losem, gdy, jeszcze sama, obmyślała sposób, w jaki przywita Gerarda i jak mu wyperswaduje małżeństwo, które uważała za nieszczęście i grzech.

Drgnęła, chwyciło ją drżenie. Wszedł Gerard.

— Jak to, droga przyjaciółko, przysłała pani wcześniej ode mnie? A ja myślałem, że pozostaje mi jeszcze dziesięć minut czasu!... I trudziła się pani zamawiając herbatę, i czeka pani!

Był bardzo zmieszany i sam również drżał na myśl o katastrofalnej scenie, jaką przewidywał. Zresztą, jak zwykle bardzo poprawny, zmuszał się do uśmiechu, chcąc okazać rycerską radość, że zastaje ją tutaj, jak w pięknych czasach ich miłości.

Ale ona stała, podniósłszy wreszcie woalkę, patrzyła na niego i z trudem jąkała:

— Tak, byłam wolna wcześniej... Bałam się jakiejś przeszkody... A więc przyjechałam...

I widząc go tak pięknym, tak jeszcze serdecznym, zapomniała o wszystkim, uległa szaleństwu. Pierzchły wszystkie jej rozumowania, wszystkie piękne postanowienia. Był to. pociąg nieprzewyciężony, najgłębszy poryw jej ciała, pod wpływem myśli, że ona wciąż go kocha, że go zachowa i że nigdy nie odda go innej. Rozpaczliwie rzuciła mu się na szyję.

— Ach, Gerardzie, Gerardzie!... Zbyt cierpię, ja nie mogę, nie mogę... Powiedz mi natychmiast, że nie chcesz się z nią ożenić, że nigdy się z nią nie ożenisz! Głos jej się załamał, z oczu popłynęły łzy. Ach, te łzy, których przysięgała sobie nie wylewać! Płynęły bez końca, przepelniały jej piękne, tonące w nich oczy falą ohydneho cierpienia.

— Moja córka, o Boże, miałbyś ożenić się z moją córką!... Ona z tobą, ona w twoich ramionach, tutaj!... Nie, nie, to za wielka męczarnia, ja nie chcę, nie chcę!

On pozostał zimny wobec tego krzyku straszliwej zazdrości, w którym matka była już tylko kobietą doprowadzoną do wściekłości młodością rywalki, tymi dwudziestoma pięcioma laty, które już nie mogły powrócić. Wybierając się na spotkanie Gerard również powziął nadzwyczaj rozumne postanowienia; zdecydowany był zerwać lojalnie, jak człowiek dobrze wychowany, nie szczedząc żadnych pocieszających, pięknych słów. Ale nie był ani trochę złym człowiekiem, gruntem jego istoty była tkliwa słabość przy leniwej bierności; zwłaszcza wobec kobiecych łez czuł się bezsilny. Próbował ją uspokoić, usadowił ją na sofie, aby uwolnić się z jej ramion. Potem, siadając obok niej, powiedział:

— No, moja droga, bądź rozsądna! Przecież spotkaliśmy się tutaj, aby porozmawiać po przyjacielsku. Zapewniam cię, że wyolbrzymiasz te sprawy. Ale ona żądała zapewnień.

— Nie, nie, ja zbyt cierpię, muszę wiedzieć natychmiast... Przysięgnij mi, że nie ożenisz się z nią nigdy, nigdy!

Raz jeszcze spróbował uniknąć odpowiedzi.

— Sama się zadrezczasz, a wiesz przecież, że cię kocham. — Nie, nie!

Przysięgnij mi, że się z nią nie ożenisz nigdy, nigdy!

— Ależ skoro kocham cię, nie kocham żadnej innej! -Objęła go znowu namiętnie, przytuliła do piersi, obsypała jego oczy pocałunkami.

— Czy to prawda? Kochasz mnie? Kochasz tylko mnie?... A więc weź mnie, całuj, niech cię poczuje, chcę wiedzieć, że jesteś mój, mój na zawsze, że nigdy, nigdy nie będziesz należał do innej!

I Ewa zmusiła Gerarda do pieśczoć, oddała się z takim uniesieniem, że nie mógł jej niczego odmówić, sam upojony. I wtedy bardzo tchórzliwie, już bezsilny, przysiągł jej wszystko, co zechciała, powtarzał bez końca, że kocha tylko ją i że nigdy nie ożeni się z jej córką. Posunął się tak daleko, iż stwierdził, że po prostu lituje się nad tym ułomnym dzieckiem; wszystkiemu winna była tylko jego dobroć, Ewa zaś spijała z jego warg całą tę litościwą wzgardę, jaką wyrażał dla tej drugiej, głęboko przekonana, że sama będzie wiecznie piękna, zawsze upragniona.

Potem, gdy przeminęła ta chwila, oboje siedzieli na sofie, milczący i zmęczeni. Zakłopotanie znów ich opanowywało.

— Ach — rzekła cichym głosem Ewa — przysięgam ci, że naprawdę nie po to przyszedłam tutaj!

Gdy znów zapadło milczenie, on postanowił je przerwać.

— Nie wypiłabyś filiżanki herbaty? Jest już prawie zimna. Ale Ewa nie słuchała go. I jak gdyby nic nie zaszło, jak gdyby nieuniknione wyjaśnienia dopiero się zaczynały, przemówiła z przygnębionym wyrazem twarzy, z bezgraniczną, choć łagodną rozpaczą:

— Posłuchaj, Gerardzie, nie możesz ożenić się z moją córką. Po pierwsze, byłaby to podłość, niemal kazirodztwo. A poza tym twoje nazwisko, twoja sytuacja w świecie... Przebacz mi, że jestem tak szczera, ale w końcu wszyscy powiedzieliby, że się sprzedajesz, byłoby to kompromitujące dla twojej rodziny i naszej!

Ujęła jego rękę, ale już bez gniewu, jak matka, która szuka mocnych argumentów, która nie chce dopuścić, aby jej dorosły syn popełnił szkaradny błąd. A on słuchał z opuszczoną głową, unikając jej wzroku.

— Pomyśl trochę o opinii, Gerardzie. Nie łudzę się, wiem, że pomiędzy twoim a naszym światem jest przepaść. To nic nie znaczy, że jesteśmy bogaci, pieniądze jeszcze pogłębia tę otchłań. I nic nie znaczy, że ja się nawróciłam, moja córka pozostała córką Żydówki... Ach, Gerardzie, jestem tak z ciebie dumna, byłoby mi tak boleśnie widzieć cię pomniejszonym i jak gdyby zbrukany przez to małżeństwo dla pieniędzy, z ułomną dziewczyną, która nie jest ciębie godna, której ty nie możesz kochać!

Podniósł wzrok, patrzył na nią błagalnie, zmieszany, nie chcąc dopuścić do tak przykrej rozmowy.

— Ale przecież przysięgam ci, że kocham tylko ciebie, przecież przysięgam, że nigdy się z nią nie ożenię! Rzecz załatwiona, nie dręczmy się dłużej! Spojrzenia ich utonęły na chwilę w sobie, było w nich wszystko, czego sobie nie mówili: zmęczenie i męka. I powieki Ewy, smutne, zaczerwienione powieki w nagle pożyłkowanej, postarzałej twarzy wezbrały łzami, które zaczęły spływać po drżących policzkach. Znowu płakała bez końca, ale już bardzo cicho.

— Mój biedny Gerardzie, mój biedny Gerardzie!... Ach, oto jak ciężę ci teraz na ramionach! Nie zaprzeczaj, dobrze czuję, że jestem nieznośnym balastem, że jestem ci przeszkodą w życiu, że w końcu sprowadzę na ciebie nieszczęście, jeśli mimo wszystko zechcę zachować cię dla siebie. Chciał zaprzeczyć, ale nakazała mu milczenie.

— Nie, nie, między nami wszystko skończone!... Staję się

brzydka, to już koniec... A poza tym przy mnie nie czeka cię żadna przyszłość. Nie mogę udzielić ci żadnej pomocy, ty dajesz mi wszystko, dając mi siebie, ja nie odwzajemniam ci się niczym... A przecież czas już, abyś stworzył sobie odpowiednią pozycję. Nie możesz, w twoim wieku, żyć w niepewności, bez domu, i byłoby podłością z mojej strony przeszkadzać ci w tym, uniemożliwić ci stworzenie sobie wreszcie szczęśliwej egzystencji, czepiać się ciebie i topiąc się pociągnąć i ciebie na dno, jak czynią samobójcy.

Mówiła dalej, z wejrzeniem utkwionym w niego, ale widziała go tylko poprzez łzy. Jak jego matka, i ona wiedziała, że jest słaby, a nawet chorowity mimo powierzchowności dorodnego mężczyzny, więc również marzyła o zapewnieniu mu spokojnego bytu, bezpiecznego zakątka szczęścia, gdzie mógłby dożyć starości bez obawy o swój los. Tak bardzo go kocha, czyż więc jej szczerą dobroć tkliwej kochanki nie potrafi wznieść się do wyrzeczenia, do ofiary? Poza tym nawet w swoim egoizmie kobiety pięknej i uwielbianej znajdowała rację, aby myśleć o wycofaniu się, aby nie psuć schyłku swojej jesieni dramatami, które ją druzgotały. I mówiła to wszystko, traktowała go jak dziecko, któremu chciałaby zapewnić szczęście za cenę własnego szczęścia, on zaś, ze spuszczoneymi teraz oczyma, słuchał jej nieruchomo, nie protestując już, uradowany, że może jej pozostawić urządzenie mu egzystencji tak, jak ona tego pragnie.

— Oczywiście — mówiła dalej, broniąc w końcu racji przemawiających za tym ohydny małżeństwem — że Kamila przyniosłaby ci to wszystko, czego ja ci życzę, wszystko, o czym ja dla ciebie marzę. Z nią, dzięki warunkom, o których nie mam potrzeby mówić, żyłbyś spokojnie, w dostatkach... A zresztą, mój Boże, ileż mamy podobnych przykładów! Nie znaczy to, że chcę usprawiedliwić nasz błąd, ale mogłabym wyliczyć mnóstwo rodzin, gdzie działy się gorsze rzeczy... A poza tym, widzisz, myliłam się mówiąc, że pieniądź draży przepaść. Przeciwnie, on zbliża, każe wszystko przebaczać, miałbyś wokoło siebie tylko zazdrośników olśnionych twoim szczęściem, nikt by cię nie potępił.

Gerard wstał, zdawało się, że po raz ostatni zdobywa się na bunt.

— Jak to, więc teraz ty będziesz mnie namawiać, abym się ożenił z twoją córką?

— Wielki Boże, ach nie!... Ale jestem rozsądna, mówię ci to, co powinnam ci powiedzieć. Zastanów się!

— Już się zastanowiłem... Kochałem cię i kocham. Wszystko inne jest niemożliwe!

Uśmiechnęła się boskim uśmiechem, podeszła, aby znów otoczyć go ramionami, oboje stali złączeni raz jeszcze uściskiem.

— Jakiś ty dobry i miły, Gerardzie! Gdybyś wiedział, jak ja cię kocham, jak zawsze będę cię kochała, cokolwiek się stanie!

I znów łzy jej popłynęły, nawet on zapłakał. Oboje byli szczerzy, ulegając wrodzonej uczuciowości, cofali się przed bolesnym rozstrzygnięciem, chcieli jeszcze wierzyć w szczęście. Ale oboje czuli, że jego małżeństwo było już sprawą przesadzoną. Pozostawały już tylko łzy i słowa, życie toczyło się mimo wszystko, spełniało się to, co nieuniknione. To wielkie rozrzewnienie budziła w nich zapewne myśl, że jest to ich ostatni uścisk, ich ostatnie spotkanie, podłością bowiem byłoby widywać się po tym, co już wiedzieli, co sobie

wyznali. A jednak pragnęli zachować złudzenie, że nie zrywają z sobą, że pewnego dnia odnajdą jeszcze smak swoich ust. I płakał w nich kres wszystkiego.

Po chwili, gdy odsunęli się od siebie, zobaczyli znowu ciasny gabinet ze spłowiałą sofą, cztery krzesła i stół. Mały piecyk gazowy syczał; dusili się teraz w ciężkiej, gorącej, wilgotnej atmosferze.

— A więc — zapytał znowu — nie napijesz się herbaty? Stała przed lustrem poprawiając włosy.

— Ach, nie, nie, herbatę mają tutaj obrzydliwą!

I przeniknął ją smutek wszelkich rzeczy, zatrwożyła się w tej chwili myślą o rozstaniu, bo myślała, że odnajdzie tutaj rozkoszne wspomnienie, gdy nagle miary jej niepokoju dopełnił tupot kroków, wulgarne głosy, jakiś niespodziany zgiełk. Biegano w korytarzu, pukano do drzwi. Z okna, do którego podbiegła, zobaczyła policjantów, którzy otaczali domek. Opadły ją najszaleńsze myśli: że to córka rozkazała ją śledzić, że mąż chce się z nią rozwieść, aby ożenić się z Sylwianą. Byłby to straszliwy skandal, ruina wszystkich jej planów. Czekwała, bardzo blada, przerażona, on zaś, równie blady, drżący, błagał ją, aby się uspokoiła, a przede wszystkim nie krzyczała. Ale gdy mocne uderzenia wstrząsnęły drzwiami i stojący za nimi komisarz policji wymienił swoje nazwisko, trzeba mu było otworzyć. Ach, co za chwila! Co za popłoch i jaki wstyd!

Na dole Piotr i Wilhelm godzinę niemal czekali, aby deszcz ustał. Rozmawiali półgłosem w kącie małej oszklonej salki, przejęci łagodnym smutkiem tego szarego świątecznego dnia, naradzili się i powzięli wreszcie decyzję w bolesnej sprawie Mikołaja Barthès. Stało na tym, że nazajutrz wieczorem zaproszą na obiad Teofila Morin, który był starym przyjacielem wiecznego więźnia, aby on oznajmił mu o znów czekającym go wygnaniu.

— Tak będzie najlepiej — powtórzył Wilhelm. — Morin, który go bardzo kocha, nie popełni żadnej lekkomyślności i na pewno odprowadzi go aż do granicy.

Piotr melancholijnie patrzył, jak pada drobny deszcz.

— Znowu wyjazd, znowu obca ziemia, jeżeli już nie więzienie! Biedny człowiek, wyzuty ze wszelkiej radości, ścigany przez całe życie, bo całe życie oddał swemu ideałowi wolności, która wychodzi z mody, z której ludzie szydzą i którą on widzi ginącą razem z nim!

Ale w tej chwili znowu ukazali się policjanci i strażnicy, okrążając kawiarnię. Widocznie zorientowali się, że zgubili ślad, i teraz wracali w przekonaniu, że ów człowiek musiał, biegnąc tą drogą, ukryć się w tym domku. I zanim przystąpili do drobiazgowych poszukiwań, umiejętnie otoczyli go nie zapominając o żadnych środkach ostrożności; chcieli tym razem mieć pewność, że zwierzyna się nie wymknie. Dwaj bracia, zauważywszy ten manewr, poczuli w sobie głuchy lęk. Była to nagonka, którą niedawno spotkali, wyraźnie widzieli uciekającego człowieka; jednakże nie wiadomo, czy policja nie każe się im wylegitymować, skoro tak niefortunnie wpadli w pułapkę. Naradzili się jednym spojrzeniem, przez chwilę mieli zamiar odejść pomimo ulewy. Potem zrozumieli, że to byłoby jeszcze ryzykowniejsze. Czekali więc, zwłaszcza że przybyto dwoje nowych gości zwracając na siebie ogólną uwagę.

Wiktorja z opuszczoną budą i podniesionym fartuchem stanęła pod drzwiami domku. Wysiadł z niej naprzód młody człowiek z miną poprawną i znudzoną, a potem młoda, głośno śmiejąca

się kobieta, ogromnie rozbawiona nieustającą ulewą. Przekomarzali się, ona żartem ubolewała, że nie przyjechała na rowerze, on zaś twierdził, że spacer podczas takiej ulewy nie ma żadnego sensu.

— Ostatecznie, mój drogi, gdzieś trzeba było pójść. Dlaczego nie chciał pan zaprowadzić -mnie na pochód masek?

— Moja droga, maski? Nie, nie, wolę już Lasek Buloński czy nawet dno jeziora!

Gdy weszli, Piotr poznał w młodej kobiecie, którą tak bawiła ulewa, małą księżną Rozamundę de Harth, zaś pięknego Hiacynta Duvillard w młodym człowieku, który twierdził, że święto półpościa jest obrzydliwością, Lasek Buloński miejscem zapowietrzonym, a rower czymś nieestetycznym.

Poprzedniej nocy, gdy zaprosiła go na filiżankę herbaty i zatrzymała, aby zaspokoić swój kaprys, zgwałciła go niemal, jak gwałci się kobietę. Ale chociaż zgodził się położyć do łóżka obok niej, nie chciał dopuścić się żadnej ohydy, żadnej podłości, mimo że wreszcie zaczęła go bić, a nawet, rozdrażniona do ostateczności, ugryzła go. Ach, ohyda, podłość tych zabiegów, odpychające prostactwo faktu, że mogłoby się z tego narodzić dziecko! Co do dziecka zresztą miał słuszność, wcale go sobie nie życzyła.

Wtedy on zaczął mówić

o akcie dusz, które łączyły się intelektami. Nie przeczyła mu, godziła się na próbę, ale jak to zrobić? A ponieważ znowu zaczęli mówić o Norwegii, postanowili, wreszcie zgodni, że w poniedziałek wyjadą do Krystianii, w podróż poślubną, i że tam skonsumują swój intelektualny związek. Martwiło ich tylko to jedno, że zima już minęła, gdyż mróz, biel, czysty śnieg był przecież jedynym stosownym łóżem dla takich zaślubin.

Gdy kelner podał im po kieliszku mieszczańskiej anyżówki, w braku kminkówki, Hiacynt, poznawszy właśnie Piotra i jego brata Wilhelma, z którego synami był w liceum Condorcet, nanachylił się i szepnął do ucha Rozamundzie nazwisko tego ostatniego. Ona zerwała się z miejsca w nagłym porywie entuzjazmu.

— Wilhelm Froment! Wilhelm Froment, wielki chemik! —

I podeszła z wyciągniętą ręką: — Ach, panie, proszę mi wybaczyć tę bezceremonialność! Ale koniecznie chcę uścisnąć pańską dłoń... Ja tak pana podziwiam! Przeprowadził pan tak wspaniałe ba-

dania nad materiałami wybuchowymi! — Zaśmiała się jak dziewczynka, widząc zdziwienie uczonego. — Jestem księżna de Harth. Książdz, pański brat, zna mnie i powinnam się była przedstawić za jego pośrednictwem. Zresztą pan i ja mamy wspólnych przyjaciół, tego niezwykle wytwornego Janzena, który obiecał mnie zaprowadzić do pana w charakterze wielce skromnej uczennicy. Studiuję chemię, ach, z miłości dla prawdy i w imię dobrej sprawy, poza tym... Prawda, mistrzu, że pozwoli mi pan przyjść i zapukać do swoich drzwi, kiedy powrócę z Krystianii, gdzie jadę z moim młodym przyjacielem w podróż dla samej emocji i poszukiwań w nie znanej dotąd dziedzinie wrażeń.

I mówiła dalej, tak że nikt inny nie mógł wtrącić słowa. Mieszała wszystko: swoje zamilowanie do internacjonalizmu, które rzuciło ją na krótko w

ramiona Janzena, w świat anarchistów, pomiędzy najgorszych awanturników tej grupy, swoją nową namiętność do mistycznych i symbolicznych grup poetyckich, do zemsty ideału nad prostackim realizmem, poezji estetów, którzy kazali jej marzyć o nieznanym spazmie pod działaniem lodowatego pocałunku pięknego Hiacynta.

Nagle przerwała i znów się roześmiała.

— Patrzcie! Co też policja tak tutaj węszy? Czy przyszli nas aresztować? Ach, to byłoby zabawne!

Istotnie komisarz policji Dupot i agent Mondésir. zdecydowali się wejść na werandę i dokonać rewizji w restauracji po bezowocnych poszukiwaniach, jakie ich ludzie przeprowadzili przed chwilą w stajni i wozowni. Mieli niezachwianą pewnością, że ów człowiek mógł schronić się tylko tutaj. Dupot, niski, chudy jegomość, zupełnie łysy, wielki krótkowidz, w okularach, miał swoją zwykłą, znudzoną i zmęczoną minę, choć w gruncie rzeczy był nadzwyczaj czujny i szaleńczo odważny. Sam nie miał przy sobie broni, ale ponieważ przygotowany był na najgorsze, poradził właśnie Mondésirowi nabić rewolwer i trzymać go w pogotowiu w kieszeni. Jednakże Mondésir, krępy i kwadratowy jak dog, węszący swoim płaskim nosem, musiał go puścić przodem, przez poszanowanie dla hierarchii.

Jednym bystrym spojrzeniem spoza szkieł komisarz przyjrzał się czworgu konsumentom: księdzu, kobiecie, później dwóm innym nijakim ludziom. I zlekceważywszy ich, chciał natychmiast-

wejść na piętro, gdy kelner, przerażony tym nagłym wtargnięciem policji, stracił głowę i wyjąkał:

— Ale tam na górze jest jakiś pan z panią w gabinecie. Dupot spokojnie go odsunął.

— Pan i pani... nie tego szukamy! No,- prędzej, proszę wszystko otworzyć, aby nawet żadne drzwi od szafy nie zostały zamknięte!

Następnie na górze przeszukali wszystkie pokoje, wszystkie zakątki, tak że pozostał już tylko gabinet, w którym znajdowali się Ewa i Gerard, a którego kelner nie mógł otworzyć, gdyż zasuwka umieszczona była od wewnątrz.

— Proszę otworzyć! — krzyknął kelner przez dziurkę od klucza. — Tu nie chodzi o państwa!

Wreszcie zasuwę odsunięto i Dupot, który nie pozwolił sobie nawet na uśmiech, wypuścił panią i pana, drżących i białych, a tymczasem Mondésir wlaźł zajrzeć pod stół, za sofę i, na wszelki wypadek, do małej ściennej szafki. Na dole, gdy Ewa i Gerard musieli przejść przez werandę, doznali nowego wstrząsu na widok znajomych osób, które patrzyły na nich ciekawie, a które sprowadził tu najbardziej nieprzewidziany zbieg okoliczności. Ewa na próżno ukryła twarz pod gęstą woalką; napotkała wejrzenie syna, uczuła, że ją poznał. Cóż za fatalność! On, taki papla, wszystko wygada siostrze, która trzyma go w trwożnej uległości! I gdy uciekali, gdy hrabia, zrozpaczony skandalem, odprowadzał ją do dorożki w ulewnym deszczu, usłyszeli wyraźnie, jak mała księżna Rozamunda, serdecznie ubawiona, zawołała: — Przecież to hrabia de Quinsac!... Ale niech mi pan powie, kto jest ta dama?

Hiacynt, trochę pobladły, nie odpowiadał, ale księżna nastawała:

— Pan musi znać tę damę. Proszę mi powiedzieć, kto to jest?

— Nikt ważny — odpowiedział w końcu. — Jakaś kobieta.

Piotr domyślił się, kogo ma przed sobą, i przejęty współczuciem wobec takiego wstydu i cierpienia, odwrócił się i popatrzył na Wilhelma. I nagle scena zmieniła się, gdyż właśnie komisarz Dupot i agent Mondésir zeszedli z piętra, gdzie nie znaleźli tego człowieka. Na dworze zabrzmiały krzyki, rozległy się odgłosy

biegu i jakiegoś szamotania. Potem szef Bezpieczeństwa Gascogne, który został w gospodarczych budynkach restauracyjki i dalej prowadził poszukiwania, ukazał się popychając przed sobą jakiś nieokreślony kłęb łachmanów i błota, trzymany przez dwóch policjantów. Był to ów człowiek, tropione zwierzę, któremu zadano gwałt i wreszcie je schwytano, odkryto w głębi wozowni, w becze, pod sianem.

Ach, jaka triumfalna fanfara zabrzmiała po dwóch godzinach pogoni, po tej zacieklej obławie, od której dyszały piersi i uginały się kolana! Było to polowanie na człowieka, najbardziej roznamiętniające i najdziksze. Mieli go, tego człowieka, popychali, ciągnęli, bili. On zaś, ów człowiek, był najżałośniejszą zwierzyną, jaką można sobie było wyobrazić, nędznym szczątkiem: blady i ziemisty po nocy spędzonej w jamie wypełnionej liśćmi, mokry jeszcze do pasa, bo rzucił się w strumień, aby go przebrnąć, zбитý ulewą, umazany błotem, w łachmanach ubogiej odzieży, w poszarpanej czapce, z nogami i rękami we krwi po straszliwym biegu przez zarośla najeżone pokrzywą i cierniem. Nie miał już ludzkiego oblicza, włosy przylepiły się do skroni, przekrwione oczy wyszły z orbit, cała twarz była wyniszczona, ściągnięta w przerażającą maskę strachu, gniewu i cierpienia. Było to zwierzę, był to człowiek; popchnięto go znowu, a wtedy opadł na jeden z kawiarnianych stolików i przysiadł tam, trzymany przez brutalne pięści, które nim potrzęsały.

Wówczas Wilhelm doznał wstrząsu, którego dreszcz przejął go zimnem. Uchwycił rękę Piotra, ów spojrział, zrozumiał i zadrżał z kolei. *Salvat! O sprawiedliwości! Ten człowiek to był Salvat! Jego to widzieli, jak gnał przez Lasek Buloński niczym odyniec ścigany przez sforę! Salvat był tutaj, ten brudny tłumok, ta istota zwyciężona przez nędzę i bunt! I Piotr w przerażeniu raz jeszcze ujrzał przed sobą małą dziewczynkę na posyłki, leżącą tam, w bramie pałacu Duvillardów, jasnowłosą i ładną, której bomba rozdarła brzuch.*

Dupot i Mondésir, a także Gascogne nie ukrywali swojego triumfu. Człowiek jednakże nie stawiał żadnego oporu, pozwolił się schwytać z łagodnością owcy. Od kiedy znalazł się tutaj, tak brutalnie ujarzmiony rzucał dokoła tylko znużone spojrzenia pełne niewymownego smutku.

Przemówił; i były to jego pierwsze słowa, głosem ochrypłym i cichym:
— Jestem głodny.

Umierał z głodu i zmęczenia, wczoraj wieczór wypił tylko kufel piwa, już po dwóch dniach postu.

— Dajcie mu kawałek chleba — powiedział komisarz Dupot do kelnera. — Zje to, zanim sprowadzimy dorożkę.

Jeden z policjantów poszedł szukać jakiegoś pojazdu. Deszcz właśnie ustał, doleciał ostry dzwonek roweru, nadjechały znów powozy. Dalekie, szerokie aleje Lasku ozlęcane bladymi promieniami słońca wracały do swego światowego życia.

Człowiek rzucił się chciwie na kawałek chleba; i gdy go pożerał z szalonym wyrazem zwierzęcego zadowolenia, spojrzenie jego natknęło się na czworo obecnych klientów kawiarni. Zdawały się go drażnić miny Hiacynta i Rozamundy, niespokojnych, a zarazem i zachwyconych, że mogą być świadkami aresztowania nieszczęśnika, którego brali za zwykłego bandytę. Później jego smutne, krwią zaszele oczy zadrgały. Ku swemu zdumieniu rozpoznał Piotra i Wilhelma. I wzrok jego, wlepiony w uczzonego, wyraził tylko pokorną miłość poczciwego, wdzięcznego psa, ponowną obietnicę niezłomnego milczenia.

I znów przemówił, jak człowiek odważny, jak gdyby zwracał się do tego, na którego w tej chwili nie patrzył, a także do innych, do nieobecnych tutaj towarzyszy:

— To głupio, że biegłem... Nie wiem, dlaczego biegłem... Och, niech się to już skończy, jestem gotów!

V

Nazajutrz rano, czytając dzienniki, Piotr i Wilhelm bardzo się zdziwili, że aresztowanie Salvata nie narobiło tak wielkiego hałasu, jak się spodziewali. Znaleźli zaledwie drobną, zagubioną w kronice wypadków wzmiankę, wedle której podczas obławy w Lasku Bulońskim policja schwytała pewnego człowieka, anarchistę, prawdopodobnie zamieszanego w sprawę ostatnich *zamachów*. Natomiast wszystkie gazety szeroko rozpisywały się na temat nowych rewelacji Saniera w „Głosie Ludu”; była ta istna, powódź artykułów o sprawie Afrykańskich Kolei Żelaznych oraz wszelkiego rodzaju wyjaśnień i opinii dotyczących wielkiego dnia parlamentarnego, który zapowiadał się w Izbie, gdyby socjalistyczny deputowany Mège powtórzył swoją interpelację, jak to formalnie zapowiedział.

Wilhelm poprzedniego dnia zdecydował się powrócić- do domu, na Montmartre, ponieważ rana jego zabiżniała się i obecnie nic zdawało się nie zagrażać ani jego planom, ani jego pracom. Policja przeszła obok niego zdając się nawet nie podejrzewać jego ewentualnej współodpowiedzialności. Przy tym pewien był, że Salvat nic nie powie. Ale Piotr ubłagał brata, aby przeczekał jeszcze parę dni, do czasu, gdy zacznie się śledztwo i można się będzie należycie zorientować w sytuacji. Wczoraj, podczas długiego wyczekiwania u ministra, pochwycił pewne niejasne sprawy, dosłyszał urywane słowa, pojął tajemny związek pomiędzy zamachem a przesileniem parlamentarnym i dlatego chciał, aby się ono ostatecznie dokonało, zanim Wilhelm powróci do normalnego życia.

— Słuchaj — rzekł — wstąpię do Morina i zaproszę—go na obiad, bo koniecznie trzeba dziś wieczór uprzedzić Barthèsa o nowym ciosie, jaki na niego spada... Potem zajdę do Izby, bo chcę się czegoś dowiedzieć. Wtedy dopiero pozwolę ci odejść.

W półtorej godziny później Piotr wszedł do Palais Bourbon.

I właśnie gdy pomyślał, że Fonsègue na pewno kazałby go wpuścić, spotkał w przedsionku generała de Bozonnet, który miał akurat dwie karty wstępu, ponieważ w ostatniej chwili okazało się, że pewien jego przyjaciel nie może z niej skorzystać. Zaciekawienie było ogromne, cały Paryż spodziewał się pasjonującego posiedzenia, od wczoraj wyrywano sobie karty wstępu.

Piotrowi w żaden sposób nie udałooby się wejść, gdyby nie zabrał go z sobą generał, który był człowiekiem uprzejmym, a poza tym czuł się szczęśliwy, że ma towarzysza do rozmowy, gdyż — jak tłumaczył Piotrowi — zamierza spędzić tutaj popołudnie, tak jakby je spędził na jakimś innym widowisku, na koncercie lub dobroczynnej loterii. Przychodził tu również, aby się oburzać, aby napawać się haniebną podłością parlamentaryzmu, z malkontenctwem dawnego legitymisty, który zostawszy bonapartystą był człowiekiem podwójnie skończonym,

Na górze Piotr i- generał zdołali się wśliznąć do pierwszej ławy na trybunie. Zastali tam małego Massot; który uczyniwszy się jeszcze mniejszym usadowił ich po swojej lewej i prawej stronie. Massot znał wszystkich.

— Aha, uległ pan ciekawości, generale, i chce się pan temu przyjrzeć! A ksiądz przyszedł, aby ćwiczyć się w pobłażliwości i wybaczeniu krzywd... Co do mnie, jestem ciekawy z profesji, macie, panowie, przed sobą człowieka, który musi mieć temat do artykułu; a ponieważ były już tylko gorsze miejsca na trybunie dla prasy, zdołałem się umieścić wygodnie tutaj... Na pewno będzie piękne posiedzenie. O, proszę zauważyć, jaki tłok na prawicy, na lewicy, wszędzie!

Istotnie, wąskie, źle zaplanowane trybuny roily się od głów. Mnóstwo kobiet i mężczyzn w różnym wieku stłoczyło się tam w niewyraźną masę, w której można było rozróżnić tylko blade . owale twarzy. Ale właściwe widowisko miało się odbyć w dole, na pustej jeszcze sali posiedzeń, podobnej ze swoimi półkolistymi rzędami ławek do sali teatralnej w dniu premiery, wypełniającej się bardzo powoli. W zimnym świetle padającym z oszklonego sufitu oczekiwała lśniaca i poważna trybuna, a tymczasem za nią i powyżej niej, zajmując całą ścianę w głębi, prezydium ze swoimi stołami, krzesłami i fotelom przewodniczącego wciąż jeszcze było puste i tylko dwaj woźni zmieniali tam pióra i sprawdzali kałamarze. — Kobiety — ze śmiechem mówił Massot — przychodzą tutaj jak do menażerii, z tajemną nadzieją, że może dzikie bestie rzucają się na siebie... A czytali panowie dziś rano artykuł w „Głosie Ludu”? Zadziwiający jest ten Sanier! Gdy nigdzie nie ma już brudów, on zawsze jeszcze coś znajdzie. Dodaje błoto do błota, opluwa i zaśmieca nawet śmietnisko. Jeżeli zdarzy się, że u podłoża danej sprawy leży prawda, on tak ją wykręci, że mimo wszystko skłamię w monstualnym kłębowskiu swoich komentarzy. Co dzień musi dystansować samego siebie, podawać swoim czytelnikom nową truciznę, aby wzrastały nakłady jego dziennika... I oczywiście to robi wrażenie, dzięki niemu cała ta publiczność tu się zbiegła, z napiętymi nerwami, w oczekiwaniu jakiegoś plugawego widowiska.

Po chwili znowu poweselał i spytał Piotra, czy już czytał w „Globie” nie podpisany artykuł, bardzo godny i bardzo przewrotny, wzywający Barroux, aby w sprawie Afrykańskich Kolei Żelaznych z całą szczerością złożył wyjaśnienia, na które kraj oczekuje. Aż dotąd dziennik ten głośno popierał premiera, a tymczasem w artykule czuło się zapowiedź zdrady, nagły chłód, jaki poprzedza zerwanie. Piotr odpowiedział, że ów artykuł bardzo go zdziwił, sądził bowiem, że los Fonsègue'a złączony jest z losem Barroux całkowitą wspólnotą poglądów oraz więzami bardzo dawnej przyjaźni.

Massot nie przestawał się śmiać.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, serce mego szefa musiało krwawić. Artykuł zwrócił na siebie powszechną uwagę i wyrządzi gabinetowi wiele złego. Ale trudno, szef wie lepiej niż ktokolwiek, jaką linię postępowania należy przyjąć, aby uratować sytuację dziennika i własną.

I opowiedział im o emocji, o niezwykłym zamieszaniu, jakie panowały wśród deputowanych, w kularach, które obszedł, zanim udał się na górę, aby zapewnić sobie tutaj miejsce. Izba, która nie zbierała się przez dwa dni, miała dziś odbyć posiedzenie z powodu tego olbrzymiego skandalu, podobnego do pożaru, który — już bliski wygaśnięcia — rozpała się na nowo i pochłania wszystko. Powtarzano sobie cyfry z listy Saniera: dwieście tysięcy dla Barroux, osiemdziesiąt tysięcy dla Monferranda, pięćdziesiąt dla Fonsègue'a, dziesięć dla Dutheila, trzy dla Chai-gneux, tyle dla tego, tyle dla tamtego, bez końca ciągnął się ten donos, a towarzyszyły mu najbardziej dziwaczne historyjki, plotki, potwarze, nieprawdopodobna mieszanina prawdy i kłamstwa, w której niepodobna się było rozeznąć. Pod przeciągającym wichrem strachu, wśród ludzi o pobladłych twarzach i drżących wargach, inni krążyli rumiani, tryskający dziką radością, ze śmiechem bliskiego zwycięstwa. W gruncie rzeczy bowiem, pod pozorami rzekomego wielkiego oburzenia, apelami do uczciwości, do moralności parlamentarnej, jak zawsze kryły się sprawy poszczególnych osób, zagadnienie, czy rząd zostanie obalony i jaki będzie skład nowego gabinetu ministrów. Barroux wydawał się poważnie zagrożony; ale któż mógł przewidzieć, jakie niespodzianki wydarzą się w takim zamieszaniu? Zapowiadano, że Mège wystąpi z całą gwałtownością. Barroux miał mu odpowiedzieć,

a jego przyjaciele opowiadali o jego gniewie, o chęci gruntownego, ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Zapewne po nim głos zabierze Monferrand. Co do Vignona, mimo swej powstrzymywanej radości, demonstracyjnie trzymał się na uboczu; widziano, jak obchodził kolejno wszystkich swoich stronników i zalecał im spokój, trzeźwe i zimne spojrzenie, które podczas bitwy decyduje o zwycięstwie. Nigdy jeszcze kocioł czarownicy, napełniony taką ilością mikstur i najobrzydliwszych, a niemożliwych do określenia ingrediencji, nie wrzał na takim piekielnym ogniu.

— Jeden diabeł wie, co z tego wszystkiego wyniknie! — zakonkludował Massot. — Ach, co za podła garkuchnia! Zaraz panowie zobaczą!

Ale generał de Bozonnet przygotowany był na najstraszniejsze katastrofy. Gdyby jeszcze istniała armia, można by znieść pewnego pięknego poranku tę garść sprzedajnych parlamentarzystów, którzy zżerali i demoralizowali cały kraj. Jego zdaniem, najgorsze było to, że naród, w którym obowiązywała powszechna służba wojskowa, nie miał armii. I jako zwolennik innego ustroju, oburzony ustrojem panującym, przeszedł na ulubiony temat swoich żalów, do którego stale powracał, odkąd przeniesiono go na emeryturę.

— Skoro szuka pan materiału do artykułu — rzekł do Massota — proszę, oto temat dla pana!... Francja, która ma ponad milion żołnierzy, nie posiada armii. Dostarczę panu notatek. Wreszcie powie pan prawdę.

Natychmiast zagarnął dla siebie młodego dziennikarza, zaczął go pouczać. Wojna powinna być zadaniem jednej kasty, wodzowie na mocy prawa boskiego mają prowadzić do walki najemników, ludzi opłaconych lub wybranych. Zdemokratyzować armię znaczyło ją zabić; on oplakiwał armię

jako bohater, który służbę w niej uważał za jedyne szlachetne zatrudnienie. Z chwilą gdy wszystkich zmuszono, aby się bili, nikt już nie chce się bić. Oto dlaczego obowiązkowa służba wojskowa, idea zbrojnego narodu, musiała prędzej czy później położyć kres wojnom. Jeżeli od roku 1870 nie walczono, działo się tak właśnie dlatego, że wszyscy gotowi byli walczyć. I teraz wahano się, czy rzucić jeden naród przeciwko drugiemu, gdyż pociągnęłoby to za sobą straszliwe zniszczenia i katastrofalne wydatki oraz straty w ludziach. Toteż Europa, zmieniona w ogromny warowny obóz, przepełniała go gniewem i obrzydzeniem, jak gdyby pewność, że wszyscy muszą się wzajemnie wygubić od razu w pierwszej bitwie, psuła mu radość, jaką niegdyś czerpało się z walki, niby z polowania na przełaj, przez góry i lasy.

— Ale — powiedział cicho Piotr — przecież to dobrze, że nie będzie wojen. Generał w pierwszej chwili zirytował się.

— Ach, tak! Ładne to będą narody, jeżeli nikt już nie będzie walczył! — Potem jednak zapragnął okazać się człowiekiem praktycznym: — Proszę zauważyć, że wojna nigdy nie kosztowała tyle pieniędzy, ile kosztuje teraz, gdy stała się niemożliwa. Nasz zbrojny pokój, nasze narody pod bronią po prostu rujnują państwo. Zamiast klęski mamy pewne bankructwo... W każdym razie stan wojskowy jest stanem straconym, któremu nic już nie pomoże. Wiara w nim zanika, ludzie opuszczają go tak, jak opuszczają stan duchowny. I zrobił rozpaczliwy gest; było to przekleństwo starego żołnierza rzucone temu parlamentowi, tej Izbie, jak gdyby ich winą było, że wkrótce już żołnierz miał stać się tylko obywatelem.

Mały Massot kiwał głową, uważając zapewne, że ten temat do artykułu jest dla niego za poważny. Przerwał wreszcie generałowi mówiąc:

— Proszę spojrzeć, monsignor Martha siedzi na trybunie dyplomatycznej z ambasadorem Hiszpanii... Wiecie, panowie, że zdementowano wiadomość, jakoby kandydował w Morbihan. Jest on zbyt sprytny, aby miał się narażać jako deputowany, skoro trzyma w ręku nici, które wprawiają tutaj w ruch większość katolików sprzymierzonych z rządem republikańskim.

Piotr istotnie zauważył uśmiechnięte i łagodne oblicze monsignora Marthy, który wczoraj, w przedpokoju ministra, okazał się wobec niego tak czarujący. Od tej chwili pojął, że biskup odgrywa tutaj ważną rolę, chociaż starał się wyglądać tak skromnie. Czuł, że to człowiek potężny i energiczny, choć siedzi spokojnie, poprzestaje na przyglądaniu się, jak zwyczajny widz zainteresowany spektaklem. I wciąż na niego spoglądał, jak gdyby spodziewał się, że nagle on właśnie pokieruje akcją, zacznie rozkazywać ludziom i rzeczom.

— Ach — rzekł znowu Massot — już jest MègeL. Posiedzenie zaraz się rozpocznie.

Powoli sala na dole wypełniała się. Deputowani ukazywali się w drzwiach, schodzili wąskimi przejściami. Większość nie siadała, rozmawiając z ożywieniem, przenosząc tutaj gorączkową, napiętą atmosferę kuluarów. Inni, siedząc już, z twarzami szarymi, przygnębionymi, podnosili oczy na sufit, gdzie białało oszklenie w kształcie półksiężyca. Chmurne popołudnie szarzało coraz bardziej, światło nabrało sinej barwy w tej pompatycznej i posępnej sali o ciężkich kolumnach, z zimnymi alegorycznymi posągami, którą nagość marmurów i boazerii czyniła surową, a ożywiał jedynie czerwony plusz ław i trybun.

Massot wymieniał teraz nazwiska każdego z wchodzących deputowanych. Mège, zatrzymany przez innego członka małej grupy socjalistycznej, gestykulował, wpadał w ferwor. Następnie ukazał się Vignon w towarzystwie paru przyjaciół, siląc się na spokojny uśmiech, i zeszedł po stopniach na swoje miejsce. Ale trybuny oczekiwały przede wszystkim deputowanych skompromitowanych, tych, których nazwiska widniały na liście Saniera; i warto ich było obserwować: jedni udawali zupełną swobodę ducha, wesołość i bez troskę, inni, przeciwnie, przybrali postawę poważną, obrażoną. Chaigneux był chwiejny, niepewny, jak gdyby ugiął się pod ciężarem strasznej niesprawiedliwości. Natomiast Dutheil odzyskał swoją wdzięczną bez troskę, doskonałą pogodę i tylko od czasu do czasu nerwowo tik wykrzywił mu usta w niepokojący grymas. Najbardziej wszakże podziwiano Fonsègue'a, który tak się opanował, twarz miał tak spokojną, oko tak jasne, że jego koledzy i wszyscy obecni patrząc na niego gotowi byli przysięgać na jego zupełną niewinność, tak bardzo wyglądał na uczciwego człowieka.

— Ach, ten mój szef — mruknął z zachwytem Massot — tylko on tak potrafi!... Uwaga, są ministrowie. A przede wszystkim proszę nie przeoczyć spotkania Barroux i Fonsègue'a po tym porannym artykule.

Przypadek sprawił, że Barroux, z podniesioną głową, bardzo błydy i niemal wyzywający, musiał, aby dotrzeć do ławy ministrów, przejść obok Fonsègue'a. Nie przemówił do niego, spojrział tylko przenikliwie, jak człowiek, który uczył swe osamot-

nienie, podstępna raną zadaną przez zdrajcę. Fonsègue natomiast, zupełnie swobodny, dalej rozdzielał uściski rąk, jakby w ogóle nie czuł ciężkiego spojrzenia, które na nim spoczęło. Udał zresztą, że nie dostrzega również Monferranda, który pojawił się za Barroux, z miną pocziwca, jak gdyby o niczym nie wiedział i przyszedł sobie tutaj spokojnie, jak na zwyczajne zebranie. Gdy znalazł się na swoim miejscu, podniósł wzrok i uśmiechnął się do monsignora Marthy, który lekko skinął mu głową. Później, czując się panem samego siebie i innych, rad, że sprawy układają się pomyślnie, tak jak on sobie *zyczył*, jał lekko zacierać ręce zwykłym sobie gestem.

— Kto to jest — zapytał Piotr Massota — ten szpakowaty smutny pan siedzący na ławie ministrów?

— O, to jest czcigodny Taboureau, człowiek bez prestiżu, minister oświaty. Książd go zna, ale na ogół nikt go nigdy nie poznaje; jest jak stara moneta wytarta w obiegu... Jeszcze jeden, który musi nie lubić mojego szefa, ponieważ w „Globe” ukazał się dziś artykuł tym groźniejszy, że dość umiarkowany, na temat jego całkowitej nieudolności we wszystkim, co dotyczy sztuk pięknych. Zdziwiłbym się, gdyby on zdołał się jeszcze z tego wykaraskać.

Ale przytłumione bicie w bębny oznajmiło wejście przewodniczącego i prezydium. Drzwi się otworzyły, przedefilował mały orszak, podczas gdy półkolistą salę wypełnił stłumiony zgiełk, nawoływania, tupot nóg. Przewodniczący stojąc, potrząsnął kilkakrotnie dzwonkiem i oświadczył, że posiedzenie zostało otwarte. Lecz cisza nie zapanowała nawet wówczas, gdy sekretarz, wysoki, długi i czarny młodzieniec, zaczął ostrym głosem odczytywać protokół. Następnie, po przyjęciu protokołu, odczytano listy usprawiedliwiające nieobecność i nawet uchwalono jakiś mały projekt prawny w szybkim głosowaniu przez podniesienie rąk. Potem wreszcie wśród

drżenia sali i namiętnej ciekawości trybun przyszła kolej na. doniosła sprawę: ponieważ rząd przyjął interpelację Mège'a, Izba zadecydowała, że dyskusja odbędzie się natychmiast. Tym razem zapadło najgłębsze milczenie i czasem tylko salę przebiegał krótki dreszcz, w którym czuło się podmuch lęku, nienawiść, pożądanie, całą sforę pożeraną nieposkromionymi apetytami.

Na trybunie Mège zaczął z przesadnym umiarkowaniem, precyzował, stawiał zagadnienie. Wysoki, chudy, węzlisty i pokrecony jak pęd winnej latorośli, oburącz podpierał swoją pochyloną nieco postać, a mowę często przerywał mu lekki kaszel wywołany powolną, toczącą go gruźlicą. Ale oczy za szklami płonęły mu namiętnością i z wolna jego krzykliwy i szorstki głos wzmagął się, grzmiał, a on prostował swoje wychudzone ciało, gwałtownie gestykulując. Przypomniawszy, że przed dwoma miesiącami, w okresie pierwszych denuncjacji „Głosu Ludu”, domagał się, aby zainterpelować rząd odnośnie godnej pożałowania sprawy Afrykańskich Kolei Żelaznych; i słusznie zwrócił uwagę, że gdyby Izba, kierując się pobudkami, o których wolał nic nie wiedzieć, nie była odłożyła jego interpelacji, sytuacja od dawna by się już wyjaśniła, a skandal i cała gwałtowna kampania donosów, tak bolesna i oburzająca dla całego społeczeństwa, nie byłyby się, rozrosły do takich rozmiarów. Dzisiaj zrozumiano go wreszcie, milczenie stało się niemożliwe, dwaj ministrowie, oskarżeni tak gwałtownie o sprzeniewierzenia, winni są udzielać odpowiedzi, wykazać swoją zupełną niewinność, rzucić na swoje postępowanie pełne światło, nie mówiąc o tym, że cały parlament nie może pozostawać pod oskarżeniem haniebnego sprzedajności. I raz jeszcze przedstawił całe dzieje sprawy, historię koncesji na Afrykańskie Koleje *Żelazne*, udzielonej bankierowi Duvillard, następnie słynną emisję akcji uchwaloną przez Izbę w wyniku niesłychanych matactw, kupczenia sumieniami i sprzedawania ich, jeśli należałoby wierzyć oskarżycielom. I w tym miejscu zapalił się, przemówił z największą gwałtownością, bo przeszedł na temat roli tajemniczego Huntera, owego agenta Duvillarda, któremu policja pozwoliła uciec, podczas gdy sama zajęta była śledzeniem deputowanych socjalistycznych. Uderzył pięścią w trybunę, wzywał Barroux, aby kategorycznie *zaprzeczył*, jakoby kiedykolwiek wziął choćby centyma z dwustu tysięcy franków wpisanych na liście przy jego nazwisku. Odezwały się głosy, aby przeczytał całą listę; a gdy chciał ją przeczytać, rozpętały się inne okrzyki, że to hańba, że nie wolno do francuskiego parlamentu przynosić podobnego dokumentu kłamstwa i kalumnii. On zaś dalej przemawiał z tym samym uniesieniem, obrzucał Saniera błotem, stwierdzał, że nie ma nic wspólnego z oszczercami, lecz domaga się, aby sprawiedliwość wymierzona, została *wszystkim* i aby — jeżeli wśród jego kolegów są sprzedajni — wysłano ich dziś jeszcze do więzienia Mazas.

Stojąc przy monumentalnym stole, przewodniczący dzwonił, bezsilny, jak pilot okrętowy, który nie panuje już nad burzą. Wśród poczerwieńniętych i wrzeszczących twarzy jedynie woźni zachowywali obojętną powagę swego urzędu. Pomiedzy jednym a drugim podmuchem wściekłości słychać było głos mówcy, który nagle, niepostrzeżenie przeszedł do przeciwstawienia społeczeństwa kolektywistycznego ze swoich marzeń zbrodniczemu społeczeństwu kapitalistycznemu, zdolnemu płodzić -podobne skandale. I coraz bardziej poddawał się swojej egzaltacji apostoła, apostoła, który

wkładał dziki upór w dążność do przerobienia świata wedle swojej wiary. Kolektywizm stał się oto doktryną, dogmatem, poza którym nie było już zbawienia. Przepowiadane przez niego dni miały nadejść już wkrótce, oczekiwał ich z uśmiechem ufności, pozostawało mu już tylko obalić ten jeden gabinet, potem może jeszcze jeden, ażeby wreszcie mógł sam objąć władzę, jako reformator, który obdarzy ludy pokojem. Ten sekciarz, jak go nazywali socjaliści spoza jego grupy, miał w żyłach krew dyktatora. I teraz słuchano go, jego namiętna i uparta retoryka przemogła w końcu zgiełk. Gdy zdecydował się wreszcie zejść z trybuny, na paru ławach lewicy rozległy się bardzo gorące oklaski.

— Wie pan — zwrócił się Massot do generała — że spotkałem go któregoś dnia w Ogrodzie Botanicznym, z trojgiem dzieci na spacerze... Opiekował się nimi jak stara niańka... To bardzo zacny człowiek i zdaje się, że ukrywa się ze swoim ubogim życiem rodzinnym.

Lecz salę znów przebiegło drżenie: Barroux powstał, aby wejść na trybunę. Wyprostował swoją wielką postać, zwykłym ruchem odrzucając głowę do tyłu. Jego piękna wygolona twarz, którą szpecił tylko za mały nos, nabrała należytego dostojeństwa, wyniosłego i trochę smutnego. I od razu wyraził swój pełen oburzenia smutek w pięknej kwiecistej mowie, z teatralnymi gestami, z elokwencją romantycznego trybuna, pod którą odgadywało się człowieka zacnego, wrażliwego, lecz niezbyt mądrego, a więc człowieka, jakim był w istocie. Jednakże

tego dnia drżał prawdziwie *i* był głęboko wzruszony, gdyż serce mu krwawiło wobec ruiny całego życia; czuł, że wraz z nim wali się w gruzy jakiś cały świat. Ach! Powstrzymywał krzyk rozpacz, krzyk obywatela, którego wypadki znieważają i odrzucają w dniu, kiedy on czuje, że jego obywatelskie cnoty powinny mu zapewnić triumf! Oddać się, jeszcze za cesarstwa, republice ciałem i mieniem, walczyć, znosić dla niej prześladowania, następnie ugruntować ją po okropnościach wojny narodowej i wojny domowej, pośród codziennej bitwy stronnictw; później gdy ona wreszcie zatriumfowała, żywa odtąd i niepokonalna, poczuć się w niej nagle jak cudzoziemiec z innego stulecia, słuchać, jak nowo przybyli mówią innym językiem, bronić innego ideału, asystować przy waleniu się tego wszystkiego, co się kocha, co się szanuje, tego wszystkiego, co nam dało siłę do zwycięstwa! Potężnych robotników pierwszej godziny nie było już, szczęśliwy Gambetta, że tego nie dożył! I co za gorycz dla ostatnich weteranów, jacy pozostali pośród młodego pokolenia, inteligentnego i subtelnego, które uśmiechało się łagodnie, patrząc na tamtych jak na zacofanych romantyków! Wszystko waliło się w gruzy z chwilą, gdy idea wolności bankrutowała, gdy wolność nie była już jedynym dobrem, istotnym fundamentem republiki, którą okupili tak drogo, tak długim wysiłkiem!

Bardzo prawy, bardzo godny, Barroux złożył swoje wyznanie. Republika była świętą arką. Najgorsze sposoby stawały się dobre, gdy szło o jej ratowanie, z chwilą gdy znalazłaby się w niebezpieczeństwie. I bardzo po prostu opowiedział swoją historię, mówił o wielkich pieniądzech banku Duvillarda, które szły na dzienniki opozycyjne pod pretekstem reklamy, gdy tymczasem dzienniki republikańskie otrzymywały sumy śmiesznie małe. Jako minister spraw wewnętrznych, miał sobie powierzoną prasę; i cóż by powiedziano, gdyby nie był się starał przywrócić właściwą równowagę czuwając, aby

potęga przeciwników rządu nie wzmogła się dziesięciokrotnie? Ręce wyciągały się ku niemu, dwadzieścia dzienników, i to najbardziej zasłużonych, najwierniejszych, domagało się swojej godziwej części. Tę właśnie część on im zapewnił, *każąc* wśród nich rozdzielić dwieście tysięcy franków wypisanych na liście przy jego nazwisku. Ani jeden centym nie wpłynął do jego kieszeni, nie dopuszczał, aby pozwalano sobie wątpić w jego uczciwość, jego zwyczajne słowo powinno było wystarczyć. I w tym momencie miał on w sobie naprawdę wspaniałą wielkość; znikło wszystko, jego pompatyczna przeciętność, jego emfaza, był już tylko uczciwy człowiek, drżący, z sercem na dłoni, z sumieniem krwawiącym, gdyż wydzierał zeń prawdę w gorzkiej rozpacz, że był przy ciężkim trudzie, a teraz widzi, iż nie będzie przy nagradzaniu. Istotnie, słowa te padały w lodowate milczenie. Barroux, który naiwnie spodziewał się porywu entuzjazmu, widział już Izbę republikańską wiwatującą na jego cześć za to, że ocalił republikę, sam stopniowo dawał się owładnąć zimnemu tchnieniu, jakim wiało ze wszystkich ław. Od razu poczuł się wyizolowany, skończony, naznaczony piętnem śmierci. Tworzyła się w nim ruina, pustka grobu. A jednak mówił dalej w strasznej ciszy, z brawurą straceńca, który kończy samobójstwem, lecz chce umrzeć stojąc, z głębokiego umiłowania szlachetnej i wymownej postawy. Jego koniec miał być ostatnim pięknym gestem. Gdy schodził z trybuny, chłód jeszcze się spotęgował, nie rozległy się oklaski. Miary niezręczności dopełniła jego aluzja do tajemnych intryg Rzymu i kleru, które, jego zdaniem, zmierzały jedynie do odzyskania straconych pozycji i odbudowania prędzej czy później monarchii.

— Ależ to dureń! Któż się przyznaje? — mruknął Massot. — Leży, a wraz z nim cały gabinet!

I wówczas, w tej zmrożonej atmosferze, jaka ogarnęła Izbę, Monferrand swobodnie wszedł na trybunę. Ogólne przygnębienie płynęło z głuchej obawy, jaką zawsze wywołuje szczerłość, z rozpacz sprzedajnych deputowanych, czujących, że lecą w przepaść, a także z konfliktów sumień, jakie powstają wobec mniej lub więcej usprawiedliwionych kompromitacji politycznych. I zdawało się, że wszyscy doznali ulgi, gdy Monferrand w obronie swego obrażonego honoru zaczął z wielkim impetem od zupełnie formalnego dementi, bijąc jedną pięścią w trybunę, a drugą uderzając się w pierś. Przysadzisty i mały, z głową pochyloną do przodu, z grubym nosem człowieka zmysłowego i ambitnego, przez chwilę wydał się wspaniały w tej krzepkości, pod którą ukrywał głęboką przebiegłość. Przeczył wszystkiemu. Nie tylko nie wie, co ma oznaczać ta cyfra osiemdziesięciu tysięcy franków wypisana obok jego nazwiska, ale nawet rzuca wyzwanie całemu światu, aby dowiedziono mu, że wziął dla siebie choćby grosz z tych pieniędzy. Jego oburzenie kipiało, przelewało się przez brzegi, więc nie tylko nie zadowolił się protestem we własnym imieniu, ale przeczył również w imieniu wszystkich deputowanych, wszystkich Izb francuskich, obecnych i przeszłych, jak gdyby ta potworność, jaką był wybraniec ludu sprzedający swój głos, przerastała hańbę wszystkich znanych zbrodni, graniczyła z absurdem. I wybuchły oklaski, Izba, na nowo rozgrzana, wyswobodzona, wydawała okrzyki na jego cześć.

Jednakże z małej grupy socjalistycznej podniosły się przeciwko niemu wrogie okrzyki wzywające go, aby udzielił wyjaśnień co do sprawy Afrykańskich

Kolei Żelaznych, przypominające mu, że w okresie głosowania był ministrem robót publicznych, i dopytujące się, co zamierzał właściwie uczynić dzisiaj, jako minister spraw wewnętrznych, wobec denuncjacji, kiedy trzeba uspokoić sumienie kraju. Uchylił to pytanie, oświadczył, że jeżeli są winni, sprawiedliwość zostanie im wymierzona, gdyż nikt nie ma potrzeby przypominać mu, jakie są jego obowiązki. I tu nagle, z wielką siłą, z nieporównanym mistrzostwem wykonał manewr dywersyjny, który przygotowywał już od wczoraj. Nigdy nie zapominał o obowiązku, spełniał go jak wierny żołnierz narodu, w każdej godzinie zawsze z jednakową czujnością i roztropnością. A czyż nie padło oskarżenie, że używa policji do jakiejś podłej szpiegowskiej służby, co jakoby pozwoliło słynnemu Hunterowi wymknąć się? Otóż właśnie może oświadczyć Izbie, do czego istotnie użył wczoraj tej tak spotwarzanej policji, co zrobiła ona dla sprawiedliwości i dla ładu. Wczoraj w Lasku Bulońskim zaaresztowała największego ze złoczyńców, sprawcę zamachu przy ulicy Godot-de-Mauroy, owego mechanika anarchiste, niejakiego Salvata, który od przeszło sześciu tygodni wymykał się wszelkim poszukiwaniom. W ciągu wieczora uzyskano od tego nędznika całkowite przyznanie się do winy, sprawiedliwość miała teraz wykonać szybko swoje zadanie. Obraza moralności publicznej zostanie wreszcie pomszczona, Paryż będzie wolny od długiego terroru, anarchia otrzyma cios w samą głowę. I oto czego dokazał on, minister, dla honoru i zbawienia kraju, podczas gdy plugawi donosiciele na próżno usiłowali skalać jego imię wpisując je na haniebną listę, która była wytworem najpodlejszych intryg politycznych.

Z otwartymi ustami, drżąca, słuchała go Izba. Ta historia aresztowania, która spadała jej jak z nieba, o której nie wspominał żaden dziennik poranny, ten podarunek, jaki zdawał się jej czynić Monferrand ze strasznego Salvata, który zaczynał już uchodzić za istny mit zbrodniczości, cała ta sceneria, podnosiła ją na duchu, jak gdyby znalazła się w obliczu długo ciągnącego się dramatu, którego rozwiązanie nagle ją olśniło. Głęboko poruszona i uradowana, sala zgotowała długą owację mówcy, który dalej wysławiał swój energiczny czyn, uratowanie społeczeństwa, ukaranie zbrodni, nie zapominając o oświadczeniu, że zawsze i wszędzie okaże się człowiekiem silnym umiejącym zaprowadzać ład. I zdobył sobie nawet ławy prawicy, gdy, odcinając się od Barroux, zakończył wyrazami sympatii dla sprzymierzonych z rządem katolików i apelem do pogodzenia różnych wyznań, w sojuszu przeciwko wspólnemu wrogowi, okrutnym socjalistom przygotowującym powszechną zagładę.

Gdy Monferrand zeszedł z trybuny, sprawa jego była wygrana, wypłynął na brzeg; cała Izba oklaskiwała go, zarówno prawica, jak lewica, zagłuszając protest paru socjalistów, których okrzyki podsycaly tylko ten zwycięski tumult. Ręce wyciągały się ku niemu, on zaś przez pewien czas jeszcze stał, dobroduszny i uśmiechnięty, ale w uśmiechu jego narastał niepokój. Sukces zaczynał budzić w nim wątpliwości, napełniać go lękiem. Czyżby mówił zbyt dobrze? Czyżby zamiast uratować się sam, uratował również gabinet? Byłaby to ruina całego jego planu, nie *życzył* sobie, aby Izba głosowała pod wrażeniem tej mowy, która przed chwilą tak ją poruszyła. I przeżył tak parę minut prawdziwej trwogi, wciąż uśmiechnięty, ale w oczekiwaniu, czy ktoś

nie wstanie, aby mu odpowiedzieć. Na trybunach sukces jego był równie wielki. Damy oklaski-
wały go, a nawet monsignor Martha raczył okazywać najżywsze zadowolenie.
— No i co, panie generale? — mówił szyderczo Massot. — Oto bojownicy
naszych czasów, a Monferrand to twarda sztuka!... To się nazywa wycofać się
z gry. Ale w każdym razie piękna robota!

W końcu Monferrand zobaczył, że Vignon, którego wypychali towarzysze,
wstaje i wchodzi na trybunę. Wówczas uśmiech jego odzyskał całą swoją
złośliwą dobroduszość; Monferrand wrócił na ławę ministrów i z błogością
zaczął się przysłuchiwać.

Wraz z wystąpieniem Vignona natychmiast zmieniła się atmosfera Izby. Stał
szczupły i poprawny na trybunie, ukazując piękną jasną brodę, niebieskie
oczy, zręczną młodzieńczą postać. Ale przede wszystkim przemawiał jak
człowiek praktyczny, stylem prostym i bezpośrednim, przy którym
deklamacje jego starszych kolegów wydawały się jeszcze bardziej jałowe i
emfaticzne. Z okresu spędzonego w administracji zachował żywe
rozumienie dla świata interesów, swobodny sposób stawiania i
rozstrzygania najbardziej zawitych kwestii. Rzutki, odważny, ufny w swoją
gwiazdę, a w dodatku zbyt młody i zbyt zręczny, aby się już, czymkolwiek
skompromitować, szedł ku przyszłości wypracowawszy sobie program nieco
dalej zmierzający niż program Barroux i Monferranda, dający mu podstawę
do zajęcia ich miejsca, gdy ich wreszcie obali, zwłaszcza że posiadał wszelkie
dane, aby zrealizować ów program, podejmując tak dawno obiecywane
reformy. Zrozumiał, że uczciwość, wspomagana roztropnością i sprytem,
doczeka się wreszcie swojej kolei. I bardzo stanowczo swoim wyrazistym
głosem powiedział, co miał do powiedzenia, i na co zdrowy rozsądek i utajone
poczucie słuszności Izby także już oczekiwało. Oczywiście, on pierwszy cieszy
się z aresztowania, które uspokoi kraj. Ale nie widzi, jaki związek mógłby
zachodzić pomiędzy tym aresztowaniem . a smutną sprawą przedłożoną
Izbie. Były to dwa zupełnie różne zagadnienia; błagał więc swoich kolegów,
aby nie głosowali w chwilowym podnieceniu, w jakim ich oto widzi. Trzeba
sprawę wyjaśnić do końca, oczywiście zaś nie mogli tego dokonać dwaj
obwinieni ministrowie, On zresztą wypowiada się
przeciwko projektowi utworzenia komisji śledczej; jest zdania, że należałoby
po prostu oddać winnych, jeśli tacy są, w ręce sprawiedliwości. I on również
zakończył dyskretną aluzją do wzrastających wpływów kleru, mówiąc, że nie
widzi wszakże zagrożenia z żadnej strony i nie obawia się ani dyktatury
państwa, ani przebudzenia się dawnego ducha teokratycznego. „Bardzo
dobrze, bardzo dobrze” — przebiegło z jednego końca Izby na drugi; gdy
Vignon wracał na miejsce, odezwało się zaledwie trochę oklasków, ale Izba
ochłonęła, sytuacja wydawała się tak jasna, głosowanie tak pewne, że Mège,
który miał zamiar jeszcze raz przemówić, zdobył się na rozumne
postanowienie, że będzie milczał. I powszechną uwagę zwróciła spokojna
postawa Monferranda, który przez cały czas słuchał Vignona życzliwie, jak
gdyby oddawał hołd talentowi przeciwnika; natomiast Barroux, od chwili gdy
lodowate zimno zapadło po jego przemówieniu, siedział w swojej ławie
nieruchomy, śmiertelnie blady, jakby rażony piorunem, zmiażdżony pod
ruinami starego świata.

— No i stało się — rzekł znowu Massot — gabinet leży!... Wiecie panowie, że ten mały Vignon zajdzie daleko. Mówią, że marzy o Pałacu Elizejskim. W każdym razie w tej chwili on jest upatrzony na szefa przyszłego gabinetu. Gdy po pewnym czasie, w rozgwarze rozpoczynających się wyborów, Massot chciał odejść, generał go zatrzymał.

— Niech pan poczeka, panie Massot... Cóż za obrzydliwość ta kuchnia parlamentarna! Powinien pan opisać to w którymś z artykułów, pokazać, jak podobne dni bezowocnych i plugawych dyskusji z wolna deprawują nasz kraj aż do szpiku kości. Bitwa, w której na placu zostałyby pięćdziesiąt tysięcy ludzi, mniej by nas wyczerpała, zostawiłaby nam w sercu więcej życia niż dziesięć lat tego obrzydłego parlamentaryzmu...

Proszę, niech mnie pan odwiedzi któregoś przedpołudnia. Pokażę panu projekt ustawy wojskowej, w którym mówię o konieczności odbudowania naszej dawnej armii, zawodowej i ekskluzywnej, jeżeli nie chcemy, aby nasza armia narodowa, w której zapanował duch mieszczański i której liczebność jest tak iluzoryczna, nie stała się martwym ciężarem, który pociągnie za sobą na dno cały naród.

Od chwili rozpoczęcia obrad Piotr nie odezwał się ani słowem. Słuchał uważnie, naprzód ze względu na brata, potem, pomału sam dał się ogarnąć gorączce, która panowała na sali. Utwierdzał się w przekonaniu, że Wilhelm nie ma się już czego obawiać; ale jak szybko zdarzenia toczyły się tutaj jedne za drugimi i jak potężnym echem odezwało się aresztowanie Salvata! Fakty łączyły się, zazębiały, przetwarzały nieustannie. Pochylony nad wrzącą salą, odgadywał w niej tysiączne konflikty namiętności i interesów. Śledził wielką rozgrywkę pomiędzy Barroux, Monferrandem i Vignonem; patrzył na dziecinną radość groźnego Mège'a, szczęśliwego, że poruszył błotniste dno tej wody, w której łowił zawsze tylko dla innych; a potem uwagę jego przyciągnął Fonsègue, który bardzo spokojny, świadom tajemnic przyszłości, właśnie uspokajał Dutheila i Chaigneux, obu przerażonych pewnym już upadkiem gabinetu. Powracał też ciągle wzrokiem do monsignora Marthy, niemal nie spuszczał go z oczu, śledząc wrażenia z zebrania na jego pogodnej i szczęśliwej twarzy, jak gdyby cała komedia parlamentarna odegrała się jedynie w tym celu, aby ów kapłan odniósł w przyszłości spodziewany triumf. I w oczekiwaniu na ogłoszenie wyników głosowania nie słyszał już, jak obok niego Massot i generał mówili o taktyce, o kadrach i poborze rekruta, sprzeczali się na temat, czy istotnie koniecznością jest sprawienie całej Europie krwawej kąpieli. Ach, kiedyż wreszcie cierpiąca ludzkość, która wiecznie sama z sobą walczy i zżera się w parlamentach i na polach bitew, kiedyż ona wreszcie rozbroi się, aby w końcu żyć wedle praw sprawiedliwości i rozsądku?

Zamieszanie przeciągało się z powodu wniosków, a raczej istnej powodzi wniosków, począwszy od bardzo bezwzględnej, jaki zaproponował Mège, do tego, który wysunął Vignon, a który był tylko rygorystyczny. Gabinet godził się na proste przejście do porządku dziennego, ale został pobity, i w końcu Izba większością dwudziestu pięciu głosów uchwaliła wniosek zaproponowany przez Vignona. Jedna z grup lewicy zapewne połączyła się z prawicą i grupą socjalistów. Wynik ten przyjęto wielką, długotrwałą wrzawą, która podniosła się z sali i opanowała trybuny.

— A więc— rzekł Massot wychodząc z generałem i z Piotrem — mamy gabinet Vignona. Ale w każdym razie Monferrand uratował się. Na miejscu Vignona bałbym się go.

Wieczorem w małym domku w Neuilly odbyło się pożegnanie wzruszające w swojej prostocie i wzniosłości. Gdy wrócił Piotr, smutny, ale uspokojony, Wilhelm ostatecznie zdecydowały że nazajutrz powróci do swego życia i zwykłych prac na Montmartre. Jak Mikołaj Barthès, on także musiał odejść, mały dom w Neuilly miał więc znowu pograżyć się w zwykłej pustce i rozpacz.

Teofil Morin przyszedł zawiadomiony o bolesnej nowinie przez Piotra i gdy o siódmej godzinie czterej mężczyźni usiedli do stołu, Barthès nic jeszcze nie wiedział. Przez cały dzień chodził z jednego końca pokoju w drugi swoim ciężkim krokiem lwa w klatce, żyjąc tam, w tym schronieniu ofiarowanym przez przyjaciela, jak wielkie bohaterskie dziecko, które nigdy nie niepokoi się o sprawy dnia dzisiejszego ani też o groźby -jutra. Jego życie zawsze *było* bezgraniczną nadzieją, która zawsze rozbijała się o graniczne słupy rzeczywistości. Wszystko, co kochał, wszystko, za co — jak wierzył — zapłacił pięćdziesięcioma blisko laty więzienia i wygnania, oparta na równości wolność, braterska republika, na próżno już runęło, na próżno zadało najbezwzględniejszy kłam jego marzeniu; wbrew wszystkiemu zachował wiarę, czystą wiarę młodości, ufną w niedaleką już przyszłość. Uśmiechał się, rozanielony, gdy nowi przybysze, gwałtownicy, którzy go prześcignęli, wyszydza go, traktowali jak poczciwego staruszka. On sam zupełnie nie rozumiał nowych sekt, oburzał się na ich brak humanitaryzmu, był wspaniały i uparty w swej idei odrodzenia świata przez symplisticzną koncepcję ludzi z natury dobrych, wszystkich wolnych, wszystkich żyjących jak bracia.

I tego wieczora, przy obiedzie, czując się wśród serdecznych przyjaciół, był bardzo wesoły, ukazał naiwność swojej duszy, ową absolutną pewność, że w najbliższej przyszłości zobaczy wbrew wszystkiemu urzeczywistnienie swego ideału. Potem, ponieważ gdy tylko miał na to ochotę, był doskonałym gawędziarzem, opowiadał czarujące historie o swoich różnych więzieniach. Znał je wszystkie, i Świętą Pelagię, i Mont-Saint-Michel, i Belle-Ile-en-Mer, i Clairvaux, i więzienia przejściowe, i zapowietrzone statki więzienne; do niektórych wspomnień nawet się uśmiechał, powiadając, że wszędzie znajdował ucieczkę w swobodzie swojego sumienia. I trzech słuchający go mężczyźni poddali się jego czarowi, mimo że trwoga ścisła im serca na myśl, że ten wieczysty więzień, ten wieczysty wygnaniec znowu będzie musiał wstać, raz jeszcze ująć kij podróżny i odejść.

Dopiero przy deserze zabrał głos Piotr. Opowiedział o tym, jak minister zaważwał go, i o czterdziestu ośmiu godzinach, jakie pozostawiono Barthèsowi na dojazd do granicy, jeżeli chciał uniknąć aresztowania. Stary człowiek, o długich białych puklach, z orlim nosem, z oczyma zawsze płonącymi młodością, wstał poważnie i chciał wyruszyć natychmiast.

— Jak to, mój synu, wiesz o tym od wczoraj i trzymałeś mnie u siebie, narażałeś mnie na to, że skompromituję ciebie jeszcze bardziej pozostając dłużej w twoim domu?... Musisz mi wybaczyć, że nie myślałem o kłopotach, jaki ci sprawiam, wydawało mi się, że wszystko ułożyło się tak dobrze!... I

dziękuję, dziękuję Wilhelmowi i tobie za tych parę spokojnych dni, jakimi obdarzyliście starego włóczęgę, takiego starego szaleńca jak ja!
Błagali go, ażeby został do następnego dnia rano, ale nawet nie słuchał. Pociąg do Brukseli odchodził około północy, Barthès miał więc dość czasu, aby nań zdążyć. Również sprzeciwił się stanowczo, .aby Morin zadawał sobie trud i towarzyszył mu. Morin nie był zamożny, miał swoje zajęcia. Dlaczego więc zabierać mu czas, skoro było tak prostą rzeczą, aby wyjechał sam? Wracał na wygnanie jak do biedy, jak do z dawna znanego bólu, jak Żyd wieczny tułacz wolności, legendarnym swoim męczeństwem wieczyście gnany po szerokim świecie.
O dziesiątej, na małej uśpionej ulicy, gdy pożegnał swoich gospodarzy, łzy zalały mu oczy.
— Ach, nie jestem już młody, tym razem to koniec, nie wrócę, moje kości spoczną tam, w jakimś odległym kącie!
Ale uściskawszy czule Wilhelma i Piotra, wyprostował swoją nieujarzmioną i dumną postać i wydał ostatni okrzyk nadziei:
—A zresztą, któż to może wiedzieć?! Może zwycięstwo przyjdzie jutro, przyszłość należy do tego, kto ją tworzy i kto jej czeka!
I odszedł, i długo jeszcze słyhać było dźwięczny i pewny odgłos jego kroków ginących w dali, w jasnej nocy.

KSIEGA CZWARTA

I

W ten łagodny poranek jednego z ostatnich dni marca, gdy Piotr wyszedł z małego domku w Neuilly ze swoim bratem Wilhelmem, aby odprowadzić go na Montmartre, serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl, że wróci tutaj sam i że znowu zapadnie w klęskę i nicość. Nie spał wcale, zatracił się w goryczy, ukrywając ból, wysilając się na uśmiech.

Zobaczywszy, jak jasne i łagodne jest niebo, dwaj bracia postanowili pójść pieszo, odbyć długą przechadzkę przez bulwary zewnętrzne. Była godzina dziewiąta. Piotr z rozkoszą towarzyszył starszemu bratu, który cieszył się na miłą niespodziankę, jaką gotował swoim bliskim, jak gdyby wracał z dalekiej podróży. Nie uprzedził ich ani słowem; od chwili swego zniknięcia poprzestał na pisemnym przesyłaniu im od czasu do czasu wiadomości o sobie. Trzej jego synowie nie odwiedzali go z ostrożności, szanując jego wolę; nawet dziewczyna, którą miał wziąć za żonę, czekała rozsądnie, spokojna i opanowana.

Na górce, gdy wspięli się po nasłonecznionych stokach Montmartre, Wilhelm, który miał klucz, wszedł zwyczajnie, cicho. Na placu du Tertre, tak prowincjonalnym, tak spokojnym, mały dom zdawał się spać w głębokim spokoju. I Piotr odnalazł go takim, jakim go widział za pierwszej, jedynej w nim bytności; stał milczący, jakby uśmiechnięty, skąpany w bezmiernej tkliwości. Najpierw wąski korytarz, który przecinał cały parter i otwierał się na ogromny widnokrąg Paryża. Następnie ogródek, na który składały się dwa drzewa śliwkowe i kępa bżów rozweselonych teraz liśćmi; tutaj zauważył trzy rowery wsparte o śliwy. Wreszcie przestronna pracownia, tak wesola i cicha, gdzie najczęściej przebywała cała rodzina i której wielkie okno górowało nad oceanem dachów.

Wilhelm dotarł aż do pracowni nie spotkawszy nikogo. Rozbawiony tym, położył palec na wargach.

— Uwaga, Piotrusiu! Zaraz coś zobaczysz!

Wilhelm otworzył po cichu drzwi i przez chwilę zatrzymali się w progu. Byli tam tylko trzej synowie Wilhelma. Tomasz stojąc koło warsztatu pracował przy wiertarce, wybijając otwory w niewielkiej mosiężnej płytce. W drugim kącie, przy ogromnym oknie, siedzieli Franciszek i Antoni po dwóch stronach wielkiego stołu, jeden zagłębiony w książce, drugi zaś, z dłutem w ręce, wykańczał drzeworyt. Słońce rzucało tam radosną plamę światła, igrało wśród dziwnego nieładu sali, gdzie piętrzyło się mnóstwo różnych zaczętych prac, mnóstwo narzędzi, a wśród nich stół do robótek obu kobiet, ukwiecony wielkim pękiem lewkonii. Trzej młodzieńcy tak zaabsorbowani byli pracą, że wśród religijnego spokoju słychać było tylko lekki świst maszyny, ilekroć najstarszy z synów zabierał się do wiercenia nowego otworu.

Ale chociaż Wilhelm stojąc w progu nie ruszył się, przez pokój przebiegł jakiś dreszcz, nastąpiło nagłe przebudzenie. Trzej synowie odgadli, równocześnie podnieśli głowy. Wydali ten sam okrzyk, ten sam wspólny impuls podniósł ich, rzucili się ojcu na szyję.

— Ojciec!

On, szczęśliwy,, obejmował ich mocnym uściskiem. To było wszystko, żadnych przydługich czułości, niepotrzebnych słów. Jak gdyby wczoraj wyszedł z domu i wracał z miasta, gdzie coś go dłużej zatrzymało. Przyglądał się im z właściwym sobie uśmiechem, a oni wszyscy trzej, z oczyma w jego oczach, również się uśmiechali; i to mówiło o całej miłości, o oddaniu zupełnym, na zawsze.

— Wejdz, Piotrze. Musisz uścisnąć ręce tym zuchom.

Ksiądz zażenowany, ogarnięty szczególnym jakimś zmieszaniem, wciąż jeszcze stał przy drzwiach. Jego trzej bratankowie powitali go mocnym uściskiem dłoni, po czym Piotr, nie wiedząc, co z sobą zrobić, czując się tu obcym, usiadł na uboczu, pod oknem.

— No, dobrze, malcy, ale co z Babką i Marią?

Babka właśnie poszła na górę do swojego pokoju. Młoda dziewczyna zaś uparła się, że sama dziś pójdzie na targ. Uważała to za wielką przyjemność; twierdziła, że tylko ona umie kupować świeże jajka i masło pachnące jak orzech. Czasem przynosiła oprócz tego jakiś przysmak lub kwiaty, uradowana, że okazała się tak praktyczną gospodynią.

— A zatem wszystko w porządku? — pytał dalej Wilhelm. — Jesteście zadowoleni, praca idzie dobrze?

I zwracał się pokrótce do każdego, jak człowiek, który od razu powraca do codziennych przyzwyczajeń. Tomasz, którego surowa i pocziwa twarz promieniała, w dwóch zdaniach opowiedział

o swoich nowych studiach nad małym motorem, tym razem pewien, jak mówił, że cel osiągnął. Franciszek, wciąż zajęty przygotowaniem się do egzaminu, zażartował, wspomniał o ogromnym materiale, jaki musiał jeszcze wbić sobie do głowy. Antoni pokazał drzeworyt, który miał na wykończeniu, przedstawiający Lizę, jego małą przyjaciółkę, siostrę rzeźbiarza Jahana, czytającą na słońcu w ogrodzie, w całym rozkwicie zapóźnionej dotąd istoty, którą on swoją tkliwością obudził do życia umysłowego.

I wciąż rozmawiając, trzej bracia wrócili na miejsca, wzięli się znowu do pracy, w sposób naturalny, siłą wielkiej dyscypliny, która z pracy uczyniła im samo życie.

Wilhelm, w doskonałym nastroju, oglądał robotę każdego z nich.

— Ach, moi drodzy, a co ja przygotowałem, co doprowadziłem do końca w czasie choroby! Zrobiłem sporo notatek... Przyszliśmy tutaj pieszo, ale przywiezie się to wszystko dorożką wraz z ubraniem i bielizną, które przysłała mi Babka... I cóż za radość zobaczyć znowu to wszystko, wrócić razem z wami do rozpoczętego dzieła! Ach, wezmę ja się do roboty!

Już usadowił się w swoim kącie. Pomiedzy warsztatem a oknem miał dla siebie sporo miejsca, swoje palenisko chemika, oszklone szafki i półki zastawione przyrządami, długi stół, którego jeden koniec służył mu za biurko. I już wchodził w posiadanie tego świata, oczy jego oglądały go z radością, znajdując

wszystko na swoim miejscu, ręce szperały, dotykały przedmiotów; spieszył się, aby — jak jego trzej synowie — też wrócić do pracy.

Ale już na szczycie małych schodów, prowadzących do pokoi sypialnych, ukazała się Babka, spokojna i poważna, bardzo wyprostowana, w swojej wiecznej czarnej sukni.

— To ty, Wilhelmie! Mógłbyś przyjść tutaj do mnie na chwilę? Poszedł na górę, zrozumiał, że chce mu coś oznajmić, uspokoić go, bez świadków powiedzieć natychmiast to, co powinna była powiedzieć. Była to ich groźna tajemnica, jedyna rzecz, o której synowie nie wiedzieli, doniosła sprawa, którą Wilhelm dręczył się i trwożył po zamachu, w lęku, że może się ona ujawnić i rozgłosić. Na górze, w swoim pokoju, zdała mu sprawę i pokazała przy swoim łóżku nienaruszoną skrytkę, gdzie znajdowały się ładunki nowo wynalezionej prochu oraz plany straszliwej niszczycielskiej maszyny. Znalazł je w takim stanie, w jakim je zostawił; gdyby ktoś chciał je ruszyć, musiałby wprawdzie ją zabić albo wysadzić dom w powietrze. Z prostotą, z twarzą wyrażającą spokojny heroizm, zwróciła mu straszny depozyt, wręczając klucz, który przysłał jej przez Piotra nazajutrz po swoim wypadku.

— Mam nadzieję, żeś się tym nie niepokoił? Uścisnął jej obie ręce z czułością i szacunkiem.

— Niepokoiłem się tylko o to, aby nie przyszła tutaj policja i nie dręczyła ciebie, Babko... Byłaś strażniczką i gdybym ja zginął, ty dokończyłabyś mego dzieła.

Tymczasem na dole Piotr, wciąż siedząc pod oknem, czuł, jak rośnie jego skrzępowanie. Na pewno w tym domu miano dla niego jedynie serdeczną sympatię, dlaczego więc wydawało mu się, że przedmioty, a nawet ludzie pozostały mu wrogie mimo szczerzej woli przyjęcia go jak brata? I zapytywał sam siebie, co on będzie robił pomiędzy tymi wszystkimi pracownikami, których podtrzymywała wiara, on, który nie wierzył już w nic i nic nie robił. Widok trzech braci, tak żarliwych, tak wesołych przy pracy, zaczął w nim wreszcie budzić gniewną niechęć. Ale kres jego rozmyślaniom położył powrót Marii.

Weszła nie widząc go, wesoła, tryskająca życiem, z koszykiem pełnym wiktuałów na ręce. Wydawało się, że słoneczny wiosenny poranek wchodzi razem z nią, tak promieniała młodością, cienka w pasie, z bujną piersią. Cała jej różowa twarz: delikatny nos, wysokie, inteligentne czoło, wydatne, pełne dobroci usta, jaśniała pod grubymi warkoczami czarnych włosów, a piwne oczy śmiały się nieustanną wesołością zdrowia i siły.

— Żebyście wy, moi chłopcy, wiedzieli — zawołała — ile ja nakupiłam!... Chodźcie zobaczyć, nie chciałam sama wyładowywać mojego kosza w kuchni. Wszyscy trzej musieli podejść i skupić się dokoła koszyka, który postawiła na stole.

— Przede wszystkim masło. Powąchajcie tylko, czy nie pachnie orzechami! Zrobiono je specjalnie dla mnie... A dalej jajka. Zniesione wczoraj, ręczę za to. A nawet to jedno dzisiejsze... Dalej kotlety, zadziwiające, nieprawdaż? Rzeźnik pieści je po prostu, kiedy ma wykroić je dla mnie!.. A dalej ser śmietankowy, ale naprawdę śmietankowy, cudo! A teraz niespodzianka, prawdziwy przysmak, rzodkiewki, śliczne, małe, różowe rzodkieweczki. Rzodkiewki w marcu, co za zbytek!

Triumfowała jako dobra gospodyni, która zna się na cenach i która w liceum Fénelona przeszła cały kurs gotowania i gospodarstwa domowego. Trzej bracia, którzy bawili się wraz z nią, zasypali ją komplementami.

Ale ona zobaczyła nagle Piotra.

— Jak to, ksiądz jest u nas? Bardzo przepraszam, ale nie zauważyłam... A czy Wilhelm dobrze się miewa? Ksiądz zapewne przyniósł nam wiadomości od niego.

— Ależ ojciec wrócił — rzekł Tomasz — jest na górze, u Babki.

Przejęta, włożyła wszystkie wiktuały z powrotem do koszyka.

— Wilhelm wrócił! Wilhelm wrócił! I wy nic mi nie mówicie! I pozwalacie mi to wszystko tak wypakowywać! A to ładnie z mojej strony: chwale się, plotę o maśle i jajkach, a tu Wilhelm wrócił!

Właśnie Wilhelm wychodził z Babką z pokoju na górze i Maria podbiegła wesoła, podała mu oba policzki, na których wycisnął dwa mocne pocałunki; potem położyła mu ręce na ramionach, spojrzała na niego przeciągle i powiedziała lekko drżącym głosem:

— Jestem rada, bardzo rada, że cię widzę, Wilhelmie... Teraz mogę ci to powiedzieć: myślałam, że cię utraciłam na zawsze, byłam bardzo niespokojna i bardzo nieszczęśliwa.

I chociaż nie przestawała się śmiać, dwie łzy ukazały się w jej oczach, on zaś, również bardzo wzruszony, szepnął, raz jeszcze ją całując:

— Droga Mario... Jaki jestem szczęśliwy! Widzę cię znowu tak piękną, tak zawsze tkliwą!

Piotrowi, gdy na nich patrzył, wydali się zbyt zimni. On oczekiwał obfitszych łez, namiętniejszego uścisku dwojga kochanków, których przypadek rozdzielił na tak długo w przeddzień zawarcia małżeństwa. Dotknęła go też niemile różnica wieku, chociaż brat wydawał mu się krzepki i jeszcze całkiem młody. Natomiast ta dziewczyna zdecydowanie mu się nie podobała. Była zbyt zdrowa, zbyt spokojna. Od kiedy ją tu zobaczył, czuł w sobie wzrastające zniechęcenie, pragnienie, aby pójść stąd i nigdy nie wracać. To wrażenie, że jest tak bardzo różny od niej, że czuje się u swego brata niby ktoś obcy, stawało się dla niego prawdziwym cierpieniem.

Wstał, zapragnął odejść pod pozorem, że ma coś załatwić w mieście.

— Jak to, nie zjesz z nami śniadania? — zawołał Wilhelm zdumiony: — Ależ to rzecz postanowiona, nie sprawisz mi takiej przykrości... teraz, braciszku, ten dom jest twoim domem.

I wszyscy zaczęli wołać i prosić go ze szczerym uczuciem, tak że musiał zostać i usiąść na tym samym krześle, gdzie znów zapadł w zażenowanie i milczenie, patrząc i słuchając rozmów tej rodziny, która była jego rodziną, a która wydawała mu się tak daleka.

Biła dopiero jedenasta. Zabrano się znów do pracy, którą czasem przerywały wesołe rozmowy, gdy jedna z dwóch służących przyszła po koszyk z zakupami. Maria poleciła jej, aby zawołała ją do kuchni, gdy będzie się gotować jajka na miękko, chlubiła się bowiem, że zna doskonały sposób, aby były w sam raz, sekret, dzięki któremu białko stawało się w nich jak śmietanka. Dało to okazję do żartów Franciszkowi, który dokuczał jej czasem na temat tych wszystkich wspaniałych umiejętności, jakie zdobyła w liceum Fénelona, gdzie jej ojciec umieścił ją, gdy miała dwanaście lat, po śmierci jej matki. Ale Maria odcinała mu się dzielnie, śmiejąc się z kolei, że on tyle godzin marnuje w École Normale na swoją pedagogiczną chińszczyznę.

— Ach, z was duże dzieci! — mówiła nie porzucając swego haftu. — To dziwne, wszyscy trzej jesteście przecież bardzo inteligentni, horyzonty wasze

są niezwykle rozległe, ale w- gruncie rzeczy razi was trochę, kiedy taka dziewczyna jak ja kształci się tak samo jak wy, chłopcy, w liceum. Konflikt płci, sprawa rywalizacji i konkurencji, prawda?

Zaprotestowali przysięgając, że są zwolennikami jak najpowszechniejszego kształcenia dziewcząt. Ona dobrze wiedziała, że to prawda, ale bawiło ją, że może im także trochę podokuczać.

— Nie, nie, w tej kwestii jesteście bardzo zacofani, moje dziatki... Wiem, co dobrze myśląca burżuazja zarzuca żeńskim liceom. Przede wszystkim, wykształcenie jest tam na wskroś laickie, co niepokoi rodziny, które są przekonane, że jeśli chodzi o dziewczęta, wychowanie religijne jest obroną moralną. Następnie, wykształcenie demokratyzuje się tam, uczennice napływają ze wszystkich warstw, córka pani z pierwszego piętra i córka stróżki spotykają się, przyjaźnią, a to dzięki stypendiom, które rozdziela się bardzo hojnie. Wreszcie dziewczęta wyzwala się tam od wpływu domu rodzicielskiego, zostawia się mniejsze lub większe pole ich inicjatywie i na pewno wszystkie te bardzo obszerne programy, cała wiedza, jakiej wymaga się przy egzaminach, prowadzi do emancypacji młodej dziewczyny, stanowi drogę do uformowania przyszłej kobiety, przyszłego społeczeństwa, których wy przecież pragniecie z całego serca, prawda, moje dzieci?

— Ależ oczywiście! — zawołał Franciszek. — W tym punkcie jesteśmy zgodni! Zrobiła ładny gest i spokojnie mówiła dalej:

— Ja żartuję... Wiecie, że jestem zwykłą sobie dziewczyną i że nie przywiązuję do tego takiej wagi jak wy. Ach, te żądania, prawa kobiet! To całkiem proste, kobieta ma wszelkie prawa, jest równa mężczyźnie, o ile tylko dozwala na to natura. I jedyna rzecz, jedyna wieczysta trudność to, aby rozumieć się i kochać... Co nie przeszkadza, że jestem bardzo zadowolona z tego, czego się nauczyłam, ach, nie żebym miała jakieś pretensje do uczoneści, lecz tylko dlatego, że wydaje mi się, iż dzięki temu właśnie jestem zdrowa i zachowuję w życiu równowagę moralną i fizyczną!

Maria lubiła, kiedy tak budzono jej wspomnienia z liceum Fénelona, odświeżała je z zapalem, dzięki któremu odżywała jej chęć do nauki, niesformość podczas rekreacji, kiedy z rozwianym włosom urządziła z towarzyszkami szalone zabawy. Na pięć liceów żeńskich otwartych w Paryżu to jedno tylko cieszyło się wielką frekwencją, ale i tam, nawet zapisywały się, lekceważąc przesady i uprzedzenia, jedynie córki urzędników, a przede wszystkim nauczycieli, które same chciały się poświęcić nauczaniu.

Ukończywszy liceum, szły później po ostateczny dyplom do École Normale w Sèvres. Mimo że chlubnie ukończyła studia, Maria nie czuła żadnego zamiłowania do zawodu nauczycielskiego; a potem, po śmierci ojca, zrujnowanego i zadłużonego, kiedy przez pewien czas mogła się obawiać, iż znajdzie się na paryskim bruku bez środków do życia, Wilhelm wziął ją do swego domu nie chcąc, aby biegała za lekcjami. Maria, która wspaniale haftowała, uparła się, że będzie zarabiać trochę pieniędzy, tak aby nie przyjmować ich darmo od nikogo.

Wilhelm słuchał z uśmiechem nie mieszając się do rozmowy. Zakochał się w niej, urzeczony przede wszystkim jej szczerością, prawością, tą piękną równowagą, dzięki której urok jej miał w sobie jakąś siłę i rzetelność.

Wiedziała o życiu wszystko. Ale jeżeli nie miała w sobie poetyczności dziewczyny naiwnej i trwożnej jak owieczka, zyskała natomiast prawdziwą

uczciwość serca i umysłu, doskonałą niewinność nie bojącą się dziennego światła, wolną od skrupułów i hipokryzji, bez utajonej perwersji zaostrej tajemnicą. I dzięki swojemu kwitnącemu zdrowiu, dzięki spokojowi zachowała taką dziecięcą czystość, że mimo jej dwudziestu sześciu lat nieraz jeszcze krew uderzała jej do twarzy płomiennym rumieńcem, który doprowadzał ją do rozpacz.

— Droga Mario — rzekł Wilhelm — widzisz przecież, że chłopcy żartują i że ty właśnie masz słuszość... Jajka na miękko ugotowane przez ciebie są najlepsze na świecie.

Powiedział to z taką czułością, że młoda dziewczyna, bez innego powodu, oblała się purpurowym rumieńcem. Zdała sobie z tego sprawę i zaczerwieniła się jeszcze mocniej. A ponieważ wszyscy trzej młodzieńcy patrzyli na nią złośliwie, rozgniewała się sama na siebie. A potem zwróciła się do Piotra: — Prawda, jakie to śmieszne, aby stara panna tak się rumieniła? Powiedziałby kto, że popełniłam jakąś zbrodnię... I trzeba księdzu wiedzieć, że chłopcy umyślnie mi dokuczają, abym się czerwieniła!... Na próżno się staram, nie wiem, skąd się to bierze, ale jestem zupełnie bezradna.

Babka, podnosząc wzrok znad koszuli, którą reperowała nie używając okularów, rzekła z prostotą:

— Moja droga, to bardzo dobrze, to serce twoje wypływa na policzki, aby wszyscy je mogli podziwiać.

Zbliżała się pora śniadania. Postanowili, że nakryje się stół w pracowni, co się czasem zdarzało, gdy trafiali się goście. I ten stół ustawiony w pełnym słońcu, zasłany białym obrusem, i całe to skromne- a braterskie śniadanie miało w sobie wielki urok. Jajka, które dziewczyna sama przyniosła z kuchni w serwecie, uznano za znakomite. Wielki sukces odniosły też rzodkiewki i masło. Następnie, po kotletach, na deser był tylko śmietankowy ser, ale za to taki, jakiego nikt jeszcze nigdy nie kosztował. A tam przed nimi był Paryż, rozciągał się bez granic, od jednego krańca horyzontu do drugiego, i groźnie huczał.

Piotr starał się być wesoły. Ale wkrótce zapadł znowu w milczenie. Wilhelm, który niedawno zobaczył był trzy rowery przed domem, wypytywał Marię, chcąc wiedzieć, gdzie była tego ranka. Franciszek i Antoni jeździli z nią w stronę Orgemont. Niestety, potem musieli prowadzić rowery pod górę. Ona śmiała się z tego mówiąc, że potem lepiej śpi, bez złych snów. Rower, jej zdaniem, miał same zalety, a ponieważ ksiądz popatrzył na nią z wielkim zmieszaniem, obiecała, że mu kiedyś wyłoży swoje poglądy na tę sprawę. Niestety, od tej chwili aż do końca śniadania mówiono już tylko o rowerach. Tomasz szeroko opowiadał o ostatnich udoskonaleniach, jakie poczyniono w maszynach produkowanych w fabryce Grandidiera. On sam pracował nad owym słynnym mechanizmem, tak upragnionym, który pozwalałby szybko i łatwo zmieniać w biegu przekładnię. Potem trzej młodzieńcy i dziewczyna rozmawiali o odbytych wycieczkach, o wycieczkach zamierzonych; tryskali życiem, radością ucznia-

ków, którzy spragnieni szerokich przestrzeni wymknęli się ze szkoły.

Babka, która prezydowała przy stole z pogodą królowej matki, nachyliła się do ucha siedzącego obok niej Wilhelma. I Piotr domyślił się, że mówi z Wilhelmem o jego małżeństwie, którego datę, ustaloną na koniec kwietnia,

musiano przesunąć. Ów rozsądny związek, który zdawał się zapewniać szczęście całemu domowi, był w pewnej mierze dziełem jej, a także trzech synów Wilhelma; ojciec bowiem nigdy nie usłuchałby głosu serca, gdyby kobieta, którą miał wprowadzić do rodziny, nie należała do niej już poprzednio, uznana i otaczana miłością. I teraz doszli do wniosku, że datą ze wszech miar odpowiednią będzie ostatni tydzień czerwca.

Maria usłyszała to i uradowana zwróciła się ku nim.

— Prawda, moja droga — zapytała Babka — że bardzo dobrze będzie ustalić to na koniec czerwca?

Piotr spodziewał się, że zobaczy żywy rumieniec na policzkach dziewczyny. Ale Maria zachowała zupełny spokój; miała dla Wilhelma głębokie uczucie, wdzięczność pełną niezmierną tkliwości, a przy tym wierzyła, że poślubiając go czyni rzecz bardzo mądrą i bardzo dobrą, zarówno dla siebie, jak dla innych.

— Oczywiście, w końcu czerwca będzie bardzo dobrze. Synowie, którzy domyślili się, o czym mowa, skinęli tylko głowami, aby również wyrazić swoją aprobatę.

Gdy wstano od stołu, Piotr stanowczo postanowił odejść. Dlaczego tyle bólu sprawiło mu to śniadanie, tak serdeczne w swojej prostocie, i ta rodzina, uszczęśliwiona, że wreszcie znowu ma ojca w swoim gronie, a przede wszystkim ta młoda dziewczyna, tak spokojna, tak rwąca się do życia? Drażniła go, jego skrępowanie stało się nie do zniesienia. Znowu wspomniał, że ma mnóstwo spraw do załatwienia. Potem uścisnął wyciągające się do niego ręce trzech młodzieńców, uścisnął dłonie Babki i Marii, które patrzyły nań przyjaźnie, trochę zdziwione, że tak mu spieszo ich opuścił. A Wilhelm, który na próżno starał się go zatrzymać, zatroskany i smutny, odprowadził go i przystanął z nim w ogródku, aby go zmusić do wyjaśnień.

— Co ci jest? Dlaczego uciekasz?

— Ależ nic mi nie jest, zapewniam cię. Mam parę pilnych spraw, to wszystko.

— Nie, daj spokój tym wykrętom, proszę cię... Mam nadzieję, że nikt tutaj nie sprawił ci przykrości, nikt cię nie zranił. Oni wszyscy wkrótce tak cię pokochają, jak ja cię kocham.

— Nie wątpię w to, nie mam nic nikomu do zarzucenia. Mógłbym się uskarżać tylko na samego siebie.

Wilhelm, którego bolesne podniecenie wzrastało, z rozpaczą machnął ręką.

— Ach, bracie, braciszku, wielką sprawiasz mi przykrość, bo widzę, że coś przede mną ukrywasz! Przecież teraz, kiedy nici braterstwa znów nas powiązały, kochamy się jak dawniej, w czasach kiedy zabawiałem cię leżącego w kołysce. A ja cię znam, znam twoją klęskę i torturę, boś mi się z niej wypowiadał. I nie chcę, abyś cierpiał, chcę cię uzdrowić!

Piotr czuł, że w miarę jak słucha tych słów, jego biedne serce wzbiera. Nie mógł powstrzymać łez.

— Nie, nie, mnie trzeba pozostawić mojemu cierpieniu! Jest nieuleczalne. Nic nie możesz dla mnie zrobić, stoję poza kręgiem natury, jestem potworem.

— Co ty mówisz? A czy nie możesz wrócić do natury, o ile prawdą jest, żeś się z niej wyłamał?... Ja właśnie nie chcę tego, abyś odszedł i zamknął się w twoim samotnym domu, gdzie doprowadzasz się do szaleństwa analizując swoją nicość. Przychodź tutaj, spędzaj całe dni z nami, a obudzimy w tobie na nowo chęć do życia.

Ach, ten czekający go mały, pusty dom! Piotr już teraz czuł lodowaty dreszcz na myśl, że ma się tam znaleźć samotny, bez ukochanego brata, z którym ostatnio spędził dni tak. urocze! W jaką samotność, w jaki zamęt pograży się tam znowu po tych kilku tygodniach życia we dwójkę, życia, do którego z taką radością już się przyzwyczaił! Wzmogło to jeszcze jego ból, z ust jego wydarło się wyznanie.

— Życ tutaj, żyć z wami, ach, nie, to dla mnie rzecz niemożliwa!... Dlaczego zmuszasz mnie, abym mówił, abym ci opowiadał o tym, czego się wstydzę i czego nawet nie rozumiem? Od rana widziałeś, że cierpię przebywając tutaj; może dlatego, że wy pracujecie, a ja nic nie robię, że wy się kochacie, że wierzycie w swój wysiłek, podczas gdy ja nie umiem już ani kochać, ani wierzyć. Czuję się nie na swoim miejscu, jestem skrępowany i was krępuję. A nawet drażnicie mnie i mogę w końcu was znienawidzić. Sam widzisz, że nic dobrego już we mnie nie zostało, że wszystko jest zmarnowane, zniszczone, że wszystko martwe i że wejść na nowo mogą już tylko zazdrość i nienawiść... Pozwól mi więc wrócić do mego przeklętego kąta,- gdzie nicość pochłonie mnie do reszty. Żegnaj, bracie!

Wilhelm w porywie tkliwości i współczucia chwycił go za ramiona, zatrzymał. — Nie odejdziesz, nie pozwolę ci odejść, zanim nie przyrzekniesz mi solennie, że powrócisz. Nie chcę stracić cię na nowo, teraz, kiedy wiem, ile jesteś wart i jak bardzo cierpisz... Jeżeli zajdzie potrzeba, uratuję cię wbrew tobie, uzdrowię cię z męczarni twego zwątpienia. Ach, nie! Nie będę ci prawić kazań, narzucać jakichś wierzeń, lecz po prostu pozwolę działać życiu, bo ono tylko może powrócić ci zdrowie i nadzieję... Błagam cię o to, bracie, w imię naszego przywiązania, wróć, wracaj tutaj często, na całe dni! Zobaczysz, że gdy człowiek postawi sobie cel i pracuje mając przy sobie swoich bliskich, nigdy nie czuje się zbyt nieszczęśliwy. Cel, choćby najskromniejszy, jakaś wielka miłość i życie, na które godzimy się, które kochamy i chcemy przeżyć!

— Po co? — szepnął Piotr z goryczą. — Nie mam już celu i nie umiem kochać.

— A więc dobrze, ja wyznaczę ci cel, a wtedy wraz z bliskim już tchnieniem, które ją obudzi, powróci miłość i znów nauczysz się kochać. Zgódź się, bracie, zgódź się!

Widząc, że Piotr bardzo cierpi i że zacina się w postanowieniu, aby opuścić brata, a siebie unicestwić, Wilhelm rzekł:

— O, ja nie twierdzę, że sprawy na tym świecie idą gładko, że istnieje tylko radość, tylko prawda i sprawiedliwość... Na przykład nie uwierzyłbyś, jaki gniew i bunt mną szarpia na myśl o losie tego nieszczęsnego Salvata! Winien, och, tak, lecz ile można powiedzieć na jego obronę! I jakże bliski staje mi się, gdy świat obarcza go zbrodniami wszystkich, gdy bandy polityczne przerzucają go sobie wzajemnie, wyzyskują, posługują się nim, aby zdobyć władzę! To doprowadza mnie do rozpacz i nie wiem, czy wkrótce już będę bardziej rozsądny jak ty... Ale widzisz, bracie, po prostu, żeby mi zrobić przyjemność, przyrzeknij, że przyjdiesz do nas pojutrze na cały dzień. — A kiedy Piotr jeszcze milczał, dodał: — Chcę tego, za bardzo bym się martwił myślą, że ty się zadrezczasz w swojej norze rannego zwierzęcia. Chcę cię wyleczyć, chcę cię uratować.

Łzy znowu napłynęły do oczu Piotra i powiedział z bezbrzeżną rozpaczą:

— Nie zmuszaj mnie, abym ci to przyrzekał... Spróbuję się przemóc. Jakież tydzień przeżył w małym, czarnym i pustym domku! Zagrzebał się tam na te siedem dni, trawiony rozpaczą, że już nie znajduje przy sobie starszego brata, którego znowu uwielbiał z całej duszy. Od kiedy zwątpienie pustoszyło jego serce, nigdy jeszcze samotność nie wydawała mu się tak straszna. Sto razy był już gotów biec na Montmartre, gdzie, jak instynktownie wyczuwał, mieszkała miłość, prawda, życie. Ale za każdym razem nieprzewyciężone, dobrze mu już znane przygnębienie, złożone ze strachu i wstydu, zatrzymywało go na miejscu. On, ksiądz, on, wytrzebiony, wyrzucony poza krąg miłości i wspólnej pracy, czy nie znalazłby tylko ran i cierpienia wśród tych ludzi natury, wolności i zdrowia? I wywoływał cienie rodziców błakające się po opuszczonych pokojach, te smutne cienie, nawet po śmierci toczące z sobą walkę; zdawało mu się, że słyszy ich skargę, jak gdyby błagały go, aby pogodził ich w sobie, co nastąpiłoby w dniu, w którym zdołałby odzyskać spokój. Jak ma postąpić? *Zostać* tutaj, płakać, rozpaczać wraz z tymi dwojgiem? Czy pójść tam, szukać uzdrowienia, które ułożyłoby ich wreszcie do snu grobowego, szczęśliwych, że mogą spać skoro i on jest już szczęśliwy. I pewnego ranka obudził się z wrażeniem, że jego ojciec, uśmiechnięty, wysłał go do brata, zaś matka, przytakując ojcu, patrzyła na syna wielkimi łagodnymi oczyma, w których smutek, że uczyniła go złym kapłanem, ustępował pragnieniu, aby powrócić go życiu wszystkich ludzi. Tego dnia Piotr nie rozumował, wziął dorożkę i podał woźnicy adres, aby mieć pewność, że nie ułęknie się i nie zawróci nagle z drogi. Potem, kiedy niby we śnie znalazł się znowu w ogromnej pracowni, wesoło przyjęty przez brata i jego trzech dorosłych synów, którzy powodowani delikatnością traktowali go, jak gdyby odszedł zaledwie wczoraj, stał się świadkiem niespodzianej sceny, która zrobiła na nim wielkie wrażenie i przyniosła ulgę. Maria, gdy wszedł, nie wstała, zaledwie go pozdrowiła, twarz miała błądą, czoło przecięte zmarszczką. Babka, również pełna powagi, spoglądając na nią, rzekła do Piotra.

— Proszę jej wybaczyć, ale ona doprawdy nie jest rozsądna... Widzi ją ksiądz rozgniewaną na nas wszystkich pięcioro.

Wilhelm roześmiał się.

— Ach, uparciuch z niej!... Nie wyobrażasz sobie, Piotrze, co się dzieje w tej małej główce, kiedy ktoś naruszy jej pojęcie o sprawiedliwości, och, pojęcie tak wzniosłe, tak doskonałe, że nie znosi ono żadnych kompromisów!... Właśnie mówiliśmy o tym procesie, o ojcu, którego skazano na podstawie zeznań syna, a ona jedna utrzymuje, że ten syn dobrze postąpił, że trzeba mówić prawdę, zawsze i pomimo wszystko... No co? Byłaby groźnym oskarżycielem publicznym?

Wzburzona, rozdrażniona jeszcze uśmiechem Piotra, który się z nią nie zgadzał, Maria uniosła się:

— Wilhelmie, jesteś złośliwy... Nie chcę, aby się z tego śmiano.

— Ależ ty masz źle w głowie, moja droga — zawołał Franciszek, a Tomasz i Antoni również się roześmiali. — Ojciec i my bronimy tylko tezy humanitaryzmu i wydaje się nam, że kochamy i szanujemy sprawiedliwość tak jak i ty!

— Nie ma humanitaryzmu, jest tylko sprawiedliwość. To, co sprawiedliwe, jest sprawiedliwe, pomimo wszystko, chociażby nawet świat miał się zawalić! Następnie, ponieważ Wilhelm próbował jeszcze argumentować i przekonywać ją, wstała nagle, drżąca, rozgoryczona, w takim uniesieniu, że z trudem mówiła.

— Nie, nie, wszyscy jesteście źli, chcecie mi zrobić przykrości... Wolę pójść do swego pokoju.

Na próżno Babka usiłowała ją zatrzymać.

— Moje dziecko, moje dziecko, zastanów się, to się nie godzi,, będziesz się potem martwić.

— Nie, nie, to wy nie macie słuszności, zanadto mnie to boli! I wzburzona poszła na górę do swego pokoju, Nastąpiła klęska, konsternacja. Takie sceny zdarzały się czasem, ale rzadko w takim nasileniu. Wilhelm natychmiast pożałował, że doprowadził ją aż do tego przede wszystkim swoimi żartami, gdyż Maria nie znosiła ironii. I zwracając się do Piotra, powiedział mu, że gdy była dziewczynką, miewała straszne, niemal śmiertelne napady gniewu, gdy spotkała się z niesprawiedliwością. Jak potem sama tłumaczyła, wzbierała w niej przemożna fala, która ją ponosiła, przyprawiała o gorączkę. Do dzisiaj jeszcze pozostała w tych sprawach uparta i kłótniwa. I czerwieniła się, czując doskonale, że zbyt często czyniło ją to przykrą, trudną w pożyciu.

Istotnie w kwadrans później zeszła z własnej woli, bardzo zarumieniona, ale odważnie przyznając się do błędu.

— Śmieszna jestem, prawda? I jestem zła, a oskarżam innych, że są źli!... Ksiądz będzie miał o mnie ładne wyobrażenie!

Podeszła uściskać Babkę.

— Proszę mi wybaczyć!... Ach, teraz Franciszek może się śmiać, a Tomasz i Antoni także! Mają słuszność, to na nic innego nie zasługuje.

— Moje biedactwo — rzekł serdecznie Wilhelm — oto co znaczy wpadać z jednej ostateczności w drugą... Ty, we wszystkim tak zrównoważona, tak zdrowa i rozsądna, ty, która bierzesz pod uwagę względność rzeczy i żądasz od życia tylko tego, co ono może dać, tracisz wszelki rozsądek i wszelką równowagę, gdy zetkniesz się z tym absolutnym pojęciem, jakie uczyniłaś sobie z idei sprawiedliwości... Któż z nas nie ma takiego grzechu na sumieniu?! Maria, wciąż zmieszana, zażartowała:

— Ale świadczy to przynajmniej, że nie jestem doskonałością!

— Ach, oczywiście, tym lepiej! I tym więcej cię za to kocham! To samo z chęcią byłby wykrzyknął i Piotr. Ta scena głęboko go poruszyła, chociaż nie mógł jeszcze wyjaśnić sobie wszystkiego, co się w nim zbudziło. Czyż jego obrzydła rozterka nie płynęła z absolutu, w którym pragnął żyć, tego absolutu, którego aż dotąd domagał się od ludzi i od rzeczy? Poszukiwał wiary absolutnej, a rozpacz rzuciła go w absolutną negację. I czy ta wyniosła postawa, jaką zachował w ogólnej katastrofie, ta opinia świętego kapłana, jaką sobie zyskał, chociaż mieszkała w nim tylko nicość, nie była wciąż jeszcze złym pragnieniem absolutu, po prostu romantyczną pozą jego zaślepienia i jego pychy? Gdy jego brat przed chwilą wychwalał Marię, że od życia żąda tylko tego, co ono może dać, wydało mu się, że te słowa są jakby radą zwróconą do niego i że musnęły mu twarz jak ożywcze tchnienie natury. Ale było to jeszcze niejasne i jedyną

wyraźną radość sprawił mu gniew, w jakim widział tę dziewczynę, jej błąd, który zbliżał ją ku niemu; on sprowadzał ją z wyżyn jej pogodnej doskonałości, z powodu której on, Piotr, nieświadomie na pewno cierpiał. Jakie uczucie tu działało? Nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy. Tego dnia rozmawiał z nią parę chwil i wyszedł z przekonaniem, że jest bardzo dobra, bardzo ludzka.

W dwa dni później Piotr przyszedł spędzić całe popołudnie w wielkiej słonecznej pracowni, skąd widać byk cały Paryż. Od kiedy uświadomił sobie swoją bezczynność, nudził się bardzo i rozrywkę znajdował już tylko tutaj, wśród tej rodziny, która pracowała tak radośnie. Brat zgromił go, że nie przyszedł na śniadanie, więc przyrzekł, że pojutrze zjawi się dość wcześnie, aby zasiąść wspólnie do stołu. Tydzień upłynął i między nim a Marią było już tylko dobre koleżeństwo, bez śladu skrępowania, wrogości, która z początku ich dzieliła. Myśl o tym księdzu w sutannie zresztą wcale jej nie raziła, gdyż zgodnie ze spokojnym ateizmem, który wyznawała, nigdy nie przychodziło jej do głowy, że ksiądz jest jakimś innym człowiekiem niż wszyscy. I teraz to właśnie go dziwiło i zachwycało, to braterskie przyjęcie, z jakim spotkał się u niej, jak gdyby nosił zwykłe ubranie, jak gdyby miał poglądy swoich dorosłych bratanków i prowadził ich tryb życia, jak gdyby nic nie odróżniało go od innych mężczyzn. A bardziej jeszcze zdumiewało go milczenie, jakie zachowywała w kwestii religijnej, głęboka beztroska, spokojna i szczęśliwa, z jaką zdawała się traktować sprawy boskie i zaświatowe, tę przerażającą dziedzinę tajemnicy, w której on tak długo szamotał się i konał.

Odkąd bywał tam co dwa lub trzy dni, Maria dostrzegła jego cierpienie. Co mu właściwie dolegało? Zapytała go o to z przyjacielską serdecznością, a ponieważ dawał jedynie wymijające odpowiedzi, wyczuła w tym ból krwawy, wstydzący się samego siebie, ból, który pogłębiająca go tajemnica czyniła nieuleczalnym. Jej kobiece współczucie obudziło się, czuła rosnącą sympatię dla tego wysokiego, bladego młodzieńca o płonących gorączką oczach, dręczonego wewnętrzną torturą, której nie chciał wyznać nikomu. Na pewno wypytywała Wilhelma, o jego brata, tak smutnego, tak zrozpaczonego; i zapewne on zwierzył jej częściowo tajemnicę, aby mu pomogła wydobyć Piotra z zamętu, wrócić mu chęć do życia. A Wilhelm był tak szczęśliwy, że Maria traktuje Piotra jak przyjaciela, jak brata! A wreszcie sam Piotr pewnego wieczora, gdy widząc łzy w jego oczach serdecznie nalegała, aby się jej zwierzył, patrząc w posępny zmrok spadający na Paryż wyznał nagle swoją rozpacz, opowiedział, jaką śmiertelną pustkę wyłobiła w nim na zawsze utrata wiary. Ach, nie wierzyć już, nie kochać, być tylko popiołem, nie wiedzieć, jaką inną niewzruszalną prawdą zastąpić nieobecnego Boga! Ona patrzyła na niego zdumiona, osłupiała. Ależ on jest szalony! I powiedziała mu to przejęta zdziwieniem i buntem, o jakie przyprawiał ją ten krzyk niedoli. Rozpaczać, nie wierzyć, nie kochać, ponieważ hipoteza boskości obraca się w ruinę, i to wtedy gdy wokoło jest ogromny świat, życie, które mamy obowiązek przeżyć, gdy wokoło mamy te wszystkie stworzenia

i wszystkie rzeczy, które trzeba kochać i którym trzeba pomagać, nie mówiąc już o powszechnej pracy, o zadaniach, jakie każdy ma do wykonania! Na pewno był szalony czarnym szaleństwem, z którego przysięgła go uleczyć.

I wtedy ten niezwykle młodziwiec, który od początku ją kępował, obudził w niej wielką tkliwość. Była w jego obecności bardzo wyrozumiała, bardzo pogodna, pielęgnowała go z subtelną inteligencją umysłu i serca. Oboje przeżyli podobne dzieciństwo, gdyż matki, jednakowo pobożne, wychowały ich w ciasnej religijności. Ale potem, jakże różne były ich losy, jak odmienne koleje! On, związany przysięgą kapłańską, walczył boleśnie ze swoim zwątpieniem; Maria, umieszczona po śmierci matki w liceum Fénelona, wyrosła z dala od wszelkiego kultu i z biegiem czasu zupełnie zapomniała o pierwszych przeżyciach religijnych. I on nie przestawał się dziwić, że zdołała się tak ustrzec przed dreszczem, dreszczem, który jego tak głęboko przeorał. Gdy w, czasie rozmów wyrażał to zdziwienie, ona śmiała się serdecznie, twierdziła, że piekło nigdy nie budziło w niej lęku, bo nie wierzyła w jego istnienie, i dodawała, że żyje sobie spokojnie, obywając się bez nadziei, że pójdzie do nieba, i stara się rozumnie przystosować do konieczności ziemskich. Może była to sprawa temperamentu. Ale również sprawa wykształcenia. Nigdy bowiem pełne wykształcenie nie trafiło na umysł solidniejszy, na bardziej prawy charakter. I cudem było, że przy swojej wiedzy, nagromadzonej trochę przypadkowo, pozostała tak bardzo kobieca, tak bardzo uczuciowa, że nie miała w sobie nic bezwzględego, nic męskiego.

— Ach, mój drogi — mówiła mu — gdybyś wiedział, jak mi łatwo być szczęśliwą, gdy tylko wokół mnie drogie ani istoty zbytnio nie cierpią. Osobiście zawsze daję sobie radę z życiem, przystosowuję się do niego, pracuję, znajduję zadowolenie mimo wszystko. Toteż ból dosięgał mnie zawsze tylko poprzez drugich, gdyż nie mogę oprzeć się pragnieniu, aby cały świat był mniej więcej szczęśliwy; ale są tacy, którzy się przed tym bronią... Na przykład ja długo byłam biedna, ale nie traciłam dobrego humoru. Pragnę tylko tych rzeczy, które nie są do kupienia. Mimo to nędza jest największą ohydą, oburzającą niesprawiedliwością, która wyprowadza mnie z równowagi. Rozumiem, że dla ciebie wszystko się zawaliło, gdy miłosierdzie stało się w twoich oczach bezsilne, warte śmiechu. A jednak przynosi ono ulgę, tak błogo jest dawać! A potem, kiedyś, dzięki rozumowi, dzięki pracy, dzięki dobremu funkcjonowaniu samego życia, musi zwyciężyć sprawiedliwość... Powiadasz, że ja prawie kazanie? Ależ to wcale nie leży w mojej naturze! Byłoby śmieszną rzeczą, gdybym sobie wyobrażała, że ulecą cię moje frazesy uczonej dziewczyny.. Jednakże prawdą jest, że pragnę cię wydobyć z tej czarnej melancholii, i dlatego chcę cię prosić, abyś jak najczęściej tu do nas przychodził. Wiesz przecież, że jest to gorącym życzeniem Wilhelma. My wszyscy pokochamy cię serdecznie, zobaczysz nas tak ściśle zespolonych, tak radosnych przy wspólnej pracy, że zdobędziesz na nowo prawdę, powracając wraz z nami do szkoły dobroczynnej natury... Żyj, pracuj, kochaj, miej nadzieję.

Piotr uśmiechał się i przychodził teraz prawie codziennie. Ona, ze swoją pełną rozsądku twarzą, upominała go z taką serdecznością! I słusznie mówiła. W obszernej pracowni panował błogi nastrój, tak dobrze było przebywać razem i razem oddawać się wspólnej, zdrowej i rzetelnej pracy. Zawstydzony,

że sam nic nie robi, czując potrzebę zatrudnienia rąk i myśli, najpierw zainteresował się drzeworytami Antoniego. Czemu i on nie miałby

spróbować? Ale trawił go niepokój, nie czuł w sobie dość zdolności i woli, aby zająć się sztuką, a ponieważ teraz, kiedy dźwigał się z otchłani błędów, w której pograżyło go roztrząsanie słowa pisanego, odpychały go stosy książek, czysto intelektualna praca Franciszka, natomiast pociągała go ręczna praca Tomasza, namiętnie więc zajął się mechaniką, gdyż jej jasność i precyzja zaspokajały jego żarliwe pragnienie pewności. Oddał się pod rozkazy młodzieńca, rozniecał ogień przy pomocy miecha, przytrzymywał na kowadle kawałki żelaza do kucia. Często też służył jako laborant swemu bratu, wkładał wielki błękitny fartuch na sutannę, aby pomagać mu przy doświadczeniach. Stanowił więc cząstkę pracowni, był po prostu jednym pracownikiem więcej.

W pierwszych dniach kwietnia, pewnego popołudnia, gdy wszyscy zajęci byli pracą, Maria, która haftowała przy stole do robót ręcznych, naprzeciw Babki, podniosła oczy ku Paryżowi i zawołała:

— Och, spójrzcie na Paryż w tej słonecznej ulewie!

Piotr podszedł do okna. Był to ten sam widok, jaki ujrzał podczas swoich pierwszych odwiedzin w domu brata. Ukośne słońce, kryjące się poza lekkie purpurowe chmury, zasypywało miasto gradem promieni, które odbijały się ze wszystkich stron na bezmiernym morzu dachów. I zdawało się, że jakiś gigantyczny siewca, ukryty w słonecznej aureoli, olbrzymimi garściami rzuca złote ziarna z jednego krańca widnokregu w drugi.

Ujął w słowa swoją wizję:

— To Paryż, na który słońce rzuca swoje ziarno; i patrzcie, czy te brunatne domy podobne do skib ziemi, te ulice głębokie i proste niby bruzdy nie przypominają ornego pola, które pług porył na wszystkie strony?

Maria ożywiła się, ogarnął ją zapał.

— Tak, tak! To prawda! Słońce zasiewa. Paryż! O, popatrzcie, jak władcym gestem rzuca ono ziarno zdrowia i światła, aż tam, na odległe przedmieścia! A nawet, rzecz dziwna, bogate dzielnice w zachodniej stronie są jak gdyby zanurzone w rudawej mgle, gdy tymczasem zdrowe ziarno unosi się, aby spaść jasnym

oblókami na lewy brzeg i na ludowe dzielnice we wschodniej stronie... Tam przecież mają wzejść plony? Prawda?

Wszyscy zbliżyli się i życzliwie uśmiechnęli do tego symbolu. Istotnie, w miarę jak słońce zapadało za siatkę chmur, wydawało się, że siewca wiekuistego życia rozrzuca swój płomień wytrwałym gestem to tu, to tam, w rytmicznym kołysaniu, wybierając dzielnice pracy i trudu. Tutaj płonąca garść nasienia upadła na dzielnicę uniwersytecką. Tam dalej inna olśniewająca garść miała użyźnić dzielnicę warsztatów i fabryk.

— Ach, plony! — podjął Wilhelm wesoło. — Niechże wschodzą szybko w tej dobrej ziemi naszego wielkiego Paryża, przeoranej tyloma rewolucjami, użyźnionej krwią tylu pracowników. Nie ma na świecie lepszej ziemi, aby idea mogła zakiełkować i zakwitnąć... Tak, tak, Piotr ma słuszność, to słońce obsiewa Paryż przyszłego świata, który wyrosnąć może tylko z tego miasta. Tomasz, Franciszek i Antoni, stojąc za ojcem, skinieniem głowy wyrazili tę samą pewność; Babka, z poważną twarzą, z oczyma utkwionymi w dali, zdawała się oglądać wspaniale rozbłyskującą przyszłość.

— Wizja... ale za ile wieków się spełni? — szepnął Piotr, znów ogarnięty dreszczem. — My jej nie dożyjemy.

— Tak, ale dożyją inni! — zawołała Maria. — Czy to nam nie wystarcza? Ten piękny okrzyk głęboko wzruszył Piotra. I nagle nawiedziło go wspomnienie innej Marii, uroczej Marii z czasów pierwszej jego młodości, owej Marii de Guersaint, uleczonej w Lourdes, której utrata na zawsze spustoszyła mu serce. Czy ta nowa Maria, która tutaj uśmiechała się do niego, pełna spokojnego i krzepkiego uroku, miała uleczyć dawną ranę? Powracał do życia, od kiedy się z nią zaprzyjaźnił. A przed nimi słońce szerokim gestem obsiewało Paryż żywym pyłem swoich złotych promieni — dla wielkiego przyszłego żniwa sprawiedliwości i prawdy.

II

Pewnego wieczora, pod koniec pracowitego dnia, Piotr, który pomagał Tomaszowi, zaplątał się w połach swojej sutanny i omal nie upadł.

Maria, która, przestraszona, wydała lekki okrzyk, powiedziała:

— Czemu tego nie zdejmiesz?

Powiedziała to bez żadnej ukrytej intencji, po prostu dlatego, że ta suknia wydawała się jej zbyt ciężka i niewygodna przy niektórych zajęciach.

Słowa jej, tak proste, tak rzetelne, zapadły w umysł Piotra i już go nie opuściły. Z początku tylko go zastanowiły. Potem, gdy nastąpiła noc i znalazł się sam w małym domu w Neuilly, uświadomił sobie, że te słowa go prześladowają, że powoli zaczynają sprawiać mu ból, powodują nieznośną gorączkę. „Czemu tego nie zdejmiesz?” Istotnie, powinien był to zdjąć, cóż więc aż dotąd wstrzymywało go od zrzucenia tej sukni tak mu ciężkiej na ramionach, tak go uwierającej? I okropna walka zaczęła się na nowo, spędził straszną noc, nie mogąc zmrużyć oka, cierpiąc na nowo wszystkie dawne tortury.

A przecież to wydawało się takie łatwe: zmienić ubiór, skoro nie pełnił już urzędu. Od pewnego czasu przestał odprawiać mszę, i to właśnie stanowiło prawdziwe zerwanie, radykalne porzucenie kapłaństwa. Dotąd droga nie była jeszcze zamknięta. Zdawał sobie jednak jasno sprawę, że w dniu, w którym zdejmie sutannę, zostanie jak obnażony, że porzuci kapłaństwo, aby nigdy już do niego nie wrócić. Należałoby więc powziąć nieodwołalną decyzję. Przez wiele godzin chodził po pokoju, walczył ze sobą i trwożył się.

Ach, te piękne jego marzenia, że pośepny i samotny osiągnie wyżyny moralne! Sam niewierzący, miał mimo wszystko czuwać, jako czysty i prawy kapłan, nad wiarą innych, nie zniżać się do krzywoprzysięstwa, nie plamić się dwuznaczną podłością renegata, być nadal sługą boskiej iluzji, choćby rozpaczając nad własną nicością. I tak doszedł do tego, że uwielbiano go jak świętego, jego, który przeczył wszystkiemu, był pusty jak grobowiec, z którego wiatr wymiół popioły. I oto czynił sobie

wyrzuty z powodu tego kłamstwa, ogarniało go przygnębienie, jakiego dotąd jeszcze nie doświadczał; pomyślał, że źle uczyni, jeśli nie zaprowadzi zgody pomiędzy swoimi poglądami a życiem. Całą jego istotą szarpał ból.

Sprawa była zupełnie jasna. Jakim prawem był wciąż jeszcze kapłanem religii, którą odrzucił? Czy zwyczajna uczciwość nie nakazywała zerwać z Kościołem, skoro nie wierzył, że mieszka w nim Bóg? Dogmaty były dla niego jedynie dziecinnymi pomyłkami i nie chciał głosić ich jako prawd wiekuistych, nie chciał tej całej brudnej roboty, przed którą wzdrygało się

teraz jego sumienie. Na próżno usiłował odnaleźć płomienny stan duszy, pragnienie miłosierdzia i męczeństwa, które skłoniło go, aby uczynił z siebie ofiarę całopalną; aby przyjmował na siebie ból wątpienia, ból zmarnowanego i spustoszonego życia, byle mógł nieść maluczkim ulgę nadziei. Widocznie prawda i natura zbyt wielką już odzyskały nad nim władzę, teraz był już tylko zasmucony tą rolą kłamliwego apostoła, nie czuł już w sobie strasznej odwagi, aby gestem przyzywać Jezusa do klęczących wyznawców, skoro dobrze wiedział, że Jezus nie zstąpi na ziemię. I wszystko waliło się w gruzy, jego postawa wzniosłego pasterza, dar najwyższy, jaki z siebie czynił, upierając się przy regule i stojąc przy wierze mimo męki, że ją utracił. Co myślała Maria o jego długotrwałym kłamstwie? I powracały słowa: „Czemu tego nie zdejmiesz?“, szarpiąc jego sumieniem. Musiała nim gardzić, ona, tak prosta, tak prawa. W niej streszczały się dla niego wszystkie rozproszone dotąd nagany, wszystkie milczące krytyki, jakie wywoływało w nim jego postępowanie. Wystarczyłoby teraz, aby nie przyznała mu racji, a uznałby swój błąd. A przecież nie potępiała go ani jednym słowem. Jeżeli nie pochwaliała jego postępowania, na pewno nie rościła sobie prawa mieszanania się do walki sumienia. Piękny spokój, jaki zachowywała, szlachetny i zdrowy, zawsze go zadziwiał. Jego, którego myśl o nieznanym, obsesja jutra śmierci wtrącały w nie kończącą się agonię! Całymi dniami studiował ją, wodził za nią oczyma, ale nigdy nie przychwycił jej na zwątpieniu lub rozpacz. Płynęło to, jak mówiła, z tego, że wkładała w życie całą swoją radość, najwyższy wysiłek, uważała.

Je za największy obowiązek, tak że ono samo jej wystarczało i nie miała czasu przerażać się i przygnębiać urojeniami. A więc on zrzucił tę sutannę, która przytłacza go i pali, ponieważ Maria zapytała go ze swoim spokojnym i zdecydowanym wyrazem twarzy, dlaczego jej nie zdejmuję.

Ale nad ranem, gdy wreszcie rzucił się na łóżko w przekonaniu, że uspokoił się powziąwszy decyzję, zerwał się znowu, nękany nagłą dusznością, nawrotem ohydneho lęku. Nie, nie, on nie może zrzucić tej szaty, która przylgnęła mu do ciała! Wraz z sukniem zedrze i skórę, całą swoją istotę. Czyż kapłaństwo nie było niezmażalne, nie piętnowało kapłana na wieki, stawiając go z dala od stada? Nawet gdyby zdarł szatę wraz ze skórą, pozostałby kapłan, przedmiot zgorszenia i hańby, wywykreślony z życia zbiorowego, bezradny i bezsilny. A więc po co to wszystko, skoro więzienie pozostanie zamknięte i życie na wolności, pracowite i płodne, w pełnym słońcu, nie stanie się już nigdy jego udziałem? Cóż za bezsilność! Uważał, że przeżarty jest już do kości, do szpiku. I nie mógł zdobyć się na decyzję, i dopiero na trzeci dzień poszedł na Montmartre, nic nie postanowiwszy, znowu pogrążony w rozterce.

Zresztą cały ten szczęśliwy dom żył teraz jak w gorączce i nawet Wilhelm poddał się rosnącemu niepokojowi, przejęty sprawą Salvata, ulegając pasji, którą co ranka podsycaly gazety. Niema i godna postawa Salvata, który utrzymywał, że nie miał współników, i przyznawał się do wszystkiego, ale milczał, gdy obawiał się, że mógłby kogoś skompromitować, wzruszyła go głęboko. Śledztwo było ściśle tajne; ale sędzia Amadiou, któremu je powierzono, prowadził je nadzwyczaj efektownie i w całej prasie pełno było jego osoby i jego relacji o oskarżonym, uwag, rozmów, niedyskrecji. Godzina za godziną, dzięki spokojnym zeznaniom oskarżonego, sędzia mógł odtworzyć

dzieje zamachu, tak że pozostały mu wątpliwości jedynie co do rodzaju użytego prochu i fabrykacji samej bomby. Jeżeli nawet Salvat, jak zapewniał, istotnie sfabrykował bombę u jakiegoś przyjaciela, to jednak kłamał utrzymując, że proch ten był zwyczajnym dynamitem pochodzącym z naboju, które ukradli gdzieś jego towarzysze, ponieważ eksperci stwierdzili, że dynamit nie mógłby wyrządzić podobnych zniszczeń. Była w tym jakaś tajemnica,

która opóźniała śledztwo, a gazety korzystały z tego gorliwie, ażeby codziennie ogłaszać coraz to szaleńsze historie i najdziwaczniejsze informacje pod sensacyjnymi tytułami, dzięki którym sprzedaż dzienników szła doskonale.

Wilhelm co dzień rano znajdował w nich nowy powód do rozdrażnienia. Mimo że gardził Sanierem, nie mógł sobie odmówić kupowania „Głosu Ludu”, jak gdyby przyciągała go fala błota przelewająca się tam po brzegi, i denerwował się, drżał z oburzenia. Zresztą inne dzienniki, nawet powściągliwy „Glob”, publikowały nie sprawdzone wiadomości i, co prawda stylem bardziej umiarkowanym, wyprowadzały z nich refleksje i sądy oburzająco niesprawiedliwe. Zdawało się, że celem prasy jest zbrukać Salvata, aby w jego osobie poniżyć anarchię; życie jego przedstawiano jako jedno długie pasmo ohydy: złodziej w dziesiątym roku życia, gdy jako smutne, opuszczone dziecko błąkał się po ulicach; później zły żołnierz, zły robotnik, karany w pułku za niesubordynację, wypędzany z warsztatów, gdzie siał zamęt swoją propagandą; następnie — człowiek bez ojczyzny, podejrzany awanturnik w Ameryce; gdzie, jak dawano do zrozumienia, popełniał wszelkiego rodzaju nieznanne zbrodnie; nie mówiąc już

o jego głębokiej niemoralności, o konkubinacie, w jakim żył od powrotu do Francji, o tej szwagierce, która przygarnęła jego porzuconą córeczkę, a z którą żył jak z żoną na oczach dziecka. Rozgrzebywano i wyolbrzymiano jego winy, nie biorąc pod uwagę przyczyn, które je zrodziły, wpływu środowiska, w którym się pogłębiły. Jakże to wszystko, obrażając jego poczucie ludzkości i sprawiedliwości, oburzało Wilhelma, który znał prawdziwego Salvata, uczuciowca i mistyka o umyśle chimerycznym i zapalnym, bezbronny wobec życia; zawsze miażdżony, doprowadzany do rozpacz przez nieubłaganą nędzę, uroił sobie w końcu, że gdy zburzy stary świat, złoty wiek znowu nastanie na ziemi.

Najgorsze, że od kiedy Salvat znalazł się w więzieniu, w bezwzględnych rękach ambitnego i światowego pana Amadieu, wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Wilhelm wiedział od swego syna Tomasza, że oskarżony nie może liczyć na żadną pomoc ze strony swoich dawnych kolegów z fabryki Grandidiera. Firma zaczynała na nowo kwitnąć, rozwijała się z każdym dniem dzięki

fabrykacji rowerów; i mówiono, że Grandidier czeka tylko na mały motor, nad którym pracuje Tomasz, aby rozpocząć na wielką skalę produkcję wozów automobilowych. Ale właśnie te pierwsze sukcesy uczyniły go ostrożnym, gdyż zaledwie wynagradzały mu lata borykania się; zrobił się surowy, odprawił paru robotników podejrzanych o anarchizm, nie chcąc, aby nieszczęsna sprawa Salvata, który niegdyś u niego pracował, rzuciła niekorzystny cień na firmę. Toussainta i jego syna Karola, z których pierwszy był szwagrem oskarżonego, a drugi prawdopodobnie mu sprzyjał, nie wydalili

tylko dlatego, że obaj zatrudnieni byli u niego od dwudziestu lat. Trzeba było jakoś żyć; Toussaint, który z trudem powrócił do pracy po wypadku, postanowił, że gdyby wezwano go jako świadka obrony, udzieli o swoim szwagrze tylko paru informacji o charakterze prywatnym, to znaczy powie wszystko, co mu wiadomo o małżeństwie jego siostry.

Pewnego wieczora, gdy Tomasz wrócił z fabryki, dokąd zachodził co pewien czas, aby przeprowadzać próby nad swoim motorem, opowiedział, że widział panią Grandidier, smutną młodą kobietę, która wpadła w obłęd na skutek gorączki popołogowej, spowodowanej utratą dziecka, i którą mąż wytrwale, z miłością, trzymał przy sobie, w wielkim pawilonie, jaki zajmował obok fabryki; za nic nie chciał jej oddać do domu zdrowia, mimo częstych strasznych ataków, mimo że tak bolesne było życie codzienne z tym dużym, smutnym i łagodnym dzieckiem. Żaluzje w pawilonie były stale zapuszczone, toteż uważano za nadzwyczajne zdarzenie, że któreś z okien otworzyło się i ukazała się w nim samotnica w jasnym słońcu tego przedwczesnego dnia wiosny. Stała tam tylko na chwilę, biała i ulotna zjawa, jasnowłosa i śliczna, uśmiechnięta. Zaraz służąca zamknęła okno, pawilon pograżył się w zwykłym śmiertelnym milczeniu. Mówiono w fabryce, że od miesiąca nie miała już ataku i że temu należało przypisywać krzepki wygląd i zadowolenie właściciela, jego pewną, trochę twardą rękę, która czuwała nad wzrastającym powodzeniem firmy.

— On nie jest zły — zakończył Tomasz — ale chce, aby go szanowano w tej strasznej walce, jaką prowadzi z konkurencją. Powiada, że w naszej epoce, gdy kapitał i praca najemna grożą sobie nawzajem wyniszczeniem, ci, co żyją z pracy najemnej, jeśli nie chcą w przyszłości umierać z głodu, powinni czuć się szczęśliwi, że kapitał dostaje się w ręce ludzi energicznych i rozumnych... I jeżeli bez litości potępia Salvata, to jedynie dlatego, że wierzy w konieczność dania dobrego przykładu.

Tego dnia, wychodząc z fabryki, w pobliżu ulicy Marcadet, która jest jak gdyby szumiącym ułem pracy, młody człowiek miał - bolesne spotkanie. Szły tamtędy pani Teodorowa z małą Celiną; właśnie Toussaint odmówił im pożyczki, bo nie mógł im dać nawet dziesięciu su. Od chwili aresztowania Salvata, kobieta i dziecko, opuszczone, podejrzone, wypędzone z nędznego mieszkania, nie miały co do ust włożyć, tułały się, żyły z jałmużny. Nigdy jeszcze tak wielka nędza nie stała się udziałem biednych bezbronnych istot.

— Ojczy, powiedziałem im, aby przyszły tutaj. Pomyślałem, że można by zapłacić za jeden miesiąc ich gospodarzowi, aby mogły wrócić do domu... O, to na pewno już one!

Wilhelm słuchał ze drżeniem; wyrzucał sobie, że sam nie pomyślał o tych dwóch smutnych istotach. Wiecznie ta sama ohydna historia: mężczyzna zniknął, kobieta i dziecko znalazły się na bruku, bez chleba. Sprawiedliwość, która uderza w mężczyznę, sięga dalej i zabija niewinnych.

Pani Teodorowa, bardzo pokorna i trwożliwa, weszła ze spłoszoną miną osoby pechowej, której los nie przestaje prześladować ani na chwilę. Była niemal ślepa, mała Celina musiała ją prowadzić. Dziewczynka, w podartej sukience, miała wciąż tę samą drobną, jasną twarzyczkę, bystrą i inteligentną, chwilami mimo wszystko rozjaśnianą dziecinnym uśmiechem.

Byli przy tym również Piotr i Maria, oboje bardzo wzruszeni, a także pani Mathis, matka młodego Wiktora; pomagała ona Babce przy cerowaniu i naprawkach, gdyż przyjmowała prace na dniówki w paru domach, dzięki czemu mogła czasami dać synowi dwudziestofrankówkę; Wilhelm sam zaczął wypytywać panią Teodorową.

— Ach, panie — wyjąkała — któż by uwierzył, że Salvat zdolny jest do czegoś takiego, on, taki dobry, taki ludzki?! A jednak to prawda, bo sam wszystko opowiedział sędziemu... Ja mówiłam wszystkim, że on jest w Belgii. Nie byłam tego bardzo pewna i wolę, że on nie przyszedł do nas, bo, gdyby go zaaresz-

towano u nas w domu, byłby to dla nas zbyt ciężki cios... No, teraz, kiedy go już mają, na pewno, skazą go na śmierć.

Celina, która ciekawie rozglądała się dokoła, zapłakała nagle, oczy jej wypełniły się ciężkimi łzami.

— O nie, nie, nie, mamó! Me zrobią mu nic złego! Wilhelm ucałował ją i dalej wypytywał panią Teodorową.

— Cóż ja mogę panu powiedzieć? Mała nie może jeszcze pracować, ja niedowidzę, ludzie nie chcą mnie już nawet wziąć do posługi w domach. No i prosta sprawa, zdycha się z głodu... Pewno, że mam rodzinę, mam siostrę wydaną za męża bardzo dobrze, za urzędnikiem, panem Chrétiennot, pan go może zna. Tylko że on jest dosyć dumny, więc żeby oszczędzać siostrze awantur, nie chodzę już do niej, zwłaszcza że ona w tej chwili jest w rozpacz, bo zaszła w ciążę, co jest prawdziwą katastrofą dla takiej niebogatej rodziny, tym bardziej że mają już dwie córki... I dlatego mogę się zwracać już tylko do Toussainta, mego brata. Bratowa nie jest zła kobieta, ale ona bardzo się zmieniła od czasu, kiedy żyje w strachu, że mąż dostanie drugiego ataku. Pierwszy jego atak pochłonął wszystkie ich oszczędności, a co ona robi, kiedy on, sparaliżowany, spadnie na jej barki? W dodatku grozi jej drugi kłopot, bo trzeba państwu wiedzieć, że jej syn Karol był taki głupi, że miał dziecko ze służącą od kupca winnego, która, proszę sobie wyobrazić, sarna uciekła, a dzieciaka zostawiła jemu... Ma się rozumieć, że im także ciężko. Nie mam do nich urazy. Pożyczali mi dawniej po dziesięć su, ale nie mogą mi pożyczać pieniędzy w nieskończoność.

Łagodna, zrezygnowana, mówiła dalej, użalając się jedynie nad Celiną, bo serce pękało, że dziewczyna tak bystra, która w miejskiej szkole robiła takie postępy, musi teraz tułać się po bruku jak żebraczka. Poza tym czuła, że ludzie odsuwali się teraz od nich obu z powodu Salvata. Toussaintowie nie chcieli się narażać, w takiej sprawie i tylko Karol powiedział, że on rozumie, iż człowiek może pewnego pięknego poranka stracić rozum i nawet wysadzić w powietrze burżujów, którzy postępują tak podle.

— Ja nic nie mówię, proszę pana, bo ja jestem tylko biedna kobieta. A jeżeli mimo to życzy pan sobie wiedzieć, co myślę, to myślę, że Salvat lepiej by zrobił nie robiąc tego, co zrobił, bo naprawdę ukarane zostałyśmy właśnie my obie, mała i ja... Ale, widzi pan, nie może mi się to w głowie pomieścić: córka skazanego na śmierć... Ale tutaj znowu przerwała jej Celina, rzucając się jej na szyję.

— Och, mamó, mamó, nie mów tak, proszę cię! To nie może być prawda, to byłoby za wielkie nieszczęście dla mnie!

Piotr i Maria wymienili spojrzenia pełne bezbrzeżnej litości, a tymczasem Babka wstała, aby pójść na górę i przejrzeć szafy, bo przyszło jej na myśl, aby dać trochę starej odzieży tym dwóm biedaczkom. Wilhelm, wzruszony do łez, zbuntowany przeciwko światu, gdzie mogły się zdarzać podobne niedole, wsunął trochę pieniędzy w drobną dłoń dziewczynki, przyrzekając pani Teodorowej, że porozumie się z właścicielem domu, aby pozwolił im wrócić do ich mieszkania.

— Ach, panie Froment — mówiła dalej nieszczęśliwa kobieta — Salvat miał słuszość, kiedy mówił, że pan jest zacnym człowiekiem. A pan przecież wie, że on nie jest zły, i nawet zatrudniał go pan przez parę dni... Teraz, kiedy on jest w więzieniu, wszyscy mówią o nim jak o bandycie, a mnie się serce kraje. Następnie, zwracając się do pani Mathis, która, przygasła i dyskretna, nie przestawała szyć z miną szanującej się mieszczeni, która nie może mieć nic wspólnego z tymi wszystkimi sprawami:

— Ja znam panią, a przede wszystkim znam pani syna, pana Wiktora, który często zachodził do nas, aby pogadać... Niech się pani nie obawia, ja nic nie powiem, bo nigdy nikogo nie chciałabym narażać. Ale gdyby pan Wiktor rnął coś powiedzieć, on najlepiej wyjaśniłby myśli Salvata.

Pani Mathis w osłupieniu patrzyła na nią. Nie miała pojęcia, jakie są naprawdę poglądy jej syna; teraz siedziała przejęta, niejasno przerażona myślą, że mógłby istnieć jakiś związek pomiędzy nim a tymi ludźmi. I wcale nie chciała w to uwierzyć.

— Ależ pani się chyba. myli... Wiktor mówił mi, że prawie nigdy nie bywa już na Montmartre, bo wciąż poszukuje pracy.

Słyszając niespokojny i drżący dźwięk jej głosu, pani Teodorowa zrozumiała, że nie powinna w ten sposób wciągać do. swoich smutnych spraw tej kobiety, i natychmiast pokornie się wycofała.

— Przepraszam panią, nie chciałam pani obrazić. Może ja się zresztą mylę. Pani Mathis cicho powróciła do szycia, jak gdyby spieszo jej było wycofać się w swoją samotność, do kącika przyzwoitej nędzy, gdzie nieznaną, z dala od ludzi, zaledwie miała na chleb. Ach, jej drogi, uwielbiany syn! Cóż z tego, że ją zaniedbywał, ona i tak całą nadzieję złożyła w nim, on był jej ostatnim marzeniem, on miał ją kiedyś jeszcze uczynić szczęśliwą!

Babka zeszła z góry, niosąc pakiet starej odzieży i bielizny, po czym pani Teodorowa z małą Celiną wyszły wśród nie kończących się podziękowań. Długo po ich odejściu Wilhelm przechadzał się wzdłuż i w szerz po pokoju, nie mogąc wrócić do pracy, milczący, z czołem przeciętym zmarszczkami.

Nazajutrz, gdy Piotr przyszedł, wciąż pełen wahania i udręki, niespodzianie stał się świadkiem innego rodzaju odwiedzin. Wtargnął podmuch wichru, zafalowały spódnice, rozległy się wybuchy śmiechu — zjawiła się mała księżna Rozamunda, a towarzyszył jej młody Hiacynt Duvillard, poprawny i chłodny.

— To ja, drogi mistrzu; przyrzekłam panu swoją wizytę, jak przystało uczennicy, którą pasjonuje pański geniusz... A oto nasz młody przyjaciel, który był tak uprzejmy i przywiózł mnie tutaj, zaraz po naszym powrocie z Norwegii, bo pana pierwszego zapragnęłam odwiedzić.

Wierciła się, witała swobodnie i z wielkim wdziękiem Piotra i Marię, Franciszka i Antoniego, którzy akurat byli w domu.

— Ach, ta Norwegia, drogi mistrzu, nie ma pan wyobrażenia

o czymś podobnie dziewiczym! Powinniśmy wszyscy jeździć tam i poić się u tego nowego źródła ideału, a wracalibyśmy oczyszczeni, odmłodzeni, zdolni do wielkich wyrzeczeń!

W rzeczywistości spędziła tam okropne dni, nie mogąc się nagiąć do mlecznej diety, jaką jej narzucił jej młody kochanek. Ta ich podróż poślubna, nie do ciepłych Włoch, lecz do krainy lodów i śniegu, bez wątpienia była niezwykle wyszukana i trafnie wyrażała wykwent ich miłości, wolnej od wszelkiego prostackiego materializmu. Same ich dusze wybrały się w podróż, więc mogli tam zaznać jedynie pocałunków duchowych. Nieszczęście chciało, że pewnej nocy, w hotelu, kiedy on upierał się, aby ją traktować jak fikcję, jak czystą symboliczną lilie, ona wpadła w taką pasję, że chwyciła szpicrutę i smagneła go co siły. Hiacynt *okazał* się na tyle słaby, że również się rozzłościł i zbił ją na kwaśne jabłko. W końcu padli sobie w ramiona i skapitulowali, ulegli sobie wzajemnie jak zwyczajni śmiertelnicy. Obudziwszy się, księżna stwierdziła, że wrażenia, których przyjechała szukać tak daleko, są bardzo mierne, on zaś nie mógł jej darować, że tak przyziemnie zakończyła przygodę, po której spodziewał się niezwyklej doznań intelektualnych. Po co tam jechać i brukać dziewiczą i boską Północ, kiedy zupełnie wystarczyłoby im to jedno zhańbione miasto we Francji? I nazajutrz, ponieważ nie -byli już dosyć czyści i nie Czuli już więzi duchowej z łabędziami na wysnionych jeziorach, wsiedli z powrotem na statek.

Nagle księżna przerwała swoje entuzjastyczne zachwyty nad Norwegią; nie należało wyznawać wszystkim, jaką ponieśli porażkę. I zawołała:

— Proszę sobie wyobrazić, co mnie oczekiwało, gdy wróciłam. Zastałam mój pałac obrabowany, doszczętnie obrabowany. Zniszczenie, o jakim nie macie państwo pojęcia, i obrzydliwy brud!... Natychmiast poznaliśmy, czyja to ręka, od razu pomyśleliśmy o przyjaciółach Bergaza.

Wilhelm w przeddzień czytał, że banda młodych anarchistów wtargnęła, wylamując wielkie okno w suterenie, do pałacyku księżny de Harth, który ona pozostawiła pustką, bez służby, bez dozorczy. Mili bandyci nie poprzestali na zabranie wszystkiego, nawet dużych mebli, ale musieli tam chyba spędzić dwa dni .

i dwie noce, pijąc wina z piwnicy, uczując z zapasów przyniesionych z zewnątrz, zaśmiecając pokoje, zostawiając haniebne ślady swego pobytu. A Rozamunda, gdy powróciła, raczej zachwycona niż rozgniewana tym zdarzeniem, natychmiast przypomniała sobie o wieczorze spędzonym w „Gabiniecie Okropności” z Bergazem i jego dwoma ulubieńcami, Rossim i Sanfaute'em, którzy od niej samej dowiedzieli się o zamierzonej podróży do Norwegii. Ci dwaj rzeczywiście zostali aresztowani, ale Bergaz uciekł. Nie dziwiła się zbytnio, uprzedzano ją bowiem, i sama zdawała sobie sprawę, że w bardzo mieszanym towarzystwie, jakie u siebie przyjmowała ulegając pasji do międzynarodowych

ekstrawagancji, trafiały się groźne typy. Janzen opowiedział jej o różnych brudnych sprawach, jakie przypisywano Bergazowi i jego bandzie. Tym razem nie wahał się, głośno oświadczał, że Bergaz, jak przedtem Raphanel, sprzedał się policji i że cios właśnie przez nią był wymierzony, chciano bowiem zozydzić na zawsze anarchizm za pomocą tej głośnej kradzieży, popełnionej wśród tak haniebnych okoliczności. I czyż o

prawdzie jego słów nie świadczył fakt, że policja pozwoliła Bergazowi umknąć?

— Myślałem — rzekł Wilhelm — że dzienniki wyolbrzymiają sprawę... W tej chwili, aby obciążyć tego nieszczęsnego Salvata, wymyślają tyle obrzydliwości!

— Och, nie! — mówiła dalej wesoło Rozamunda. — Nie powiedzieli wszystkiego, są to sprawy zbyt brudne. Wobec tego musiałam zamieszkać w hotelu. Czuję się tam znacznie lepiej, *ho* już nudziło mnie mieszkać we własnym domu... Trudno, anarchia nie jest rzeczą czystą, a ja nie ośmielałam się już mówić, że do niej należę.

Śmiała się i nagle kapryśnie przerzuciła się na inny temat, zapragnęła, aby mistrz opowiedział jej o swoich ostatnich badaniach, zapewne chciała dowieść, że zdolna jest je zrozumieć. Ale on, zmartwiony sprawą Bergaza, ograniczył się do ogólników, okazując jej zaledwie dość chłodną uprzejmość. Tymczasem Hiacynt odnowił znajomość z Franciszkiem i Antonim, z którymi kolegował w liceum Condorcet. Przyszedł z księżną wbrew własnej woli, zaniepokojony tą narzuconą mu pańszczyzną; ustąpił jedynie pod wpływem głuchej obawy, jaką czuł przed nią, odkąd go obila. Ten mały dom źle widzianego chemika budził w nim pogardę. Uważał, że powinien szczególnie mocno podkreślić swoją wyższość wobec dawnych kolegów, których odnajdował wśród prozaicznych warunków, przy pospolitej pracy.

— Ach, prawda! — rzekł do Franciszka, który właśnie sporządzał notatki z jakiejś książki. — Wstąpiłeś do École Normale, przygotowujesz się do egzaminu, zdaje się... A ja, cóż... myśl o jakimkolwiek przymusie budzi we mnie zgrozę... Gdy chodzi o egzamin, o konkurs, staje się tępy... Nieskończoność jest jedyną możliwą drogą... A poza tym wiedza, mówiąc między nami, to oszustwo, zacieśnianie horyzontów! Toteż należy pozostać małym dzieckiem, którego oczy otwierają się na Niewidzialne... Dzieci wiedzą o tym więcej niż my.

Franciszek, który czasami bywał ironiczny, postanowił przyznać mu rację.

— Bez wątpienia, bez wątpienia. Ale aby pozostać małym dzieckiem, trzeba mieć do tego wrodzone dyspozycje... Niestety, mnie na nieszczęście pożera żądza wiedzy. Jest to godne pożałowania, całymi dniami łamię sobie głowę nad książkami... No, nigdy nie będę z tego wiele wiedział, to rzecz pewna, i widocznie dlatego staram się umieć coraz więcej... Przyznaj, że praca jest równie dobrym sposobem spędzania życia jak bezczynność, tylko oczywiście mniej wykwinnym i, jak zapewne ty głosisz, mniej estetycznym.

— Mniej estetycznym, otóż to! — podchwycił Hiacynt. — Piękno, mieści się jedynie w niewyraźnym, wszelkie życie, które się realizuje, staje się ohydą. Mimo że tak naiwny, jeśli chodziło o genialność i niezwykłość głoszonych przez niego haseł, musiał wyczuć szyderstwo. I zwrócił się do Antoniego, który nie przerywał pracy nad swoim drzeworytem, nad portretem czytającej Lizy, który wciąż porzucał i znów do niego wracał, nurtowany nieustannym pragnieniem, aby wyrazić w nim obudzenie się w dziewczęciu inteligencji, życia.

— A ty parasz się drzeworytnictwem.... Od kiedy wyrzekłem się poezji i porzuciłem poemat o bankructwie Kobiety, ponieważ słowa wydawały mi się

prostactwem, balastem i brudem, czymś niby kamienie, z których buduje się mury, również myślałem o tym, aby zabrać się do rysunku, może do rytownictwa... Ale gdzie jest rysunek, który wyraziłby tajemnicę, zaświaty, jedyny świat, który istnieje i liczy się, prawda? Jakim ołówkiem to uzyskać, na jakiej desce odtworzyć? Trzeba by czegoś nienamacalnego, co by nie istniało, a sugerowałoby jedynie istotę rzeczy i ludzi.

— A jednak tylko przez materialność swoich środków — rzekł trochę ostro Antoni — sztuka może oddać to, co ty nazywasz istotą rzeczy i ludzi, a co jest w gruncie rzeczy ich pełną treścią, a przynajmniej tą treścią, jaką my im przypisujemy... Odtwarzać życie — oto jest moja wielka namiętność, bo w głębi istot

i rzeczy, poza tajemnicą życia, nie kryje się żaden inny sekret... Jeżeli moja deska nabiera życia, jestem zadowolony, stworzyłem coś.

Grymas Hiacynta świadczył o jego wstępie do wszelkiej płodności. Mój Boże, przecież byle cham potrafi spłodzić dziecko! Wykwintna i niezwykła jest tylko bezpłciowa idea, istniejąca sama w sobie. Chciał to objaśnić, zaplątał się, powołał się na prawdę, do której doszedł w Norwegii, że sztuka i literatura we Francji skończyły się zabite przez trywialność i przez skazę samego tworzenia.

— To oczywiście — zakończył wesoło Franciszek — nic nie robić to już znaczy mieć talent.

Piotr i Maria patrzyli, słuchali, zakłopotani dziwacznością tego wtargnięcia do tak poważnej i spokojnej zazwyczaj pracowni. Mała księżna okazała się jednakże ogromnie miła, podeszła do młodej dziewczyny, wyraziła podziw dla niezwyklej subtelności haftu, już prawie ukończonego. I nie chciała odejść bez autografu Wilhelma w albumie, po który Hiacynt musiał zejść do powozu. Wykonywał jej polecenia z widoczną niechęcią, oboje byli już bowiem sobą nawzajem znudzeni; ale w oczekiwaniu na nowy kaprys trzymała go przy sobie, bawiło ją jeszcze, że go terroryzuje, a wychodząc z nim i zapewniając mistrza, że ten dzień pozostanie pamiętną datą w jej życiu, wywołała ogólny uśmiech, mówiąc:

— Ach, ci młodzi panowie znają Hiacynta z liceum!... Prawda, że to dobry chłopczyk, który byłby nawet miły, gdyby chciał być taki jak inni?

Tego samego dnia Janzen i Bache przyszli, aby spędzić wieczór z Wilhelmem. Zebrania, urządzone w ścisłym gronie w Neuilly, teraz odbywały się na Montmartre raz w tygodniu. Piotr w te dni zostawał do późna; i gdy tylko obie kobiety i trzech dorośli synowie Wilhelma poszli na górę spać, w pracowni, otwierającej się na nocny Paryż rozbłyskujący gazowymi światłami, toczono nie kończące się dyskusje. Teofil Morin przyszedł dopiero około dziesiątej, zajęty był bowiem poprawianiem wypracowań, ciężką pracą pedagogiczną, która wcale go nie interesowała, a czasem zabierała mu całe noce.

— Ależ to wariatka! — zawołał Janzen, gdy Wilhelm opowiedział im o wizycie księżnej. — Przez krótki czas, gdy związałem się z nią, ludziłem się, że spożytkuję ją dla sprawy. Wydawała mi się tak pełna wiary, tak odważna! Ach tak, to najbardziej postrzelona kobieta na świecie — stale w pogoni za nowymi wrażeniami.

Rumieńce wystąpiły mu na policzkach, porzucił wreszcie swój zwykły chłód, tajemniczość, jaką się otaczał. Oczywiście, cierpiał z powodu zerwania z tą, którą niegdyś nazywał małą królową anarchii i której majątek i znajomości, tak liczne i tak różnorodne, wydawały mu się wszechwładnymi narzędziami propagandy i zwycięstwa.

— Wiecie — mówił uspokajając się — że ten jej okradziony i zanieczyszczony pałac to chwyt policji... Chcieli w przeddzień procesu Salvata skompromitować ostatecznie anarchizm w oczach burżuazji. Wilhelm nadstawił ucha.

— Tak, wspominała mi o tym... Ale ja wcale w to nie wierzę. Jeżeli Bergaz działał z ramienia tych, o których pan mówi, zaaresztowano by go wraz z innymi, jak niegdyś w takiej samej pułapce aresztowano Raphanela wraz z tymi, których on sprzedał... A poza tym, znam trochę Bergaza, to urodzony rabuś.

Głos jego sposepniał, gestem wyraził głębokie zniechęcenie.

— Oczywiście, rozumiem wszelkie rewindykacje, nawet wszelkie uprawnione represje... Ale rabunek, cyniczna kradzież dla korzyści, ach, nie, nie mogę się z tym pogodzić! Osłabiło to we mnie wzniosłą wiarę w przyszłe sprawiedliwe i doskonalsze społeczeństwo. Kradzież w pałacu de Harth ogromnie mnie zmartwiła.

Janzen uśmiechnął się we właściwy sobie zagadkowy sposób uśmiechem skąpym i ostrym jak nóż.

— Ba, to sprawa atawizmu, to protestują wieki wychowania i wiary, jakie pan ma za sobą! Przecież trzeba będzie odebrać to, czego ludzie nie chcą oddać... Mnie natomiast gniewa, że Bergaz wybrał tę chwilę, aby się zaprzedać. Zaaranżowana kradzież stanie się treścią krasomówczego popisu, jaki przygotowuje sobie prokurator, który zażąda głowy Salvata.

Upierał się przy swojej interpretacji faktów, bo nienawidził policji a może również dlatego, że poróżnił się był z Bergazem, z którym poprzednio utrzymywał stosunki. Jego życie człowieka bez ojczyzny, obnoszącego po całej Europie swoje krwawe marzenia, pozostało niezbadane. I Wilhelm, uchylając się od dyskusji, porzesał na stwierdzeniu:

— Och, ten nieszczęsny Salvat, wszystko coraz bardziej go pogrąża, wszystko go miażdży!... Nie uwierzylibyście, moi drodzy, o jaki wciąż wzrastający gniew przyprawia mnie jego wypadek. Burzą się we mnie wszystkie pojęcia o sprawiedliwości i prawdzie, a co dzień jakieś nowe fakty pogarszają sprawę i doprowadzają mnie do rozpacz. Szalenciec, oczywiście, ale tyle ma na swoje usprawiedliwienie, że w gruncie rzeczy jest tylko wykolejonym męczennikiem! I oto staje się upatrzoną ofiarą, obciążoną zbrodniami ludu, płacącą za winy nas wszystkich.

Bache i Morin kiwali głowami, nic nie mówiąc. Oni obaj głosili okropność anarchii. Morin zapomniał, że jego pierwszy mistrz, Proudhon, rzucił to słowo, a niemal też i sformułował samą ideę; nie pamiętał również, że jego bóg, August Comte, aby zmieścić się w pięknym hierarchicznym porządku nauk, gotów był zgodzić się na dobrego tyrańcę, który rządziłby aż do dnia, kiedy lud, wykształcony i miłujący pokój, stanie się godny szczęścia. Co do Bache'a, tkwiący w nim stary humanista-mystyk czuł się głęboko zraniony indywidualistyczną oschłością teorii anarchistycznej; wzruszał łagodnie ramionami, mówił, że rozwiązanie wszelkich trudności znaleźć można u

Fouriera, który raz na zawsze określił przyszłość głosząc przymierze talentu, pracy i kapitału. Ale i Morin, i Bache, niezadowoleni z republiki mieszczańskiej, tak opieszalej, gdy szło o reformy, uważając, że idee ich zostały wyszydzone i że wszystko idzie coraz gorzej, zgodnie potępiali sposób, w jaki wrogie sobie stronnictwa usiłowały posłużyć się Salvatem, aby utrzymać się przy władzy albo żeby ją zdobyć.

— I pomyśleć — mówił Bache — że ich kryzys ministerialny trwa już prawie trzy tygodnie! Obnażają się w nim wszystkie apetyty; cóż to za ohydny widok... Czytaliście dzisiaj rano w dziennikach, że podobno prezydent znowu postanowił wezwać Vignona do Pałacu Elizejskiego?

— Ech, dzienniki! — mruknął Morin ze swą znużoną miną. —

Ja ich już nie czytuję... Po co? Są tak źle redagowane i wszystkie kłamią. Kryzys ministerialny istotnie się przeciągał. Zgodnie z prawem, posłuszny wskazówkom, jakich udzieliła mu Izba podczas posiedzenia, na którym upadł gabinet Barroux, prezydent republiki wezwał Vignona, jako zwycięzcę, aby mu polecił uformowanie nowego gabinetu. I zdawało się, że jest to zadanie łatwe, wymagające zaledwie paru dni, gdyż od miesiąca wymieniano już nazwiska przyjaciół, których młody przywódca partii radykalnej miał dopuścić obok siebie do władzy. Ale wyłoniły się wszelkiego rodzaju trudności. Vignon przez dziesięć dni walczył z nie dającymi się przezwyciężyć przeszkodami, aż wreszcie, bojąc się, że przedwcześnie wyczerpie swe siły, jeśli będzie się dłużej upierał, zmuszony był zawiadomić prezydenta, że zrzeka się swojej misji. Ten natychmiast kazał wezwać innych deputowanych, informując się i wypytyując, aż znalazł w końcu dość odważnego, który zgodził się z kolei podjąć zadanie; wówczas powtórzyło się wszystko od początku: najprzód sporządzono projekt listy, która, jak się zdawało, miała się stać definitywna w ciągu paru godzin, ale później nastąpiły wahania, scysje, powolny paraliż, a wreszcie ostateczna klęska. Wydawało się, że tajemnicze działania, które zahamowały akcję Vignona, rozpoczęły się na nowo, ukryte i potężne, jak gdyby cała banda niewidzialnych współników starała się utrać wszelkie kombinacje w jakimś nieznanym celu. Ze wszystkich stron wyłaniały się coraz bardziej skomplikowane tysiączne przeszkody, zazdrości, sprzeczne interesy, odstępstwa, wywoływane w cieniu przez doświadczone ręce; i uciekano się do wszelkich możliwych presji, pogroźek, obietnic, do gry jątrzonych i obrażanych ambicji. Doszło więc do tego, że prezydent, ogromnie zakłopotany, wezwał znowu Vignona, który tym razem, zebrawszy siły i mając w kieszeni prawie kompletną listę, był niemal pewny, że zdoła rzecz załatwić w czterdzieści osiem godzin.

— To jeszcze nie koniec — mówił dalej Bache — i ludzie dobrze poinformowani twierdzą, że Vignonowi nie powiedzie się, jak i za pierwszym razem... Co do mnie, jestem głęboko przekonany, że to banda Duvillarda prowadzi całą sprawę. Na korzyść którego z panów, tego nie wiem! Ale bądźcie pewni, że przede

wszystkim chodzi o to, aby zatuszować sprawą Afrykańskich Kolei Żelaznych... Gdyby nie to, że Monferrand jest zanadto skompromitowany, dopatrywałbym się tutaj chwytu w jego stylu. Czy zauważyliście, jak „Glob”, który w ciągu jednego dnia opuścił Barroux, co dzień prawie pisze teraz o Monferrandzie z pełną czci sympatią? Jest to ważny symptom, gdyż

Fonsègue nie ma zwyczaju tak miłosiernie dodawać ducha zwyciężonym... Ostatecznie, czego spodziewacie się po tej obrzydliwej Izbie? Na pewno knują tam jakąś niegodziwość.

— A ten stary dureń Mège — powiedział Morin — który załatwia interesy wszystkich partii z wyjątkiem własnej? Czy nie jest głupi z tą swoją zasadą, że wystarczy mu przetrzymać jeden po drugim cudze gabinety, aby dojść do takiego, którego głową będzie on sam?

Na nazwisko Mège'a wszyscy się okrzyknęli, zgodni we wspólnej nienawiści. Bache, który zresztą w wielu sprawach rozumował jak apostoł kolektywizmu państwowego, z bezlitosną surowością sądził każdą jego wypowiedź i każdy postępek. Janzen uważał Mège'a po prostu za reakcyjnego burżuja, którego trzeba zmieść jako jednego z pierwszych. I wspólne im wszystkim zacietrzewienie przejawiało się w tym, że nieraz umieli się okazać sprawiedliwi wobec swoich nieprzejednanych przeciwników, którzy nie podzielali żadnej z ich idei, gdy tymczasem wielką zbrodnią nie zasługującą na przebaczenie było, ich zdaniem, myśleć mniej więcej tak jak oni, nie będąc absolutnie jednomyślnym we wszystkich sprawach.

Dyskusja potoczyła się dalej, mieszając i przeciwstawiając sobie różne systemy, przeskakiwała od polityki do prasy, błędziła i stała się namiętna, gdy przeszli na temat denuncjacji Saniera, którego dziennik każdego ranka toczył swoją błotnistą falę niby w wezbranym rynsztoku. Wtedy Wilhelm, który swoim zwyczajem zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju, obudził się z bolesnych rozmyślań i zawołał:

— Ach, ten Sanier, jakże brudna jest ta jego robota! Wkrótce nie będzie już żadnej rzeczy, żadnej istoty, której by nie obryzgał błotem. Ludzie wyobrażają sobie, że stoi po ich stronie, a on ich zohydza.... Czyż nie napisał wczoraj, że gdy zaaresztowano Salvata w Lasku Bulońskim, znaleziono przy nim wytrychy i port-

monetki skradzione spacerowiczom!... Wciąż ten Salvat! Salvat, niewyczerpany temat do artykułów, nazwisko, które zapewnia dziennikowi trzykrotny wzrost sprzedaży! Salvat, pożądana dywersja dla sprzedawczyków z Afrykańskich Kolei Żelaznych! Salvat, pole bitwy, gdzie obala się i tworzy rządy! Wszyscy żerują na nim i wszyscy go popychają do zguby.

Był to rozlegający się wśród nocy krzyk buntu i litości, i na tym przyjaciele się rozstali. Piotr, który siedział przy oknie otwartym na płonący ogrom Paryża, słuchał przez cały czas, nie mówiąc ani słowa. Dręczyły go wątpliwości, toczyła się w nim wewnętrzna walka i wszystkie te sprzeczne opinie nie przyniosły mu jeszcze żadnego rozwiązania, żadnego ukojenia, gdyż okazywały się zgodne tylko wówczas, gdy chodziło o skazanie na zatrącenie starego świata, nie umiały natomiast odbudować wspólnym braterskim wysiłkiem przyszłego świata sprawiedliwości i prawdy. I Paryż nocny, usiany gwiazdami, lśniący jak letnie niebo, . pozostawał dla niego dalej wielką zagadką, czarnym chaosem, ciemnymi popiołami, w których trzaskały iskry i z których miała się już wkrótce wyłonić jutrzeńka. Jaka przyszłość rodziła się tam dla całej ziemi, jakie decydujące słowo zbawienia i szczęścia miało wraz z światłem dnia popłynąć w cztery strony świata?

Gdy wreszcie z kolei wychodził i Piotr, Wilhelm położył mu obie ręce na ramionach, popatrzył na niego przeciągle, głęboko rozczulony mimo trawiącego go gniewu.

— Mój biedny mały, ty cierpisz, ty także cierpisz, widzę to od paru dni. Ale ty jesteś panem swojego cierpienia, bo walczysz tylko z sobą, możesz siebie zwyciężyć; nie można natomiast zwyciężyć świata, jeżeli cierpi się z jego winy i od jego złośliwości, i niesprawiedliwości!... Ach tak, tak, bądź dzielny, działaj, jak ci rozum dyktuje, chociażby wśród łez, a osiągniesz spokój. Tej nocy, gdy Piotr znalazł się znowu sam - w swoim domu w Neuilly, który nawiedzały już tylko cienie jego rodziców, ostateczna walka długo spędzała sen z jego powiek. Nigdy jeszcze nie czuł tak wielkiej odrazy do swojego kłamstwa, do kapłaństwa, które stało się dla niego pustym gestem, do sutanny, którą się zgodził nosić niby przebranie. Może to wszystko, co ostatnio widział i słyszał u brata — nędza społeczna jednych, bezcelowe i szalone miotanie się innych, pragnienie, aby ludzkość była lepsza, nie dające za wygraną pomimo przeszkód i słabości — dało mu głębiej odczuć konieczność życia lojalnego, normalnego, w pełnym świetle. Teraz nie mógł już pomyśleć o swoim upartym marzeniu, o tym posępnym i samotnym życiu świętego kapłana, jakim nie był, aby nie przeniknął go dreszcz wstydu, aby nie czuł wyrzutu sumienia, iż tak długo kłamał. I postanowił, że nie będzie dłużej kłamać, chociażby nawet z litości, z chęci obdarzania bliźnich boską iluzją. Ale cóż za okrutnym wstrząsem będzie dla niego zrzucić sutannę, która, jak mu się wydawało, przyrosła mu do skóry, i jak smutno będzie powiedzieć sobie, że jeśli zedrze ją mimo wszystko, pozostanie odarty z ciała, ranny, chory i nigdy nie stanie się podobny innym ludziom!

W tę straszną noc znowu walczył z sobą i dręczył się. Czyż życie miało jeszcze do niego prawa, czy nie był napiętnowany i nie musiał na zawsze pozostać na uboczu? Zdawało mu się, że czuje złożoną niegdyś przysięgę w ciele, jak rozpalone żelazo. Na co przyda mu się ubrać jak inni ludzie, jeżeli nigdy już nie ma być człowiekiem? Żył dotąd tak zalękniony, tak niezręczny, tak zatracał się w wyrzeczeniu i marzeniach! Nie móc już żyć, nie móc żyć — oto co napełniało go trwogą; bał się, że ta myśl go sparaliżuje. A gdy wreszcie powziął decyzję, uczynił to z lękiem powodując się jedynie poczuciem lojalności.

Nazajutrz, gdy Piotr przyszedł na Montmartre, miał na sobie spodnie i ciemną marynarkę. Babka i trzej synowie Wilhelma nie powiedzieli nic, nie popatrzyli nawet na niego w sposób, który mógłby go urazić. Czyż nie było to naturalne? Przyjęli go ze spokojnymi twarzami, jak zawsze, może nawet serdeczniej, aby mu oszczędzić pierwszego zakłopotania. Ale Wilhelm pozwolił sobie na pełen dobroci uśmiech. Widział w tym swoje dzieło. Nadchodziło ozdrowienie, jak się tego spodziewał, przez niego, u niego, w pełnym słońcu, wśród tego życia, któremu wielkie okna pracowni pozwalały wpływać szeroką falą.

Maria również podniosła oczy, popatrzyła na Piotra. Nie wiedziała, że jej słowa, tak logiczne: „Czemu tego nie zdejmiesz?“, sprawiły mu ból. Uważała po prostu, że wygodniej będzie mu przy pracy, gdy zdejmie sutannę.

— Piotrze, chodź tutaj i popatrz... Gdy wszedłeś, zabawiałam się właśnie śledzeniem tam, nad Paryżem, dymów, które wiatr pędzi ku wschodowi. Powiedziałaby kto, że to okręty, cała niezliczona flotylla, która słońce barwi purpurą. Tak, tak, złote okręty, tysiące okrętów, które opuszczają paryski ocean, aby uczyć cały świat i nieść mu pokój.

III

W ciągu dwu dni Piotr zdążył przyzwyczać się do nowego ubioru i nawet już o nim nie myślał, gdy przyszedłszy rankiem na Montmartre, spotkał księdza Rose przed bazyliką Sacré-Coeur.

Stary ksiądz, zdumiony w pierwszej chwili, niemal go nie poznał w tym stroju, a potem wziął go za obie ręce, długo mu się przyglądał. Wreszcie rzekł z oczyma pełnymi łez:

— O mój synu, wpadłeś więc w okropne nieszczęście, jakiego obawiałem się dla ciebie! Nie mówiłem ci o tym, ale dobrze czułem, że Bóg odszedł z twojej duszy... Ach, nic nie mogło zadać mojemu sercu okrutniejszej rany!

Drżący, odprowadził go na bok, jak gdyby chcąc go uchronić przed zgorzonym wzrokiem nielicznych przechodniów, i zabrakło mu sił, opadł na stos cegieł zapomnianych tam w trawie, na placu budowy.

Ten prawdziwy wielki ból starego, serdecznego przyjaciela głęboko poruszył Piotra, bardziej, niż mogłyby to uczynić gwałtowne wyrzuty i klątwy. I pod wpływem nagłego, niespodziewanego cierpienia, jakie zadawało mu to spotkanie, którego wszakże powinien się być spodziewać, łzy napłynęły mu do oczu. Była to jeszcze jedna głęboka rana, z której wypływała najczystsza krew jego serca, zerwanie ze świętym człowiekiem, którego miłosierne złudzenie, nadzieję zbawienia świata przez dobroć, tak długo podzielał.

Narosło pomiędzy nimi tyle boskich iluzji, tyle walk o to, co najlepsze, tyle wyrzeczeń i tyle razem udzielonych przebaczeń, w pragnieniu, aby prędzej weszło szczęśliwe żniwo przyszłości. I oto rozstawali się; on, młody, wracał do życia, porzucając starego człowieka samotnego na drodze urojenia i daremnego oczekiwania! Z kolei Piotr ujął jego ręce i wybuchnął skargą:

— Mój przyjacielu, mój ojcze, jesteś jedyną istotą, jaką z żalem pozostawiam w strasliwym chaosie, z którego się wyzwalam. Myślałem, że jestem z niego uleczony, a moje biedne serce zakrwawiło, gdym tylko księdza spotkał!...

Błagam cię, ojcze, nie płacz nade mną, nie wyrzucaj mi tego, co uczyniłem. Było to konieczne, sam byś mi przyznał, gdybym się był zapytał o radę, że lepiej nie być kapłanem niż być nim nie mając wiary i godności.

— Tak, tak — powtórzył cicho ksiądz Rose — nie miałeś już wiary, domyślałem się tego, a twoja surowość, twoja wielka świętość, w której domyślałem się rozpacz, tak bardzo mnie dręczyła! Ile godzin strawiłem niegdyś na to, aby ukoić twoją rozterkę. Musisz, mnie jeszcze raz wysłuchać, muszę cię uratować... Nie jestem, niestety, dość uczonym teologiem, aby dyskutować, aby cię przekonać za pomocą tekstów i dogmatów. Ale w imię miłosierdzia, mój synu, w imię samego miłosierdzia, zastanów się, wróć do swego dzieła pociechy i nadziei.

Piotr, który usiadł obok niego, w tym odludnym zakątku, u samych stóp bazyliki, dał się porwać uniesieniu.

— Miłosierdzie, miłosierdzie! Właśnie przekonanie o jego nicości i nieuniknionym bankructwie ostatecznie zabiło we mnie kapłana... Jakże może ksiądz wierzyć, że wystarczy dawać, skoro całe życie księdza upłynęło na dawaniu, a nie zebrał ksiądz innego żniwa, dla siebie i dla drugich, jak tylko krzywdząca nędzę, która utwierdza się, przedłuża, a nawet pogłębia, tak że nigdy nie zdoła ksiądz wyznaczyć dnia, w którym ta ohyda się

zakończy?... Nagroda po śmierci, prawda? Sprawiedliwość w raju! Ależ to nie jest sprawiedliwość, to oszustwo, przez które świat cierpi już od wieków! I przypomniał mu ich życie tam, w dzielnicy Charonne, gdy razem zbierali z bruku porzucone dzieci, a ich rodzicom nieśli pomoc w ich norach, przypomniał mu cały ten wspaniały wysiłek, który w rezultacie ściągnął na starego kapłana naganę ze strony zwierzchników, spowodował rodzaj wygnania spośród jego ubogich, pod grozą kar jeszcze surowszych, gdyby dalej narażał religię przez swoje na ślepo, bez rozwagi i celu udzielane jałmużny. Czyż teraz, nadzorowany, podejrzany, nie miał wrażeń, że zatapia go wzbierająca stale nędza, czyż nie miał świadomości, że nigdy datki nie będą wystarczające, choćby nawet dysponował milionami, że tylko przedłuża agonię ubogiego, który je wprawdzie dzisiaj, ale nie będzie miał co włożyć do ust jutro? Był bezsilny, rana, którą w swoim mniemaniu opatrywał, otwierała się jednocześnie ze wszystkich stron, schorzenie to miało zaatakować i strawić cały organizm społeczny. I stary ksiądz, który drżąc słuchał tego, kiwając białą głową, szepnął w końcu:
— To nie ma znaczenia, to nie ma znaczenia, mój synu, trzeba dawać, wciąż dawać, dawać mimo wszystko. Nie istnieje inna radość... Jeżeli rażą cię dogmaty; zostań przy Ewangelii, zachowaj z niej tylko zbawienie przez miłosierdzie.

Wtedy Piotr zbuntował się, zapomniał, że mówi do tego prostaczka, który żył tylko uczuciem i nie był w stanie nadażyć za jego myślą.

— Próbowano już tego eksperymentu, zbawienia ludzkości nie dokona się przez miłosierdzie, będzie ono odtąd możliwe tylko przez sprawiedliwość. Tak brzmi wołanie, coraz donośniejszy okrzyk wydawany przez ludy... Oto Ewangelia już od dwóch blisko tysiącleci bankrutuje. Jezus niczego nie odkupił, cierpienia ludzkości pozostały równie wielkie, równie krzywdzące jak przedtem. I Ewangelia jest już tylko odrzuconym kodeksem, z którego społeczeństwa zdołały wydobyć jedynie to, co chaotyczne i szkodliwe... Trzeba się od niej wyzwolić.

Było to jego niezłomne już przekonanie. Jaka to dziwna omyłka: wziąć za społecznego prawodawcę Jezusa, który żył pośród innego społeczeństwa, na innej ziemi, w innej epoce. I gdyby chciano zachować z jego moralności, z jego nauki tylko to, co w nich było ludzkie i wieczne, jakież niebezpieczeństwo kryłoby się jeszcze w stosowaniu niewzruszonych zasad do społeczeństw we wszystkich epokach. Żadne społeczeństwo nie wyżyłoby, gdyby ściśle stosowało zasady Ewangelii. Jezus jest burzycielem wszelkiego porządku, wszelkiej pracy, wszelkiego życia. Potępiał kobietę i ziemię, wieczną naturę, wieczną płodność rzeczy i stworzeń. Na tym katolicyzm zbudował następnie swój groźny gmach terroru i ucisku. Grzech pierworodny, to straszliwe dziedzictwo, które odradza się dla każdej istoty i nie dopuszcza, jak to czyni

nauka, korektur wychowania, okoliczności i środowiska! Nie istnieje bardziej pesymistyczna koncepcja człowieka, przez samo już swoje urodzenie wydanego na łup szatanowi i skazanego na walkę z samym sobą aż do śmierci, walkę niemożliwą, absurdalną, gdyż chodzi w niej o zupełną przemianę człowieka, o zabicie ciała, zabicie rozumu, o stłumienie w każdej namiętności jej grzesznej energii, o ściganie diabła nawet w głębi wód, gór i lasów, żeby go tam unicestwić w samych sokach świata. Odtąd cała ziemia

jest jednym grzechem, piekłem pokus i cierpień, które trzeba przebyć, aby zasłużyć sobie na niebo. Oto wspaniałe narzędzie policji, despotyzmu absolutnego, religia śmierci, którą idea miłosierdzia zdołała uczynić zaledwie znośną, ale którą zmieść musi z powierzchni ziemi poczucie sprawiedliwości. Ubogi, nieszczęśliwy, którego oszukują, który nie wierzy już w raj, chce, aby zasługi każdego człowieka wynagradzane były na ziemi; a wtedy wieczne życie staje się znowu tylko dobrą boginią, pragnienie i praca zasadniczym prawem świata, płodna kobieta wraca do czci, głupi koszmar piekła ustępuje chwalebnej, wiecznie rodzącej naturze. Te stare semickie rojenia Ewangelii rozwiązać musi jasny rozsądek łaciński, wsparty na nowoczesnej wiedzy.

— Oto tysiąc osiemset lat — zakończył Piotr — jak chrystianizm zagradza ludzkości drogę do prawdy i sprawiedliwości. Ludzkość pójdzie tą drogą dalej dopiero wtedy, gdy go obali, stawiając Ewangelię w rzędzie ksiąg mądrości, nie widząc w niej jednak absolutnego i definitywnego kodeksu. Ksiądz Rose wzniósł drżące ręce.

— Zamilcz, zamilcz, mój synu, ty bluźnisz!... Wiedziałem, że toczy cię rak zwątpienia, ale myślałem, że jesteś cierpliwy, zdolny do cierpienia, liczyłem na twego ducha wyrzeczenia i rezygnacji. Cóż więc zaszło, że tak gwałtownie opuszczasz Kościół? Nie poznaję cię, wyrosła w tobie taka namiętność, taka niezwyciężona siła cię ponosi... Co się stało? Kto cię zmienił? Piotr słuchał go ze zdziwieniem.

— Ależ nie, zapewniam księdza, jestem taki, jakim ksiądz mnie znał, jest to tylko naturalny wynik, nieuniknione rozwiązanie... Któż mógłby na mnie oddziaływać, skoro nikt nie wszedł w moje życie? Jakie nowe uczucie mogłoby mnie przetworzyć, skoro ja, gdy się nad tym zastanowię, nie znajduję w sobie żadnego uczucia. Jestem ten sam, na pewno ten sam!

Jednakże w głosie jego zabrzmiało wahanie. Czy naprawdę nie zaszło w nim nic nowego? Zapytywał się o to raz jeszcze i nie znajdował żadnej wyraźnej odpowiedzi; naprawdę nic nowego w sobie nie dostrzegał. Było to tylko urocze przebudzenie, ogromna

chęć do życia, pragnienie, aby otworzyć szeroko ramiona, żeby objąć wszystkich i wszystko. I ponosił go wiatr radości, porywał go. Ksiądz Rose, zbyt prostoduszny, aby to zrozumieć, znowu potrzasał głową myśląc o sidłach szatańskich. Odstępstwo, jakiego dopuściło się jego dziecko, jak nazywał Piotra, zabolalo go do głębi. Znów przemówił do niego; przyszła mu niefortunna myśl do głowy: poradził Piotrowi, żeby poszedł wypowiadać się u monsignora Marthy, w nadziei, że kapłan o takim autorytecie znajdzie potrzebne słowa, które przywrócą zbłąkanemu wiarę. Ale Piotr odważnie stwierdził, że jeżeli wystąpił z Kościoła, to właśnie dlatego, że tam spotkał podobnych mistrzów kłamstwa i despotyzmu, którzy czynili z religii gorsząca dyplomację, pragnąc podstępem sprowadzić ludzi z powrotem do Boga. A wtedy ksiądz Rose, w rozpaczy, wstał i znalazł już tylko jeden argument, wskazał ręką bazylikę wznoszącą się obok nich w swej ogromnej masie, nie dokończoną, szeroką i przysadzistą w oczekiwaniu na kopułę, która miała ją uwieńczyć.

— To jest dom Boży, moje dziecko, pomnik pokuty i triumfu, ekspiacji i przebaczenia. Odprawiałeś tam mszę, a opuszczasz go jako krzywoprzysięzca i świętokradca.

Piotr powstał również. I w jakimś przypiływie zdrowia i sił odpowiedział:
— Nie, nie, wychodzę z niego z własnej nieprzymuszonej woli, jak wychodzi się z lochu, aby powrócić na wolne powietrze, na pełne słońce. Nie ma tam Boga, jest jedynie zaprzeczenie rozumu, prawdy, sprawiedliwości; to ogromny gmach, który wzniesiono, jak się dało najwyżej, niby twierdzą absurdu panującą nad Paryżem, aby go obrażać i grozić mu.

Następnie widząc, że oczy starego księdza znowu napęcznieły łzami, sam tak przerażony tym zerwaniem, że dusiło go łkanie, zaprzagnął odejść.

— Żegnam! Żegnam, księżu!

Ale ksiądz Rose już objął go ramionami, tulił go jak zbłąkaną owieczkę, która zawsze jest najdroższa.

— Nie „żegnam”, nie „żegnam”, moje dziecko. Powiedz mi: „do zobaczenia”, powiedz mi, że się jeszcze spotkamy, przynajmniej wśród tych, co płaczą i cierpią głód. Na próżno twierdzisz, że miłosierdzie zbankrutowało, czyż nie będziemy wiecznie się miłować w naszych biednych?

Piotr, który teraz stał się towarzyszem swoich trzech dorosłych bratanków, w paru lekcjach nauczył się od nich jeździć na rowerze, chciał bowiem brać udział w ich rannych wycieczkach; i już dwa razy wraz z nimi i z Marią był w okolicy jeziora d'Enghien, dokąd prowadził bity gościniec. Pewnego ranka, gdy dziewczyna postanowiła, że tym razem oboje wraz z Antonim dotrą aż do lasu w Saint-Germain, okazało się w ostatniej chwili, że Antoni nie może jechać. Maria już miała na sobie spodenki z czarnej szarszy, żakiecik z tego samego materiału, pod tym bluzkę z surowego jedwabiu, a kwietniowy poranek był tak jasny, tak łagodny, że krzyknęła wesoło:

— No, to trudno, zabieram ciebie, pojedziemy we dwójkę!... Chcę koniecznie, abyś poznał, co to za przyjemność jechać śliczną drogą wśród cudownych drzew.

Ale ponieważ on nie miał jeszcze wielkiej wprawy, postanowili, że pojedą z rowerami pociągiem aż do Maisons-Laffitte. Potem wsiądą na rowery, przejadą cały las, kierując się ku Saint-Germain, skąd powrócą znowu pociągiem.

— Czy zdążycie z powrotem na śniadanie? — zapytał Wilhelm, którego bawiła ich wyprawa i z uśmiechem patrzył na brata, również ubranego na czarno, w czarnych wełnianych pończochach, krótkich spodniach i marynarce.

— O, na pewno — odrzekła Maria. — Jest dopiero siódma, mamy dużo czasu. Zresztą siadajcie do stołu, my i tak wrócimy na czas.

Ranek był prześliczny. Jadąc Piotr miał wrażenie, że jest w towarzystwie dobrego kolegi, i dzięki temu ta wyprawa, ten pęd we dwoje w ciepłym wiosennym słońcu stawały się czymś zupełnie naturalnym. Niemal jednakowy ubiór i swoboda ruchów, jaką im dawał, wznagały niewątpliwie to poczucie radosnego

braterstwa, pełnego prostoty i spokoju. Ale było w tym coś jeszcze: tężyzna, jaką daje świeże powietrze, wesołość wspólnie zażywanego ruchu, zadowolenie, gdy człowiek czuje się wolny i silny, na łonie natury.

W wagonie, gdzie znaleźli się sami, Maria znów powróciła do wspomnień z liceum.

— Mój drogi, nie wyobrażasz sobie, jak wspaniale bawiłyśmy się w chowanego za szkolnych czasów w liceum Fénelona. Podwijałyśmy spódnicę sznurkami, aby lepiej było biegać; bo jeszcze nikt nie ośmieliłby się

pozwoić nam na włożenie spodenek, takich, jakie dziś mam na sobie. A potem zaczynały się krzyki, biegi, popychanie, włosy się nam rozsypywały, byłyśmy czerwone jak buraki! Ale to wcale nie przeszkadzało nam pracować, przeciwnie! Wróciwszy do klas walczyłyśmy nie gorzej niż podczas rekreacji, biłyśmy się o to, która nauczy się więcej i będzie pierwsza w klasie.

Śmiała się jeszcze serdecznie do tych wspomnień, a Piotr patrzył na nią oczarowany, taka wydawała mu się różowa i mocna, w małym czarnym, filcowym kapelusiku przypiętym długą srebrną szpilką do obfitego koka. Jej wspaniałe brązowe włosy, wysoko podczesane, odkrywały świeży kark, który pozostał dziecięco delikatny.. I nigdy nie wydawała mu się tak zgrabna, pomimo siły, solidnych bioder i bujnej piersi, a jednocześnie tak subtelna i urocza. Gdy się śmiała, jej oczy błyszcząły radością, a dolna część twarzy, usta i podbródek, które były trochę ciężkie, tchnęły bezgraniczną dobrocią.

— Ach, te spodenki, te spodenki — mówiła żartobliwie. — I pomyśleć, że niektóre kobiety upierają się jeszcze, aby jeździć na rowerze w spódnicy! A gdy Piotr, nie aby powiedzieć jej komplement, lecz po prostu stwierdzić fakt, oświadczył, że jest jej bardzo do twarzy w tym stroju, odrzekła:

— Nie chodzi tu o mnie... Nie jestem ładna, tylko zdrowa, oto wszystko... Ale czy rozumiesz? Kobiety, którym nadarza się jedyna okazja, aby ubrać się wygodnie, aby polecieć jak ptak, z nogami wreszcie uwolnionymi z więzienia, wzbraniają się przed tym! Jeżeli wyobrażają sobie, że wyglądają ładniej w krótkich pensjonarskich spódnicach, mylą się! Jeżeli zaś chodzi im o skromność, zdaje mi się, że raczej należy pokazywać łydki niż ramiona! Machnęła ręką z dziecinną pasją.

— A poza tym, czy myśli się o tym podczas jazdy? Nie ma to jak spodnie, spódnica to po prostu herezja!

Z kolei ona mu się przyjrzała i w tej chwili uderzyła ją niezwykła przemiana, jaka się w nim dokonała od dnia, kiedy ujrzała go po raz pierwszy; był wtedy ponury w długiej sutannie, twarz miał wychudłą, siną, udręczoną lękiem. Poza tym czuło się w nim rozpacz nicości, pustkę grobu, z którego wiatr rozwiał popioły. Teraz nastąpiło jak gdyby zmartwychwstanie, twarz wyjaśniała, wysokie czoło odzyskało pełną nadziei pogodę, oczy i usta zaś znów nabierały powoli ufnej tklivości, w wiecznym pragnieniu, aby kochać, aby poświęcać się i żyć. Nic już nie zdradzało w nim księdza, chyba tylko włosy, krótsze w miejscu, gdzie przedtem była tonsura, ale jasna plama już się zacierała.

:— Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Odpowiedziała szczerze:

— Patrzyłam, jak praca i świeże powietrze dobrze ci robią, także i tobie... Znacznie wolę, gdy jesteś taki. A wyglądałeś tak mizernie! Myślałam, że jesteś chory.

— Byłem chory — rzekł po prostu.

Ale pociąg zatrzymał się w Maisons-Laffitte. Wyszli i zaraz pojechali drogą do lasu. Droga ta, zatłoczona wózkami w dniu targowe, lekko wznosiła się aż do rogatki w Maisons.

— Pojadę przodem, dobrze? — zawołała wesoło Maria — gdyż pojazdy jeszcze cię denerwują.

Jechała przed nim, drobna i wyprostowana na siodle, a czasem odwracała się z serdecznym uśmiechem, aby zobaczyć, czy . on nie zostaje w tyle.

Ilekcioć mijali wóz, uspokajała go wyliczając mu zalety ich rowerów, które oba pochodziły z fabryki Grandidiera. Były to tak zwane Lizetki, model popularny, przy których pracował Tomasz, udoskonalając ich konstrukcję, a które sklepy „Bon Marché” sprzedawały masowo po sto pięćdziesiąt franków. Może wyglądały trochę ciężko, ale były nadzwyczaj solidne i wytrzymałe. Prawdziwe maszyny do jazdy, mówiła.

— O, już mamy las! Teraz nie będziemy już jechać pod górę i zobaczysz piękne aleje. Mknij się po nich jak po aksamicie.

Piotr zrównał się teraz z Marią, jechali obok, siebie, tym samym regularnym rytmem, szeroką i prostą drogą, pomiędzy podwójną majestatyczną kotarą ogromnych drzew. Rozmawiali bardzo przyjaźnie.

— Nabrałem już odwagi, zobaczysz, że w końcu uczeń przyniesie ci zaszczyt.

— Nie wątpię w to. Trzymasz się bardzo dobrze, przegonisz mnie po pewnym czasie, bo w tej grze kobieta nigdy nie dorówna mężczyźnie... Ale mimo to rower jest doskonałą szkołą dla kobiety.

— Jak to, szkołą?

— Bo ja mam na tę sprawę własny pogląd. Jeżeli kiedyś będę miała córkę, wsadzę ją na rower w dziesiątym roku życia, aby nauczyła się dobrze postępować w życiu.

— A zatem wychowanie praktyczne.

— No, oczywiście... Spójrz na te dorosłe córki, których matki nie puszczają ani na krok od siebie. Uczą je bać się wszystkiego, zabraniają im wszelkiej samodzielności, nie kształcą ani ich umiejętności myślenia, ani woli, tak że dziewczęta nie umieją nawet przejść przez ulicę, bo paraliżuje je myśl o przeszkodach... Zaprawiajcie ją od dzieciństwa do roweru i wypuśćcie ją na gościniec; będzie tam musiała dobrze otwierać oczy, aby widzieć i omijać kamienie, skręcać we właściwej chwili i w należywym kierunku, gdy zajdzie potrzeba. Nadjeżdża wóz w galopie, mogą grozić różnego rodzaju niebezpieczeństwa, więc dziewczyna musi natychmiast decydować, chwycić kierownicę pewną i umiejętną ręką, jeżeli chce wyjść cało... W sumie, czy nie jest to ciągle kształcenie woli, wspaniała lekcja postępowania i obrony? Zaczął się śmiać.

— Wszystkie będziecie mieć się aż za dobrze...

— Ach, mieć się dobrze, oczywiście, że tak, gdyż trzeba naprzód mieć się doskonale, żeby być dobrym i szczęśliwym... Bo ja sądzę, że te, które będą omijać kamienie i dobrze orientować się na drogach, potrafią również w życiu społecznym i osobistym pokonać trudności, powziąć najszlachetniejszą decyzję, że umysły ich będą otwarte, uczciwe i solidne... Całe wychowanie mieści się w tym, aby widzieć i chcieć.

— A zatem emancypacja kobiety poprzez rower.

— Mój Boże, dlaczego by nie?... To wydaje się śmieszne, ale popatrz, ile już drogi zrobiono; spodenki oswobodziły nogi, na wspólnych wycieczkach kobiety i mężczyźni spotykają się, panuje równość, żona i dzieci towarzyszą wszędzie mężczyźnie, koledzy, jak my oboje, mogą wyjechać sobie w pola, lasy i nikt się temu nie dziwi. I na tym właśnie polega ta wspaniała zdobycz; że możemy pławić się w powietrzu i świetle, na łonie przyrody, że powracamy do naszej wspólnej matki, ziemi, i że na nowo czerpiemy z niej siłę i radość. Popatrz, czy nie uroczy jest ten las, przez który jedziemy razem? I jakim

miłym tchnieniem wypełnia to nasze piersi, i jak to człowieka oczyszcza, uspokaja i dodaje mu odwagi!

Istotnie las, pusty w dniu powszednie, miał w sobie bezmierną łagodność, gęste jego podszycie usiane było słonecznymi plamami. Słońce, jeszcze ukośne, oświecało dopiero jedną stronę drogi, złocąc wyniosłe, zielone draperie drzew, gdy tymczasem z drugiej strony, w cieniu, zieleń była niemal czarna. I jak rozkosznie było tak jechać, lecieć niby jaskółka muskająca ziemię, tą królewską aleją, w chłodnym powietrzu, wśród tchnienia traw i liści, których potężna woń chłostała twarze. Zaledwie dotykali ziemi, wyrosły im skrzydła i niosły ich w tym samym porywie, przez jasność i przez cień, przez bujne życie wielkiego drżącego lasu, pełnego mchów, źródeł, zwierząt i zapachów.

Na rozdrożu La Croix-de-Noailles Maria nie chciała się zatrzymać. Zbyt wiele ludzi tłoczyło się tu w niedzielę, a ona знаła zakątki dziewicze, tchnące uroczym spokojem. Potem, gdy znaleźli się na stoku wiodącym ku Poissy, namówiła Piotra, aby oboje pozwolili się ponieść swoim maszynom. Doznali wtedy wielkiego, radosnego upojenia szybkością, było to przejmujące uczucie równowagi w piorunowym pędzie, kiedy człowiek gna do utraty tchu, a szara droga ucieka spod stóp, drzewa po obu stronach obracają się niby żeberka rozkładanego wachlarza. Wiatr huczy jak burza, człowiek zdaża ku horyzontom, aż hen, ku nieskończoności, która wciąż się odsuwa. Jest to nadzieja bez granic, wyzwolenie ze zbyt ciężących więzów, lot w przestrzeniach. I nic nie może porównać się z tym uniesieniem, a serca wzlatują aż pod niebo.

— Wiesz; — zawołała Maria — nie jedźmy do Poissy, skrećmy w lewo!

Wjechali na drogę do Achères aux Loges, która zwięzła się i wznosiła, pełna przytulnego cienia. Zwolnili i musieli teraz dobrze pedałowac pod górę po skąpym żwirze. Droga była tu gorsza, piaszczysta, poryta przez ostatnie ulewne deszcze. Ale czy wysiłek nie był przyjemnością?

— Przyzwyczaisz się, to tak miło pokonywać przeszkody... Ja nie znoszę dróg jednostajnie równych i pięknych. Gdy się trafi mała wyniosłość, jeżeli tylko nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku nóg, staje się niespodzianką, nowością, która cię podnieca i pobudza.... A przy tym, jak dobrze być silnym, jechać pomimo deszczu, wiatru, pod górę!

Zachwyciła go jej wspaniała wesołość i energia.

— A więc — zapytał ze śmiechem — wyruszyliśmy w nasz bieg dokoła Francji?

— Nie, nie, jesteśmy już na miejscu. Czy nie miałbyś ochoty trochę odpocząć?... Ale powiedz, czy nie warto było przyjechać aż tutaj, aby usiąść na chwilę w pięknym, cichym i chłodnym zakątku?

Lekko zeskoczyła z roweru, potem pobiegła na ścieżkę, zrobiła z pięćdziesiąt kroków, wołając na niego, aby poszedł za nią. Oparli oba rowery o pnie drzew i znaleźli się na małej polance. Było to istne gniazdo uwite z najpiękniejszych liści, jakie można sobie wymarzyć. Las był bardzo piękny, tchnął wielkością samotną i majestatyczną. A wiosna darzyła go wieczną młodością, liście miały w sobie niewinną lekkość, były jak delikatna zielona koronka, którą słońce przysypywało złotem. Tchnienie życia biło od roślin, od dalekiego starodrzewu, niosąc potężne zapachy ziemi.

— Na szczęście nie jest jeszcze za gorąco — rzekła siadając u stóp młodego dębu, o który się oparła. — Ale trzeba przyznać, że w lipcu panie miewają cerę nieco czerwoną i że puder ryżowy nie trzyma się na twarzy... Nie można być zawsze piękną!

— Ale ja nie czuję chłodu — oświadczył Piotr, który usiadł u jej stóp i wycierał sobie czoło.

Zaśmiała się i oświadczyła, że nigdy nie widziała na jego twarzy takich kolorów. Wreszcie widać było, że krew krąży mu w żyłach. I zaczęli rozmawiać jak dwoje dzieci, jak koledzy, śmieli się z naiwnych żartów, rzeczy najprostsze w świecie wydawały im się nadzwyczaj zabawne. Ona niepokoiła się o jego zdrowie, nie chciała, żeby siedział w cieniu, skoro było mu tak gorąco; aby ją uspokoić, musiał zmienić miejsce, usiąść plecami do słońca. Potem on uwolnił ją od pajaka, ogromnego czarnego pajaka, który wczepił się łapkami w jej rozwiane włosy na karku. Cała kobieta odezwała się w niej w tym przeraźliwym okrzyku strachu. Co za głupota, aby tak bać się pajaków! Na próżno usiłowała się opanować; wciąż jeszcze była blada i drżąca. Potem zapadło milczenie, patrzyli na siebie z uśmiechem; i czuli dla siebie, w tym cichym lesie, wielką sympatię, tkliwą przyjaźń, która im wydawała się braterska; ona cieszyła się, że się nim zajęła, on był pełen wdzięczności za uleczenie, za zdrowie, jakim go obdarzyła. Ale wzrok ich nie opuszczał się ku ziemi, ręce nawet nie musnęły się błędząc w trawie, gdyż byli nieświadomi i czyści jak wielkie dęby, które ich otaczały. Nie pozwoliła mu zabić pajaka, wszelkie bowiem zniszczenie budziło w niej grozę, a potem zaczęła znów rozsądnie mówić na różne tematy, jak dziewczyna, która zna życie i której ono nie onieśmiela, bo jest bardzo pewna, że zawsze robi to tylko, co uzna za stosowne.

— Zapominamy — zawołała wreszcie — że czekają na nas w domu ze śniadaniem!

Wstali, wrócili na drogę, prowadząc rowery. I ruszyli w dobrym tempie, minęli Loges, dojechali do Saint-Germain wspaniałą aleją, która prowadzi do pałacu. Cudownie im było jechać znowu ramię w ramię, jakby byli parą ptaków szybujących jednakim lotem. Dzwonki dzwoniły, łańcuchy z cicha pobrzękiwały. I w chłodnym powiewie pędu znów nawiązali rozmowę, bardzo swobodni, bardzo sobie bliscy, jak gdyby sami na świecie, gdzieś bardzo daleko i wysoko.

Później, w pociągu, który wiozł ich z Saint-Germain do Paryża, Piotr zauważył, że policzki Marii oblewa nagły rumieniec. W przedziale siedzieli wraz z nimi dwie damy.

— O, teraz tobie jest gorąco!

Zaprotestowała i jak gdyby zdjął ją wstyd, twarz jej płonęła coraz mocniej.

— Me jest mi gorąco, dotknij moich rąk... Czy to nie śmieszne, aby się tak rumienić bez żadnego powodu?

Zrozumiał, że to zakwitające mimo jej woli kwiaty dziewiczego serca pojawiły się na jej policzkach i że jak zawsze jest tym rozgniewana. Bez przyczyny, jak mówiła. Bo sama nie wiedziała, że to bije jej serce, które tam, w samotności lasu, spało snem niewinności.

Na Montmartre, po wyjeździe dzieci, jak nazywał ich Wilhelm, on sam wziął się do sporządzania owego tajemniczego prochu, którego naboje ukrywał na górze, w pokoju Babki. Fabrykacja ich była ogromnie niebezpieczna,

najmniejsze przeoczenie przy pracy, za późno przekreślony kurek mógł spowodować straszliwy wybuch, który zniósłby z powierzchni ziemi dom i jego mieszkańców. Toteż Wilhelm wolał zaczekać, aż zostanie sam, aby nie narażać nikogo, nie obawiać się, że coś mogłoby spowodować jego roztargnienie. Jednakże tego poranka jego trzech synowie pracowali w dużej pracowni, a Babka, jak zwykle, cicho szła koło paleniska. Ale ona, tak dzielna, w niczym nie przeszkadzała mu, gdyż w ogóle nie ruszała się z miejsca, lubiła bowiem niebezpieczeństwo; i czasami nawet pomagała Wilhelmowi, bo równie dobrze jak on znała rozmaite fazy niebezpiecznego procesu, a także całą jego straszliwą grozę.

Tego ranka, widząc go bardzo zamyślonym, podniosła parę razy wzrok znad bielizny, którą naprawiała nie używając okularów mimo swoich siedemdziesięciu lat. Jednym rzutem oka sprawdzała, że niczego nie zaniedbał, a potem wracała do roboty. W swej odwiecznej czarnej sukni, z pięknymi i jeszcze wszystkimi zębami, przy zaledwie siwiejących włosach, twarz miała jak za dawnych lat subtelną, tylko że wyschłą i żółtą, z wyrazem łagodnej surowości. Zazwyczaj mówiła niewiele, nie dyskutowała nigdy, działała i kierowała; otwierała usta, tylko aby udzielić rady mądrej, skutecznej, pokrzepiającej. Go myślała i czego chciała, o tym jej otoczenie wnioskowało tylko z jej odpowiedzi, z krótkich zdań, w których jaśniała jej sprawiedliwa i heroiczna dusza.

Od pewnego czasu zwłaszcza wydawała się bardziej milcząca, energiczniej zajmowała się domem, którego była absolutną panią, wodziła pięknymi, zamyślonymi oczyma za swym ludkiem, trzema młodzieńcami, Wilhelmem, Marią, Piotrem, a wszyscy ulegali jej jak uznanej królowej, której władza nie podlega dyskusji. Czy może przeczuwała zmiany, dostrzegała fakty, których nikt dokoła niej nie przeczuwał ani nie dostrzegał? Stała się jeszcze poważniejsza, jak gdyby w oczekiwaniu niedalekiej godziny, kiedy potrzebna będzie jej mądrość i jej autorytet.

— Uważaj, Wilhelmie, jesteś dzisiaj roztargniony — rzekła w końcu. — Czy masz jakiś kłopot, jakąś przykrość?

Spojrzał na nią z uśmiechniętą miną.

— Żadnej przykrości nie miałem, doprawdy... Myślałem o naszej drogiej Marii, która tak się cieszyła, że jedzie do lasu, na to piękne słońce.

Antoni podniósł głowę, ale obaj jego bracia nie odrywali się od pracy.

— Co za pech, że muszę wykończyć ten drzeworyt! Taką miałem ochotę pojechać z nimi!

—Ba! — odrzekł swoim spokojnym głosem jego ojciec. — Piotr jest z nią, a Piotr jest bardzo rozsądny.

Babka przez chwilę jeszcze przyglądała mu się, po czym wróciła do szycia. Jej królewska władza w domu, która jednała jej posłuszeństwo starych i młodych, ugruntowana była na długoletnich poświęceniach, inteligencji i dobroci w rządzeniu. Urodzona w protestantyzmie, uwolniła się potem z więzów religijnych, we wszystkim kierowała się, wyższa ponad konwenanse społeczne, ideą sprawiedliwości ludzkiej, do jakiej doszła, gdy tak długo sama znosiła niesprawiedliwość, która zabiła jej męża... Wkładała w to niezwykłą odwagę, nie wiedząc, co to przesady, idąc aż do końca za głosem obowiązku, tak jak ona go pojmowała. A ponieważ poświęcała się kolejno dla męża i dla córki, Małgorzaty, poświęciła się potem zięciowi i wnukom,

Wilhelmowi i jego synom. Teraz Piotr, którego naprzód obserwowała z niepokojem, wszedł do rodziny, stanowił częśćkę małego zakątka szczęścia, którym ona władała. Widocznie uznała, że jest tego godny. Nie lubiła podawać głębokich przyczyn, które o tym zadecydowały. Po dniach milczenia zadowolona się słowami skierowanymi pewnego wieczoru do Wilhelma, że dobrze uczynił przyprawdzając do nich swojego brata.

Około południa Wilhelm, wciąż przy pracy, zawołał:

— Patrzcie, dzieci nie wróciły, poczekamy na nich jeszcze trochę, zanim siądziemy do stołu... Ja bardzo bym chciał skończyć robotę.

Minął jeszcze kwadrans. Trzej młodzieńcy porzucili swoje zajęcia i poszli do ogrodu umyć ręce.

— Maria bardzo się spóźnia — zauważyła Babka. — Żeby się jej tylko coś nie wydarzyło!

— E, jeździ doskonale, bardzo pewnie — odrzekł Wilhelm. — Bardziej niepokoję się o Piotra.

Babka znów na niego spojrzała.

— Maria go poprowadzi, poza tym oboje już dobrze jeżdżą.

— To prawda... Mimo to wolałbym, aby już wrócili.

Po chwili wydało mu się, że słyszy dzwonki rowerów, zawołał, że to pewnie oni; i uradowany, zapomniał o wszystkim, porzucił palenisko i pobiegł do ogrodu na ich spotkanie.

Gdy Babka została sama, zabrała się spokojnie do szycia, i ona bowiem zapomniała, że tuż przy jej krześle, w aparacie, dobiegała końca fabrykacja prochu. I gdy w dwie minuty później Wilhelm wrócił mówiąc, że się pomylił, nagle pobladł, z oczyma utkwionymi w palenisko. Chwila właściwa, gdy zamknięcie kurka gwarantowało bezpieczne zakończenie procesu, właśnie minęła w czasie jego krótkiej nieobecności, a teraz, z sekundy na sekundę, mogła nastąpić straszliwa eksplozja, chyba że znalazłaby się zuchwała ręka, która przekreśliłaby fatalny kurek. Może już było za późno i śmiałkowi, który by się na to odważył, groziła niechybna zguba!

Wilhelm często tak igrał ze śmiercią, czynił to z zupełną beztroską. Ale tym razem stał jak przygwożdżony do miejsca, niezdolny się poruszyć, a całe jego ciało przeniknęła trwoga przed zatrąta. Drżał, belkotał w oczekiwaniu katastrofy, która groziła wysadzeniem całego domu w powietrze.

— . Babko, Babko... Aparat, kurek... Wszystko stracone, stracone, stracone...

Stara kobieta podniosła głowę, nic jeszcze nie rozumiejąc.

— O co chodzi? Co ci się stało?

Gdy zobaczyła, że cofa się, zmieniony, w szalonym strachu, spojrzała ku palenisku i wyczuła okropne niebezpieczeństwo.

— No dobrze, ale to bardzo proste... Trzeba po prostu zamknąć kurek, prawda?

I bez pośpiechu, z najspokojniejszą w świecie miną, odłożyła robotę na mały stolik, wstała z krzesła, poszła zamknąć kurek zręczną ręką, która nawet nie zadrżała.

— No i rzecz zrobiona... Dlaczego więc, mój drogi, nie uczyniłeś tego sam?

On śledził ją osłupiałym wzrokiem, z otwartymi ustami, zlodowaciały, jakby go dotknęła śmierć. I gdy krew znów zaczęła mu krążyć w żyłach, gdy stanął

zdrów i cały przed nieszkodliwym już aparatem, westchnął głęboko, drżący jeszcze i zrozpaczony.

— Dlaczego sam nie zamknąłem?... Ależ dlatego, że się bałem!

W tej chwili wróciła Maria z Piotrem; oboje, zachwyceni przejażdżką, rozmawiali, śmiali się, wnosząc z sobą wesołość słonecznego dnia; a trzej bracia, Tomasz, Franciszek i Antoni, którzy przyszli z ogrodu, zaczęli żartować wmawiając im, że Piotr walczył z krową i że wjechał na zagon owsa. Gdy spostrzegli wzburzenie ojca, nagle się zaniepokoiłi.

— Moje dzieci, przed chwilą okazałem się tchórzem... O, tchórzostwo to dziwna rzecz, uczucie, którego dotąd nie znałem.

I opowiedział, jak się bał eksplozji, o swoim przerażeniu i spokoju, z jakim Babka wszystkich ich ocaliła od niechybnej śmierci. Ona zaledwie lekko machnęła ręką, jak gdyby chcąc powiedzieć, że przekręcenie kurka nie było żadnym bohaterstwem. Ale łzy napłynęły do oczu trzech dorosłych chłopców i kolejno podbiegli ją uściskać z pełnym czci zapałem, wkładając w tę pieśczołą wdzięczność i podziw, jaki dla niej żywili. Od ich najwcześniejszego dzieciństwa oddawała im całą siebie, a teraz obdarzała ich jeszcze życiem. Z kolei rzuciła się w jej objęcia Maria, całowała ją z wdzięcznością i rozczuleniem. I jedna tylko Babka nie płakała, uspokajała ich, bo nie lubiła, gdy w czymś przesadzano i wykraczano przeciwko zdrowemu rozsądkowi.

— Babko, pozwól, proszę — mówił Wilhelm opanowując się — abym i ja cię uściskał, tak jak oni, zasłużyłaś sobie na to...

I Piotr niech cię uściśnie, bo jesteś teraz dla niego taka dobra, jak zawsze byłaś dla nas.

Przy stole, gdy mogli wreszcie zasiąść do śniadania, Wilhelm znów zaczął mówić o swoim lęku, którym sam wciąż jeszcze był zaskoczony i zawstydzony. Od pewnego czasu zauważył, że staje się ostrożny, on, który dawniej nigdy nie pomyślał nawet o śmierci. Już dwa razy zadrżał w obliczu możliwej katastrofy. Skąd brało się w nim to spóźnione przywiązanie do życia? Dlaczego właśnie teraz tak pragnął żyć? I wreszcie powiedział wesoło, z nutą tkliwego wzruszenia:

— Zdaje mi się, Mario, że to myśl o tobie czyni mnie tak ostrożnym.

Niechętnie teraz ryzykuję, bo mam coś cennego do stracenia. Dźwigam na sobie brzemię szczęścia... Przed chwilą, gdy wydawało mi się, że wszyscy zginiemy, właśnie trwoga, że cię utracę, zmroziła mnie i sparaliżowała. Maria z wdziękiem również się zaśmiała. Aluzje do ich bliskiego małżeństwa zdarzały się rzadko, a ona przyjmowała je zawsze z twarzą wyrażającą miłość i szczęście.

— Jeszcze sześć tygodni — rzekła po prostu.

Babka, która na nich patrzyła, przeniosła wzrok na Piotra. On również przysłuchiwał się tej rozmowie z uśmiechem.

— To prawda — powiedziała Babka — za sześć tygodni będziecie po ślubie. Dobrze więc, że zapobiegłam wysadzeniu domu w powietrze.

Z kolei roześmiali się synowie Wilhelma, Tomasz, Franciszek i Antoni. I dokończyli śniadania w bardzo radosnym nastroju.

Po południu Piotr uświadomił sobie, że jakiś ciężar powoli przygniata mu serce. W uszach nieustannie brzmiały mu słowa Marii: „Jeszcze sześć tygodni.” Tak, za sześć tygodni ona będzie mężatką. I wydało mu się, że nigdy

o tym nie słyszał, nigdy nawet o tym nie pomyślał. Później, wieczorem, gdy znalazł się w swoim pokoju w Neuilly, uczuł ból nie do zniesienia. Słowa te stały się dla niego torturą, zabijały go. Ale dlaczego nie zaboląły go one od razu, dlaczego przyjął je z uśmiechem? Nagle zrodziła się w nim pewna myśl, narzuciła mu się z obezwładniającą pewnością. Kochał Marię, kochał ją jak mężczyzna, śmiertelnie!

Wówczas, w tym nagłym olśnieniu, wszystko stało się zrozumiałe. Pojął, że od pierwszego spotkania nieuchronnie zmierzał ku tej miłości; zrazu myślał, że czuje się zraniony, brał za wrogość wzruszenie, o jakie przyprawiała go ta dziewczyna, a potem uległ, zwyciężony boską słodyczą. Ona była jego przystanią po tyłu udękach i walkach, w niej odnalazł wreszcie spokój. Ale przede wszystkim ujrzał teraz we właściwym świetle ich tak uroczą poranną wycieczkę, ów niby zaręczynowy poranek na łonie radosnego lasu, który stał się ich współnikiem. Natura wzięła go znowu w swoją moc, uleczonego z choroby, zdrowego i silnego, i oddała go kobiecie, którą uwielbiał. Jego dreszcz, jego szczęście, jego doskonale porozumienie z drzewami, zwierzętami i niebem, wszystko, czego nie umiał sobie wyjaśnić, nabierało teraz bardzo jasnego znaczenia, które budziło w nim uniesienie i zachwyty. Tylko w Marii było jego uzdrowienie, jego nadzieja, jego pewność, że się odrodzi i wreszcie zazna szczęścia. Zapomniał już przy niej o dręczących pytaniach, o wszystkim, co gnębiło go i miażdżyło. Od tygodnia myśl o śmierci, która tak długo była jego nieodstępna towarzyszką, nawet nie przemknęła mu przez głowę. Spór wiary i zwątpienia, rozpacz nicości, gniew przeciwko niesprawiedliwemu cierpieniu, wszystko to ona odsunęła młodymi rękoma, ona, tak zdrowa, tak kochająca życie, że i w nim wzbudziła chęć do życia. Po prostu ona czyniła go na nowo mężczyzną, pracownikiem, kochankiem i ojcem.

Nagle przypomniał sobie księdza Rose, bolesną rozmowę, jaką odbył pewnego ranka z tym świętym człowiekiem. To naiwne serce, choć nie znało spraw miłości, było jednak jasnowidzące. I ono tylko go zrozumiało. Przecież to ksiądz Rose powiedział Piotrowi, że się zmienił, że jest teraz innym człowiekiem. A on głupio upierał się i zapewniał, że jest taki sam, chociaż Maria już go odmieniła, tchnęła znowu w jego piersi całą naturę: i nasłonecznione pola, i płodne wichry, i ogromne niebo, pod którym dojrzewają plony! I oto dlaczego katolicyzm, religia śmierci, doprowadzała go do takiej rozpacz, iż krzyczał, że Ewangelia jest przestarzała i że świat oczekuje na inny kodeks, na prawo do szczęścia ziemskiego, sprawiedliwości ludzkiej, miłości żywej i płodnej! Ale przecież jest Jeszcze Wilhelm! Stanął mu przed oczyma

brat, brat, który go uwielbiał, który wprowadził go do swego pracowitego, pełnego spokoju i miłości domu, aby go tam leczyć. Poznał Marię tylko dzięki temu, że tego życzył sobie Wilhelm. I znów przypomniały mu się słowa: „Jeszcze sześć tygodni.” Za sześć tygodni jego brat ma poślubić Marię. Był to niby nóż wbijający się w jego serce. Nie zawahał się ani przez chwilę; jeżeli miał od tego umrzeć, umrze, ale nikt na świecie nie dowie się o jego miłości, przezwycięży samego siebie, gdyby zabrakło mu odwagi, ucieknie daleko. Jego brat, który pragnął jego zmartwychwstania, który był sprawcą pożerającej go namiętności, który ufność posunął tak daleko, że oddał mu serce swoje i swoich bliskich! Nie, nie, raczej skaże siebie na wieczystą

torturę, niż sprawi mu chociażby przemijający ból! Bo jego tortura zacznie się na nowo; gdy bowiem utraci Marię, utonie raz *jeszcze* w rozpaczycy swojej nicości. Już teraz, gdy tak leżał bezsennie, wracała jego udręka: negacja i daremność wszystkiego, świat pozbawiony wszelkiego sensu, życie zdradzone i przekłete. Dreszcz śmierci przesywał go znowu. Umrzeć, umrzeć, zanim zakosztowało się życia!

Straszna to była walka! Dręczył się i jęczał aż do świtu. Po co *zrzucił* sutannę? Wyrzekł się jej na jedno słowo Marii i jedno słowo Marii sprawiło, że powziął desperacką myśl, aby przywdziać ją znowu. Niepodobna było uciec z więzienia. Ta czarna suknia przylgnęła do jego ciała, zdawało mu się tylko, że już jej nie nosi, ona wciąż ciążyła mu na ramionach i lepiej było pogrzebać się w niej na wieki. Nosiłby żałobę po swoim życiu jako mężczyzny! Potem jeszcze jedna myśl nim wstrząsnęła.

Po co ta cała męka? Przecież Maria go nie kocha. Podczas ich rannej przejażdżki nie zdarzyło się nic, co świadczyłoby, że kocha go inaczej niż dobra i urocza siostra. Na pewno kocha Wilhelma. I stłumił w poduszce długi szloch, i znów poprzysiągł, że zwycięży siebie i będzie z uśmiechem patrzył na ich szczęście.

IV

Gdy nazajutrz poszedł na Montmartre, cierpiał tak bardzo, że potem nie pokazał się tam przez dwa dni. Zamknął się w swoim domu, gdzie nikt nie widział, w jakiej żyje gorączce. Pewnego ranka, kiedy jeszcze leżał w łóżku, zrozpaczony i bezsilny, ze zdziwieniem i zakłopotaniem zobaczył wchodzącego brata, Wilhelma.

— Musiałem wtargnąć do ciebie, skoro ty tak nas zaniedbujesz... Przychodzę, bo chcę, abyś wraz ze mną poszedł na rozprawę Salvata, która ma się odbyć dzisiaj. Z wielkim trudem zdołałem wystarać się o dwa miejsca dla nas. No, a teraz wstań, zjemy śniadanie w mieście i postaramy się być tam dość wcześnie.

On sam wydawał się stroskany, zamyślony i smutny, coś go dręczyło; podczas gdy brat pospiesznie się ubierał, on go wypytywał.

— Czy masz do nas jakąś urazę?

— Ależ nie! Co przyszło ci do głowy?

— Więc dlaczego przestałeś się pokazywać? Bywałeś codziennie i urwało się to tak nagle...

Piotr na próżno szukał jakiegoś wykrętu, a w końcu zmieszał się.

— Miałem tu coś do roboty... A zresztą, co począć, opadły mnie czarne myśli, więc byłbym tylko zmartwił was wszystkich!

Wilhelm gwałtownie machnął ręką.

— A może myślisz, że nam było wesoło bez ciebie? Maria, zawsze taka zdrowa, taka wesoła, dostała przedwczoraj tak silnej migreny, że musiała pozostać w swoim pokoju. Jeszcze wczoraj była nieswoja, zdenerwowana, milcząca! Mieliśmy zły dzień.

Patrzył Piotrowi prosto w twarz swoimi szczerymi, wiernymi oczami; jasno przebiegało w nich podejrzenie, które się w nim budziło i do którego nie chciał się przyznać.

Wzburzony wiadomością o niepokoju Marii, przerażony myślą, że mógłby się zdradzić, Piotr zdołał tym razem skłamać; odrzekł spokojnym tonem:

— Tak, nie czuła się już zbyt dobrze tego dnia, kiedy wybraliśmy się rowerami na wycieczkę. Co do mnie, wierz mi, że byłem bardzo zajęty...

Miałem właśnie wstać i pójść jak zwykle do was.

Wilhelm przyglądał mu się jeszcze chwilę; potem, może przekonany, a może odkładając na później dociekanie prawdy, zaczął serdecznie rozmawiać o czym innym; ale nawet w tej braterskiej czułości, tak u niego żywej, drżał jednak taki dreszcz przeczuwanej rozpacz i nie wyznanego lub może nie uświadomionego cierpienia, że z kolei brat go zapytał:

— Ale czy ty nie jesteś chory? Wydaje mi się, że straciłeś tę swoją wspaniałą pogodę ducha?

— Ja? Ależ nie, nie jestem chory... Natomiast moja wspaniała pogoda ducha wydaje mi się zagrożona. To sprawa Salvata wytrąca mnie z równowagi, wiesz przecież... Doprowadzą mnie do szału swoją potworną niesprawiedliwością, która zmiażdży tego nieszczęśnika.

Od tej chwili mówił już tylko o Salvacie, zapalał się, roznamiętniał, jak gdyby pragnąc *znaleźć* w tym poszczególnym wypadku wyjaśnienie wszystkich swoich buntów i cierpień. Gdy około dziesiątej jedli śniadanie w małej restauracyjce na Boulevard du Palais, opowiadał, jak bardzo wzrusza go milczenie, jakie zachowuje Salvat zarówno co do rodzaju prochu użytego do sporządzenia bomby, jak i co do paru dni, jakie u niego przepracował. Temu milczeniu Wilhelm zawdzięczał, że zostawiono go w spokoju i nawet nie powołano na świadka.

Wzruszony, znów zaczął mówić o swoim wynalazku, groźnej maszynie, która miała zapewnić wszechmoc Francji — inicjatorce i oswobodzicielce. Teraz wynikiem jego ostatnich dziesięciu lat badań naukowych nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, były one gotowe i niewątpliwe, tak że mógł je choćby jutro przekazać rządowi francuskiemu. I uwolniwszy się od pewnych tajonych skrupułów, które mąciły jego spokój, gdy patrzył na spodlenie świata finansów i świata polityki, czekał już tylko na swój ślub z Marią, aby we wzruszającej galanterii i ją uczynić współtwórczynią wspaniałego daru, pokoju powszechnego, jaki w swoim przekonaniu miał ofiarować całemu światu.

Wilhelm z wielkim trudem zdobył dwa miejsca na sali za pośrednictwem Bertheroya. I gdy punktualnie o godzinie jedenastej, w chwili gdy otwierano bramy, przyszli tam z Piotrem, wydało im się, że w ogóle nie dostaną się do wnętrza. Wszystkie kraty były zamknięte, bariery zagradzały przejścia w korytarzach, tchnienie grozy wiało po wyludnionym Pałacu Sprawiedliwości, jak gdyby sąd przeraził się najazdu anarchistów uzbrojonych w bomby.

Odnajdowało się tutaj dreszcz wielkiej trwogi, jaka od trzech miesięcy gnębiła Paryż. Dwaj bracia musieli pertraktować przy każdych drzwiach i przy każdej z barier, których strzegli żołnierze. Gdy wreszcie dostali się na salę sądową, była ona już wypełniona po brzegi, zatłoczona publicznością, która cierpliwie dusiła się na godzinę przed wejściem sądu i gotowa była nie ruszać się z miejsca przez siedem czy osiem godzin, opowiadano bowiem, że władze chcą się pozbyć tej sprawy za jednym zamachem. W szczupłej przestrzeni pozostawionej dla tych, którzy mieli miejsca stojące, tłoczyła się gęsta ciżba ciekawych, którym przypadkowo udało się wejść wprost z ulicy, a wśród nich

zdołali się wśliznąć towarzysze i przyjaciele Salvata; w części przeznaczonej dla świadków, na dębowych ławach, umieszczono zaproszonych gości; było ich zbyt dużo, siedzieli stłoczeni, niemal jedni na kolanach drugim, w pretorium zaś, zagarniając całą wolną przestrzeń aż za plecami sędziów, ustawiono krzesła jak w teatrze, a zajmowali je ludzie wytwornego, uprzywilejowanego świata, politycy, dziennikarze, damy, tak że tłum adwokatów w togach gnieździł się, jak mógł, we wszystkich kątach. Piotr nie znał sali rozpraw i zdziwił się na jej widok, gdyż wyobrażał sobie, że jest bardzo uroczysta i majestatyczna. Ta świątynia ludzkiej sprawiedliwości wydała mu się mała, ponura, podejrzanej czystości. Podium, na którym zasiadał sąd, było tak niskie, że zaledwie widział fotele przewodniczącego i dwóch asesorów. Poza tym obfitość starego dębu — boazerie, balustrady, ławki — czyniła posepną tę salę o ciemnozielonych tapetach, z sufitem wyłożonym kasetonami również z dębowego drzewa. Siedem okien, niewielkich i wysoko umieszczonych, z marnymi białymi firaneczkami, przepuszczało bladą jasność dzielącą salę wyraźną linią na dwie części: po jednej stronie

oskarżony i jego adwokat na swoich ławach, w chłodnym, surowym świetle, po drugiej, w cieniu, przysięgli, odosobnieni, zamknięci w ciasnej przegrodzie; i był to jak gdyby symbol: anonimowy, nieznaną sędzia, a naprzeciw oskarżony, jak gdyby nagi, widny aż do głębi duszy. W tym smutnym surowym obrazie rysował się niejasno, nad trybunałem, malowany Chrystus, który zdawał się ciężko, bezwładnie zwisać za jakimś szarym obłokiem dymu. Jedynie na ciemnej ścianie, obok zegara, nad ławką, na której miał zasiąść Salvat, błyskało- surową białością gipsu popiersie Republiki.

Wilhelm i Piotr z trudem znaleźli dwa miejsca w ostatniej ławce w _ miejscu przeznaczonym dla świadków, przy ścianie, która oddzielała je od publiczności stojącej. Wilhelm siadając dojrzał małego Wiktora Mathis, opartego łokciami na poręczu owej ścianki, z podbródkiem na splecionych rękach; oczy płonęły w jego drobnej twarzy o wąskich wargach. Poznali się wzajemnie, ale Wiktor ani drgnął, Wilhelm zaś zrozumiał, że nieostrożnością byłoby wymieniać tutaj ukłony. I od tej chwili czuł nad sobą Wiktora, nieruchomego, w napięciu, z płonącymi oczyma, w niemym i posepnym oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

Tymczasem Piotr zauważył siedzącego przed nim uroczego deputowanego Dutheila i małą księżną Rozamundę. Wśród hałaśliwego tłumu, który rozmawiał i śmiał się, aby skrócić sobie oczekiwanie, ich głosy brzmiały najradośniejsz, świadczyły o ich zadowoleniu, że znaleźli się tutaj, na tym tak upragnionym widowisku. Dutheil objaśniał księżną, pokazywał jej salę, wszystkie ławy, wszystkie małe drewniane klatki, przysięgłych, oskarżonego, obronę, prokuratora republiki, nawet pisarza, nie zapominając o stole na dowody rzeczowe i miejscach dla świadków. Na razie miejsca te były nie zajęte, woźny sądowy sprawdzał wszystko po raz ostatni, adwokaci przebiegali w pośpiechu. Przypominało to teatr o pustej jeszcze scenie, widzów tłoczących się na swoich miejscach w oczekiwaniu na początek sztuki. Mała księżna, aby jakoś zabić czas, zaczęła wreszcie w zbitej masie ciekawych i już poczerwieniałych twarzy wyszukiwać znajomych.

— O, proszę, tam, za trybunałem, siedzi, zdaje mi się, pan.

Fonsègue, prawda? Przy tej tęgiej damie w żółtej sukni... a tam, z drugiej strony, nasz przyjaciel, generał de Bozonnet... Barona Duvillard nie ma wśród nich?

— O nie — odrzekł Dutheil — nie chciał się tu pokazywać, wyglądałoby, że przychodzi domagać się zemsty.

A po chwili on z kolei zwrócił się do niej z zapytaniem:

— Widocznie pogniewała się pani ze swoim nadobnym Hiacyntem, skoro uczyniła mi pani ten zaszczyt i pozwoliła sobie towarzyszyć?

Lekkim wzruszeniem ramion dała mu do zrozumienia, że poeci zaczęli ją już bardzo nudzić. Nowy kaprys rzucił ją w dziedzinę polityki; i od tygodnia doskonale bawiła się, pasjonując się wszystkim, co wiązało się z kryzysem parlamentarnym. Wprowadzał ją w ten świat młody deputowany z Angoulême.

— Mój drogi — powiedziała mu — u tych Duvillardów wszyscy są trochę pomyleni... Czy pan wie, że to już rzecz postanowiona: Gerard żeni się z Kamilą. Baronowa dała za wygraną, a ja dowiedziałam się z pewnego źródła, że sama pani de Quinsac, matka młodego człowieka, wyraziła zgodę.

Dutheil roześmiał się z miną człowieka również doskonale poinformowanego.

— Tak, tak, wiem o tym. Ślub odbędzie się niedługo w kościele Madeleine, ślub wspaniały, o którym dużo się będzie mówiło... Czy panią to dziwi?

Trudno o lepsze rozwiązanie sprawy. Baronowa w grucie rzeczy jest wcieloną dobrocią i ja zawsze mówiłem, że poświęci siebie, byle zapewnić szczęście córce i Gerardowi... W sumie, to małżeństwo załatwia wszystko, przywraca porządek.

— No tak, ale co mówi na to baron? — spytała Rozamunda.

— Ależ baron jest zachwycony! Widziała pani przecież dziś rano, na liście nowego gabinetu, że Dauvergne otrzymał tekę oświaty. A to oznacza pewne zaangażowanie Sylwiany do Komedii Francuskiej. Dauvergne tylko po to został wybrany.

Żartował. Ale. w tej chwili mały Massot, który właśnie sprzeczał się z woźnym, zobaczył z daleka wolne miejsce koło księżny; na jego pytający gest dała mu znak, by się do nich przyłączył.

— No — mówił sadowiac się — nie przyszło mi to z łatwością. Na ławie prasy ścisk okropny. A przy tym muszę zrobić kroni-

kę... Pani jest najbardziej uroczą z kobiet, księżno: posunęła się pani trochę, aby zrobić miejsce dla swego wiernego wielbiciela. Następnie, witając uściskiem dłoni Dutheila, mówił jednym tchem:

— A zatem, panie deputowany, ten gabinet jest faktem dokonany?...

Kosztowało pana sporo czasu, ale gabinet jest naprawdę piękny i wszyscy się nim zachwycają.

Istotnie odpowiednie dekrety ukazały się w „Dzienniku Urzędowym” tego ranka. Po długich dniach kryzysu, gdy Vignon po raz drugi przekonał się, że jego akcja zawodzi, natknąwszy się na niesłychanie zawile przeszkody, nagle wezwany w tej rozpaczliwej sytuacji do Pałacu Elizejskiego, ukazał się na widowni Monferrand i w ciągu dwudziestu czterech godzin dobrał sobie ludzi, postarał się o zatwierdzenie listy i triumfalnie powrócił do władzy, którą w tak pożałowania godny sposób utracił był wraz z Barroux. Zmienił tekę, opuszczał Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, aby przejść do Ministerstwa Finansów, jednocześnie jako premier, co stanowiło jego dawną i tajemną

ambicję. Teraz wychodziło na jaw całe mistrzostwo jego kreciej roboty, wspinały manewr, dzięki któremu wypłynął znowu na powierzchnię posłużwszy się aresztowaniem Salvata, jego podziemna kampania przeciwko Vignonowi, tysiączne przeszkody, jakimi dwukrotnie tarasował mu drogę, a wreszcie nagłe rozwiązanie sprawy, ta gotowiutka lista, ten gabinet sklecony w jeden dzień, gdy stał się potrzebny.

— Piękna robota, moje gratulacje! — powtórzył kpiąco mały Massot.

— Ja nie odegrałem w tym żadnej roli — rzekł skromnie Dutheil.

— Jak to? Żadnej roli? Ależ owszem, drogi panie, powszechnie wiadomo, że brał pan w tym udział.

Deputowany uśmiechnął się, mile połączony. A tamten mówił dalej, robiąc różne aluzje, żartując, dzięki czemu wszystko mu uchodziło. Mówił o bandzie Monferranda, o klienteli, która pragnąc jego zwycięstwa poparła go potężnie. A z jaką satysfakcją Fonsègue dobił w „Globie” swego starego przyjaciela Barroux,

kiedy ów stał się niewygodny! Codziennie rano, od miesiąca, ukazywał się tam artykuł dokonujący egzekucji na Barroux, niszczący Vignona, przygotowujący powrót triumfatora, którego nazwiska nie wymieniano. Poza tym, w cieniu, ruszyły do walki miliony Duvillarda, kreatury barona, tak liczne, maszerowały niby armia do walki o dobrą sprawę, nie mówiąc już o Dutheilu, który był jego dobozem, „a także o Chaigneux, który odrabiał brudne roboty, kiedy nikt już nie chciał się ich podjąć. I tak oto zwycięski Monferrand chciał zacząć nieomylnym chwytem, od zduszenia skandalicznej i żenującej afery Afrykańskich Kolei Żelaznych, doprowadzając do mianowania komisji śledczej, która miała ją pogrzebać. Dutheil zrobił ważną minę.

— A jakby pan chciał, mój drogi? W ciężkich chwilach, gdy społeczeństwo jest zagrożone, występują ludzie silni, politycy, i sami narzucają się innym... Monferrand nie potrzebował naszej pomocy, sytuacja absolutnie wymagała jego obecności u steru. To jedyna ręka, która może nas uratować.

— Wiem — rzekł szyderczo Massot. — Zapewniano mnie nawet, że jeśli udało się wszystko tak sklecić, aby dekret ukazał się dzisiaj rano, zrobiono to w celu uspokojenia przysięgłych i sądu, w celu ośmielenia ich, aby wydali wyrok śmierci dzisiaj wieczór, w chwili gdy już Monferrand będzie stał za nimi, wspierając ich swoją mocną ręką.

— Tak, drogi panie, wyrok śmierci oznacza w tej chwili ocalenie narodu i trzeba, aby ci, na których spoczywa troska o nasze bezpieczeństwo społeczne, nie zapominali, że rząd jest z nimi i potrafi ich w potrzebie obronić.

Przerwał im wdzięczny śmiech księżny.

— Och, popatrzcie w tamtą stronę, czy to nie Sylwiana przyszła właśnie i usiadła obok pana Fonsègue?

— Gabinet Sylwiany — mruknął żartobliwie Massot. — O, nie będzie nudno u Dauvergne'a, jeżeli pokuma się on z aktoreczkami!

Wilhelm i Piotr słuchali i słyszeli nawet wbrew woli. Pierwszego z nich zwłaszcza te światowe plotki, te niedyskrecje polityczne przyprawiały o skurcz serca. Salvat skazany na śmierć,

zanim się jeszcze tu zjawił! Salvat miał płacić za błędy wszystkich, był tylko dobrą okazją, aby zatriumfować mogła zgraja lubieżników i karierowiczów. A

przy tym, co za śmietnik, jaka zgnilizna społeczna: przekupstwo, rodzina rozpręga się w brudnych dramatach, politykę sprowadzono do zdradzieckiej walki jednostek, władzę wydano na łup spryciarzy i bezwstydników! Czyż wszystko nie zmierzało do ruiny? Czy ta uroczyta rozprawa, zaaranżowana przez ludzką sprawiedliwość, nie była szyderczą parodią, skoro w istocie byli tutaj tylko szczęśliwcy, uprzywilejowani, broniący walącego się budynku, który dawał im schronienie; chcieli oni użyć całej potęgi, jaką jeszcze rozporządzali, aby zmiażdżyć muchę, biedaka o mętnej głowie, którego do zbrodni pchnęło gwałtowne i mgliste marzenie o innej sprawiedliwości, wyższej i mścicielskiej.

Lecz nagle wszystkich przebiegło drżenie, wybiła dwunasta, wchodzili przysięgli i sadowili się. na swojej ławie bezładnie jak stado. Twarze dobrodusze, ludzie otyli, odświętnie wystrojeni, paru chudych, przebiegłych, o bystrych oczach, z brodami lub bez zarostu, ale wszyscy przedstawiali się szaro, niepozornie, prawie niewidoczni w cieniu zalewającym tę stronę sali. Następnie wszedł sąd, a na jego czele pan de Larombardière, jeden z wiceprzewodniczących sądu apelacyjnego, któremu przypadł niebezpieczny zaszczyt przewodniczenia w tym dniu; starał się on podkreślić jeszcze majestat swojej długiej, chudej i bardzo białej twarzy i wyglądał tym surowiej, że po obu stronach miał dwóch niskich, rumianych asesorów, bruneta i blondyna. Na miejscu przeznaczonym dla oskarżycieli publicznych zasiadł pan Lehmann, jeden z najbardziej znanych i najrzeczniejszych wiceprokuratorów, Alzarczyk o szerokich barkach i chytrych oczach; obecność jego świadczyła, jak wielkie znaczenie przywiązywano do tej sprawy. W końcu, wśród stukotu żandarmskich butów, wprowadzono Salvata; wzbudził on tak namiętną ciekawość, że cała sala powstała z miejsc. Miał jeszcze na sobie czapkę i obszerne palto, o które wystarał mu się Wiktor, i wszyscy z wielkim zdziwieniem przyglądali się tej dużej twarzy, wychudłej, łagodnej i smutnej, z rzadkimi, siwiejącymi już rudymi włosami, o pięknych, tkliwych, niebieskich oczach, marzycielskich i płomiennych. Spojrzał na publiczność, uśmiechnął się do kogoś, kogo poznał, zapewne do Wiktora lub do Wilhelma. Potem siedział już bez ruchu.

Przewodniczący przeczekał, aż sala się uciszy, po czym nastąpiły formalności, od których rozpoczyna się każda rozprawa. Następnie jeden z woźnych piskliwym głosem odczytał niezmiernie długi akt oskarżenia. Wygląd sali zmienił się, słuchano z pewną niecierpliwością i znużeniem, dzienniki bowiem już od miesięcy opowiadały tę historię. Teraz nie było już ani jednego wolnego miejsca, jedynie przed trybunałem zostało trochę przestrzeni, gdzie miano przesłuchiwać świadków. To niezwykle zbiegowisko pstrzyło się jasnymi toaletami pań i czarnymi togami adwokatów, wśród których ginęły trzy czerwone togi sędziów na podium tak niskim, że z trudem można było dojrzeć ponad innymi głowami długą twarz przewodniczącego. Wiele osób z zaciekawieniem patrzyło na przysięgłych, usiłując rozszyfrować te nijakie twarze, skąpane w cieniu. Inni nie spuszczaali oskarżonego z oczu, dziwili się, że ma tak obojętny i zmęczony wyraz twarzy i że zaledwie odpowiada na pytania, jakie półgłosem zadawał mu jego obrońca, jak mówiono — utalentowany, młody człowiek, z twarzą czujną i ruchliwą, który niecierpliwie czekał na sposobność okrycia się sławą. I w miarę jak rozwijał

się akt oskarżenia, coraz większą ciekawość budził stół, na którym złożono dowody rzeczowe, a więc wszelkiego rodzaju szczątki, jak odłamki z bramy wjazdowej pałacu Duvillardów, gruz opadły ze sklepienia, rozerwany siłą eksplozji bruk i inne poczerwiałe resztki. Serca roztkliwiały się widokiem pudła na kapelusze, które pozostało nietknięte, a przede wszystkim tym czymś, co mieściło się w słoju ze spirytusem, czymś białym i niewyraźnym, małą dłonią owej dziewczynki na posyłki, oderwaną od napięstka, którą w ten sposób zakonserwowano, nie można bowiem było ani zachować, ani przynieść na ten stół nieszczęsnego ciała z brzuchem rozdartym przez bombę.

Wreszcie Salvat wstał, przewodniczący rozpoczął przesłuchiwanie. I kontrast wystąpił z tragiczną wyrazistością: z jednej strony przysięgli w anonimowym cieniu, z opinią już ukształtowaną pod naciskiem publicznej trwogi, zebrani tam, aby go skazać, z drugiej — oskarżony w pełnym, jaskrawym świetle, sam i żalony wśród czterech żandarmów, obciążony zbrodniami całego ludu. Pan de Larombardière od razu przybrał wobec niego ton, w którym czuło się pogardę i obrzydzenie. Nie brakło mu uczciwości, był jednym z ostatnich przedstawicieli dawnej skrupulatnej i prawej palestry, lecz ani trochę nie rozumiał nowych czasów, traktował oskarżonych rygorystycznie, z surowością biblijnego boga. I drobny defekt, zatruwający mu życie, lekkie seplenienie, które w jego przekonaniu było jedyną przeszkodą, aby mógł być w adwokaturze rozwinąć swój genialny talent oratorski, uczynił go w końcu człowiekiem ponurym i bezwzględny, niezdolnym do rozumnej łagodności. Gdy swoim drżącym, piskliwym głosem zadał pierwsze pytania, pojawiły się uśmiechy, których on się domyślał. Ów głos, tak zabawny, zabijał resztki dostojności, jakie jeszcze pozostały w tym przewodzie sądowym, gdzie walczone o życie człowieka, w tej sali nabitej gapiami, publika, która powoli zaczynała dusić się i pocić, wachlowała się i żartowała. Salvat na wstępne pytania odpowiadał ze zmęczonym i uprzejmym wyrazem twarzy. Gdy przewodniczący czynił, co mógł, aby ukazać go w jak najgorszym świetle, surowo wyliczał mu błędy jego nędznej młodości, wyolbrzymiał winy, potępiał życie pod jednym dachem pani Teodorowej i małej Celine nazywając je haniebnym, Salvat spokojnie przytakiwał lub przeczył, jak człowiek, który nie ma nic do ukrywania, który bierze pełną odpowiedzialność za swoje postępowanie. Złożył kompletne zeznania, powtórzył je z wielkim spokojem, nie zmieniając w nich ani słowa, wyjaśniał, że wybrał pałac Duvillardów jako cel dla bomby, bo chciał nadać swojemu postępkowi właściwe znaczenie, uczynić je wezwaniem do bogaczy, ludzi pieniądza, którzy w skandaliczny sposób dorobili się na kradzieży i kłamstwie, aby zwrócili część wspólnego majątku biednym, robotnikom, ich dzieciom i żonom, które umierają z głodu. W tym jedynie miejscu ożywił się, wszystkie przebyte nędze znów gorączkowo zakłębiły się w jego zamaconym umyśle samouka, gdzie bezładnie nagromadziły się pretensje, teorie, fanatyczne idee absolutnej sprawiedliwości i powszechnego szczęścia. I w tej chwili ukazał się takim, jakim był w rzeczywistości, uczuciowcem, marzycielem, płonącym egzaltacją cierpienia, skromnym, a pysznym i upartym, pragnącym przebudować świat wedle swoich sekciarskich teorii.

— Ale pan uciekł — zawołał przewodniczący swym głosem grzechotki — niech pan nie opowiada, że poświęcił pan życie dla sprawy i że był pan gotów na męczeństwo.

Salvat nie mógł sobie darować, że w Lasku Bulońskim uległ panice, głuchej wściekłości człowieka ściganego, szczonego, który nie chce dać się schwytać. I zachnął się:

— Nie boję się śmierci, dam tego dowody... Gdyby wszyscy mieli taką odwagę jak ja, jutro wasze zgniłe społeczeństwo znikłoby z powierzchni ziemi i wreszcie zapanowałoby szczęście.

Dalej śledztwo szeroko rozwodziło się na temat samej fabrykacji bomby. Przewodniczący słusznie zauważył, że natrafiano tutaj na jedyny ciemny punkt sprawy.

— A zatem upiera się pan przy twierdzeniu, że proch użyty przez pana jest dynamitem? Usłyszysz pan zaraz ekspertów, którzy co prawda nie są z sobą zgodni, ale wszyscy stwierdzili, że użyto jakiegoś innego środka wybuchowego, lecz nie umieją go zidentyfikować... Proszę więc naprawdę nic nie ukrywać, skoro chlubi się pan, że powiedział wszystko.

Salvat nagle się uspokoił, odpowiadał już tylko monosylabami, z największą ostrożnością.

— Proszę, szukajcie, skoro mi nie wierzycie... Zrobiłem bombę bez niczyjej pomocy i w okolicznościach, o których mówiłem już wiele razy... Nie spodziewa się pan chyba, że zacznę wymieniać nazwiska, że skompromituję moich kolegów.

I nie dodał już nic do tego oświadczenia. Pod koniec dopiero ogarnęło go ogromne podniecenie, gdy przewodniczący wspomniał nieszczęsną ofiarę, dziewczynkę na posyłki, tak miłą, jasnowłosą i ładną, którą okrutne przeznaczenie sprowadziło na miejsce wypadku, aby poniosła tam straszną śmierć.

— Uderzył pan w jedną ze swoich, bo to była robotnica, biedna dziewczynka, która zarabiając parę groszy pomagała babce utrzymać się przy życiu.

Salvatowi głos uwiązł w gardle.

— Tak, to jedyna rzecz, której żałuję... Ma się rozumieć, że moja bomba nie była przeznaczona dla niej, i niech wszyscy robotnicy, wszyscy przymierający głodem pamiętają, że ona oddała życie, jak ja je oddam!

Na tym, wśród głębokiego poruszenia, skończyło się przesłuchanie. Piotr czuł, że Wilhelm drżał obok niego, gdy oskarżony tak spokojnie upierał się, że nic nie powie na temat zastosowanego przez siebie środka wybuchowego, gdy brał na siebie całkowitą odpowiedzialność za czyn, za który miał zapłacić życiem. I Wilhelm mimowolnym ruchem odwrócił się, a wtedy wzrok jego padł na małego Wiktora Mathis, który wciąż stał nieruchomo, z łokciami na poręczy, z twarzą wspartą na rękach, i słuchał namiętnie, pograżony w milczeniu. Ale twarz zbladła mu jeszcze mocniej, oczy zapłonęły jak dwie szczeliny buchające mścicielskim pożarem, którego płomienie już nie miały zagasnąć. W sali na parę minut zapanował gwar.

— Ten Salvat przedstawia się bardzo interesująco — oświadczyła podniecona księżna — ma takie tkliwe wejrzenie... Ach, nie, mój drogi panie deputowany, niech pan nic złego o nim nie mówi. Pan wie, że mam duszę anarchistyczną!

— Ja nic złego o nim nie mówię — odrzekł wesoło Dutheil. — Ba, nawet nasz przyjaciel Amadiou nie ma prawa źle o nim mówić, bo, jak pani wiadomo, ta sprawa wyniosła go na szczyty... Nigdy jeszcze tyle o nim nie mówiono, a *on* to uwielbia. Jest najbardziej światowym, najznakomitszym z sędziów śledczych, może robić, co chce, i zostać, czym zechce.

Massot ujął sytuację z właściwym sobie ironicznym cynizmem.

— Oczywiście, gdy idzie o anarchię, gra idzie na całego... Tak więc mamy bombę, która załatwi pomyślnie interesy wielu zuchów spośród moich znajomych!... Czy państwo sądzą, że mój patron Fonsègue, który w tej chwili tak nadskakuje swojej sąsiadce, ma powody do skarg? Albo może myślicie państwo, że imćpan Sanier, tak wygodnie usadowiony za przewodniczącym, chociaż byłby bardziej na miejscu pomiędzy czterema żandarmami, nie powinien ofiarować Salvatowi grubej świecy z wdzięczności za ohydny reklamę, jaką wyběbnił na grzbiecie tego nieszczęśliwca?... Nie mówię już o politykach, o finansistach i o tych, co łowią ryby w mętnej wodzie...

Dutheil przerwał mu:

— No, dobrze, ale wydaje mi się, że pan również nieźle wyszedł na tej sprawie... Pański felieton o małej Celinie doskonale się panu opłacił. Istotnie Massot wpadł na genialny pomysł, aby odszukać panią Teodorową i dziewczynkę, a potem opisał swoją wizytę w „Głobie” z wszelkimi intymnymi a wzruszającymi szczegółami. Artykuł odniósł ogromny sukces, ładne odpowiedzi Celiny na pytania dotyczące jej uwięzionego tatusia rozczuliły wszystkie wrażliwe dusze, tak że wystrojone damy odwiedzały te dwie żalotne istoty, zewsząd napływały jałmużny i bardzo osobliwe współczucie budziło się dla dziewczynki, nawet wśród tych osób, które domagały się głowy jej ojca.

— Ależ ja nie uskarżam się na moje małe beneficjum — odrzekł dziennikarz.

— Każdy zarabia, jak może, jak może.

W tej chwili Rozamunda zauważyła siedzących z tyłu Wilhelma i Piotra i widok tego ostatniego w cywilnym ubraniu tak ją zdziwił, że nie śmiała do nich przemówić. Pochyliła się, zapewne dzieląc się wrażeniem z Dutheilem i Massotem, gdyż obaj się odwrócili, ale przez dyskrecję oni również udali, że nic szczególnego nie dostrzegli, że nic nie wiedzą. Upał stawał się nieznośny, jakaś dama zemdląła. I znowu sepleniący głos przewodniczącego narzucił wszystkim milczenie.

Salvat stał z jakimiś papierami w ręce. Z trudnością wythumaczył, że pragnie uzupełnić zeznania odczytując deklarację, którą uprzednio przygotował i w której wyjaśnia motywy swojego zamachu. Zaskoczony, w głębi duszy oburzony, pan de Larombardière wahał się, chciał przeszkodzić tej lekturze; potem, uświadomiwszy sobie, że nie wolno mu zamykać ust oskarżonemu, udzielił mu zezwolenia gestem jednocześnie wzgardliwym i poirytowanym. Salvat zaczął więc czytać jak pilny uczeń, który bardzo się stara, jąkał się, zacinał, niekiedy akcentował z niezwykłą siłą wyrażenia, które widocznie uważał za szczególnie trafne. Był to okrzyk cierpienia i buntu, jaki wydawało już tylu wydziedziczonych. Salvat mówił o straszliwej nędzy warstw, najniższych, o robotniku nie mogącym wyżyć z pracy, o całej klasie społecznej, która, chociaż najliczniejsza i najwartościowsza, umiera jednak z głodu, gdy jednocześnie uprzywilejowani, opływając w bogactwa, tarzając się w dobrobycie, odmawiają nawet okrucichów ze swego stołu, nie chcą nic oddać

ze zrabowanego dobra. Trzeba więc odebrać im wszystko, wyrwać ich z tego, samolubstwa, oznajmić im przy huku bomb, że dzień sprawiedliwości nadszedł. Nieszczęśnik rzucił słowo „sprawiedliwość” donośnym głosem, który wypełnił całą salę. Ale najbardziej wzruszył wszystkich, gdy złożył w ofierze swoje życie, zapewniając przysięgłych, że oczekuje od nich tylko śmierci, i gdy zakończył prorocstwem, że z jego krwi narodzą się nowi męczennicy. Mogą go posłać na szafot, on wiedział, że jego przykład zbudzi męstwo w jego towarzyszach. Po nim przyjdzie inny mściciel i jeszcze inny, coraz inni, aż stare, zgniłe społeczeństwo rozpadnie się, aby zrobić miejsce społeczeństwu szczęścia i sprawiedliwości, którego on, Salvat, jest apostołem.

Dwukrotnie przewodniczący, zniecierpliwiony, usiłował mu przerwać. Ale on czytał dalej z niezachwianą pewnością jasnowidza, który boi się, że źle wypowie ważne zdania. Na pewno obmyślał sobie to pismo, od kiedy znalazł się w więzieniu. Był to ostateczny akt jego samobójstwa, oddawał tu życie za chwałę, że umiera dla dobra ludzkości. I gdy skończył, wrócił na swoje miejsce pomiędzy żandarmami, z błyszczącymi oczyma, z rumieńcami na policzkach, z twarzą wyrażającą wielką radość wewnętrzną.

Natychmiast przewodniczący, chcąc zatrzeć wywołane przez Salvata wrażenie, owo głuche, przygnębiające uczucie rozrzewnienia i strachu, przeszedł do przesłuchiwania świadków. Była to nie kończąca się procesja, niezbyt interesująca, bo nikt nie miał żadnych rewelacji do zakomunikowania. Uwagę zwróciły rzeczowe zeznania fabrykanta Grandidiera, który swego czasu zwolnić musiał Salvata z pracy za uprawianie propagandy anarchistycznej. Szwagier oskarżonego, mechanik Toussaint, okazał się również zacnym człowiekiem; nie kłamiąc przedstawił sprawę w świetle korzystnym dla oskarżonego. Natomiast długi spór wywiązał się przede wszystkim wśród ekspertów, którzy nie zdołali się porozumieć wobec publiczności, jak poprzednio nie mogli dojść do zgody w swoich raportach; o ile bowiem wszyscy stwierdzali, że zastosowany tutaj proch nie jest dynamitem, o tyle co do jego prawdziwej natury każdy z nich wysuwał jak najdziwaczniejsze i najbardziej sprzeczne przypuszczenia. Odczytano następnie opinię znakomitego uczonego Bertheroy, który ukazywał rzecz we właściwym świetle, dochodząc do wniosku, że ma się tutaj do czynienia z nowym środkiem wybuchowym, o fantastycznej mocy, ale © nieznaną formułę... Agent Mondésir i ko-

misarz Dupot z kolei zdali sprawę z obławy na człowieka oraz z efektownego aresztowania go w Lasku Bulońskim. Mondésir obudził wesołość wśród obecnych przez żołnierskie dowcipy, którymi upstrzył swoją relację. Natomiast babka zabitej dziewczynki wywołała dreszcz smutku, buntu i współczucia; była to biedna, wychudła, przygarbiona staruszka, którą prokurator bezlitośnie ściągnął tutaj; zastraszona, płakała nieustannie, nie rozumiała, o co ją pytają. A potem przewijali się już tylko świadkowie obrony, nie kończąca się procesja majstrów fabrycznych, kolegów, czeladników, którzy stawili się wszyscy, by świadczyć, że Salvat jest zacnym człowiekiem, inteligentnym i dzielnym pracownikiem, że nie pił, bardzo kochał córkę, że nigdy nie był brutalny ani złośliwy.

Gdy zakończono przesłuchiwanie świadków, była już godzina czwarta. W rozgrzanej sali gorączkowe znużenie barwiło krwią policzki, a jakiś rudy pył zaciemniał szarzące światło, które padało z okien. Kobiety wachlowały się, mężczyźni ocierali czoła. Ale roznamiętnienie widowiskiem zapalało we wszystkich oczach błyski okrutnej radości. I nikt nie ruszał się z miejsca.

— Ach — westchnęła Rozamunda — a ja myślałam, że wstąpię o piątej godzinie do mojej przyjaciółki na filiżankę herbaty. Umrę z głodu!

— Posiedzimy tutaj co najmniej do siódmej — rzekł Massot. — Nie mogę zaofiarować się, że pójdę dla pani po bułeczkę, bo nie pozwolą mi wrócić.

Dutheil, który wzruszał ramionami, gdy Salvat odczytywał swoją deklarację, rzekł:

— Wszystko, co powiedział, jest bardzo naiwne. Trzeba być durniem, żeby za to umierać! Ależ zawsze będą bogaci i biedni!

I jest rzeczą całkiem pewną, że kiedy człowiek jest biedny, jedynym jego pragnieniem jest wzbogacić się... Znalazł się dzisiaj na tej ławie, bo mu się nie powiodło, i to jest wszystko!

Piotr, ogromnie przejęty, niespokojny był o brata, który blady, wzburzony, siedział obok niego w milczeniu. Poszukał jego ręki i uścisnął ją ukradkiem.

Potem rzekł po cichu:

— Czujesz się niedobrze? Czy chcesz, abyśmy stąd wyszli? Ale Wilhelm odpowiedział dyskretnym i serdecznym uściskiem

ręki. Czuje się dobrze i pełen najgłębszego oburzenia, pragnie zostać do końca.

Głos zabrał prokurator generalny Lehmann, a słowa jego były wymowne i surowe. Mimo tuszy i wyraźnego typu żydowskiego znany był ze swoich stosunków we wszystkich obozach politycznych i ze zręczności, dzięki której zyskiwał przyjaźń tych wszystkich, którzy byli przy władzy; tym tłumaczyła się jego szybka kariera i stałe względy, jakimi go otaczano. Wszyscy wiedzieli, że reprezentuje interesy państwa; istotnie w pierwszych zdaniach uczynił aluzję do nowego rządu utworzonego rankiem tego dnia, do mocnego człowieka, którego obowiązkiem jest uspokoić dobrych i wprawić w drżenie złych. Następnie z niezwykłą gwałtownością napadł na nieszczęsnego Salvata; raz jeszcze omówił całe zdarzenie, ukazał go jako bandytę, urodzonego zbrodniarza, potwora, który musiał w końcu dojść do tego najpodlejszego z zamachów. Następnie zaatakował anarchizm; anarchiści byli zgrają włóczęgów i złodziei. Okazało się podczas grabieży w pałacu de Harth, kim są ci bandyci głoszący się apostołami swojej doktryny. Oto do czego doszli wprowadzając teorie w czyn: okradają i zanieczyszczają domy, zanim rozpoczną rabunki na wielką skalę i zbiorowe masakry. Przez prawie dwie godziny mówił tak, nie zważając na prawdę i logikę, byle tylko podzielać na wyobraźnię, wyzyskać lęk, jaki padł na Paryż; niby krwawym sztandarem potrzasał tą biedną drobną ofiarą, ładną dziewczynką, której bladą rączkę w słoju ze spirytusem ukazywał gestem współczucia i grozy, budząc przerażenie wśród zebranych. I zakończył tak, jak zaczął, dodając odwagi przysięgłym, mówiąc im, że powinni spełnić obowiązek i skazać mordercę, teraz, kiedy władza jest mocno zdecydowana nie ugiąć się przed pogroźkami. Z kolei zabrał głos młody adwokat, którego obarczono obroną. To, co miał do powiedzenia, powiedział rzeczywiście niezwykle mądrze i jasno. Należał do innej szkoły, mówił prosto, był opanowany, a namiętny wówczas tylko, gdy

szło o prawdę. Zresztą wystarczyło mu przedstawić w prawdziwym świetle dzieje Salvata, ukazać go w okresie dzieciństwa, pod naciskiem konieczności społecznych, wyjaśnić jego ostatni czyn tym wszystkim, co wycierpiał, wszystkim, co wylęło się w jego głowie marzyciela.

Czyż jego zbrodnia nie była zbrodnią wszystkich? Któż nie czuł się w pewnej mierze odpowiedzialny za tę bombę, jaką biedny robotnik, umierający z głodu, rzucił na próg domu bogacza, którego imię oznaczało dla niego niesprawiedliwy podział dóbr, tyle posiadania z jednej strony, tyle prywatności z drugiej? W naszych burzliwych czasach, pośród palących zagadnień, które znowu stoją przed nami, gdy jeden spośród nas traci głowę, chce gwałtem przyspieszyć szczęście, czyż mamy go unicestwić w imię sprawiedliwości, skoro nikt z nas nie mógłby przysiąc, że nie przyczynił się do jego szaleństwa? Obszernie rozwiódł się nad chwilą, historyczną, w jakiej rozegrał się ten dramat, wśród tylu skandali, tylu bankructw, gdy nowy świat w takim trudzie rodził się ze starego, w straszliwym paroksyzmie cierpienia i walki. I zakończył błagając przysięgłych, aby okazali się ludzcy, aby nie ugięli się pod naporem przerażonych namiętności, aby wprowadzili pokój pomiędzy klasy społeczne przez mądry wyrok zamiast przedłużać wojnę, skazując nędzarzy na nowe męczeństwo, dawać powód do nowej zemsty.

Minęła szósta, gdy pan de Larombardière przeczytał sądowi przysięgłych swoim ostrym i śmiesznym głosikiem długą listę postawionych mu pytań. Następnie sąd wyszedł, nieodgadnieni przysięgli udali się na górę do sali narad, oskarżonego zaś wyprowadzono. Wśród audytorium panowało teraz gwarne wyczekiwanie, wrzawa gorączkowej niecierpliwości. Panie znów mdlały. Trzeba było wynieść jakiegoś pana, który nie mógł znieść straszego upału. Inni zawzięli się, nikt więcej nie opuścił miejsca.

— To nie potrwa długo — rzekł Massot. — Przysięgli wszyscy bez wyjątku przynieśli wyrok w kieszeni. Obserwowałem ich, gdy młody obrońca mówił im te rozumne rzeczy. Zaledwie było widać te ich pocziwe głowy, drzemające, skapane w cieniu. Chciałbym wiedzieć, co dzieje się w ich czaszkach!

— A pani jest głodna? — zwrócił się Dutheil do księżny.

— Ach, umieram!... Ale przecież nie starczy mi czasu, aby wpaść do domu. Zaprowadzi mnie pan gdziekolwiek na ciastko!... Ale właściwie to drobiazg, bo ogromnie mnie pasjonuje gra o życie tego człowieka, które zależy od ich „tak” lub „nie”!

Piotr znów ujął rękę Wilhelma widząc, że jest rozgorączkowany i zrozpaczony. Ale żaden z nich nie przemówił, obaj pogrążeni byli w niezmiernym przygnębieniu, płynącym z głębokich, niezliczonych przyczyn, których oni sami nie potrafiliby dokładnie określić. Wydawało im się, że cała nędza ludzka i własna ich nędza, ich uczucia, nadzieje, cierpienia płaczą tu, w tej gwarnej sali, tętniącej dramatem, jaki egoizm jednych i tchórzostwo drugich miały rozstrzygnąć. Powoli zapadał zmierzch, ale widocznie uważano, że nie warto zapalać świeczników, gdyż wyrok wkrótce zostanie wydany; i w sali było już tylko zamierające światło, wielki szarawy cień, w którym nurzał się gęsty, niewyraźny tłum. Tam, za trybunałem, panie w jasnych toaletach zdawały się bladymi zjawami o zachłannych oczach, a togi licznych adwokatów tworzyły wielkie plamy ciemności, która z wolna zagarniała całą przestrzeń. Bitumowy Chrystus pociemniał, a wreszcie

pozostała już tylko jedna biała plama, jaskrawa plama popiersia Republiki, jak zlodowaciała głowa śmierci wychylająca się z półmroku.

— O — rzekł Massot — dobrze wiedziałem, że to nie potrwa długo.

Istotnie, po piętnastominutowej zaledwie naradzie przysięgli wracali, szli szeregiem z wielkim stukotem obuwia, wzdłuż dębowych ław. Następnie ukazał się sąd. Zdwojone napięcie ogarnęło salę, przebiegło ją jedno wielkie tchnienie, jak gdyby wicher trwogi zachwiał głowami. Niektórzy powstali, inni wydawali mimowolne lekkie okrzyki. A przewodniczący sądu przysięgłych, tęgi jegomość z czerwoną, dużą twarzą, musiał chwilę przeczekać, zanim mógł przemówić.

Oстрыm głosem, z lekkim jankaniem się, oświadczył:

— Na mój honor i sumienie, w obliczu Boga i ludzi, odpowiedź sądu przysięgłych brzmi na pytanie odnośnie morderstwa: „tak”, większością głosów.

Panowała już niemal ciemność, gdy znowu wprowadzono Salvata. Kiedy z kolei stanął naprzeciw przysięgłych, niewyraźny w cieniu, na twarz padł mu z okna ostatni promień słońca. Sędziów nie było już widać, czerwone ich togi poczerniały. Przedziwna była twarz Salvata, sucha, wychudła, z marzącymi oczyma, gdy słuchał, jak pisarz sądowy odczytuje mu wyrok przysięgłych. Zrozumiał go dopiero, gdy znów zapadło milczenie i nie było wzmianki o okolicznościach łagodzących. Fizjonomia jego, która wciąż miała w sobie jakiś dziecinny wyraz, rozjaśniła się.

— A więc to śmierć. Dziękuję wam, panowie.

Potem znów odwrócił się do publiczności, starając się odnaleźć w głębiach gęstniejących ciemności twarze przyjaciół, o których obecności wiedział; i tym razem Wilhelm wyraźnie uczuł, że Salvat go poznał, że raz jeszcze posyła mu serdeczne pozdrowienie, całą wdzięczność, jaką zachował dla niego za kawałek chleba dany mu w dniach głodu. Zapewne pozdrowił również Wiktora Mathis, gdyż Wilhelm obejrzawszy się znów zobaczył młodzieńca stojącego nieruchomo, ze źrenicami rozszerzonymi i utkwionymi w jeden punkt, ze strasznym grymasem na ustach.

Cała reszta — ostatnie pytanie, narada sądu, ogłoszenie wyroku, wszystko to zginęło w podnieceniu, jakie opanowało salę. Nieświadomie rodziło się trochę litości, i w zadowoleniu, z jakim spotkał się wyrok śmierci, było jakieś osłupienie.

Salvat, skazaniec, gwałtownie wstał. A gdy strażnicy wyprowadzali go, grzmiącym głosem zawołał:

— Niech żyje anarchia!

Okrzyk ten nie oburzył nikogo. Publiczność rozchodziła się w jakimś przykrym przygnębieniu, jak gdyby nadmierne zmęczenie strawiło namiętności. I dobrze było odetchnąć świeżym powietrzem, wyrwać się z tego koszmaru.

W sali kularowej Wilhelm i Piotr minęli Dutheila i księżnę, których zatrzymał generał de Bozonnet, rozmawiający właśnie z panem Fonsègue. Wszyscy czworo mówili bardzo głośno, skarżyli się na upał, na głód i zgodnie stwierdzali, że ostatecznie sprawa nie była zbyt interesująca. Zresztą wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jak mówił Fonsègue, wyrok śmierci na Salvata był koniecznością polityczną i społeczną.

Na Pont-Neuf Wilhelm wsparł się na chwilę łokciami o balustradę, a Piotr stojąc obok również patrzył na wielki, szary nurt Sekwany, w której płonęły odbicia pierwszych latarni gazowych. Od rzeki wstawał chłodny powiew, była to urocza chwila, kiedy cicha noc bierze w posiadanie Paryż, który łagodnie jej ulega. Dwaj bracia w milczeniu wdychali to ukojenie, tę pociechę. Piotr odnajdował swoją ranę, obietnicę, jaką musiał być złożyć, że powróci na Montmartre mimo tortury, jaką go tam czekała. Wilhelm znów czuł, jak odradza się jego podejrzenie, niepokój, jakim napełnił go widok Marii, udreźzonej i zmienionej przez nowe uczucie, o którym sama jeszcze nie wiedziała. Czy więc tych dwóch ludzi, którzy tak bardzo się kochali, czekały nowe cierpienia, nieustanne walki i przeszkody na drodze do szczęścia? I dusze ich zaczynały znowu krwawić pod ciężarem ludzkiego smutku, jakim napełniła ich komedia sprawiedliwości i ów nieszczęsny, który głową miał zapłacić za zbrodnie wszystkich.

Gdy znaleźli się na bulwarze, Wilhelm zobaczył, że przed nimi idzie, samotny w cieniu, mały Wiktor Mathis. Zatrzymał go, zaczął mówić mu coś o matce. Ale młodzieniec nie słyszał; wąskimi wargami, głosem suchym i tnącym jak nóż powtarzał:

— Ach, oni pragną krwi!... Mogą mu uciąć głowę, ale on i tak zostanie pomszczony.

V

Na górze, w pracowni zazwyczaj tak jasnej i wesołej, dni, które teraz nadeszły, upływały ponuro, jak gdyby obszerna izba wypełniła się smutkiem i milczeniem. Tego dnia wszyscy trzej dorośli synowie Wilhelma byli poza domem; Tomasz rankiem wyszedł do fabryki, aby zająć się swoim motorkiem, Franciszek w ogóle nie opuszczał École Normale, gdzie bez chwili wytchnienia przygotowywał się do egzaminów; Antoni pracował u Jahana, gdzie mógł radować się widokiem swojej małej przyjaciółki Lizy, budzącej się do życia. I Wilhelm miał przy sobie tylko Babkę, jak zawsze usadowioną pod oknem, zajęta jakimś szyciem, Maria bowiem, krzątając się po całym domu, zjawiała się w pracowni tylko w tych godzinach, gdy obecny był i Piotr. W przygnębieniu ojca wszyscy widzieli tylko głuchy gniew, rozpaczliwy bunt, o jaki przyprawiało go skazanie Salvata na śmierć. Z Pałacu Sprawiedliwości wrócił wzburzony, powiedział, że jeżeli dojdzie do egzekucji tego nieszczęśnika, będzie to mord społeczny, prowokowanie wojny klas; i wszyscy bez dyskusji ugięli się przed bolesną gwałtownością tego okrzyku. Pełni szacunku, pozostawiali ojca myślom, w których tonał godzinami, milczący, błady, z błędnymi oczyma. Jego palenisko chemiczne było zimne, od rana do wieczora w nieskończoność przeglądał plany i akta swego wynalazku, nowego prochu i straszliwej maszyny wojennej, z której poprzednio pragnął być uczynić podarunek Francji, aby panując nad narodami mogła pewnego dnia narzucić światu zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości. Ale w długich godzinach, jakie w ten sposób trawił nad rozrzuconymi papierami przy swoim stole, czasem nawet w końcu przestając je widzieć, ze wzrokiem utkwionym w dali, fala nie sprecyzowanych myśli przechodziła mu przez głowę; może zaczynał wątpić w celowość tego projektu, w obawie, aby pragnąc obdarzyć ludy pokojem nie pchnął ich do

eksterminacyjnej walki bez kresu. Ach, ten ogromny Paryż, który jemu naprawdę wydawał się mózgiem świata, mającym zrodzić przyszłość, wciąż jeszcze był ohydną widownią głupoty, hańby, niesprawiedliwości! Czy istotnie dojrzał już do pracy nad zbawieniem ludzkości, jaką on, Wilhelm, chciał mu powierzyć?! I gdy zabierał się na nowo do czytania i sprawdzania formuł, nie czuł już w sobie dawnego zapału, podejmował swój plan tylko przez wzgląd na rychłe małżeństwo, bo wydawało mu się, że wszelkie sprawy są od zbyt dawna przesądzone, aby burzył teraz swoje życie chcąc je odmienić.

Jego małżeństwo! Czyż nie ta myśl dręczyła Wilhelma, nurtowała go jeszcze głębiej niż jego praca uczonego, niż jego gorliwość obywatela anarchisty? Pod wszystkimi świadomymi czynnościami odbywała się w nim jeszcze jedna, której nie wyznawał nawet samemu sobie i która budziła w nim śmiertelny lęk. Codziennie powtarzał sobie, że gdy ożeni się z Marią, wyjawি tajemnicę wynalazku ministrowi wojny, uczyni młodą żonę uczestniczką swojej sławy. Ożeni się z Marią! Ożeni się z Marią! Ta myśl napełniała go za każdym razem płomienną gorączką i głuchym niepokojem. Był teraz milczący, znikła jego spokojna wesołość, bo wyczuwał, że od Marii emanuje jakieś nowe, nie znane mu dotąd życie. Na pewno była inna, odgadywał, że staje się coraz bardziej obca i daleka. A gdy przychodził Piotr, Wilhelm obserwował ich oboje. Piotr zjawiał się rzadko, był zakłopotany i także już nie ten sam. Poza tym Maria w te dni, gdy przychodził, wyglądała jak przetworzona, w dom zdawała się wstępować

inna dusza. Jednakże nie działo się pomiędzy nimi nic, co nie byłoby niewinne i braterskie. Wydawali się po prostu dobrymi kolegami, nie muskały się nawet ich ręce, rozmawiali bez rumieńca na twarzy. Ale mimo ich woli emanowało z nich, jakieś promieniowanie, jakaś vibracja, tchnienie subtelniejsze niż światło lub zapach. Po kilku dniach Wilhelm, udręczony, z krwawiącym sercem, nie mógł już dłużej wątpić. Nie miał żadnych dowodów, ale był pewny, że te dzieci, jak je po ojcowsku był nazwał, uwielbiały się wzajemnie.

Pewnego ranka, w cudowną pogodę, gdy we dwoje tylko z Babką siedzieli naprzeciwko zalanego słońcem Paryża, pogrążył się w zadumę jeszcze trwożliwszą niż zwykle. Patrzył na nią uporczywie, gdy tak siedziała na zwykłym miejscu, szyjąc bez okularów, z twarzą pełną królewskiej pogody. Może jej nawet nie widział. A ona od czasu do czasu podnosiła oczy i przyglądała mu się, jak gdyby oczekiwała wyznania, które nie następowało. Po bardzo długim milczeniu zdecydowała się przemówić.

— Wilhelmie, co cię gnębi od pewnego czasu?... Dlaczego nie mówisz mi tego, co mi masz do powiedzenia.

Wrócił na ziemię; zdziwił się.

— Tego, co mam do powiedzenia?

— Tak, ja wiem to, co ty wiesz, i myślałam, że porozmawiasz o tym ze mną, bo zazwyczaj nie czynisz nic nie zasięgnawszy wpierw mojej rady.

Zbladł bardzo, zaczął drżeć, bo widać nie mylił się, skoro wiedziała o tym i Babka. Mówić o tym znaczyło nadawać widomy kształt podejrzeniom, czynić realnym i ostatecznym to, co dotąd mogło istnieć tylko w jego wyobraźni.

— Mój drogi synu, rzecz była nieunikniona. Od pierwszych dni przewidywałam to. A nie ostrzegałam cię tylko dlatego, że sądziłam, iż dzieje

się to zgodnie z twoją ukrytą intencją... Ale widząc, że cierpisz, zrozumiałam, że się pomyliłam.

A ponieważ on wciąż patrzył na nią zmieszany i drżący, mówiła dalej:

— Tak, wyobrażałam sobie, że może ty tego sobie życzyłeś, że przyprowadzając tutaj brata chciałeś przekonać się, czy Maria kocha cię inaczej jak ojca... Miałeś ważne podstawy, aby tak myśleć, chociażby ta znaczna różnica wieku... Nie mówiąc już o twoich pracach, o misji, jaką sobie wyznaczyłeś.

Wtedy on, złożony błagalnie ręce, zbliżył się do niej i zawołał:

— Ach, proszę cię, mów bez ogródek, powiedz mi wyraźnie, co myślisz!... Ja nic już nie rozumiem, moje biedne serce zbyt jest udęczone, a tak bardzo chciałbym wiedzieć, działać, powziąć decyzję!... Ty, którą kocham i czczę jak matkę, której niezwykle rozum tak cenię, której rad zawsze słuchałem, ty przewidziałaś tę rzecz straszną i pozwoliłaś, aby ona się stała, mimo że mogłoby to mnie zabić?... Dlaczego, dlaczego? Powiedz!

Zazwyczaj ta władca pani, która czuwała nad domem i rządziła w nim, nie lubiła wiele mówić i nikomu nie zdawała rachunków ze swego postępowania... Nigdy nie wypowiadała wszystkiego, co myślała i czego pragnęła, gdyż, przekonani o jej absolutnej mądrości, ojciec i synowie zupełnie zdawali się na nią. I ta pewna zagadkowość jeszcze dodawała jej wielkości.

— Po co nam słowa — rzekła cicho, nie przerywając pracy — kiedy mówią fakty?... Oczywiście, aprobowałam twoje plany małżeńskie rozumiejąc, że Maria powinna wyjść za ciebie, skoro ma tutaj zostać; poza tym było wiele innych racji, których nie ma powodu teraz przytaczać... Ale pojawienie się Piotra zmieniło wszystko, przywróciło rzeczom ich naturalny porządek. Czy to nie lepiej?

On wciąż jeszcze nie miał dość odwagi, aby zrozumieć.

— Lepiej, kiedy ja konam, kiedy moje życie jest zrujnowane?!

Wtedy Babka wstała, podeszła do niego, prosta, wyniosła w czarnej, skromnej sukni, z twarzą bladą, pełną surowości i energii.

— Mój synu, wiesz, że cię kocham, że chcę, abyś był wielki i nieposzlakowany... Niedawno przeraziłeś się, bo ten dom o mało nie wyleciał w powietrze. Od paru dni siedzisz nad notatkami i planami z roztargnionym wyrazem twarzy, spłoszony, jak człowiek ogarnięty niemocą, który wątpi i nie wie, dokąd zmierza... Wierz mi, jesteś na złej drodze, lepiej, aby Piotr poślubił Marię, lepiej dla nich i dla ciebie.

— Dla mnie, och, nie, nie!... Co się ze mną stanie?

— Ty, mój synu, uspokoisz się, przemyślisz to sobie. Twoje zadanie jest tak poważne, jesteś w przededniu ogłoszenia twojego wynalazku! Zdaje mi się, że wzrok ci się zmacił i mógłbyś popełnić błąd nie uwzględniając wszystkich stron zagadnienia. Czuję, że masz przed sobą inne jeszcze odkrycia... Jeśli to konieczne, cierp, ale pozostań człowiekiem idei. — Potem, wychodząc, dodała z macierzyńskim uśmiechem, aby złagodzić nieco swoją surowość: — Zmuszasz mnie, abym niepotrzebnie mówiła to wszystko, bo jestem o ciebie spokojna, jesteś zbyt szlachetny, aby w każdej okoliczności nie zdobyć się na jedyną -i słuszną postawę, na którą nie zdobyłby się nikt inny.

Wilhelm, gdy pozostał sam, zagłębił się w gorączkowych rozmyśleniach. Co chciała wyrazić w tych skąpych, na wpół niezrozumiałych słowach? Wiedział,

że ona zawsze jest po stronie tego, co dobre, zgodne z naturą i konieczne. Ale wymagała od niego jeszcze większego heroizmu; przed chwilą ukazała mu całą niejasną rozterkę, jaką budził w nim teraz jego dawny zamiar, aby powierzyć swój projekt ministrowi spraw wojskowych, obojętnie któremu, temu, który w danej chwili zajmował to stanowisko. Rosnące wahania i bunt rosły w nim, gdy słyszał, jak ona poważnym głosem powtarza, że czeka go większe zadanie, że powinien dokonać jakiegoś innego wynalazku. I nagle przemknęła przed nim postać Marii, całe jego biedne serce zakrwawiło na myśl, że żądano od niego, aby się jej wyrzekł. Nie mieć jej, oddać ją innemu, nie, nie, to było ponad jego ludzkie siły! Nigdy nie zdobędzie się na to obrzydłe męstwo, aby wzgardzić ostatnim szczęściem miłości, jakie sobie obiecywał!

Przebył dwa dni w strasznej rozterce, w której na nowo przeżywał sześć lat, jakie dziewczyna spędziła przy nim, w jego małym, szczęśliwym domu. Naprzód była jak gdyby przybraną córką, a potem, gdy zrodziła się pomiędzy nimi myśl o małżeństwie, znajdował w niej coraz większe upodobanie, spokojną radość, nadzieję, że ten związek zapewni szczęście wszystkim jego najbliższym. Odrzucał myśl o powtórnym małżeństwie tylko z obawy, że narzuciłby swoim synom nową, nieznaną matkę, i uległ urokowi pokochania raz jeszcze, zerwania z samotnym życiem tylko dlatego, że we własnym ognisku rodzinnym znalazł ten kwiat młodości, tę przyjaciółkę, która rozsądnie

i chętnie ofiarowywała mu siebie mimo znacznej różnicy wieku. Potem upłynęły miesiące, przyszły ważne wypadki, które skłoniły ich do przesunięcia daty ślubu, co nie sprawiło im zbyt srogiego cierpienia. Pewność, że ona czeka na niego, wystarczała mu, bo miał w sobie nawyk cierpliwości, której nauczył się w swoim długim życiu, wypełnionym zaciekle pracą. A oto nagle teraz, pod *groźbą*, że ją utraci, serce jego, tak spokojne, pękało i krwawiło. Nigdy nie przypuszczał, iż ten węzeł stał się tak bliski, że ona tak mocno zrosła się z jego ciałem. U tego mężczyzny, dobiegającego pięćdziesiątki, oznaczało to wydarzenie mu ostatniej kobiety, jaką pokochał i jakiej pragnął, kobiety tym bardziej pożądanej, że była wcieleniem młodości, której zapachem nigdy by już nie odetchnął, której tchnienie nigdy by go już nie owiało, gdyby utracił Marię. Szalone pożądanie, zmieszane z gniewem, gorzało w nim, pragnął jej, a mękę jego jątrzyła myśl, że zjawił się ktoś, kto chce mu ją odebrać.

Samotny w swoim pokoju, przez jedną noc zwłaszcza, przeżywał ciężkie chwile. Nie chcąc budzić nikogo, dusił swój ból w poduszkach. A przecież wszystko było takie proste: ponieważ Maria zawierzyła mu się, on ją zachowa. Miał jej słowo, zmusi ją, aby go dotrzymała, oto wszystko. Wtedy będzie ją miał dla siebie i nikt nie ośmieli się mu jej zabrać. I nagle stanął mu przed oczyma ten drugi, zapomniany brat, którego on sam zmusił swoją serdecznością, aby wszedł do rodziny. Lecz cierpienie było zbyt silne, chciał teraz wypędzić brata, pałał przeciwko niemu gniewem, którego wściekłość graniczyła z szaleństwem. Jego brat, mały braciszek... a więc przestałby go kochać, mieliby zatruć się nienawiścią i gwałtem? Całymi godzinami roił w gorączce, obmyślał, jak usunąć Piotra, aby wymazać to, co się stało. To znów opanowywał się, i ten uczony o głębokim umyśle, mający za sobą długoletnie, pogodne doświadczenia człowieka pracy, dziwił się tej burzy. Huczała ona w

innej części jego osobowości, w tej duszy dziecka, jaką zachował, w ognisku tkliwości i marzenia, które przetrwały w nim obok bezlitosnej logiki, obok wiary jedynej, wiary w zjawiska. Na geniusz jego składał się właśnie ten dualizm, chemik podszyty był marzycielem społecznym, spragnionym sprawiedliwości, zdolnym do potężnych uczuć. I namiętność go ponosiła, opłakiwał Marię,

jak gdyby opłakiwał ruiną swego rojenia o wojnie zabitej przez wojnę, o zbawieniu ludzkości, nad którym pracował od lat dziesięciu.

Później, zmęczonego, uspokoiło powzięte wreszcie postanowienie. Ogarnął go wstyd, że tak rozpacza nie stwierdziwszy wpiery faktów. Musi wiedzieć dokładnie, zapyta dziewczynę, ona jest dostatecznie lojalna, aby mu, dać szczerą odpowiedź. Czyż nie było to godne ich rozwiązanie, uczciwe wyjaśnienie, które pozwoli im następnie coś postanowić? Zasnął; rano wstał rozbity, ale spokojniejszy, jak gdyby w jego sercu, po, burzy, w ciągu paru godzin snu dokonała się jakaś wielka głucha praca.

Tego ranka Maria była bardzo wesola. Poprzedniego dnia odbyła z Piotrem i Antonim długą wycieczkę na rowerach w stronę Montmorency, po fatalnych drogach, skąd wrócili upojeni i pełni zachwytu. Gdy Wilhelm zatrzymał ją w małym ogródku, wracała właśnie podśpiewując, z obnażonymi rękoma, z pralni, gdzie kończono pranie.

— Chcesz mi coś powiedzieć, mój kochany?

— Tak, drogie dziecko, musimy porozmawiać o ważnych sprawach.

Domyśliła się, że chodzi o ich małżeństwo, więc od razu spoważniała.

Małżeństwo to niegdyś uznała za jedyne rozumne postanowienie, jakie mogła powziąć, dobrze zdając sobie sprawę z obowiązków, jakie to za sobą pociągało. Prawda, że poślubić miała człowieka o dwadzieścia lat starszego. Ale był to wypadek dość częsty i małżeństwa takie okazywały się raczej szczęśliwe. Nie kochała nikogo, mogła sobą rozporządzać. I powierzała mu swój los w takim porywie wdzięczności, przywiązania, z uczuciem takiej słodyczy, iż wydawało się jej, że jest to słodycz samej miłości. Wszyscy dokoła niej byli tacy szczęśliwi z tego związku, który jeszcze bardziej zjednoczyć miał rodzinę! Cała jej energia, cała radość życia, stanowiąca jej urok, upoiły ją myślą, że czyni tyle dobrego.

— Co się stało? — zapytała, trochę niespokojnie. — Mam nadzieję, że nic złego.

— Nie, nie... Po prostu chcę ci coś powiedzieć. Zaprowadził ją pod dwie śliwy, jedyne zakątek zieleni, jaki pozostał przy domu. Stała tam jeszcze zmurszała ławka, opar-

ta o bzy. I wielki Paryż naprzeciwko rozlewał nie kończące się morze swoich dachów, delikatnie zarysowanych i błyszczących w porannym słońcu.

Usiedli oboje. Ale w chwili gdy miał przemówić, zadać jej pytanie, ogarnęło go nagle zmieszanie, a jego biedne serce zabiło gwałtownie, gdy zobaczył ją taką młodą, tak uroczą z obnażonymi rękoma.

— To już niedługo... — rzekł wreszcie — zbliża się dzień naszego ślubu.

Kiedy ona, zapewne nie zdając sobie z tego sprawy, lekko zbladła na te słowa, on uczył, że ogarnia go lodowaty chłód. Czyż. koło jej ust nie pojawiła się bolesna zmarszczka? Czyż oczu jej, tak szczerych i jasnych, -nie przyćmił jakiś cień?

— Och, mamy jeszcze przed sobą trochę czasu! Wilhelm mówił dalej powoli, bardzo serdecznie:

— Oczywiście, ale trzeba będzie zająć się formalnościami. Są to kłopoty, o których lepiej porozmawiać dzisiaj, abyśmy nie musieli już do nich powracać. Łagodnie ciągnął dalej, wyliczył, co mieli jeszcze do zrobienia, i nie spuszczał z niej oczu, wypatrując na jej twarzy wzruszeń, jakie wywołać na niej mogła wzmianka o bliskim już terminie. Ona słuchała w milczeniu, bez żadnych oznak żalu czy przykrości. Jednakże była jakby przygnębiona, okazywała po prostu posłuszeństwo.

— Moja droga Mario, ty milczysz... Czy cię czymś uraziłem?

— Mnie? Ależ nie, nie!

— Wiesz, że możesz mówić szczerze. Jeżeli masz jakąś osobistą po temu przyczynę, możemy to znowu odłożyć.

— Ależ, mój drogi, nie mam żadnego powodu. Jaki mogłabym mieć powód? Zdaję się we wszystkim na ciebie, załatw to wedle swojej woli.

Zapadło milczenie. Patrzyła mu uczciwie w oczy, ale usta jej lekko drżały, a nieznaną smutek zdawał się wzbierać w niej i rozlewać się po twarzy jasnej i wesołej jak woda życia. Czyż dawniej nie byłaby się śmiała i cieszyła na wieść o bliskim ich świątce, ich ślubie!

Wówczas Wilhelm, z wysiłkiem, od którego drżał jego głos, ośmielił się powiedzieć:

— Moja droga Mario, przebacz mi, że cię o coś zapytam... Jeszcze mogłabyś zwrócić mi słowo. Czy jesteś absolutnie pewna, że mnie kochasz?

Spojrzała na niego z prawdziwym osłupieniem, nie pojmując, do czego zmierza. Ponieważ zdawała się zwlekać z odpowiedzią, dodał:

— Zbadaj swoje serce, zapytaj je... Czy kochasz swego starego przyjaciela, czy też kogoś innego?

— Ja? Ja, Wilhelmie? Dlaczego tak do mnie mówisz? Co uczyniłam, czym upoważniłam cię, abyś tak do mnie przemawiał?

Była istotnie szczerze oburzona, piękne jej oczy utkwione były w jego *oczach* i płonęły uczciwością.

— Trzeba jednakże, abym doznał do końca — rzekł z trudem — gdyż chodzi tutaj o szczęście nas wszystkich... Zapytaj swojego serca, Mario. Kochasz mojego brata, kochasz Piotra!

— Ja, ja kocham Piotra!... Ależ tak, kocham go, kocham go tak, jak was wszystkich, gdyż stał się jednym z nas, bo jest teraz częścią naszego życia i naszej radości!... Gdy jest. tutaj, czuję się szczęśliwa, to rzecz pewna, i pragnęłabym, aby zawsze był tutaj. Sprawia mi radość patrzeć na niego, słuchać, gdy mówi, wychodzić z nim na miasto. Ostatnio byłam bardzo zmartwiona, bo wydawało mi się, że przygnębienie na nowo go ogarnia... Cóż w tym dziwnego? Zdaje mi się, że robiłam to, czegoś ty pragnął, i nie pojmuję, jaki wpływ może mieć moje przywiązanie do Piotra na nasze małżeństwo.

— Ależ, nieszczęsna, nieszczęsna! Zdradasz się mimowolnie... Na pewno nie kochasz mnie... kochasz mojego brata.

Ujął jej nagie ręce w kostkach i ścisnął z rozpaczliwą czułością, jak gdyby chciał ją zmusić, aby jasno czytała w sobie. A ona wciąż się broniła, dalej toczyła się pomiędzy nimi najtkliwsza i najtragiczniejsza walka: on chciał ją

przekonać oczywistością faktów, ona stawiała opór, nie chciała otworzyć oczu. Na próżno cofnął się do początków całej sprawy, wyjaśniał jej, co się w niej odbyło: była to najpierw głucha wrogość, potem zaciekawienie dla tego niezwykłego człowieka, a wreszcie sympatia, czułość, gdy widziała, że tak nieszczęsny, pomału, dzięki niej, leczy się ze swojej trwogi. Oboje byli młodzi, matka

natura dokonała reszty. Ale za każdym dowodem, za każdym pewnikiem, jakie przytaczał Wilhelm, ją ogarniało wzrastające podniecenie, dreszcz przelatujący od stóp do głów, bo nie chciała, aby ją wypytywał. .

— Nie, nie, ja go nie kocham... Gdybym go kochała, wiedziałabym o tym, powiedziałabym ci, znasz mnie, jestem niezdolna do kłamstwa.

Był na tyle okrutny, że upierał się jak bohaterski chirurg, który zagłębia lancet bardziej w swoim ciele niż w ciele chorego, chciał bowiem, aby stało się zadość prawdzie i aby nikt nie poniósł szkody.

— Mario, ty mnie nie kochasz! Dla mnie masz tylko uznanie, wdzięczność, kochasz mnie jak córka. Przypomnij sobie twoje uczucia w okresie, gdy zapadło postanowienie, że się pobierzemy. Wówczas nikogo nie kochałaś, zgodziłaś się jako dziewczyna rozsądna, pewna, że uczynię cię szczęśliwą, bo uważałaś ten związek za słuszny i pożyteczny... Zjawił się mój brat; miłość zrodziła się zgodnie z naturą, i Piotra, tylko Piotra kochasz naprawdę, miłością, jaką żywi się do kochanka, do małżonka.

U kresu wytrzymałości, wstrząśnięta nagłym, mimowolnym uświadomieniem sobie stanu swego serca, wciąż jeszcze uporczywie zaprzeczała.

— Ale dlaczego ty się tak szarpiesz, moje dziecko! Nie robię ci żadnych wyrzutów. To ja pragnałem tego, ja, stary szaleniec. To, co musiało się stać, już się stało, i na pewno tak być powinno... Chciałem tylko usłyszeć prawdę od ciebie, aby powziąć decyzję i postąpić, jak przystało uczciwemu człowiekowi.

— Ach, źle zrobiłeś, zadając mi taki gwałt, zmuszając mnie, abym czytała w swojej duszy! Przysięgam ci raz jeszcze, że ja nic nie wiedziałam o tym, iż kocham Piotra miłością, o jakiej ty mówisz. To ty otworzyłeś moje serce, ty rozdmuchałeś płomień, który w nim drzemał... I to prawda, kocham Piotra, kocham go tak, jak ty mówisz. I teraz wszyscy jesteśmy strasznie nieszczęśliwi z twojej winy!

Rozpląkała się i odebrała mu swoje ręce, ogarnięta nagłym zawstydzeniem. Ale zauważył, że policzków jej nie zabarwił rumieniec, ten mimowolny rumieniec, który tak ją zawsze gniewał. Widocznie jej dziewczęca uczciwość nie wchodziła tu w grę, widocznie naprawdę nie miała sobie do wyrzucenia żadnej zdrady, to on zmusił ją, aby narodziła się do miłości. Przez chwilę patrzyli na siebie przez łzy. Ona, taka zdrowa, taka mocna, z wydatną piersią, unoszoną uderzeniami serca, z rękoma obnażonymi aż do ramion, tych czarujących, silnych ramion; on tak jeszcze silny, z gęstym runem siwych włosów, z czarnymi jeszcze wąsami, które nadawały jego twarzy tyle młodzieńczej energii. I teraz wszystko było skończone, coś nieodwracalnego, przyszło i zmieniło ich życie. Z wielką godnością rzekł:

— Mario, nie kochasz mnie, więc zwracam ci słowo. Ale ona z równą godnością odmówiła.

— Nigdy nie odbiorę ci mojego słowa, gdyż dałam je w pełni świadomości, z wielką radością, i zachowałam dla ciebie całą dawną tkliwość i podziw. Ale on mówił dalej głosem złamanym, który zaczynał odzyskiwać siłę.

— Kochasz Piotra, więc Piotra powinnaś zaślubić.

— Nie, należę do ciebie, jedna godzina nie może rozwiązać tego, co związały całe lata... Raz jeszcze przysięgam ci, że jeśli kocham Piotra, nie wiedziałam o tym jeszcze dzisiaj rano. I na tym zakończmy, nie dręcz mnie dłużej, to byłoby zbyt okrutne.

Gestem kobiety; która, zaskoczona niespodzianie, nagle ujrzała się naga, opuściła rękawy, opuściła je na ręce, jak gdyby chciała okryć siebie całą. A potem wstała i odeszła bez słowa.

Wilhelm został sam na ławce, w cieniście zakątku, w obliczu olbrzymiego Paryża, który w lekkim porannym słońcu zmieniał się w miasto marzenia, powiewne i drżące. Przytłaczał go ciężar, zdawało mu się, że nigdy nie potrafi wstać z tej ławki. I niby otwarta rana pozostały w nim słowa Marii, że tego dnia nie wiedziała jeszcze, iż jest zakochana w Piotrze, Nie wiedziała o tym i on sam zmusił ją, aby odkryła w sobie tę miłość. On ją w niej ugruntował, bo objawiając jej to uczucie, na pewno je spotęgował. Cóż za męka i jaki ból! Był sprawcą nieszczęścia, od którego konał! Teraz miał już pewność: jego życie uczuciowe było skończone, cała jego nieszczęsna wrażliwa istota krwawiła i zamierała. Ale w tej klęsce, w tej rozpaczony wywołanej uświadomieniem sobie swego wieku i konieczności wyrzeczenia, czuł gorzką radość, że dał świadectwo prawdzie. Była to sroga pociecha, dobra jedynie dla duszy heroicznej, a jednak on znajdował w niej cierpką ulgę, rodzaj dumnego zadowolenia. Przeniknęła go teraz myśl o ofierze, narzuciła się powoli z niezwykłą mocą. Powinien doprowadzić do małżeństwa swoich dzieci, to było jego obowiązkiem, jedyną mądrością i sprawiedliwością, a także jedynym pewnym sposobem zapewnienia szczęścia całemu domowi. Gdy jego zbuntowane serce tłukło się jeszcze i krzyczało z trwogi, on kładł sobie na piersi dwie mocne dłonie i uciskał je.

Nazajutrz, nie w małym ogródku, lecz w obszernej pracowni Wilhelm odbył ostateczną rozmowę z Piotrem. I stąd roztaczał się ogromny widnokrąg Paryża, cała ludzkość zajęta pracą, olbrzymia kadź, w której fermentowało wino przyszłości. Postarał się znaleźć z bratem sam na sam i zaraz przystąpił do rzeczy; *zdażał* prosto do celu, nie zachowując tych wszystkich ostrożności, jakie był przedsięwziął wobec Marii.

— Piotrze, czy nie masz mi nic do powiedzenia? Dlaczego nie chcesz być ze mną szczerzy?

Piotr zrozumiał go i począł drzeć, nie umiał znaleźć słowa, przyznawał się samym swoim zmieszaniem, trwożnym błaganiem malującym się na twarzy.

— Kochasz Marię, więc czemu nie przyszedłeś uczciwie powiedzieć mi o tej miłości?

Wtedy Piotr opanował się i zaczął się gwałtownie bronić.

— Kocham Marię, to prawda, i wiedziałem, że nie potrafiłbym tego ukryć, że ty sam byś to spostrzegł... Ale nie zamierzałem ci tego mówić, byłem pewny siebie, byłbym uciekł, zanim choćby jedno słowo wymknęło się z moich ust! Sam byłbym cierpiał. Ach, ty nie wiesz, jaką męką i nawet okrucieństwem jest z twojej strony mówić mi o tym, bo teraz zmuszony jestem odejść!...

Wiele razy już to przemyślałem. Wracalem niewątpliwie przez słabość, ale

także przez miłość do was wszystkich. Moja obecność tutaj nie kryła w sobie żadnego niebezpieczeństwa! Marii nic nie zagrażało. Ona mnie nie kocha.

Wilhelm odrzekł mu dobitnie:

— Maria kocha cię... Wypowiadałem ją wczoraj, musiała przyznać się, że cię kocha.

Piotr, wzburzony, chwycił go za ramiona, patrząc mu w oczy.

— Och, bracie, bracie, co ty mówisz! Dlaczego mówisz coś, co byłoby dla nas wszystkich strasznym nieszczęściem?... Ja miałbym z tego mniej radości jak zgryzoty, chociaż miłość ta była moim nieosiągalnym marzeniem; bo ja nie chcę, abyś ty cierpiał... Maria jest twoja. Jest dla mnie święta jak siostra. Jeżeli tylko moje szaleństwo miało by was rozdzielić, ono minie, potrafię je przezwyciężyć.

— Maria kocha cię — powtórzył Wilhelm ze swoim łagodnym a stanowczym wyrazem twarzy. — Nie robię ci żadnych wyrzutów, wiem doskonale, żeś walczył, że nie zdradziłeś się przed nią ani słowem, ani nawet spojrzeniem... Ona sama nie wiedziała jeszcze wczoraj, że cię kocha, i to ja musiałem otworzyć jej oczy. Nie ma rady, ja tylko stwierdzam fakt: ona cię kocha. Tym razem Piotr, cały drżący, zrobił ruch wyrażający zarazem grozę i uniesienie, jakby niebo zsyłało mu jakiś cud długo upragniony, ale teraz unicestwiający go.

— A więc dobrze, wszystko skończone... Ucałuj mnie, bracie, odchodzę.

— Odchodzisz? Dlaczego? Ty musisz zostać z nami. Nic prostszego: ty kochasz Marię, a ona ciebie. Oddaję ci ją.

Piotr krzyknął głośno, nieprzytomnie wyciągnął ręce gestem przerażonego zachwyty.

— Oddajesz mi Marię, ty, bracie, ty, który czekasz na nią od miesięcy, który ją uwielbiasz! Och nie, nie, to zanadto by mnie przytłoczyło, przerażyło, bo widzisz, to jak gdybyś dawał mi samo swoje serce, twoje krwawiące serce, wyrwane z piersi... Nie, nie, nie chcę tej twojej ofiary!

— Ale ponieważ Maria czuje dla mnie tylko wdzięczność i przywiązanie, ponieważ ciebie kocha, czyż chcesz, abym nadużył obietnicy, jaką uczyniła mi w swojej nieświadomości, i abym zmusił ją do małżeństwa, w którym nie posiadałbym jej całej?... I ja się myślę, to nie ja ci ją oddaję, to ona się oddaje, a ja tylko nie uzurpuję sobie prawa, aby jej w tym przeszkodzić!

— Nie, nie, nigdy tego daru nie przyjmę, nigdy nie zadam ci takiego bólu... Ucałuj mnie, bracie, odchodź!

Wtedy Wilhelm chwycił go, siłą posadził obok siebie na starej kanapie, która stała w kącie przy oknie. Zaczął go strofować, a wreszcie rozgniewał się, z uśmiechem cierpienia i dobroci.

— Czekaj, nie będziemy się bili, nie zmusisz mnie przecież, abym cię przywiązał i gwałtem tutaj zatrzymał?... Do licha, już ja wiem, co robię. Dobrze się namysliłem, zanim rozpocząłem rozmowę z tobą... Oczywiście, nie wmawiam ci, że w duszy mam radość. O, w pierwszej chwili myślałem, że nie przeżyję tego, życzyłem ci, abyś zapadł się pod ziemię. A potem... cóż, musiałem być rozsądny, zrozumiałem, iż rzeczy ułożyły się w sposób najlepszy w świecie, a mianowicie zgodnie z naturą.

Piotr, u kresu sił, zaczął cicho płakać, zasłoniwszy twarz splecionymi rękoma.

— Bracie, braciszku, nie martw się ani o mnie, ani o siebie... Czy pamiętasz szczęśliwe dni, jakie przeżyliśmy razem w małym domku w Neuilly, gdyśmy się tam niedawno odnaleźli? Cała nasza dawna miłość zakwitła na nowo, spędzaliśmy długie godziny siedząc z dłonią w dłoni, wspominając przeszłość, z sercem pełnym miłości... I jak straszne wyznanie uczyniłeś mi pewnego wieczora o twej niewierze, o torturach, o nicości, w której byłeś pogrążony! Toteż zapragnąłem uleczyć cię, radziłem ci, abyś pracował, kochał, uwierzył w życie, bo byłem przekonany, że tylko życie wrócić ci może spokój i zdrowie... Dlatego potem przyprowadziłem cię tutaj, pomiędzy moich. Nie chciałeś tu przychodzić, ja cię zatrzymałem. Gdyś odzyskał chęć istnienia, gdy stałeś się po prostu mężczyzną i pracownikiem, ja byłem tak szczęśliwy! Krwi bym sobie był utoczył, byle nastąpiło zupełne uzdrowienie... I oto stało się to w tej godzinie, dałem ci wszystko, co miałem, bo właśnie Maria jest ci koniecznie potrzebna i tylko ona może cię uratować. — A ponieważ Piotr próbował jeszcze się wzbraniać, dodał: — Nie odmawiaj. Bo doprawdy., jeżeli ona nie dokończy dzieła rozpoczętego przeze mnie, wszystko, co uczyniłem, pójdzie na marne; ty wpadniesz znowu w swoją nędzę, w negację, w rozterkę twego zmarnowanego życia. Ona jest ci potrzebna. Wyobrażasz więc sobie, że cię już nie kocham, że ja, który niedawno jeszcze tak gorąco pragnąłem twego po-

wrotu do życia, teraz mógłbym odmówić ci oddechu, samej duszy, tej, która znowu uczyni z ciebie człowieka? Kocham was oboje dość mocno, aby zgodzić się na waszą miłość. Ofiara z miłości także jest jeszcze miłością... A przy tym, powtarzam, dobra natura wie, co robi. Instykt jest nieomylny, gdyż prowadzi zawsze do tego, co użyteczne, co prawdziwe. Byłbym smutnym mężem, więc lepiej, abym ja, stary uczonec, pozostał przy mojej pracy. A tymczasem przy tobie, młodym, czeka ją przyszłość, dzieci, życie płodne i szczęśliwe.

Piotra przeniknął dreszcz, ogarnął go znowu ów strach przed niemocą, jaki stale go prześladował. Czy kapłaństwo nie wykreśliło go spośród żywych? Czy jego męskość nie zatraciła się w długich latach czystości?

— Życie płodne i szczęśliwe — powtórzył po cichu — czyż ja na nie zasługuję, czy jestem jeszcze do niego zdolny?... Ach! Gdybyś wiedział, jaką rozterkę i jaki ból czuję na myśl, że może nie jestem godzien tej czarującej istoty, z której ty tak szlachetnie czynisz mi królewski dar! Tyś więcej wart ode mnie, w tobie znalazłaby czulsze serce, wybitniejszy umysł, a może i mężczyznę w istocie młodszego i w pełni sił... Jest jeszcze czas, mój bracie, nie oddawaj mi jej, zachowaj ją dla siebie, jeżeli z tobą miałyby być szczęśliwsza i płodniejsza, i mocniej kochana... Zastanów się, mnie obezwładnia zwątpienie. Ważne jest tylko jej szczęście. Niech należy do tego, kto będzie ją lepiej kochał.

Niewypowiedziane wzruszenie zawładnęło obydwoma. Wtedy, słuchając tych urywanych słów, tej miłości, która drżała, iż nie ma w sobie dość mocy, Wilhelm zachwiał się na chwilę w swym postanowieniu. W sercu czuł okrutny ból i nie zdołał powstrzymać rozpaczliwej, żalostnej skargi:

— Ach, Mario, Mario, jakże cię kocham!... Uczyniłbym cię tak szczęśliwą!

Piotr rozpaczliwie zerwał się i zawołał:

— Widzisz więc, że wciąż ją uwielbiasz i że nie możesz się jej wyrzec!... Pozwól mi odejść, pozwól mi odejść!

Ale już Wilhelm trzymał go w pól, tulił go z całą braterską miłością, której jego wyrzeczenie dodawało jeszcze mocy.

— Zostań!... To nie ja mówiłem przed chwilą, to ktoś inny, ten, który ma umrzeć, ten, który już umarł. Przysięgam ci na pamięć naszej matki, naszego ojca, że ofiara moja jest spełniona, że mogę już cierpieć tylko przez nią i przez ciebie, jeżeli nie będziecie chcieli mnie zawdzięczać waszego szczęścia.

I dwaj mężczyźni płacząc uścisnęli się, i tak trwali trzymając się w ramionach. Nieraz już zdarzyło się im tak obejmować, ale nigdy jeszcze dwa ich serca nie zaznały aż takiego zjednoczenia. Starszy ofiarowywał życie młodszemu, a młodszy składał mu w darze swoje, składał mu w darze wszystko, co w nim było czyste, gorące i tkliwe. Chwila ta zdawała się im nieskończona i urocza. Cała nędza, cały ból świata znikły, została już tylko ich płonąca miłość, która rodziła wieczną miłość, jak słońce rodzi światło. I ta chwila wynagrodziła im wszystkie łyzy przeszłe i przyszłe; a olbrzymi Paryż na horyzoncie, przy bulgocie swojej olbrzymiej kadzi, trudził się nad nieznaną przyszłością.

Wtedy weszła Maria. I odbyło się to bardzo po prostu. Wilhelm wyrwał się z ramion brata, przyprowadził go do niej, zmusił ich, aby podali sobie ręce. Zrazu odpowiedziała jeszcze odmownym gestem, upierała się w swojej lojalności, nie chciała cofnąć słowa. Ale cóż mogła powiedzieć widząc we łzach tych dwóch mężczyzn, którzy przed chwilą trzymali się w uścisku, złączeni tak ścisłym węzłem braterstwa! Czyż te łyzy, ten uścisk nie unicestwiały racji i argumentów, jakie miała w pogotowiu? Zniknęło nawet zażenowanie tą sytuacją, wydało jej się, że już gruntownie rozmówiła się z Piotrem, że już zgodnie postanowili przyjąć ów dar miłości, jaki Wilhelm składał im z sercem tak bohaterskim. Powiał wicher wzniosłości i ta nadzwyczajna scena wydała im się najbardziej naturalną pod słońcem. Jednakże Maria milczała, nie śmiała nic odpowiedzieć, patrzyła na nich obu swoimi dużymi tkliwymi oczyma, które także wezbrały łzami.

A Wilhelm, jak w natchnieniu, podbiegł do schodków wiodących do pokoiów na górze i zawołał:

— Babko, Babko! Zejdź na dół, zejdź szybko, jesteś nam tutaj bardzo potrzebna!

A kiedy przyszła, w swej czarnej sukni, drobna i blada, ze wspaniałą twarzą królowej matki, która zawsze spotyka się z posłuszeństwem, dodał:

— Powiedz tym dwojgu dzieciom, że nie mogą zrobić nic lepszego jak się pobrać. Powiedz im, żeśmy oboje o tym rozmawiali i że to jest i twoje zdanie, i twoja wola. Ona spokojnie, lekko skinęła głową.

— To prawda, to będzie znacznie rozumniejsze rozwiązanie sprawy.

Wtedy Maria rzuciła się w jej ramiona. Zgadzała się, poddawała się siłom wyższym, potęgom życia, które oto zmieniły jej los. Wilhelm wyraził życzenie, aby natychmiast ustalić datę ślubu i pomyśleć o przygotowaniu na górze mieszkania dla młodej pary. A kiedy Piotr, spoglądając na niego z najwyższym niepokojem, wspomniął coś o podróży, w obawie że brat nie jest jeszcze wyleczony i że ich obecność będzie mu sprawiała ból, Wilhelm rzekł:

— Nie, nie, chcę was mieć tutaj! Właśnie dlatego doprowadziłem do waszego małżeństwa, że chcę mieć was oboje... Nie martwcie się o mnie. Mam tyle pracy! Będę pracował.

Wieczorem, gdy Tomasz i Franciszek usłyszeli nowinę, nie wydawali się zbyt zdziwieni. Zapewne przeczuwali taki obrót sprawy. I bez słowa przyjęli to do wiadomości, skoro sam ojciec, z twarzą jak zwykle pogodną, oznajmił im swoją decyzję. Ale Antoni, z duszą pełną miłości do kobiety, z wyrazem zwątpienia i lęku popatrzył na ojca, ojca, który miał odwagę wydrzeć sobie serce z piersi! I czy naprawdę zdoła przeżyć takie wyrzeczenie? Ucałował go namiętnie, a jego dwaj bracia, też wzruszeni, również ucałowali ojca z całej duszy. On uśmiechał się boskim uśmiechem, z oczyma wilgotnymi przyjmując tę pieszczotę trzech dorosłych synów. I po zwycięstwie nad strasznym cierpieniem nic nie mogło przynieść mu słodszej pociechy. Ale tego wieczora czekało go jeszcze jedno wzruszenie. Pod wieczór, gdy znowu zasiadł pod oknem przy wielkim stole, aby sprawdzać i klasyfikować dokumenty i plany swojego wynalazku, ze zdziwieniem ujrzał wchodzącego Bertheroya, swego mistrza i przyjaciela. Od czasu do czasu znakomity chemik zachodził do niego i Wilhelm umiał ocenić zaszczyt, jakim były dla niego odwiedziny tego siedemdziesięcioletniego starca, sytego sławy, tytułów i stanowisk, odznaczonego mnóstwem orderów. Zwłaszcza że ten oficjalnie uznany uczyony, członek Instytutu, musiał zdobywać się na pewną odwagę, aby utrzymywać stosunki z człowiekiem zdeklasowanym, pariasem, jakim był Wilhelm. Tym razem jednak Wilhelm odgadł, że sprowadza go ciekawość. Toteż zmieszał się bardzo, nie mogąc ukryć papierów i rysunków, rozłożonych na stole.

— Nie obawiaj się — rzekł wesoło Bertheroy, bardzo subtelny mimo lekceważącego i trochę szorstkiego sposobu bycia — nie ukradnę twoich tajemnic... Możesz to wszystko zostawić, przyrzekam, że nie będę tam zaglądał.

I bez ogródek skierował rozmowę na środki wybuchowe, których i on również nie przestawał namiętnie studiować. Poczytał nowe wynalazki, których nie ukrywał. Mimochodem wspomniał nawet o konsultacji, o jaką sąd zwrócił się do niego w sprawie Salvata. Jego marzeniem było znaleźć materiał wybuchowy o niezwyklej sile, a następnie spróbować go „oswoić”, sprowadzić do roli zwykłej, posłusznej człowiekowi siły. Uśmiechał się i zakończył znacząco:

— Nie wiem, skąd ten szalenciec wziął formułę swojego prochu. Ale gdybyś ją kiedy odkrył, powiedz sobie, że może w tym leży przyszłość: w zastosowaniu materiałów wybuchowych jako siły napędowej. — Potem rzekł niespodzianie:

— A co do Salvata, mają go stracić pojutrze rano. Mam znajomego w Ministerstwie Sprawiedliwości i on właśnie mi to powiedział.

Wilhelm dotąd słuchał go z pogodną nieufnością. I nagle wiadomość o bliskiej egzekucji Salvata obudziła w nim gniew i bunt. Od wielu dni wiedział wprawdzie, że jest nieunikniona mimo spóźnionych oznak sympatii dla skazańca, jakie napływały ze wszystkich stron.

— To będzie morderstwo! — zawołał gwałtownie. Bertheroy zrobił lekki gest pobłażania.

— Cóż chcesz? Społeczeństwo broni się, gdy je atakują... A poza tym, doprawdy, ci anarchiści są bardzo głupi, jeżeli wyobrażają sobie, iż zmieniają świat przy pomocy swoich petard. Znasz mój pogląd, że tylko wiedza jest rewolucjonistką; wiedza wystarczy, aby wprowadzić w czyn nie tylko prawdę,

ale i sprawiedliwość, jeżeli sprawiedliwość jest w ogóle osiągalna na ziemi... Oto dlaczego, mój chłopcze, ja jestem tak tolerancyjny i tak spokojny. Raz jeszcze Wilhelm ujrzał w nim tego osobliwego rewolucjonistę, który miał pewność, że w swoim laboratorium pracuje nad zburzeniem obecnego starego i szkaradnego społeczeństwa wraz z jego Bogiem, dogmatami, prawami, ale zanadto dbał o swój spokój, zbyt lekceważył nieważne fakty, aby mieszać się do ulicznych wypadków, wolał żyć spokojnie, korzystać z rent; i suto wynagradzany, w dobrych stosunkach z każdorazowym rządem, przewidywał i przygotowywał straszne narodziny jutra.

Wyciągnął rękę ku Paryżowi, nad którym zachodziło zwycięskie słońce, i dodał jeszcze:

— Słyszysz jego pomruki?... To my podtrzymujemy płomień, my dorzucamy wciąż paliwa pod kocioł. Wiedza ani na chwilę nie przerywa swojej pracy i ona tworzy Paryż, który, miejmy nadzieję, zrodzi przyszłość... Reszta się nie liczy.

Wilhelm już go nie słuchał, myślał o Salvacie, myślał o tej strasznej maszynie, którą wynalazł, a która jutro niszczyć będzie miasta! Nowa myśl rodziła się, rosła w nim. I oto rozwiązał ostatni węzeł, rozdał dokoła siebie tyle szczęścia, ile było w jego mocy. Ach, odzyskać męstwo, być panem samego siebie, wydobyć z ofiary swego serca przynajmniej dumną radość, że odzyskało się wolność, że można oddać życie, jeśli uzna się to za potrzebne!

KSIEGA PIĄTA

I

Wilhelm postanowił asystować przy egzekucji Salvata, a Piotr, zaniepokojony, że nie udało mu się go odwieść od tego zamiaru, został wieczorem na Montmartre, aby pójść razem z nim. Kiedyś, gdy jeszcze towarzyszył księdzu Rose w jego samarytańskich odwiedzinach w dzielnicy Charonne, dowiedział się, że z domu, gdzie mieszkał deputowany socjalistyczny Mège, stojącego na rogu ulicy Merlin, widać gilotynę. Zaofiarował się więc jako przewodnik. A ponieważ egzekucja miała się odbyć w przewidzianym prawnie terminie około wpół do piątej rano, w jeden z pierwszych jasnych dni majowych, obaj bracia nie położyli się spać i czuwali w obszernej pracowni, na wpół drzemiąc, rzadko zamieniając parę słów. O drugiej godzinie wyszli.

Noc była zadziwiająco jasna i cicha. Na rozległym czystym niebie księżyc w pełni lśnił blaskiem srebrnej lampy i nieustannie sączył na uśpiony Paryż, na jego niewyraźnie rysujący się ogrom, swoje spokojne, senne światło. Rzekłbyś, zjawa zaczarowanego, powalonego zmęczeniem miasta, skąd nie podnosił się już żaden odgłos. Łagodne, czyste jezioro ogarniało je, kołysało, uciszało aż do wschodu słońca zgiełk jego wysiłku i krzyk jego cierpienia, gdy tymczasem tam, na dalekim przedmieściu, krzątano się po kryjomu, umocowując nóż, aby zabić człowieka.

Na ulicy Świętego Eleuteriusza Piotr i Wilhelm przystanęli patrząc na ten Paryż, nieświadomy siebie, ulotny i pulsujący, kołysany na promieniu legendy. Gdy się odwrócili, ujrzeli bazylikę Sacré-Coeur, której nie wieńczyła jeszcze kopuła, ale która już znaczyła się olbrzymią masą w pełnym księżycowym świetle. Zdawała się jeszcze większa w tej ostrej i białej jasności, która podkreślała kontury, odcinając je na tle rozległych ciemności. Gdy tak na nią patrzyli, wyglądała pod bladym nocnym niebem jak potworny wytwór natury, potężny, prowokacyjny i władczy. Nigdy jeszcze nie wydała się Wilhelmowi tak olbrzymia, tak panująca nad Paryżem, nawet uśpionym, tak uparta i przytłaczająca w swej królewskości.

W obecnym stanie jego ducha wrażenie było tak silne, tak dojmujące, że nie mógł się opanować i rzekł na głos:

— Ach, oni dobrze wybrali sobie to miejsce, ale cóż za głupota, że im pozwolono je zająć!... Nie mogę wyobrazić sobie większego nonsensu, jak Paryż uwieńczony, ujarzmiony przez tę bałwochwalczą świątynię, zbudowaną, aby ugloryfikować absurd. Taka bezczelność, taki policzek wymierzony rozumowi, który tyle już dokonał, po tylu wiekach nauki i walki, i to właśnie na wprost i ponad naszym wielkim Paryżem, jedynym miastem na świecie, którego nie wolno było kalać wyciskając mu taką plamę na czole!... W Lourdes, w Rzymie można to jeszcze sobie wytłumaczyć. Ale w Paryżu, na tej tak głęboko przeoranej niwie inteligencji, gdzie wschodzi przyszłość! Jest w tym wypowiedzenie wojny, jest zuchwale wyrażona nadzieja podboju!

Zazwyczaj zdobywał się na piękną tolerancję uczonego, dla którego religie są tylko zjawiskami społecznymi. Nawet chętnie uznawał wielkość lub urok legend katolickich. Ale słynna wizja Marii Alacoque, która dała początek kultowi Serca Jezusowego, drażniła go, wywoływała w nim rodzaj fizycznego

obrzydzenia. Cierpienie sprawiała mu ta otwarta krwawiąca pierś Jezusa, to olbrzymie serce, które święta widziała bijące w głębi rany, gdzie Jezus pomieścił inne serce, małe serduszko kobiety, aby następnie oddać je wezbrane i płonące miłością. Cóż za przyziemny i odpychający materializm, coś za jatki, pełne trzewi, mięśni i krwi! Zwłaszcza, brzydził się ryciną, która przedstawiała tę okropność, a którą spotykał na każdym kroku, przy własnym domu, u sprzedawców dewocjonalii, jaskrawo kolorowaną, jak nieudolna plansza anatomiczna, błękitna, żółta i czerwona.

Piotr milczał i również patrzył na bazylikę, białą jak księżyc, wyłaniającą się z ciemności jak gigantyczna warownia oglądana we śnie, mająca zburzyć i podbić miasto leżące u jej stóp. Cierpiał z przyczyny tej bazyliki w czasie, gdy jeszcze przychodził

odprawiać tam mszę, kiedy jeszcze przeżywał udręki niewierzącego księdza. I z kolei on wypowiedział swój dawny ból.

— Ślubowanie narodu, ach, oczywiście, że tak, narodowe ślubowanie pracy, zdrowia, siły i rozwoju! Ale oni tak tego nie rozumieją. Mówią, że Francję spotkała klęska, gdyż zasługiwała na karę. Zawiniła, więc dzisiaj musi odbywać pokutę. Za co? Za rewolucję, za stulecie niezależnych badań i nauki, za swój wyemancypowany rozum, za swoje dzieło inicjatywy i oswobodzenia realizowane w całym świecie... Oto jaki jest naprawdę jej grzech i właśnie, aby nas skłonić do ekspiacji za naszą wielką pracę, za wszystkie zdobyte prawdy, za rozszerzone granice poznania, za bliską już sprawiedliwość, oni usypali ten olbrzymi kopiec, który Paryż będzie mógł dojrzeć z każdej swojej ulicy, a ilekroć nań spojrzy, będzie musiał uczuć się zapoznany i znieważony w swoim wysiłku i swojej chwale!

Ukazał szerokim gestem Paryż uśpiony w księżycowej jasności jak w srebrnej pościeli i poszedł dalej, a za nim jego brat; pogrążeni w milczeniu, schodzili po pochyłości ku czarnym i pustym jeszcze ulicom.

Aż do bulwaru zewnętrznego nie spotkali ani żywej duszy. Ale tam nigdy, o żadnej godzinie życie nie zamierało zupełnie; winiarnie, kawiarnie z muzyką, sale tańca zamykano dopiero wtedy, gdy występki i nędza, wyrzucone na ulicę, tam wiodły dalej swoją egzystencję. Byli to ludzie bez dachu nad głową, najnędzniejsza prostytutka w poszukiwaniu legowiska, włóczęgi gnieźdzący się na ławkach, węszący jakąś dobrą okazję. Pod osłoną ciemności-wspólniczki cały szlam paryskich dołów wypływał na powierzchnię, a z nim całe cierpienie. Pusta ulica była teraz dla bezdomnych głodomorów, dla których brakło miejsca za dnia, dla tej rojącej się masy, niepewnej i zrozpaczonej, grasującej tylko po ciemku. Takie to widziadła wyzute absolutnie ze wszystkiego, zjawy bolesne i przerażające, taki jęk dalekiej agonii snuły się tego ranka po Paryżu, gdzie o świcie miano zgilotynować człowieka, jednego z nich, ubogiego i cierpiącego.

Gdy Wilhelm i Piotr weszli na ulicę des Martyrs, pierwszym człowiekiem, którego ujrzeli, był leżący na ławce starzec; jego nagie stopy wyzierały z brudnych, podartych trzewików; i Wilhelm bez słowa pokazał go bratu. Parę kroków dalej, z kolei

Piotr podobnym gestem ukazał ukrytą w kącie bramy dziewczkę w łachmanach, śpiącą z otwartymi ustami. Nie musieli sobie mówić, jaka litość, jaki gniew rozsadał ich serca. Od czasu do czasu przechodzili, po dwóch, policjanci, potrząsali nieszczęśnikami, zmuszali ich, aby wstawali i

szli dalej, a gdy któryś z nich wydawał się im podejrzany lub stawiał opór, zabierali go na posterunek. I wtedy gniew, zaraza więzienna mnożyły jeszcze nędzę tych wydziedziczonych, często ze zwykłego włóczęgi robiąc złodzieja lub zabójcę.

Na ulicy des Martyrs, na ulicy Faubourg-Montmartre nocna ludność zmieniała się i dwaj bracia spotykali już tylko spóźnionych włóczęgów, kobiety przemykające się tuż pod domami, mężczyźni i dziewczki, nie szczczędzających sobie razów. Potem na wielkich bulwarach wychodzili z klubów bladzi panowie zapalając cygara na progach wysokich ciemnych domów, których okna na całym jednym piętrze samotnie płonęły. Jakaś dama w wieczorowej toalecie, w balowym płaszczu, szła powoli piechotą z przyjaciółką. Krażyło jeszcze parę opieszalnych dorożek. Inne pojazdy wyczekiwały od wielu godzin, martwe, ze śpiącymi końmi i woźnicą. I w miarę jak ciągnęły się bulwary, bulwar BonneNouvelle za Poissonnière, a dalej bulwar Saint-Denis, bulwar Saint-Martin, aż do placu Republiki, zaczynały się znowu i pogłębiały nędza i cierpienie, opuszczenie i głód, cała biedota ludzka wypychana na ulicę, w ciemność, a tymczasem przybywała już armia zamiataaczy, którzy mieli usunąć wczorajsze nieczystości i sprawić, aby Paryż, ujrzawszy się o świcie w przyzwoitej szacie, nie musiał się rumienić z powodu tyłu brudów i tyłu okropności nagromadzonych przez jeden dzień.

Ale dopiero minawszy bulwar Voltaire i doszedłszy do dzielnic de la Roquette i Charonne, bracia wyraźnie odczuli, że wracają do środowiska pracy, gdzie często brakowało chleba, gdzie życie było cierpieniem. Tam Piotr był jak u siebie, bo wśród tych długich, ludnych ulic nie było takiej, której nie przebiegłby stokrotnie z dobrym księdzem Rose, odwiedzając zrozpaczonych, niosąc jałmużnę, zbierając porzucone w rynsztoku dzieci. Toteż zbudziły się w nim przerażające wspomnienia tyłu dramatów, których był świadkiem, tyłu krzyków, łez i krwi, tych ojców, matek i dzieci stłoczonych w norach, umierających z biedy, brudu i opuszczenia. Ujrzał owo piekło społeczne, gdzie, sam płacząc, pozostawił wreszcie ostatnią nadzieję, skąd uciekł, przekonany odtąd, że miłosierdzie było tylko iluzoryczną, bezużyteczną zabawą bogaczy. I owo przekonanie powracało do niego w tej porannej godzinie, w dreszczu oczekiwania, z niezwykle wyrazistością, gdy znowu patrzył na tę dzielnicę tak cierpiącą, zrujnowaną, skazaną na wieczystą rozpacz. Czyż tam, w swojej norze, ów stary człowiek, którego ksiądz Rose przywołał do życia pewnego wieczora, nie umarł był dnia poprzedniego z głodu? A tę dziewczynkę, którą on sam pewnego ranka zabrał stąd na rękach po śmierci obojga rodziców, spotkał niedawno, jak już dorosła wałęsała się po ulicy i krzyczała pod razami sutenera. Był ich legion, tych nędzarzy, których niepodobna było uratować, i takich, co nieustannie rodzili się do niedoli, jak człowiek rodzi się kaleką, i takich, co ze wszystkich stron wpadali w to morze ludzkiej niesprawiedliwości, w ten sam odwieczny ocean, który na próżno usiłujemy wyczerpać i który rozlewa się coraz szerzej. Ciężkie milczenie, zageśczone ciemności panują na tych robotniczych, ulicach, gdzie zapewne sen jest dobrym towarzyszem śmierci! I głód kraży, nieszczęście rozpacza, upiorne, niewyraźne cienie przechodzą i giną w łonie ciemności.

W miarę jak szli, Wilhelm i Piotr włączali się w ciemne grupy, spieszące przed siebie, w stado ciekawych, w całe to głuche i namiętne dreptanie ku gilotynie. Wyciekało to, napływało z całego Paryża, jak gdyby pędzone gwałtowną gorączką, pragnieniem śmierci i krwi. I mimo głuchego pomruku, jaki dobiegał od ciemnego tłumu, biedne ulice pozostawały mroczne, nie błysnęło ani jedno okno w fasadach, nie dochodził nawet oddech pracowników powalonych zmęczeniem na smutne, nędzne legowiska, z których mieli się zwlec już niedługo, wczesnym rankiem.

Doszedłszy do placu Voltaire, Piotr na widok ciżby, która już się tam tłoczyła, zrozumiał, że nie uda się im przejść ulicą de la Roquette. Zresztą na pewno ulica ta była już zamknięta. Wówczas przyszło mu na myśl, aby dojść do rogu ulicy Merlin, a następnie skrócić w ulicę de la Folie-Regnault, która biegnie poza więzieniem.

Istotnie panowała tam jedynie pustka i ciemności. Wielka masa więzienia, z jego ogromnymi nagimi murami oświetlonymi ukośnie księżycem, wydawała się stosem zimnych, od stuleci martwych kamieni. Na końcu tej ulicy znów dostali się w tłum, w zwartą, niespokojną i ruchomą falę, w której rozróżnić było można jedynie blade plamy twarzy. Z wielkim trudem dobrnęli do domu, w którym mieszkał Mège, na rogu ulicy Merlin. Ale żaluzje w mieszkaniu, które deputowany socjalistyczny zajmował na czwartym piętrze, były hermetycznie zamknięte, gdy tymczasem w obramieniu wszystkich innych okien, szeroko otwartych, widać było tłoczące się głowy. Na dole sklep kupca winnego, a także należąca doń sala na pierwszym piętrze płonęły światłem gazowym, napęczniałe już od bardzo gwarnych konsumentów, oczekujących na widowisko.

— Nie miałbym odwagi wejść na górę i zapukać do Mège'a — odezwał się Piotr.

Wilhelm zachnął się.

— Nie, nie, nie chcę... Wejźmy raczej tu. Przekonamy się, czy z balkonu można coś zobaczyć.

Sala na pierwszym piętrze miała duży balkon, który zagarnęli już panowie i panie. Udało im się wszakże wśliznąć i przez parę minut stali i patrzyli, usiłując przeniknąć dalekie ciemności. Pomiedzy dwoma więzieniami, Grande et Petite Roquette, biegnąca w górę ulica rozszerzała się i tworzyła coś w rodzaju kwadratowego placu ocienionego przez cztery kępy platanów zasadzonych przy chodnikach. Niskie budynki, anemiczne drzewa, cała ta mizerna brzydota zdawała się pełzać tuż przy ziemi, pod ogromnym niebem, gdzie po zachodzie księżyca ukazywały się gwiazdy. Plac ten był zupełnie pusty, widać było tylko jakiś nieznaczný ruch w głębi, a tymczasem tutaj dwa kordony straży powstrzymywały tłum, odpychały go w sąsiednie ulice. Wysokie, pięciopiętrowe domy z jednej strony były dopiero przy świeżo wytyczonej ulicy Saint-Maur, a więc zbyt daleko, a z drugiej strony dopiero na skrzyżowaniu ulicy Merlin z ulicą de la Folie-Regnault, tak że było prawie niepodobieństwem zobaczyć cokolwiek z egzekucji, nawet z najkorzystniej położonych okien. Gapie stojący na bruku widzieli tylko straże, co nie powstrzymywało tej ludzkiej fali, od której dobiegał gwar coraz głośniejszy. Tymczasem, dzięki rozmowom kobiet długo już czekających, które obok nich wychylały się z balkonu, dwaj bracia wreszcie zaczęli coś dostrzegać. Było w pół do czwartej, zapewne skończono już wznosić gilotynę.

Przed więzieniem, pod drzewami, ów niejasny słaby ruch to byli pomocnicy kata, którzy umocowywali nóż. Latarnia poruszała się wolno, kilka cieni tańczyło na ziemi. I nic więcej, plac wyglądał jak dziura ciemności, ciasno otoczona ze wszystkich stron przez zwartą falę huczącego, niewidocznego tłumu. Dalej były tylko gwarne sklepy kupców winnych, jasno oświetlone, podobne do latarni morskich. Dokoła dzielnica biedoty, i pracy spała jeszcze, warsztaty i fabryki pogrążone były w ciemności, na wysokich, wyziębłych kominach nie chwiały się jeszcze pióropusze dymu.

— Nie zobaczymy nic! — rzekł Wilhelm.

Ale Piotr dał mu znak, aby milczał. Rozpoznał właśnie w eleganckim panu, wspartym łokciami o poręcz tuż przy nich, pełnego wdzięku deputowanego Dutheil; w pierwszej chwili wydało mu się, że jest on z małą księżną de Harth, którą mógł być zabrać na egzekucję, skoro wziął ją był do sądu w dniu wydania wyroku; po chwili jednak doszedł do wniosku, że opatulona, przyciśnięta do niego młoda kobieta to piękna Sylwiana o czy- -stym dziewczym profilu. Zresztą wcale się nie ukrywała, właśnie mówiła bardzo głośno, zapewne pijana, tak że dwaj bracia wkrótce wszystkiego się dowiedzieli. Duvillard, Dutheil i inni przyjaciele byli u niej na kolacji, gdy około godziny pierwszej w nocy, przy deserze, słysząc, że dziś ma nastąpić stracenie Salvata, nagle postanowiła to zobaczyć. Duvillard na próżno błagał ją, a gdy tym razem, wściekły, odszedł, ponieważ uważał, że dałby dowód złego smaku, gdyby asystował przy egzekucji człowieka, który chciał wysadzić w powietrze jego pałac, ona uwiesiła się u ramienia Dutheila obiecując mu, co tylko zapragnie, byle zaspokoił jej kaprys. Bardzo niechętnie, gdyż nie cierpiał ohydnych widowisk, ale tym bardziej godny jej wdzięczności, że odmówił poprzednio towarzyszenia małej księżnie, ustąpił jednak wobec gorącego, nigdy niezaspokojonego požądania, jakie budziła w nim Sylwiana.

— On nie rozumie, że mnie to bawi — mówiła o baronie. — A przecież byłoby to miło z jego strony... Ba, ale jutro zobaczy go pan u moich stóp.

— A więc — zapytał Dutheil — pokój zawarty, zwróciła mu pani uprawnienia pana i władcy, z chwilą gdy podpisano pani *engagement* do Komedii? Żywo zaprotestowała.

— Co? Jak? Pokój?... Wcale nie, o nie, słyszy pan?! Przysięgam, że nic z tego, zanim nie odbędzie się mój debiut... W ten wieczór, kiedy zejde z sceny, zobaczymy!

Oboje śmiali się i Dutheil, chcąc ją sobie zjednać, opowiedział, z jaką gorliwością nowy minister oświaty i sztuk pięknych, Dauvergne, pospieszył usunąć trudności, które dotąd zamykały podwoje Komedii przed jej kaprysem i przed rozpaczliwymi atakami Duvillarda. Czarujący człowiek z tego Dauvergne'a, aksamitna ręka, wdziek, kwiat tego ogólnie chwalonego gabinetu, którego żelazną pięścią był straszliwy Monferrand.

— Powiedział on, moja piękna przyjaciółko, że śliczna dziewczyna wszędzie jest na swoim miejscu.

A potem, gdy uradowana z pochlebstwa, przytuliła się do niego, dodał:

— I pojutrze odbędzie się to słynne wznowienie *Polieukta*, w którym ma pani odnieść triumf?... Wszyscy pójdziemy panią oklaskiwać.

— Tak, pojutrze, właśnie wieczorem tego dnia, kiedy baron wydaje za mąż córkę. Będzie to dla niego dzień silnych wzruszeń!

— A tak, prawda, tego dnia nasz kochany przyjaciel Gerard poślubia pannę Kamilę Duvillard. Ludzie będą się tłoczyli w Madeleine, a potem w Komedii Francuskiej. I ma pani słuszność, mocno będą biły serca przy ulicy Godot-de-Mauroy!

Znowu się roześmiali, żartowali z ojca, matki, kochanka, córki, robili aluzje ohydne w swej rubasznosci i okrucieństwie, byle się pośmiać z paryską lekkomyślnością. Potem ona rzekła niespodzianie:

— Wie pan, mój mały Dutheil, że ja się tutaj strasznie męczę. Nie widzę nic, a chciałabym być zupełnie blisko, aby się dobrze wszystkiemu przyjrzeć... Więc niech mnie pan zaprowadzi tam, do samej tej ich maszyny.

Zmieszał się, zwłaszcza że w tej chwili Sylwiana dostrzegła na ulicy przy drzwiach sklepu winnego Massota i głośno przywołała go machając ręką. Na odległość wywiązała się rozmowa między balkonem a chodnikiem.

— Prawda, panie Massot, że deputowany może nie zważać na żadne zakazy i zaprowadzić damę wszędzie, gdzie chce?

— Nigdy w życiu! Massot dobrze wie, że deputowany powinien bardziej niż inni szanować prawo.

Na ten okrzyk Dutheila dziennikarz zorientował się, że nie ma on ochoty opuścić balkonu.

— Musiałaby pani mieć zaproszenie. Wówczas może umieszczono by panią w jednym z okien Petite-Roquette. Ale przecież tam w ogóle nie dopuszczają kobiet... A poza tym nie powinna się pani uskarżać, jest tu pani, bardzo dobrze.

— Ależ, mój mały Massot, stąd nic nie widzę!

— Widzi pani stamtąd i tak więcej niż księżna de Harth, którą spotkałem przed chwilą w powozie przy ulicy Chemin-Vert i której policja nie chce przepuścić dalej.

Ta nowina przywróciła Sylwianie dobry humor, natomiast Dutheil zadrzał na myśl o grożącym mu niebezpieczeństwie, niechybnie bowiem Rozamunda, zobaczywszy go z inną kobietą, urządziłaby mu straszliwą scenę. Wpadł więc na nowy pomysł; kazał podać swej — jak ją nazywał — pięknej przyjaciółce butelkę szampana i ciastka. Skarżyła się, że umiera z pragnienia; gdy kelnerowi udało się postawić przy niej na balkonie mały stolik, była zachwycona, że może znowu jeść i pić. Od tej chwili wszystko wydawało się jej bardzo miłe, bardzo szykowne: jeść i pić w oczekiwaniu na śmierć człowieka, którego tam, przed nimi, miano zgilotynować.

Wilhelm i Piotr nie mogli zostać dłużej. To, co słyszeli, to, co widzieli, napępiało ich wstrętem. Powoli nuda oczekiwania przeobraziła gapiów z balkonu i z sąsiedniej sali w konsumentów. Kelner nie mógł nadażyć z podawaniem kufli piwa, wyborowych win, biszkoptów, a nawet zimnych mięs. A przecież byli tam widzowie tylko ze sfer mieszczańskich, bogaci panowie, elegancka publiczność. Ale trzeba było czymś zapełnić wlokące się godziny; rozlegały się śmiechy, płaskie i okrutne żarty — gorączkowy, nerwowy gwar wśród obłoków dymu z cygar. Na dole, gdy bracia mijali salę parterową, panował podobny tłok, ten sam krzykliwy tumult, wzmożony jeszcze hałaśliwym zachowaniem krzepkich zuchów w bluzach, którzy popijali beczkowe wino przy cynkowym

kontuarze, lśniącym jak srebro. Zajęte były również wszystkie małe stoliki, na sali wrzało od nieustannego kręcenia się uboższych klientów, którzy wstępowali tu dla zabicia czasu... I cóż to byli za ludzie! Wszelkie szumowiny, włóczykije, męty rojące się od świtu w pogoni za jakąś gratką, byle uniknąć pracy!

Kiedy już znaleźli się na chodniku, Wilhelm i Piotr poczuli się jeszcze bardziej przygnębieni. W ciżbie, którą powstrzymywała policja, widzieli jedynie błoto dobyte z dna nędzy, prostytutkę i zbrodnię, jutrzejszych morderców, którzy przyszli zobaczyć, jak trzeba im będzie umierać. Plugawe dziewczki z gołymi głowami mieszały się z bandami włóczęgów, przepychały się przez tłum i głośno wykrzykiwały sprośne piosenki. Inni podejrzani osobnicy, stojąc w grupie, klócili się wspominając, jak umierali słynni skazańcy na gilotynie. Co do jednego tylko wszyscy byli zgodni i mówili o nim, jak gdyby był wielkim wodzem, bohaterem słynnym z niezwykłego, nieśmiertelnego męstwa. Były to strzępy przerażających zdań pochwycone w przejściu, szczegóły dotyczące gilotyny, ohydna fanfaronada, sprośności ociekające krwią. A nad tym wszystkim zwierzęce podniecenie, wprawiająca w obłęd ruja śmierci, nieprzytomny pośpiech, aby jak najprędzej świeża i czerwona krew popłynęła pod nożem, aby zobaczyć ją na ziemi, aby się w niej skąpać. Ale wśród tłumu, w oczekiwaniu na egzekucję, która nie była egzekucją zwykłego mordercy, krążyli jacyś samotni, milczący mężczyźni o płonących oczach; widać było, że ponosi ich egzaltacja wiary, w której czuło się narastające zaraźliwe szaleństwo zemsty i męczeństwa.

Wilhelm właśnie myślał o Wiktorze Mathis, gdy wydało mu się, że go rozpoznaje w pierwszym rzędzie, wśród gapiów powstrzymywanych przez policję. Istotnie był tam, ze swoją chudą twarzą bez zarostu, bladą i ściągniętą; musiał wspinać się na palce, bo był niskiego wzrostu; i stał obok wysokiej, rudej, gestykulującej dziewczyny, nieruchomy, milczący, cały w oczekiwaniu, z oczyma utkwionymi przed siebie, okrągłymi, żarliwymi i nieruchomymi oczyma nocnego ptaka, który widzi w ciemności. Policjant odepchnął go brutalnie; ale on wrócił, cierpliwy, prześlakły nienawiścią, pragnąc zobaczyć to mimo wszystko, aby móc nienawidzić jeszcze bardziej.

Gdy Massot tym razem dojrzał Piotra nie w sutannie, wcale się już nie zdziwił; odezwał się do niego ze swoją wesołą miną: — Ach, pan Froment, i pana również zdjęła ciekawość, aby to zobaczyć?

— Tak, jestem z bratem. Ale obawiam się, że nie zobaczymy wiele.

— Oczywiście, o ile panowie zostaniecie tutaj.

I zaraz, uprzejmie, z młodzieńczą chełpliwością, chcąc popisać się swoją potęgą znanego dziennikarza, dla którego nie istnieją zakazy, dodał:

— Chcą panowie pójść ze mną? Mam tu znajomego urzędnika z policji.

Nie czekając na odpowiedź, zatrzymał tego urzędnika, rozmówił się z nim cicho i żywo, opowiedział mu jakąś zmyśloną historię, że przyprowadził dwóch kolegów, którzy mają pisać artykuły. Urzędnik najpierw zawahał się, odmówił. Potem ze znużeniem skinał przyzwalająco ręką; i on żywił ten tajony lęk, jaki zawsze odczuwa policja w stosunku do prasy.

— Proszę szybko ze mną — rzekł Massot pociągając obu braci.

Zaskoczeni tym, że kordon policji tak nagle otworzył się przed nimi, znaleźli się na wielkiej, wolnej przestrzeni. Za burzącym się tłumem, pod niskimi

platanami, panowała pustka, milczenie, kojąca cisza. Noc bladła, jasność jutrzeńki zaczynała padać z nieba jak delikatny popiół.

Przeprowadziwszy ich ukośnie przez plac, Massot zatrzymał się przed więzieniem i rzekł nowu:

— Ja wejść, chcę asystować przy obudzeniu i toalecie skazańca... Panowie przechadzajcie się, patrzcie, nikt was o nic nie zapyta. Zresztą wrócę tu do was.

Znajdowało się tam ze sto osób, rozproszonych w ciemności; byli to dziennikarze i zwykli widzowie. Po obu stronach brukowanej drogi, która prowadziła od bramy więzienia Roquette do gilotyny, ustawiono bariery, ruchome drewniane bariery, jakich używa się do utrzymywania kolejek przed teatrami. Ludzie już stali opierając się o nie, ażeby znaleźć się jak najbliżej w chwili,

gdy będzie przechodził skazaniec. Inni przechadzali się z wolna, rozmawiali półgłosem. Tam podeszli dwaj bracia.

Gilotyna stała pod drzewami, w jasnej zieleni pierwszych liści. Zrazu ją tylko dostrzegli, oświetloną nędznym płomykiem pobliskiej latarni gazowej, który żółkł przy rodzącym się dniu. Właśnie kończono ją montować, bez hałasu, tak że słyhać było jedynie głucho i rzadkie uderzenia młotka; i teraz pomocnicy kata, w surdutach, w czarnych jedwabnych cylindrach, czekali, snując się z wyczekującymi minami. Jak podle i haniebnie wyglądała ta gilotyna, rozplaszczona przy ziemi niby nieczyste zwierzę, sama upokorzona praca, jaką miała wykonać! Więc to było narzędzie zemsty społeczeństwa, machina mająca dawać odstraszący przykład. Parę belek tuż przy ziemi i wprawione w nie pionowo dwie inne belki, zaledwie trzymetrowej wysokości, w których osadzony był nóż! Gdzież więc było wielkie, pomalowane na czerwono rusztowanie, na które wchodziło się po dziesięciu stopniach, które wyciągało ogromne zakrwawione ramiona, stercząc nad zgromadzonymi tłumami, odważnie ukazując ludowi okropność kary? Teraz bestię zagrzebano w ziemi, więc spodłała, stała się obłudna i tchórzliwa. O ile w ubogiej sali sądowej, w dzień, kiedy skazywała człowieka na śmierć, sprawiedliwość ludzka wydawała się tylko odarta z majestatu, o tyle w strasznym dniu, kiedy zadawała mu śmierć, była już tylko ohydną rzeźnią, posługującą się narzędziem najbardziej barbarzyńskim i odstraszącym, jakie może istnieć.

Wilhelm i Piotr patrzyli na gilotynę i ogarniał ich dreszcz mdłości. Powoli rozwidniało się, coraz lepiej widać było otoczenie, naprzód plac z dwoma naprzeciwległymi, niskimi i szarymi więzieniami, następnie dalekie domy, winiarnie i pracownie kamieniarskie wyrabiające nagrobki, sklepy z wieńcami

i kwiaciarnie, mnożące się. dzięki sąsiedztwu cmentarza Père--Lachaise.

Można już było dostrzec wyraźnie wielki krąg, czarną linię tłumy, a także okna, balkony, rojące się od głów; ludzie, stali nawet na dachach. Na wprost bracia mieli więzienie Petite-Roquette zmienione w rodzaj dyskretnej trybuny dla zaproszonych. Jedynie pośrodku dużej pustej przestrzeni wolno; poruszała się konna policja. Niebo jaśniało z każdą chwilą i poza tłumem, w całej dzielnicy zaczęła się budzić praca, wzdłuż szerokich, nie kończących się ulic, przy których na nie zabudowanych terenach usadowiły się warsztaty, fabryki i składy materiałów budowlanych.

Wstawał jakiś pomruk, maszyny i warsztaty miały znowu pójść w ruch i już dymy wydobywały się z lasu wysokich ceglanych kominów, które zewsząd wyrastały z ciemności.

Wówczas Wilhelm pojął, że gilotyna istotnie jest na swoim miejscu tutaj, w dzielnicy nędzy i pracy. Wznosiła się tutaj u siebie, jak kres i jak groźba. Czyż ciemnota, cierpienie, ubóstwo nie prowadziły do niej? Czyż nie było jej zadaniem, ilekroć umieszczano ją pośród tych robotniczych ulic, trzymać w karbach wydziedziczonych i głodomorów, doprowadzonych do rozpaczki wieczną niesprawiedliwością i wiecznie gotowych się zbuntować? Nie widywano jej nigdy w dzielnicach bogactwa i rozkoszy, bo ich nie miała potrzeby napęlić przerażeniem. Tam wydawałaby się nieużyteczna, hańbiąca w całej swojej dzikiej potworności. I rzeczą tragiczną i przerażającą było, że ten człowiek, który rzucił był swoją bombę ogarnięty szaleństwem nędzy, miał zostać zgilotynowany właśnie tutaj, w tej dzielnicy nędzy. Dzień już się narodził, dochodziło wpół do piątej. Daleki, podniecony tłum czuł, że zbliża się godzina.

W powietrzu przebiegł dreszcz.

— Zaraz nadejdzie — rzekł mały Massot, który znów się pojawił. — O, ten Salvat to jednak odważny człowiek!

I opowiedział, jakie było obudzenie skazańca, gdy do jego celi wszedł dyrektor więzienia, sędzia śledczy Amadieu, spowiednik i jeszcze jakieś inne osoby; Salvat, który spał głębokim snem, otwierając oczy od razu zrozumiał, co nastąpi; wstał blady, ale natychmiast odzyskał panowanie nad sobą. Ubrał się bez niczyjej pomocy, nie przyjął kieliszka koniaku i papierosa, które zaofiarował mu spowiednik, zacny człowiek, a także łagodnym i stanowczym gestem odsunął krucyfiks. Następnie toaleta, skrępowanie rąk do tyłu, przytrzymanie nóg luźnym powrozem, włożenie szeroko, aż na ramiona wyciętej koszuli — wszystko to odbyło się szybko, bez słowa. Uśmiechał się, gdy dodawano mu odwagi, tężał w sobie, bojąc się tylko jakiejś nerwowej słabości, żywiąc jedno tylko pragnienie, w którym przeżyła się cała jego istota, aby umrzeć jak bohater, pozostać męczennikiem płomiennej wiary w prawdę i sprawiedliwość, dla której oddawał życie.

— Sporządzają teraz akt zgonu w aktach więziennych — mówił dalej Massot. — Podejdźcie, panowie, i stańcie przy barierze, jeżeli chcecie zobaczyć go z bliska... Proszę mi wierzyć, że ja byłem blejszy i bardziej drżący od niego. Wydawało mi się, że już niczym przejąc się nie potrafię, a jednak ten człowiek, który ma umrzeć, to nic wesołego... Nie wyobrażacie sobie, panowie, starań i wysiłków, jakie czyniono, aby go ocalić. Jedna część prasy domagała się ulaskawienia. I wszystko na próżno, egzekucja, zdaje się, była nieunikniona nawet w oczach tych, którzy uważali ją za omyłkę. A przecież nastęrczała się tak wzruszająca okazja, aby go ulaskawić, gdy jego córeczka, ta mała Celina, napisała do prezydenta republiki piękny list, który ja pierwszy opublikowałem w „Globie”... Oto list, który może się tym pochlubić, że naprawdę zrobił na mnie wrażenie.

Na imię Celiny Piotr, już wzburzony oczekiwaniem na straszliwe widowisko, wzruszył się do łez. Stała mu przed oczyma ta dziewczynka, a wraz z nią zrezygnowana i zboliała pani Teodorowa, w ich ogołoconej, zimnej izbie, gdzie ojciec nie miał już nigdy powrócić! Stamtąd wyszedł w poranek gniewu, z

pustym żołądkiem, z płonąca głową; a doszedł aż tutaj, pomiędzy te dwie belki, pod ten nóż.

Massot wciąż podawał nowe szczegóły; opowiadał teraz, że lekarze byli wściekli, ponieważ obawiali się, że nie uda się im uzyskać ciała skazańca bezpośrednio po egzekucji. Ale Wilhelm już go nie słuchał. Oparty łokciami o drewnianą poręcz, czekał z oczyma utkwionymi w drzwi więzienia, wciąż jeszcze zamknięte. Drżenie wstrząsało jego rękoma, twarz miał strwożoną, jak gdyby to jego czekała kaźń. Znowu ukazał się kat, nieduży nijaki człowiek, z miną niezadowoloną; widocznie chciał jak najprędzej z tym skończyć. Następnie, w grupie asystujących mu ludzi w surdutach, zjawił się szef Bezpieczeństwa Gascogne, z zimnym, urzędowym wyrazem twarzy, oraz sędzia śledczy Amadiou, uśmiechnięty, bardzo wymuskany mimo wczesnej godziny, przybyły tu z obowiązku i w poczuciu ważności chwili, niby na piąty akt słynnego; dramatu, który uważał za swoje dzieło. Głośniejszy zgiełk dobiegał teraz od dalekiego tłumu i Wilhelm, podniósłszy na chwilę głowę, znowu zobaczył dwa szare więzienne budynki, wiosenne platany, domy przepełnione ludźmi pod wielkim, bladolazurowym niebem, gdzie triumfalne słońce miało się znowu narodzić.

— Oto on, uwaga!

Kto to powiedział? Nieznacznym, głuchym zgrzyt otwieranych drzwi ścisnął wszystkie serca. Były już tylko wyciągnięte szyje, utkwione spojrzenia, wstrzymane oddechy. Na progu stanął Salvat. Gdy spowiednik wychodził przed nim, cofając się, aby zasłonić mu gilotynę, on zatrzymał się, chciał ją zobaczyć, poznać, zanim ku niej podejdzie. Stał z obnażoną szyją, ukazywał, twarz pociągłą, postarzałą, zapadłą z nędzy, ale przeistoczona niezwykłym blaskiem jego płomiennych i marzycielskich oczu. Ponościła go egzaltacja, umierał pogrążony w swoim marzeniu. Gdy pomocnicy kata zbliżyli się, aby go podtrzymać, znów się sprzeciwił. I podszedł drobnym krokiem, tak szybko i prosto, jak tylko pozwolił mu na to powróż, którym spętano mu nogi. Wilhelm nagle uczuł oczy Salvata w swoich oczach. Zbliżając się skazaniec dostrzegł go, poznał; a ponieważ przechodził w odległości zaledwie dwóch metrów, uśmiechnął się lekko i przeniknął go wejrzeniem tak głębokim, że Wilhelm na zawsze miał w sobie zachować jego żar. Jakaż to myśl ostatnią, jaki ostateczny testament pozostawiał mu do przemyślenia, może do wykonania? Było to tak przejmujące, iż Piotr w obawie, że brat jego mimo woli coś krzyknie, położył mu rękę na ramieniu. — Niech żyje anarchia! To krzyknął Salvat. Ale głos, zmieniony, zdławiony, załamał się w wielkiej ciszy. Parę obecnych osób zbladło, tłum w dali wydawał się martwy. Pośrodku dużej pustej przestrzeni słychać było, jak parsknął koń któregoś z policjantów.

Wtedy nastąpiło ohydne zajście, scena o trudnej do opisanego brutalności i sromocie. Pomocnicy kata rzucili się na Salvata, który nadchodził powoli z uniesionym czołem. Dwóch chwyciło go za głowę, ale natrafili na, rzadkie włosy i nie mogli go przy-
giąć inaczej jak wieszając mu się na karku; tymczasem dwaj inni porwali go za nogi i brutalnie rzucili na deskę, która zakołysała się i skrzyła. Głowa została uniesiona, gradem uderzeń wtłoczona w otwór, a wszystko to stało się w takim zamieszaniu, z tak srogą dzikością, jak gdyby chodziło o zabicie niebezpiecznej bestii, której trzeba się pozbyć jak najprędzej. Nóż opadł,

nastąpił silny wstrząs, ciężki i głuchy. Trysnęły dwa wysokie strumienie krwi z przeciętych arterii, nogi drgnęły konwulsyjnie. Nie ujrzano już nic więcej, kat ocierał ręce machinalnym ruchem, a jego pomocnik cisnął uciętą, ociekającą krwią głowę do niewielkiego koszyka, który z kolei włożył do wielkiego kosza, gdzie już właśnie szybko rzucono ciało.

Ach, to głuche uderzenie, to ciężkie uderzenie noża! Wilhelm usłyszał je odbite echem w oddali, w tej dzielnicy nędzy i. pracy, w głębi ubogich izb, gdzie tysiące robotników o tej godzinie wstawały do ciężkiego codziennego trudu! Nabierało ono tam strasznego znaczenia, mówiło o rozpaczliwej wywołanej niesprawiedliwości, o szaleństwie męczennika, o bolesnej nadziei, że rozlana krew przyspieszy zwycięstwo wydziedziczonych. Piotr zaś czuł, jak z tych podłych jatek, z tego ohydneho mordy, dokonanego przez maszynę do zabijania, rodzi się nowy dreszcz i przejmuje go lodem wobec nagłej wizji innego ciała, jasnowłosej, ładnej dziewczynki, ranionej w brzuch przez wybuchającą bombę, leżącej tam, pod kolumnadą pałacu Duvillardów. Krew płynęła z kruchego ciała, tak jak niedawno trysnęła z tej przeciętej szyi. Była to krew wylana jako zapłata za krew i był to jak gdyby wieczyste spłacany dług ludzkiego nieszczęścia; jednakże człowiek nigdy nie mógł spłacić długu swojemu cierpieniu.

Ponad placem, ponad tłumem wciąż panowało wielkie, milczące, jasne niebo. Jak długo trwała ta ohyda? Może wieczność, może dwie lub trzy minuty. Wreszcie nastąpiło przebudzenie, ludzie wyzwalali się z koszmaru, ręce im drżały, twarze mieli pobladłe, oczy pełne litości, niesmaku i trwogi. — Jeszcze jeden... to już czwarty, jakiego widziałem — rzekł Massot, który czuł się nieswojo. — A jednak wolę pisać o ślubach... Wyośmy się stąd, mój artykuł gotów.

Wilhelm i Piotr machinalnie poszli za nim, powtórnie przecięli plac i znaleźli się na rogu ulicy Merlin. I tam zobaczyli znów, stojącego w tym samym miejscu, gdzie go zostawili, małego Wiktora Mathis z płomiennymi oczyma w białym, niemym obliczu. Nie mógł nic dokładnie widzieć, ale uderzenie noża brzmiało jeszcze w jego mózgu. Jakiś policjant potrafił go, krzyknął, aby szedł dalej. On przez chwilę patrzył na niego, porwany nagłą wściekłością, gotów zabić. Ale po chwili spokojnie oddalił się, poszedł w górę ulicą de la Roquette, u której szczytu we wschodzącym słońcu widać było cienisty cmentarz Père-Lachaise.

Dwaj bracia natknęli się jeszcze na wielką scenę wyjaśnień, których mimo woli wysłuchali. Przybyła wreszcie księżna de Harth, ale widowisko było skończone; rozwścieczyło ją to tym bardziej, że właśnie w drzwiach winiarni dostrzegła swego nowego przyjaciela, Dutheila, w towarzystwie jakiejś kobiety.

— O, to bardzo ładnie z pańskiej strony tak mnie zostawić! Mój powóz nie mógł ruszyć z miejsca, musiałam przyjść piechotą poprzez ten podły tłum, który potraçał mnie i wymyślał.

Dutheil, błyskawicznie oceniwszy sytuację, przedstawił jej Sylwianę i wtrącił, że zastępuje przy niej pewnego przyjaciela. Rozamunda, która płonęła chęcią poznania aktorki, chęcią zapewne podsycaną przez plotki krążące na temat niezwykłych fantazji erotycznych Sylwiany, od razu uspokoiła się, rozplynęła się w uprzejmościach.

— Byłabym taka szczęśliwa, pani, oglądając to widowisko wraz z tej miary artystką, którą tak gorąco podziwiam, chociaż nie miałam jeszcze okazji osobiście tego wyrazić.

— O mój Boże, niewiele pani straciła przychodząc za późno! Staliśmy tam na górze, na balkonie, i widziałam tylko ludzi, którzy się wzajemnie poszturchiwali, nic więcej... Nie warto było zadawać sobie tyle trudu.

— Ale teraz, kiedy zawarłyśmy znajomość, mam nadzieję, że pozwoli mi pani zostać jej przyjaciółką.

— Oczywiście, księżno, tak jak z kolei ja będę dumna i szczęśliwa mogąc być przyjaciółką pani.

Trzymając się za ręce, uśmiechały się do siebie, Sylwiana, bardzo jeszcze pijana, ale już odzyskująca wyraz niewinności, Rozamunda płonąca nową ciekawością, spragniona poznać wszystko, nawet to.

Teraz Dutheil, rozpogodzony, pragnął już tylko odprowadzić Sylwianę do domu i spróbować, czy uda mu się uzyskać zapłatę za tyle uprzejmości. Przywołał Massota, który właśnie nadszedł, i zapytał go, gdzie mieści się najbliższy postój dorożek. Ale już Rozamunda zaofiarowała swój powóz; wyjaśniła im, że jej woźnica czeka w sąsiedniej ulicy, i uparła się, że ona odwiezie aktorkę, a następnie deputowanego pod same drzwi. I ten, zrozpaczony, musiał się zgodzić.

— A zatem jutro, w kościele Madeleine — rzekł ściskając dłoń księżny Massot, który już odzyskał swój zwykły tupet.

— Tak, jutro w Madeleine i w Komedii.

— Ach, prawda! — zawołał ujmując rękę Sylwiany i całując ją. — Rano w Madeleine, wieczorem w Komedii... Będziemy tam wszyscy, aby zgotować pani wielki sukces.

— Liczę na to... Do jutra!

— Do jutra!

Tłum rozplątywał się, gwarny, zmęczony, z jakimś rozczarowaniem i niesmakiem. Paru fanatyków tylko ociągało się jeszcze, aby zobaczyć, jak odjeżdża furgon z ciałem skazańca; a tymczasem bandy włóczęgów i dziewczek, bladych w pełnym świetle dnia, gwizdały, zwoływały się najgorszymi wyrazami do powrotu w swoje mroki. Pomocnicy kata szybko rozbierali gilotynę. Wkrótce plac był uprzątnięty.

Wtedy Piotr postanowił wyprowadzić Wilhelma, który nie odezwał się jeszcze ani słowem, jak gdyby oszołomiony głuchym uderzeniem noża. I na próżno Piotr ruchem ręki ukazał mu żaluzje w mieszkaniu Mège'a, wciąż uparcie zamknięte na fasadzie wysokiego domu, podczas gdy wszystkie inne okna były szeroko otwarte. Zapewne był to protest deputowanego socjalistów przeciwko karze śmierci, mimo że nienawidził on anarchistów. Gdy tłum cisnął się na straszliwe widowisko, on, leżąc twarzą do ściany, rozmyślał, jakim sposobem zmusi wreszcie ludzkość, żeby była szczęśliwa pod autorytatywnym prawem kolektywizmu. Utrata dziecka zmała niedawno życie domowe tego tkliwego a biednego ojca. Kaszlał mocno, ale chciał żyć. I teraz, kiedy gabinet Monferranda miał upaść pod naciskiem jego niedalekiej już interpelacji, on winien by objąć władzę, znieść gilotynę, ustanowić sprawiedliwość i doskonałe szczęście.

— Widzisz, Wilhelmie — powtórzył Piotr łagodnie — Mège nie otworzył swoich okien, to mimo wszystko dzielny człowiek, chociaż nasi przyjaciele, Bache i Morin, go nie lubią. — Potem, ponieważ brat, nieobecny myślą, osłupiały, znów nic mu nie odpowiedział, rzekł: — No, chodźmy, trzeba wracać.

Skierowali się na ulicę de la Folie-Regnault i doszli do bulwarów zewnętrznych ulicą Chemin-Vert. O tej porze, w jasnym wstającym Słońcu, wszyscy pracujący tej dzielnicy byli już na nogach; długie ulice, przy których stały niskie zabudowania warsztatów i fabryk, tętniły sapaniem generatorów, różowiały dymy z wysokich kominów, pozłoczone pierwszymi promieniami słońca. Ale zwłaszcza gdy wyszli na bulwar Ménilmontant, wydało im się, że patrzą na jakieś ogromne najście robotników na Paryż. Towarzyszyli temu pochodowi swoim krokiem spacerowiczów, skęcili potem na bulwar Belleville. I ze wszystkich stron, ze wszystkich nędznych ulic przedmiejskich płynęła fala, nie kończąca się *exodus* robotników, którzy wstali o świcie i teraz w lekkim dreszczu poranka szli, aby znów zabrać się do ciężkiej pracy. Widziało się kitle, bluzy, spodnie aksamitne lub płócienne, grube buty, w których nogi stapały niezgrabnie, obwisłe ręce, zniekształcone przez ciężkie narzędzia. Twarze na wpół jeszcze zaspane, bez uśmiechu, szare i zmęczone, zwrócone były tam, ku wiecznemu zajęciu, wciąż na nowo podejmowanemu w jedynej nadziei, że dane im będzie wciąż na nowo je podejmować! I bez końca szła gromada, niezliczona armia rzemieślników, robotnicy za robotnikami, całe mięso przeznaczone do pracy fizycznej, które pożerał Paryż i które było mu niezbędne, aby mógł żyć w zbytku i rozkoszy.

Później, na bulwarze de la Villette, na bulwarze Chapelle i aż do wzgórza Montmartre i bulwaru Rochechouart, procesja ciągnęła się dalej, inni, coraz inni opuszczali puste i zimne izby, tonęli w ogromnym mieście, skąd, zmordowani, mieli wieczorem przynieść tylko chleb gniewu. Teraz płynęła również fala robotnic, które ubrane w jaskrawe spódnice rzucały wejrzenia na przechodniów; zarobki ich były tak śmieszne, że ładne często do pracy nie wracały, brzydkie zaś, wyniszczone, przymierały głodem. A wreszcie nadeszli urzędnicy, przyzwoita nędza, panowie w paltotach, którzy, kończąc łykać bułkę, biegli, dręczeni myślą, z czego zapłacić czynsz za mieszkanie i utrzymać dzieci i żony do końca miesiąca. Słońce wznosiło się na horyzoncie, całe mrowisko wyległo już na ulice, pracowity dzień znowu się rozpoczynał przy stałym wysiłku energii, odwagi i cierpienia.

Nigdy jeszcze Piotr nie odczuł tak wyraźnie, jak niezbędna, krzepiąca i zbawcza jest praca. Już gdy odwiedził fabrykę Grandidiera i później, gdy sam zapragnął jakiegoś zajęcia, zaczął pojmować, że w niej właśnie zawiera się najważniejsze prawo świata. Po ohydnej nocy, kiedy przelana została krew, kiedy zamordowano robotnika opanowanego szaleństwem swoich marzeń, jakimż zadośćuczynieniem, jaką nadzieją był widok słońca, znowu wstającego na niebie, i wieczystej pracy wciąż zaczynanej od nowa! Mimo że tak druzgocąca, tak potworna wskutek niesprawiedliwego podziału dóbr, czyż nie ona właśnie zrealizuje kiedyś ideał sprawiedliwości i szczęścia? Nagle, gdy dwaj bracia wspinali się po stromym zboczku wzgórza, ujrzeli naprzeciw, ponad sobą, bazylikę Sacré-Coeur, władczą i triumfalną. Nie była to już księżycowa zjawia, sen o panowaniu wznoszący się nad nocnym Paryżem. Słońce kapało ją w przepychu, była cała ze złota i — pyszna i zwycięska — płonęła nieśmiertelną chwałą.

Wilhelm w milczeniu, czując w sobie ostatnie spojrzenie Salvata, nagle, jak gdyby doszedł do jakiegoś wniosku, powziął ostateczną decyzję. Spojrzał na bazylikę płonącymi oczyma i wydał na nią wyrok.

II

Ślub miał się odbyć w południe; i oto od pół godziny zaproszeni wypełniali kościół, udekorowany z niezwykłym zbytkiem, ozdobiony zielenią, pachnący kwiatami. W głębi główny ołtarz płonął tysiącem świec, a ogromne drzwi otwarte na oścież ukazywały w jasnym słońcu perystyl przystrojony krzewami, schody pokryte wielkim dywanem i ciekawy tłum cisnący się na placu, a nawet na ulicy Royale.

Dutheil, który właśnie znalazł jeszcze trzy krzesła dla spóźnionych dam, odezwał się do Massota, zapisującego w notatniku nazwiska:

— Słowo daję, że te panie, które teraz nadejdą, będą już musiały stać.

— A jak się nazywają te trzy? — spytał dziennikarz.

— To księżna de Boisemont i jej dwie córki.

— Do licha, cała arystokracja Francji i cała finansjera, i cała polityka. To już coś więcej niż elegancki ślub paryski.

Istotnie wszystkie światy połączyły się tutaj, z początku skrępowane tym spotkaniem. Duvillard ściągnął władców pieniądza, ludzi przy władzy; panią de Quinsac i jej syna otoczyły najświetniejsze arystokratyczne nazwiska.

Sam już wybór świadków mówił o tej dziwacznej mieszaninie: ze strony Gerarda występował generał de Bozonnet, jego wuj, i margrabia de Morigny; ze strony Kamili — wielki bankier Louvard, jej kuzyn, i Monferrand, minister finansów i premier. Spokojna brawura Monferranda, który, skompromitowany niedawno w aferze barona, występował dzisiaj jako świadek na ślubie jego córki, dodawał jego triumfowi blasku bezczelności. I jak gdyby chciano jeszcze bardziej podnieść ogólną ciekawość, związek małżeński pobłogosławić miał monsignor Martha, biskup Persepolis, agent polityki papieskiej we Francji, apostoł zjednoczenia i republiki zdobytej dla katolicyzmu.

— Co tam elegancki ślub paryski — powtórzył szyderczo Massot. — To małżeństwo jest symbolem, jest apoteozą burżuazji, mój drogi: stara szlachta poświęca jednego ze swoich synów na ołtarzu złotego cielca, a to w tym celu, aby dobry Bóg i żandarmi, stawszy się znowu panami Francji, uwolnili nas od tych łotrów socjalistów. — I poprawił się: — A zresztą nie ma już socjalistów, ucięto im głowę wczoraj rano.

Dutheil, rozbawiony, uważał, że to ogromnie dowcipne. Po chwili rzekł poufnie:

— Pan wie, że nie odbyło się to bez trudności... Czytał pan dzisiaj rano podły artykuł Saniera?

— Tak, tak, ale wiedziałem już wcześniej, wszyscy wiedzieli. I półgłosem, rozumiejąc się w lot, rozmawiali dalej. U Duvillardów matka oddała wreszcie kochankę córce, ale wśród łez, po rozpaczliwej walce; ustąpiła jedynie pragnieniu, aby widzieć Gerarda bogatym i szczęśliwym, ale zachowała do Kamili straszną nienawiść pokonanej rywalki. U pani de Quinsac stoczono walkę równie bolesną; hrabina mimo

wewnętrznego buntu dała *zezwole*nie, chcąc ratować syna od katastrofy, która, jak wiedziała, groziła mu od dzieciństwa, a tak była. wzruszająca w swym macierzyńskim wyrzeczeniu, że sam margrabia de Morigny zgodził się, mimo wewnętrznego oburzenia, służyć za świadka, składając w ten sposób tej, którą zawsze kochał, ofiarę najwyższą, ofiarę ze swego sumienia. I to była ta obrzydliwa historia, jaką tego ranka Sanier opowiedział w „Głosie Ludu”, nadając jej bohaterom przejrzyste pseudonimy; znalazł nawet sposób, aby spotęgować jej ohydę; jak zawsze źle poinformowany, rozmiłowany w kłamstwie, dbał, aby codziennie przez niego przepełniony rynsztok przyciągał mu czytelników, tocząc nieustannie gęstniejącą i coraz jadowitszą falę nieczystości. Od kiedy zwycięstwo Monferranda zmusiło go do zostawienia w spokoju afery Afrykańskich Kolei Żelaznych, przerzucił się na skandale prywatne, bezcześcił i obnażał rodziny.

Nagle wpadł Chaigneux, smutny i zaaferowany, w niedbale zapiętym surducie podejrzaną czystości.

— I jakże, panie Massot, co z pańskim artykułem o naszej Sylwianie? Został uzgodniony, przejdzie?

Duvillard wpadł na pomysł, aby z Chaigneux, który zawsze gotów był wysłużyć mu się jak lokaj, uczynić naganiacza, wyrobnika bliskiego już sukcesu Sylwiany. I przydzielił go aktorce, która obarczała nieszczęśnika wszelkiego rodzaju niskimi posługami, kazała mu uganiać po Paryżu, organizować jej klakę i zapewniać triumfalną reklamę. Jego najstarsza córka nie była jeszcze zamężna, nigdy jego „cztery kobiety” nie ciążyły mu tak bardzo na barkach; i czekałoby go piekło, a nawet cięgi, jeżeli na początku każdego miesiąca nie przyniosłoby tysiącfrankowego banknotu.

— Mój artykuł — odrzekł Massot — o nie, mój drogi panie deputowany, nie przejdzie na pewno. Fonsègue uważa go za zbyt pochwalny jak na „Glob”. Zapytał mnie, czy urągam znanej surowości jego dziennika.

Chaigneux pobladł. Był to artykuł z góry przygotowany, omawiający z punktu widzenia towarzyskiego sukces, jaki Sylwiana miała odnieść wieczorem w Komedi w *Polieukcie*. Dziennikarz, chcąc okazać się uprzejmy, nawet już ją o tym zawiadomił, tak że Sylwiana, szczęśliwa, była pewna, że przeczyta ów artykuł w jednym z najpoważniejszych, dzienników.

— Wielki Boże co, teraz zrobimy — szepnął nieszczęsny deputowany. — Ten artykuł musi przejść za wszelką cenę.

— Do licha, ja sam bardzo bym sobie tego życzył. Niech pan sam pomówi z szefem... O, właśnie tam stoi, pomiędzy Vigno-nem a ministrem oświaty, Dauvergne.

— Oczywiście, pogadam z nim... Ale nie tutaj. Za chwilę, w zakrystii, gdy będzie przechodził orszak. I spróbuję również pomówić z Dauvergne'em, bo nasza Sylwiana koniecznie chce, aby on zasiadł dziś wieczorem w łoży Ministerstwa Sztuk Pięknych. Będzie tam Monferrand, przyrzekł Duvillardowi.

Massot roześmiał się, powtarzając powiedzonko, które po zaangażowaniu aktorki, obiegło Paryż:

— Gabinet Sylwiany... Winien to jest swojej chrestnej matce. Ale w tej chwili mała księżna de Harth, która właśnie nadciągnęła jak wichler, wpadła pomiędzy trzech mężczyzn.

— Czy uwierzycie, panowie, że nie ma dla mnie miejsca? Dutheil sądził, że chodzi o to, aby tutaj, w kościele, znaleźć dla niej krzesło w dogodnym miejscu.

— Proszę nie liczyć na mnie, zmuszony jestem odmówić. Właśnie z największym trudem udało mi się usadowić księżnę de Boisemont i jej dwie córki.

— Ależ ja mówię o dzisiejszym wieczornym przedstawieniu... Mój drogi Dutheil, musi pan absolutnie postarać się, aby mi dano jakiś kącik w którejś z łóż, po prostu nie przeżyłabym tego, gdybym nie mogła okłaskiwać naszej niezrównanej, naszej uroczej przyjaciółki.

Od wczoraj, od chwili gdy po egzekucji Salvata odwiozła Sylwianę pod drzwi jej domu, głosiła dla niej płomienny podziw.

— Nie znajdzie już pani ani jednego miejsca, księżno — oświadczył Chaigneux. z ważną miną. — Wszystkośmy rozdali, ofiarowywano mi właśnie przed chwilą trzysta franków za fotel.

— To prawda, ludzie wydzierali sobie nawet najdalsze straponteny — powiedział Dutheil. — Jest mi ogromnie przykro, ale proszę nie liczyć na mnie... Jeden tylko Duvillard mógłby wziąć panią do swojej łóży. Mówił mi, że rezerwuje dla mnie jedno miejsce. Ale wydaje mi się, że będziemy tam tylko w trójkę, z jego synem włącznie... Niech więc pani poprosi natychmiast Hiacynta, aby postarał się o zaproszenie dla pani.

Rozamunda, która padła w ramiona pełnego wdzięku deputowanego w pewien wieczór, gdy Hiacynt o mało jej na śmierć nie zanudził, odczuła jego ironiczną intencję. Mimo to zawołała z zachwytem:

— Ach, to prawda! Hiacynt nie może mi tego odmówić... Dziękuję za wskazówkę, mój mały Dutheil! Jest pan bardzo miły, bo traktuje pan wesoło wszystko, nawet rzeczy smutne... I proszę nie zapominać, że przyrzekł pan wtajemniczyć mnie w politykę. Och, mój drogi, co do polityki, czuję, że nic jeszcze nie pasjonowało mnie tak jak ona!

Zostawiła ich, roztrąciła tłum ludzi i w końcu udało się jej umieścić w pierwszym rzędzie.

— To naprawdę wariatka! — szepnął z rozbawioną miną Massot.

Następnie, ponieważ Chaigneux rzucił się na spotkanie sędziego śledczego Amadiou, aby go uniżenie zapytać, czy otrzymał swój fotel, dziennikarz nachylił się do ucha deputowanego.

— A propos, drogi panie, czy to prawda, że Duvillard ma puścić w ruch swoją słynną Kolej Transsaharyjską? Gigantyczne przedsięwzięcie, setki i setki milionów tym razem... Wczoraj wieczór, w redakcji, Fonsègue wzruszał ramionami, mówił, że to szaleństwo, że on w to nie wierzy.

Dutheil mrugnął i zaśmiał się.

— Sprawa jest ubita, mój miły. Fonsègue rzucił się do stóp szefa przed wpływem czterdziestu ośmiu godzin.

I beztrudno dał do zrozumienia, że złota manna spadnie znowu na prasę, na wiernych przyjaciół, na wszystkich ludzi dobrej woli. Burza minęła, więc ptak otrzępuje skrzydła. Wymuskany i gadatliwy, w radosnej pewności oczekiwanych zysków, zdawał się nie pamiętać, ile przeżył tarapatów, ile najadł się strachu z powodu oplakanej afery Afrykańskich Kolei Żelaznych.

— Do diaska! — rzekł Massot, który spoważniał. — A więc jest to więcej niż triumf, to zapowiedź nowego żniwa. Nie dziwię się już tej ciźbie.

W tej chwili organy buchnęły potężnym śpiewem triumfalnego powitania. Orszak wchodził wreszcie do kościoła. Na zewnątrz, gdy wstępował uroczyście po stopniach w jasnym słońcu, wśród tłumu, którego fala, rozlana aż na jezdnię ulicy Royale, hamowała ruch dorożek i autobusów, przyjęto go przeciągłymi okrzykami. A teraz wchodził pod wysokie, grzmiące sklepienia, zbliżał się do głównego ołtarza jarzącego się od świateł, wśród dwóch stłoczonych mas ludzkich, wśród mężczyzn w surdutach i kobiet w jasnych toaletach. Wszyscy powstali, twarze wyciągały się, uśmiechnięte, płonące ciekawością.

Naprzód, za majestatycznym szwajcarem, szła Kamila wsparta na ramieniu ojca, barona Duvillard, który miał swoją dumną, wspaniałą minę zwycięskich dni. Ona, spowita we wspaniałą alensońską koronkę, przytrzymana wieńcem z pomarańczowego kwiatu, w sukni z jedwabnego plisowanego muslinu na białym atlasowym spodzie, była tak szczęśliwa, tak promieniała triumfem, że stawała się niemal ładna, a trzymała się tak prosto, że zaledwie można było dostrzec, iż lewe ramię ma wyższe od prawego. Dalej szedł Gerard prowadząc matkę, hrabinę de Quinsac; on, bardzo urodziwy, bardzo elegancki, wyglądał nadzwyczaj poprawnie, ona, w sukni z jedwabiu w kolorze pawim, haftowanej paciorkami stalowymi i złotymi, miała w sobie niewzruszoną szlachetność i dostojeństwo. Ale oczekiwano przede wszystkim na Ewę, głowy wyciągnęły się, gdy ukazała się u ramienia generała de Bozonnet, jednego ze świadków, najbliższego krewnego nowożeńca. Miała suknię z tafty w kolorze *vieux rose*, przybraną bezcennymi walansjenkami, i nigdy nie wydawała się młodszą, rozkoszniejszą blondyną. A jednak oczy jej mówiły o wylanych łzach, chociaż siliła się na uśmiech, i w bolesnym wdzięku całej postaci wyczuwało się jakieś wdowieństwo, żalną ofiarę, jaką uczyniła z ukochanego mężczyzny. Monferrand, margrabia de Morigny, bankier Louvard, trzej pozostali świadkowie, szli za nimi, prowadząc należące do rodziny panie. Zwłaszcza Monferrand, bardzo wesoły i beztroski, żartując swobodnie z damą, której towarzyszył, drobną brunetką o zalotnej mince, wzbudził wielką sensacją. W długim i uroczystym orszaku szedł jeszcze brat panny młodej, Hiacynt, na którym zauważono przede wszystkim frak nie znanego kroju, z połami układanymi w duże, symetryczne fałdy.

Gdy oblubieńcy zajęli miejsca przy czekających na nich klęcznikach, a obie rodziny i świadkowie — za nimi, w dużych fotelach z czerwonego aksamitu i złoczonego drzewa, zaczęła się niezwykle uroczysta ceremonia. Proboszcz parafii Madeleine sam odprawiał nabożeństwo, śpiewacy z Opery wraz z chórem kościelnym wykonywali wielką śpiewaną mszę, której organy towarzyszyły nieustanną pieśnią chwały. Rozwinięto cały przepych, całą wspaniałość świecką i religijną, jak gdyby chciano z tego głośnego małżeństwa uczynić święto publiczne, zwycięstwo, datę oznaczającą apogeum jednej klasy społecznej. I nawet bezwstyd i bezczelność potwornego dramatu rodzinnego, które znali wszyscy i z którym tak się afiszowano, dodawały jeszcze ceremonii blasku ohydnej wielkości. Ale potęgę tego butnego panowania odczuto zwłaszcza, gdy ukazał się monsignor Martha, w zwykłej komży i stule, aby udzielić błogosławieństwa. Wysoki, rzeński i

różowy, uśmiechał się lekko z miną uprzejmej władczości; i z dostojnym namaszczeniem wypowiedział sakramentalne słowa, jak kapłan szczęśliwy, że doprowadza do zgody dwie wielkie potęgi, kojarzy ich spadkobierców. Z ciekawością oczekiwano jego przemówienia do nowożeńców. Okazał się istotnie wspaniały, toteż on odniósł tutaj największy triumf. Czyż nie odbywało się to w kościele, w którym udzielił chrztu matce, tak jeszcze pięknej, jasnowłosej Ewie, tej żydówce nawróconej przez niego na wiarę katolicką ku rozczuleniu całej śmietanki paryskiego towarzystwa? I czyż nie tutaj wygłosił swoje trzy słynne konferencje o nowym duchu, które — jego zdaniem — dały początek upadkowi wiedzy, przebudzeniu się spirytualizmu chrześcijańskiego, polityce sojuszu, mającego zakończyć się podbojem republiki? I miał pełne prawo, aby w subtelnych aluzjach winszować sobie dzieła, skojarzenia syna zubożalej starej szlachty z pięcioma milionami mieszczańskiej heritiery, w której odnosili triumf zwycięzcy z roku 1789, dziś mający władzę w swo-

ich rękach. Jedyne czwarty stan, lud, oszukany, okradziony, nie uczestniczył w święcie. Monsignor Martha pieczętował w tej parze małżonków nowe przymierze, urzeczywistniał politykę papieża, uparte dążenie jezuickiego oportunisty, łączącego się z demokracją, władzą i pieniądzem, aby nimi zawładnąć. Przemawiając, monsignor Martha zwrócił się ku Monferrandowi, który uśmiechał się, i do niego zdawał się mówić życząc nowo zaślubionym chrześcijańskiego życia w pokorze i posłuszeństwie, w bojaźni Boga, wspominając bożą rękę, *żelazną pięść żandarma*, którego zadaniem jest utrzymywać pokój na świecie. Wszyscy wiedzieli o dyplomatycznym przymierzu biskupa i ministra, o tajemnym pakcie, w którym obaj zaspokajali swoją namiętność władzy, chęć podboju i panowania; i gdy obecni spostrzegli, że Monferrand uśmiecha się ze swą dobroduszną, nieco kpiącą miną, sami również zaczęli się uśmiechać. — Ach — szepnął Massot, który pozostał przy Dutheilu — gdyby stary Justus Steinberger zobaczył, że jego wnuczka wychodzi za ostatniego z rodu Quinsac, toż by się ubawił!

— Ależ, mój drogi — odrzekł deputowany — takie małżeństwa są w bardzo dobrym guście. Są w modzie. Żydzi, chrześcijanie, mieszczaństwo, szlachta, wszyscy mają interes w tym, aby się porozumieć, aby stworzyć nową arystokrację. Bo arystokracja jest potrzebna, w przeciwnym razie lud nas pochłonie.

Niemniej Massot szyderczo dowcipkował na temat, jaką minę miałby Justus Steinberger słuchając monsignora Marthy. I rzeczywiście krążyła wieść, że stary żydowski bankier od czasu nawrócenia się jego córki Ewy, z którą zerwał był stosunki, interesował się wszystkim, co jej dotyczyło, traktował ją z czułą ironią, jak gdyby miał w niej bardziej niż kiedykolwiek skuteczne narzędzie zemsty i klęski przeciwko chrześcijanom, których jego rasa, jak utrzymywano, pragnęła zniszczyć. O ile, wbrew swoim rachubom, dając ją za żonę Duvillardowi nie zdołał podporządkować sobie zięcia, teraz bez wątpienia pocieszał się, widząc niezwykle wyniesienie swojej krwi zmieszanej z krwią swoich twardych niegdyś panów, których udało mu się wreszcie zdemoralizować. Czyż nie był to ów ostateczny żydowski podbój, o którym tyle mówiono?

Ostatni triumfalny śpiew organów zakończył ceremonię. Obie rodziny i świadkowie przeszli do zakrystii, gdzie podpisano akt ślubu. I zaczęła się ogromna procesja gratulujących.

W wysokiej sali o dębowych boazeriach, trochę ciemnawej, małżonkowie, wreszcie połączeni, stali obok siebie. I jakąż radością promieniała Kamila, że się to już dokonało, jak triumfowała zaślubiając to wielkie nazwisko, tego urodziwego - mężczyznę, którego z takim trudem wyrwała z ramion wszystkich kobiet, a przede wszystkim z ramion własnej matki! Wydawało się, że urosła; jej drobna postać kalekiej dziewczyny, czarna i brzydka, prostowała się radośnie, gdy nieprzerwaną falą kobiety, przyjaciółki i zwykle znajome, tłoczyły się, podbiegały, ścisnęły jej ręce lub całowały ją z zapalem, ze słowami zachwytu. Gerard, któremu sięgała za ledwie do ramion, o tyle szlachetny i silny, o ile ona wydawała się nikła, przyjmował uściski rąk, oddawał je, uśmiechał się jak królewicz z bajki, szczęśliwy, że pozwolił się pokochać, że przez swą dobroć i słabość dał jej tyle szczęścia. Stojąc równolegle do siebie, rodziny nowożeńców tworzyły dwie grupy, które zachowały swoją odrębność pośród tłumu, który je oblegał, który bez końca defilował przed nimi z wyciągniętymi rękoma. Duvillard przyjmował ukłony niczym król rad ze swego ludu, natomiast Ewa, pragnąc do końca pozostać czarującą, wyteżyła resztki sił, aby pięknie wyglądać i odpowiadać na wszystkie hołdy, i tylko nieznacznie *drżała* od łez, którymi wybuchało jej serce. Po drugiej stronie młodej pary stała pani de Quinsac, pomiędzy generałem de Bozonnet a margrabią de Morigny, bardzo godna, nieco wyniosła; poprzestając najczęściej na skinieniu głową, podawała drobna, suchą dłoń tylko osobom sobie znanym; i tonąc w powodzi nieznanych twarzy wymieniała z margrabią wejrzenia o niewypowiedzianym smutku, gdy fala stawała się błotnista i przynosiła jej z sobą ludzi ociekających wszystkimi zbrodniami pieniądza. Blisko przez pół godziny strumień ten płynął, uściski rąk padały gęsto jak grad, młodym małżonkom i ich rodzinom omdlewały już ramiona.

Ludzie nie wychodzili, tworzyli grupy, rozmawiali i śmiali się. Monferrand natychmiast został otoczony. Massot *kazał* Dutheilowi przyjrzeć się, z jaką skwapliwością prokurator generalny Lehmann zbliżył się, chcąc zaskarbić sobie względy ministra. Niemal natychmiast przyłączył się do nich sędzia śledczy Amadiou; również pan de Larombardière, wiceprezes sądu, chociaż boczył się jako jeden z wiernych salonu hrabiny, zjawił się tutaj we własnej osobie. Byli to urzędnicy, pochlebcy z konieczności, posłuszni, zaprzędani władzy, która rozporządza awansami, mianuje i usuwa z urzędu. Przypuszczano, że Lehmann oddał Monferrandowi wielkie usługi w związku z aferą Afrykańskich Kolei Żelaznych, postarawszy się, aby zniknęły pewne akta. A jeśli chodziło o uśmiechniętego Amadiou, paryżanina w każdym calu, czyż nie jemu zawdzięczano głowę Salvata?

— Widzi pan — szepnął Massot — że wszyscy trzej przychodzą prosić o nagrodę za wczorajszą egzekucję. Monferrand powinien ofiarować piękną świecę temu nieszczęśnikowi, który najpierw swoją bombą uratował gabinet od upadku, a później sprawił, że Monferrand otrzymał premierostwo, gdy potrzebowano człowieka dość silnej ręki, aby zdusił anarchię. Bo i jakąż to walka: z jednej strony Monferrand, a taki Salvat z drugiej! Musiała się

zakończyć ucięciem głowy, ta głowa była konieczna... O proszę, niech pan posłucha, oni właśnie o tym mówią.

Istotnie, sadowników, którzy właśnie przywitali wszechmocnego ministra, zasypywały pytaniami znajome damy; ciekawość ich podnieciły sprawozdania w dziennikach. I Amadieu, który z obowiązku asystował przy egzekucji, odpowiadał, szczęśliwy z tej ostatniej swej przewagi, gotów zniszczyć to, co nazywał legendą o heroicznej śmierci Salvata. Wedle niego, ten zbrodniarz nie miał ani krzty prawdziwej odwagi, podtrzymywała go tylko pycha, był tak blady, tak przerażony, martwy, zanim jeszcze dostał się pod nóż.

— Och, to prawda! — zawołał Duthail. — Byłem tam! Massot, chociaż kpił sobie ze wszystkiego, oburzony pociągnął go za ramię.

— Nic pan nie widział, mój drogi! Salvat umarł bardzo dzielnie, to głupio znieważać tego biedaka nawet po śmierci.

Ale myśl o podłej śmierci Salvata sprawiała przyjemność zbyt wielu ludziom. Była to jakby ostatnia ofiara całopalna, którą składano u stóp Monferranda, chcąc mu się przypodobać. On

wciąż uśmiechał się z miną spokojną, jak zacny człowiek, który ustępuje tylko w obliczu konieczności. Okazał się szczególnie uprzejmy wobec trzech sadowników, chcąc im w swoim imieniu podziękować za dzielność, z jaką wypełnili aż do końca swój ciężki obowiązek. Poprzedniego dnia, po egzekucji, uzyskał w Izbie, w ryzykownym głosowaniu, ogromną większość. Panował porządek, wszystko we Francji szło jak najlepiej. I gdy Vignon, który — jak przystało zręcznemu graczowi — również pokazał się na ślubie i podszedł do ministra, on zatrzymał go i przywitał uroczyście, zarówno przez chęć podobania się, jak ze względów taktycznych, w obawie, czy mimo wszystko najbliższa przyszłość nie będzie należała do tego młodego człowieka, tak inteligentnego i tak zrównoważonego. Potem, gdy pewien wspólny znajomy oznajmił im smutną wiadomość o złym stanie zdrowia Barroux, któremu lekarze wróżyli rychły koniec, obaj dali wyraz swemu współczuciu. Ten biedny Barroux! Od posiedzenia, na którym go obalono, nie mógł wrócić do równowagi, marniał z każdym dniem, raniony w serce niewdzięcznością kraju, umierał pod ohydny oskarżeniem o przekupstwo i kradzież, on, tak prawy, tak lojalny, on, który życie oddał republice! Bo, powtórzył Monferrand, po co się było przyznawać? Opinia publiczna nigdy tego nie wybacza.

W tej chwili Duvillard, porzucając na chwilę rolę ojca, przyłączył się do nich; i teraz triumf ministra podwoił się o jego triumf. Czyż Duvillard nie był władcą, czyż nie reprezentował pieniądza, jedynej stałej władzy, wiecznej, ponad władzami przelotnymi, ponad tekami ministerialnymi, które tak szybko przechodziły z rąk do rąk? Monferrand rządził i przemijał. Vignon mógłby rządzić i przeminałby, ten Vignon, którego Duvillard już miał u swoich stóp, który wiedział, że nie można rządzić bez milionów finansjery. Czyż więc nie on jeden tylko był triumfATOREM, on, który za pięć milionów kupił syna arystokratycznej rodziny, który wcielił burżuazję, co przemieniła się we władczynię i rządziła jak król absolutny, przesądzała o losach państwa, zdecydowana nic nie wypuszczać z ręki, nawet pod grozą bomb. Ta uroczyść stawała się jego świętem, on sam zasiadał do uczyty, nie

dopuszczając do nowego podziału dóbr, teraz gdy zdobył wszystko, wszystko posiadał, z żalem rzucając okruchy ze swego stołu małym ludziom z dołów, tym biedakom robotnikom, których rewolucja niegdyś oszukała.

Afera Afrykańskich Kolei Żelaznych była już starą historią, pogrzebaną w jednej z komisji, umorzona. Wszyscy, którzy w niej byli skompromitowani, jak na przykład Dutheil, Chai-gneux, Fonsègue i tylu innych, ocaleni przez mocną pięść Monferranda, śmiali się wesoło i też uczestniczyli w triumfie Duvillarda. I nawet haniebny artykuł Saniera, opublikowany w „Głosie Ludu”, pełen skandalicznych rewelacji, też się już nie liczył, wywoływał zaledwie wzruszenie ramion, tak bardzo publiczność, karmioną błotem, przesyconą donosami i kalumniami, zmęczyły już głośne skandale. Jedna już tylko wieść wywoływała gorączkę, a mianowicie plotka o bliskim puszczeniu w ruch wielkiej imprezy, słynnej Kolei Transsaharyjskiej, która miała poruszyć miliony i jak deszczem obsypać nimi wiernych przyjaciół.

Podczas gdy Duvillard przyjacielsko rozmawiał z Monferrandem i Dauvergne'em, ministrem oświaty, który się do nich przyłączył, Massot natknął się na redaktora naczelnego i rzekł mu półgłosem:

— Dutheil przed chwilą zapewnił mnie, że przygotowali już tę swoją Kolej Transsaharyjską i że spróbują wystąpić z tym w Izbie. Twierdzą, że powodzenie jest pewne.

Ale Fonsègue odniósł się do jego słów sceptycznie.

— Niemożliwe, nie odważą się zaczynać na nowo po upływie tak krótkiego czasu.

Jednakże nowina nastroiła go poważnie. Niedawno, gdy tak lekkomyślnie zachował się w sprawie Afrykańskich Kolei Żelaznych, przeżył tyle strachu, że przysiągł sobie na przyszłość być ostrożny. Ale nie posuwał się tak daleko, aby w ogóle wycofać się z interesów. Należało tylko nie spieszyć się, baczenie przypatrywać się wszelkim interesom, jednakże brać w nich udział, i to nie pomijając żadnego.

Gdy przyglądał się grupie, jaką tworzyli Duvillard i obaj ministrowie, stał się świadkiem agitacji, jaką rozwijał Chaigneux, który nie przestawał po całej zakrystii werbować ludzi na wieczorne przedstawienie. Wychwalał Sylwianę, podniecał ciekawość, zapowiadał niebывały sukces. I zbliżywszy się do Dauvergne'a zgiął we dwoje swój długi grzbiet.

— Drogi ministrze, polecono mi przedstawić panu prośbę pewnej pięknej damy, której zwycięstwo nie będzie zupełne dziś wieczór, jeżeli pan nie raczy przyłączyć doń swojego głosu.

Dauvergne, przystojny mężczyzna o niebieskich oczach, które uśmiechały się zza binokli, słuchał z życzliwą miną. Wiodło mu się doskonale w Ministerstwie Oświaty, chociaż nie miał pojęcia o sprawach uniwersyteckich. Ale jako „prawdziwy paryżanin z Dijon”, jak mówiono, nie był pozbawiony ani taktu, ani złośliwości, wydawał przyjęcia, w których celowała jego młoda i urocza żona, uchodził za światłego przyjaciela pisarzy i artystów. I zaangażowanie Sylwiany do Komedii Francuskiej, jak dotąd najwybitniejsze jego posunięcie, które zgubiłoby każdego innego ministra, jemu, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, zjednało popularność. Uważano to za rzecz oryginalną, zabawną.

Gdy dowiedział się, że Chaigneux pragnie tylko uzyskać pewność, iż on wieczorem zasiądzie w swojej łoży w Komedii, podwoił uprzejmość.

— Ależ oczywiście, drogi panie deputowany, stawię się. Gdy się ma tak czarująca pupilkę, nie opuszcza się jej w niebezpieczeństwie.

Monferrand, który słuchał jednym uchem, nagle się odwrócił.

— I proszę jej powiedzieć, że ja również postaram się przyjść, dzięki czemu będzie miała na sali o dwóch przyjaciół więcej.

Duvillard, uradowany, z oczyma błyszczącymi od wzruszenia i wdzięczności, skłonił się, jak gdyby dwaj ministrowie jemu osobiście wyświadczili niezapomnianą łaskę.

Wtedy Chaigneux również nisko się skłonił, a ponieważ dojrzał Fonsègue'a, pobiegł ku niemu i odprowadził go na bok.

— Ach, drogi panie kolego, koniecznie trzeba załatwić tę sprawę. Ja uważam, że jest ogromnie ważna.

— Jaka sprawę? — spytał zdziwiony Fonsègue.

— Ależ ten artykuł Massota, którego pan nie chce przepuścić. Bez ogródek dyrektor „Globu” oświadczył, że ten artykuł nie przejdzie. Bronił godności, powagi swego dziennika; a takie pochwały oddawane dziewczę, zwyczajnej dziewczę, byłyby czymś potwornym, haniebnym w dzienniku, który z takim trudem uczynił organem surowym, o nieposzlakowanej moralności. On zresztą kpił sobie z całej sprawy, o Sylwianie wyraził się w brutal-

nych słowach, że może sobie zadzierać spódnicę przed publicznością i że on sam na to pójdzie. Ale „Glob” to rzecz święta! Chaigneux, zmieszany, żalony, jeszcze nastawał:

— Ależ, drogi kolego, niech pan dla mnie zrobi to małe ustępstwo. Jeżeli artykuł nie przejdzie, Duvillard pomyśli, że to moja wina. A pan wie, że ja go potrzebuję, bo właśnie zamażpójście mojej najstarszej córki znów się odwleka i ja nie wiem już, co robić. — Następnie, widząc, że jego osobiste niedole wcale Fonsègue'a nie wzruszają, dodał: — A także dla własnego dobra, drogi kolego, dla własnego dobra... Bo ostatecznie Duvillard zna ten artykuł i tym bardziej zależy mu, aby ukazał się w „Globie”, im więcej jest w nim pochwał. Niech się pan zastanowi, bo on na pewno zerwałby z panem.

Fonsègue przez chwilę milczał. Czy myślał o wielkiej imprezie Kolei Transsaharyjskiej, czy powiadał sobie, że ciężko byłoby poróżnić się w takiej chwili, nie otrzymać swojej części przy najbliższym podziale dochodów pomiędzy wiernych przyjaciół? Ale widocznie zwyciężyła myśl, aby czekać i być ostrożnym.

— Nie, nie, nie mogę, to sprawa sumienia.

Tymczasem gratulacje ciągnęły się dalej, zdawało się, że defiluje cały Paryż — wciąż te same uśmiechy, te same uściski rąk. Bardzo zmęczeni, młodzi małżonkowie i ich krewni, stojąc pod ścianą, do której wreszcie tłum ich przyparł, musieli zachowywać uszczęśliwione miny.

Upał stawał się nie do zniesienia, drobny pył unosił się jak po przejściu ogromnego stada.

Mała księżna de Harth, spóźniona nie wiadomo jak i dlaczego, ukazała się nagle, rzuciła się na szyję Kamili, ucałowała Ewę, zatrzymała dłoń Gerarda w obu swoich rękach, prawiała im oryginalne komplementy. Potem, dostrzegłszy Hiacynta, zagarnęła go i odprowadziła do kąta.

— Chcę pana o coś prosić!

Hiacynt tego dnia był milczący. Małżeństwo siostry wydawało mu się ceremonią godną pogardy, nie do opisanania wulgarną. Jeszcze jedna i jeszcze jeden, którzy poddawali się temu brudnemu i prostackiemu prawu płci, uwieczniając ludzką absurdalność świata. Toteż postanowił, że będzie w tym uczestniczył milcząco, z miną wyniosłego potępienia.

Niespokojnie popatrzył na Rozamundę, gdyż był szczęśliwy, że z nią zerwał, i bał się, że jakiś kaprys znowu ją mu przyprowadzi. Po raz pierwszy tego dnia przemówił:

— Jako kolega, moja droga, wszystko, czego sobie pani życzy... Roześmiała się i oznajmiła mu, że umrze, jeśli nie będzie na debiucie Sylwiany, której jest przyjaciółką, namiętą wielbicielką; i błagała go o interwencję u ojca, żeby wziął ją do ich łoży, gdzie, jak wiedziała, jest jeszcze jedno wolne miejsce.

Wówczas i on się uśmiechnął, pomyślał bowiem, że byłoby to niezwykle, pełne symbolicznej piękności zakończenie: Sylwiana uwalniająca go od Rozamundy, bezpłodna miłość wcielona w te dwie kobiety. Jako wielbiciel piękna był zwolennikiem związków jednopłciowych, nie wydających potomstwa.

— To rzecz załatwiona, moja droga, uprzedzę ojca, znajdzie się miejsce dla pani.

I wreszcie, defilada zwolniła tempa, zakrystia trochę opustoszała, młoda para i obie rodziny mogły przemknąć pomiędzy gwarnym tłumem, który rozchodził się powoli, zwlekał, przystawał, aby ich pożegnać i raz jeszcze na nich spojrzeć.

Gerard i Kamila zaraz po *lunchu* mieli wyjechać do majątku barona Duvillard w departamencie Eure. I podczas owego *lunchu*, podanego o dwa kroki od Madeleine, w królewskim pałacu przy ulicy Godot-de-Mauroy, rozwinęto znowu niebywały przepych. Na pierwszym piętrze sala jadalna została przemieniona w bufet o bajecznej obfitości i bogactwie, ale dopiero w ogromnym czerwonym salonie, w małym niebiesko-srebrnym salonie i innych luksusowych pokojach, pomiędzy którymi otwarto wszystkie drzwi, przyjęcie mogło rozwinać się w całej swej wystawności. Pomimo zapowiedzi, iż zaproszono tylko przyjaciół obu rodzin, tylko najbliższych, zeszło się przeszło trzysta osób. Ministrowie wymówili się, tłumacząc się nawalaniem spraw publicznych. Ale zjawili się dziennikarze, sędownicy, deputowani, cała wezbrana rzeka, która poprzednio przepłynęła przez zakrystię. I zapewne wśród tej wygłodniałej rzeszy rzucającej się na czekającą ją strawę najbardziej obco czuli się nieliczni goście pani de Quinsac, którą generał de Bozonnet i margrabia de Morigny usadowili na kanapie w wielkim czerwonym salonie i nie odstępowali jej ani na chwilę.

Ewa, upadając ze zmęczenia, u kresu sił fizycznych i moralnych, usiadła w niebiesko-srebrnym saloniku, który jej namiętność do kwiatów zmieniła w wielki bukiet róż. Z trudem trzymała się na nogach, posadzka usuwała się jej spod stóp, a jednak jeszcze się uśmiechała, czyniła wysiłki, aby być piękna i czarująca, gdy podchodził do niej ktoś z gości. Niespodzianej ulgi doznała na widok monsignora Marthy, który raczył uświetnić śniadanie swoją obecnością. Zajął fotel obok niej, zaczął rozmowę z właściwą sobie pieśczośliwą, miłą wesołością. Na pewno nie był mu obcy straszny dramat,

bezsukutecznie zwalczana trwoga pustosząca tę biedną duszę, gdyż okazał się ojcowski, nie szczenił jej pociechy. Ona mówiła jak niepocieszona wdowa, która wyrzeka się świata, dawała do zrozumienia, że tylko w Bogu znaleźć może ukojenie. Po chwili rozmowa zesła na Schronisko dla Inwalidów Pracy i Ewa oznajmiła, iż postanowiła odtąd bardzo na serio traktować swoją rolę przewodniczącej, oddać się jej teraz bez reszty.

— Proszę mi pozwolić, abym w tej sprawie zasięgnęła rady Waszej Ekscełencji... Potrzeba mi kogoś do pomocy i myślałam, aby wciągnąć do tej pracy pewnego kapłana, którego podziwiam, bo to prawdziwy święty; mam na myśli księzda Piotra Froment.

Biskup spowaźniał, zmieszał się, ale w tej chwili mała księżna de Harth, która właśnie przechodziła trzymając się ramienia Dutheila i dosłyszała to nazwisko, zbliżyła się do nich ze zwykłą swoją żywiółowością.

— Ksiąz Piotr Froment... Nie mówiłam pani jeszcze, moja droga, że spotkałam go ubranego w marynarkę i spodnie, a poza tym mówiono mi, że jeździ na rowerze po Lasku Bulońskim z jakąś kreaturą... Prawda, panie Dutheil, żeśmy go spotkali?

Deputowany skłonił się z uśmiechem, a przejęta i wzburzona Ewa aż złożyła ręce.

— Czy to możliwe? Taki płomień miłosierdzia, tyle wiary i apostołskiego zapału!

Wreszcie zabrał głos monsignor Martha:

— Tak, tak, na Kościół spadają niekiedy bolesne ciosy. Wiedziałem o szaleństwie tego nieszczęśnika, o którym państwo mówicie, uważałem nawet za swój obowiązek napisać do niego, ale zostawił mój list bez odpowiedzi. Tak bardzo pragnałem uniknąć podobnego zgorzenia! Ale istnieją obmierzłe siły, których wciąż jeszcze nie udaje się nam pokonać, i arcybiskupstwo w tych dniach ogłosiło interdikt... Trzeba wybrać kogo innego, pani baronowo.

Była to klęska. Ewa patrzyła na Rozamundę i Dutheila, nie mając odwagi pytać o szczegóły, myśląc o tej kreaturze, która ośmieliła się uwieść księzda. Na pewno jakaś bezwstydna dziewczka, jedna z tych wykolejonych istot, które dały się uwieść szaleństwu swego ciała! I wydało się jej, że ta zbrodnia dopełniła miary jej własnego nieszczęścia.

Z gestem wzywającym na świadka otaczający ją luksus, balsamiczne róże, w których tonęła, i tłum gości cisnących się przy bufecie, szepnęła:

— Ach, to prawda, wszędzie tylko zepsucie, nie można już liczyć na nikogo! W tej samej chwili Kamila, która miała zaraz wyjechać z Gerardem, była sama w swoim panińskim pokoju, gdy wszedł jej brat Hiacynt.

— Ach, mój mały, jesteś!... Pospiesz się, jeżeli chcesz mnie uściskać. Wyjeżdżam i jestem bardzo szczęśliwa.

Pocałował ją. Potem rzekł mentorskim tonem:

— Myślałem, że jesteś silniejsza. Od rana okazujesz radość, która przejmuje mnie niesmakiem.

Zadowolila się rzuceniem mu spojrzenia spokojnej pogardy. On mówił dalej:

— Zjadasz oczyma tego swojego Gerarda, a wiesz dobrze, że ona ci go odbierze, gdy tylko wrócicie.

Policzki jej zbladły, oczy zapłonęły. Podeszła do brata z zaciśniętymi pięściami.

— Ona! Mówisz, że ona mi go odbierze? Mówili o swojej matce.

— Posłuchaj, mój mały, ja bym ją zabiła. O nie! Niech ona nie liczy na taką podłość, bo mężczyznę, który należy do mnie, potrafię zachować dla siebie... A ty dobrze zrobisz, jeżeli dasz mi spokój z twoimi złośliwościami, bo wiesz, co ja o tobie myślę. Jesteś tylko dziewczką i bydlakiem.

Cofnął się, jak gdyby to żmija uniosła swoją ostrą i czarną głowę; i wołał uciec, gdyż zawsze drżał przed nią.

Podczas gdy ostatni goście z zaciekłością kończyli pustoszyć bufet, nadeszła chwila rozstania, nowożeńcy mieli się pożegnać, wsiąść do powozu i pojechać na dworzec kolejowy. Generał de Bozonnet przyłączył się do którejś z grup i raz jeszcze dawał wyraz swojej trosce i rozpaczycy z powodu obowiązkowej służby wojskowej i dopiero margrabia de Morigny przyprowadził go w chwili, gdy hrabina de Quinsac całowała na pożegnanie syna i synową; ręce jej drżały, była tak wzruszona, że margrabia ośmielił się z szacunkiem ją podtrzymać. Hiacynt rzucił się na poszukiwanie ojca, którego nigdzie nie można było znaleźć. Odkrył go wreszcie we framudze okna, pogrążonego w wielkiej naradzie z przygnębionym Chaigneux, którego gwałtownie beształ, wściekły na wiadomość o skrupułach moralnych Fonsègue'a, bo jeżeli artykuł nie ukaże się, Sylwiana gotowa rozgniewać się na niego i ukarać go, znowu zamykając mu drzwi przed nosem. Natychmiast musiał znowu przybrać triumfalną minę i pobiegł, aby ucałować córkę w czoło, uściskać rękę zięcia; żartował, życzył im wesołego pobytu. A wreszcie nastąpiło pożegnanie z Ewą, przy której pozostał uśmiechnięty monsignor Martha. Ewa zdobyła się na wzruszającą odwagę, wyteżyła całą swoją wolę, aby wyglądać pięknie aż do końca, i w tym czerpała siły, które pozwoliły jej być wesołą i macierzyńską.

Ujęła trochę drżącą dłoń zmieszanego Gerarda, odważyła się zatrzymać ją przez chwilę w swoich rękach, była bardzo dobra, naprawdę bohaterska w swym wyrzeczeniu.

— Do widzenia, Gerardzie, miej się dobrze, bądź szczęśliwy.

Następnie zwróciła się do Kamili, pocałowała ją w oba policzki, a monsignor przyglądał się obu kobietom z miną pobłażliwej sympatii.

— Do widzenia, córko!

— Do widzenia, matko!

Ale głosy drżały, spojrzenia skrzyżowały się z błyskiem mieczy i obie uczuły zęby pod pocałunkiem. Ach, ta wściekłość na widok matki jak zawsze pięknej, jeszcze ponętnej, mimo lat i tylu wylanych łez! A dla Ewy jakimż źródłem męczarni była ta dziewczyna, ta młodość, która ją wreszcie pokonała i która

porwała na zawsze jej ukochanego mężczyznę! Wzajemne przebaczenie było niemożliwe, nienawidziłyby się nawet w grobowcu rodzinnym, gdzie pewnego dnia miały spocząć obok siebie.

Wieczorem jednak baronowa Duvillard wymówiła się od obecności na przedstawieniu *Polieukta*. Była zmęczona, chciała się wcześniej położyć; i z głową w poduszce przeplakała całą noc. Łożę prosceniową na balkonie zajęli więc tylko baron, Hiacynt, Dutheil i mała księżna de Harth.

O dziewiątej sala była pełna — gwarna i wspaniała sala wielkich uroczystości teatralnych. Cały Paryż, który rano przedelfował przez zakrystię kościoła Madeleine, znalazł się tutaj, w tej samej gorączce ciekawości, z tym samym

pragnieniem, aby zaznać niespodzianki, nadzwyczajności; widziano te same twarze, te same uśmiechy, kobiety pozdrowiały się drobnymi, znaczącymi ruchami, mężczyźni rozumieli się od jednego słowa, jednego gestu. Wszystkie i wszyscy wiernie stawili się na spotkanie: nagie ramiona, kwiaty w butonierkach, w olśniewającej, odświeżonej gali. Fonsègue siedział w łożu „Globu” z dwiema zaprzyjaźnionymi parami małżeńskimi. W jednym z pierwszych rzędów parteru mały Massot zajmował swój zwykły fotel. Można tam było również dostrzec sędziego śledczego Amadiou, jednego z wiernych bywalców Komedii Francuskiej, a także generała Bozonnet i mecenasa Lehmana. Ale przede wszystkim przyciągał spojrzenia Sanier, straszliwy Sanier, ze swą gębą apoplektycznego grubasa, a to z powodu swego skandalicznego artykułu, jaki ukazał się rankiem. Chaigneux, który zachował dla siebie zaledwie skromny straponten, biegał po korytarzach, uwijał się po wszystkich piętrach, rzucając ostatnie hasło entuzjazmu. I gdy w łożu prosceniowej położonej vis-a-vis łoża Duvillarda ukazali się dwaj ministrowie, Monferrand i Dauvergne, salę przebiegł lekki dreszcz, uśmiechy stały się intymniejsze i bardziej ironiczne, gdyż wszystkim wiadomo było, jaki był ich udział w sukcesie debutantki.

A przecież jeszcze w przeddzień krążyły niepomyślne wieści. Sanier głosił, że debiut Sylwiany, notorycznej dziewczki, w Komedii Francuskiej, i to w roli Pauliny, postaci o tak czystej duszy, był prawdziwym wyzwaniem rzuconym moralności publicznej. Ta dziwaczna zachcianka ładnej dziewczyny od dawna zresztą oburzała prasę. Ale mówiono już o tym pół roku i Paryż, który w końcu oswoił się z tą myślą, zbiegł się tutaj, gnany jedynym pragnieniem: aby dostarczano mu coraz nowych rozrywek. Zanim podniesiono kurtynę, w samym już powietrzu sali czuło się ów Paryż, dobroduszny, skory do śmiechu i chciwy użycia, kpiący po kątach, gotów do oklasków, jeśli spotka go tutaj coś przyjemnego.

I ujrzał naprawdę coś nadzwyczajnego. Gdy Sylwiana ukazała się w pierwszym akcie w skromnej drapowanej szacie, zdziwiła salę czystym owalem swojej dziewiczej twarzy o dziecinnych ustach, o niewinnych, niepokalanych oczach. Później przede wszystkim sposobem, w jaki ujęła rolę, zdumiał najpierw, a potem oczarował salę. Od sceny zwierzeń czynionych przed Stratoniką, od opowiadania o śnie uczyniła z Pauliny postać mistyczną, owianą marzeniem, jakąś świętą z witraża, którą Wagnerowska Brunhilda, galopująca w chmurach, porwała, usadowiwszy ją za sobą na końskim grzbiecie. Było to całkiem niedorzeczne, sprzeczne z wszelkim zdrowym rozsądkiem i wszelką prawdą. Lecz publiczność zdawała się właśnie zainteresowana, nie tylko idąc za modą, ale niewątpliwie podniecona przede wszystkim kontrastem, jaki zachodził pomiędzy tą niewinną lilią a dziewczką o haniebnym skłonnościach. Od tej chwili sukces narastał od aktu do aktu, w drugim podczas jej wyjaśnień z Sewerem, w trzecim w scenie z Feliksem, aby osiągnąć, w czwartym, w scenie z Polieuktem, a następnie z Sewerem szlachetność przejmująca, tragiczna. Cichy gwizd, o który posadzono Saniera, przypieczętował zwycięstwo. Monferrand i Dauvergne, jak podały później dzienniki, dali sygnał do oklasków; i cała sala pozwoliła się porwać; Paryż klaskał w dłonie, częściowo z rozbawienia, częściowo zapewne przez ironię, oddając w ten sposób równocześnie hołd bogactwom Duvillarda i silnej pięści gabinetu Sylwiany, z którego żartowano w antraktach.

W prosceniowej łoży barona zapanował ruch i namiętne uniesienie.

— Wie pan — przyszedł oznajmić Dutheil — że nasz wpływowy krytyk, ten, którego przyprowadziłem panu pewnego wieczora na kolację, jest wściekły. Upiera się przy twierdzeniu, że Paulina jest małą mieszcza, na którą dopiero przy końcu utworu oddziałął cud, i że ujęcie tej postaci od początku jako świętej równa się jej uśmierceni.

— Ba — rzekł dumnie Duvillard — niech dyskutuje, to narobi hałasu!... Ważne jest, abyśmy jutro mieli artykuł Massota w „Globe”.

Ale w tym względzie nowiny wciąż nie były pomyślne. Chai-gneux, który znowu próbował wpłynąć na Fonsègue'a, oświadczył, że ów jeszcze się waha mimo sukcesu, który uważa za idiotyczny. Baron się rozgniewał.

— Proszę mu powiedzieć, że ja chcę tego i że tego mu nie zapomnę.

W głębi prosceniowej łoży Rozamunda szalała z entuzjazmu.

— Mój kochany Hiacyncie, błagam pana, proszę mnie zaprowadzić do . garderoby Sylwiany. Nie mogę czekać, muszę ją ucałować.

— Ależ wszyscy tam pójdziemy! — zawołał Duvillard, który usłyszał jej słowa. W korytarzach było pełno, ludzie tłoczyli się aż na scenie. Dalej natknięto się na przeszkodę, gdyż drzwi garderoby okazały się zamknięte i gdy baron zapukał, garderobiana odpowiedziała, że pani prosi, aby zechcieli zaczekać.

— Ach, ale ja, jako kobieta, mam wstęp wolny — rzekła Rozamunda i szybko się wśliznęła. — A pan, panie Hiacyncie, też może wejść, to przecież nic nie szkodzi.

Sylwiana, półnaga, właśnie kazała sobie wytrzeć ramiona i szyję, tak jej było gorąco. Rozentuzjazmowana Rozamunda rzuciła się ku niej, pocałowała ją. Rozmawiały niemal z ustami na ustach, w upale płonącego gazu, w upajającej woni kwiatów, których pełno było w ciasnej garderobie. I Hiacynt usłyszał, jak wśród okrzyków podziwu i czułości przyrzekały sobie, że spotkają się przy wyjściu, i jak Sylwiana zaprosiła Rozamundę do siebie na szklanek herbaty. Uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł do aktorki:

— Powóz pani czeka w ulicy Montpensier, nieprawdaż? A więc podejmuję się zaprowadzić tam księżnę. Tak będzie najprościej, wrócą panie razem.

— Ach, jakież pan miły! — zawołała Rozamunda. — A zatem rzecz umówiona! Otwarto drzwi, weszli mężczyźni i rozplynie się w pochwałach. Ale wnet trzeba było wracać na salę, na piąty akt. I był to triumf, sala zatrzęsa się od oklasków, gdy Sylwiana wypowiedziała słynne: „Widzę, wiem, wierzę, poznałam już prawdę”, z uniesieniem świętej męczennicy wstępującej do nieba. Zachwyt był ogólny. Gdy wywołano artystów, Paryż urządził ostatnią owację tej teatralnej dziewicy, która wedle słów Saniera tak dobrze grała dziewczki w życiu.

Duvillard natychmiast pomknął z Dutheilem za kulisy, aby zabrać Sylwianę, a tymczasem Hiacynt odprowadził Rozamundę do powozu czekającego na rogu ulicy Montpensier, a sam stanął na czatach. I zdawał się niezwykle ubawiony, gdy zjawił się jego ojciec z Sylwianą, która wstrzymała go jednym gestem, gdy z kolei i on chciał wsiąść do powozu.

— Nie, mój drogi, nie dziś. Zaprosiłam do siebie przyjaciółkę.

Roześmiana twarzyczka Rozamundy mignęła w głębi. Duvillard pozostał z otwartymi ustami, gdy powóz uwożący dwie kobiety ruszył z miejsca. A on od tyłu dni się trudził, aby powrócić do łask!

— Mój drogi, nie dziw się — wyjaśnił Hiacynt Dutheilowi, bo i on nawet był trochę oburzony. — Miałem jej po uszy i dałem ją Sylwianie. Duvillard, zdumiony, stał na chodniku, pod opustoszałą już kolumnadą, gdy wyszedł zmordowany Chaigneux i zobaczywszy go przybiegł, aby mu oznajmić, że Fonsègue w końcu namyślił się i że artykuł Massota ukaże się. W kularach mówiono też wiele o słynnej Kolei Transsaharyjskiej. Hiacynt pociągnął ojca, przemawiał do niego jak rozsądny kolega, jak człowiek, dla którego kobieta jest zwierzęciem nieczystym i podłym. — Chodź spać... Ponieważ ten artykuł ma się ukazać, zaniesiesz go jej jutro rano, a na pewno otworzy ci drzwi. I dwaj mężczyźni, chcąc się trochę przejść, poszli przez Ave-nue de l'Opéra, pustą i pęsną o tej porze, pałac, wymieniając skąpe słowa, a tymczasem na uśpiony Paryż spływał niezmierny lament, agonia świata.

III

Od czasu egzekucji Salvata Wilhelm pogrążył się w wielkim milczeniu. Zdawał się czymś pochłonięty, nieobecny. Godzinami pracował, sporządzał ów proch tak niebezpieczny, o formule znanej tylko jemu jednemu, wymagający manipulacji niezmiernie delikatnych, przy których nie życzył sobie niczyjej pomocy. Potem wychodził z domu, wracał zmęczony długimi, samotnymi przechadzkami. Wśród domowników był jak dawniej łagodny, starał się uśmiechać, lecz stale wyglądał, jak gdyby myślami był gdzieś daleko, i drżał, ilekroć go zagadnięto. Wówczas Piotr doszedł do wniosku, że jego brat zbyt liczył na heroizm swego wyrzeczenia i że strata Marii jest mu zbyt ciężką do zniesienia. Może ta myśl prześladowała go, może to bolało go coraz więcej, w miarę jak zbliżała się wyznaczona data ślubu? I pewnego wieczora odważył się szczerze z nim porozmawiać, raz jeszcze zaproponować, że wyjedzie, że zniknie. Na pierwsze słowa Wilhelm powstrzymał go pełnym czułości okrzykiem: — Maria! Ach, mój braciszku, zbyt kocham ją, zbyt kocham ciebie, aby żałować tego, com uczynił... Nie, nie, wy darzycie mnie tylko szczęściem, wy jesteście moim męstwem, całą moją siłą, teraz gdy wiem, że oboje czujecie się szczęśliwi... I zapewniam cię, że się mylisz, nic absolutnie mi nie jest, to tylko praca trochę mnie pochłania. Tego wieczora postanowił opanować się, był wesoły i czarujący. Przy obiedzie zapytał, czy już wkrótce zjawi się tapicer, aby urządzić dla młodej pary dwa małe pokoiki, które Maria zajmowała nad pracownią. Maria, która, spokojna i uśmiechnięta, bez pośpiechu lub zakłopotania oczekiwała swego ślubu od dnia, gdy małżeństwo zostało postanowione, zaczęła mu wtedy radośnie opowiadać o swoich planach; chce mieć pokój czerwony, obity perkalikiem po dwadzieścia su za metr; meble z lakierowanej sosny, tak aby się jej wydawało, że jest na wsi, a wreszcie na podłodze musi być dywan, gdyż dywan był dla niej szczytem luksusu. I śmiała się, a on śmiał się z nią, z twarzą rozjaśnioną i ojcowską, Piotr zaś, któremu ta dobroduszna wesołość przyniosła ulgę, nabrał przekonania, że niepotrzebnie się martwił. Ale nazajutrz Wilhelm znowu zapadł w zadumę. I niepokój Piotra odżył, gdy zauważył, że i Babka jest niezwykle małomówna, pogrążona w jakimś

wyniosłym i surowym milczeniu. Nie mając odwagi zwrócić się wprost do niej, zastanawiał się najpierw, czyby nie wypytać trzech dorosłych synów Wilhelma; ale uznał, że byłoby to bezskuteczne, gdyż ani Tomasz, ani Franciszek, ani Antoni nie wiedzieli nic, nie chcieli nic wiedzieć. Spędzali dni każdy przy swoim zajęciu, z pogodnym uśmiechem na twarzy; dla ojca żywili szacunek, a nawet uwielbienie. Żyjąc obok niego, nie zadawali mu nigdy żadnych pytań na temat jego prac, jego zamierzeń, uważając, że to, co on czynił, mogło być tylko słuszne i dobre, i gotowi byli czynić to wraz z nim, bez namysłu, na każde skinienie. Ale widocznie on ich odsuwał od wszelkiego niebezpieczeństwa, narażał jedynie siebie i jedyną jego powiernicą była Babka, ją pytał o zdanie, jej rad może słuchał. Toteż Piotr doszedł do wniosku, że niczego nie dowie się od synów, i myślał już tylko o jej pełnej napięcia powadze, zwłaszcza odkąd spostrzegł, że odbywa ona teraz częste rozmowy z Wilhelmem w swoim pokoju na górze, obok mieszkania Marii. Zamykali się tam, widocznie długo nad czymś pracowali, a pokój wydawał się wtedy martwy, jak gdyby nie było w nim *żywego* ducha.

Następnie, pewnego dnia Piotr zobaczył, jak Wilhelm wyszedł stamtąd z małą walizką, która wyglądała na bardzo ciężką. Natychmiast przypomniały mu się zwierzenia brata, to, co mówił o prochu, którego funt wystarczyłby do wysadzenia w powietrze katedry, o niszczycielskiej maszynie, którą chciał podarować Francji walczącej, aby zapewnić jej zwycięstwo nad innymi narodami, a następnie uczynić z niej inicjatorkę i wybawicielkę. I przypomniał sobie, że prócz niego jedynie Babka dopuszczona była do tajemnicy, że długo sypiała na nabojach ze straszliwym materiałem wybuchowym, w okresie gdy Wilhelm obawiał się najścia policji. Dlaczegoż więc teraz wynosił tak wielkie ilości tego prochu, który od pewnego już czasu fabrykował? Podejrzenie, a potem głuchy lęk dodały mu sił i wreszcie niespodzianie zapytał brata:

— Czy obawiasz się czegoś, że nie chcesz nic trzymać tutaj w domu? Jeżeli te rzeczy sprawiają ci kłopot, wiesz, że mógłbyś wszystko złożyć u mnie, bo tam nikt szukać nie będzie.

Zdziwiony, Wilhelm bacznie na niego spojrzał.

— Tak, dowiedziałem się, że aresztowania i rewizje zaczęły się na nowo po straceniu tego nieszczęśliwca, gdyż boją się, aby jakiś desperat nie zechciał go pomścić... A poza tym nieostrożnością byłoby trzymać tutaj materiały wybuchowe o takiej mocy niszczycielskiej. Wolę przenieść je w bezpieczne miejsce... Do Neuilly? Ach, nie, braciszku, nie byłby to stosowny podarunek dla ciebie!

Mówił z twarzą spokojną i tylko wstrząsało nim lekkie drżenie.

— A więc — rzekł jeszcze Piotr — wszystko jest gotowe i w najbliższym czasie przekażesz swoją maszynę ministrowi wojny?

W szczerych oczach Wilhelma ukazało się wahanie, już gotów był skłamać. Ale po chwili rzekł spokojnie;

— Nie, rozmyśliłem się. Mam inny zamiar.

Powiedział to z twarzą wyrażającą tak groźną decyzję, że Piotr nie śmiał już dalej pytać, dowiadywać się, jaki jest ów inny zamiar. Lecz od tej chwili żył w niespokojnym oczekiwaniu; z wyniosłego milczenia Babki, z coraz bardziej heroicznego i wyzwolonego wyrazu twarzy Wilhelma wyczuwał, że z godziny

na godzinę rodzi się, rośnie i ogarnia cały Paryż coś ogromnego i przerażającego.

Pewnego, popołudnia, gdy Tomasz miał pójść do fabryki Grandidiera, dowiedzieli się, że Toussaint, stary robotnik, miał właśnie nowy atak paraliżu. I Tomasz obiecał, że po drodze wstąpi do biednego człowieka, dla którego miał wiele szacunku, i zobaczy, czy nie można by mu przyjść z jakąś pomocą. Piotr postanowił mu towarzyszyć. Obaj wyszli około godziny czwartej.

W jedynej izbie, którą zajmowali Toussaintowie, służącej im za jadalnię i sypialnię, dwaj przybysze zastali mechanika siedzącego przy stole, na niskim krześle; wyglądał jak rażony gromem. Był to paraliż połowy ciała, który atakując cały prawy bok, rękę i nogę dosięgnął również twarzy, tak że pozbawił go i mowy. Wydawał tylko niezrozumiałe gardłowe dźwięki. Usta wykrzywione były na prawą stronę, cała poczciwa, okrągła twarz o skórze ogorzałej, z jasnymi oczyma, ściągnęła się w maskę przerażającego lęku. W pięćdziesiątym roku życia był to człowiek zupełnie złamany, o zaniedbanej, siwej, starczej brodzie, o żyłastych rękach i nogach, zżartych przez pracę, teraz niezdolnych już do żadnego wysiłku. I jedynie oczy żyły, okrażały pokój, przenosiły się z jednego przybysza na drugiego; i tylko pani Toussaint, zawsze otyła, nawet gdy nie miała czym zaspokoić głodu, była po dawnemu energiczna i nie tracąc głowy w nieszczęściu uwijała się dokoła męża.

— Toussaint, patrz, jacy mali goście, przyszedł pan Tomasz, aby cię odwiedzić, z księdzem. — I bez zmieszania poprawiła: — Z panem Piotrem, swoim stryjem... Widzisz, że nie wszyscy cię opuścili!

Toussaint chciał coś powiedzieć, ale ten bezowocny wysiłek wywołał tylko dwie duże łzy w jego oczach; i patrzył na nowo przybyłych z wyrazem niewypowiedzianego przygnębienia, a szczęki mu drżały.

— Nie przejmuj się tak — mówiła dalej kobieta. — Lekarz powiedział, że to się na nic nie przyda.

Piotr wchodząc zauważył, że jakieś dwie osoby wstały i usunęły się trochę na bok. Ze zdziwieniem poznał panią Teodorową i małą Celinę; obie były porządnie ubrane, twarze ich wyrażały spokój. Przyszły odwiedzić, jedna brata, druga — wuja, gdy dowiedziały się o wypadku, powodując się dobrocią smutnych istot, które same zaznały już najcięższych cierpień. Teraz zdawały się już zabezpieczone od skrajnej nędzy i Piotr przypomniał sobie, co mu mówiono o nadzwyczajnych dowodach sympatii, jaką okazywano dziewczynce po egzekucji jej ojca, o licznych darach, o istnej walce szlachetnych ludzi, którzy chcieli ją adoptować, a wreszcie o tym, że uczynił to pewien dawny przyjaciel Salvata, który zapisał ją znowu do szkoły, a potem zamierzał ją oddać na naukę jakiegoś zawodu; panią Teodorową umieszczono jako pielęgniarkę chorych w domu zdrowia. Tak więc obie były ocalone.

Gdy Piotr podszedł, aby uściskać małą Celinę, pani Teodorowa kazała jej raz jeszcze serdecznie księdzu podziękować. Wciąż jeszcze tak go nazywała, przez uszanowanie.

— To ksiądz przyniósł nam szczęście. Takich rzeczy nie zapomina się, ja co dzień powtarzani jej, że nie wolno jej opuścić przy pacierzu imienia księdza.

— A więc, moje dziecko, będziesz znów chodziła do szkoły?

— Ach tak, proszę księdza, jestem taka uradowana. A poza tym niczego nam teraz nie brakuje. — Wzruszenie zdławiło ją, wyjąkała z płaczem: — Ach, gdyby biedny tatuś mógł nas zobaczyć!

Pani Teodorowa uprzejmie żegnała się z panią Toussaint.

— A więc do widzenia, pójdziemy już. Naprawdę smutne to, co was spotkało, i chciałyśmy wam wyrazić, jak bardzo wam współczujemy. Kiedy przyjdzie nieszczęście, najgorsze jest to, że sama dzielność mimo wszystko nic tutaj nie pomoże... Celino, chodź uściskać wujka... Mój biedny bracie, życzę ci, abyś jak najprędzej odzyskał władzę w obu nogach.

Ucałowały paralityka w policzek i wyszły. A Toussaint, który słuchał i patrzył, odprowadził je wzrokiem żywym, inteligentnym jeszcze, jak gdyby płonącym od żalu i tęsknoty za życiem, za działaniem, do którego one powracały.

Mimo stale dopisującego jej dobrego humoru panią Toussaint ukąsiła zazdrosna myśl.

— Oj, mój biedny stary! — rzekła wsuwając poduszkę pod mężowskie plecy.

— Tym dwom powiodło się lepiej niż nam. Od kiedy ucieli głowę temu zwariowanemu Salvatowi, wszystko im się wiedzie. Ich sprawy są uregulowane, mają zapewniony chleb na przyszłość. — Następnie dodała zwracając się do Piotra i Tomasza: — A tymczasem my już przepadliśmy z kretesem, tkwimy po uszy, bez nadziei, że się z tego wykaraskamy... Trudno, musimy umrzeć z głodu, mego biednego męża nie posłali na gilotynę, on tylko pracował przez całe życie i widzą go panowie, jest gotów, jak stara szkapa nikomu już niepotrzebna.

Usadowiła ich, odpowiadała na pełne współczucia pytania. Lekarz był już dwukrotnie i przyrzekł im, że przywróci choremu mowę, że może pozwoli mu przejść się po pokoju o lasce. Nie należało jednak spodziewać się, aby miał jeszcze kiedy

naprawdę powrócić do pracy. Więc po co to wszystko? Oczy Toussainta mówiły, że wolałby umrzeć od razu. Gdy robotnik nie pracuje, gdy nie może wyżywić żony, dojrzał już, aby go pochować w ziemi.

— Oszczędności! — mówiła dalej. — Niektórzy ludzie pytają mnie, czy mamy oszczędności. Było tego z tysiąc franków w Kasie, gdy Toussaint miał swój pierwszy atak. I nikt nie wie, ile to trzeba trudów, aby odłożyć sobie taką sumę; bo ostatecznie z nas nie jakieś dzikusy, od czasu do czasu człowiek urządzi małą uroczystość, zje coś smacznego, zakropi to butelką trochę lepszego wina... Przez pięć miesięcy przymusowego bezrobocia, kiedy trzeba było kupować lekarstwa, robić surowe befsztyki z polędwicy, przejedliśmy tysiąc franków i, Boże się zlituj, teraz, kiedy się to znowu zaczyna, nie możemy nawet pomyśleć o butelce wina albo o smaku baraniny z rożna.

Ten okrzyk łakomej kumoszki, jaką zawsze była, wymowniej świadczył o jej trwodze przed jutrem niż powstrzymywane łzy. Trzymała się, dzielna mimo wszystko; ale co za ruina, istny koniec świata, jeżeli nie mogła już nawet utrzymać w porządku mieszkania, upiec na niedzielę kawałka cielęciny w piecyku, oczekiwać na męża co wieczór, gawędząc z sąsiadkami? Czuli się, jak gdyby wrzucono ich do rynsztoka i wywieziono w wózku na śmietnik! Przerwał jej Tomasz.

— A czy nie istnieje Schronisko dla Inwalidów Pracy i czy nie można by tam umieścić męża pani? Wydaje mi się, że to się mu słuszenie należy.

— A jakże — odrzekła kobieta — mówili mi ludzie o tym, już się dowiadywałam. Nie przyjmują chorych do tego domu. Gdy poszłam, odpowiedzieli, że dla chorych są szpitale.

Piotr gestem zniechęcenia potwierdził bezowocność jej starań. W nagłej wizji znów zobaczył siebie, jak przemierza Paryż, biegnie do baronowej Duvillard, przewodniczącej, do zarządcy generalnego Fonsègue'a, aby w końcu uzyskać przyjęcie biednego Laveuve wtedy, gdy ten już nie żył.

Ale w tej chwili rozległo się dziecinne kwilenie i dwaj goście zdumieni się widząc, że pani Toussaint biegnie do ciasnej izdeb-

ki, gdzie przez długi czas sypiał jej syn Karol, i wychodzi stamtąd z półtorarocznym malcem na rękach.

— Mój Boże, tak — tłumaczyła — to malec Karola. Spał tam, w dawnym łóżku swego ojca, i teraz, słyszą panowie, obudził się. Proszę sobie wyobrazić, że w zeszłą środę, akurat w przeddzień tego, jak Toussaint dostał swego ataku, poszłam odebrać go od mamki, do Saint-Denis; odgrażała się, że wyrzuci go na ulicę, bo Karol, który zaczyna się źle prowadzić, nic jej nie płacił. Ja myślałam jeszcze wtedy, że mąż będzie miał znowu dosyć pracy i że zawsze jakoś zdołamy wyżywić taką odrobinę. No i teraz wszystko się wali... Ale co robić, kiedy już tutaj jest, nie mogę go przecież wyrzucić na bruk! Mówiąc to nie przestawała chodzić dokoła kołysać dziecko, aby je uspokoić. Usta się jej nie zamykały, wracała do swojej głupiej historii, do tej służącej od kupca winnego z naprzeciwka, z którą Karol lekkomyślnie sypiał nie zachowując żadnych ostrożności, a która zostawiła mu ten piękny prezent, a sama uciekła z innym chłopem, postąpiła jak ostatni wyciruch. Gdyby jeszcze Karol pracował tak jak dawniej, zanim poszedł do wojska, kiedy, nie marnował ani godziny i przynosił do domu cały zarobek! Ale powrócił mniej chętny do roboty, rezonuje, chodzą mu po głowie różne myśli; i teraz wprawdzie jeszcze nie rzuca bomb, jak ten wariat Salvat, ale połowę dniówek traci na łażenie po socjalistach i anarchistach, którzy całkiem go otumanili. To prawdziwe zmartwienie patrzeć, jak taki mocny, taki porządny chłopak schodzi na złe drogi. I ludzie z sąsiedztwa mówią, że dużo jest takich jak on, że najlepsi, najinteligentniejsi mają dość już nędzy, pracy, która nie może wyżywić człowieka, i że w końcu oni raczej wszystko przewrócą do góry nogami, niż pogodzą się z myślą, że na starość nie będą mieli co do ust włożyć.

— Ach, synowie nie są już wcale podobni do ojców! Te chłopaki nie będą mieć tej cierpliwości co mój biedny stary Toussaint, który pozwolił się zrujnować do szczeru, aż zostały z niego te smutne resztki, które panowie tu widzą... A wiecie panowie, co powiedział Karol, gdy któregoś wieczora zobaczył ojca tu na krześle, nie mogącego ruszyć ręką ani nogą, z martwym językiem? Wpadł w pasję, krzyczał, że ojciec przez całe życie był beznadziejną szkapą, że niepotrzebnie tak harował dla burżujów, którzy dziś nie podaliby mu nawet szklanki wody... Potem, bo w gruncie rzeczy on nie jest zły, rozbeczał się, że aż strach!

Dziecko już nie płakało, ale kobieta chodziła wciąż po pokoju, kołysząc je i tuląc do serca, jak przystało kochającej babce. Ich syn Karol nie mógł im w niczym pomóc, czasem da pięć franków, ale i to nie zawsze. Ona odwykła od

pracy, więc nie próbowała nawet powrócić do dawnego fachu, do bielizniarstwa. Zresztą teraz trudno było nawet szukać jakiejś posługi, skoro miała tego malca na głowie i musiała się opiekować tym drugim dużym dzieckiem, niedołącznym, które trzeba było myć i karmić. Więc co robić? Co stanie się z nimi trojgiem? Nie wiedziała, i to przejmowało ją dreszczem strachu, mimo że chciała się wydawać tak opiekuńcza i dzielna. Piotr i Tomasz uczuli głęboką litość, gdy w tej smutnej izbie pracy i nędzy, tak jeszcze czystej, ujrzeni na policzkach sparaliżowanego, nieruchomego Toussainta toczące się wielkie łzy. Słuchał słów żony, patrzył na nią, spoglądał na małą istotę uśpioną w jej ramionach; a ponieważ nie miał już głosu, aby wykrzyczeć swoją skargę, wszystko to wzbierało w nim gorzką, nie wysychającą falą: i jego długie pracowite życie, z którego wyszedł zmarnowany i oszukany, i straszliwa niesprawiedliwość wysiłku prowadzącego do takiego cierpienia, i gniew bezsilności, i to, że widział swoich bliskich, równie jak on niewinnych, cierpiących jego cierpieniem, umierających jego śmiercią. Ach, ten stary człowiek, ten inwalida pracy ginął jak ochwacony koń, co padł na ulicy! I myśl ta była tak oburzająca, tak potworna, że chciał ją koniecznie wypowiedzieć, lecz jego ból wyraził się tylko przerażającym chrapliwym pomrukiem.

— Milcz lepiej, bo to ci tylko zaszkodzi! — zakończyła pani Toussaint. — Będzie to, co musi być.

Poszła, aby znów położyć małego do łóżka. Gdy wróciła, Tomasz i Piotr właśnie mieli z nią pomówić o panu Grandidier, pracodawcy Toussainta, gdy wszedł nowy gość. Zostali więc jeszcze chwilę.

Była to pani Chrétiennot, żona drobnego urzędnika, druga siostra Toussainta, młodsza od niego o lat osiemnaście. Piękna Hortensja, dowiedziawszy się o katastrofie, chciała być w porządku, więc przysłała z wyrazami współczucia, chociaż mąż ka-
zał jej był zerwać wszystkie niemal stosunki z rodziną, której się wstydził. Przysłała w sukni z taniego jedwabiu, w kapeluszu z czerwonymi makami, który dawała już trzykrotnie przerabiać. Ale mimo tego zbytku czuła się skrępowana, kryła swoje stopy w przydeptanych trzewikach. Po ostatnim poronieniu mocno zbrzydła; dokończyło ono dzieła zniszczenia jej tak szybko zwiędłej urody blondynki.

Już w progu wydała się zmrożona przejmującym wyglądem brata, ubóstwem tej izby cierpienia, do której miała wejść. Gdy ucałowała chorego i wyraziła ubolewanie, że znajduje go w takim stanie, natychmiast zaczęła żalić się *na* swój los, opowiadać o własnych kłopotach, w obawie, ażeby jej o coś nie proszono.

— Ach, moja droga, wy oczywiście zasługujecie na współczucie, ale gdybyś wiedziała! Wszyscy mamy swoje troski... Na przykład nie wyobrażasz sobie, z jakim trudem ja, która muszę chodzić w kapeluszu i mieć jakieś przyzwoite suknie z uwagi na pozycję mego męża, wiązę koniec z końcem! Co tu począć z trzema tysiącami pensji, zwłaszcza gdy trzeba z tego zapłacić siedemset franków komornego. Powiesz mi na to, że moglibyśmy mieszkać skromniej; ależ nie, moja kochana, muszę mieć salon, bo przyjmuję gości. A więc policz... A mam przecież dwie córki, które trzeba posyłać na lekcje, Lucynka zaczęła naukę gry na fortepianie, Marcela ma zdolności do rysunku... O

właśnie, chętnie byłabym je przyprowadziła z sobą, ale bałam się, że mogłyby się zanadto przejąć. Wybaczycie mi to, prawda?

Opowiedziała jeszcze, ile wycierpiała od męża w związku z nieszczęsną sprawą Salvata. Chrétiennot, próżny, małoduszny i zajadły, czuł się zhańbiony tym, że ma teraz w rodzinie żony zgilotynowanego przestępcę; i dręczył biedną kobietę, oskarżał ją, że jest sprawczynią ich biedy; z każdym dniem bardziej gorzkniejąc w beznadziejnym życiu biurowym, czynił ją odpowiedzialną za własną przeciętność. W niektóre wieczory dochodziło między nimi do kłótni, ona broniła się, przypominała, że w czasie gdy jeszcze była kasjerką u cukiernika przy ulicy des Martyrs, mogła wyjść za lekarza, który uważał, że jest dość ładna, aby zostać jego żoną. I teraz, gdy żona brzydła, gdy mąż czuł się skazany na wieczną biedę, gdyby nawet otrzymał wymarzoną pensję — cztery tysiące franków — para ta coraz głębiej grzęzła w ponurej egzystencji, niespokojnej i kłótlivej, równie nieznośnej przy tak drogo opłacanej iluzji, że są państwem, jak czarna nędza rodzin robotniczych.

— Ale w gruncie rzeczy, moja kochana — rzekła pani Toussaint, znużona tą litanią utrapień, jakie recytowała jej szwagierka — mieliście szczęście, że udało się wam uniknąć trzeciego dziecka.

Hortensja westchnęła z miną głębokiej ulgi.

— Ach, to prawda, bo na próżno łamałam sobie głowę, jak zdołalibyśmy wychować to trzecie dziecko. Nie mówiąc już o obrzydliwych scenach, jakie wyprawiał mi Chrétiennot; krzyczał, że nie z jego winy jestem w odmiennym stanie i że w dniu, gdy zjawi się trzecie dziecko, on porzuci mnie i wyprowadzi się z domu... Wiesz, że o mało życiem nie przyplącałam tego poronienia, ach, to było straszne, do dziś jeszcze jestem do niczego! Teraz lekarz powiada, że odżywiam się zbyt marnie, że muszę mieć dobry wikt. Ale to nic, i tak byłam bardzo zadowolona.

— Ma się rozumieć, moja kochana, przecież o to wam tylko chodziło.

— Oczywiście, o to nam tylko chodziło... Chrétiennot wciąż powtarzał, że będzie tańczyć z radości... A jednak, a jednak... — Głos Hortensji *zadrzał* od nagłego wzruszenia: — Gdy doktor popatrzył i powiedział nam, że to miał być chłopiec, zrobiło mi się tak żal, że mało mi serce nie pękło; spostrzegłam też, że Chrétiennot odwrócił się, aby nikt nie widział jego skrzywionej twarzy... Mamy dwie córki i byłibyśmy tacy uradowani, gdyby się nam urodził syn! — Łzy zalały jej oczy, dokończyła z trudem wymawiając słowa: — No, ale ponieważ nie możemy sobie pozwolić na taki zbytek, aby mieć syna, to i lepiej, że się nie urodził. Dobrze się stało i dla niego, i dla nas, że wrócił, skąd przyszedł... Trudno, niewesołe to sprawy, naprawdę życie jest tak ciężkie!

Wstała i chciała wyjść, uściskawszy wpierw raz jeszcze brata, gdyż bała się nowej sceny, gdyby mąż wrócił i nie zastał jej w domu. Potem, stojąc już, zwlekała jeszcze; wspomniała, że odwiedziła siostrę, panią Teodorową, i małą Celinę; obie są teraz porządnie ubrane i zadowolone. I ona z kolei zakończyła z pewnego rodzaju zazdrością:

— Mój mąż poprzestaje na chodzeniu codziennie do biura i ślęczeniu tam nad pracą; nigdy nie robi nic takiego, aby mieli uciąć mu głowę; i nikt na pewno nie zatroszczy się o to, aby kiedyś zapewnić rentę Marceli i Lucynce...

No, moja droga, nie trać odwagi, trzeba zawsze wierzyć, że wszystko dobrze się zakończy.

Gdy wyszła, Piotr i Tomasz, zanim i oni z kolei pożegnali się, aby pójść do fabryki, wypytywali jeszcze, czy pan Grandidier, właściciel, uprzedzony o nieszczęściu, jakie spotkało Toussainta, zobowiązał się przyjść mu z pomocą. Usłyszawszy, że na razie uczynił tylko niejasną obietnicę, postanowili, że gorąco przemówią do niego w sprawie starego mechanika, który od dwudziestu pięciu lat pracował w firmie. Najgorsze było, że dawny projekt kasy pożyczkowej, a nawet kasy dla emerytów, opracowywany niegdyś, przed kryzysem, z którego fabryka się teraz dźwigała, ugrzązł pośród wszelkiego rodzaju komplikacji i trudności. W przeciwnym razie może Toussaint miałby teraz prawo być kaleką, nie umierałby dosłownie z głodu. Gdyby pracodawca okazał się niesprawiedliwy, jedyną nadzieją sparaliżowanego robotnika byłaby dobroczynność.

Mały Karol znów zaczął płakać, więc pani Toussaint znowu wzięła go na ręce i zaczęła niańczyć, a tymczasem Tomasz uściśnął dłoń paralytyka w obu rękach.

— Wrócimy tutaj, nie opuścimy pana. Wie pan dobrze, że wszyscy pana lubimy jako dzielnego i solidnego robotnika... Proszę liczyć na nas, zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

I zostawili go w ponurym pokoju, z oczyma we łzach, powalonego jak zwierzę, zdatne już tylko do rzeźni; żona krzątała się przy nim, kołysząc płaczące dziecko, jeszcze jednego nieszczęśliwca, który dziś był ciężarem dla starego stadła, a w przyszłości też miał umierać z nędzy, w jarzmie niesprawiedliwej pracy.

Gdy Piotr i Tomasz przyszli do fabryki, wrzała tam praca, wszystko aż dyszało od wysiłku. Smukłe kominy na dachach rytmicznie wyrzucały strugi pary, jak gdyby uregulowały nawet oddech wspólnego trudu. W różnych warsztatach rozlegał się nieustanny hałas, cały tłum robotników uwijał się, kuł, piłował, wiercił, śmigwały rzemienie i drżały maszyny. Dzień roboczy dobiegał końca w zwykłej gorączce, zanim głos dzwonu miał dać hasło do rozejścia się.

Gdy Tomasz zapytał o pana Grandidier, odpowiedziano mu, że szef nie pokazał się od śniadania. Usłyszawszy tę niezwykłą wiadomość, zrozumiał, że znowu jakaś żalosna scena musiała rozegrać się w milczącym pawilonie o stale zamkniętych żaluzjach, gdzie fabrykant mieszkał na uboczu, z młodą żoną, od dwu lat. obłąkaną, zawsze prześliczną i tak gorąco kochaną, że nigdy nie zdobył się na rozłąkę z nią. Z małego oszklonego warsztatu, gdzie Tomasz zazwyczaj pracował i dokąd poszli z Piotrem, aby tam zaczekać, widać było pawilon, spokojny, pozornie tak szczęśliwy wśród bujnych kęp bzu; aż prosiło się, aby rozweseliły go jasne suknie młodej kobiety i śmiechy bawiących się dzieci. I nagle wydało im się, że słyszą wielki, rozzwierający krzyk; później rozległy się skargi bitego zwierzęcia, śmiertelny jęk zarzylanego stworzenia. Przerażliwe wycie na tle gwaru pracującej fabryki, jak gdyby zrytmizowane wybuchami pary, przy wtórze głuchego warkotu maszyn! Po ostatniej inwentaryzacji dochody fabrykanta wzrosły w dwójnasób, zakład rozwijał się z miesiąca na miesiąc, zwycięsko przetrwawszy złe dni. Grandidier był na drodze do ogromnego majątku, co zawdzięczał słynnej Lizetce, popularnemu rowerowi, który jego brat, jeden z

dyrektorów firmy „Bon Marché”, sprzedawał po sto pięćdziesiąt franków za sztukę, nie mówiąc o ogromnych zyskach, jakie wróżyło mu bliskie już powodzenie wozów automobilowych, miał bowiem przystąpić do fabrykacji małych motorów, nowych, długo poszukiwanych i prawie już opracowanych. A tymczasem w posępnym pawilonie o zamkniętych zawsze żaluzjach straszliwe krzyki nie ustawały, rozgrywał się jakiś przerażający dramat, którego tym razem pracowity i pogodny rumor fabryki nie zdołał zagłuszyć. Piotr i Tomasz słuchali, patrzyli na siebie bladzi i drżący. Potem, gdy okrzyki nagle ustały i pawilon pogrążył się w wielkim milczeniu śmierci, Tomasz rzekł cicho:

— Zazwyczaj ona jest podobno bardzo łagodna, całymi dniami siedzi na ziemi, na dywanie, jak małe dziecko. On kocha ją nawet taką, układa ją do snu i nosi, pieści ją i zabawia. Ileż w tym smutku!... Ona bardzo rzadko miewa ataki, a wtedy wpada w furję, chce *gryźć* i próbuje się zabić, bije głową o ściany; i wtedy on musi z nią walczyć, gdyż nikt prócz niego jej nie dotyka. Usiłuje ją pohamować, trzyma ją w ramionach, uspokaja... Ale dziś... ta groza, ten lament! Słyszałeś? Nigdy chyba jeszcze nie miała tak straszliwego ataku. Po upływie kwadransa, wśród wielkiej ciszy, Grandidier wyszedł z pawilonu, z gołą głową, jeszcze sinoblady. Gdy mijał małą oszkloną pracownię i ujrzał w niej Tomasza i Piotra wszedł, oparł się o imadło, jak człowiek roztargniony, dręczony jakimś koszmarem. Jego łagodna a energiczna twarz zachowała maskę trwogi, bezmiernego cierpienia. Koło lewego ucha krwawiła mu niewielka ranka.

Natychmiast zaczął mówić, chciał się opanować, powrócić do swego pracowitego życia.

— Cieszę się, że pana widzę, drogi Tomaszu. Myślałem o tym, co mi pan mówił o naszym motorze. Trzeba jeszcze o tym porozmawiać.

Widząc go tak wzburzonym, młody człowiek doznał miłosiernego natchnienia; pomyślał, że nagle odwrócenie uwagi, cudze nieszczęście oderwałoby go może od własnej myśli prześladowczej.

— Oczywiście, przyszedłem i jestem do pańskiej dyspozycji... Ale przedtem pozwolę sobie wspomnieć panu, że właśnie byliśmy u Toussainta, tego sparaliżowanego biedaka, i że serca się nam krajały na widok tak straszliwej niedoli i skrajnej nędzy; po tylu latach pracy znalazł się na bruku.

Przypomniał, że stary robotnik przepracował w fabryce dwadzieścia pięć lat, że sprawiedliwość wymagałaby, aby policzyć mu ten długoletni trud, któremu poświęcił całe swoje życie uczciwego człowieka. Zapytał, czy firma mogłaby przyjść mu z pomocą w imię słuszności, a także w imię miłosierdzia.

— Ach, panie — ośmielił się z kolei dodać Piotr — chciałbym pana chociaż na chwilę zaprowadzić do tej smutnej izby, do tego nieszczęsnego człowieka, który, postarzały, zniszczony, złamany, nie może już nawet dobrać głosu, aby wykrzyczeć swoje cierpienie. Nie ma większego nieszczęścia jak umierać w takich okolicznościach, zwątpiwszy o wszelkiej dobroci i wszelkiej sprawiedliwości.

Grandidier słuchał ich w milczeniu, a po chwili wielkie, nie powstrzymane łzy napłynęły mu do oczu. Jego głos zadrżał, gdy rzekł bardzo cicho:

— A czyż my wiemy, co jest największym nieszczęściem? Czy ktoś może mówić, co jest największym nieszczęściem, skoro nie cierpiał nieszczęścia innych ludzi?... Tak, tak, biedny ten Toussaint, to smutne w jego wieku nie wiedzieć, czy jutro będzie się miało na kawałek chleba! Ale znam smutki równie ciężkie, okropności, które jeszcze bardziej zatruwają życie... Ach, ten kawałek chleba! Jakież to naiwne: wierzyć, że szczęście zapanuje, gdy wszyscy na świecie będą mieli zapewniony kawałek chleba.

W jego drzeniu wyrażał się cały bolesny dramat tego życia. Był właścicielem, zwierzchnikiem, człowiekiem na drodze do majątku, który dysponuje kapitałem i któremu robotnicy zazdroszczą; miał przedsiębiorstwo, które znowu zaczynało kwitnąć, którego maszyny po prostu były pieniądze, tak że pozostawało mu chyba tylko chować zyski do kieszeni; a jednocześnie był najnieszczęśliwszym z ludzi, każdy dzień zatruwała mu serdeczna męka, wracając do domu znajdował za całą nagrodę i otuchę tylko najokrutniejszą torturę dla duszy! Za wszystko trzeba płacić! Ten triumfator, ten ulubieniec pieniądza szlochał w rozpaczy na stertach banknotów, rosnących od inwentarza do inwentarza.

Okazał wielką życzliwość, przyrzekł, że zajmie się Toussaintem. Ale co mógł uczynić? Żadną miarą nie zgodziłby się na przyznanie emerytury, gdyż godziłoby to w samą istotę obowiązującego aktualnie systemu pracy najemnej. Grandidier z wielką energią bronił swoich praw pracodawcy, powtarzał, że zaciekłość konkurencji zmusza go do egzekwowania ich bez żadnych ustępstw, odpowiednio do wymagań obecnego ustroju. I wyraził żal, że robotnicy nie starali się zrealizować swego projektu kasy emerytalnej, a nawet dawał do zrozumienia, że będzie ich nakłaniał, aby do niego powrócili. Rumieniec powrócił na jego policzki, życie i codzienna walka zagarniały go znowu, stawiały na nogi.

— A wracając do naszego motoru, chciałem panu powiedzieć, że...

I wdał się w długą rozmowę z Tomaszem, a tymczasem Piotr czekał, z sercem ściśniętym, strwożony tym powszechnym pragnieniem szczęścia. Z rozmowy chwycił tylko poszczególne słowa, gubił się wśród technicznych określeń. Niegdyś fabryka produkowała małe motory parowe. Ale praktyka zdawała się je odrzucać, szukano jakiejś innej energii. Elektryczność, przypuszczalna królowa jutra, nie wchodziła jeszcze w rachubę, gdyż wymagała zbyt ciężkich aparatów. Pozostawała więc tylko ropa naftowa ze swymi niedogodnościami tak poważnymi, że zwycięstwo i majątek przypadłyby na pewno konstruktorowi, który potrafiłby ją zastąpić jakimś nowym źródłem energii, dziś jeszcze nie znanym. Rozwiązanie problemu polegało na tym, aby tę siłę odkryć i zastosować w praktyce.

— Tak, obecnie już mi się spieszy — powiedział Grandidier z bardzo ożywionym wyrazem twarzy. — Pozwoliłem panu prowadzić poszukiwania w spokoju, nie przeszkadzałem natrętnymi pytaniami. Ale teraz już pośpiech jest konieczny.

Tomasz uśmiechnął się.

— Jeszcze trochę cierpliwości; zdaje mi się, że jestem na dobrej drodze.

I Grandidier uściśnił ręce im obu, po czym udał się na zwyczajny obchód swoich warsztatów, gdzie wrzała praca, a tymczasem, w milczeniu śmierci,

zamknięty i drżący od nieustannego, nieuleczalnego cierpienia oczekiwał go pawilon, do którego musiał codziennie powracać.

Dzień miał się już ku końcowi, gdy Piotr i Tomasz, wróciwszy na wzgórze Montmartre, skierowali się ku wielkiej oszklonej pracowni, którą zbudował sobie rzeźbiarz Jahan, aby w niej wykonać na zamówienie olbrzymiego anioła; stała ona wśród szop, warsztatów i baraków wszelkiego rodzaju, koniecznych do ukończenia budowy bazyliki Sacré-Coeur. Były tam rozległe puste tereny, zavalone materiałem budowlanym, niezmierny chaos ciosanego kamienia, rusztowań, maszyn; niedługo robotnicy ziemni mieli tutaj wykonać ostatnie prace, ale w tej chwili jeszcze ziały nie zasypane rowy, połamane schody biegły pod ziemię, drzwi zagrodzone zwykłymi palisadami prowadziły do fundamentów kościoła.

Tomasz, który zatrzymał się przed pracownią Jahana, wskazał ręką jedne z takich drzwi, którymi schodzili robotnicy pracujący przy fundamentach.

— Nigdy nie przyszło ci, stryju, na myśl, aby zwiedzić fundamenty bazyliki? To jest cały osobny świat, bardzo interesujący... Wiesz, że oni tam utopili miliony. Musieli szukać odpowiedniego gruntu w głębi wzgórza, wywiercili ponad osiemdziesiąt szybów, w które wlewali beton, aby postawić swój kościół na tych osiemdziesięciu podziemnych kolumnach... Nie widać ich, ale to właśnie one dźwigają ponad Paryżem tę absurdalną, znieważającą miasto budowlę.

Piotr zbliżył się do ogrodzenia i długo wpatrywał się w widoczne za nim otwarte drzwi i coś w rodzaju ciemnego korytarza, w którym majaczyły prowadzące w głąb schody. I myślał o tych niewidzialnych kolumnach, o całej upartej energii, o woli panowania, która wzniosła ten budynek.

Tomasz musiał go przywołać.

— Pospieszmy się, zaraz się ściemni. Potem nie będziemy mogli już nic zobaczyć.

Antoni miał na nich czekać u Jahana, który chciał im pokazać nową makietę. Gdy weszli, dwaj pomocnicy pracowali jeszcze przy monumentalnym aniele; stojąc na szczycie rusztowania, kończyli ociosywać mu symetryczne skrzydła; równocześnie rzeźbiarz, usadowiony na niskim krześle, z rękami obnażonymi po łokcie i poplamionymi gliną, zagłębiał się w kontemplacji figury wysokiej na metr, przy której właśnie pracował.

— Ach, to wy! Antoni już tu na was czeka więcej jak pół godziny. Zdaje mi się, że poszli z Lizą popatrzeć, jak słońce zachodzi nad Paryżem. Ale zaraz wróca.

I zapadł znowu w milczenie, nieruchomy, z oczyma utkwionymi w swoje dzieło.

Był to posąg stojącej wysokiej, nagiej kobiety o majestacie tak królewskim przy jednoczesnej prostocie linii, że wydawała się olbrzymką. Rozbudzone i gęste włosy były jak gdyby promieniami jej twarzy, której wspaniała piękność jaśniała jak słońce. Stała z gestem wyrażającym wezwanie i gotowość, wyciągając ramiona i otwierając ręce ku wszystkim ludziom.

Jahan, pogrążony w swojej wizji, zaczął wolno mówić: — Przypominacie sobie rnoże, że chciałem stworzyć odpowiednik do *Płodności*, którą widzieliście, *Płodności* o bujnych biodrach, zdolnych nosić cały świat. I miałem już *Milosierdzie*, ale pozwoliłem wyschnąć glinie, tak wydawało mi się błahe,

banalne, szablonowe... Wtenczas przyszedł mi do głowy pomysł tej *Sprawiedliwości*. Ale nie z mieczem, z wagą, och nie! Nie pociągała mnie Sprawiedliwość w todze, w birecie na głowie! Nawiedziła mnie płomienna wizja innej Sprawiedliwości, tej, której oczekują mali, cierpiący, tej, która jedna tylko może zaprowadzić wśród nas trochę ładu i szczęścia... I zobaczyłem ją taką właśnie, całkiem naga, pełną prostoty i bardzo dostojną. Jest ona słońcem, słońcem piękności, harmonii i siły, gdyż tylko słońce jest naprawdę sprawiedliwe, płonie na niebie dla wszystkich, darząc w swym ruchu zarówno bogacza, jak ubogiego, siejąc swoją wspaniałość, swoje światło, swoje ciepło, będące źródłem wszelkiego życia... Oto ją macie, ofiarowuje się ona wszystkim bez różnicy, do wszystkich wyciąga ramiona, przyjmuje całą ludzkość, czyni jej dar z wiecznego życia w wiecznym pięknie. Ach, największe marzenie to być pięknym, byś silnym, być sprawiedliwym! — Zapalił na nowo fajkę i wybuchnął dobrodusznym śmiechem. — Krótko mówiąc, wydaje mi się, że ta zacna kobiecina dzielnie sobie wygląda!... A co wy o niej sądzicie?

Obaj przybysze wyrazili mu gorące uznanie. Piotr bardzo się wzruszył odnajdując w tej wizji artysty myśl, która od dawna go nurtowała, myśl o bliskiej erze Sprawiedliwości na ruinach tego świata, którego Miłosierdzie po długich wiekach doświadczeń nie mogło uchronić od ostatecznej katastrofy. Rzeźbiarz z humorem wyjaśniał, że robi tę makietę, aby pocieszyć się po wielkim manekinie anioła, którego narzucona mu banalność doprowadzała go do rozpacz. Właśnie udzielono mu nowych napomnień, dotyczących fałdów szaty, które jakoby zbyt podkreślały linię ud; i musiał zmienić całą draperię.

— Zrobię, co tylko zechcę! — wykrzyknął. — Wykonuję już nie moje dzieło, lecz zamówienie, jak murarz buduje ścianę. Nie istnieje już sztuka religijna. Niedowiarstwo i głupota zabiły wszystko... Ale gdyby sztuka społeczna, sztuka ludzka zdołała się odrodzić, ach, jakimż zaszczytem byłoby stać się jednym z jej zwiastunów!

Przerwał sam sobie. Gdzie, u diabła, podziało się tych dwoje dzieciaków, Antoni i Liza?! Otworzył na oścież drzwi pracowni i na nie zabudowanym terenie, wśród gruzów, dojrzeli dwie smukłe, ozłoczone pożegnalnymi promieniami słońca sylwetki, bardzo wysoką postać Antoniego i wątlą, drobną Lizy. Antoni podtrzymał ją silnym ramieniem młodego olbrzyma, prowadził ją tak, że nie czuła zmęczenia; z miłym wdziękiem małej dziewczynki, która wreszcie rozkwitła i stała się kobietą, podnosiła do jego oczu wzrok pełen bezmiernej wdzięczności, pragnąc oddać się mu cała i na zawsze.

— No, już wracają... Wiecie, że cud dzisiaj się ostatecznie dokonał. Nie wiem, jak wyrazić moją radość. Liza doprowadzała tonie do rozpacz, nie potrafiłem nawet nauczyć jej czytać, całymi dniami pozwalałem jej siedzieć samotnie w kącie, nogi i język miała skrępowane, jak gdyby nie była istotą rozumną... I oto przyszedł pański brat, zabrał się do dzieła, sam nie wiem, w jaki sposób. Ona słuchała go, rozumiała, wzięła się z nim do czytania, do pisania, stała się inteligentna i wesoła. Następnie, ponieważ nogi wciąż miała bezwładne i wciąż wyglądała jak wątlą karliczka, zaczął ją wynosić tutaj na rękach, zmuszał ją, aby chodziła, podtrzymywana przez niego, tak że dziś chodzi już

wreszcie sama... Naprawdę, że w ciągu paru tygodni wyrosła, stała się smukłą i ładną... Tak, tak, zapewniam was, że dokonały się tutaj jak gdyby powtórne narodziny, prawdziwe dzieło stworzenia. Spójrzcie na nich! Antoni i Liza wciąż się pomału zbliżali. I jak ożywczo owiewał ich wieczorny wiatr wstający znad wielkiego miasta, wspaniałego i ciepłego od słońca! Zapewne dlatego Antoni wybrał na naukę to miejsce, że roztaczał się stąd wspaniały widok, swobodny powiew niósł tyle zarodków życia, że nigdzie na świecie młodzieniec nie mógłby tchnąć w dziewczynę więcej ducha, więcej siły. Wreszcie kochanek ukształtował kochankę. Wziął kobietę uśpioną, bezwładną, bez myśli, obudził ją, stworzył, pokochał, ażeby z kolei ona go pokochała. Była jego dziełem, była nim samym.

— No jak, siostrzyczko, nie czujesz się już zmęczona?

Uśmiechnęła się niebiańsko.

— Och, nie! Jak dobrze, jak pięknie... tak iść przed siebie... Z Antonim chciałam zawsze już tak sobie chodzić. Wszyscy zaśmiali się, a Jahan rzekł z radosną twarzą:

— Miejmy nadzieję, że nie zaprowadzi cię za daleko. Doszłście teraz do celu i ja na pewno nie przeszkodzę wam, abyście czuli się szczęśliwi.

Antoni stanął przed posągiem *Sprawiedliwości*, któremu gasnący dzień zdawał się udzielać dreszczu życia. W tej szczególnej godzinie wrażliwość na sztukę przyprawiała go o takie uniesienie, że łzy ukazały się w jego oczach. I szepnął:

— O boska prostoto, boska piękności!

On sam niedawno ukończył drzeworyt przedstawiający Lizę z książką w ręce, obudzoną do życia umysłowego, do miłości; było to arcydzieło prawdy i uczucia. Tym razem urzeczywistnił swoje pragnienie: zabrał się wprost do drzewa mając model przed sobą. I przeżywał chwilę wspaniałej nadziei, marząc o dziełach wielkich i oryginalnych, w których uwieczni jak żywą całą swoją epokę.

Ale Tomasz chciał już wracać. Uścisnęli rękę Jahana, który ukończywszy dzień pracy włożył palto, aby odprowadzić siostrę do ich domu, na ulicę Calvaire.

— Do jutra, Lizo! — rzekł Antoni, który nachylił się, aby ją pocałować.

Podniosła się, podsunęła mu oczy, które on otworzył do życia.

— Do jutra, Antoni.

Na dworze ściemniało się. I Piotr, który wyszedł pierwszy, doznał w tym zapadającym zmierzchu wizji tak niespodzianej, że w pierwszej chwili osłupiał. Zobaczył wyraźnie swego brata Wilhelma wylaniającego się z drzwi, z ziejącej jamy, która prowadziła *w* podziemia bazyliki. Szybko dojrzał, jak ów przeszedł palisadę, a potem udał, że znalazł się tam przypadkiem, jak gdyby właśnie przyszedł od strony ulicy Lamarck. Gdy znalazł się przy swoich dwóch synach, powiedział, z twarzą uradowaną ze spotkania, że wraca z miasta. Piotr zastanowił się, czy może mu się to wszystko przyśniło. Ale niespokojny wzrok, jakim brat go obrzucił, utwierdził go w podejrzeniach. A wtedy

zrodziło się w nim jakieś skrępowanie w stosunku do tego człowieka, który dotąd nigdy nie kłamał, jakaś nieufna obawa, że jest wreszcie na tropie tego wszystkiego, czego się lękał, wszystkiego, co — jak przeczuwał od pewnego czasu — groźnie kłębiło się w małym, pracowitym i spokojnym domu.

Tego wieczora, gdy Wilhelm, jego dwaj synowie i brat wrócili do wielkiej pracowni, skąd roztaczał się widok na Paryż, tonęła ona w tak gęstym zmierzchu, że wydała im się pusta. Lamp jeszcze nie zapalono.

— Patrzcie — rzekł Wilhelm — nie ma tu nikogo.

Głos Franciszka, spokojny, trochę przyciszony, dobiegł z cienia:

— Ależ owszem, ja tu jestem.

Siedział przy swoim stole; nie mogąc już czytać, nie patrzył w książkę, lecz pograżył się w myślach, z twarzą opartą na ręce, z oczyma zagubionymi daleko, w Paryżu coraz głębiej zanurzającym się w mroku. Pracował tu przez całe popołudnie, bez chwili wytchnienia. Termin jego egzaminu zbliżał się, żył w stałym napięciu umysłu, największym, na jaki mógł się zdobyć. I ta samotność, ten mrok przepojone były osobowością młodego człowieka, który siedział nieruchomo, pochylony nad książką.

— Jak to, siedzisz tutaj, pracujesz? — mówił dalej ojciec. — Dlaczego nie poprosiłeś, aby ci przyniesiono lampę?

— Nie pracowałem, patrzyłem na Paryż — rzekł powoli Franciszek. — Rzecz szczególna, jak noc schodzi na miasto stopniowo, jak gdyby wszystko rozumiała. Ostatnią oświetloną dzielnicą była Góra Świętej Genowefy, płaskowzgórze Panteonu, gdzie wyrosła cała wiedza i nauka. Szkoły, biblioteki, laboratoria złocą się jeszcze od promienia słonecznego, a dzielnice handlowe już toną w ciemnościach. Nie chcę przez to powiedzieć, że słońce kocha nas, z École Normale, ale zapewniam cię, ojcze, że ociaga się na naszych dachach jeszcze wtedy, gdy gdzie indziej całkiem już znikło. Roześmiał się z tego żartu, a jednak czuło się w tym jego żarliwą wiarę w wysiłek umysłowy, całe życie oddane pracy intelektualnej, bo tylko ona jedna mogła, jego zdaniem, przy-

nieść prawdę, ugruntować sprawiedliwość, obdarzyć świat szczęściem.

Zapanowało milczenie. Paryż coraz bardziej zanurzał się w ciemnościach, czarny, ogromny, tajemniczy. A wtedy jedna po drugiej zabłyśły iskry.

— Zapalają lampy — dodał jeszcze Franciszek. — Praca wszędzie zacznie się na nowo.

Wilhelm, który z kolei też się zamyślił, opętany swoim urojeniem, zawołał:

— Praca, tak, na pewno! Ale jeżeli ma ona wydać cały swój plon, trzeba, aby zapłodniła ją wola... Jest coś wyższego niż praca.

Tomasz i Antoni podeszli bliżej. I Franciszek zapytał zarówno w ich, jak w swoim imieniu:

— Co takiego, ojcze?

— Działanie.

Trzej synowie zamilkli na chwilę, przejęci uroczystością tej chwili, drżący pod wielkimi, ciemnymi, nieokreślonymi falami, które podnosiły się z niewidocznego już oceanu miasta. Po chwili młody głos, nie wiadomo którego z nich, odpowiedział:

— Działanie to właśnie praca.

I Piotr uczuł, że jego niepokój jeszcze rośnie, bo brak mu pełnego czci spokoju, niemej wiary ożywiającej trzech dorosłych synów Wilhelma. Znowu stawała przed nim ogromna, przerażająca i zagadkowa wizja. W zapadłych już ciemnościach potężny dreszcz go ogarniał na myśl o tym czarnym.

Paryżu, w którym zapalały się lampy na całą noc zacieklej pracy.

IV

Tego dnia w bazylice Sacré-Coeur przygotowywało się wielkie święto. Dziesięć tysięcy pielgrzymów miało asystować przy uroczystym błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem. W oczekiwaniu na godzinę czwartą, wyznaczoną na tę ceremonię, Montmartre zaroilo się od ludzi; zaczęły się stoki, tłumy oblegały kramy z dewocjonaliami, cisnęły się w szynkowniach; było

to prawdziwe jarmarczne święto, a wielki dzwon, „Sabaudka”, brzmiał donośnie ponad całym tym weselącym się ludem.

Gdy Piotr rankiem wszedł do wielkiej pracowni, zobaczył tam tylko Wilhelma i Babkę; i jedno słowo, które podchwycił, zatrzymało go w miejscu, sprawiło, że zaczął nasłuchiwać bez skrupułów, ukryty za wysoką półką biblioteczną. Babka, siedząc na zwykłym miejscu, koło wielkiego- okna, -była czymś zajęta. Wilhelm mówił cicho, stojąc przed nią.

— Matko, wszystko jest przygotowane, to dziś. Opuściła robotę, podniosła oczy, bardzo blada.

— Ach, więc postanowiłeś...

— Tak, nieodwołalnie. O czwartej godzinie, pójdę tam, wszystko się skończy.

— Dobrze, ty tutaj decydujesz.

Zapanowało straszliwe milczenie. Głos Wilhelma zdawał się dochodzić z daleka, jak gdyby już z zaświata. Czuło się, że jest niewzruszony, bez reszty pogrążony w swoim tragicznym zamyśleniu, opętany prześladowczą ideą męczeństwa, teraz już całkowicie ukształtowaną, tkwiącą głęboko w jego mózgu. Babka patrzyła na niego bladymi oczyma kobiety bohaterskiej, postarzałej wśród cierpień innych ludzi, wśród wyrzeczeń i poświęceń nieustraszonego serca, które zachwycała sama myśl o spełnieniu obowiązku. Pomogła mu ustalić najdrobniejsze szczegóły, знаła więc jego przerażający plan; i o ile tkwiąca w niej mścicielka, po tylu widzianych i wycierpianych niesprawiedliwościach, godziła się z . myślą o okrutnej ekspiacji, o świecie oczyszczonym przez płomień wulkanu, to jednak zbyt mocno wierzyła w konieczność przeżycia wszystkiego mężnie aż do końca, aby kiedykolwiek mogła uznać śmierć za dobrą i płodną.

— Mój synu — przemówiła znowu z cicha — widziałam, jak rósł twój zamiar, nie dziwiłam mu się ani nie buntowałam przeciwko niemu, godziłam się z nim jak z piorunem, jak z ogniem niebieskim o przemożnej czystości i sile. Zawsze cię podtrzymywałam, chciałam być twoim sumieniem i twoją wolą... Ale raz jeszcze muszę ci powiedzieć: nie wolno uciekać od życia.

— Matko, to bezcelowe, ofiarowałam swoje życie, nie mogę wziąć go z powrotem... Czyż nie chcesz już być moją wolą, jak powiadasz, ta, która powinna zostać i działać?

Nie odrzekła nic, tylko sama zadała mu pytanie, powoli, z powagą:

— A zatem bezcelowe jest, abym ci mówiła o dzieciach, o sobie, o domu...

Dobrześ to wszystko rozważył, postanowienie twoje jest nieodwołalne?

A gdy potwierdził, powtórzyła tylko:

— Dobrze, ty tutaj decydujesz... Ja będę tą, która zostaje i działa. Nie obawiaj się, twój testament jest w dobrych rękach. Wszystko, cośmy wspólnie ustalili, będzie wypełnione.

Znowu zamilkli. Potem ona jeszcze zapytała:

— O czwartej godzinie, w chwili tego błogosławieństwa?

— Tak, o czwartej godzinie.

Patrzyła na niego wciąż bladymi oczyma, nadludzko prosta i godna w swej skromnej czarnej sukni. I to spojrzenie pełne bezgranicznego męstwa, a także głębokiego smutku, przejęło go nagłym wzruszeniem. Ręce mu zadrżały, spytał:

— Matko, czy pozwolisz, że cię uściskana?

— Och, z całego serca, mój synu! Jeśli nawet twój obowiązek nie jest moim, widzisz, że go szanuję i że cię Kocham.

Uściskali się i gdy Piotr, zmartwiały z lęku, ukazał się im, Babka spokojnie wróciła do roboty, Wilhelm zaś chodził po pokoju i ze zwykłą energiczną miną doprowadzał do porządku swój stół laboratoryjny.

W południe, gdy nadeszła chwila śniadania, trzeba było poczekać chwilę na Tomasza, który się spóźnił. Dwaj inni dorośli synowie Wilhelma, Franciszek i Antoni, wróciwszy znacznie wcześniej, żartowali, niby to gniewali się na to opóźnienie, twierdząc ze śmiechem, że umierają z głodu. Maria przyrzadziła właśnie krem i była z niego bardzo dumna, zapewniała, że wszystko zostanie zjedzone i że ci, którzy się spóźniają, nie skosztują go nawet. Toteż gdy zjawił się Tomasz, powitano go wrzawą.

— Ależ to nie moja wina — tłumaczył. — Zrobiłem to głupstwo, żem wracał na górę ulicą de la Barre, i nie macie pojęcia, w jaki tłum się dostałem. Na pewno obozuje tam z dziesięć tysięcy pielgrzymów. Mówiono mi, że stłoczono ich, ile

się dało, w Schronisku Świętego Józefa. Inni będą spali pod gołym niebem. A w tej chwili jedzą wszędzie, gdzie popadnie, na pustych placach, a nawet na chodnikach. Nie ma gdzie stopy postawić, bo strach, że się któregoś z nich przydepcie.

Śniadanie było bardzo wesołe, ale wesołością, która Piotrowi wydawała się przesadna i jak gdyby sztuczna. Jednakże młodzi zapewne nic nie wiedzieli o strasznej groźbie, wciąż obecnej, choć niewidzialnej w olśniewającym słońcu tego pięknego czerwcowego dnia. Ale czy chwilami, w krótkich momentach milczenia, jakie zapadało pomiędzy dwoma wybuchami wesołego śmiechu, nie przesuwiała się prawda, niejasne przeczucie, że ich wielkiej wzajemnej miłości grozi żaloba? Wilhelm co prawda zachowywał swój stały szczerzy uśmiech, był tylko może trochę bledszy, a w głosie jego brzmiała pieśczośliwa łagodność. Babka natomiast nigdy jeszcze nie była tak milcząca i poważna przy tym rodzinnym stole, gdzie prezydowała jak królowa matka, otoczona posłuszeństwem i szacunkiem. Kirem przyrzadzony przez Marię przyjęty został z uznaniem, składano jej gratulacje, które przyjmowała z rumieńcem na twarzy. I nagle znowu zapadło ciężkie milczenie, tchnął zimny powiew śmierci wywołując bladość na twarzach, gdy tymczasem małe łyżeczki kończyły opróżniać talerzyki.

— Ach, jak dzwonią! — zawołał Franciszek. — Jakie to natrętne, po prostu głowa pęka!

To odezwała się „Saubaudka”, wydawała przytłaczające dźwięki, których uparte fale płynęły na ogromny Paryż. Wszyscy zaczęli nasłuchiwać.

— Czy będzie tak dzwonić aż do czwartej godziny? — zapytała Maria.

— Och, o czwartej — rzekł Tomasz — w chwili błogosławieństwa, nastąpi coś jeszcze innego. Ogromne bicie we wszystkie dzwony, głos wesołości, śpiew triumfu.

Wilhelm wciąż się uśmiechał.

— Tak, tak, ci, którzy nie zechcą, aby im bębenki w uszach popękały, powinni zamknąć okna. Najgorsze jest, że chociaż Paryż nie chce tego słuchać, słyszy mimo wszystko, i to aż koło Panteonu, jak mi mówiono.

Babka wciąż była milcząca i obojętna. Antoni oburzał się na obrzydliwe obrazki religijne, które pielgrzymi wydzielali sobie; te wizerunki Jezusa jak z pudełka na cukierki, z otwartą piersią, która ukazywała ociekające krwią serce. Trudno o materializm bardziej odpychający, o wyobrażnię artystyczną bardziej przyziemną i prostacką. I wstali od stołu rozmawiając bardzo głośno, aby się dosłyszeć wśród tętnienia ogromnego dzwonu.

Następnie wszyscy zabrali się do swoich zajęć. Babka powróciła do wiecznego szycia, Maria zaś, siedząc koło niej, haftowała. Trzej synowie Wilhelma również siedzieli każdy przy swojej pracy, czasem tylko podnosili głowę, wymieniali jakieś słowa. I aż do wpół do drugiej Wilhelm wydawał się również zajęty, twarz miał ogromnie skupioną. Jeden tylko Piotr, bezsilny, z sercem przerażonym, chodził po pokoju, widział ich wszystkich jak gdyby z głębi jakiegoś koszmaru, wzburzony najniewinniejszymi słowami, które dla niego nabierały strasznego znaczenia. Podczas śniadania musiał powiedzieć, że czuje się trochę niezdrów, aby wytłumaczyć okrutny zamęt, jaki budzili w nim roześmiani biesiadnicy; i teraz czekał, patrzył, słuchał we wzrastającej trwodze.

Na krótko przed godziną trzecią Wilhelm, spojrzawszy na zegarek, spokojnie wziął kapelusz.

— A więc wychodzę!

Trzej synowie, Babka i Maria unieśli głowy.

— Wychodzę, do widzenia!

Ale nie wychodził. Piotr czuł, że brat walczy z sobą, że opanowuje . się, wstrząsany straszną burzą wewnętrzną, że wkłada cały wysiłek w to, aby nie spostrzeżono jego drżenia i bladeści. Ach, jakże musiał cierpieć nie mogąc ucałować po raz ostatni tych swoich trzech dorosłych synów, skoro nie chciał obudzić w nich podejrzenia, gdyż wówczas zagroziłiby mu drogę do śmierci! I przewyciężył się z najwyższym heroizmem.

— Do widzenia, dzieci!

— Do widzenia, ojczel!... Wrócisz wcześniej?

— Tak, tak... Nie niepokójkcie się o mnie, pracujcie pilnie. Babka, pogrążona w majestatycznym milczeniu, nie spuszczała z niego nieruchomych oczu. Ale ją Wilhelm ucałował. I spojrzał na nią, ich oczy przez chwilę utonęły w sobie, było w nich

wszystko, czego on pragnał, wszystko, co ona mu przyrzekła, było ich wspólne marzenie o prawdzie i sprawiedliwości.

— Powiedz mi, Wilhelmie — zawołała wesoło Maria — czy pójdziesz ulicą des Martyrs i czy mógłbyś mi coś załatwić?

— Ależ oczywiście.

— Wstąp więc do mojej krawcowej i uprzedź ją, że przyjdę zmierzyć suknię dopiero jutro rano.

Chodziło o suknię ślubną, suknię ze zwykłego szarego jedwabiu; Maria żartowała sobie z jej wyrafinowanej elegancji. Gdy o niej mówiła, i ona sama, i wszyscy się śmieli.

— Załatwione, moja droga — odpowiedział Wilhelm, który też się rozpogodził.

— To suknia Kopciuszka wybierającego się na dwór królewski, brokat i koronki od wróżek, aby Kopciuszek był bardzo piękny i bardzo szczęśliwy.

Ale śmiechy umilkły i znów wydało się, w nagłej ciszy, że śmierć przelatuje z wielkim szumem skrzydeł, powiało zimnem, którego dreszcz zmroził serca tych, którzy zostawali.

— No, tym razem już naprawdę ide... Do widzenia, dzieci!

I wyszedł, nawet się nie obejrzał. Usłyszeli jego sprężysty krok zacichający na żwirze w małym ogródku.

Piotr, wymyśliwszy jakiś powód, wyszedł w dwie minuty po nim. Zresztą nie musiał nawet iść tuż za bratem, aby nie stracić go z oczu, wiedział bowiem, dokąd zmierza Wilhelm, wewnętrzna absolutna pewność mówiła mu, że odnajdzie go przy drzwiach prowadzących do fundamentów bazyliki, przy drzwiach, z których wyszedł przedwczoraj. Toteż nie starał się odszukać go wśród tłumu pielgrzymów, którzy gęstą falą podążali do kościoła.

Przyspieszył tylko kroku, doszedł do pracowni Jahana. I gdy tam dotarł, zobaczył, zgodnie ze swoimi przewidywaniami, że Wilhelm przemknął się przez ogrodzenie i zniknął. Tłok, zamieszanie, spowodowane napływem wiernych, teraz z kolei sprzyjały Piotrowi. Pozwoliły mu pójść za bratem, wejść niepostrzeżenie w te same drzwi. Na chwilę musiał się zatrzymać, złapać oddech, tak mocno łomotało mu serce.

Z wąskiego podestu biegly w dół schody, bardzo strome i od razu ciemne. W tę coraz głębszą noc zapuścił się Piotr zachowując największe ostrożności, stawiając cicho stopy, aby nie czynić najmniejszego hałasu. Zejście nie było zresztą bardzo długie.

I gdy uczuł pod stopami ubitą ziemię, zatrzymał się, nie śmiał się nawet poruszyć, w obawie, że zdradzi swoją obecność. Ciemności były gęste jak atrament. Ciężkie milczenie, ani szmeru, ani oddechu. Dokąd się skierować, w którą iść stronę? Wahał się, gdy przed sobą, w odległości około dwudziestu kroków, zobaczył jakieś lśnienie, nagły błysk zapałki. To Wilhelm zapalał świeczkę. Piotr poznał jego szerokie ramiona i teraz mógł już iść za światelkiem przez podziemny korytarz, obmurowany i sklepiony. Droga wydała mu się nieskończenie długa i miał wrażenie, że idzie w kierunku północnym, pod nawą bazyliki.

Po chwili drobne światelko nagle zatrzymało się, ustaliło, Piotr dalej powolutku szedł naprzód, stanął w cieniu i patrzył. Pośrodku czegoś w rodzaju niskiej rotundy, położonej pod kryptą, Wilhelm przykleił koniec świeczki wprost do ziemi; ukląkł, odsunął duży płaski kamień, który, zdaje się, nakrywał jakiś otwór. Byli tu u fundamentów, widać było jeden z owych filarów, jeden z owych szybów, które wypełniono betonem, aby podpierały budowlę. Otwór znajdował się tuż pod filarem i był bądź naturalną szparą rysującą się w gruncie, bądź też głęboką szczeliną powstałą na skutek osiadania muru. Inne filary zaznaczały się w pobliżu, tak że szczelina zdawała się ogarniać je rozgałęzionymi pęknięciami. Piotr na widok brata pochylonego jak górnik, który, zanim zapalił lont, po raz ostatni sprawdza

założoną minę, nagle odgadł rzecz okropną i przerażającą: ogromne ilości strasznego materiału wybuchowego, przyniesione tutaj, wielokrotnie odbytą drogą z zachowaniem wszelkich ostrożności, w starannie wybranych porach, wszystek ten proch wsypywany do otworu przy filarze, skąd! przedostawał się do najmniejszych szczelin, nasycając grunt do wielkiej głębokości i tworząc jak gdyby naturalną minę o nieobliczalnej mocy. Teraz proch dochodził aż pod kamień, który Wilhelm przed chwilą odsunął. Wystarczyło rzucić zapalną, a wszystko wyleci w powietrze!

Zimna zgroza przykuła Piotra na chwilę do miejsca. Niezdolny był uczynić kroku lub krzyknąć. Stał mu przed oczyma rojący się na górze tłum, dziesięć tysięcy pielgrzymów tłoczących się w wysokich nawach bazyliki po błogosławieństwo Najświętszego Sakramentu. Huczająca „Sabaudka” dzwoniła pełnym gło-

sem, dymiły kadzidła, dziesięć tysięcy ludzi intonowało nabożną pieśń pełną majestatu i wesela. I nagle padał cios, uderzał piorun, *zaczynało się* trzęsienie ziemi, wulkan otwierał się i pożerał w fali ognia i dymu cały kościół wraz z wiernym ludem. Na pewno rozrywając podtrzymujące filary, burząc niezbyt mocny grunt, niezwykła siła wybuchu rozdarłaby budowlę i rzuciła połowę gmachu na opadające ku Paryżowi stoki, aż do placu du Marché, na sam dół, reszta zaś, a więc część zawierająca absydę, zawałiłaby się, zapadła na miejscu. Straszliwa lawina — pogruchołoty las rusztowań, ulewa nagromadzonych w olbrzymiej ilości materiałów budowlanych — toczyłaby się w chmurze pyłu, opadała na dachy w dole. I nawet wzgórze Montmartre, przy tak straszliwym wstrząsie, mogło obrócić się w ogromny stos ruin.

Wilhelm wstał. Ustawiona na ziemi świeca, paląc się wysokim i prostym płomieniem, rzucała jego wielki cień, który zdawał się wypełniać podziemie. Słaby jej blask wśród całej tej czerni był zaledwie nieruchomą i smutną gwiazdą. Wilhelm zbliżył się, aby zobaczyć na zegarku, która godzina. Pięć minut po trzeciej. Musiał czekać jeszcze przeszło godzinę, nie spieszył się, dokładnie wypełniał swój plan. I usiadł na kamieniu, nieruchomy, spokojny i cierpliwy. Płomień oświecał jego blade oblicze, wysokie, podobne do wieży czoło, okolone białymi włosami, całą tę twarz energiczną, którą błyszczące oczy i wciąż jeszcze czarne wąsy czyniły piękną i młodą. Żaden jego rys nie drgnął, patrzył w pustkę. Jakie myśli przechodziły mu przez głowę w tej ostatecznej chwili?

I ani dreszczu; ciężka noc, wieczyste i głębokie milczenie ziemi...

Wtedy Piotr, pokonując bicie serca, podszedł bliżej. Na odgłos jego kroków Wilhelm wstał, groźny. Lecz nagle poznał brata i nie wydał się tym zdziwiony. — Ach, to ty szedłeś za mną... Dobrze czułem, że przeniknąłeś moją tajemnicę. I wielki to smutek dla mnie, że ją naruszyłeś przychodząc tutaj... Powinieneś był mi oszczędzić tego ostatniego cierpienia.

Piotr złożył drżące ręce i od razu zaczął go błagać.

— Bracie, bracie!...

— Nie, nic nie mów! Jeżeli koniecznie tego chcesz, wysłucham cię później. Mamy przed sobą prawie godzinę, możemy porozmawiać... Ale chcę, abyś zrozumiał daremność wszystkiego, co, jak ci się zdaje, masz mi do powiedzenia. Moje postanowienie jest

. nieodwołalne, rozważałem je długo i postąpię w zgodzie z moim rozumem i moim sumieniem.

I ze spokojną twarzą opowiedział, jak, zdecydowany na wielki czyn, długo wahał się w wyborze gmachu, który miał zniszczyć. Przez chwilę kusił go Opera. Potem wybuch gniewu i sprawiedliwości, który miałby zmieść z powierzchni ziemi ten mały świat wyzyskiwaczy, wydał mu się pozbawiony wyższego znaczenia, jak gdyby splamiony niską zazdrością. Następnie zastanawiał się nad Giełdą: tam uderzał w pieniądź, który demoralizuje, w społeczeństwo kapitalistyczne, pod którego jarzmem jęczy praca najemna; ale czy i to również nie byłoby bardzo ciasne, bardzo ograniczone?

Przychodził mu również na myśl Pałac Sprawiedliwości, zwłaszcza sala posiedzeń sądu. Cóż za pokusa — wymierzyć sprawiedliwość ludzkiej sprawiedliwości, zmieść z powierzchni ziemi winowajcę wraz ze świadkami, z prokuratorem generalnym, który go oskarża, z adwokatem, który go broni, z sędziami, którzy go skazują, z ciekawską publicznością, która przychodzi tam jak na sensacyjne widowisko! Ileż okrutnej ironii byłoby w tej panującej nad wszystkim i powszechnej sprawiedliwości, która niczym wulkan pochłonęłaby wszystko, nie bacząc na nic! Długo pieścił w sobie plan wysadzenia w powietrze Łuku Triumfalnego. Był on dla niego ohydny pomnikiem utwierdzającym wojnę, nienawiść pomiędzy ludźmi, fałszywą sławę, tak drogo opłaconą i tak krwawą, sławę wielkich zdobywców. Trzeba było zabić tego kolosa, wzniesionego w czasie wielkich rzezi, które niepotrzebnie kosztowały tyle ludzkich istnień! I gdyby mógł go zatopić w ziemi, miałby tę heroiczną wielkość, że nie spowodowałby niczyjej śmierci oprócz własnej, że zginąłby samotny, powalony, zdruzgotany przez kamiennego olbrzyma. Cóż za grobowiec i jaka pamięć u potomności! — Niepodobna było zrobić podkopu — mówił dalej. — Nie ma tam podziemi ani piwnic, musiałem się wyrzec tego zamiaru... A poza tym chcę wprawdzie umrzeć samotnie, lecz o ile groźniejszą i wznioślejszą lekcją byłaby niesprawiedliwa śmierć nie-

winnego tłumu, tysiący nieznanych ludzi, ich toczącej się fali! Podobnie jak nasze społeczeństwa ludzkie przez niesprawiedliwość, przez nędzę, przez nieubłaganą srogość trybów swojej maszyny zabijają tyle niewinnych ofiar, tak właśnie zamach powinien spaść niby piorun, w swoim obojętnym niszcycielstwie niszcząc egzystencje spotkane przypadkowo na drodze. Powinien być jak ludzka stopa wśród mrowiska. Piotr, zbuntowany, wydał płomienny okrzyk protestu:

— Och, bracie, bracie, i to właśnie ty mówisz te straszne słowa!

Wilhelm nie dał sobie przerwać.

— Wybrałem w końcu bazylikę Sacré-Coeur, gdyż miałem ją pod ręką, łatwą do zburzenia. Ale także i dlatego, że drażni mnie ona i doprowadza do rozpaczki, że już dawno wydałem na nią wyrok... Często mówiłem ci, że niemożliwością było wymyślić większy nonsens: Paryż, nasz Paryż, uwieńczony, ujarzmiony przez tę świątynię zbudowaną dla ugloryfikowania absurdu. Przecież nie do zniesienia jest, po wiekach nauki, ów policzek wymierzony zdrowemu rozsądkowi, bezczelne pragnienie triumfu na wysokościach, w pełnym świetle. Chcą, aby Paryż się kajał, aby czynił pokutę za to, że jest miastem wyzwalającym prawdę i sprawiedliwość! Nie, nie, powinien on zmieść wszystko, co mu zagradza drogę, wszystko, co go,

znieważa w jego dążeniu do wolności... I niech zawali się świątynia ze swoim bogiem kłamstwa i niewolnictwa! I niech pod swoimi ruinami zmiażdży lud wiernych, aby katastrofa, podobnie jak pradawne rewolucje geologiczne, znalazła echo aż we wnętrzościach ludzkości, aby ją odnowiła i przemieniła. — Bracie, bracie — powtórzył znowu Piotr w najwyższym, wzburzeniu — i ty to mówisz?! Do tego doszedłeś, ty, wielki uczyony, ty, człowiek o wielkim sercu? Jakież nieszczęście poraziło cię swoim tchnieniem, jakież szaleństwo tobą miota, że myślisz i wypowiadasz te ohydne słowa?... W ten wieczór niezmiernej tkliwości, kiedyśmy się sobie wzajemnie wypowiedali, opowiedziałeś mi swoje wzniosłe i dumne marzenie o idealnej anarchii, O swobodnej harmonii życia, które samo przez się, pozostawione swoim naturalnym siłom, obdarzyłoby ludzi szczęściem. Ale wtedy jeszcze buntowałeś się na myśl o gwałcie, na myśl o morderstwie, odsuwałeś działanie, starałeś się je tylko wytłumaczyć i usprawiedliwić... Cóż więc takiego zaszło, że z umysłu, który rozważa, stałeś się okrutną ręką, która chce działać?

— Salvat został zgilotynowany — odparł krótko Wilhelm — i ja w jego ostatnim spojrzeniu przeczytałem jego testament... . Co się stało? Ależ to wszystko, od czego ja cierpię, to wszystko, o czym krzyczę od czterech miesięcy, ta ohyda, która nas otacza i która powinna zniknąć z powierzchni ziemi!

Zapadło milczenie. W. mroku dwaj stojący naprzeciwko bracia patrzyli na siebie. I wtedy Piotr zrozumiał; zobaczył Wilhelma zmienionego, takiego, jakim uczynił go straszliwy podmuch rewolucyjnej epidemii przeciągającej przez Paryż. Zaczęło się to od dwoistości, która zrodziła w nim sprzeczność: równocześnie tkwił w nim i człowiek nauki, cały oddany obserwacji i doświadczeniu, powodujący się ostrożną logiką w stosunku do natury, i marzyciel społeczny, opętany ideą braterstwa, równości, sprawiedliwości, w namiętnym tkliwym pragnieniu domagający się szczęścia powszechnego. W ten sposób zrodził się najpierw anarchizm teoretyczny, ta mieszanina wiedzy i złudy: społeczeństwo ludzkie zdane na prawo harmonii światów, każda jednostka wolna w dobrowolnym zrzeszeniu, rządzącym się jedynie miłością. Teofil Morin z Proudhonem i Comte'em, Bache z Saint-Simonem i Fourierem nie mogli zaspokoić jego tęsknoty do absolutu, ponieważ wszystkie systemy wydawały mu się niedoskonałe i chaotyczne, wyniszczały się wzajemnie, zmierzały do tej samej nędzy życia. Jedynie Janzen czasem zadowalał go swoimi lakonicznymi słowami, które przekraczały widnokrag niby straszliwe wystrzały zdobywające całą ziemię dla ludzkiej rodziny. Później w to wielkie serce, które do głębi oburzała myśl o nędzy, które rozpaczało nad niesprawiedliwym cierpieniem małych i biednych, zapadł tragiczny los Salvata i stał się zaczynem żywiołowego buntu. Przez długie tygodnie żył z drżącymi rękoma, z gardłem -ściśniętym wzrastającą trwogą: bomba Salvata, której wybuch wciąż jeszcze przyprawiał go o drżenie, dzienniki dyszące bezlitosną pożądlivością, szcującą przeciwko temu nieszczęśliwemu, jak gdyby był wściekłą bestią, człowiek tropiony, gnany po Lasku Bulońskim, biegnący na oślep, wpadający w ręce policji, obłocny i na. w pół żywy z głodu; a potem był sąd przysięgłych, sędziowie, żandarmi, świadkowie, cała Francja; wszyscy rzucili się na jednego, wszyscy domagali się, aby płacił za zbrodnię powszechną; ,a wreszcie była gilotyna,

potworna, haniebna, wymierzająca nieodwracalną niesprawiedliwość w imię sprawiedliwości ludzkiej. Jedna w nim tylko pozostała myśl, myśl o sprawiedliwości, i ona tak go opętała, że wszystko unicestwiła w jego umyśle uczonego, że zostawiła w nim tylko płomienną ideę aktu sprawiedliwości, mocą którego miał naprawić zło, utwierdzić wieczyste dobro. Salvat spojrział na niego i zaraził go swoim szaleństwem, Wilhelm płonął już tylko pragnieniem, aby umrzeć, aby ofiarować swoją krew, aby strumieniami przelewać krew cudzą, byle tylko w zgrozie i przerażeniu ludzkość rozpoczęła wreszcie wiek złoty.

Piotr zrozumiał uparte zaślepienie tego szaleństwa; i przerażała go myśl, że nie potrafi go przezwyciężyć.

— Bracie, ty jesteś szalony, bracie, oni cię doprowadzili do szaleństwa! Wieje jakiś wicher gwałtu; naprzód postępowano z nimi ze zbyt bezlitosną niezręcznością, a teraz jedni stają się mścicielami drugich, nie ma sposobu, aby krew przestała płynąć!... Bracie, posłuchaj mnie, otrząśnij się z tego koszmaru! Ty nie możesz być Salvatem, który morduje, Bergazem, który kradnie! Przypomnij sobie pałac księżny de Harth, który obrabowali, tę biedną, jasnowłosą i śliczną dziewczynkę z rozdartym brzuchem, leżącą tam... Ty nie jesteś jednym z nich, nie możesz być jednym z nich, zmiłuj się, miej litość!

Wilhelm jednym gestem odsunął te błahe racje. Z perspektywy śmierci, w jakiej już czuł się pogrążony, cóż znaczyło parę ludzkich istnień, które wraz z nim miały powrócić do wieczystego strumienia bytu? Żadna faza dziejów świata nie dokonała się bez miażdżenia miliardów ludzkich egzystencji.

— Ale miałeś wielkie zamiary! — zawołał Piotr, chcąc ratować brata przypomnieniem mu o jego obowiązkach. — Nie wolno ci odchodzić w taki sposób!

I gorączkowo usiłował rozbudzić w nim dumę uczonego. Powiedział o tajemnicy, którą Wilhelm był mu powierzył, o tej machinie wojennej, zdolnej niszczyć całe armie i obracać w pył miasta, którą chciał podarować Francji, aby zwyciężwszy w najbliższej wojnie, mogła następnie zostać wyzwolicielką świata. I miałby porzucić ten zamiar, tak wielki i niezwykły, i swego strasznego materiału wybuchowego użyć do mordowania niewinnych, do burzenia kościoła, który odbudowano by kosztem wielu milionów i z którego uczyniono by sanktuarium męczenników!

Wilhelm uśmiechał się.

— Nie porzuciłem mojego planu, ja go tylko przetworzyłem... Czy nie mówiłem ci o moich wątpliwościach, o trwożnym zmaganiu się z sobą? Ach, pomyśleć, że trzymam w rękach los świata, i drzeć, i wahać się, zastanawiać się, czy jestem pewien swojej inteligencji, mądrości i słuszności powziętej decyzji! Drżałem na myśl o grzechach naszego wielkiego Paryża, o tych wszystkich nowych błędach, których niedawno byliśmy świadkami; zastanawiałem się, czy jest on dość opanowany, dość czysty, aby można mu było powierzyć wszechmoc; bo tragedią byłoby, gdyby taki wynalazek jak mój wpadł w ręce rozszalałych ludzi, może w ręce jakiegoś dyktatora, zdobywcy, który posłużyłby się nim, aby sterroryzować narody, pogrążyć je w powszechnym niewolnictwie... Me, nie, ja nie chcę utrwalac wojny, ja chcę ja zabić!

Mówił o swoim nowym zamierzeniu jasno i dobitnie i Piotr ze zdziwieniem odnalazł w jego słowach idee, jakie już mu kiedyś wykladał generał de Bozonnet, który jednak nadawał im wprost przeciwny kierunek. Wojna dażyła do własnej zguby, zagrożona przez własne występki. Niegdyś, gdy uprawiali ją najemnicy, a później żołnierze poborowi, mała garstka wyznaczona przez los, wojna była zawodem i namiętnością. Ale z chwilą gdy cały świat ma walczyć, nikt już jej nie chce. Uzbrojenie wszystkich narodów oznacza bliski koniec armii, to wynika z samej logiki rzeczy. Jak długo jeszcze narody pozostawać będą na tej stopie śmiertelnego pokoju, przytłoczone wzrastającymi budżetami, wydając miliardy po to, aby trzymać się wzajemnie w szachu? I jakież to będzie wyzwolenie, jaki okrzyk ulgi rozlegnie się tego dnia, gdy zastosowanie groźnej maszyny, która w mgnieniu oka niszczyć będzie armie, zmiatać z powierzchni ziemi miasta, uczyni wojnę niemożliwą, zmusi ludy do powszechnego rozbrojenia! Wówczas z kolei wojna byłaby zabita, martwa, ta wojna, która pochłonęła tyle istnień ludzkich. To było jego marzenie, radował się pewnością, że zaraz je urzeczywistni.

— Wszystko jest obmyślane. Jeżeli ja umrę, jeżeli zniknę, uczynię to w tym celu, aby zatriumfowała idea... W ostatnich dniach widziałeś, że zamykałem się z Babką na całe popołudnia. Kończyliśmy porządkować dokumenty, omawiać wszelkie sprawy. Zostawiłem jej polecenia, ona je wykona, gotowa nawet sama zginąć, gdyż na całym świecie nie znajdziesz duszy wznioślejszej i mężniejszej... Kiedy ja będę już martwy, pogrzebany pod tymi kamieniami, kiedy ona usłyszy eksplozję wstrząsającą Paryżem i rozpoczynającą nową epokę, wyśle do wszystkich wielkich potęg formułę tego materiału wybuchowego, rysunki bomby i specjalnego działka, komplet dokumentów, które ma w swoich rękach. I w ten sposób przekaże wszystkim ludom straszliwy dar niszczenia, wszechpotęgi, który początkowo chciałem ofiarować jednej tylko Francji, a zrobiłem to, aby wszystkie ludy, jednakowo zbrojne w piorun, rozbroiły się wobec groźby i absurdalności wyniszczania się wzajemnego.

Piotr w zdumieniu słuchał go; wydawało mu się, że jakiś mechanizm zabija go, miażdży pod tą *groźną*, koncepcją, w której naiwność zmagala się z geniuszem.

— Jeżeli masz zdradzić tę tajemnicę wszystkim ludom, po co wysadzać w powietrze bazylikę, po co umierać?

— Aby mi uwierzono!

Wilhelm wydał ten okrzyk z niezwykłą mocą. I dodał:

— Trzeba, aby ten budynek został zburzony i abym ja pod nim się pogrzebał. Jeśli nie dam tego dowodu, jeśli przerażenie nie obwieści straszliwej mocy niszczycielskiej mego materiału wybuchowego, potraktują mnie jak fantastę, jak wizjonera... Dużo trupów, dużo krwi, aby krew na zawsze przestała się toczyć!

Potem, z szerokim gestem, znów próbował uzasadnić konieczność działania.

— A poza tym Salvat przekazał mi dalsze wykonanie aktu sprawiedliwości. Jeżeli doszedłem do wniosku, iż należą ów akt jeszcze rozszerzyć, dodać mu wagi, posłużyć się nim w celu położenia kresu wojnom, stało się tak, bo jestem intelektualistą, człowiekiem nauki. Choć może byłoby lepiej, gdybym

był umysłem przeciętnym i przeszedł jak wulkan, który zmienia oblicze ziemi, pozostawiając życiu troskę o odtworzenie rodzaju ludzkiego. Ogarek świeczki malał i Wilhelm wstał z kamienia, z którego aż dotąd się nie ruszył. Rzucił okiem na zegarek: jeszcze dziesięć minut. Przy słabym powiewie wywołanym jego gestami, płomień zachwiał się. Wydawało się, że ciemności jeszcze się zageściły od nieustającej groźby tej otwartej miny, która zapalić mogła jedna iskierka.

— Oto zbliża się chwila... A zatem, braciszku mój, uściśnij mnie i odejdz. Wiesz, jak cię kocham, jak płomienna miłość dla ciebie obudziła się w moim starym sercu. Kochaj więc mnie gorąco, znajdź siłę kochania mnie na tyle, aby mi pozwolić umrzeć, zgodnie z moją wolą, zgodnie z obowiązkiem... Uściśnij mnie, uściśnij i odejdz, nie odwracając się nawet.

Głębokie uczucie drżało w głosie Wilhelma. Walczył z sobą, tłumiąc łzy; przemógł się, był już poza światem, poza ludzkością.

— Nie, bracie, nie przekonałeś mnie — rzekł Piotr nie kryjąc łez — i właśnie dlatego, że kocham cię tak, jak ty mnie kochasz, z całej mojej istoty, nie odejdę stąd... Nie może spaść ten nowy cios, ty nie możesz zostać szaleńcem, mordercą!

— Dlaczego? Czyż nie jestem wolny? Oswobodziłem swoje życie od wszelkich ciężarów, od wszelkich więzów... Moi *synowie* są dorośli, otrzymali wykształcenie, już mnie nie potrzebują. Miałem tylko jeden łańcuch na sercu, Marię, i oddałem ją tobie.

Piotr uczuł, że nasuwa mu się niepokojący argument i w uniesieniu posłużył się nim.

— A więc to dlatego, że oddałeś mi Marię, pragniesz teraz umrzeć. Przyznaj się, nie przestałeś jej kochać!

— Nie! — krzyknął Wilhelm. — Nie kocham już Marii, przysięgam ci! Oddałem ci ją, nie kocham jej!

— Tak ci się wydawało, ale sam widzisz, że ją jeszcze kochasz; teraz jesteś wzburzony, a przed chwilą wcale nie wzruszały cię te przerażające sprawy, o których mówiliśmy... Dlatego chcesz umrzeć, że utraciłeś Marię.

Wilhelm był wstrząśnięty, drżał, badał samego siebie w cichych urywanych słowach.

— Nie, nie, to byłoby niegodne mojego wielkiego zamierzenia, aby cierpienie miłosne skłoniło mnie do tego strasznego czynu... Nie, nie, zdecydowałem się nań nie ulegając niczemu, dokonuję *go* bez egoistycznej myśli, w imię sprawiedliwości i dla wszystkich ludzi, przeciwko wojnie, przeciwko nędzy. — A po chwili dodał z krzykiem cierpienia: — Ach, to źle, mój bracie, to źle, żeś mi tak zamaćił radość umierania. Dałem tyle szczęścia, ile było w mojej mocy, i miałem odejść, rad, że zostawiam was szczęśliwych, a ty zatrujesz moją śmierć... Nie, nie, na próżno badałem swoje serce, *ono* nie krwawi, nie kocham Marii bardziej niż ciebie.

Ale niepokój jego nie ustępował; Wilhelm nie chciał okłamywać się. Powoli opanowywał go ponury gniew.

— Słuchaj, dość tego, Piotrze, czas nagli... Po raz ostatni mówię: odejdz! Rozkazuję ci, chcę tego!

— Wilhelmie, nie usłucham cię... Zostaję, i sprawa jest bardzo prosta; skoro żadne moje argumenty nie mogą przemóc twego szaleństwa, zapal minę, a ja zginę razem z tobą.

— Ty, umrzeć! Nie masz prawa, nie jesteś wolny.

— Wolny czy nie, przysięgam ci, że zginę razem z tobą... I jeżeli wystarczy wrzucić świeczkę w ten otwór, powiedz, a wezmę ją i sam rzucę.

Zrobił ruch ręką, brat uwierzył, że gotów jest wykonać groźbę. Chwycił go gwałtownie za ramię.

— Dlaczego miałbyś umierać? Byłby to absurd! Niech inni giną, ale ty? Na co zdałaby się ta jeszcze jedna potworność... Chcesz mnie wzruszyć, łamiesz mi serce...

Potem nagle wydało mu się to podstępem i zawołał ze wściekłością:

— Chcesz wziąć tę świeczkę nie po to, aby ją tam rzucić, lecz aby ją zgasić. I myślisz, że potem już nie będę mógł... Ach, zły bracie!

Z kolei Piotr krzyknął:

— Tak, wszystkimi sposobami będę się starał nie dopuścić, abyś spełnił ten czyn okropny, bezrozumny.

— Będziesz się starał nie dopuścić...

— Tak, uchwycę się ciebie, ścisnę rękami twoje ramiona, unieruchomię twoje dłonie w moich.

— Przeszkodzisz mi, nędzniku?! Wyobrażasz sobie, że mi przeszkodzisz?!

I dysząc, trzęsąc się z wściekłości, Wilhelm chwycił Piotra, miażdżąc mu żebra swoimi krzepkimi ramionami. Zwarli się mocno z sobą, z oczyma w oczach, oddechy ich się zmieszały w tym podziemnym więzieniu, które ich tańczące cienie wypełniały dziwaczными zjawami. Zagarniała ich gęsta noc, blade płomień był już tylko drobną żółtą lżą w łonie ciemności. I wtedy, w tych głębiach, milczenie ziemi, tak bardzo nad nimi ciężące, zadrżało, zachwiało się lekko od fal dźwięku, fal dalekich, jak gdyby śmierć biła gdzieś w swój niewidzialny dzwon.

— Słyszysz — wyjąkał Wilhelm — to ich dzwon, tam na górze. Przyszła pora, przysięgłem sobie, że będę działał, a ty chcesz mi w tym przeszkodzić!

— Tak, będę usiłował ci przeszkodzić do ostatniego tchu! — Do ostatniego tchu będziesz usiłował mi przeszkodzić!

Tam w górze słyszał „Sabaudkę” dzwoniącą wesoło, z całej mocy, widział bazylikę zwycięską, wypełnioną po brzegi dziesięcioma tysiącami pielgrzymów, rozjarzoną blaskiem Najświętszego Sakramentu, otoczonego dymem kadzielnic; i zerwało się w nim szaleństwo, ślepa burza, poczuł się bezradny wobec nagłej przeszkody, która nie pozwalała mu urzeczywistnić prześladowanej go idei.

— Do ostatniego tchu, do ostatniego tchu! — powtarzał nieprzytomnie. — A więc dobrze, umieraj, podły bracie!

W jego zmaconych oczach zabłysnął bratobójczy płomień. Pochylił się, chwycił jakąś zapomnianą cegłę, podniósł ją oburącz, jak maczugę.

— Ach, nie będę się bronił — rzekł Piotr — więc zabij mnie, zabij najpierw brata, zanim uczynisz to z innymi!

Już cegła spadała. Ale zaciśnięte pięści widocznie zmyliły kierunek, cegła otarła się tylko o ramię Piotra, który upadł w ciemnościach na kolana.

Wilhelm, jak błędny, widząc, że Piotr pada na ziemię, pomyślał, że go zabił! Co właściwie zaszło pomiędzy nimi? Co on

uczynił? Stał przez chwilę z otwartymi ustami, z oczyma rozszerzonymi od zgrozy. Spojrzał na swoje ręce, wydało mu się, że czuje spływającą z nich krew. Potem przycisnął je do czoła, które pękało od potężnego bólu, jak

gdyby wydarta stamtąd myśl prześladowcza pozostawiła mu czaszkę otwartą. I nagle on sam padł na ziemię w ogromnym szlochu.

— Ach, bracie, braciszku, co ja zrobiłem! Jestem potworem!

— Bracie, to nic, to nic, przysięgam ci!... Och, ty płaczesz wreszcie, jakże jestem szczęśliwy! Jesteś uratowany, czuję to, bo płaczesz... I jak to dobrze, że wpadłeś w gniew, że złość na mnie unicestwiła cały twój koszmarny sen o przemocy!

— Nie! Brzydzę się sobą... Zabijać ciebie, ciebie! Jestem dziką bestią, chciałem zabić brata! I innych, i wszystkich innych, tych w górze!... Zimno mi, ach zimno mi!

Zęby mu szczękały, wstrząsał nim wielki lodowaty dreszcz. Osłupiały, zdawał się budzić ze snu; i w nowym świetle, jakie jego niedosze bratobójstwo rzuciło na sprawy, akt, który go prześladował, a wreszcie doprowadził do szaleństwa, wydał mu się aktem zbrodniczej głupoty, jak gdyby zamierzonym przez kogoś innego.

— *Zabić* ciebie! — powtórzył bardzo cicho. — Nigdy sobie tego nie daruję!

Moja egzystencja jest skończona, nie odzyskam już odwagi do życia...

Piotr uściskał go jeszcze mocniej w swoich braterskich ramionach.

— Co też ty mówisz! Czy w ten sposób nie przybędzie jeszcze jedna więź miłości pomiędzy nami? Ach tak, bracie! Obym cię ocalił, jak ty mnie ocaliłeś, i obyśmy byli jeszcze bardziej z sobą zespoleni!... Czy nie przypominasz sobie wieczoru w Neuilly, gdy trzymałeś mnie na sercu, jak ja trzymam cię teraz na moim, i pocieszałeś mnie? Wyznałem ci moją mękę, dręczony nicością i niewiarą, a ty wołałeś, że trzeba żyć, że trzeba kochać... Potem, bracie mój, uczyniłeś więcej, wyrwałeś z piersi twoją miłość i mnie nią obdarowałeś. Za cenę własnego szczęścia pragnałeś Widzieć mnie szczęśliwym, uratowałeś mnie dając mi wiarę... I cóż za radość, że teraz przyszła moja kolej, że będę mógł dzisiaj pocieszyć cię, uratować, natchnąć cię chęcią do życia!

— Nie, plama twojej krwi jest tu, niemożliwa do wymazania! Nie ma już dla mnie nadziei!

— Ależ jest, jest! Ufaj życiu, jak sam wołałeś do mnie. Ufaj miłości, ufaj pracy!

I dwaj bracia, we wzajemnym uścisku, mówili dalej bardzo cicho, tonąc we łzach. Świeczka nagle wypaliła się, zgasła, a oni nawet tego nie spostrzegli. W atramentowej nocy, wśród ciszy,; która znowu zapadła, głęboka i wszechwładna, ich łzy zbawczej miłości płynęły bez końca. U jednego była to radość, że spłacił dług braterstwa; u drugiego, człowieka o wybitnym umyśle, o sercu dobrego dziecka, było to przerażenie, że przez swoje szaleństwo, przez umiłowanie sprawiedliwości i ludzkości znalazł się o krok od zbrodni. I jeszcze inne myśli tały się na dnie tego płaczu, który obmywał ich i oczyszczał; był to protest przeciwko wszelkim cierpieniom, pragnienie, aby świat doznał ulgi w swoim utrapieniu.

Potem, stopą zepchnawszy płytę, aby nakryć otwór, Piotr po omacku wprowadził Wilhelma jak dziecko;

W obszernej pracowni, przy wielkim oknie Babka, niewzruszona, nie odłożyła nawet swojej roboty. Niekiedy, oczekując godziny czwartej, podnosiła oczy na zegar wiszący na ścianie po jej lewej ręce, a potem przenosiła je za okno, ku bazylice, której nie wykończoną masę widziała we wnętrzu olbrzymiego

szkieletu rusztowań. Powolną ręką wyciągała igłę robiąc równe ściegi; była bardzo blada, milcząca, heroicznie pogodna. A tymczasem Maria, która haftowała- naprzeciwno niej, wiele razy już myliła się, urywała nitkę, niecierpliwa, ogarnięta dziwną nerwowością, niewytłumaczonym rozdrażnieniem, niepokojem bez przyczyny, jak mówiła, ale którego ciężar przygniatał jej serce. Ale przede wszystkim trzej dorośli synowie Wilhelma nie mogli usiedzieć na miejscu, jak gdyby im także udzieliła się zaraźliwa gorączka. Mimo. to znów zabrali się do roboty: Tomasz polerował coś przy imadle, Franciszek. i Antoni siedzieli przy stole; jeden z nich usiłował zagłębić się w rozwiązywaniu jakiegoś zadania, drugi szkicował leżący przed nim pęk maków; ale próżny był wysiłek ich uwagi, drżeli za najmniejszym szelestem, podnosili głowy, zapytywali się spojrzeniami. Cóż im się stało? Czego się bali, czemu nagle dreszcze chwytaly ich w jasny, słoneczny dzień? Chwilami któryś wstawał, przeciągał się i znów powracał na miejsce. I nie mówili nic, nie śmieli słowa powiedzieć, trwali w ciężkim milczeniu, coraz bardziej przerażającym.

Parę minut przed czwartą na Babkę przyszło zmęczenie, a może chwila skupienia. Raz jeszcze popatrzyła na zegar i opuściła robotę na kolana, zwróciła się w stronę, gdzie widniała bazylika. Od tej chwili czuła już w sobie tylko tyle siły, aby czekać, nie spuszczała oczu z tych ogromnych murów, jakie widziała przed sobą, z tego lasu belek, które dumnie pyszniły się pod błękitnym niebem. I nagle ona, tak opanowana, tak dzielna, zadrżała na niespodziany wybuch radosnych dźwięków „Sabaudki”. Odbywało się błogosławieństwo, dziesięciotysięczny tłum pielgrzymów napełniał świątynię, za chwilę miała wybić godzina czwarta. Nie mogła opanować porywu, który kazał jej podnieść się, i stała tak, drżąca, z wejrzeniem utkwionym przed siebie, ze splecionymi rękoma, w strasliwym oczekiwaniu.

— Co ci się stało? — zawołał Tomasz, który to zauważył. — Dlaczego drżysz, Babko?

Franciszek i Antoni zerwali się z miejsc i też *do* niej podbiegli.

— Czy jesteś chora? Dlaczego ty, zawsze tak dzielna, pobladłaś?

Ale ona nie odpowiadała. Ach, niechaj siła wybuchu rozedrze już ziemię, sięgnie do małego ich domu i porwie go w płonący krater wulkanu. Żarliwie pragnęła, aby wraz z ojcem zginęło jego trzech dorosłych synów i ona sama, ażeby nikt nie oplakiwał swoich zmarłych. I czekała, czekała, w nie dającym się pokonać dreszczu, z oczyma jasnymi i mężnymi, utkwionymi tam, przed siebie...

— Babko, Babko — odezwała się strwożona Maria — przerażasz nas: nic nam nie odpowiadasz, patrzysz w dal, jak gdyby pędziło ku nam jakieś nieszczęście!

I nagle Tomasz, Franciszek i Antoni wydali jeden okrzyk, w jednakiej trwodze swoich serc:

— Ojciec jest w niebezpieczeństwie, ojcu grozi śmierć!

Co wiedzieli? Nic dokładnego. Co prawda Tomasz dziwił się był wielkiej ilości materiałów wybuchowych, jakie sporządzał ojciec, i zarówno Franciszek, jak Antoni wiedzieli o rewolucyjnych ideach, o płomiennej miłości, jakie zagnieździły się w umyśle tego człowieka nauki. Ale w swoim szacunku dla niego chcieli wiedzieć o nim to tylko, co sam im zwierzał, nie wypytywali go nigdy, aprobowali wszystkie jego postęпки. I oto

zrodziła się w nich wiedza o przyszłości, pewność, że ojciec umrze, że zbliża się jakaś straszna katastrofa, od której wszystko dokoła nich od rana już drżało, od której oni sami trzęśli się jak w gorączce, chorzy i niezdolni do pracy.

— Ojcu grozi śmierć! Ojcu grozi śmierć!

Ramię w ramię trzej ci olbrzymi ciasno do siebie przywarli, przejęci tą samą trwogą, porwani tym samym szalonym pragnieniem, aby poznać niebezpieczeństwo, aby biec tam i umrzeć z ojcem, gdyby nie zdołali go uratować. A w upartym milczeniu Babki znowu w tej chwili przeszła śmierć, mroźne tchnienie, którego muśnięcie uczyli już podczas obiadu.

Wybiła godzina czwarta, Babka uniosła białe ręce, jak gdyby chciała zanosić jakieś najwyższe błagania. I w końcu przemówiła:

— Ojcu grozi śmierć. Ocalić go mogłaby jedynie myśl, że jego obowiązkiem jest żyć.

Wszyscy trzej zapragnęli pobiec, ale nie wiedzieli dokąd, obalić przeszkody, zwyciężyć groźną klęskę. Rozdzierająca była dla nich ta bezsilność, byli tak groźni i tak żalosi, że spróbowała ich pokrzepić.

— Ojciec chciał umrzeć i woła jego jest umrzeć samotnie.

Zadrżeli, usiłowali także zdobyć się na bohaterstwo. Ale minuty mijały, wydawało się, że wielkie zimne tchnienie ulatuje na powolnych skrzydłach. Czasem, o zmierzchu, nocny ptak, złowróźbny zwiastun, dostaje się przez okno, krąży po mrocznym pokoju, a po chwili odlatuje unosząc z sobą żalobę. Tak było i teraz; bazylika stała wciąż na swoim miejscu, ziemia nie otwierała się, aby ją pochłonać. Z wolna okrutna trwoga ściskająca serca ustępowała nadziei, wieczystemu przedwiośniu.

Kiedy więc ukazał się Wilhelm, a za nim Piotr, wielki okrzyk zmartwychwstania, jeden jedyny okrzyk wydarł się ze wszystkich serc:

— Ojciec!

Ich pocałunki, ich łzy ostatecznie go złamały. Musiał usiąść. Jednym rzuconym dokoła spojrzeniem wrócił do istnienia jak samobójca, którego zmuszono, aby żył. Babka, pojmując gorycz jego umarłej woli, zbliżyła się z uśmiechem, ujęła go za obie ręce, chcąc mu dać do poznania, jak jest szczęśliwa, że widzi go znowu, że nie sprzeniewierzył się obowiązkowi, że na pewno już nie ucieknie od życia. A Wilhelm cierpiał, zbyt jeszcze był zdruzgotany. Oszczędzono mu wszelkich wyjaśnień. Nic nie mówił i tylko jednym gestem, jednym czułym słowem wskazał Piotra jako swego wybawcę. W kącie pokoju Maria rzuciła się na szyję młodemu człowiekowi.

— Ach, mój drogi Piotrze, nigdy cię jeszcze nie pocałowałam! Ale chciałam po raz pierwszy uczynić to w jakiejś ważnej chwili... Kocham cię, mój drogi Piotrze, kocham cię z całego serca!

Tego samego wieczora, gdy zapadła noc, Wilhelm i Piotr zostali przez chwilę sami w wielkiej pracowni, wymieniając niekiedy serdeczne słowa. Chłopcy wyszli właśnie. Babka i Maria sortowały starą bieliznę, a tymczasem pani Mathis, która odniosła robotę, cierpliwie czekała, siedząc w ciemnym pokoju, aby panie przyniosły jej z góry jakieś rzeczy do naprawy, które miała zabrać z sobą do domu. I dwaj bracia zapomnieli o niej; opanowani słodką melancholią zmierzchu, rozmawiali po cichu.

Po chwili nowy przybysz zmaćcił ich spokój. Był to Janzen o chudej twarzy jasnowłosego Chrystusa. Zachodził bardzo rzadko i nigdy nie wiedzieli, ż

jakiego wylania się mroku ani w jakie powróci ciemności. Znikał na całe miesiące, po czym niespodzianie zjawiał się znowu, straszliwy przechodzień jednej godziny, człowiek o nieznannej przeszłości i niewiadomym życiu.

— Wyjeżdżam dzisiaj wieczorem — rzekł swoim spokojnym głosem, tnącym jak ostrze noża.

— I wraca pan do kraju, do Rosji? — zapytał Wilhelm. Janzen uśmiechnął się lekko, wzgardliwie.

— Och, do kraju! Ja wszędzie czuję się jak w swoim kraju.

Przede wszystkim nie jestem Rosjaninem, a poza tym chcę, aby moim krajem był cały świat.

I szerokim gestem wyraził, że jest człowiekiem bez ojczyzny, obnoszącym ponad wszelkimi granicami swój sen o krwawym braterstwie. Z pewnych jego słów bracia wywnioskowali, że chce wrócić do Hiszpanii, gdzie czekają na niego towarzysze. I że będzie tam miał wiele pracy. Spokojnie usiadł i rozmawiał, z chłodnym wyrazem twarzy, gdy nagle, tym samym pogodnym głosem rzekł, nie zmieniając tonu:

— Wiadomo panom, że właśnie przed chwilą rzucono bombę do kawiarni „Univers” na bulwarze? Zginęło trzech mieszczuchów.

Z drżeniem Wilhelm i Piotr domagali się szczegółów. Wówczas opowiedział, że właśnie tamtędy przechodził, gdy usłyszał wybuch i zobaczył, że szyby kawiarni rozpryskują się w kawałki. Trzech klientów leżało na ziemi, ciała mieli zmasakrowane; dwaj byli nieznanymi jacyś panowie, którzy zaszli przypadkiem, natomiast trzeci — stały bywalec, drobny rentier z sąsiedztwa, przyszedł na codzienną partyjkę. Lokal został zdewastowany, marmurowe blaty stolików popękały, świeczniki poskręcały się, lustro podziurawione było od kul. Zapanowała groza, podniecenie, tłok! Zresztą sprawcę zamachu natychmiast aresztowano, gdy próbując uciekać skręcał w ulicę Caumartin.

— Postanowiłem przyjść tu na górę i opowiedzieć to panom — zakończył Janzen. — Lepiej, abyście wiedzieli.

I gdy Piotr, z dreszczem lęku, w głuchym przeczuciu spytał, kim jest aresztowany człowiek, Janzen odpowiedział bez pośpiechu:

— To właśnie najprzykrzejsze, panowie znają go... Jest nim ten mały Wiktor Mathis.

Zbyt późno Piotr zorientował się, że powinien był wtłoczyć mu te słowa z powrotem w gardło. Przypomniał sobie nagle, że matka Wiktora przed chwilą usiadła za nimi, w mrocznym kącie. Czy jeszcze nie odeszła? I stanął mu przed oczyma mały Wiktor, o twarzy prawie bez zarostu, z czołem stromym i upartym, z szarymi oczyma błyszczącymi nieubłaganą inteligencją, z ostrym nosem i cienkimi wargami wyrażającymi nieugiętą wolę i bezlitosną nienawiść. Ten nie był prostaczkiem, nie był wydziedziczonym. Był synem burżuazji, starannie wychowanym, wykształconym, odbył studia w École Normale. Nie było żadnego usprawiedliwienia dla jego ohydnych czynów, nie kierowała nim namiętność polityczna ani obłąd humanitaryzmu, ani nawet rozpaczliwe cierpienie nędzarza. Był on czystej wody burzycielem, teoretykiem zniszczenia, intelektualistą wybitnym, opanowanym, który posługiwał się swoim wykształconym umysłem, aby uzasadniać zbrodnię, przedstawiając się jako narzędzie ewolucji -społecznej. A przy tym był to poeta, wizjoner, ale z tych, co budzą przerażenie, potwór, którego wytłumaczyć sobie można było tylko

szaleńczą pychą, który spragniony strasznej nieśmiertelności, marząc o przyszłej jutrzence, wznosił ku niebu dwa ramiona gilotyny. Po nim nie było nic, nic, tylko ślepa kosa wyludniająca świat!

Na parę sekund pośród gęstniejących ciemności zapanowała lodowata zgroza.

— Ach — szepnął bardzo cicho Wilhelm — więc to on się ośmielił!

Ale już Piotr czule ścisnął jego rękę. I poczuł, że Wilhelm jest równie przerażony, równie zbuntowany jak on sam, oburzony ze wszystkich sił męskiego serca, z całej ludzkiej solidarności. Może trzeba było aż tej ostatecznej ohydy, aby nim wstrząsnąć i uleczyć go.

Bez wątpienia Janzen brał udział w zamachu; i właśnie stwierdził, że Wiktor Mathis pomścił Salvata, gdy w mroku rozległo się wielkie bolesne westchnienie, a następnie czyjeś ciało ciężko osunęło się na ziemię. To pani Mathis, matka Wiktora, upadła jak bezwładna masa, ugodzona wiadomością, jaką przyniósł jej przypadek. W tej chwili zeszła z góry Babka z lampą w ręce. W pokoju zrobiło się jasno, wszyscy, przestraszeni, pospieszyli z pomocą nieszczęsnej kobiecie, która blada jak trup leżała sztywna, w swej ubogiej czarnej sukni.

I znów głęboki smutek zawładnął sercem Piotra. Ach, jakąż to smutna, nieszczęsna istota! Przypomniał ją sobie u księdza Rose, tak dyskretną, wstydliwą w swoim ubóstwie; z jakim trudem starała się *wyżyć* ze skąpej renty, jaką pozostawił jej zawzięty los! Zamożna prowincjonalna rodzina, przygoda miłosna, ucieczka w ramiona wybranego mężczyzny; potem niepowodzenia, coraz trudniejsze życie rodzinne, śmierć męża. I w klasztornym wdowieństwie, po utracie paru groszy, które pozwoliły jej wychować syna, miała już tylko tego syna, Wiktora; on był jej miłością, jej nadzieją; zawsze pragnęła wierzyć, że jest bardzo zajęty, pochłonięty pracą, że wkrótce już obejmie piękne, należne mu stanowisko. I nagle dowiedziała się, że ów syn był najohydniejszym z morderców, że rzucił bombę do kawiarni i zabił trzech ludzi.

Gdy pani Mathis odzyskała przytomność dzięki staraniom Babki, rozplynęła się we łzach, odezwała się taką nie kończącą się skargą rozpacz, że ręce Piotra i Wilhelma znowu się poszukały i ujęły w uścisk, a ich wzburzone i uleczone dusze przeniknęły się wzajemnie.

V

W piętnaście miesięcy później, w piękny złoty, jesienny dzień, Bache i Teofil Morin jedli śniadanie u Wilhelma, w pracowni, w obliczu ogromnego Paryża. Obok stołu stała kołyska z zaciągniętymi firaneczkami, za którymi spał Jaś, tęgi czteromiesięczny chłopak, syn Piotra i Marii. Młodzi, po prostu, aby zapewnić dziecku prawa społeczne, wzięli ślub cywilny w merostwie na Montmartre, zdecydowani zresztą obejść się i bez tego, gdyby nie znalazł się mer skłonny udzielić ślubu eks-księdzu. Później, czyniąc zadość życzeniu Wilhelma, który chciał zatrzymać ich przy sobie i mieć wokół siebie jak najliczniejszą rodzinę, zamieszkali tutaj, w małym mieszkanku nad pracownią, pozostawiając pustką dom w Neuilly, senny i cichy, na opiece

starej służącej Zofii. I od czternastu miesięcy, od kiedy do siebie należeli, życie płynęło im szczęśliwie.

Wokół młodej pary panowała atmosfera spokoju, czułości i pracy.

Franciszek, który ukończył École Normale, zaopatrzony we wszystkie, możliwe dyplomy i stopnie naukowe, miał wyjechać na rok do jednego z liceów w zachodniej części kraju i odbyć praktykę nauczycielską, zdecydowany potem porzucić szkołę i oddać się wyłącznie pracy naukowej.

Antoni zdobył wielkie

uznanie cyklem wspaniałych drzeworytów, przedstawiających widoki i sceny paryskie; i najbliższej wiosny miał poślubić Lizę Jahan, gdy tylko ona skończy siedemnaście lat. Ale spośród trzech synów Wilhelma największy triumf odniósł Tomasz, gdy wreszcie dzięki genialnemu pomysłowi swojego ojca wynalazł i zbudował słynny mały motor. Pewnego poranka, po rozpadnięciu się w proch wszystkich jego ogromnych i chimerycznych zamierzeń, Wilhelm, myśląc o odkrytym przez siebie materiale -wybuchowym, który teraz stał się bezużyteczny, doznał nagle olśnienia: postanowił użyć go jako siły napędowej — zamiast ropy naftowej — w motorze, nad którym jego najstarszy syn pracował od tak długiego czasu na zamówienie fabryki Grandidiera. Zabrał się do roboty wraz z Tomaszem i obmyślił nowy mechanizm; natknął się na niezliczone trudności, tak że cały rok upłynął mu na zacieklej twórczej pracy. Wreszcie ojciec z synem ostatecznie obmyślili i wykonali ów cudowny motor, który znajdował się tutaj, pod wielkim oknem, przyśrubowany na sosnowym cokole, gotów ruszyć, gdy tylko zostaną przy nim ukończone ostatnie zabiegi.

W domu, tak teraz radosnym i spokojnym, Babka mimo podeszłego wieku dalej sprawowała w milczeniu swoje pracowite rządy, uznawane przez wszystkich. Była wszędzie, chociaż wydawało się, że nie rusza się ze swojego krzesła stojącego przed stołem do pracy. Od kiedy urodził się Jaś, mawiała, że go wychowa, jak wychowała poprzednio Tomasza, Franciszka i Antoniego. Pełna szlachetnej odwagi i ofiarności, zdawała się wierzyć, że nie umrze nigdy, bo tak bardzo potrzebna jest swoim najbliższym, aby ich prowadzić, kochać i strzec. Słowa te radowały Marię, odkąd bowiem karmiła dziecko, czasami pomimo doskonałego zdrowia i stałej pogody ducha czuła się zmęczona. W ten sposób Jaś miał dwie matki, które czuwały przy jego kołysce, a tymczasem Piotr, zostawszy pomocnikiem Tomasza, podsycał miechem ogień w palenisku, obrabiał z grubsza różne sztuki i bliski był ukończenia praktyki mechanika.

Tego dnia dzięki obecności Bache'a i Teofila Morin śniadanie upłynęło w jeszcze weselszym nastroju niż zwykle; zdjęto już ze stołu talerze, wniesiono kawę, gdy przyszedł mały chłopczyk, synek dozorczy z ulicy Cortot, pytając o pana Piotra Froment.

Opowiedział jakając się, że ksiądz proboszcz Rose jest bardzo chory, że pewnie wkrótce już umrze i że przysyła go z prośbą do pana Piotra Froment, aby przyszedł natychmiast, ale to natychmiast.

Piotr, bardzo przejęty, wyszedł wraz z nim. Przy ulicy Cortot, w małym wilgotnym, parterowym mieszkanku, o oknach wychodzących na niewielki ogródek, znalazł księdza Rose, który leżał w agonii, ale zachował jeszcze przytomność i swój łagodny i powolny sposób mówienia. Czuwała przy nim zakonnica, która zdawała się bardzo zaskoczona i zaniepokojona widokiem

nie znanego jej przybysza. Piotr domyślił się, że pilnowano umierającego i że użył on podstępu posyłając po niego synka dozorca. Jednakże gdy ksiądz ze swoją twarzą pełną poważnej dobroci poprosił zakonnice, aby zostawiła ich samych, ona nie odważyła się sprzeciwić ostatniemu życzeniu umierającego i wyszła.

— Ach, mój drogi synu, jak bardzo pragnąłem rozmowy z tobą! Usiądź na tym krześle, jak najbliżej łóżka, abys mógł mnie słyszeć, gdyż to jest koniec, nie przeżyję dzisiejszego wieczora. I chcę cię prosić o wielką przysługę! Piotr, wstrząśnięty, że widzi go tak wynędzniałym, z kredową twarzą, w której tylko oczy zachowały blask niewinności i miłości, zawołał:

— Ależ byłbym przyszedł wcześniej, gdybym wiedział, że jestem księdzu potrzebny® Dlaczego ksiądz nie przysłał po mnie? Czy księdza pilnują? Stary kapłan wydawał się zakłopotany, w uśmiechu jego było zawstydzenie i wyznanie.

— Trzeba, żebyś o tym wiedział, drogi mój synu: ja znowu porobiłem różne głupstwa. Tak, dawałem pieniądze nie wiedząc, że ci ludzie nie zasługiwali na jałmużnę. Wreszcie zrobił się cały skandal, udzielono mi nagany w arcybiskupstwie, oskarżono, że narażam na szwank powagę religii. Więc kiedy tam dowiedzieli się, że jestem chory, posadzili przy mnie tę pocziwą zakonnice, twierdząc, że umarłbym na słomie, że rozdałbym prześcieradła z własnego łóżka, gdyby mi w tym nikt nie przeszkodził.

Umilkł, aby *zaczepnąć* oddechu.

— Rozumiesz więc, że ta pocziwa siostra, och, to naprawdę święta osoba, jest tutaj, aby mnie pielęgnować i nie pozwolić, abym aż do końca robił same głupstwa. Toteż musiałem zmylić jej czujność, uciec się do małego podstępu, który, mam nadzieję, Bóg w swojej łaskawości mi wybaczy. Sprawa dotyczy moich biednych i właśnie dlatego tak gorąco pragnąłem cię ujrzeć, że o nich chcę z tobą pomówić. Łzy napłynęły Piotrowi do oczu.

— Proszę mówić, jestem na usługi księdza z całego serca, z całej duszy!

— Tak, tak, wiem o tym dobrze, moje dziecko. Właśnie dlatego pomyślałem o tobie, o tobie jedynym. Mimo wszystko, co się stało, mam zaufanie tylko do ciebie, tylko ty jesteś zdolny wysłuchać mnie i złożyć mi obietnicę, sprawić, że umrę spokojnie.

Pozwolił sobie na tę jedyną aluzję do ich okrutnego zerwania, kiedy to spotkał młodego księdza w świeckiej odzieży, zbuntowanego przeciw Kościołowi. Później dowiedział się o jego małżeństwie, wiadome mu było, iż Piotr na zawsze zerwał wszelkie więzy religijne. Ale w ostatniej godzinie wszystko to zdawało się nie liczyć w jego oczach, wystarczało mu, że znał żarliwe serce Piotra, trzeba mu było tylko tego człowieka, bo niegdyś widział go płonącym tak wielką namiętnością miłosierdzia.

— Mój Boże — mówił dalej znajdując jeszcze siłę, aby się uśmiechnąć — to bardzo prosta sprawa: chcę uczynić cię moim spadkobiercą. O, nie jest to wcale dar ponętny; przekazuję ci moich biednych, gdyż nic więcej nie posiadam i prócz nich nic innego pozostawić nie mogę.

Troje biedaków zwłaszcza budziło w nim wielki niepokój, gdy pomyślał, że przyjdzie mu pozostawić ich bez pomocy, bez tych okruchów, które on tylko im rozdzielał i dzięki którym jakoś żyli. Pierwszym z nich był Stary, ów wysoki starzec, którego na próżno poszukiwał pewnego wieczora, aby go skierować do Schroniska dla Inwalidów Pracy. Umieszczono go tam, ale

uciekł po trzech dniach, bo nie chciał nagiąć się do regulaminu. Gwałtowny, szorstki, miał fatalny charakter, ale przecież trudno było pozwolić, aby umarł z głodu. Stary przychodził w każdą sobotę i dostawał dwadzieścia su; wystarczyło mu to na cały tydzień. Następnie była pewna stara, niedołączona kobieta, gnieźdząca się w norze przy ulicy du Mont-Cenis; trzeba jej było opłacić rachunek

u piekarza, aby co rano przyniósł jej konieczną ilość chleba. Ale przede wszystkim była, na placu du Tertre, uboga młoda kobieta, niezamężna matka, umierająca na suchoty, niezdolna do pracy, szalejąca na myśl, że po jej śmierci jej córka znajdzie się na bruku; w tym więc wypadku dziedzictwo było podwójne, trzeba było pomagać matce aż do jej niedalekiej już śmierci, a następnie zająć się córką, umieścić ją przyzwoicie w jakiejś zacnej rodzinie. — Daruj mi, drogi mój synu, że obarczam cię takim kłopotem... Usiłowałem zainteresować tym małym światkiem pocziwą siostrę, która mnie dogląda; ale kiedy jej wspomniałem o tym wielkim Starym, ze strachu przeżegnała się. To tak jak z moim zacnym przyjacielem, księdzem Tavernier; nie znam szlachetniejszej duszy, a jednak gdybym zwrócił się do niego, nie miałbym spokoju, on ma takie zapatrywania... A więc powtarzam, drogi synu, pewien jestem jedynie ciebie i ty musisz przyjąć spadek po mnie, jeżeli chcesz, abym odszedł w spokoju.

Piotr miał Łzy w oczach.

— Ależ oczywiście, z całej duszy. Wola księdza będzie dla mnie święta.

— To dobrze, wiedziałem, że się zgodzisz... A zatem rzecz postanowiona: dwadzieścia su dla Starego co sobota, chleb dla niedołącznej staruszki, pomoc do chwili śmierci dla tej biednej młodej matki, a potem opieka nad dziewczynką... Ach, gdybyś wiedział, o ile lżej zrobiło mi się na sercu! Teraz może nadejść koniec, będzie dla mnie ukojeniem.

Jego zacna, bardzo blada, okrągła twarz rozjaśniła się ostatnią radością. Zatrzymał w obu rękach dłoń Piotra, przytrzymał ją na skraju łóżka w pożegnaniu pełnym pogodnej serdeczności. Głos osłabł mu jeszcze bardziej; cicho wypowiedział swoją myśl do końca:

— Tak, jestem rad, że odchodzę... Nie mógłbym już dłużej... nie mógłbym już dłużej! Na próżno dawałem, czułem, że konieczne było dawać coraz więcej. I jakże smutne jest to bezsilne miłosierdzie: dawać bez nadziei, że się kiedyś ulży cierpieniu!... Myśl ta wywoływała we mnie bunt, pamiętasz? Mówiłem ci, że będziemy się zawsze kochać wzajemnie w naszych biedakach; i to była prawda, bo oto jesteś tutaj, taki dobry, taki serdeczny dla mnie i dla tych, których ci powierzam. Ale mimo wszystko nie mogę dłużej, nie mogę dłużej i wolę raczej odejść, ponieważ cudzy ból przepęnia mnie i wreszcie zrobiłbym wszystkie możliwe głupstwa, gorsząc wiernych, oburzając moich przełożonych, a w rezultacie zdołałbym uratować zaledwie jednego nieszczęśnika ze stale wzbierającej fali nędzy... Żegnaj, drogi synu. Moje biedne stare serce odchodzi stąd udręczone, moje stare ręce są zmęczone a pokonane.

Piotr uściskał go z całej duszy i odszedł z oczyma pełnymi łez, w wielkim przygnębieniu. Nigdy jeszcze nie słyszał tak smutnego okrzyku jak owo wyznanie o bezsilności miłosierdzia, uczynione przez to niewinne stare dziecko, przez to proste serce pełne wzniosłej dobroci. Ach, cóż za klęska, skoro dobroć ludzka jest bezużyteczna, świat od tylu wieków toczy wiecznie

tę samą falę smutków i cierpień, mimo że wylano tyle łez współczucia, mimo że tyle rąk wyciągało się udzielając jałmużny! Oto śmierć stawała się pożądana, chrześcijanin był szczęśliwy, że ucieka od ohydy tego padółu. Gdy Piotr powrócił do pracowni, ze stołu dawno już uprzątnięto, Bache i Teofil Morin rozmawiali z Wilhelmem, a jego trzech synowie zabrali się znowu do zwykłych zatrudnień. Maria również zajęła swoje miejsce przy stole do robót, naprzeciw Babki; ale od czasu do czasu wstawiała, zaglądała do małego Jana, aby się upewnić, że śpi spokojnie, przycisnąwszy drobne rączki do piersi. Piotr, jeszcze podniecony, zbliżył się i nachylił nad kołyską wraz z młodą kobietą, którą dyskretnie ucałował we włosy; potem przypasał fartuch i zaczął pomagać Tomaszowi, który po raz ostatni regulował swój motor. A wtedy znikła mu sprzed oczu pracownia, nie widział już znajdujących się w niej osób, nie słyszał, co mówią. W tkliwym uniesieniu, w jakie wprawiły go odwiedziny u umierającego księdza Rose, istotnie jedynie zapach pięknych włosów Marii został mu na wargach. I odżyło w nim pewne wspomnienie, wspomnienie lodowatego poranka, kiedy stary kapłan podszedł do niego przed bazyliką Sacré-Coeur, aby nieśmiało prosić go o zanieśenie jałmużny staremu człowiekowi, owemu Laveuve, który potem umarł z nędzy, jak pies zdychający w rynsztoku. Jakież smutny był ten odległy poranek, ileż przyniósł z sobą walk

i męki, i jakie potem nastąpiło zmartwychwstanie! Tamtego dnia odprawił jedną ze swoich ostatnich mszy i teraz przypominał sobie z drżeniem ohydną trwożę, rozpacz wynikającą ze zwątpienia, z poczucia własnej nicości. Było to po dwóch żałośnie poronionych próbach: po Lourdes, gdzie gloryfikacja absurdu obudziła w nim politowanie dla próby cofnięcia się do prymitywnej wiary ludów młodych, uginających się pod ciężarem swojej ignorancji, i po Rzymie, który niezdolny do odnowy, bliski śmierci wśród ruin, podobny dostojnej marze, wkrótce już miał ulec zapomnieniu, rozpaść się w pył martwych religii. W duszy Piotra nawet miłosierdzie doszło do bankructwa, nie wierzył w uzdrowienie starej, cierpiącej ludzkości przez jałmużnę, oczekiwał już tylko straszliwej katastrofy, pożaru, masakry, której zamęt zmiotłby grzeszny i skazany świat z powierzchni ziemi. Jego sutanna przytłaczała go dumnym kłamstwem, w jakie schronił się, aby zachować ją na ramionach, aby utrzymać postawę niewierzącego księdza, który uczciwie, w czystości nie przestaje czuwać nad wiarą innych. Nie dawało mu spokoju zagadnienie nowej religii, nowej nadziei, niezbędnej dla spokoju demokracji jutra, lecz nie umiał znaleźć żadnego rozwiązania, wybrać pomiędzy pewnikami wiedzy a pragnieniem czegoś boskiego, jakim zdaje się płonąć ludzkość. I skoro chryścianizm miał runąć wraz z ideą miłosierdzia, pozostawała tylko sprawiedliwość, okrzyk, jaki wydzierał się ze wszystkich piersi, walka sprawiedliwości przeciwko miłosierdziu, w której *zmagać* się miały jego serce i rozum w tym ogromnym Paryżu, tak zasnutym dymami, tak strasznym i nieznanym. W Paryżu miała się dokonać trzecia i decydująca próba, prawda miała olśnić go wreszcie jak słońce, powrócić miały zdrowie, siła i radość życia. Tu Piotr musiał otrząsnąć się ze swoich marzeń i poszukać jakiegoś narzędzia, o które prosił go Tomasz, a wtedy usłyszał słowa Bache'a:

— Dziś rano gabinet podał się do dymisji. Vignon ma tego dość, chce zachować siły na później.

— Utrzymał się ponad rok — zauważył Teofil Morin. — I to już nie było co. Po zamachu Wiktora Mathis, skazanego i straconego w niespełna trzy tygodnie, Monferrand utracił władzę. Po cóż był na czele gabinetu człowiek silnej ręki, skoro bomby dalej szerzyły panikę w kraju? Najgorsze było, że Monferrand naraził się Izbie przejawiając apetyt godny ludożercy, zbyt naruszając udziały innych. Vignon tym razem odziedziczył po nim władzę, chociaż reprezentował program reform, przed którymi drżano od dawna. Ale jakkolwiek uczciwość jego nie budziła zastrzeżeń, mógł z owego programu zrealizować tylko reformy bez znaczenia, gdyż niewątpliwie miał ręce związane i potykał się o tysiące przeszkód. Zrezygnował więc i rządził jak inni, aż zrobiono odkrycie, że pomiędzy Vignonom a Monferrandem istnieją właściwie tylko różnice odcieni.

— Słyszeliście panowie, że znowu mówi się o Monferrandzie? — zapytał Wilhelm.

— Tak, on ma szansę. Jego ludzie prowadzą energiczną agitację. Następnie Bache, który mocno drwił z Mège'a, oświadczył, że deputowany kolektywistów, obalając gabinety, był nieświadomym narzędziem, służącym na przemian ambicjom wszystkich stronnictw i nie miał najmniejszych widoków, aby kiedykolwiek samemu dojść do władzy. Wreszcie Wilhelm zakonkludował:

— Ba, niechże się więc wzajemnie pożrą! Zwalczają się tylko w sprawach dotyczących osób, powodowani zaciętą ambicją, aby panować, dysponować pieniędzem i władzą. Ale to nie przeszkodzi ewolucji, która i tak się dokona, ani ideom, które i tak się rozpowszechnią, ani wypadkom, do których i tak dojdzie. Ponad tym wszystkim jest ludzkość, która dąży naprzód. Piotra mocno zastanowiły te słowa i znów zagłębił się we wspomnieniach. Groźna próba zaczęła się, rzucił się w ogromny Paryż. Paryż był niby olbrzymia kadź, w której kipiała cała ludzkość, najlepsza i najgorsza, wrzała straszliwa mikstura czarownic, cenne ingrediencje pomieszane z ekskrementami, mikstura, z której miał powstać napój miłosny i eliksir młodości. I w tej kadzi Piotr dostrzegł najpierw pianę świata polityki, Monferranda, który dławił Barroux, kupował wygłodniałych, jak Fonsègue, Dutheil, Chaigneux, wysługiwał się miernotami, jak Taboureau i Dauvergne, wygrywał nawet sekciarską namiętność Mège'a i inteligentną ambicję Vignona. Dalej zobaczył truciciel-ski pieniądz, ową aferę Afrykańskich Kolei Żelaznych, która skorumpowała parlament, a z Duvillarda, triumfującego burżuja, uczyniła gorszyciela publicznego, wrzód toczący świat finansów. Logicznym tego następstwem było domowe ognisko Duvillarda, które on sam zatruwał, okropna historia Ewy wydzierającej Gerarda własnej córce, i Kamila, porywająca matce kochankę, i syn Duvillarda, Hiacynt, stręczący swą kochankę, zwariowaną Rozamundę, Sylwianie, notorycznej nierządniczy, z którą jego ojciec afiszował się publicznie. Dalej ujrzał umierającą starą szlachtę, blade oblicza pani de Quinsac i margrabiego de Morigny, ujrzał odprawiany przez generała de Bozonnet pogrzeb dawnego ducha militarnego i sądownictwo podporządkowane władzom, sędziego Amadiou, który robił karierę dzięki sensacyjnym procesom, Lehmana układającego swoją mowę oskarżycielską w gabinecie ministra, którego polityki bronił, a wreszcie prasę, pożądlivą i kłamliwą, żyjącą skandalami, wieczysty nurt donosów i plugastwa zasilany

przez Saniera, wesoły bezwstyd. Massota pozbawionego skrupułów i sumienia, Massota, który atakował wszystko, wszystkiego bronił, z racji zawodu i na zamówienie. I podobnie jak owady, które widząc, że jeden z nich złamał nogę i bliski jest śmierci, dobijają go i pożerają, tak samo całe to rojowisko apetytów, interesów, namiętności rzuciło się na nieszczęsnego szaleńca, obalonego na ziemię, na tego żalosego Salvata, którego bezrozumna zbrodnia zjednoczyła ach wszystkich, dotąd skłóconych, skupiła ich w żarłocznym pośpiechu, aby wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści z nędznego trupa tego głodomora. I wszystko to kipiało w olbrzymiej kadzi Paryża — pragnienia, gwałty, rozpętana wola, ta trudna do nazwania mieszanina najjadowitszych fermentów, w kadzi, z której popłynąć miało wielkimi, czystymi falami wino przyszłości.

Teraz Piotr miał przed oczyma cudowną pracę, jaka dokonywała się na dnie owej kadzi; pod nieczystościami i odpadkami. Jego brat słusznie powiedział przed chwilą: cóż znaczyły w polityce ułomności ludzkie, pobudki egoizmu i użycia, jeżeli swoim powolnym i upartym krokiem ludzkość *dażyła* wciąż naprzód! Cóż znaczyła ta zdemoralizowana i goniąca ostatkami burżuazja, w tej chwili równie bliska końca jak arystokracja, której miejsce zajęła, jeżeli poza nią wciąż narastały niewyczerpane rezerwy ludzi, wywodzących się ze wsi i z miast! Cóż znaczyła rozpusta, perwersja nadmiaru, pieniądza, nadmiaru władzy, życie wyrafinowane, rozwiązłe, czepiające się zbrodni seksualnych, skoro nie ulegało wątpliwości, że wszystkie stolice, władczynie świata, panować mogły jedynie za taką cenę, reprezentując najwyższą cywilizację, wyznając religię piękna i rozkoszy. I cóż znaczyła nawet nieunikniona sprzedajność, występki i głupota prasy, skoro jednocześnie była ona najcudowniejszym narzędziem wykształcenia, publicznym, zawsze czujnym sumieniem, rzeką, która wprawdzie dźwigała na swoich falach rzeczy ohydne, niemniej jednak *dażyła* naprzód, unosząc wszystkie ludy na ogromne braterskie morze przyszłych wieków! Osad ludzki opadał na dno kadzi i nie należało nawet życzyć sobie, aby każdego dnia dobro widomie odnosiło zwycięstwo; bowiem często potrzeba całych lat, aby z mętnej fermentacji powstała nadzieja, realizowana w tym przetwarzaniu wieczystej materii, którą wkładano raz jeszcze do tygła, aby ją jutro lepiej ukształtować. I jeżeli w zapowietrzonych fabrykach praca najemna pozostawała formą starożytnego niewolnictwa, jeżeli tacy jak Toussaint wciąż umierali z nędzy na barłogach, niby ochwacone szkapy, niemniej wolność wyłoniła się już z ogromnej kadzi w dzień burzy, aby zacząć swój lot po świecie. I dlaczego nie miałyby z niej wyjść z kolei i sprawiedliwość, złożona z tylu mętnych elementów, ale wolna od żużla, czysta jak łąka i odradzająca ludy?

Znowu zabrzmiały głosy Bache'a a Teofila Morin, rozmawiających z Wilhelmem, i przerwały Piotrowi jego rozmyślenia. Mówili o Janzenie, który, skompromitowany w nowym zamachu w Barcelonie, znikł stamtąd i zapewne powrócił do Paryża; Bache'owi zdawało się, że go wczoraj widział. Tak bystra inteligencja, tak niezłomna wola, tyle darów natury strwonionych dla tak ohydnej sprawy!

— I pomyśleć — rzekł Morin swoim rozwlekłym tonem — że wygnany Barthès wegetuje w małym ubogim pokoiku w Brukseli, w dreszczu nadziei, że wolność wreszcie zapanuje, Barthès, który nie ma na swoich rękach ani

jednej plamki krwi i który dwie trzecie swego życia spędził w więzieniu, aby dać ludom wolność!

Bache lekko wzruszył ramionami.

— Wolność, wolność, oczywiście! Ale czymże ona jest bez organizacji?

I wieczna ich dyskusja rozpoczęła się na nowo, jeden powoływał się na Saint-Simona i Fouriera, drugi na Proudhona i Augusta Comte'a. Cała mglista religijność eks-członka Komuny, dziś radcy miejskiego, przemówiła w jego tęsknocie do pocieszycielskiej wiary; profesor zaś, dawny garybaldczyk, zachowywał mimo swojego znużenia pewien naukowy rygor myślenia, wiarę w matematyczny postęp świata.

Bache obszernie opowiedział o ostatnim obchodzie ku czci Fouriera, o grupie wiernych uczniów, którzy przynieśli wieńce, wygłosili przemówienia, o wzruszającym zebraniu apostołów, upartych w swojej wierze, spokojnych o przyszłość, o gorliwych zwiastunach nowej dobrej nowiny. Następnie Morin wyciągnął ze swoich zawsze wypchanych kieszeni małe broszurki propagandy pozytywistycznej, manifesty, odpowiedzi, stawiane i rozstrzygane kwestie, w których nazwisko Comte'a, a przede wszystkim jego doktryna, sławione były jako jedyny możliwy fundament wyczekiwanej przyszłej religii. Wówczas Piotr, który przysłuchiwał się ich rozmowie, przypomniał sobie ich dawne spory w jego domu w Neuilly, gdy on sam, zagubiony, szukając jakiejś pewności, usiłował przeprowadzić bilans idei swego stulecia. Wśród niemożliwych do pogodzenia sprzeczności wszystkich tych prekursorów on tracił grunt pod stopami. Cóż z tego, że Fourier wyszedł od Saint-Simona, skoro częściowo mu zaprzeczał; i o ile doktryna Saint-Simona kostniała w pewnego rodzaju mistycznym sensualizmie, doktryna Fouriera zdawała się znów przeradzać w niemożliwy do przyjęcia kodeks, który chciał wszystko reglamentować. Proudhon burzył nic nie budując. Comte, który tworzył metodę i przyznawał wiedzy należne jej stanowisko ogłaszając ją jedyną władczynią, nie podejrzewał nawet kryzysu społecznego, którego nurt zagrażał zatrąceniem wszystkiego, i sam kończył jako iluminat miłości, pokonany przez kobietę. I ci dwaj również rzucili się do walki, występując przeciwko dwu pierwszym, aż doszło do takiego konfliktu i powszechnego zaślepienia, że prawdy, jakie wspólnie głosili, zaciemnione i zniekształcone, stały się niemożliwe do rozpoznania. Ale dziś, gdy dokonała się powolna ewolucja, która przetworzyła nawet jego samego, te wspólne prawdy wydawały się Piotrowi oślepiająco jasne, nieodpartą.

Ewangelie tych społecznych mesjaszów wśród chaosu sprzecznych twierdzeń zawierały podobne, wciąż powtarzające się hasła: obrona nędzarza, idea nowego i sprawiedliwego podziału skarbów ziemi wedle pracy i zasługi, a przede wszystkim poszukiwanie prawa pracy, które pozwoliłoby sprawiedliwie przeprowadzić ów nowy podział dóbr między ludźmi. Skoro więc ci wszyscy prekursorscy geniusze rozumieli się tak dobrze, gdy chodziło o prawdy ogólne, czyż nie oznaczało to, że owe prawdy były właśnie podstawą religii jutra, nieodzownej wiary, jaką jedno stulecie winno przekazywać następnemu, aby uczyniło z niej ludzki kult pokoju, solidarności i miłości. Nagły skok dokonał się w rozmyślaniach Piotra; zobaczył się znowu w kościele Madeleine, jak słucha zakończenia konferencji monsignora Marthy na temat nowego ducha; monsignor Martha głosił, że Paryż stanie się na

nowo chrześcijański i zawładnie całym światem za sprawą Najświętszego Serca. Nie, o nie! Paryż panował tylko dzięki swojej wolnej inteligencji. Kłamstwem było, że został ujarzmiony przez krzyż, przez mistyczne i brudne szaleństwo krwawiącego serca. Ale niech sobie próbują przygnieść Paryż budowlami pychy i władztwa, niech usiłują hamować wiedzę w imię martwego ideału, w nadziei, że uda się im znów położyć rękę na zbliżającym się stuleciu; wiedza zmiecie ostatecznie ich stare panowanie, ich bazylika runie pod wichrem prawdy, tak że nie trzeba będzie nawet tykać jej palcem. Próba została dokonana, ewangelia Chrystusa jest przestarzałym kodeksem społecznym, z którego ludzka mądrość utrzymać może zaledwie parę maksym moralnych. Stary katolicyzm wszędzie rozpada się w pył, Rzym katolicki jest już tylko miastem ruin, ludy odwracają się od niego, chcą religii, która nie byłaby religią śmierci. Niegdyś pogiębiony niewolnik, płonąca nową nadzieją, wyrwał się ze swego więzienia, . marzył o niebie, gdzie jego nędza otrzymałaby zapłatę wiekuistej szczęśliwości. Teraz, kiedy wiedza zburzyła kłamliwe niebo, to oszukaństwo jutra śmierci, niewolnik, robotnik, udęczone tym, że musi wprawdzie umrzeć, aby być szczęśliwym, domaga się sprawiedliwości i szczęścia już na ziemi. To jest wreszcie ta nowa nadzieja, sprawiedliwość po

osiemnastu wiekach bezsilnego miłosierdzia! Ach, za tysiąc lat, kiedy katolicyzm stanie się już tylko prastarym, martwym zabobonem, jakże zdumiewająca będzie myśl, że przodkowie nasi mogli ścierpieć tę religię udręki i nicości! Bóg-kat, człowiek wytrzebiony, żyjący pod stałą groźbą i torturowany, przyroda jako wróg, życie przeklęte — jedna śmierć tylko słodka i wyzwolicielska! Przez dwa tysiące lat na drodze ludzkości stawała jako przeszkoda nienawistna idea, że trzeba wyrwać z człowieka to wszystko, co jest w nim ludzkie, jego pragnienia, namiętności, niezależny rozum, wolę i działanie, całą jego potęgę. I radosne przebudzenie nastąpi wówczas, gdy dziewictwo zostanie wzgardzone, gdy wśród radosnego hymnu wyzwolonych sił natury płodność znowu uważana będzie za cnotę, gdy uszanowane zostaną pragnienia, spożytkowane namiętności, wywyższona praca, umiłowane życie, z którego bierze się wieczyste płodzenie w miłości. Nowa religia, nowa religia! Piotr przypomniał sobie ów okrzyk; wydzierał mu się z piersi w Lourdes, powtarzał się w Rzymie w obliczu bankructwa starego katolicyzmu. Ale nie myślał już o niej z taką samą gorączkową niecierpliwością, z dziecinnym i chorobliwym uporem, nie domagał się, aby nowy Bóg objawił się natychmiast, aby ideał powstał od razu gotowy, z wszystkimi dogmatami i kultem.

Zapewne, boski pierwiastek jest chyba nieodzowny człowiekowi, jak chleb i woda, człowiek zawsze uciekał się do niego, spragniony tajemnicy, jak gdyby jedyną dla niego pociechą było unicestwić się w nieznanym. Ale któż może twierdzić, że wiedza nie potrafi pewnego dnia ugasić tego pragnienia zaświatów? Jeśli jest ona prawdą już zdobyta, jest również prawdą do zdobycia. Czyż nie pozostanie przed nią zawsze jakiś wolny teren dla żądzy wiedzy, dla hipotezy, która właściwie jest ideałem? A poza tym, czyż to pożądanie czegoś boskiego nie jest po prostu pragnieniem zobaczenia Boga; a jeżeli wiedza zadowalać będzie w coraz większym stopniu to pragnienie, aby wszystko wiedzieć i wszystko potrafić, czyż nie należy sądzić, że pragnienie owo zostanie nasycone, że w końcu zespoli się z zaspokojoną miłością

prawdy? Religia wiedzy będzie radykalnym, pewnym, nieuniknionym zakończeniem długiego pochodu ludzkości ku poznaniu. Ludzkość dojdzie tam jak do naturalnego portu, jak do zagwarantowanego, wreszcie pokoju, gdy przewycięży już wszelką ignorancję a wszelką trwożę. I ta religia już się zarysowuje; odrzucano ideę dualizmu, ideę Boga i wszechświata, zaś idea jedności, monizmu, staje się coraz bardziej oczywista, a jedność pociąga za sobą solidarność, która stanowi jedyne prawo życia rozwijającego się drogą ewolucji, postępującej od pierwszego punktu w eterze, który się zagaścił, aby utworzyć świat. Ale jeżeli prekursorzy, uczeni, filozofowie, jak Darwin, Fourier i inni, posiali religię jutra, powierzając przelatującemu wichrowi dobrą nowinę, na pewno trzeba będzie całych wieków, aby weszło to żniwo. Zapomina się stale, że katolicyzm potrzebował czterech wieków, aby się ukształtował, aby zakiełkował w długiej, podziemnej pracy, zanim wyrósł i zapanował w pełnym słońcu. Niechże więc dane będą wieki tej religii wiedzy, której bezgłośny wzrost oznajmia się nam ze wszystkich stron, a zobaczymy, jak utwierdzają się w nową ewangelię wspaniałe idee takiego Fouriera, jak pożądanie staje się znowu dźwignią świata, praca — akceptowana przez wszystkich, poważana — nabiera regularności stanowiąc sam mechanizm życia naturalnego i społecznego, jak siły napiętności ludzkich, podniecane, zaspokajane, użytkuje się wreszcie dla ludzkiego szczęścia. Powszechny krzyk sprawiedliwości, o którą coraz donośniej woła wielki niemowa, lud, tak długo oszukiwany i pożerany, jest po prostu krzykiem o szczęście, do którego dążą istoty ludzkie, o całkowite zaspokojenie potrzeb, o życie przeżywane dla niego samego, w pokoju, w rozkwicie wszystkich sił i wszystkich radości. Przyjdą czasy, gdy królestwo Boże powstanie na ziemi, trzeba więc ów drugi, kłamliwy raj zamknąć, choćby nawet ubodzy duchem mieli przez chwilę cierpieć z przyczyny śmierci swojego złudzenia, bo konieczną jest rzeczą mężnie i okrutnie leczyć ślepych, wyrwać ich z nędzy, z długiej straszliwej nocy ich ciemnoty!

Piotra ogarnęła nagle ogromna radość. Cichy krzyk dziecka, krzyk budzącego się Jasia, jego syna, wyrwał go z zadumy; i nawiedziła go szybka myśl, że on jest już uratowany, że nie zagraża mu kłamstwo i przerażenie, że wrócił do zdrowej i dobrej natury. Z jakimż drżeniem mówił sobie, że niedawno jeszcze uważał się za zagubionego, wykreślonego z życia, zatraconego w nicości Boga-kata i że uratował go stamtąd cud miłości, uratował jeszcze silnego, mimo lęku przed niezatartym piętnem, bo to ukochane dziecko zrodzone z niego przyszło na świat takie mocne, takie roześmiane. Życie spłodziło życie, prawda była w oczy, triumfalna jak słońce. Była to trzecia próba; dokonał jej w Paryżu i tę udało mu się doprowadzić do końca, nie była, jak dwie poprzednie — w Lourdes, a potem w Rzymie — tragicznym poronieniem, zniknęły już ciemności i zniknął ból. Naprzód objawiło mu się prawo pracy, Piotr obrał sobie zajęcie nadzwyczaj skromne, pracę ręczną, której wyuczył się tak późno, ale której nie zaniedbywał ani na jeden dzień, która dawała mu pogodę dobrowolnie przyjętego zadania, wypełnionego obowiązku, bo czyż samo życie nie jest właśnie pracą, czyż świat nie istnieje tylko dzięki wysiłkowi? Następnie pokochał i jego ocalenie dokonało się przez kobietę i przez dziecko. Ach, jak długą okreśną drogę przebył, zanim doszedł do tego rozwiązania, tak naturalnego, tak prostego! Jak cierpiał, ile błędów i gniewów narosło wokół niego, zanim uczciwie uczynił to, co czynić powinni

wszyscy ludzie! Jego żywiołowa uczuciowość, zmagająca się z rozumem, tkliwość, która krwawiła od absurdów cudotwórczej groty i którą z kolei zraniła pyszna zgrzybiałość Watykanu, została wreszcie nasycona, gdy stał się małżonkiem i ojcem, człowiekiem, który ufa pracy i pozostaje w zgodzie ze słusznym prawem życia I stąd płynęła nie podlegająca zwątpieniu prawda, szczęście oparte na zdobytej pewności.

Tymczasem Bache i Teofil Morin wyszli, jak zwykle ściskając wszystkim ręce, obiecując, że znów zajdą kiedyś wieczorem na pogawędkę — spokojni apostołowie, ufni w daleką przyszłość. A ponieważ Jaś zapłakał głośniej, Maria wzięła go na ręce i rozpięła stanik, aby go nakarmić.

— Ach, moje maleństwo, to jego pora, jak on o tym pamięta!... Piotrze, popatrz no, zdaje mi się, że on od wczoraj znów urósł!

Zaśmiała się, a Piotr zbliżył się, śmiejąc się także, i ucałował dziecko. Potem ucałował matkę i z ogromnym rozrzewnieniem patrzył na tę małą istotę, tak różową i żarłoczną przy pięknej, wezbranej mlekiem kobiecej piersi. Miła woń szczęśliwej płodności biła mu w twarz i upajała go radością życia.

— Ależ on zje ciebie całą — rzekł wesoła. — Jak to ciągnie!

— Och, nawet mnie lekko gryzie. Ale to jeszcze milej, bo dowodzi, że mu pokarm służy.

Na to Babka, zawsze poważna i milcząca, wmieszała się do rozmowy, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

— Wiecie, zważyłam go dzisiaj rano. Znowu przybyło mu sto gramów. A gdybyście wiedzieli, jakie to kochane maleństwo mądre! Będzie bardzo inteligentny, bardzo rozsądny, jak ja to lubię. Kiedy ukończy pięć lat, nauczę go abecadła, a w piętnastym roku życia, jeżeli zechce, powiem mu, jak stać się człowiekiem... Prawda, Tomaszu, prawda, Antoni, prawda, Franciszku? Trzej dorośli synowie Wilhelma z uśmiechem podnieśli głowy i przytaknęli gestem, wdzięczni za lekcje heroizmu, jakich im udzielała, i zdawali się nie wątpić, że będzie żyła jeszcze dwadzieścia lat, aby uczyć Jasia, jak ich uczyła.

Piotr, pod urokiem swojej miłości, nie odstępował Marii, gdy uczul, że stojący za nim Wilhelm kładzie mu obie ręce na ramionach. Odwrócił się i zobaczył go, również radosnego, szczęśliwego, że ich widzi tak szczęśliwymi. I pewność, że brat jego jest uleczony, że w pracowitym domu panuje już tylko zdrowie i nadzieja, jeszcze spotęgowała jego radość.

— Ach, braciszku — powiedział cicho Wilhelm — czy pamiętasz, jak mówiłem ci, że cierpisz jedynie dlatego, iż w tobie serce walczy przeciwko rozumowi, i że odzyskasz spokój, gdy pokochasz to, co zrozumiesz? Trzeba było, abyś pogodził w sobie naturę naszej matki i naturę naszego ojca, których spór i bolesne nieporozumienie ciągnęło się jeszcze poza grobem; i tak się stało, oto wreszcie śpią w spokoju, w twojej uciszzonej istocie.

Słowa te wstrząsnęły Piotrem. Radość zapłonęła na jego twarzy, teraz tak jasnej, tak energicznej. Bo chociaż pozostało mu to czoło z kształtu podobne do wieży, do niezdobyczej twierdzy rozumu, odziedziczone po ojcu, i miękki podbródek, pełne dobroci usta i oczy, jakimi obdarzyła go matka, to jednak wszystkie rysy wreszcie jak gdyby się upodobniły, stopiły w szczęśliwej harmonii, w tchnącej siłą pogodzie. Jego dwie poprzednie poronione próby były atakami odziedziczonej po matce łzawej tkliwości, zrozpaczonej, że nie może znaleźć ukojenia; trzecia zaś próba dlatego tylko zakończyła się

szczęśliwie, że znalazł ratunek w kobiecie, w dziecku, w pracowitym i płodnym życiu, że ugasił palący głód kochania, jednocześnie posłuszny władzy rozumu, ojcu, którego głos tak władczo w nim przemawiał. Rozum odnosił zwycięstwo. O ile przedtem cierpiał właśnie z przyczyny walk, jakie rozum prowadził z jego sercem, teraz stał się pełnym człowiekiem w nieustannej walce ze swoim rozumem i ze swoją namiętnością. I jakież spokój dawało mu to, że je pogodził, że je równocześnie zadowolili, że czuł się istotą pełną, normalną i silną, że podobny był wysokiemu dębowi, który rozrasta się swobodnie i którego gałęzie w nieskończoność bujają nad lasem.

— Dokonałeś — mówił serdecznie Wilhelm. — dzieła pięknego i pożytecznego dla ciebie, dla nas wszystkich, dla naszych drogich rodziców, których cienie, ukojone teraz i połączone, śpią spokojnie w małym domku naszego dzieciństwa. Myślę często

o naszym domu w Neuilly, którego strzeże dla nas stara Zofia, i wyobrażam sobie, że w mrokach wielkiego gabinetu nasi ukochani zmarli zażywają słodkiego odpoczynku i czekają na nas. Jakież spokój znajdują w tym małym opuszczonym domu! I chociaż ja chciałem mieć was tutaj, powodowany egoizmem, spragniony szczęścia dokoła siebie, to jednak trzeba, aby twój Jaś tam kiedyś zamieszkał i przywrócił domowi całą jego młodość. Z kolei Piotr ujął obie ręce brata. I z oczyma w jego oczach zapytał:

— Jesteś szczęśliwy?

— Tak, szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, szczęśliwszy, niż byłem kiedykolwiek, szczęśliwy, że kocham cię tak, jak cię kocham, szczęśliwy, że ty kochasz mnie tak, jak nikt na świecie nie umiałby mnie kochać.

Serca ich zjednoczyły się w żarliwym braterskim uczuciu, najpełniejszym, najbardziej heroicznym, jakie może spojść człowieka z człowiekiem. I uściśniły się; a tymczasem Maria, z dzieckiem

u piersi, wesoła i zdrowa, szczerą i rzetelną, patrzyła na nich i uśmiechała się, a w oczach miała duże łzy.

W tej chwili Tomasz, ukończywszy, ostatecznie prace przy swoim motorze, uruchomił go. Był to cud lekkości i siły, prawie nic nie ważący w stosunku do ogromnej energii, jaką wytwarzał. Funkcjonował z doskonałą precyzją, bezgłośnie, bez swądu. I właśnie cała rodzina otaczała go w zachwycie, gdy bardzo w porą zjawił się miły gość, uczony Bertheroy, którego Wilhelm oczekiwał, gdyż niedawno prosił go, aby wstąpił zajrzeć, jak funkcjonuje motor.

Wielki chemik od razu zakrzyknął z podziwu i gdy zbadał mechanizm, gdy zrozumiał zwłaszcza, że zastosowano tutaj jako źródło energii materiał wybuchowy, co stanowiło jedną z idei, które głosił od dawna, z uniesieniem pogratulował Wilhelmowi i Tomaszowi.

— Dokonałicie tutaj cudu, a zastosowanie tego w praktyce będzie miało nieobliczalne następstwa w życiu społeczeństw i jednostek! Tak, tak, w oczekiwaniu na motor elektryczny, którego jeszcze nie mamy, oto motor idealny; oznacza on trakcję mechaniczną dla wszelkich pojazdów, czyni możliwą nawigację powietrzną, rozwiązuje ostatecznie problem energii w gospodarstwie domowym. I stanowi on nowy krok olbrzyma, zapowiada ogromny postęp, dalsze zmniejszenie odległości; wszystkie drogi są teraz otwarte, ludzie wreszcie staną się braćmi... Moi drodzy przyjaciele; wyświadczyliście światu niezwykle dobrodziejstwo, złożyliście mu piękny dar!

I zażartował na temat nowego materiału wybuchowego o straszliwej mocy, którego istnienie odgadł, a którego odkrycie dało w praktyce tak dobroczynne wyniki.

— A ja, Wilhelmie, widząc, jaką tajemniczością otaczasz swój wynalazek, myślałem, że ukrywasz przede mną formułę twojego prochu, bo chcesz wysadzić Paryż w powietrze!

Wilhelm spoważniał. Trochę poblady wyznał:

— Przez chwilę o tym myślałem!

Ale Bertheroy śmiał się dalej, jak gdyby podkreślając, że widzi w tym tylko przechwałkę, chociaż lekki dreszcz zjeżył mu włosy.

— A zatem, mój drogi, lepiej zrobiłeś wyposażając ludzkość w ten. cud, choć praca na pewno nie była ani łatwa, ani bezpieczna. Oto proch, który miał wytepić ludzi, teraz podniesie ich dobrobyt. Ja stale powtarzam, że sprawy w końcu zawsze układają się pomyślnie.

Wilhelma wzruszyła ta niezwykła i tolerancyjna prostota. Istotnie, to, co miało burzyć, będzie służyło postępowi, oswojony wulkan oznaczał pracę, pokój, cywilizację. Wilhelm porzucił nawet myśl o machinie wojny i zwycięstwa, znalazł zadowolenie w tym ostatnim wynalazku, który przynosił ludziom ulgę w pracy, redukował ich trud do wysiłku niezbędnego i wystarczającego. I Wilhelm widział w tym pomnożenie sprawiedliwości, całą sprawiedliwość, jaką w swoim zakresie mógł zapewnić. I gdy odwracając się zobaczył przez wielkie okno bazylikę Sacré-Coeur, nie umiał wytłumaczyć sobie szaleństwa, które go na chwilę tak opanowało, że myślał o głupim, bezużytecznym niszczeniu. Przeciągnął zły wiatr, zrodzony przez nędzę, rozsiane fermenty gniewu i zemsty. Ale jakimż zaślepieniem było myśleć, że zniszczenie, że zabijanie mogłoby być aktem płodnym, posiewem, który zapewniłby szczęśliwe i obfite żniwo! Natychmiast doprowadziłoby to do największych gwałtów, a te mogą tylko zaostrzyć poczucie solidarności, nawet wśród tych, dla których się zabija. Lud, ogromny tłum, buntuje się przeciwko odosobnionej jednostce, która wyobraża sobie, że wymierza sprawiedliwość! Wulkan, tak, ale wulkan to cała skorupa ziemską, to masy ludowe; budzą się one pod nieodpartym impulsem wewnętrznego płomienia, aby wznosić łańcuchy górskie, aby na nowo kształtować wolne społeczeństwa. I jakkolwiek byłby heroizm ich szaleństwa, ich zaraźliwe pragnienie męczeństwa, mordercy zawsze są tylko mordercami, których działanie jest straszliwym posiewem. Jeżeli odradzali się ze swojej krwi, jeżeli Wiktor Mathis pomścił Salvata, to jednak on zabił go także, w powszechnym krzyku potępienia, jaki wywołał ten nowy zamach, jeszcze bardziej potworny i bezowocny.

Jednym ruchem Wilhelm, który z kolei się roześmiał, dał świadectwo swojemu całkowitemu wyzdrowieniu.

— Wszystko dobrze się kończy, ma pan słuszność, ponieważ mimo wszystko świat dąży do prawdy i sprawiedliwości. Tylko że czasem potrzeba na to tysiąca lat... Co do mnie, po prostu przekażę mój nowy materiał wybuchowy zakładom przemysłowym, ażeby ci, którzy dostaną na to upoważnienie, wzbogacili się fabrykując go. Odtąd należy on do wszystkich... I wyrzekam się zrewolucjonizowania świata.

Bertheroy żywo zaprotestował. I ten oficjalnie uznany wielki uczyony, ten członek Instytutu, wyposażony w renty, obsypywany wszelkimi godnościami i

zaszczytami, wskazał motorek, z zapalem, w którym wyrażała się krzepkość jego siedemdziesięciu lat.

— Ależ to to właśnie jest rewolucja, prawdziwa jedyna rewolucja! Za pomocą tego, a nie głupich bomb rewolucjonizmie się świat. Nie burząc, lecz tworząc dokonałeś oto rewolucyjnego czynu!... A ile razy mówiłem ci, że tylko wiedza jest rewolucjonistką, jedyną, która ponad mizernymi wydarzeniami politycznymi, ponad czczą propagandą sekciarzy i karierowiczów pracuje dla ludzkości jutra, wypracowuje jej zasady, sprawiedliwość, pokój... Och, drogi chłopcze, jeżeli chcesz przerabiać świat próbując dać mu trochę więcej szczęścia, wystarczy ci pozostać w swoim laboratorium, gdyż szczęście ludzkie może się narodzić jedynie w twoim tyglu uczonego.

Oczywiście trochę sobie żartował, ale wszyscy odczuli, jak głęboko ugruntowana w nim jest pogarda dla wszelkich spraw nie związanych z wiedzą. Nie zdziwił się w swoim czasie, że Piotr zrzucił sutannę; i widząc go teraz tutaj z żoną i dzieckiem, traktował to bardzo naturalnie, nie przestał okazywać wielkiej serdeczności.

Motor, przy swej cudownej szybkości, zaledwie brzęczał jak duża mucha w słońcu. Cała szczęśliwa rodzina otaczała go, śmiała się, uradowana z tego zwycięstwa. I wtedy mały Jaś, pan Jan, skończywszy wreszcie ssać, z wargami jeszcze umorusanymi mlekiem, dostrzegł maszynę, piękną zabawkę, która sama się poruszała. I oczy mu zabłysły, na -policzkach ukazały się dołeczki, z wesołym krzykiem wyciągnął niepewne rączki.

Maria, która swobodnym gestem zapinała stanik, zaśmiała się i podeszła z nim, aby sobie lepiej zabawkę obejrzał.

— No co, moje maleństwo, ładne to? Obraca się, jest mocne, jest żywe, popatrz tylko!

Dokoła niej wszyscy bawili się zdumioną i zachwyconą miną dziecka, które chciało dotknąć, aby lepiej zrozumieć.

— Tak — rzekł znowu Bertheroy — to jest żywe i mocne jak słońce, jak to wielkie słońce, które rozbłyska na niebie ogromnego. Paryża, pozwalając dojrzewać sprawom i ludziom; Paryż także jest motorem, jest kotłem, w którym gotuje się przyszłość i pod którym my, uczeni, podtrzymujemy wieczny płomień... Ale, mój drogi Wilhelmie, dziś ty jesteś palaczem, rzemieślnikiem jutra, dzięki temu cudowi, który jeszcze zwielokrotni pracę naszego wielkiego Paryża, rozszerzy ją na cały świat.

Piotr wzruszył się ogromnie i znowu pomyślał o gigantycznej kadzi, o kadzi otwartej od widnokregu do widnokregu, w której z niezwyklej mieszaniny tego, co najlepsze, i tego, co najgorsze, narodzi się następne stulecie. Ale obecnie widział, jak spod namiętności, ambicji, spod skaz odpadków wyłania się ogromna, już dokonana praca, heroiczny wysiłek rąk w warsztatach i fabrykach, chlubny wysiłek młodzieży intelektualnej, która zabrała się do dzieła, studiowała w milczeniu, nie lekceważyła żadnych zdobyczy starszych generacji i płonęła chęcią ich pomnożenia. I oznaczało to wyniesienie Paryża; cała przyszłość wypracowywała się w jego ogromie i stamtąd szerzyła się na świat jasna jak gwiazda poranna. Jak świat antyczny miał niegdyś Rzym, teraz już konający, tak Paryż rządził wszechwładnie epoką nowoczesną, stanowił dziś ośrodek dla ludów w tym nieustającym ruchu, który prowadzi je od cywilizacji do cywilizacji, wraz ze słońcem, od wschodu do zachodu. On był mózgiem, cała wielka przeszłość przygotowała go, aby stał się wśród

miast inicjatorem, cywilizatorem, wyzwolicielem. Wczoraj rzucał narodom okrzyk wolności, jutro przyniesie im religię wiedzy, sprawiedliwość, nową wiarę, jakiej oczekują demokracje. Był on również dobrocią, pogodą ducha i łagodnością, żądzą poznania wszystkiego, hojnością dawania wszystkiego. W nim, w robotnikach z jego przedmieść, wśród chłopów z jego wsi znajdowały się niewyczerpane zasoby, rezerwy ludzkie, skąd przyszłość miała czerpać bez ograniczeń. Stulecie zakończy się

pod jego znakiem i pod jego znakiem następne zacznie się i rozwinie, a cały zgiełk jego zdumiewającego trudu, cały jego blask, blask latarni morskiej dominującej nad ziemią, wszystko, co wśród burzy, huku piorunów i zwycięskich błyskawic rodzi się z jego wnętrzości, lśni tylko dzięki tej najwyższej wspaniałości, z której narodzi się ludzkie szczęście.

Maria z cichym okrzykiem podziwu wskazała ruchem ręki Paryż.

— Patrzcie, patrzcie! Cały Paryż w złocie, Paryż złoci się swoim plonem! Wszyscy zakrzyknęli, gdyż istotnie widok był niezwyklej wspaniałości; zjawisko to Piotr raz już podziwiał: ogrom Paryża tonął w słonecznym, ukośnie padającym złotym pyłe. Ale tym razem nie był to siew, chaos dachów i budowli nie wyglądał jak brunatna rola, zorana jakimś gigantycznym pługiem, w którą boskie słońce rzuca pełnymi garściami promienie podobne złotemu ziarnu padającemu ze wszystkich stron. I nie było to już miasto ze swoimi odrębnymi częściami, gdzie na wschodzie *leżały* dzielnice pracy zamglone od szarych dymów, na południu dalekie i pogodne dzielnice nauki, na zachodzie przestronne i jasne dzielnice bogaczy, a w centrum — dzielnice handlowe, o ponurych ulicach. Wydawało się, że to samo tętno życia, to samo kwitnienie objęło całe miasto, wprowadzając w nie harmonię, czyniąc z niego jedno jedyne bezkresne pole, pokryte tą samą bujną wegetacją. *Zboże*, zboże wszędzie, w nieskończoność, zboże, którego złota fala kołysze się od widnokręgu po widnokrag. I ukośnie słońce kapało cały Paryż w jednakowym blasku; było już po siewach, teraz zbliżały się żniwa.

— Patrzcie, patrzcie! — mówiła dalej Maria. — Nie ma ani skrawka, na którym nie stałyby snopki, najuboższy nawet dach zrodził plony i wszędzie widać to samo bogactwo kłosów, jak gdyby wszystko to było jedno pole, spokojne i braterskie... Ach, Jasiu, mój mały Jasiu, patrz, patrz, jakie to piękne!

Piotr, drżący, podszedł, aby przytulić się do niej. Babka i Bertheroy uśmiechali się do tej przyszłości, której nie mieli już ujrzeć; a tymczasem za wzruszonym Wilhelmem stanęli trzej jego dorośli synowie, trzej olbrzymi, poważni, oddani pracy i pełni nadziei.

Wtedy Maria pięknym gestem entuzjazmu podniosła synka bardzo wysoko, na całą długość ramion, i ofiarowała go olbrzymiemu Paryżowi, dała mu go we wspaniałym podarunku.

— Patrz, Jasiu, patrz, mój maleńki, to ty zbierzesz to całe żniwo i ty zwieziesz plony do spichrza.

Paryż płonął, boskie słońce zatapiało go światłem, niosąc w swoim blasku przyszłe żniwo prawdy i sprawiedliwości.